

ZDANIE

„Trzech na jednego”
z biskupem TADEUSZEM PIERONKIEM

Andrzej Walicki
KIM BYŁ DLA MNIE I JEST ZBIGNIEW HERBERT
KOWADŁO DLA ANDRZEJA SEWERYNA
MARZEC '68 - 50 LAT PÓŹNIEJ
A. Friszke, B. Toruńczyk, J. Lityński, S. Blumsztajn
Edward Karolczuk
PRAWICOWY I LEWICOWY POPULIZM

CZYM BYŁA POLSKA LUDOWA?
A. Kurz, B. Łagowski, J. Woleński, H. Kubiak,
M. Stępień, T. Iwiński, Z. Siemiątkowski, J.J. Wiatr
Andrzej Mencwel
DŁUGA NIEPOJĘTA REWOLUCJA
Włodzimierz Luty
O AKTUALNOŚCI TEORII EKONOMICZNEJ MARKSA

3-4 (178-179) 2018



KRAKOWSKIE OBCHODY 100-LECIA ODZYSKANIA PRZEZ POLSKĘ NIEPODLEGŁOŚCI

**WYSTAWA „KRAKOWSKI HEJNAŁ
WOLNOŚCI. WOLNOŚĆ PRZYSZŁA
Z PODGÓRZA”****Termin: 31.10.2018 – 24.03.2019**

Muzeum Podgórze,
ul. Powstańców Wielkopolskich 1/ ul. Limanowskiego 51
Organizator: Muzeum Historyczne Miasta Krakowa

**PENDERECKI 85. TE DEUM**
Termin: 30.10.2018

Kościół św. Katarzyny, *ul. Augustańska 7*
Organizator: Miasto Kraków, Sinfonietta Cracovia

**KONFERENCJA POPULARNO-
NAUKOWA Z OKAZJI 100. ROCZNICY
WYZWOLENIA KRAKOWA SPOD
WŁADZY ZABORCZEJ „KRAKOWSCY
OJCOWIE POLSKIEJ NIEPODLEGŁOŚCI”**
Termin: 29-30.10.2018 *Wstęp wolny*

29.10.2018 r., Sala Obrad RMK,
pałac Wielopolskich, pl. Wszystkich Świętych 3-4

30.10.2018 r., Sala Miedziana,
Muzeum Historyczne Miasta Krakowa, *Rynek Główny 35*
Organizator: Prezydent Miasta Krakowa i Krakowski Oddział
Polskiego Towarzystwa Historycznego

**BIEG SZTAFETOWY O SZABLĘ
KPT. ANTONIEGO STAWARZA**
Termin: 31.10.2018

Stadion WKS „Wawel”, *ul. Podchorążych 3*
Organizator: Prezydent Miasta Krakowa

**OBCHODY 100. ROCZNICY
WYZWOLENIA KRAKOWA SPOD
WŁADZY ZABORCZEJ****Termin: 31.10.2018**

pl. Niepodległości, Rynek Podgórski, Rynek Główny
Organizator: Prezydent Miasta Krakowa,
Przewodniczący Rady Miasta Krakowa, Dzielnica I
i Dzielnica XIII

**WYSTAWA „NIEPODLEGŁA. WOKÓŁ
MYŚLI HISTORYCZNEJ JÓZEFA
PIŁSUDSKIEGO”**
Termin: 31.10.2018 – 27.01.2019

Gmach Główny Muzeum Narodowego w Krakowie,
al. 3-go Maja
Organizator: Muzeum Narodowe w Krakowie

**70. KRAKOWSKA LEKCJA ŚPIEWANIA
„RADOSNA NIEPODLEGŁOŚCI”**
Termin: 11.11.2018

Rynek Główny
Organizator: Prezydent Miasta Krakowa,
Biblioteka Polskiej Piosenki, Loch Camelot

**„TATRA”
– KACZMARCZYK VS PENDERECKI**
Termin: 11.11.2018

Centrum Kongresowe ICE Kraków,
ul. Marii Konopnickiej 17
Organizator: Krakowskie Biuro Festiwalowe

dowiedz się więcej na: **www.krakow.pl**

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

3–4 (178–179) 2018

OD REDAKTORA

W tym numerze, w cyklu *Trzech na jednego* rozmowa z Tadeuszem Pieronkiem! Pierwszy biskup na łamach „Zdania”. Ksiądz w tym cyklu już był. I to jaki – śp. Stanisław Musiał. Niemniej gorąco polecam lekturę eseju prof. Andrzeja Walickiego o Zbigniewie Herbercie i wzajemnych relacjach, jakie ich łączyły. Na uważną lekturę zasługują teksty pozostałych autorów, m.in. Andrzeja Mencwela, Henryka Domańskiego, Marka Tabina i Włodzimierza Lutego.

Pokażną część jesienno „Zdania” wypełniają materiały z dwóch konferencji organizowanych przez „Kuźnicę”. Pierwsza chronologicznie miała tytuł: *Marzec’68 – 50 lat później*, a wzięli w niej udział uczestnicy tamtych

wydarzeń: Barbara Toruńczyk, Seweryn Blumsztajn, Jan Lityński oraz prof. Andrzej Friszke, autor książki o „Komandosach”. Zapisaliśmy ich świadectwo i udostępniamy Czytelnikom „Zdania”. Druga konferencja odbyła się pod hasłem *Czym była Polska Ludowa i co po niej zostało?* Zgromadziła znawców tego okresu, którzy podzielili się nie tylko swoją wiedzą na temat PRL-u, lecz także osobistym doświadczeniem, wynikającym z aktywnego uczestnictwa w polityce. Z ich przemyśleń i świadectwa wyłania się inny obraz PRL-u od tego, jaki lansuje oficjalna propaganda i większość mediów po 1989 roku.

EDWARD CHUDZIŃSKI

TADEUSZ PIERONEK OBECNA WŁADZA TRAKTUJE RELIGIĘ I KOŚCIÓŁ INSTRUMENTALNIE (<i>Trzech na jednego</i>)	3
Andrzej Walicki KIM BYŁ DLA MNIE I JEST ZBIGNIEW HERBERT	12
Krzysztof Mroziewicz, Jacek Majchrowski, Paweł Sękowski, Laureat „KOWADŁO” DLA ANDRZEJA SEWERYNA	29
Henryk Domański SCENARIUSZE DLA SCENY POLITYCZNEJ	36
Edward Karolczuk PRAWICOWY I LEWICOWY POPULIZM	40
Marek Tabin INTELIGENCJA PO 1989 ROKU	44
CZYM BYŁA POLSKA LUDOWA I CO PO NIEJ ZOSTAŁO?	
Andrzej Kurz ZAPROSZENIE DO DYSKUSJI	50
Bronisław Łagowski KIEDY POLSKA BYŁA CAŁKOWICIE NIEPODLEGŁA?	54
Jan Woleński MIĘDZY PLURALIZMEM A MARKSIZMEM. O FILOZOFII W PRL-u.	56
Hieronim Kubiak CZY WÓWCZAS MOŻLIWA BYŁA „INNA RZECZPOSPOLITA”?	60
Marian Stępień NIEODWRACALNE REFORMY	63
Tadeusz Iwiński DZIEJE PRL BYŁY POKAWAŁKOWANE	66
Zbigniew Siemiątkowski ZA CO MOŻNA DZIŚ ROZLICZAĆ LEWICĘ?	69
Jerzy J. Wiatr POLSKA RACJA STANU W WARUNKACH ZIMNEJ WOJNY	73

79	Andrzej Mencwel DŁUGA NIEPOJĘTA REWOLUCJA
88	Włodzimierz Luty O AKTUALNOŚCI TEORII EKONOMICZNEJ MARKSA
96	Andrzej Wilk WIELCY PRZYJACIELE SPRAWY POLSKIEJ
97	Roman Wysogład NA PRZEKÓR NIE TYLKO SOBIE
98	MARZEC’68 – PIĘCDZIESIĄT LAT PÓŹNIEJ Andrzej Friszke, Barbara Toruńczyk, Seweryn Blumsztajn, Jan Lityński, Paweł Sękowski, Joachim Russek, Andrzej Kurz i inni
109	Krzysztof Kwaśniewski ZDRADA? NARODOWA?
112	Radosław Gawlik POLITYKA A OCHRONA ŚRODOWISKA
114	Urszula Glensk SOCREALIZM W SEROLOGII
117	Bolesław Faron CZŁOWIEK I ARTYSTA
121	Stanisław Gębala POCHŁONIĘCI PRZEZ TERAŹNIEJSZOŚĆ
124	Jacek Wojciechowski BIAŁORUŚ JAK ZA MGŁĄ
129	Krzysztof Komornicki PARALELNA RP
130	Tomasz Goban-Klas POLSKI MARCO POLO
131	Sceptyk TO SIĘ DZIAŁO W PRL-u
132	NAGRODA IM. N. BARLICKIEGO DLA „KUŹNICY”





JEDEN:

KS. BP TADEUSZ PIERONEK

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

FILIP RATKOWSKI

PAWEŁ SĘKOWSKI

OBECNA WŁADZA TRAKTUJE RELIGIĘ I KOŚCIÓŁ INSTRUMENTALNIE

EDWARD CHUDZIŃSKI: Na pewno nie przesadzę, jeśli powiem, że **Ksiądz Biskup jest najbrutalniej hejtowanym w internecie i atakowanym przez prawicowe media hierarchą kościelnym w Polsce.**

Bp TADEUSZ PIERONEK: Nie czytuję, choć dochodzą do mnie echa tej kampanii. Nie biorę sobie tego do serca. Słowem – sływa to po mnie jak woda.

CHUDZIŃSKI: Trzeba mieć jednak dużą odporność, żeby tej konfrontacji sprostać. Czy tak odzywa się natura żywieckiego górala?

PIERONEK: Zakopiańczycy powiedzieliby – co to za góral?

CHUDZIŃSKI: Ale ojciec Księdza Biskupa zakładał przed wojną oddział Związku Podhalan w Żywcu!

PIERONEK: Prawda! Zakładał i na pewno mam w swoich genach coś „góralskiego”, co się objawia także w charakterze. Zdarza się, że miewam swoje zdanie i jeśli uważam, że jest uzasadnione, to nie mam zwyczaju się z niego, pod jakimś naciskiem, wycofywać. Ojciec był na pewno człowiekiem niezwykle rzetelnym, ciężko pracował na dom, bo utrzymanie dziesięciorga dzieci to sprawa niełatwa. Przeszedł też wiele w życiu. W czasie Wielkiej Wojny, jak ją potem nazwano, wstąpił do Legionów i w 1916 r. trafił do rosyjskiej niewoli. Wrócił z Rosji z Żytomierza, po dwóch latach. Buty miał na nogach, a jakże, tyle że bez podeszw.

Specjalnej „twardości” w nim nie widziałem, bo w sporach sąsiedzkich zawsze umiał sprawę załagodzić.

Był przy tym człowiekiem pióra, kronikarzem. Część jego zapisków została wydana, część pozostała w rękopisie, ale jest tam mnóstwo ciekawych szczegółów. Pieronkowie udzielali się społecznie, m.in. w miejscowym kółku rolniczym...

FILIP RATKOWSKI: Ksiądz Biskup też ma naturę społecznika?

PIERONEK: Cała moja rodzina miała społecznikowskie zacięcie. W Radziechowach zwykle, w tamtych czasach, rządził jakiś Pieronek, albo przynajmniej był sekretarzem gminy. I kiedy kolejny Pieronek wybrany został na stanowisko wójta, to specjalnie pisał „za wielką wodę” do mojego stryja, który już urządził się w Ameryce, żeby wracał szybko, bo potrzebuje sekretarza. A swoją drogą, nie wyszło to stryjowi na dobre, bo wkrótce wybuchła wojna. Austria go zmobilizowała i zginął na froncie, pod Gorlicami. Zresztą, „za chlebem” wyjechało tam trzech braci mojego ojca. Dwóch zostało na stałe i, nie powiem, urządzili się nieźle. Józef był tradycjonalistą, nie uczył się nawet angielskiego póki mógł, a Paweł przeciwnie – szybko opanował język, dzieci posłał do miejscowej szkoły, a potem na uczelnie, sam założył duży zakład fotograficzny.

PAWEŁ SĘKOWSKI: Ojciec Księdza Biskupa był przed wojną związany z obozem sanacyjnym. Jednak gdzieś wyczytałem, że po wojnie działał w mikołajczykowskim PSL. Czy zatem był związany także z ruchem ludowym?

PIERONEK: Ojciec, jak to legionista, długo był pod urokiem Piłsudskiego. Należał nawet do BBWR, ale po śmierci Marszałka i w okresie strajków chłopskich w końcu lat 30. diametralnie zmienił zdanie.

CHUDZIŃSKI: Nawet w czasach PRL nie wyzbył się społecznikowskiej pasji. Za to brat Księdza Biskupa trafił po wojnie do więzienia za politykę.

PIERONEK: To była śmieszna, jak na dzisiejsze standardy, historia, tyle że o groźnych skutkach. Z „Zachodu” wróciło do wsi dwóch chłopaków w battle dressach z napisem „Poland” na ramieniu. Ogromnie zadawali szyku i szybko skrzyknęli kilku chłopaków pod antykomunistyczne hasła. Napisali nawet polityczną „deklarację”, przez kalkę, żeby był egzemplarz dla każdego i ta kalka stała się dla UB dowodem przestępstwa! Inicjator dostał bodaj dziesięć lat, mój brat Mieczysław odsiedział trzy lata w ciężkich więzieniach, m.in. we Wronkach.

CHUDZIŃSKI: Ma więc Ksiądz Biskup w rodzinie „żołnierza wyklętego”!

PIERONEK: Mam sporo dystansu do tych tytułów. Nie wszystkim z tych obecnie wynoszonych na pomniki to by się należało...

RATKOWSKI: Chciałbym spytać o to, jak się zostaje księdzem, tzn. jak to wyglądało w przypadku przyszłego biskupa?

PIERONEK: Trudno powiedzieć. Zawsze wiedziałem, że będę księdzem. Zresztą moja niedawno zmarła siostra też wybrała podobną drogę i wstąpiła do Felicjanek. Brat mojej matki był księdzem, między innymi katechetą w gimnazjum w Chrzanowie. Uczniowie go ceniłi, szanowali, nawet któryś, pełniący funkcję w rządzie PRL, bywał potem u niego. Wujek miał wielki wpływ na moje wychowanie. W czasie niemieckiej okupacji, kiedy Żywiecczynę Niemcy przyłączyli do Reichu, całą naszą rodzinę, nie rokującą szansy na zniesienie, wysiedlono. Spośród dziesięciorga rodzeństwa – jedna siostra już zmarła – które z rodzicami wysiedlono na Podlasie, mnie z bratem wysłano wcześniej do Kęt, gdzie właśnie wuj objął probostwo. Była tam też z dwoma synami nasza ciocia, żona oficera Korpusu Ochrony Pogranicza, który siedział w oflagu. Ciocia była nauczycielką i prowadziła tajne komplety. Przychodziły też do niej dzieci z miasta, z zachowaniem wszelkich zasad konspiracji. Przygotowała mnie dobrze, bo kiedy po wojnie poszedłem do szkoły, z racji wieku trafiłem do czwartej klasy, ale od razu przesunięto mnie do piątej. Miało to potem pewne skutki, bo byłem o rok za młody, kiedy trzeba było podejmować życiowe decyzje. Z tego powodu coś mi się przesuwało w czasie – choćby święcenia kapłańskie.

Po maturze poszedłem więc na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale w 1954 roku ostatecznie ów wydział zlikwidowano. Kilku wykładowców przeniesiono do Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie, a ja i reszta kolegów kończyliśmy studia w „prywatnej atmosferze” krakowskiego Wyższego Seminarium Duchownego. Nasze dyplomy władza ludowa uznała dopiero krótko przed przełomem 1989 r.

SEKOWSKI: Ale to nie był przecież koniec studiów?

PIERONEK: W 1956 roku, kiedy moi koledzy z roku mieli święcenia kapłańskie, a ja jeszcze nie, wezwał mnie pewnego wieczora biskup Franciszek Jop, który jako wikariusz generalny zarządzał archidiecezją w czasie, gdy arcybiskupowi Eugeniuszowi Baziakowi na mocy

decyzji władz PRL nie wolno było przebywać w Krakowie. Powiedział mi, że powinienem studiować dalej, że mam zamiłowanie i zadatki na historyka, ale Kościół bardziej potrzebuje prawników. – Dlatego – powiedział – pojedziesz jutro do Lublina! Dał mi pieniądze na drogę i już następnego dnia byłem na Wydziale Prawa Kanonicznego Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, gdzie spędziłem kolejne trzy lata.

W październiku 1957 roku, kiedy wiek miałem już po temu, otrzymałem święcenia i wkrótce, jeszcze w trakcie studiów, wysłano mnie do Białej, dziś to część miasta Bielsko-Biała, jako wikariusza. Studiów oczywiście nie przerwałem i przygotowywałem moją pracę magisterską o strukturze prawnej kapituły kościoła Św. Anny w Krakowie.

SEKOWSKI: A potem przyszedł czas na Rzym?

PIERONEK: Wcześniej przydałem się w Krakowie. Mianowano mnie notariuszem Kurii, dostałem też funkcję „obrońcy węzła małżeńskiego” w sądzie konsystorskim, którego oficjałem był ks. Bogdan Niemczewski, o wspa- niałej, niemal książęcej prezencji.

I to w okresie, gdy pracowałem w Kurii, przyjechali ze Stanów moi stryjowie i wprost zaproponowali pomoc finansową w kontynuacji moich studiów. Uważali, że stać mnie na więcej. Poszedłem więc, pomijając drogę służbową, do arcybiskupa Baziaka, który był człowiekiem ogromnie życzliwym i przystępnym. – Jeśli chcesz, jedź do Rzymu – powiedział – ale nie za pieniądze rodziny! Dostaniesz stypendium. Był to odruch szlachetny, ale dla mnie oznaczał stratę, bo nie trafiłem do amerykańskiego domu studenckiego w Rzymie, gdzie warunki były o niebo lepsze niż w polskim...

RATKOWSKI: Abp. Baziak obawiał się, że Księdza skaperuje Kościół amerykański?

PIERONEK: Raczej chodziło o to, bym w dalszym ciągu zajmował się prawem kanonicznym i rzeczywiście podjąłem trzyletnie studia w Rocie Rzymskiej – był to rodzaj praktyki przy najwyższym trybunale Kościoła. Zdobylem tam tytuł adwokata Roty Rzymskiej. Równolegle studiowałem prawo cywilne na Lateranum.

RATKOWSKI: Ale osobą Księdza byli zainteresowani nie tylko Amerykanie...

PIERONEK: I z tym się wiąże pewien obiektywnie interesujący, choć dla mnie bardzo niemiły epizod. Gdy zacząłem myśleć o wyjeździe do stryjów w USA, którzy obiecali to wsparcie, spotkałem u wuja-księdza, wtedy znów mieszkającego w Chrzanowie, profesora Mariana Iwanek, wykładowcę prawa międzynarodowego na UJ. Rozmawialiśmy o trudnościach paszportowych i on powiedział: – Składaj podanie, apotem zobaczymy. Mam tam jakieś znajomego, spróbuję pomóc.

A co mi tam? Złożyłem podanie i odbyła się rozmowa. Najpierw zdawkowa, potem o Polonii w USA, że jak wyjadę, to będę opowiadał, że w Polsce nie ma wolności... Na to zacytowałem Marksa, że „wolność to uświadomiona konieczność”, czego z nauk społecznych, jeszcze w seminarium, nauczył nas Wojtyła. Funkcjonariusz zrozumiał to jako zgodę i dał paszport pod warunkiem, że jakby co, to opowiem po powrocie coś może ciekawego? Nie spodziewałem się żadnych „interesujących” rozmów, ale się nie spierałem. Nie było to zresztą miejsce na szczerą rozmowę.

Pojechałem więc do stryjów do USA, a potem do Rzymu, choć paszport mnie w tej sprawie ograniczał



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

i teoretycznie powinienem wracać prosto do Polski. Zameldowałem się więc w konsulacie i po kilku miesiącach odwiedził mnie smutny pan, który interesował się tym, co tu w Rzymie robisz? Powiedziałem mu, że studiuję prawo i poinformowałem go jak wygląda procedura orzeczenia nieważności małżeństwa w sądach kościelnych. Jakiś czas miałem spokój. Smutni panowie zapraszali zresztą na rozmowę wszystkich Polaków z Instytutu przy via Pietro Cavallini, ale jednego w specjalnej intencji, o czym później, już w Polsce, dowiedziałem się zupełnie przypadkowo.

W tym czasie zmarł abp. Baziak i archidiecezję objął bp. Karol Wojtyła. Przyjechał, oczywiście do Rzymu na sobór i przy okazji wziął mnie na przechadzkę po via della Conciliazione, między mostem Św. Anioła a placem Św. Piotra. Pytał, jak mi się wiedzie. Choć stypendium było cienkie, nie miałem powodu do narzekań. Wojtyła wysłuchał, co mam do powiedzenia o pracy w Rocie, docenił, ale uznał, że bardziej mu się przydam jako wykładowca w kraju i polecił mi zrobić habilitację.

Skontaktowałem się więc z jednym z moich profesorów z KUL-u i ten zaproponował mi temat fascynujący – opracowanie instytucji prawnej, odnoszącej się do stanu rzeczy osądzonej, *Res iudicata*. Temat morze, w którym można utonąć. Na szczęście na Gregorianum, jezuickim uniwersytecie w Rzymie, spotkałem Hiszpana, ks. prof. Gordona, który przytomnie poradził mi, bym wybrał z tego jakiś sensowny fragment. Tak też zrobiłem, wybierając temat „*Res iudicata*” – w *stosunku do małżeństwa kanonicznego w ujęciu historycznym*.

RATKOWSKI: Jaki kontakt miał wtedy młody ksiądz z arcybiskupem Wojtyłą? Było jakieś „współmyślenie”?

PIERONEK: Zawsze było. Dobrze się porozumiewałem, to był normalny, dobry człowiek.

RATKOWSKI: A dziś, po śmierci, Jego obraz się zmienia. Urasta do roli ikony wszelkiej maści konserwatystów. Powołują się na niego różni ludzie i nie zawsze w dobrej sprawie.

PIERONEK: Taka Jego ocena jest dla mnie nie do przyjęcia. Był bardzo głębokim i nowoczesnym myślicielem, filozofem i teologiem. Jeżeli przedstawiał i bronił depozytu wiary we współczesnym świecie, to ludzie zarzucający Mu konserwatyzm, po prostu nie wiedzą o czym mówią, określając kategoriami ideologicznymi to, czego tymi kategoriami nie da się wyrazić. Jego słowa są z reguły wyrywane z kontekstu, często się ich nadużywa. Raz, w początkach pontyfikatu, powiedział coś o Radiu Maryja – że się cieszy, że powstało i że modli się z ludźmi i teraz to jedno zdanie powtarzane jest setki razy. Używa się go jako propagandowego narzędzia.

Ojciec Święty miał w sobie coś bardzo naturalnego i tajemniczego zarazem. Kiedy Go wybrali, na placu Św. Piotra był akurat jeden z arcybiskupów polskich i kiedy go zapytano, kto to taki ten Wojtyła, powiedział tylko: „A, to taki filozof!”

My wszyscy, nawet bardzo blisko z nim obcując, nie wiedzieliśmy, czy nie wyczuwaliśmy wielu rzeczy, które potem się okazały. Odwiedzało go mnóstwo ludzi, których umiał słuchać. Miał wręcz fantastyczny dar i umiejętność słuchania, był bardzo tolerancyjny i powiedziałbym – delikatny. Jednak każde Jego słowo miało swoją wagę. Pamiętam, jak byliśmy kiedyś na wycieczce w Apeninach i zapaliłem fajkę. Spojrzał z ukosa i powiedział tylko: – głupota! Nie od razu, ale jednak przeszła mi ochota na palenie.

Podczas pobytu w Rzymie miałem możliwość śledzić obrady Soboru Watykańskiego. Oczywiście z zewnątrz. Arcybiskup Wojtyła brał w nim czynny udział, wypowiadając się w kilku kluczowych sprawach Kościoła. Kiedyś, przy okazji wezwał mnie do siebie i powiedział: – Wiem, że chciałbyś tu jeszcze posiedzieć, ale potrzebuję wykładowcy prawa kanonicznego już dziś! Wracaj do Polski... Ale co chciałbyś za to? A ja odruchowo rzuciłem: – Jak Ksiądz Arcybiskup zostanie kardynałem, to na wyprawę do Rzymu „po kapelusz” weźmie mnie ze sobą! – Zgoda – potwierdził i za dwa lata tak też się stało. Potem zabierał mnie wielokrotnie ze sobą na wyjazdy do Rzymu, bo znałem język włoski. Trwało to gdzieś do roku 1976. Częściej towarzyszył Mu Jego kapelan, ks. Stanisław Dziwisz.

SEKOWSKI: Wtedy jeszcze wielki wpływ na działania Kościoła w Polsce wywierał kardynał Wyszyński. A to był inny Kościół niż ten reprezentowany przez Wojtyłę.

PIERONEK: Tak, Wojtyła inaczej widział wiele rzeczy, ale nigdy nie wypowiedział się o kardynale Wyszyńskim krytycznie. Tylko raz, pamiętam, przy jakiejś okazji w Castel Gandolfo, wspomniał o sprawie, która w relacjach z Wyszyńskim Go różniła. Była to kwestia Wydziału Teologicznego w Krakowie. Wyszyński miał wizję „Kościół ludowy” i dwa wydziały teologiczne w Polsce mu wystarczyły. Dziś mamy takich wydziałów w Polsce kilkanaście. Prymas miał też inną intuicję papieżstwa, co się okazało w jego rozmowie z kardynałem Koenigiem z Wiednia, w której tenże dał do zrozumienia, że przy kolejnych zmianach na tronie Piotrowym powinien to miejsce zająć ktoś z Europy Środkowej, może z Polski? Wyszyński rozumiał najpierw, że chodzi o niego i następnie słowo Koeniga: Wojtyła – pozostawiło w jego świadomości rozczarowanie.

RATKOWSKI: Wiadomo też, że Wyszyński nie bardzo chciał, by archidiecezję krakowską objął Wojtyła. Miał dwóch innych kandydatów, a ówczesny I sekretarz KW PZPR, z którym uzgadniano takie obsady - Lucjan Motyka, nie chciał się na nich zgodzić. Zgodził się dopiero na Wojtyłę, którego znał z czasów swojej działalności w PPS-WRN za okupacji.

PIERONEK: Tego nie wiem. Wiem natomiast, że pierwszym biskupem mianowanym bez jakiegokolwiek konsultacji z władzami był wyniesiony na krakowską archidiecezję przez Jana Pawła II, Franciszek Macharski.

CHUDZIŃSKI: A tymczasem Ksiądz Biskup realizuje swą drogę naukową. Habilitacja została przeprowadzona w Warszawie?

PIERONEK: Tak, a przedtem przez dziewięć lat byłem w tejże Akademii Teologii Katolickiej asystentem i adiunktem...

CHUDZIŃSKI: ...i to wystarczyło, żeby zostać sekretarzem generalnym Konferencji Episkopatu?

PIERONEK: Oczywiście, że nie! W jakimś momencie, w 1992 roku, zostałem mianowany biskupem pomocniczym w Sosnowcu, u boku bp. Adama Śmigielskiego i 26 kwietnia zostałem w Rzymie konsekrowany przez Jana Pawła II. Tymczasem już 2 maja zostałem wybrany zastępcą Sekretarza Generalnego Konferencji Episkopatu. W samym Sosnowcu spałem bodaj dwie noce, ks. biskup zlecał mi wizytowanie parafii, co też kłóciło się z moimi warszawskimi obowiązkami. Musiałem z Sosnowca zrezygnować.

RATKOWSKI: Formalnie o tych nowych zadaniach decydował oczywiście Rzym, ale ile w tym było wpływu czynników, powiedzmy, krajowych, a ile samego papieża?

PIERONEK: Oczywiście papież Jan Paweł II miał doskonałe rozeznanie sytuacji w kraju i zapewne jego pogląd zdecydował.

CHUDZIŃSKI: To na czas sprawowania przez Księdza Biskupa funkcji sekretarza przypadły ważne negocjacje Kościoła z władzami. Choćby kwestia konkordatu...

PIERONEK: Miałem dobrą szkołę w Krakowie za czasów Wojtyły. Mam na myśli trwający siedem lat synod krakowski, zwany „duszpasterskim”, zakończony w czasie pielgrzymki JP II i prowincjalny, trwający 5 lat, a potem był synod plenarny w Warszawie, który się nie udał, ponieważ biskupi nie wykorzystali tej okazji, nie przyłożyli się do pracy chyba dlatego, że byli przekonani o pilnej potrzebie zajęcia się problemami posługi w powierzonych im diecezjach.

Jako prawnik i organizator miałem pewne przygotowanie do nowej funkcji, przy tym abp. Glemp mnie znał z Lateranum, gdzie robił doktorat „obojsza praw”. Studiowaliśmy razem, ale z chwilą, gdy został prymasem, stworzył znaczący dystans do kolegów i już nie pojawiał się na przykład na dorocznych spotkaniach „Rzymian” w Łodzi u bp. Ziółka.

Nie miałem łatwego życia w sekretariacie. Byłem zastępcą ks. abp. Bronisława Dąbrowskiego, a spadło na mnie mnóstwo pracy. Zastałem sekretariat w sytuacji niemal śmiertelnej zapaści tak pod względem kadrowym, jak i lokalowym. Siostry, które tam pracowały, nie były ubezpieczone, nie miały zabezpieczonej emerytury, a z drugiej strony nie były przygotowane do działania w warunkach nowoczesnego biura. Nie można się było obejść bez komputerów, a i zadania w warunkach nowych relacji państwa z Kościołem były odmienne.

Powstał też problem budowy nowej siedziby. Stosunkowo niedawno przekazany Konferencji Episkopatu budynek był przykładem myślenia architektonicznego rodem z PRL i nie nadawał się do naszych celów. To było swego rodzaju połączenie biura z hotelem, więc ostatecznie zdecydowano, że zostanie wynajęty. Akurat Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji nie miała się gdzie podziać i w naszym budynku przy skwerze Kard. Wyszyńskiego urzęduje do dziś. Dodam, że nie płaci wiele.

SEKOWSKI: Sprawą pierwszoplanową była zapewne kwestia konkordatu, a samo zawarcie tej umowy jest dziś kwestionowane z wielu stron. Przypomnijmy, że rządy PRL konkordatu z 1925 roku nie uznawały, zaś Watykan – wbrew jego postanowieniom – włączył w 1939 r. część prowincji polskich pod jurysdykcję biskupów niemieckich. Dopiero w 1972 roku Stolica Apostolska cofnęła też swoje *agreement* dla ambasadora polskiego rządu emigracyjnego, nie uznawanego niemal nigdzie na świecie od dziesięcioleci.

PIERONEK: Ta sprawa była prostowana już za czasów Gomułki. Utworzono administracje apostolskie we Wrocławiu, Gdańsku, Gorzowie Wielkopolskim, Opolu i Olsztynie, a w 1964 r. – po śmierci biskupa Karola Spletta – przywrócona została diecezja gdańska. Rozmowy konkordatowe trwały długo. Za czasów rządu Mazowieckiego rozpoczął je minister Skubiszewski, a stronę kościelną w komisji konkordatowej reprezentował nun-

cjusz apostolski, abp Józef Kowalczyk we współpracy z członkami komisji w której uczestniczyli abp Dąbrowski, bp. Orszulik, ja i kilku prawników. Trzeba podkreślić, że Kościół nigdy z państwem nie był jednością i zawsze w historii dochodziło do sporów, w których każda ze stron chciała być silniejsza.

CHUDZIŃSKI: A przy tym warto pamiętać, że Kościół jest instytucją ponadnarodową.

PIERONEK: To w tej kwestii nie była sprawa drugorzędna. Istotną sprawą było też to, by konkordat nie promował ani państwa wyznaniowego, ani ateistycznego. Trzeba było sięgnąć do nowych rozwiązań.

SEKOWSKI: I tu dotykamy pytania o stosunki państwo – Kościół w PRL. Te oceny nie mogą być jednoznaczne. Przecież nie była to uporczywa walka całego narodu, z Kościołem na czele, przeciw złej władzy. Mielśmy zmianę kursu wobec Kościoła po 1956 roku i apel prymasa Wyszyńskiego o masowy udział w wyborach rok później, było nowe otwarcie w czasach Gierka, Kościół tonujący nastroje w stanie wojennym i wreszcie poprawne relacje między Jaruzelskim a Janem Pawłem II.

PIERONEK: Założeniem Polski Ludowej było zniszczenie Kościoła. To dla mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości. Początkowo, do 1956 roku, ta walka przybrała formę drastyczną i zmierzała do fizycznego unicestwienia. W dalszych latach władze stosowały konsekwentnie terror administracyjny wobec Kościoła.

CHUDZIŃSKI: Ale tuż po wojnie prezydent Bierut nad kardynałem Hlondem nosił baldachim podczas procesji Bożego Ciała.

PIERONEK: Mamy wszyscy świadomość, że był to sposób wnikięcia nowej władzy w tkankę społeczną. Nie można było używać tylko karabinu, w dodatku na masową skalę. Jednak Kościół nie mógł przecież uwiarygodnić sfałszowanego referendum czy fałszowanych wyborów, a także grabieży kościelnego majątku na skalę znacznie większą niż pozwalało na to PRL-owskie prawo. Bolesną sprawą dla Kościoła było wyrzucenie religii ze szkół. W praktyce bezpowrotnie, choć owszem, przez kilka lat po 1956 r. było miejsce w szkołach dla katechetów. Popaździernikowe obietnice zostały jednak bardzo szybko złamane.

CHUDZIŃSKI: Nie tylko te dane Kościołowi. Także wiele istotnych zobowiązań Gomułki wobec społeczeństwa, wobec środowisk twórczych... A jednak Polska już nie wróciła do tzw. okresu błędów i wypażeń, zwłaszcza do praktyk stalinowskich, co łatwo sprawdzić, porównując sytuację w PRL i innych krajach „obozu socjalistycznego”.

PIERONEK: Państwo zawsze chciało mieć możliwie pełną kontrolę nad Kościołem. Każda nominacja, nawet na wikarego, musiała być zatwierdzana przez władze. Nie strzelano do księży, ale szykany administracyjne stosowano na szeroką skalę. Nie można było księdza zameldować bez zgody urzędnika, blokowano budowanie kościołów. Ale niekiedy udawało się, jak w Ciścu pod Węgierską Górką, zbudować kościół w ciągu jednej nocy, stawiając władzę przed faktem dokonanym!

CHUDZIŃSKI: Czy relacje państwo – Kościół w PRL można opisać za pomocą takich pojęć jak koegzystencja, konfrontacja, współpraca?

PIERONEK: O żadnej współpracy z władzami PRL nie można mówić! Cały czas trwała konfrontacja.

SEKOWSKI: A co z koegzystencją?

PIERONEK: Tak zwana koegzystencja mogła być chwilowym efektem obietnic, które mogły obowiązywać rok, dwa, kilka miesięcy... Oczywiście po 1956 r. nie umieszczano nikogo w obozach. Nie było fizycznych represji, ale były przecież karne kompanie w Czerwonym Borze dla powoływanych do wojska kleryków. No i kto rządził Kościołem? Urzędy ds. Wyznań na szczeblu rządowym, wojewódzkim i powiatowym.

RATKOWSKI: Urzędy te rzeczywiście próbowały „rządzić” Kościołem, ale wiemy, że z bardzo mierzalnym skutkiem. Akcja „księży patriotów” z czasów stalinizmu, budowana na wzór rosyjskiej cerkwi prawosławnej, skończyła się szybko i niechlubnie, a po ponownym usunięciu religii ze szkół punkty katechetyczne przy parafiach funkcjonowały bez przeszkód.

PIERONEK: Trzeba było takie salki najpierw zbudować, a tolerancja dla tych inicjatyw ze strony państwa nie była efektem polityki, jak panowie mówicie, „koegzystencji”, tylko skutkiem nacisku społecznego. Nie zapominał też, że wobec członków PZPR, którzy chodzili do kościoła, wyciągano konsekwencje.

RATKOWSKI: Sankcje stosowano głównie wobec tzw. aparatu. Znam przypadek, kiedy człowiek przestał być dyrektorem, bo jego córka wzięła ślub kościelny, co zresztą okazało się nieprawdą. A zwykli członkowie ateistycznej w teorii PZPR spowiadali się... w sąsiedniej parafii! Bez żadnych konsekwencji.

PIERONEK: Nie mogę pogodzić się z tezą, że państwo w czasach PRL było w jakikolwiek sposób przyjazne Kościołowi. Przecież nawet wizyty papieża-Polaka w ojczyźnie napotykały na liczne przeszkody. Mielśmy oczywiście świadomość, że Gierek był pod silnym naciskiem ZSRR i osobiście Breżniewa, ale skutki tej zależności odczuwaliśmy wszyscy.

RATKOWSKI: W 1962 roku do Watykanu „pielgrzymował” członek Rady Państwa PRL Jerzy Zawieyski, ale dopiero doświadczony watykański dyplomata, prałat Luigi Poggi, który został nuncjuszem do spraw krajów z obszaru wpływów ZSRR, w 1975 r. nawiązał stały kontakt z władzami PRL.

PIERONEK: Dopiero w połowie lat 80., niemal dziesięć lat po pamiętnym konklawe z 1978 r., kiedy na tron Piotrowy wstąpił Wojtyła, zaczęły się rozmowy z władzami PRL prowadzone bardziej serio. Rzeczywiście przyjeżdżał do Polski prałat Poggi, potem sekretarz stanu Agostino Casaroli, także obecni byli w Watykanie przez dobrych parę lat przedstawiciele PRL. Nieoficjalnie. Polskie władze przygotowały nawet projekt konkordatu. Te propozycje zostały przesłane do Stolicy Apostolskiej, ale nie one stały się podstawą dyskusji o konkordacie. Podstawą stał się dopiero tekst przygotowany przez Skubiszewskiego i jego ekipę.

SEKOWSKI: Bez wątplenia w tej walce ideologicznej istniała obustronna chęć poszukiwania normalizacji. Także ze strony władzy. Ostatecznie doprowadziło to do obrad Okrągłego Stołu, w których władza postrzegająca Kościół nie jako przeciwnika, ale jako rozjemcę w sporach z opozycją!

PIERONEK: Skoro Kościół został zaproszony i to przez obydwie strony, nie mógł się uchylić! Na pewno było w tym dążenie do uniknięcia konfrontacji, szczególnie że to w rękach ówczesnej władzy były karabiny,

a za granicą, to dla mnie nie ulegało wątpliwości, stały gotowe dywizje. Kościół ma zawsze obowiązek łączyć, a nie dzielić!

CHUDZIŃSKI: A dziś nie brakuje głosów na prawicy, że Kościół przyczynił się do tej, jak powiadają, Targowicy!

PIERONEK: Panowie! Mam już swoje lata i widzę te rzeczy niejako „organicznie”. Co można było wtedy, w 1989 roku zrobić? Wojska rosyjskie były przecież w Polsce, a jakie mogły być skutki pójścia drogą konfrontacji, to widzieliśmy na Węgrzech w 1956 r., w Czechosłowacji w 1968 r. Zachętą do szukania kompromisu była nowa sytuacja w ZSRR i Gorbaczow.

SEKOWSKI: Ale ówczesne zachowanie Kościoła jest dzisiaj inaczej interpretowane w samym episkopacie! Mówi się, że do porozumienia doszli „czerwoni” z „różowymi”, a Kościół nie brał w tym udziału.

PIERONEK: Przy Okrągłym Stole Kościół nie dyktował warunków, ale słuchał i wspierał ludzi, którzy mieli jakąś wizję przyszłości, o co w tamtych warunkach nie było łatwo. Kościół zawsze musi być przeciwny przelewowi krwi!

CHUDZIŃSKI: Czyż nie jest paradoksem dziejowym, że z okresu PRL, mimo tylu nieprzychylnych, a nawet wrogich działań władzy, Kościół ostatecznie wyszedł wzmocniony i znacznie zwiększył stan posiadania, zwłaszcza jeśli chodzi o budownictwo sakralne?

PIERONEK: Jest znana prawda, że gdy się dobrze powodzi, to źle się na tym wychodzi. Chrystus przecież powiedział: „będziecie prześladowani, będą was sądzić, zabijać, ale macie dawać świadectwo”. Pamiętamy też o Soborze Watykańskim II, po którym nastąpiła w Kościele głęboka zmiana. W soborowej konstytucji *Gaudium et spes* jest zapis, że państwo i Kościół to dwie wspólnoty, które są autonomiczne, niezależne, mają się rzadzić swymi prawami, ale mają pracować dla dobra wspólnego rozumianego jako dobro obywateli.

RATKOWSKI: Także obywateli niewierzących czy wierzących inaczej?

PIERONEK: Oczywiście!

RATKOWSKI: W praktyce to jednak różnie wygląda. Powstał w krakowskiej telewizji, przed laty, dokument z cyklu *Małe ojczyzny o podkrakowskiej wsi łuczanoswie. We wszystkich przewodnikach turystycznych odnotowany jest tam Kopiec Luterski – mogiła arian i kalwinów, do której przeniesiono ich prochy w XVIII w. z cmentarza katolickiego. W filmie jest dwóch księży, dworska kaplica, straż pożarna i izba regionalna, ale Kopca zabrakło! A była okazja, by pokazać sławną w świecie „polską tolerancję”!*

PIERONEK: I tu pojawia się też coś, co można by nazwać kwestią otwartości, budowaniem kontaktów z różnymi ludźmi. Kiedy pełniłem funkcję sekretarza Konferencji Episkopatu, miałem zawsze przy sobie telefon i jeżeli to było tylko możliwe, starałem się odpowiadać na różne pytania, przede wszystkim na pytania dziennikarzy. Po to zresztą byłem, bo nie mieliśmy wtedy rzecznika Konferencji Episkopatu, a wszystkie informacje zbiegały się i tak w moim ręku. Nie było to jednak dobrze widziane i sądzę, że ta moja otwartość, medialność, stała się w istocie przyczyną, że nie otrzymałem szansy na drugą kadencję...

SEKOWSKI: W latach 90., kiedy akurat Ksiądz Biskup pełnił ważną funkcję w episkopacie, mieliśmy

okres rządów lewicy – Oleksego, Cimoszewicza oraz prezydenturę Kwaśniewskiego. Jak wówczas układały się stosunki państwo – Kościół? Zresztą jeszcze władze PRL podjęły w 1987 r. z Watykanem rozmowy na temat „konwencji” o równie szerokim zasięgu jak konkordat.

PIERONEK: To ciekawy okres. Wybory czerwcowe w 1989 roku były dla tego środowiska potężną klęską, ale nie ostateczną, bo powstał „parlament kontraktowy”. Powołano komisję konstytucyjną pod kierownictwem Gremka i toczyła się wokół tego ostra dyskusja. Ale gdy dochodziło do konkretnych głosowań, to 65 proc. stanowiło PZPR, ZSL i SD i głosowało wspólnie. Proszę zresztą nie traktować tego jako jakiejś osobistej urazy. Z wieloma ludźmi z SLD do dziś mam dobre kontakty.

CHUDZIŃSKI: Jednak wszystkie ustawy zmieniające ustrój gospodarczy sejm kontraktowy przegłosowywał niemal jednogłośnie. Zresztą jeszcze w PRL-u powstała Komisja Wspólna, której kontrowersyjnym decyzjom Kościół zawdzięcza zwrot mienia nie zawsze należnego.

PIERONEK: Jak pamiętam, w 1991 roku Wałęsa prosił mnie, bym przedstawił katolickie postulaty konstytucyjne, na co uzyskałem zgodę Księdza Prymasa. Był taki dokument sformułowany jeszcze za bpa Choromańskiego, zanim projekt Konwencji przedstawił 25 października 1991 r. nuncjusz, abp. Kowalczyk, ale rzecz się odwlekła, bo jesienią 1991 r. odbyły się w Polsce pierwsze wolne wybory, potem zmieniały się rządy i ostatecznie konkordat został podpisany w lipcu 1993 roku.

RATKOWSKI: I tu powstał problem, bo po wyborach lewicowa większość uważała, że Suchocka, kierując rządem bez zaplecza sejmowego, podjęła zbyt daleko idącą decyzję.

PIERONEK: Pani premier Suchocka miała takie uprawnienia, ale rzeczywiście, zaczęło się mnożenie pytań, uwag, problemów w bzdurnych sprawach. Stolica Apostolska stała na stanowisku, że umowa podpisana nie może być zmieniona i pozostaje tylko ratyfikacja dokumentu przez prezydenta. Ostatecznie zdecydowano, że dodatkowe uwagi i interpretacje zostaną dołączone do konkordatu jako odrębny dokument. Owszem, są w Dzienniku Ustaw takie glosy do konkordatu, ale i tak nikt do nich nie sięga. Okazały się niepotrzebne. Lewicowe rządy upierały się jednak do końca i do ratyfikacji przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego doszło dopiero w początkach 1998 roku., gdy po jesiennych wyborach do władzy doszła Akcja Wyborcza Solidarność.

CHUDZIŃSKI: Często podnoszone jest pytanie, czy we współczesnym świecie umowa w formie konkordatu jest przydatna?

PIERONEK: Rzeczywiście, konkordat Polski ze Stolicą Apostolską był pierwszym takim dokumentem, po wielu latach, bodaj od II wojny światowej, ale potem zdecydowały się na to inne państwa i papież podpisał co najmniej sto takich umów! Mamy satysfakcję, że Polska była pierwsza. Warto przypomnieć, że umowy państw ze Stolicą Apostolską są normalnym środkiem układania wzajemnych stosunków. Każdy głos domagający się zerwania konkordatu musi być traktowany jako wezwanie do walki. Konkordaty służą pokojowi, a nie walce.

CHUDZIŃSKI: I tak dochodzimy do gorących tematów współczesności. Jeśli, jak twierdzi Ksiądz Bi-

skup, w PRL trwała nieustanna konfrontacja państwa z Kościołem, jeśli w III RP z rządami lewicy udawało się osiągnąć trudną koegzystencję, to logika by podpowiadała, że teraz mamy pełnię szczęścia, bo rządzi prawica, która realizuje przymierze tronu z ołtarzem...

PIERONEK: Współpraca obecnej prawicy z Kościołem wygląda tak, że ksiądz wychodzi na mszę, a politycy ogonem dzwonią. Katolicyzm tych polityków jest absolutnie nieautentyczny i każdy zauważy, że posługują się Kościołem jako narzędziem. Rząd ciągle liczy na to, że im jest bliżej ołtarza, tym więcej będzie miał zwolenników. W praktyce jednak dostrzega dobrze tylko tych wiernych, którzy są ich zwolennikami. Innym nie jest przychylny. I tak np., gdy ks. prymas Wojciech Polak organizuje w Gnieźnie po raz jedenasty sesję nt. aktualnej sytuacji w Europie, to państwo polskie, mimo prób, nie daje ani grosza. Kiedy w Krakowie Uniwersytet Papieski Jana Pawła II organizuje już osiemnąstą z rzędu, doroczną międzynarodową konferencję, poświęconą roli Kościoła katolickiego w procesie integracji europejskiej, to od czasu dojścia do władzy w Polsce tzw. „dobrej zmiany”, mimo zaproszeń nie pojawił się na niej żaden przedstawiciel władzy. Dotąd wszyscy prezydenci Polski na tych spotkaniach już byli, wszyscy sekretarze stanu Stolicy Apostolskiej, wszyscy przewodniczący Parlamentu Europejskiego, dziesiątki posłów parlamentu.

RATKOWSKI: A ja odnoszę wrażenie, że nasz rząd nie przepada za Kościołem powszechnym, tylko chciałby mieć – między Bugiem a Odrą – swój własny „Kościół narodowy”

PIERONEK: Jeśli nasi proboszczowie i biskupi jeszcze bardziej zbliżą się do „narodowców”, to powstanie zjawisko dla Kościoła bardzo groźne – powstanie kościół „partyjny”, a że tak się dzieje, nie trzeba specjalnych dowodów. To widać. Dla Kościoła partyjne zaangażowanie jest ogromnym niebezpieczeństwem, szczególnie dziś, gdy Polacy są tak głęboko podzieleni – niemal dokładnie na pół!

RATKOWSKI: Tymczasem żyjemy w globalnym świecie: internetu, telewizji, wielu religii, kontaktów międzynarodowych. W Polsce katolicyzm zamyka się na ten świat...

PIERONEK: Księża i zakony są od tego, żeby pomóc ten świat zrozumieć, a katolicyzm uczynić otwartym. Faktem jest, że każdy usiłuje ten świat opisywać na swoją modłę. Ja w moim życiu doświadczałem tego już kilkakrotnie. W szkole średniej w roli bóstwa występował Stalin, potem był okres Gomułki, a teraz mamy do czynienia także z dramatycznym zafałszowywaniem historii. Ani II RP nie była tak świetlana, jak to się dziś niektórym wydaje, ani PRL nie była tak czarna, jak ją przedstawiają, a o zawłaszczaniu „Solidarności” szkoda gadać. I w tych manipulacjach powołują się na religię i Kościół, który traktują instrumentalnie! Skrajności są najbardziej niebezpieczne – zarówno państwo wyznaniowe i państwo wojującego ateizmu.

CHUDZIŃSKI: Przed wojną szacowano, że 70 procent duchowieństwa popierało endecję. Czy obecna władza może liczyć wśród kleru na podobną skalę poparcia?

PIERONEK: Myślę, że, niestety, tak. Jest znaczna liczba księży, który rozumują takimi uproszczonymi, w gruncie rzeczy archaicznymi kategoriami. Księża,

o których można powiedzieć, że są „otwarcy”, uznawani są przez współbraci niemal za heretyków. I trzeba powiedzieć otwarcie – wielu księży w Polsce patrzy z ukosa na papieża Franciszka.

SĘKOWSKI: A przecież postawa otwarta to właśnie bodaj najważniejsze dziedzictwo, jakie Kościołowi zostawił papież-Polak i większość obecnych biskupów sakrę przyjmowało za jego pontyfikatu. Powinni więc rozumieć jego nauczanie...

PIERONEK: Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, bo choć mam do tego prawo, nie jeżdżę na posiedzenia Konferencji Episkopatu. Szkoda mi czasu. Ale widzę, że na biskupich katedrach zasiadło już nowe pokolenie, w ogromnej większości tych ludzi nie znam i nie zawsze rozumiem, co nimi kieruje.

CHUDZIŃSKI: Gdzie się oni tego PiS-owskiego myślenia nauczyli?

PIERONEK: Na pewno nie od Jana Pawła II. Inna rzecz, że Kościół przeżywa obecnie ciężkie chwile, padają różne zarzuty pod adresem Wojtyły, ale przecież w wielu sprawach papieża wprowadzano w błąd. Mówiłem już: jeden raz powiedział coś o Radiu Maryja, a oni do dziś powtarzają to bez przerwy. Nauczanie Jana Pawła jest ciągle wykoślawiane i efekty tego widać. Dyktaturę już mamy! A konsekwencje tego poznamy niebawem. Najgorszą rzeczą, jaka mogłaby się nam przydarzyć, byłoby wyjście z Unii Europejskiej, której gorącym rzecznikiem był przecież nasz papież. To pamiętamy! Trump nie pomoże Kaczyńskiemu w rozbijaniu Unii, bo przed Amerykanami wybory do Kongresu i wiele wskazuje na to, że republikanie osłabną, a demokraci zawsze byli za mocnymi więzami z Europą. A jeśli ktoś mówi, że Unia Europejska to wspólnota wyimaginowana, z której mamy niewiele pożytku, to... na takie *dictum* ręce opadają.

RATKOWSKI: Mnie na myśl przychodzi „reakcja pogańska” po śmierci Mieszka II! W końcu chrzest Polski to było w owych czasach wejście do Europy, do świata łacińskiej cywilizacji!

PIERONEK: Ustrój, nawet najpiękniej zaprogramowany, nie działa nigdy ściśle wedle reguł, które sobie założył. Ale nie rozumiem tych prawników, którzy zachowują się, jakby wczoraj wyszli z przedszkola, zaprzeczając logice swego zawodu. Jakże można zwykłą ustawą zmieniać konstytucję! Przecież to prawniczy elementarz. Skoro jest określona kadencja sędziego, to nie wolno jej skracać w trakcie trwania. Owszem, można zmienić wiek emerytalny, ale nie tego sędziego, którego kadencja właśnie biegnie. Jestem prawnikiem z doświadczeniem Rzymskiej Roty, wieloletnim wykładowcą prawa na uczelniach polskich i zagranicznych, i widzę gołym okiem, że nasi rządzący nie stosują prawniczego alfabetu. Myślę nawet, że nie udają – oni nie rozumieją podstaw prawa! Nie wiem, czy to ślepotą z wyboru, czy głupotą od urodzenia?

CHUDZIŃSKI: Z tej rozmowy jasno wynika, do jakiej formacji duchowej i intelektualnej w polskim Kościele Księdzu Biskupowi najbliższej. Czy jednak to nie był strategiczny błąd, że przedstawiano „naszego papieża” tak jednowymiarowo, wręcz apologetycznie. Dziś każda skaza na jego wizerunku dla wiernych w Polsce jest niezrozumiała. Czy pewne środowiska kościelne nie mają sobie tu czegoś do zarzucenia?

PIERONEK: Czy my w Polsce nie jesteśmy w stanie cieszyć się i chlubić największym z Polaków, jakim był

święty papież Jan Paweł II? Każdą świętość potrafimy opłuć. To niebywałe! Po śmierci Jana Pawła II napisałem krótki tekst do „Gazety Wyborczej”, w którym postawiłem tezę, że Polska, owszem słuchała, ale w istocie nie usłyszała papieża, bo nikt się jego nauczaniem naprawdę nie przejął. Ani episkopat, ani wierni. Nastąpił jakiś rozdział między tym, co w kraju, na „naszej wsi spokojnej”, a tym co w Rzymie i na świecie.

RATKOWSKI: A przed Kościołem, także polskim, występuje problem przetrwania serii skandali. Ostatnio głośno o Pensylwanii, u nas wyświetlany jest film *Kler*, który wielu przyjmie jako atak na Kościół. A ksiądz Biskup jakie ma zdanie o tym filmie, jeśli oczywiście na nim był?

PIERONEK: Oczywiście, obejrzałem ten film, który opisuje „kler, czyli duchowieństwo” i maluje to duchowieństwo w całości na czarno, jako pedofilów, złodziei i pijaków. W każdej grupie społecznej można znaleźć i opisać takich łajdaków, ale ten film nie różnicuje, i wszystkich duchownych oblewa błotem. No cóż, zdarzają się artyści używający tylko jednej, czarnej farby. Zło należy wskazywać i tępić, ale obarczać nim całą grupę duchownych oznacza, że nie ma w niej ani jednej dobrej owcy. A to jednak brak uczciwości.

Takie zdarzenia, a nawet skandale mają moc oczyszczającą. Kościół ma dwa tysiące lat i przetrwał nie takie wstrząsy... A tu nagle, pod ostrzałem znalazł się Bogu ducha winien abp Gądecki, który powiedział na jakimś spotkaniu, że pedofilia „jest grzechem wynikającym z natury człowieka, wprost wywodzącym się z grzechu pierworodnego”, i że jest w pewnym sensie niechcianym owocem łaski Bożej, czyli łaski miłości danej każdemu. I oto nie wiadomo z jakiego powodu zostało to potraktowane jako usprawiedliwianie pedofilii, choć jest fachową, z punktu widzenia duszpasterskiego, analizą zjawiska. Kiedyś Monice Olejnik powiedziałem, że pedofilia była, jest i będzie, że nie da się tego zjawiska wyplenić do końca metodami prawnymi, administracyjnymi. I natychmiast zareagowała Wanda Nowicka, która zmusiła Rzecznika Praw Dziecka, żeby mnie specjalnym pismem upomniął, że „usprawiedliwiam pedofilię”! Nienawiść uniemożliwia obiektywne myślenie.

CHUDZIŃSKI: Czy jednak przypadek abp. Paetza, który do dziś uczestniczy w wielu oficjalnych kościelnych ceremoniach, a także tak długie oczekiwanie na reakcję Jana Pawła II w jego sprawie, nie jest dramatycznym błędem Kościoła jako instytucji.

PIERONEK: Czy abp Paetz stanął przed sądem? Nie. Wydano na niego wyrok? Nie. Pokrzywdzeni mogli go postawić przed sądem. Dlaczego tego nie zrobili?

SEKOWSKI: Za to ksiądz profesor Tomasz Węclawski, który się tą sprawą zajmował i wiele zrobił dla uwolnienia poznańskiego Kościoła od tego hierarchy, zapłacił wysoką cenę za swoją odwagę.

PIERONEK: Trudno odnosić mi się do sprawy abp. Paetza, która do dziś ma status plotki. Powiedzmy, status medialny. Byłem kiedyś na wizytacji parafii w pewnym mieście, którą zapowiedziałem wcześniej i dostałem kilkanaście listów o różnych przekroczeniach proboszcza. Odpisałem na wszystkie, prosząc o spotkanie osobiste. Wszystkie wróciły z adnotacją „adresat nieznanym”.

CHUDZIŃSKI: A może więcej wie na ten temat nasz krakowski metropolita abp Jędraszewski? Był rektorem poznańskiego seminarium duchownego

w czasach tego skandalu, jego klerycy odwiedzali arcybiskupa...

PIERONEK: Czy więcej wie? Tego nie wiem.

SEKOWSKI: Mamy zatem pedofilów pośród księży, podobnie jak w innych grupach społecznych. A jednak muszę zapytać, czy problem pedofilii w Kościele, a także kontaktów homoseksualnych i nieprzestrzegania celibatu, nie ma jednak jakichś specyficznych przyczyn natury instytucjonalnej: w braku procedur, robieniu z tego tajemnicy, w „zamiataniu pod dywan”...

PIERONEK: Każda instytucja próbuje tak robić. Teraz sytuacja się zmienia, tak jak świat się zmienia. Kiedy zjawisko zostało dostrzeżone, to i konsekwencje będą inne. Przecież co najmniej równą tajemnicą objęta była i jest nadal pedofilia w rodzinie. Nie stygmatyzujemy jednej grupy społecznej. Czy matka i ojciec nie powinni być lepsi?

RATKOWSKI: To prawda, że zaczynało się od Zeusa Gromowładnego, który też miał takie doświadczenia z Ganimedem, ale problem jednak leży gdzie indziej – w sytuacji społecznej kapłana, która jest inna niż zwykłego człowieka. Nawet lekarza czy nauczyciela....

PIERONEK: Nic co ludzkie nie jest nam obce, a człowiek jest dzięki łasce bożej istotą wolną, a jeśli także słabą, to będzie popełniał nawet straszniejsze zbrodnie. To jest rola Kościoła, który ma obowiązek nawracać największego grzesznika. Szczególnie gdy grzech został wyznany w warunkach tajemnicy spowiedzi. Tu jesteśmy bez wyjścia! Naprawdę, jeśli dowiedziałem się czegoś w konfesjonale, nawet jeśli rozgrzeszenia nie udzieliłem, to nie mogę iść z tym do prokuratury! To jest zupełnie inny porządek religijny, którego Kościół musi bronić.

SEKOWSKI: Janusz Gajos, który odtwarza postać biskupa w filmie Smarzowskiego, niestety daleką od ideału, w jednym z wywiadów prasowych stwierdził, że dla niego wzorem biskupa jest Tadeusz Pieronek.

PIERONEK: Zapewne powiedział to po znajomości, bo się znamy. Ale rzeczywiście, w wielu sprawach, jak naruszanie konstytucji, naruszanie elementarnego porządku prawnego biskupi powinni zabrać głos. Nie wiem, dlaczego tego nie robią, przecież z punktu widzenia prawnego to przestępstwa, a z punktu widzenia moralnego i teologicznego – grzech. Kościół powinien się o to upomnieć. Niestety w Niemczech, w latach 30. także wielu biskupów nie dostrzegało zagrożenia, ale byli tacy, co je widzieli, mówili o nim i za prawdę cierpieli.

Powołałem się tu na świętego Augustyna, który mówił, że nie należy tylko pić mleka owiec i odziewać się w ich wełnę, ale gdy wilk atakuje, trzeba je bronić. Abp Polak, prymas Polski to robi. Niedawno wydał książkę o obowiązkach wynikających z fundamentalnej zasady miłości bliźniego, mówił o tym na Jasnej Górze wprost do przedstawicieli rządu i już ma za to odpłatę.

RATKOWSKI: Lepiej niż prymas, na Jasnej Górze przyjmowani są kibole i nacjonaści.

PIERONEK: Rzeczywiście, postawa tamtejszych ojców nie jest, nazwijmy to tak, zbyt ekumeniczna!

CHUDZIŃSKI: Na pocieszenie powiedzmy, że niektóre zakony stają w czołówce odnowy Kościoła w duchu Franciszka.

PIERONEK: To prawda. Stosunkowo niedawno, na uroczystościach z okazji beatyfikacji dwóch franciszkanów, którzy zostali zamordowani w Peru, nawiasem

mówiąc jeden z nich to mój powinowaty, zostałem posadzony naprzeciw prowincjała redemptorystów – zakonu o. Rydzyka. Bardzo inteligentny człowiek. Pogadaliśmy sobie, zaproponowałem, żeby mnie zaprosili do Telewizji Trwam i posadzili naprzeciw Rydzyka. Do dziś czekam na odpowiedź.

CHUDZIŃSKI: Tymczasem w polskim Kościele obowiązuje strategia, że Franciszka należy „prze-czekać”. Pojawiają się też zarzuty, że niektóre jego wypowiedzi i działania są na granicy herezji, na przykład w sprawie rozwodów kościelnych i związków partnerskich

PIERONEK: Nie, tu nie ma żadnej zmiany. Dwa lata temu byłem na spotkaniu w Rzymie, w Rocie Rzymskiej. Sędziowie wyjaśniali propozycje Franciszka. To nic nowego, ale trzeba jednak szukać rozwiązania problemów, przed którymi nie uciekniemy. W latach 70. było też spotkanie w Rzymie i dyskutowaliśmy o normach, jakie Kościół katolicki w Ameryce zastosował do spraw małżeńskich. Tam wówczas wystarczyła do orzeczenia nieważności małżeństwa rozmowa przez telefon, nagranie i w tydzień małżeństwo było rozwiązane. Napisałem wówczas komentarz, że jest to fundamentalnie sprzeczne z prawem kanonicznym. Tymczasem prof. Gordon, którego poznałem przed laty powiedział, że nie mam racji. Potem jednak swoją krytykę odwołał, choć zauważył, że ci tam w Ameryce próbują nadążyć za zmianami. I niektóre z ich pomysłów weszły do nowego kodeksu. Może zresztą nauka odkryje jakieś kolejne przyczyny nieważności małżeństwa? Dawniej to była choroba psychiczna czy bezpłodność, dziś tych przyczyn jest więcej, a „niezdolność do spełniania obowiązków małżeńskich” to nie tylko niemoc fizyczna, ale także brak umiejętności czy psychicznych możliwości utrzymania scalonego związku małżeńskiego.

RATKOWSKI: A właściwie to od kiedy obowiązuje dogmat o „nierozzerwalności małżeństwa”. Przecież jeszcze w średniowieczu małżeństwo bywało kontraktem wyłącznie cywilnym?

PIERONEK: Myli pan istotę z okolicznościami zawarcia związku. Małżeństwo w chrześcijaństwie zawsze było uznawane za nierozzerwalne, natomiast brakowało formy prawnej małżeństwa, która pojawiła się dopiero po Soborze Trydenckim, który przeciwstawił się zjawisku zwanym *matrimonia clandestina*, czyli małżeństwom zawieranych potajemnie. Było ono zawierane rzeczywiście poza Kościołem, a niekiedy pozbawione błogosławieństwa i nie zostawiało śladu w dokumentach kościelnych. To był sprzeciw wobec częstych nadużyć. Od tego czasu mamy metryki kościelne nie tylko chrztu, ale także dokumenty stwierdzające zawarcie małżeństwa religijnego w Kościele.

CHUDZIŃSKI: A czy jest możliwe, tu nawiązując do niedawnej rocznicy reformacji, ponowne zjednoczenie chrześcijaństwa?

PIERONEK: Jest duży postęp w zbliżeniu Kościoła katolickiego do niektórych wspólnot protestanckich. Uregulowana została kwestia chrztu, kwestia nieomylności papieża jest ograniczona do prawd wiary prezentowanych oficjalnie, *ex cathedra* oraz uzgodniona została kwestia „usprawiedliwienia” przez wiarę czy uczynki.

Niedawno byłem na ekumenicznym spotkaniu w Brukseli, które prowadził poseł do Parlamentu Europejskiego, Jan Olbrycht z Cieszyna. Powiedział w pewnej



Fot. Grzegorz Kozakiewicz

chwili: – Każdy z ojców mówi o swoich prawdach wiary. Kłopot o swoich, przedstawiciel Kościoła reformowanego o swoich, prawosławny o swoich, a różnic jest w kilkudziesięciu kościołach czy ich odłamach kilkadziesiąt. A może warto mówić o tym, co jest wspólne? Zgodzić się na coś! Były przecież sobory, które zajmowały się takimi kwestiami, jak pytaniem, czy wolno duchownym nosić brodę. Dziś trzeba się zająć sprawą jedności Kościołów.

SĘKOWSKI: O feminizm nie pytam, bo słyszałem wypowiedź Księdza Biskupa o „feministycznym be-tonie, który trzeba potraktować kwasem solnym”.

PIERONEK: Przeprasiłem za te słowa ich adresatkę, panią Jarugę-Nowacką, ale mówicie panowie do człowieka, który miał siedem siostr! Jestem ostatni, który by nie doceniał roli kobiet: w biznesie, na stanowiskach kierowniczych, w polityce, ale nikt nie zastąpi kobiety w roli matki! I zawsze będzie Kościół bronić tradycyjnej „trwałej wspólnoty rodziny”, której rozrywanie jest przecież główną przyczyną nadużyć wobec kobiet.

SĘKOWSKI: Czy przedstawiciel Kościoła otwarte-go ma nadzieję na dobrą, rzeczywiście „dobrą zmianę” w samym Kościele?

PIERONEK: Kościół ma dwa tysiące lat i jakoś umiał się oczyszczać. Obecnie mamy w tej dziedzinie pewien zastój, ale gdy sięgniemy do *Starego Testamentu*, to dowiemy się, że „naród wybrany” zawsze buntował się przeciw Bogu. Dziś Kościół katolicki jest „nowym Izraelem” i jego „naród” też czasem się buntuje. Ale wróci do właściwego łożyska.

CHUDZIŃSKI: Dziękujemy Księdzu Biskupowi za rozmowę dla „Zdania”, za gościnę i za dialog ze środowiskiem krakowskiej „Kuźnicy”, które reprezentujemy.

Rozmawiali:
Edward Chudziński
Filip Ratkowski
Paweł Sękowski

Kraków-Wawel, 19 września 2018 roku

ANDRZEJ WALICKI

KIM BYŁ DLA MNIE I JEST ZBIGNIEW HERBERT

I. Uwagi wstępne

Na okładce pierwszego tomu ogromnej, dwutomowej książki Andrzeja Franaszka o Zbigniewie Herbertcie (A. Franaszek, *Herbert. Biografia*. „Znak”, Kraków 2018) widnieje zdjęcie Zbyszka, które zawsze umieszczałem obok jego książek w różnych moich mieszkaniach – w Warszawie, w Australii, w USA i znowu w Warszawie, do której wróciłem po 25 latach pracy naukowej za granicą. Zwięzła notatka na końcu tomu informuje, że jest to zdjęcie mojego autorstwa, zrobione w roku 1955 w moim ówczesnym mieszkaniu na warszawskich Jelonkach, pokazujące Herberta przy pracy nad skorowidzem pojęć do przygotowywanych przeze mnie *Pism filozoficznych* rosyjskiego krytyka i heglizującego filozofa Wissariona Bielińskiego (1811–1848). W tekście książki znajdujemy także wiadomość, że „pracę tę zawdzięczał Herbert Andrzejowi Walickiemu” (s. 574), bez odnotowania jednak, że była to robota wykonywana przez Zbyszka „na murzyna”, oferowana przeze mnie w intencji okazania mu pomocy finansowej oraz nawiązania z nim bliższego kontaktu. Z góry wiadome było, że odpowiedzialność autorska za ten skorowidz musi należeć do naukowego redaktora przekładów, czyli do mnie, choć w tekście nie miało to być uwidocznione. Zbyszek jednak starał się pomagać mi jak tylko mógł, zainteresował się Bielińskim, dostrzegając w nim myśliciela „bardzo sympatycznego” (tamże, s. 574), ale w końcu pogubił się i wykonał jedynie niewielką, mechaniczną część pracy (co nie wpłynęło oczywiście na obiecane mu honorarium i nie spowodowało żadnej zadry między nami). Omawiana fotografia ukazująca go w czasie pracy nad skorowidzem – ze zmierzwiwym włosiem i z twarzą rozbawioną jakby, a zarazem skołowaną własną bezsilnością

wobec dziwnych na pozór myśli Rosjanina, świadczyła moim zdaniem, że potrafił odnieść się do swoich skorowidzowych niepowodzeń z humorem i pogodną autoironią. Dlatego też nie potrafię zgodzić się z interpretacją Franaszka usiłującego dostrzec w tym zdjęciu wyraz niepokoju o losy „odwilży” i o własną przyszłość w Polsce Ludowej, wciąż jeszcze „skutej komunistycznym lodem” (s. 522).

Chętnie zgodziłbym się, że są to może drobiazgi, których nie warto prostować w druku. Rzecz w tym jednak, że wpisują się one w szerszy kontekst, bardzo charakterystyczny dla rzekomego „liberalizmu” Trzeciej RP, polegającego na świadomym przemilczaniu lub marginalizowaniu osób, których poglądy nie są wygodne dla dążącego do dominacji „postsolidarnościowego mainstreamu”. Istnieją wprawdzie chwalebne wyjątki od tej reguły (np. gdański „Przegląd Polityczny”), ale Franaszek – mimo wyraźnego odcinania się od wulgarnej radykalizacji prawicowej ideologii przez PiS, nie może być do nich zaliczony. Książka jego roi się od nazwisk, pewne jej fragmenty przypominają kronikę towarzyską PRL-owskich elit Krakowa i Warszawy, pełną wiadomości błahych nawet, wręcz plotkarskich, ale uznanych za godne przekazania czytelnikom dla pełni obrazu wybitnie wielostronnych kontaktów poety. Należy oczywiście odróżniać etapy: w czasach bezpośrednio powojennych i w krótkim stosunkowo okresie forsownej stalinizacji niezależne życie towarzyskie miało charakter niszowy, w pełni rozkwitło natomiast po przełomie październikowym 1956 roku, owocując m.in. wielką swobodą obyczajową i zachłyśnięciem się odkrywaniem Zachodu. A więc atmosferą, w której Herbert czuł się znakomicie. Ja osobiście, pogrążony w pracy traktowanej jako rodzaj misji, unikałem im-

prez towarzyskich, ale mimo to rozpoznawalny byłem w kręgach opisywanych przez Franaszka jako autor książek zupełnie ignorujących oficjalną ideologię systemu, a ponadto jako bardzo aktywny członek Klubu Krzywego Koła. W danym kontekście najistotniejsze jest jednak to, że ludzie najważniejsi dla Zbyszka byli również szczególnie ważni dla mnie. Zdzisław Najder, młodszy od Zbyszka, ale mimo to spełniający przez wiele lat rolę jego „starszego brata”, opiekuna, a nawet mentora, był moim bliskim przyjacielem od roku 1947, gdy chodziliśmy razem do warszawskiego Liceum im. T. Rejtana, rezygnował z tej przyjaźni dopiero w latach 80. pod wpływem drastycznego rozejścia się naszych wyborów politycznych; serdeczni przyjaciele Zbyszka, Magda i Zbigniew Czajkowsky byli również moimi przyjaciółmi, przez pewien czas mieszkaliśmy nawet razem w ich londyńskim domu, rozmawiając codziennie na najróżniejsze tematy; bardzo intensywny i niejednoznaczny stosunek Herberta do Miłosza, także, wbrew pozorom, jakoś nas zbliżał, Zbyszek bowiem żywo interesował się treścią mojej korespondencji z Miłoszem, w której wielki poeta z zaskakującą szczerością wyrażał zgodę z moją krytyką dopowszechnianego w Polsce „prozachodniego snobizmu” oraz ostentacyjnego lekceważenia Rosji, wspierał zaś mój postulat zastąpienia kultury „towarzyskiej” kulturą „poważną” oraz wysoko oceniał mój książkowy debiut pt. *Osobowość a historia. Studia z dziejów literatury i myśli rosyjskiej* (PIW 1959). W liście z dnia 4 XI 1960, będącym odpowiedzią na mój list z Oksfordu (którego kopii nie posiadam) znalazły się nawet słowa: „W ogóle dziwię się, że pan powstał i bardzo jestem z tego patriotycznie dumny” (cyt. wg A. Walicki, *Zniewolony umysł po latach*, Czytelnik, Warszawa 1993, s. 404).

Jak widać z powyższego, relacja z Miłoszem była dla mnie bardzo znacząca, naturalne było więc, że Zbyszek żywo się tym interesował. W czasie wspólnego pobytu u Czajkowskich, latem 1967 roku, rozmawialiśmy również o sprawach, które mnie od Miłosza różniły i którym dał wyraz w zwięzłym liście do mnie z 17 VII 1968 roku, traktującym niechlubne „wydarzenia marcowe” jako „odrodzenie na najniższym, sarmackim poziomie starej i zgubnej tradycji egzaltacji narodowej”, która rozkwitła w AK i której słusznie przeciwstawiał się krytykowany przeze mnie (a także przez Zbyszka) Tadeusz Kroński. Nie zgadzałem się z tym stanowiskiem, broniłem swobodnej, maksymalnie pojemnej i spluralizowanej więzi narodowej, Herbert zaś w pełni podzielał to stanowisko.

Autor książki mógł oczywiście nie wiedzieć o tym, sądzę jednak, że świadomie i całkiem bezzasadnie nie podał w książce żadnej informacji o mnie, mimo że wyraził chyba zgodę na umieszczenie na okładce zrobionego przeze mnie i u mnie zdjęcia. Pojawiam się w jego książce niczym deus ex machina, w związku z pracą Zbyszka nad skorowidzem do Bielińskiego, bez odnotowania nawet, że łączyła nas osoba Najdera, bez wzmianki, że „starszy brat” Herberta wiele zawdzięczał zarówno mnie, jak mojemu ojcu, o czym pisał obszernie w swym często cytowanym w omawianym dziele wywiadzie—rzece (patrz J. Pawelec, P. Szeliga, *Nadgonić czas. Wywiad—rzece ze Zdzisławem Najderem*, Warszawa 2014). Można tam przeczytać, że spotkanie w roku 1947 z moim ojcem, historykiem sztuki Micha-

łem Walickim, było dla Zdzisława „olbrzymim przeżyciem”, ja zaś (pozostawiam to bez komentarza) byłem w jego oczach, wręcz z moim ojcem „osobą z kręgu śmietanki intelektualnej”, z którą zetknął się dzięki mnie po raz pierwszy w życiu (tamże, s. 67), pochodził bowiem ze środowiska zupełnie nieinteligentnego. Następnie czytelnik książki dowiaduje się, że byłem osobą, która „wprowadzała [autora] w świat ducha” i że mimo dość wcześnie ujawnionych różnic w sympatiach filozoficznych stałem się na wiele lat „właściwie najbliższym człowiekiem” zarówno dla niego samego, jak i dla jego pierwszej żony Krystyny (s. 68). Ja zaś z kolei mogę z ręką na sercu potwierdzić, że nic nie zachwieje mojego przekonania, że to Najder właśnie był w tych trudnych lecz ciekawych czasach osobą najbliższą i najpotrzebniejszą przyszłemu wielkiemu poecie. A skoro tak, to byłoby dziwne, gdyby nie wpływało na moje relacje z Herbertem, zbliżając nas na płaszczyźnie zarówno osobistej, jak i myślowej.

Że było tak istotnie, świadczą dedykacje Zbyszka na ofiarowanych mi książkach. Ukazują one proces przekształcania się wzajemnego szacunku i sympatii w przyjaźń. Na tomiku *Struna światła* (1956) widnieje dedykacja: „Andrzejowi Walickiemu – człowiekowi z filozoficzną pasją”. Nawiązywała ona, jak sądzę, do naszych filozoficznych dyskusji o heglizmie, które towarzyszyły pracy Zbyszka nad indeksem do pism Bielińskiego. Następna dedykacja – na tomiku *Hermes, pies i gwiazda* (1957) wspomina tę pracę wprost: „Jance [moja ówczesna żona] i Andrzejowi Walickim z przyjaźnią ofiarowuje autor (niefortunny indeksarz).” Na tomiku *Napis* (1969) dedykacja ociepla się: „Jance i Andrzejowi Walickim ze starą wierną przyjaźnią poświęca Zbigniew”. Następnie, gdy pozostawałem już w innym związku małżeńskim, *Wiersze zebrane* (1971): „Andrzejowi Walickiemu ten skromny dowód długiej przyjaźni, z podziwem i bardzo serdecznie poświęca Zbigniew”. I wreszcie słynny *Pan Cogito* (1974), którym zasłużenie zasłynął w świecie: „Marysi i Andrzejowi Walickim z wielką miłością – Zbigniew”.

Nie towarzyszyła temu żadna znacząca wymiana listów, bo nie interesowało mnie zbytnio coraz bogatsze życie towarzyskie Zbyszka, a sam spędzałem większość czasu w domu na Jelonkach, skupiony bez reszty na realizowaniu swej naukowej „misji” (do czego wróć). Mieliśmy wprawdzie mnóstwo wspólnych znajomych (od ich nazwisk roi się aż w książce Franaszka), ale – co stwierdzam dziś z pewnym zdziwieniem – nie miałem pojęcia o związkach osobistych mojego przyjaciela z licznymi paniami, które lepiej lub gorzej znałem, nie wiedziałem, że podkochiwały się w nim prawie wszystkie redaktorki „Czytelnika”, nie miałem pojęcia o jego flirtach za granicą, a nawet o dramatycznej miłości, którą żywiła do niego młoda gwiazda warszawskiej socjologii. Nie rozmawialiśmy wiele o naszych pobytach za granicą, bardziej szczegółowe opowieści o tym pojawiły się w naszych rozmowach dopiero w czasie naszego wspólnego goszczenia u Czajkowskich. Mimo to jednak, to co nas łączyło i co stałe pojawiała się w naszych rozmowach, wystarczyło do wytworzenia dość długo trwającej ponownie bliskości i więzi. Spróbuję to zwięźle podsumować dlatego m.in., że w ostatnim okresie życia poety drogi nasze diametralnie się rozeszły.

II. Co nas łączyło i co zaczynało dzielić

Od samego początku znajomości zbliżała nas zupełna obcość wobec ideologii systemu, bardzo ofensywnej i agresywnie atakującej nas w momencie naszego poznania, czyli w roku 1953. Zbyszek zetknął się z nią w gronie młodych poetów z pokolenia „pryszczatych” posuwających się w swoim entuzjazmie do ewidentnej nadgorliwości, co spychało go na pozycję wierności staremu utraconemu światu. Ja z kolei studiowałem w Warszawie filologię rosyjską (nie z własnego wyboru, ale dlatego, że na żaden inny kierunek nie chciało mnie przyjąć ze względu na aresztowanie w roku 1948 mojego ojca za działalność w czasie okupacji na wysokim szczeblu konspiracji AK-owskiej), a był to w latach stalinizmu wydział najbardziej zideologizowany na UW. Ściśle kontrolowany przez aktywistki partyjne z długim stażem w ZSRR i traktowany jako prawomocna ekspozytura ambasady radzieckiej. Jako syn „wroga ludu”, a w dodatku osoba wykazująca niedopuszczalną niezależność intelektualną szybko stałem się tam przedmiotem ideologicznej nagonki na tzw. „naradach produkcyjnych” oraz prób bezceremonialnego zastraszania w „rozmowach indywidualnych”, co wpędziło mnie w końcu w regularną chorobę nerwową, którą musiałem leczyć w sanatorium w Kościanie. Opowiadając o tym Zbyszkowi, podkreślałem zgodnie z prawdą, że na innych wydziałach UW, jak choćby na dobrze mi znanej polonistyce, presja ideologiczna była dużo słabsza i daleka jednak od nachalnej sowietyzacji, on jednak skłonny był dostrzegać w mych relacjach przedsmak konsekwentnego totalitaryzmu, który prędzej czy później stanie się udziałem nas wszystkich.

Ściśle wiązała się z tym łącząca nas mocna solidarność ze „starą profesurą”, odsuwaną wówczas od nauczania (choć w formach dużo łagodniejszych niż w innych krajach „demokracji ludowej”) i poddawanych za swe poglądy bezpardonowej publicznej krytyce. Szczególnie bolały nas i oburzały ideologiczne rozprawy z „burżuazyjnymi filozofami”, będącymi chlubą polskiej nauki. Zbyszek, jak wiadomo, identyfikował się najmocniej z Henrykiem Elzenbergiem, ja zaś z moim łódzkim mistrzem, Sergiuszem Hessenem oraz z Władysławem Tatarkiewiczem, u którego, wraz z Najderem, zdałem jeszcze zdać dwa egzaminy z historii filozofii i który chciał widzieć we mnie i Zdzisławie swych ostatnich uczniów. Rzutowało to bardzo negatywnie na mój stosunek do Tadeusza Krońskiego, któremu nigdy nie potrafiłem darować brutalnej i głupiej napaści na Tatarkiewicza, a zwłaszcza wciąż ponawianych prób dyskredytowania go za rzekome tolerowanie przed wojną antysemityzmu. Zbyszek był jeszcze surowszy w swych opiniach o Krońskim, przy czym dodawał do tego bardzo surowe sądy o Leszku Kołakowskim. W tej ostatniej kwestii dość szybko zaczęliśmy się bardzo różnić, ale nie miało to żadnego wpływu na naszą ocenę dokonanego w czasach stalinizmu „marksistowskiego przełomu w filozofii”.

Kolejną sprawą, na której opierała się nasza wzajemna sympatia, szybko przekształcająca się w przyjaźń, był nasz stosunek do bezlitośnie nienawistnie krytykowanej II RP. Z dzisiejszej perspektywy widzę wyraźnie, że przywiązanie Zbyska do przedwojennej Polski było głębsze niż moje, ale nie zmienia to faktu, że obaj bardzo boleśnie odczuwaliśmy brutalne zry-

wanie ciągłości historii narodowej, odczuwając to jako gwałt zadany naszej tożsamości, a tym samym wolności. W moim przypadku dochodził do tego jeszcze fizyczny niemal ból przy odkrywaniu straszliwej tragedii przedrewolucyjnej Rosji, którą poznawałem coraz lepiej dzięki jej wspaniałej literaturze i którą (jak mi się wówczas wydawało) prawie doszczętnie zniszczył wandalizm i impet komunistycznej rewolucji. Przejawem tej nostalgii za utraconą więzią czasu oraz chęci ocalenia jakichś jej pozostałych jeszcze fragmentów było w moim wypadku odkrywanie źle widzianej i zakazywanej poezji, zarówno polskiej, jak i rosyjskiej – emigracyjnych wierszy Wierzyńskiego, które przepisywałem ręcznie i umialem na pamięć, Miłosza, którego otrzymywałem w maszynopisach od Najdera, rosyjskich symbolistów, a przede wszystkim Mandelsztama i Pasternaka, których tomiki dostawałem od Ziemowita Fedeckiego, a następnie pracowicie przyswajałem sobie pamięciowo. Dodam na marginesie, że dzięki mnie właśnie Isaiah Berlin po raz pierwszy usłyszał w Oksfordzie wspaniałą wiersz Mandelsztama *Żył Aleksandr Giercewicz, żył żył muzykant*, a Gleb Struve ze Stanfordu zapisał ten wiersz i włączył do swej edycji dzieł zebranych poety.

To szczególne połączenie przywiązania do świata niszczonego lub deformowanego świata z celebrowaniem poezji skazywanej na zapomnienie przez samozwańców „inżynierów dusz” było Zbyszkowi bardzo bliskie.

Obok tych punktów stykowych, które mocno łączyły mnie wówczas ze Zbyszkim, istniały jednak pewne różnice, dość długo trudno zauważalne i lekceważone przez nas obu, ale jednak, jak się później okazało, bardzo istotne. Mówiąc najkrócej, zgodnie z ogólniejszą formułą, „to make long story short”, sprowadzały się one do różnicy w przeżywaniu coraz bardziej osaczającego nas stalinizmu. Obaj uważaliśmy go za katastrofę, ja jednak, w odróżnieniu od Zbyska, próbowałem racjonalizować tę katastrofę w kategoriach filozofii Hegla dowodzącego, że historia nie jest domeną szczęścia, ale w ostatecznym rezultacie ma jednak sens, który cierpiąca jednostka stara się zrozumieć. Warunkowa i częściowa akceptacja przeze mnie tej historiozoficznej teodycei (co mało miejsce na samym początku lat 50.) nie było zwykłym konformizmem, broniłem bowiem swej całkowitej niezależności intelektualnej oraz ani na chwilę nie dopuszczałem myśli o przyłączeniu się do „przewodniej siły narodu”, czyli partii. Przejawiała się głównie w decyzji traktowania na serio i poważnego studiowania ideologii komunistycznej (co Zbyszkowi nie przychodziło do głowy) oraz doceniania wszelkich przejawów dystansowania się polskich komunistów od skostniałych i antywolnościowych dogmatów tej „nowej wiary”. Dostrzegałem te polskie odrębności bardzo wyraźnie, czytywałem bowiem regularnie prasę radziecką oraz dziesiątki książek krytykujących w sposób karykaturalnie aż prymitywny „filozofię burżuazyjną” oraz przeciwstawiających im nie mniej karykaturalne falsyfikacje poglądów „wielkich rosyjskich rewolucyjnych demokratów”, o „cztery głowy” przewyższających ponoć klasyków filozofii zachodniej.

Nie obarczałem odpowiedzialnością za to marksizmu, przeciwnie – studiowałem klasyków marksizmu z intencją znalezienia u nich myśli, które można by

przeciwstawić tej degrengoladzie. Przez krótki czas cenilem wprawdzie terapeutyczną mądrość Heglowskiej idei filozoficznego pojednania z rzeczywistością (*die Versöhnung mit der Wirklichkeit*), ale szybko zerwałem z tą czysto intelektualną fascynacją w imię podmiotowych praw jednostki ludzkiej, żądającej wolności tu i teraz, a więc odmawiającej podporządkowania się siłom uświęcającym okrucieństwo w imię wyzwolenia w dalekiej przyszłości. Co ciekawsze, walenie wspierała mnie w tym uważna lektura Bielińskiego i Aleksandra Hercena, a więc myślicieli wychwalanych wprawdzie w ZSRR, ale za cenę przemilczania lub bezceremonialnego fałszowania istotnej treści ich poglądów. Udało mi się nawet, już w roku 1955, zainteresować tym Miłosza, a w roku 1960 odnaleźć w Oksfordzie wspólny język z Isaiahem Berlinem, co stało się punktem wyjścia ważnej korespondencji, a następnie przyjaźni, która trwale złączyła mnie z tym wybitnym przedstawicielem humanistycznego liberalizmu, będącym zarazem głównym inspiratorem i patronem studiów nad myślą przedrewolucyjnej Rosji w świecie anglojęzycznym.

Po pojawieniu się w roku 1954 pierwszych oznak szybko nadchodzącej „odwilży” wszystkie te, różniące mnie od Herberta, osobliwości mojej intelektualnej ewolucji uwyraźniły się oczywiście i wzmocniły. Mimo złych doświadczeń z młodymi zelotami komunistycznej rewolucji z wielką życzliwością (choć bez identyfikacji) odniosłem się do ich przemiany w ideowych „rewizjonistów”, uznając ich za swoich sojuszników. Korzystając z nowych możliwości, postanowiłem pisać o myśli rosyjskiej „jak gdyby nigdy nic”, respektując tylko takie ograniczenia wolności wypowiedzi, które, jak np. bezpośrednia krytyka Lenina lub ZSRR, mogły podpadać pod kategorię naruszenia oficjalnej przyjaźni polsko-radzieckiej i prowokować interwencję z zewnątrz. Udało mi się m.in. opublikować artykuł ostro oceniający Krońskiego za jego krytykę „odwilży” oraz obronę ustroju przypominającego totalitarną wizję przedstawioną przez Dostojewskiego w *Legendzie o Wielkim Inkwizytorze*. W następnym roku entuzjastycznie powitałem przełom październikowy, traktując go jako zmianę ustrojową, zastępującą importowany z ZSRR totalitarny model państwa dogłębnie ideologicznego, pretendującego do władzy nad umysłami i sumieniami ludzi przez model nadal autorytarny wprawdzie w sferze ściśle politycznej, ale świadomie rezygnujący z upolitycznienia całokształtu życia, oferujący ludziom duży zakres wolności osobistej, tolerujący ignorowanie indoktrynacji zredukowanej do martwego i zmarginalizowanego rytuału, świadomie dopuszczający znaczną i powiększającą się wolność kultury i nauki (*vide* automatyczne niemal zniknięcie „realizmu socjalistycznego”) oraz swobody religijne, ograniczane tylko w przypadku członków partii, co jednak kompensowane było uprzywilejowaną i faktycznie coraz bardziej wzmacnianą pozycją Kościoła katolickiego w świeckim państwie. Dochodziła do tego, rzecz jasna, rezygnacja z kolektywizacji rolnictwa i samolikwidacja prawie wszystkich istniejących „spółdzielni produkcyjnych”, co w oczach naszych sąsiadów stanowiło orzech bardzo trudny do zgryzienia. Biorąc to wszystko pod uwagę, nie miałem wątpliwości, że mieliśmy do czynienia z nadspodziewaną „polonizacją” narzuconego ustroju, częściową oczywiście, ale oznaczającą

jednak nie tylko detotalitaryzację systemu, ale także faktyczne porzucenie „budownictwa komunizmu” wedle wytycznych marksistowsko-leninowskiej wizji „naukowego socjalizmu”. Widziałem w tym wielki krok ku wolności, nie utożsamiałem bowiem wolności z wolnością polityczną, co było nagminne wśród marksistowskich rewizjonistów, pragnących większego udziału w rządzeniu państwem. Przeciwnie, obawiałem się zwiększenia wpływu idealistycznych rewizjonistów na władze państwowe, sądziłem bowiem (zgodnie chyba z poglądami większości społeczeństwa), że groziłoby to bardzo niebezpieczną izolacją Polski w bloku socjalistycznym, a więc zwiększającą się zewnętrzną presją, przed którą PZPR musiałaby się ugiąć. Nie mogłem więc podzielać opinii Kołakowskiego, że zwycięstwo „polskiego Października” natychmiast niemal okazało się iluzją, Gomułka bowiem nie zwlekał z ujawnieniem, że uważa polityczne ambicje środowisk rewizjonistycznych za największe zagrożenie swej władzy. Nie rozdzierałem szat z tego powodu, widziałem bowiem dokoła dezideologizację partii, umożliwiającą powrót do elementarnej normalności, w tym również coraz większą wolność kultury i nauki, a także imponujący rozkwit myśli Kołakowskiego oraz całkowitą niemal swobodę intelektualną związanych z nim środowisk, z którymi czułem się coraz mocniej związany.

Zbyszek, w odróżnieniu ode mnie, oceniał przemianę październikową sceptycznie, żywił bowiem przekonanie, że nie doczeka się zmiany obcego mu ustroju, a różne jego mutacje nie zmieniają jego istoty. Moje poglądy nie denerwowały go jednak, przeciwnie, przysłuchiwał się im z zainteresowaniem i z życzliwością, co wyraźnie odróżniało go od Najdera, z którym nie próbowałem w ogóle rozmawiać na ten temat. Wyraźnie pamiętam jego reakcję na mój program (czyli wspomnianą wyżej życiową „misję”), polegający na poświęceniu się pracy naukowej nad trzema najważniejszymi wyznacznikami sytuacji polskiej: 1] Rosji jako kraju, z którym powiązała nas historia i na który powinniśmy oddziaływać; 2] naszej własnej tożsamości narodowej, której powinniśmy bronić zarówno przed lewicowym sekciarstwem, jak przed rodzimym „Ciemnogrodem”, oraz 3] marksizmem zarówno jako legitymizacją narzuconego nam systemu, którą należy dobrze znać, ale także marksizmem krytycznym jako metodą, którą można zastosować do badania wszystkich represyjnych ideologii, wreszcie marksizmem jako potężną siłą mitotwórczą, zdolną zniewalać ludzi, ale także mobilizować ich do walki o lepszy świat. Zbyszek, co dobrze pamiętam, skomentował to stwierdzeniem, że nie podziela optymizmu, który wyczuł w tym programie, ale życzył mu powodzenia. Ujął to w słowach: „Jesteś człowiekiem, którego nie tylko lubię, ale także szanuję”.

Mimo swego pesymizmu co do efektów Października, Zbyszek w żadnym wypadku nie był jednak konserwatywną Kassandra, dostrzegającą tylko to co złe i wieszczącą, że będzie już wkrótce dużo gorzej. Przeciwnie; cieszył się z nowych możliwości, które otworzył przed nim październikowy przewrót i umiał z nich korzystać, radując swych przyjaciół pogodą ducha, podróżując po świecie, aby poznać z entuzjazmem wspaniałe zabytki, piękno przyrody i ciekawych ludzi, a także – *last not least* – rozkochując w sobie wciąż nowe partnerki. Na początku lat 60. spędzili-

śmy w bliskim sąsiedztwie część wakacji w Krzyżach – małej wiosce mazurskiej nad jeziorem Nidzkim, odkrytej niegdyś przez Ziemowita Feddeckiego i często odwiedzanej przez zespół Studenckiego Teatru Satyryków. Pojawiała się tam również Agnieszka Osiecka, mawiająca później „Wolę Krzyże niż Paryże”, a także zamieszkały w Anglii poeta Jerzy S. Sito, który rozbawiał nas upieraniem się, że grzybki, które zbierał z żoną, nazywane prawidłowo sitkami, to w istocie „nie jakieś tam sitki, ale karmazynki”. Widywałem wówczas Zbyszka prawie codziennie, obwoząc go po okolicy moim zabawnym Citroënem 2CV i śpiewając z zapalem, ale zarazem z przymrużeniem oka, popularne AK-owskie pieśni, jak np. *Rozszumiały się wierzyby płaczące* lub *Hej chłopcy, bagnet na broń*. Znamienne było przy tym, że wstydziliśmy się jakby robić to ze śmiertelną patriotyczną powagą. Wprost przeciwnie, było w tym coś z wygłupu, tak samo jak przy śpiewaniu pieśni *Pomniat psy–atamany, pomniat polskie pany, kon–armiejskie nasze klinki* (co było naszym popisowym wspólnym występem przy różnych towarzyskich okazjach). Nie wiem, czym to tłumaczyć u Zbyszka, ale w moim przypadku nieco żartobliwy sposób śpiewania tych (polskich) pieśni miał chyba wyrażać pewne, ciepłe zresztą, dystansowanie się od młodzieńczego, harcerskiego, trochę tromtadrackiego patriotyzmu. Ale nie ulega wątpliwości, że na wspomnienie powstania odczuwałem wówczas podobny skurcz serca jak Zbyszek. On zaś także śpiewał te pieśni zapewne z ciężką w oku, ale zarazem z wyraźną domieszką dystansującego humoru. W niektórych przypadkach dystans ten był wręcz dominantą, bo nie mogliśmy przecież na serio identyfikować się ze słowami pieśni śpiewanej w czasie okupacji przez Grupy Szturmowe Szarych Szeregów, takimi oto:

„Zdobędziem kraj po Odrę, po Bałtyk i po Dniepr,
Dunaju fale modre, Ukrainy szumny step”.

Mnie osobiście słowa te nasuwały gorzkie refleksje, ale lubiłem podśpiewywać takie pieśni, podobnie jak *Bolszewika goń, goń, goń...* lub – z drugiej strony – *W boj za rodzinu, w boj za Stalina* i temu podobne. Zbyszka bawiło to i bardzo chętnie inicjował takie występy, dodając do nich przezabawne prześmiewki z wojskowych formacji PRL. Zapamiętałem jedną z nich:

„Kapralem jego ojciec, kapralem jego dziad.
A on szeregowy, co serce moje skradł.
Wiwat, niech żyje kobieta, wino, śpiew,
My młode kabewiaki, co rozpalamy krew”.

To jednak tylko mała dygresja, sprowokowana przez prawicowych wielbicieli poety, sądzących naiwnie, że śpiewanie wojskowych pieśni patriotycznych oraz cytowanie ich antyrosyjskich/anty bolszewickich fragmentów w dedykacjach książek było w pełni adekwatną kondensacją poglądów poety (patrz np. imponujący rozmiar artykułu o Herbercie Bogdana Urbanowskiego w *Encyklopedii „Białych plam”*, t. 7, Radom 2002, s. 252). Być może zdarzało się tak w okresie późniejszym, ale na pewno nie wtedy, gdy wydawało nam się, że łączy nas wzajemne zrozumienie i pogłębiająca się przyjaźń. Ważnym argumentem na rzecz tezy, że nie było to całkowitą iluzją, jest dla mnie fakt, że Zbyszek w pełni aprobował, a nawet podziwiał mój plan pracy nad odkłamywaniem spraw ważniejszych (jak sądziłem) dla naszego kraju niż przyswajanie sobie no-

winek z Paryża. Wydawało mi się też, że opcja Zbyszka na rzecz poezji patriotycznie zaangażowanej zgodna była z moją krytyką „prozachodniego snobizmu”, o czym opowiedziałem w *Spotkaniach z Miłoszem*.

III. Kręte drogi polonizacji systemu

Z perspektywy późniejszej widzę jednak jasno, że już pod koniec lat 60. nasze drogi zaczęły się rozchodzić. Ja cieszyłem się, że reżym gomulkowski położył nacisk na legitymizację nie ideologiczną już, lecz narodową. Wydawało mi się, że daje to szansę na głębszą „polonizację” systemu, tzn. że nie system nas wchłonie, lecz odwrotnie – że Polacy poradzą sobie z systemem połknawszy go i przetrawiwszy na swój sposób. Zbyszek natomiast dostrzegał wprawdzie ewolucję w tym kierunku i umiał z niej korzystać, ale zarazem dręczył się obawą, że w tym procesie osmozy nie społeczeństwo połknie system, lecz odwrotnie. Wyraźnie widział rozluźnienie totalitarnego gorsetu systemu, ale w tym rzecz, że tego właśnie bał się chyba bardziej niż stalinowskiego totalitaryzmu. Ten ostatni bowiem nie próbowałby rozmiękczać swych przeciwników pokusą ogólnonarodowego pojednania, nie próbowałby sięgać po wartości Zbyszkowi drogie i posługiwać się nimi dla własnych celów.

Myślę mimo to, że do połowy lat 60. Zbyszek czuł się w Polsce względnie dobrze. Było to możliwe dlatego, że nie nadszedł jeszcze czas, gdy władze PRL poczęły łudzić się możliwością zjednania ludzi jego typu, „kupienia” ich, „przygarnięcia do łona”, chwaleń się nimi. Zbyszek chciał być tolerowany, ale nie „kochany” i oficjalnie akceptowany. Rzeczywistość gomulkowska była dlań w miarę strawna dlatego właśnie, że komuniści mówili wtedy jeszcze własnym językiem, podziały były wyraźniejsze, jednostka pokoleniowa, do której należał Zbyszek, nie zatraciła jeszcze (lub nie całkiem zatraciła) swej tożsamości. Poczęło się to jednak zmieniać wraz z ofensywą partyjnej frakcji „partyzantów”, grającej na uczuciach narodowych, co początkowo wcale nie musiało kojarzyć się z niebezpieczeństwem wybuchu antysemityzmu lub zastosowania wobec pokojowych manifestacji studenckich milicyjnej przemocy, jak miało to nastąpić w niestawnych wydarzeniach Marca 1968. Przeciwnie – zaczęło się od akcji Moczarowskiego ZBoWiD-u (Związek Bojowników o Wolność i Demokrację) na rzecz równouprawnienia kombatanów formacji lewicowych z byłymi AK-owcami, co było działaniem godnym poparcia i wspieranym m.in. przez wielu członków lewicującego Klubu Krzywego Koła (którego byłem aktywnym członkiem), takich jak były partyzant AK i ideowy socjaldemokrata Czesław Czapów, a przez pewien czas także Jan Józef Lipski. Za sztandarowego publicystę „partyzantów” uchodził płk Zbigniew Żałuski, autor książki broniącej żołnierzy września 1939 r. przed szyderczymi atakami z czasów stalinizmu, co mogło nie podobać się jako militaryzacja emocji narodowych, ale mieściło się jednak w granicach uczciwego, normalnego patriotyzmu. Dla Zbyszka i dla mnie sytuacja stawała się wszakże coraz bardziej niewygodna: „partyzanci” odwoływali się bowiem do opinii publicznej, wywoływało to wzrastającą presję na określenie się wobec wewnątrzpartyjnej walki, a ludzie najwyżej ceniący własną niezależność tego właśnie pragnęli wówczas uniknąć. Później zaś miały

miejsce niechlubne wydarzenia 1968 roku, wobec których nie można było zachować się neutralnie.

W moim własnym przypadku, o czym pisałem obszernie w swych autobiograficznych książkach, reakcja na wydarzenia marcowe i ich ciąg dalszy była bardzo złożona. Moralnie jednoznaczna, wstydziłem się bowiem wybuchu antysemityzmu maskowanego jako „antysyjonizm”, solidaryzowałem się z represjonowanymi kolegami z własnego środowiska, i to nie tylko z jawnymi przeciwnikami ustroju jak bliski mi Leszek Kołakowski, lecz także (co wcale nie było zjawiskiem powszechnym) z tragedią polsko-żydowskich idealistów, jak Mietek Orlański, redaktor Biblioteki Myśli Socjalistycznej KiW, głęboko wierzący w idee najszerzej rozumianego socjalizmu i w trwałość budowanego przez nie żydowsko-polskiego braterstwa. Intelktualnie natomiast zająłem wobec niewątpliwej cezury, jaką stał się rok 1968, postawę zdystansowanego obserwatora, próbującego umieścić ów rok w całościowym długofalowym procesie ewolucji „realnego socjalizmu”. Z tej zaś perspektywy wyraźnie widoczna była rola bardzo niechlubnych skądinąd wydarzeń w procesie rozkładu komunistycznej legitymizacji ustroju, co uważałem za zjawisko pozytywne, sprzyjające wyzwoleniu umysłów i sumień od resztek ideologicznego zacządzenia, a więc tym samym kończące rozpoczęty w październiku 1956 roku proces przekształcania PRL w państwo narodowe. Doceniałem przy tym, że lewicowe skrupuły w kierownictwie partii zapobiegły nadaniu temu procesowi charakteru radykalnie prawicowego, czego tak bardzo obawiał się Miłosz. Pozytywnie oceniałem „historyczną odwilż” (wyrażenie Andrzeja Ajnenkiela), przejawiającą się w odejściu partyjnych historyków od jednostronnie negatywnych ocen dwudziestolecia międzywojennego oraz zielone światło dla ujawnienia w tej kwestii szerokiego wachlarza stanowisk. Jako badaczka myśli polskiej XIX wieku cieszyło mnie, że historycy uważani za „mocarowców” firmowali proces poszerzenia listy oficjalnie akceptowanych poprzedników PZPR o działaczy lewicy niepodległościowej, dyskwalifikowanych do niedawna za „półśrodkowość”. Martwiło mnie niedocenywanie tak znamienitych jednak faktów, jak np. książka Mariana Żychowskiego o Bolesławie Limanowskim (1971), będąca próbą włączenia twórcy „patriotycznego socjalizmu” do genealogii ideowej „komunistycznej” ponoć partii. Było swoistą ironią, że postać tak szlachetna jak Limanowski doczekała się należnego uznania dopiero w Polsce „pomarcowej”.

Dla mnie osobiście przemyślenia te miały znaczenie życiowo istotne, zadecydowały bowiem o ostatecznym, jak wydawało mi się wówczas, przesunięciu moich planów naukowych z problematyki rosyjskiej na polską. Sporo zrobiłem w tej dziedzinie już na początku lat 60., teraz jednak zacząłem planować napisanie wielkiej multidyscyplinarnej historii polskich ideologii narodowych (a także ich krytyki) w polskiej myśli filozoficznej i politycznej od czasów oświecenia do odzyskania niepodległości, a może nawet do roku 1939. Możliwość uczciwej, całkowicie własnej realizacji takiego projektu opierałem na przesłance, której znaczenie było w naszym kraju niedostrzegane lub lekceważone. Uważałem mianowicie, że popaździernikowa Polska stała się bardzo szybko dziwnym wyjątkiem

w tzw. „bloku wschodnim”; państwem rządzonym przez partię założoną wprawdzie przez komunistów, ale w wyniku destalinizacji pragmatycznie odideologizowaną, zmuszoną zachowywać pozory, ale w istocie coraz wyraźniej uchylającą się od zadań „budownictwa komunizmu”, coraz bardziej uzależnioną od wewnętrznego, chociażby biernego tylko poparcia i coraz wyraźniej dążącą do powiększenia względnej wprawdzie, ale w wielu zakresach całkiem realnej suwerenności państwa. Mój przyjaciel, Jan Józef Lipski, oburzał się w roku 1958 z powodu wypowiedzi bawiącego w Warszawie wybitnego polityka brytyjskiej Partii Pracy, Richarda Crossmana, usiłującego przekonać polskich rozmówców, że mają znacznie więcej swobód niż można by się spodziewać po kraju komunistycznym, a więc powinni rozumnie zagospodarowywać je, a nie domagać się rzeczy niemożliwych (J. Giedroyc, J.J. Lipski, *Listy 1957–1991*, „Więź”, Warszawa 2015, s. 121–122). Dla mnie natomiast było to oczywistością, nieustannie potwierdzaną przez lektury książek i pism radzieckich, wizyty w ZSRR, a także nieoficjalne, często dramatycznie szczere rozmowy z uczonymi radzieckimi, rosyjskimi głównie lub rosyjsko-żydowskimi, później zaś także z litewskimi, uważającymi PRL za kraj niewyobrażalnej wręcz, zachodniej niemal wolności słowa i myśli. Represje 1968 roku oceniałem jako dotkliwie wprawdzie, ale „personalne” tylko, uderzające w „syjonistów” i „rewizjonistów”, ale niezdolne i niedążące do restauracji w jakiegokolwiek postaci komunistycznego „państwa ideologicznego”. Zamykano wprawdzie usta bezpośrednim krytykom władzy, ale zarazem nie forsowano z jakiegokolwiek „oficjalnej” wykładni marksizmu, rezygnując faktycznie z marksizmu-leninizmu i przekształcając filozofię marksistowską w spontanicznie ukształtowany zespół szkół polemizujących ze sobą na łamach „Studiów Filozoficznych” i innych specjalistycznych czasopism, szeroko otwierających swe łamy przyjaznym polemikom marksistów z katolikami głównie, ale także z fenomenologami lub neopozytywistami, bez piętnowania ich mianem „filozofów burżuazyjnych”. Dawna ortodoksja zachowała wprawdzie jakieś skromne przyczółki, ale przynależność do nich wymagała odwagi dystansowania się od *mainstreamu*.

W ramach dygresji pozwolę sobie przywołać także pewne fakty z własnego życia. W feralnym 1968 roku ukazał się sporządzony przeze mnie wybór pism Sergiusza Hessena (S. Hessen, *Studia z filozofii kultury*, PWN, Warszawa 1968), prezentujący jego idealistyczną filozofię kultury oraz prace o ewolucji praw człowieka, mającej kulminować w przewyżczającym komunizm socjalistycznym państwie prawa. Mój obszerny wstęp do tej edycji rekomendował i uaktualniał tę koncepcję, dodając do tego gorzkie uwagi o świetnym rozwoju rosyjskiej filozofii początku stulecia, brutalnie przerwanych przez rewolucję bolszewicką. Wywołało to zdumienie paru osób (w tym K. Pomiana), ale w sumie pozostało niezauważone, nie dotyczyło bowiem aktualnej walki politycznej w Polsce. W tymże roku zgodziłem się objąć po Bronisławie Baczce stanowisko kierownika naszego Zakładu IFiS PAN przekształconego w Zespół Historii Nowożytnej Filozofii Polskiej, co uchroniło nas przed narzuconym z zewnątrz kierownictwem i pozwoliło zachować w dużej mierze ciągłość pracy każdego

z nas. Nie ulega wątpliwości, że we wszystkich KDL-ach [krajach demokracji ludowej] poddano by nas kierownictwu jakiegoś partyjnego prymitywa, najbezwzględniej realizującego aktualne wytyczne „wiodącej siły narodu”, w PRL jednak dbano o nieantagonizowanie naukowego środowiska, a więc powierzono tę pozycję (traktowaną przez partyjnych narodowców jako priorytetową) osobie bezpartyjnej i ostentacyjnie niezależnej, dysponującej jednak autorytetem naukowym i kontaktami z zagranicą. Wkrótce potem ukazała się moja pierwsza anglojęzyczna książka dotycząca rosyjskiego narodnictwa (*The Controversy over Capitalism*, Clarendon Press, Oxford 1969, szybko przetłumaczona potem na parę innych języków), co było o tyle ważne, że całkowicie zignorowałem oficjalny wymóg zgody na publikację za granicą, a także pisemne wyrażone życzenie władz radzieckich, aby polscy uczeni nie wypowiadali się na Zachodzie na tematy rosyjskie. Następnie, w roku 1971, ukazała się moja książka o polskiej tzw. „filozofii narodowej” epoki romantyzmu oraz o mesjanizmie Mickiewicza (*Filozofia a mesjanizm*, PIW, Warszawa 1971), całkowicie ignorująca zarówno „marksistowsko-leninowskie”, jak i tradycjonalistyczne „bogoojczyźniane” interpretacje tego dziedzictwa, nawiązująca natomiast do nieznanych u nas zachodnich badań nad religijnymi millenaryzmami i mesjanizmami, znacząco obecnymi zarówno w europejsko-amerykańskiej przeszłości, jak i wielu krajach współczesnego nam „trzeciego świata”. Słowem – było całkowitym zignorowaniem proklamowanej tak niedawno „walki z kosmopolityzmem”, ale partyjni „narodowcy” dość dawno zniknęli już z głównej sceny i nie próbowali zabierać głosu. A liberałowie partyjni, jak np. Stefan Żółkiewski, który w czasach stalinizmu szerzył w literaturoznawstwie radziecki schematyzm, ale w późniejszym okresie potrafił przekształcić się w autentycznego uczonego o szerokich horyzontach, pogodzili się z rzeczywistością, w której pozytywne wzmianki o marksizmie jako takim uchodziły za dowód wyjątkowej wielkoduszości i cywilnej odwagi (patrz opis jubileuszu 60-lecia Żółkiewskiego w końcu 1971 roku, przedstawiony w wydawnictwie Marii Janion z Kazimierą Szczuką pt. *Trans-traumy-transgresje*, „Krytyka Polityczna” 2014, s. 110-114. Wypowiedź jubilata dotyczyła oczywiście Janion, ale już w najbliższym kręgu jej „wielkoduszość” uchodziła za swoiste „pierdnięcie w salonie”).

W mojej ocenie wszystko to było dobitnym potwierdzeniem niepopularnej tezy, że rok 1968 wraz ze wszystkimi tragediami ludzkimi, które spowodował, był w istocie nie trwałym wzmocnieniem ideologicznej dyktatury, ale konwulsyjnym zakończeniem długiego procesu dezideologizacji rządzącej partii i przekształcania PRL w państwo autorytarne, nietotalitarne już, zmuszone oczywiście do respektowania poważnych ograniczeń swej suwerenności, ale wolne w istocie od zniewolenia ideologicznego. Moje własne głęboko uwewnętrznione odczucie, wsparte niezatartym przeżyciem radzieckiej, a więc krytycznej odmiany stalinizmu, mówiło zaś jednoznacznie, że zniewolenie ideologiczne, czyli duchowe, jest absolutnie najgorsze, dotyczy bowiem umysłów i sumień. Odczuć to antycypowało główną myśl Aleksandra Sołżenicyna, rozwinętą w jego przejmującym *Liście do przywódców ZSRR* (1973). Wielki pisarz apelował w nim do

kierownictwa KPZR, aby zwróciło ludziom wewnętrzną wolność, wolność duchową, odrzucając okowy ideologiczne, „dużo gorsze niż zła sytuacja materialna lub brak swobód obywatelskich, nie pozwalające bowiem na swobodny oddech w dławiącej obecności zrutynizowanego kłamstwa. Podzielałem tę diagnozę w odniesieniu do ZSRR, ale zarazem mocno uświadamiałem sobie, że w PRL panowanie zakłamaniej ideologii było w istocie częściowe tylko i krótkotrwałe, poniosło decydującą klęskę już w roku 1956, a w niesławnym roku 1968 zakończyło się definitywnie, tracąc ostatnich wyznawców legitymizującego ją mitu. Jeff Schatz miał bowiem dużo racji, konstatując w swej przejmującej książce, że ostatni prawdziwi komuniści, szczerze wierzący (jak Mietek Orlański!) w millenaryzującą wizję świeckiego zbawienia, znaleźli się wśród kilkunastotysięcznej masy obywateli polskich zmuszonych lub przynaglonych w roku 1968 do opuszczenia swego kraju pod z gruntu fałszywym pretekstem szerzenia „syjonizmu” (patrz J. Schatz, *The Generation. The Rise and Fall of the Jewish Communists of Poland*, University of California Press, Berkeley-Los Angeles-Oxford 1991, s. 322).

IV. Co się stało z każdym z nas w „unarodowionej” PRL

Wróćmy jednakże do Herberta, którego reakcja na rok 1968 musiała być oczywiście różna do mojej. Jak już wspominałem, ideologiczna ofensywa „mocarowców”, poprzedzająca wydarzenia 1968 roku, łączyła się z próbami posłużenia się wzrastającym autorytetem Zbyszka w środowisku literackim jako poety prawdziwie narodowego, a więc krytycznego wobec eks-stalinowskich mutantów ideologicznych, wobec czego nie od razu potrafił jasno się określić. W roku 1967 dał się namówić (aczkolwiek bez podpisywania jakiegokolwiek zobowiązania) na regularne rozmowy ze Służbą Bezpieczeństwa, ulegając w jakiejś mierze argumentacji, że nowa SB nie ma nic wspólnego z dawnymi ubekami, jest bowiem w istocie formacją patriotyczną, pragnącą zwalczać działania różnych antypolskich sił w świecie. W czasie moich pobytów u Czajkowskich mówił niekiedy na ten temat, ale starał się lekceważyć sprawę, my zaś chętnie przytakiwaliśmy mu gorąco, pragnąc, aby rzecz w istocie okazała się błahostką, niezdolną wyrzucić niszczącego wpływu na psychikę Zbyszka i jego twórczość. Nadzieje te nie miały się jednak spełnić. Zbyszek coraz mocniej odczuwał, jak sędzę, głęboki rozbrat między własnym patriotyzmem a poglądami swych bezpieczniackich rozmówców, nie chciał dać się „wessać”, zmanipulować. Dlatego starannie unikał wszelkich faworów, a z upływem czasu zaczął (zwłaszcza po wódce) stawać się bardzo agresywny. W czasach gierkowskich oferowano mu mieszkanie ze specjalnej puli – zareagował wymysłaniem, mieszkanie potem kupił sobie na wolnym rynku za przywiezione dewizy. Interweniował z grupą kolegów w sprawie absurdalnie wysokich wyroków dla braci Kowalczyków, z których jeden został skazany na karę śmierci za wysadzenie w powietrze w roku 1977 auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, w której następnego dnia miano wręczyć odznaczenia funkcjonariuszom SB. Żywo pamiętam, jak w czasie towarzyskiego spotkania u Janusza i Ireny Maciejewskich

ordynarnie wymyślał jednemu z gości za jakieś mało istotne wątpliwości w tej sprawie.

Moje spotkania ze Zbyszkim były w latach 70. coraz rzadsze i to nie tylko ze względu na jego częste pobyty za granicą oraz mój tryb życia, niemal całkowicie skoncentrowany na pracy. Istotną przyczyną stawały się uderzające zmiany w charakterze poety, odnotowywane krytycznie także przez Najdera (patrz A. Franaszek, dz. cyt., t. II, s. 369-370). Człowiek ujmująco łagodny, wyrozumiały i przyjazny ludziom, mimo obcości wobec ustroju cieszący się życiem oraz pięknem łapczywie poznawanego świata, szybko przekształcał się w osobnika agresywnego, niechętnego wszystkim ludziom, którzy uważali się kiedykolwiek za komunistów (w szczególności Leszkowi Kołakowskiemu) i nieobliczalnego wręcz pod wpływem alkoholu. Było to dla mnie przykre bardzo i zniechęcające, a przy tym niedające się pogodzić z pewnymi przesunięciami w moich poglądach politycznych. Polegały one, mówiąc w telegraficznym skrócie, na zdawaniu sobie sprawy, że zaangażowanie PRL w proces faktycznej dekomunizacji każe osobom niezależnie myślącym przygotować się na różne możliwe scenariusze, w tym również wybitnie niebezpieczne. Mocna świadomość, że możliwy przebieg wydarzeń nie będzie zależał wyłącznie od nas, już wówczas jednoznacznie skłaniała mnie do opowiedzenia się za opcją ewolucyjną, wyznaczającą PRL rolę lidera pożądanych zmian ustrojowych, z unikaniem jednak niepotrzebnego prowokowania sąsiadów, a tym bardziej ostentacyjnego manifestowania wrogości do systemu. Nie podobało mi się więc, gdy na imieninach Jana Lipskiego, gromadzących byłych członków Klubu Krzywego Koła, przyjmowano z aplauzem oświadczenie mec. Szczuki, że potrzebny jest nam polski Pinochet, lub wysłuchiwało z przejęciem, jak młody aktywny opozycjonista śpiewał z ideowym zaangażowaniem maryjny hymn konfederacji barskiej, w czym nie przeszkadzała mu identyfikacja samego siebie jako polskiego Żyda. Nie byłem też entuzjastą programu nawiązywania do tradycji dziewiętnastowiecznego polskiego konserwatyzmu, głoszonego z powodzeniem przez wpływową grupę bliskich mi skądinąd młodych naukowców. Przeciwnie – skupilem się na badaniu tradycji intelektualnych polskiej lewicy socjalistycznej i marksistowskiej w przekonaniu, że one właśnie mają największe szanse spowodowania głębokiej zmiany w ideologii PZPR. Towarzyszyło temu skupienie uwagi na pozytywnych osiągnięciach Polski Ludowej jako kapitału, który należało mądrze wykorzystać dla zapewnienia możliwie najbezpieczniejszego i najmniej bolesnego przejścia do koniecznej i powszechnie oczekiwanej zmiany ustrojowej. Dzięki systematycznemu śledzeniu myśli paryskiej „Kultury” (której redaktora wraz z najbliższymi współpracownikami nieźle poznałem już na początku 1961 roku) świadomy byłem, że najbardziej niezadowolonym środowiskiem w PRL byli, wbrew pozorom, nie inteligeni, lecz wielkoprzemysłowi robotnicy. Nie podzielałem jednak przeświadczenia Juliusza Mieroszewskiego, że nie pozwolą oni odebrać sobie społecznych zdobyczy socjalizmu; przekonujący mnie raczej ostrzeżenia, że oczywiście załamanie się ideologicznej legitymizacji „realnego socjalizmu” może uczynić ich podatnymi na wpływy prymitywnego antykomunizmu, sprzecznego

z ich własnymi interesami i niebezpiecznego dla Polski. A przy tym dodać muszę, że moja chęć uniknięcia takiego rezultatu wynikała nie tylko z ostrożności geopolitycznej, ale także z przeświadczenia, że zrywanie ciągłości historii narodowej jest zawsze niebezpieczne, bolesne i kolidujące z wolnością społeczeństwa. Podobnie jak w sytuacji brutalnego odcinania się od całego dziedzictwa przedwojennej Polski, opowiadałem się więc za ideą przewycięzania (Heglowskie „Aufhebung”), a nie zwykłego odrzucenia, czyli za łączeniem niezbędnej negacji z kontynuacją.

Ewolucja postaw i poglądów Zbyszka miała natomiast kierunek zupełnie inny. Wynikało to, moim zdaniem, z odreagowywania okresu nazbyt szczerych zapewne (z czego sam zaczynał zdawać sobie sprawę) rozmów z SB, ale też z odczucia, że rozpoczął się okres głębokiego kryzysu ustroju, grożący wstrząsami, wobec których trzeba będzie wyraźnie się określać. Oznaczało to koniec sytuacji, którą uważał do niedawna za względnie stabilną, zdolną trwać do końca naszego życia, a więc taką, w której trzeba nauczyć się żyć, maksymalnie wykorzystując liczne w Polsce luzy w systemowych ograniczeniach wolności. Rzeczywistość pomarcowa natomiast w coraz większej mierze uświadamiała Zbyszkowi, że ten dwuznaczny komfort kończy się, a więc że musi wyraźnie określić się wobec nowych wyzwań. Nie czuł się zdolny do przyłączenia się do opozycji zapoczątkowanej i zdominowanej przez byłych komunistów, utracił też wszelkie złudzenia co do intencji partyjnych narodowców. Jako jedyny sposób odzyskania integralności wewnętrznej jawił mu się więc powrót do głębokich źródeł własnej tożsamości. Niestety jednak okazało się to regresją, a w konsekwencji destrukcją osobowości, zakończoną ciężką, nieuleczalną chorobą psychiczną.

W kwestii tej dzieło Franaszka przynosi sporo ważnych informacji, aczkolwiek przytłacza je nadmiarem szczegółów o życiu towarzyskim i romansach poety, relacjonowaniem barwnych czasów (ale nie zawsze) plotek o nim oraz nadmierne rozbudowanymi jak na biografię polonistycznymi analizami jego twórczości. Przywołuje mianowicie, w ślad za Najderem, liczne przykłady fantastycznych zmyśleń Herberta na temat własnego życia, przedstawianie siebie w roli heroicznego uczestnika walki zbrojnej w okresie okupacji, łącznie z opowieściami o wyczynach absolutnie niemożliwych dla osoby niepotrafiącej strzelać i prowadzić pojazdów mechanicznych. Wiedziałem coś niecoś o tych fantazjach, traktując je jako swoistą *li-centia poetica*, ale dopiero dzięki Franaszkowi zdałem sobie sprawę, że miały one dla Zbyszka znaczenie dużo głębsze. Ciążył na nim wstyd, że nie brał udziału w bohaterskich walkach, miał z tego powodu poczucie winy wobec swoich poległych rówieśników, a więc w celach terapeutycznych wymyślił sobie teorię, że człowiek, a w szczególności poeta, „nie jest tym, czym jest w istocie [...], tylko tym, kim chciałby być”. O sobie zaś pisał w tej wypowiedzi z imponującą szczerością: „To dążenie, próba przeskoczenia siebie, to jest właśnie literatura... To tęsknota do lepszego »ja«, które sobie wymyśliłem i które się potem na mnie mści” (A. Franaszek, dz. cyt., t. I, s. 211-212).

Wyznanie to jest moim zdaniem kluczem do zrozumienia ciężkiej choroby psychicznej, która dręczyła

Zbyszka w ostatnim, długim okresie jego życia. Rozdwojenie jaźni, o którym mówią cytowane wyżej słowa, nie było jednak w naszym kraju zjawiskiem odosobnionym. Pozwolę sobie zilustrować to przykładem z własnej biografii.

W swoim wywiadzie-rzecz Zdzisław Najder cytuje z wielkim uznaniem, jako „charakterystyczny dla pewnej postawy” przekazany mu przeze mnie taki oto wiersz mojego ojca: „Rozmaryn nam się nie rozwinie / bagnety nie zakwitną / po śmierć pójdziemy w czarnym dymie / lecz tak jak dawna szczytną. / Żołnierskiej doli jakąś stratę / przyniesie ta wojenka? / Tę tylko jedną, że skrzydlata / nie zrodzi się piosenka”. (J. Pawelec, P. Szeliga, *Nadgonić czas*, s. 72). Słowa te w siedemnastym roku życia były również wyrazem moich własnych uczuć, nawiązałem więc do nich w naiwnym wierszyku zakończonym zwrotką: „Znów przekwitną pęki białych róż / A niespełnionych marzeń żar przemienie. / Lecz by gorczy polskiej spełnić kruz / Pójdziemy walczyć – chociaż już / Rozmaryn nam się nie rozwinie”.

Ojciec mój, kreśląc przytoczone wyżej słowa, próbował kompensować sobie brak udziału w zbrojnej walce o Polskę, wymuszony przez jego kalectwo. Ja zaś wyrażałem poczucie zawstydzenia, że z różnych powodów nie wziąłem udziału w powstaniu warszawskim, a także marzenie o jakimś nowym powstaniu, w którym mógłbym chwalebnie zginąć. Nie była to wówczas postawa odosobniona. Z wywiadu z M. Janion dowiedziałem się niedawno, że marzenia takie żywiła również ideowo zaangażowana marksistka Maryna Żmigrodzka (M. Janion, *Transe-traumy-transgresje*, s. 142). Głębokie przeżywanie takich nastrojów tłumaczyło łatwość mojego zbliżenia z Herbertem, ale nie powinno to przesłonić istotnej różnicy. Mój ojciec, Michał był, jak dziś wiemy, kierownikiem sekcji prasowej antykomunistycznego kontrwywiadu przy Biurze Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK (patrz *Wywiad i kontrwywiad Armii Krajowej*, red. W. Bułhak, IPN, Warszawa 2008, s. 339-340), a więc w żadnym wypadku nie mógł obwiniać się o bierność w latach niemieckiej okupacji. Pod wpływem alkoholu pozwalał sobie czasem na fantazje całkiem w stylu Herberta, ale na trzeźwo kierował akcją rewindykowania zrównoważonych przez Niemców dzieł sztuki oraz włączał się w plany odbudowy Warszawy, traktując jako motto tych konstruktywnych działań słowa z *Zielonej Gęsi* Gałczyńskiego: „Więcej Osmańczyka, mniej Grottgera i wszystko będzie cacy” (por. entuzjastyczny artykuł o tej stronie jego działalności w książce Edmunda Osmańczyka *Był rok 1945*, PIW, Warszawa 1985; *Wizja Michała Walickiego*). Ja zaś potrafiłem poważnie zastanowić się nad słowami Bolesława Piaseckiego, który odwiedzając kiedyś mojego ojca zapoznał się z moim cytowanym wyżej wierszem i powiedział: „Dla Polski, synu, trzeba żyć, a nie umierać”. Później zaś wpływ partyjnej nagonki na mnie na warszawskiej rusycystyce definitywnie ukierunkował moje myśli ku planom sensownego działania w ramach nowej Polski. Paradoksalne to może, ale tak właśnie było.

Przypadek Zbyszka był jednak inny, dużo poważniejszy i głęboko tragiczny w swych skutkach. Pragnienie bycia kimś innym niż był naprawdę, dręczyło go głębiej i dotkliwiej, co ważniejsze zaś, nasilało się z biegiem lat. Potężnym katalizatorem tego procesu

okazały się oczywiście traumatyczne doświadczenia z SB, a następnie głębokie i bardzo złożone przeżycie wydarzeń 1968 roku. W ostatecznym rezultacie kontrolowane rozdwojenie osobowości przekształciło się u poety w regularną, ciężką chorobę psychiczną, nazywaną dawniej cyklofrenią, a obecnie „chorobą dwubiegunową”. Stosunkowo niedawno jeszcze prawicowi wielbiciel Herberta traktowali to jako oszczerce plotki, rozpowszechniane przez „postkomunistów”, a następnie przez postsolidarnościowych liberałów, nienawidzących ponoć patriotycznego pisarza i pragnących zniszczyć jego reputację. Reprezentatywny jest pod tym względem cytowany wyżej artykuł Bogdana Urbankowskiego w *Encyklopedii białych plam*, przedstawiający Herberta jako ofiarę zmasowanej nienawiści środowisk inteligentnych, atakowanych przez niego za moralny oportunizm i nierozliczoną komunistyczną przeszłość. Franaszek jednak, co zaliczam do jego niewątpliwych zasług, definitywnie udowodnił, że rzekome pomówienia były w rzeczywistości niepodważalną prawdą. Autor *Pana Cogito* leczył się, począwszy od roku 1974 w szpitalach psychiatrycznych i traktowany był w nich jako przypadek ciężki, z czego sam dokładnie zdawał sobie sprawę (A. Franaszek, dz. cyt., t. I, s. 405-406). Wedle świadectwa swej wspaniałej żony, Kasi, starał się uparcie ignorować swoją nieuleczalność, „z całą mocą odrzucał chorobę, która go niszczyła” (tamże, s. 662), czego rezultatem okazał się zanik umiejętności kontrolowania agresywnych zachowań, zrażający do niego nawet bardzo życzliwych mu ludzi. Narażało go to nawet na towarzyski ostracyzm, co jego żona usprawiedliwiała później tym, że „mógł być zły i nacjonalistyczny” (tamże, s. 746). Nie bezpodstawną wydaje się też opinia, że agresywne zachowania Herberta za granicą zachwiały jego kandydaturą do Nagrody Nobla, która była już całkiem prawdopodobna.

W niniejszym kontekście jednak interesuje mnie głównie wpływ choroby psychicznej na ewolucję poglądów Zbyszka w stronę nieprzejednanej prawicy, przeciwnej wszelkim formom narodowego pojednania i już w połowie lat 90. – po wyborczych sukcesach „postkomunistów”, a następnie objęciu prezydentury przez Aleksandra Kwaśniewskiego – zjednoczonej ideowo pod sztandarem najprymitywniejszego, jawnie niedemokratycznego antykomunizmu oraz ślepej nienawiści do złożonego i niejednorodnego dorobku PRL. Mnie osobiście, co uważam za reakcję naturalną – popychało to w kierunku coraz wyraźniejszego dostrzegania pozytywów PRL, zarówno w sferze społecznej, jak i w detotalizacji ustroju, a także w stronę coraz większej solidarności z lewicą jako taką, marginalizowaną i upokarzaną w kapitalistycznej Polsce nie tylko przez prawicowych ekstremistów. Zbyszek natomiast pozwalał sobie wówczas na wypowiedzi w moim odbiorze niemal obłąkane (przenośnie, rzecz jasna, bo o jego chorobie nie miałem żadnego pojęcia), takie jak np. wyrażanie żalu, że nie przyłączył się po wojnie do partyzantów walczących zbrojnie z nową władzą, lub że nie było mu dane zabić w pojedynku zniechęconego gen. Jaruzelskiego. Jeszcze bardziej zdumiewało mnie i przerażało fakt, że wypowiedzi takie podchwytywane były z entuzjastyczną aprobatą przez całkiem sporą część nowej, tworzącej się klasy politycznej. Uważałem to (i nadal uważam) za przejaw poważnego

zachwiania równowagi psychicznej dość licznego narodu, który niejednego przecież doświadczył w swoich dziejach i powinien umieć z tego korzystać, a nie popaść w emocjonalną histerię.

W tym kontekście próbowałem wyjaśnić osobowościową przemianę mego przyjaciela. Nie wiedziałem jednak wówczas, że jego przypadek był o wiele bardziej złożony. Zbyszek cierpiał bowiem na bardzo ciężką chorobę psychiczną, sprawiającą, że w momentach utraty kontroli nie był właściwie sobą, po wyciszeniu zaś wstydił się tych wybuchów agresji i nie dopuszczał ich do głosu w swojej twórczości. Znaczenie tego faktu omówię w zakończeniu niniejszego tekstu.

V. Kontrowersyjny początek III RP. Od zepchnięcia PRL w „czarną dziurę” do dominacji „prawoskrętu”

Moją ocenę drastycznych i bardzo bolesnych dla mnie wypowiedzi i zachowań Zbyszka łagodziło nieco umiejscowienie ich na ówczesnej mapie politycznej zgola innej niż to, co wyobrażamy sobie dziś na ten temat. Dzięki długotrwałej perswazji mediów uważających się za liberalne przyzwyczailiśmy się myśleć, że nie lubiana przez prawicę narodową III RP była wielkodusznym państwem wszystkich Polaków, powstałym dzięki podziwianemu w całym świecie kompromisowi „okrągłego stołu”, a następnie pokojowym i uczciwym wyborom do sejmu, z których wyłonił się rząd Tadeusza Mazowieckiego – polityka opowiadającego się za pojednaniem narodowym i pragnącego w miarę możliwości dotrzymywać zawartych umów. W rzeczywistości jednak rządy Mazowieckiego brutalnie kontestowane były przez znaczącą część nowej klasy politycznej, reprezentowaną przez bojowy „Tygodnik Solidarność”, redagowany przez Jarosława Kaczyńskiego mianowanego na to stanowisko przez samego Wałęsę (po odebraniu logo „Solidarności” Michnikowskiej „Gazecie Wyborczej”). Wałęsa zaś po wygraniu wyborów prezydenckich odebrał insygnia władzy z rąk nieznanego w kraju emigracyjnego prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego, oświadczając: „Z tą chwilą zaczyna się uroczyste III Rzeczypospolita Polska”. Ustupiający prezydent Wojciech Jaruzelski nie został na tę uroczystość zaproszony, chodziło bowiem o symboliczną delegalizację PRL i bezpośrednie nawiązanie do czasów przedwojennej II Rzeczypospolitej. Intencją tej symboliki (z czego nie od razu zdano sobie sprawę) było potraktowanie PRL jako formacji „komunistycznej”, a więc w samej swej istocie antypolskiej, co sugerowało oczywiście, że pełnowartościowy patriotyzm polski nie był możliwy w ramach tej narzuconej struktury. Dodatkową osobliwością tego stanowiska było uznanie, że do Nie-Polski oddzielającej drugą RP od trzeciej należy cały okres między wyborami czerwcowymi 1989 roku i inauguracją prezydentury Wałęsy 22 grudnia 1990 roku, tylko dlatego, że prezydentem był wówczas Wojciech Jaruzelski. Nie miało widać większego znaczenia, że właśnie wtedy dokonano radykalnej i wyjątkowo bolesnej transformacji ustrojowej, znanej pod nazwą „reformy Balcerowicza”. Zwycięski „obóz solidarnościowy” doskonale rozumiał ogromne w Polsce znaczenie symbolów i bardzo pragnął odwetu za upokorzenia stanu wojennego – tym bardziej że zastosowane wtedy represje były w istocie nadspodziewanie łagodne, a co gorsze – nie spotkały się z heroicznym oporem.

U wielu kombatanów „S” doszła do tego niezdrowa ambicja uzurpowania sobie niepodzielnej zasługi „obalenia komunizmu”, co wymagało oczywiście potraktowania całego okresu Polski Ludowej jako „czarnej dziury” w dziejach Polski, czyli okresu, od którego należy odciąć się natychmiast i najradykalniej. Postsolidarnościowa prawica, czyli partia Jarosława Kaczyńskiego nazywana wówczas Porozumieniem Centrum, łączyła ten postulat z żądaniem radykalnej „dekomunizacji”, mającej polegać na zakazaniu byłym funkcjonariuszom PZPR nie tylko udziału w polityce, lecz również obejmowania stanowisk kierowniczych w gospodarce, poczynając od stanowiska brygadzysty w fabryce.

Tak oto natychmiast po dobrowolnym skróceniu prezydentury Jaruzelskiego i pierwszych ogólnonarodowych wyborach prezydenckich znaczna część zwycięskiej klasy politycznej (określającej się jako „postsolidarnościowa”) opowiedziała się za radykalnym zerwaniem ciągłości państwa, nie pytając o zdanie w tej sprawie zwykłych obywateli, potraktowanych wzgardliwie jako niedojrzałe narodo- „przypadkowe społeczeństwo”. Dzięki zdecydowanej postawie postsolidarnościowej lewicy, bardzo umiarkowanej skądinąd, ale dysponującej wówczas dużym autorytetem moralnym, udało się wprawdzie ocalić na pewien czas liberalno-demokratyczną legitymizację transformacji ustrojowej, a nawet zmienić w tym duchu konotację terminu „Trzecia Rzeczpospolita”. Niestety jednak, o czym dziś wolimy nie pamiętać, trwało to bardzo krótko. Sukces „postkomunistów” we wrześniowych wyborach 1993 roku, będący reakcją społeczeństwa na doktrynerską bezwzględność reform Balcerowicza, wystarczył (według gorzkiej konstatacji Michnika), aby cała nowa elita polityczna akceptowała tezę, że „okres PRL był formą sowieckiej okupacji, a PZPR – organizacją zdrajców i kolaborantów z obcym mocarstwem” (patrz A. Michnik, *Im gorzej, tym gorzej*, „Gazeta Wyborcza” 25-26 IX 1993). Znaczyło to, że zwycięska siła polityczna poczuła zagrożenie swej dominacji i zdecydowała bronić się przed nim z pomocą nienawistnego, wulgarnego antykomunizmu, gotowego nie przejmować się zbyttno zasadami politycznego liberalizmu, w tym zwłaszcza aksjomatami proklamowanego teoretycznie państwa prawa, takimi jak np. *lex retro non agit* oraz niedopuszczalność odpowiedzialności zbiorowej. Celowała w tym zwłaszcza klerykalno-narodowa prawica, gwałtownie atakująca liberalizm nowej konstytucji jako „nawagę bolszewicką” i burzenie podstaw porządku moralnego, ale nie łudźmy się – również liberalna część inteligentkiej opinii publicznej zaakceptowała (z bardzo ważnymi, ale nielicznymi jednak wyjątkami) drastyczne plany „dekomunizacji” państwa za pomocą pozasądowej, bezprawnej lustracji, a więc dotkliwej i upokarzającej dyskryminacji setek tysięcy ludzi. Zrezygnowano z tego wprawdzie po zorientowaniu się, że akcja taka uderzyć może także w jej inicjatorów. Pozostała jednak gotowość karania niewinnych ludzi na zasadzie odpowiedzialności zbiorowej za „genetyczny” ponoć komunizm, traktowana przez postsolidarnościową prawicę jako dowód moralnego zachodniego relatywizmu i nihilizmu. Bardziej umiarkowana część klasy politycznej nie podzielała aż takiej gorliwości, ale

przyswyczała się traktować ją jako coś normalnego, niebudzącego zdziwienia i jakoś tam uzasadnionego. Smutną kulminację tego dostosowywania się do najnikczemniejszych praktyk wojującego antykomunizmu przeżyliśmy całkiem niedawno, obserwując słabe i bierne reakcje społeczne na redukowanie emerytur wszystkim osobom, które przepracowały choćby jeden dzień, nawet na stanowiskach czysto usługowych, w trefnych ministerstwach czasów rzekomego komunizmu (do których, żeby było ciekawiej, zaliczono również okres rządów Mazowieckiego!). Posunięcie to, bezprecedensowe i nie do pomyślenia w krajach Zachodu, powinno było wywołać burzę polityczną, w Polsce jednak krytyczna reakcja na ten temat ograniczyła się do kilku, może kilkunastu spokojnie zrezygnowanych artykułów w opozycyjnej prasie.

Reagowałem na ten zdumiewający „prawoskręt” coraz bardziej alergicznie, coraz mocniej odczuwając jego absurdalność, co w sposób naturalny powodowało ewolucję moich poglądów w stronę lewicy. Nie tylko lewicy postsolidarnościowej, przez długi czas niezdającej sobie sprawy z fundamentalnej różnicy między społeczną gospodarką rynkową a brutalnym neoliberalizmem, ale także lewocentrowym postkomunistom, traktowanym po zwycięstwie wyborczym jako rodzaj pariasów, którym „mniej wolno”, którymi można gardzić i nienawidzić zarazem. Odczuwałem więc przykrość i wstyd, gdy dowiadywałem się z różnych źródeł, że Zbyszek (zwłaszcza po alkoholu) od dawna już pozwalał sobie na niekontrolowane, publiczne wybuchy złorzeczeń i grózb przeciwko „obrzydlivym komunistom”. Nie wiedziałem jednak, że było to rezultatem choroby psychicznej oraz, co ważniejsze, nie w pełni zdawałem sobie sprawę z przepastnej różnicy między postawą mojego przyjaciela a wyjątkowo prymitywnym, radykalnie prawicowym antykomunizmem, czyniącym spustoszenia w szeregach nowej „siły przewodniej”.

Genezę tego nowego zac zadzenia ideologicznego dostrzegałem już w okresie 16 miesięcy legalnego istnienia „Solidarności” oraz lawinowej radykalizacji jej członków. Napisalem wówczas list do redaktora „Tygodnika Solidarność”, Bogdana Cywińskiego, autora bardzo wpływowej wówczas książki *Rodowody niepokornych* (Więź, Warszawa 1971), ale nie podtrzymał on głoszonej tam myśli o niezbędności pojednania „tradycji Ludwika Waryńskiego z tradycją Polaka-katolika”, odrzucił bowiem moją sugestię, że zbliżające się stulecie polskiego ruchu robotniczego byłoby datą godną przypomnienia robotniczej „Solidarności”. Po ogłoszeniu stanu wojennego (dopiero wówczas, jak odnotował Karol Modzelewski) w powszechny obieg weszły nieużywane przedtem słowa „komuna” i „komuch” jako określenia wszystkiego co najgorsze, co musiało zaowocować mało istotnym początkowo podziałem na partyjnych i bezpartyjnych. Miałem wówczas przywilej przebywania wraz z rodziną w Australii i pracy naukowej na Australijskim Uniwersytecie Narodowym w Canberze, co dało mi nieoceniony przywilej niezależnego klerka – możliwość zdystansowania się wobec władzy, z którą nie potrafiłem się identyfikować, a jednocześnie krytycyzmu wobec niebezpiecznie nieodpowiedzialnej radykalizacji „Solidarności”, a także wobec opozycyjnej inteligencji, zapominającej, na jakim świecie żyje, ale dobrze pamiętającej o niezbęd-

ności narzucenia robotnikom swych własnych priorytetów – nie socjalnych, lecz politycznych, potwierdzając tym samym ostrzeżenie Wacława Machajskiego. Współpraca z wydziałem sowietologii oraz z wybitnym analitykiem spraw naszego regionu w australijskim MSZ dała mi przy tym dobry wgląd w imponujący wysyp wydawnictw „drugiego obiegu”, będący w swym głównym nurcie zmasowaną prezentacją światowego dorobku literatury antykomunistycznej, a więc zarówno dzieł klasycznych, poważnych i niełatwych do zrozumienia, jak również łatwo przyswajalnych prac publicystycznych, w tym oczywiście antyradzieckich utworów polskiej prawicy. Wyłaniał się z tego obraz prawdziwej i bardzo efektywnej szkoły antykomunizmu i antyradzieckości, a także antyrosyjskości, w której w warunkach stanu wojennego gorliwie uczyli się młodzi Polacy, szukając z reguły uzasadnienia swych emocji, co musiało prowadzić do potwierdzenia znanej prawdy, że „zły pieniądz wypiera lepszy”.

Rezultaty przejścia przez taką edukację obserwowałem na przykładzie niektórych młodych przedstawicieli postsolidarnościowej emigracji w Australii, później zaś, już po przemianie ustrojowej, w kontaktach z polskimi doktorantami, przybywającymi w ramach wymiany naukowej do Uniwersytetu Notre Dame w Indianie, USA (w którym pracowałem jako O'Neill Professor of History od końca 1986 roku), a także z młodymi polskimi naukowcami zapraszany na różne konferencje ogólnoamerykańskie. Zdumiewające było dla mnie to, że ci przeważnie sympatyczni ludzie powtarzali jak mantrę swoisty katechizm polskiej wersji prostackiego antykomunizmu, głoszący całkiem serio, że opozycjonistom spod znaku „S” należy się niepodzielna zasługa obalenia w całym świecie komunizmu, że Polska stała się dzięki temu centrum wszystkiego co najważniejsze w świecie, że komunizm był w istocie niczym więcej jak zbrodniczą kontynuacją rosyjskiego imperializmu, który zagraża naszemu krajowi również po rozwiązaniu ZSRR, że z Rosją, wciąż ponoć podszytą komunizmem, rozmawiać należy z pozycji siły, że tchórzliwy i niemoralny Zachód (z wyjątkiem USA) zawsze zdradzał nasz kraj, ale mimo to my właśnie reprezentujemy rdzenne wartości cywilizacji zachodniej itd., itp. Dziś przypomina mi to do złudzenia ideowe *credo* prawicowych wrogów III RP, ale w czasach, o których mowa, zapisałem te poglądy w dzienniku pod nazwą „Katechizm Trzeciej Rzeczypospolitej”.

Przed biciem na alarm z tego powodu chroniła mnie postawa liberalnej części post-Solidarności, opowiadającej się (w ślad za Adamem Michnikiem) za „modelem hiszpańskim”, czyli za ewolucyjnym przejściem do nowego ustroju przy współpracy dawnej elity władzy, a więc bez rewolucyjnych „rozliczeń” z przeszłością. Z każdym dniem wszakże wychodziło na jaw, że dla roznamienionych antykomunistów z obozu rządzącego oraz dla kibicującej im inteligencji był to wybór nieakceptowalny. Dlatego też III RP była od samego początku państwem niebezpiecznie niestabilnym, a nie „normalną liberalną demokracją”, jak twierdzą dziś poważni skądinąd publicyści. Fachowi politologowie (niestety, nie polscy) od dawna przecież twierdzą, że normalna pluralistyczna demokracja zakłada wyciszenie gorących namiętności politycznych, a więc nie daje się pogodzić z polaryzującą ideologizacją konfliktów.

Pierwsze dobitne potwierdzenie tej diagnozy nastąpiło już w roku 1992, w postaci rozpętanej przez Antoniego Macierewicza „afery teczkowej”. Na pierwszej stronie „Tygodnika Powszechnego” mogliśmy wówczas przeczytać, że kwestia rozliczeń z PRL-owską przeszłością postawiła Polskę „na krawędzi politycznej wojny domowej” (J. Gowin, *Polska niemota*, „Tygodnik Powszechny” 8 VI 1992), a miarodajny do niedawna Michnik uznał za niezbędne dramatycznie ostrzegać społeczeństwo przed „logiką gilotyny”, żądającą „krwi wszystkich »zdradców«” (A. Michnik, J. Tischner, J. Żakowski, *Między panem a plebanem*, „Znak”, Kraków 1995, s. 588). Jeśli miało to coś wspólnego z normalnie funkcjonującą liberalną demokracją, to eskcesy maccartyzmu, a więc zjawisko o nieporównywalnie mniejszym zasięgu społecznym, należałoby uznać za chwalebne przywracanie moralnego wymiaru demokracji, a więc za powód do chwały amerykańskiej klasy politycznej.

Kolejnym i decydującym etapem pozbywania się liberalnych złudzeń co do nowej Polski stały się dla mnie wydarzenia 1995 roku, które przeżyłem jako amerykański profesor na gościnnych wykładach w Warszawie. Już w końcu poprzedniego roku zdumiało mnie, że uroczystym obchodom listopadowego Dnia Niepodległości towarzyszyły w telewizji nie programy o roku 1918, ale o wojnie z „bolszewicką dziczą” z roku 1920, z nieustannym wracaniem do tematu Katynia i pokazywaniem budowy pomnika ofiar agresji radzieckiej. W grudniu z kolei manifestacje nienawiści przed skromnym domem gen. Jaruzelskiego, wyrażające solidarność z rolnikiem o nazwisku Helski, który dwa miesiące przedtem cisnął dużym kamieniem w byłego prezydenta, powodując poważne uszkodzenie jego twarzy i oka. A w kwietniu 1995 roku uroczystość katyńska przy Grobie Nieznanego Żołnierza, mająca ponoć łączyć Polaków z Rosjanami wspólną pamięcią o ogromie poniesionych cierpień, przekształciła się w zmilitaryzowany seans nienawiści, odsyłający tę szlachetną ideę do lamusa. Wkrótce potem prezydent Wałęsa, uważający SLD za kontynuację „bandyckiej opcji”, oznajmił, że nie weźmie udziału w moskiewskich obchodach 50 rocznicy zwycięstwa nad nazizmem, a premier Oleksy może tam pojechać tylko jako osoba prywatna, pełniąc tym czynem „zdradę”, za którą należałoby postawić go przed Trybunałem Stanu. Clinton może tam reprezentować USA, Mitterrand Francję, ale Polski tam nie będzie. Wynik wyborów nie jest ważny, liczy się tylko „Mała konstytucja” uznająca politykę zagraniczną za wyłączną prerogatywę prezydenta.

Tak oto Jelcynowska Rosja, płacąca ogromną cenę ludzkich nieszcześć za inicjatywę rozwiązania ZSRR, uznana została za formalnego wroga niepodległej Polski. Jednocześnie zaś, jak widać z późniejszej perspektywy, zapoczątkowało to kuszące myśli, że może dobrze byłoby, abyśmy nie należeli do antyhitlerowskiej koalicji, albo przyłączyli się do niej dopiero po pokonaniu wraz z Hitlerem bolszewickiej Rosji.

Posunięciom tym, sygnalizującym światu, że kraj marzy ponoć o roli państwa frontowego, gotowego bronić Europy przed z gruntu obcą jej i nieuleczalnie agresywną Rosją, towarzyszyły równie wyraziste wydarzenia krajowe. Ksiądz Henryk Jankowski z gdańskiego kościoła Św. Brygidy – spowiednik Wałęsy

i jedna z ikon „Solidarności” – wstawił się wstawieniem w grobie wielkanocnym, obok krwawiącego orła i krzyży z szubienicami, listy zbrodniarzy: od SS, NKWD i KGB do PZPR, SLD, PSL, Unii Pracy i Unii Wolności; gwiazdy Dawida nie włączył tylko dlatego, że uznał ją za już wpisaną w symbol swastyki oraz sierpa i młota. Bojowa tak niedawno jeszcze „Gazeta Wyborcza” ograniczyła swój komentarz do nieśmiałego pytania czy politycy z PSL, UP i UW nie poczują się „urażeni”, o SLD taktownie nie wspominając. W czerwcu z kolei tenże kapłan wystąpił z apelem, aby każdy z uczestników nadchodzących wyborów przyznał się „do swej nacji”, informując wyborców kto pochodzi z Moskwy, a kto z Izraela.

Zareagowałem na te wydarzenia, zapisując w swym dzienniku, że Polska staje się krajem „pełzającego faszyzmu”. Ale nie dość tego, kolejnym szokiem stała się dla mnie reakcja wielu reprezentatywnych osób na zwycięstwo Aleksandra Kwaśniewskiego w jesiennych wyborach prezydenckich. Wspomniany już Bogdan Cywiński powitał prezydenta-elektę słowami: „Niech cię szlag trafi i to szybko” (patrz moja książka *Polskie zmagania z wolnością. Widziane z boku*, Universitas, Kraków 2000, s. 170-171, a także moja autobiografia intelektualna *Idee i ludzie*, Warszawa 2010, s. 337-338). Wyrafinowany poeta Jarosław Rymkiewicz skierował pod adresem wyborców Kwaśniewskiego słowa: „Jebał was pies! Nie myślcie że jesteście Polsce potrzebni”. Wtórował mu Jacek Trznadel (pamiętany przeze mnie jako nadgorliwy ZMP-owski stalinista), wprowadzając w obieg podział Polaków na „prawdziwych” i „nominalnych” wraz z poglądem, że na postkomunistę głosować mogli tylko ci drudzy (patrz *Idee i ludzie*, s. 337). Co gorsze, nawet zasłużony redaktor „Tygodnika Powszechnego” Jerzy Turowicz uznał wybór Kwaśniewskiego za drastyczne „naruszenie porządku moralnego”, aczkolwiek przyznał zarazem, że jako jednostce nie może nowemu prezydentowi niczego zarzucić.

Wszystko to ostatecznie skłoniło mnie do akceptacji poglądu mojego przyjaciela Bronisława Łagowskiego, że w takiej sytuacji należy popierać stronę słabszą i traktowaną niesprawiedliwie – innymi słowy SLD, partię oportunistyczną wprawdzie, ale jednak dysponującą większym zasobem rozsądku i zdrowego umiarkowania niż postsolidarnościowa prawica, łącznie z dużą częścią jej pseudoliberalnego skrzydła. A gdy myślę o tym dziś, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nic nowego pod słońcem. Ani przez chwilę nie zapomniałem oczywiście, że w III RP, mimo nieprzebiegających w słowach protestów klerykalno-narodowej prawicy, udało się uchwalić przyzwoitą (choć w kwestii praw obywatelskich notorycznie nieprzestrzeganą) umiarkowaną liberalną konstytucję, a także to, że z wałą pomocą gorliwie zwalczanych postkomunistów udało się nam przyłączyć do Unii Europejskiej. Ale w ocenie dominującego klimatu politycznego i politycznej kultury nie mam niestety wątpliwości: obyczaje, które oburzają nas dzisiaj, kwitły już w „normalnej” ponoć III RP i to w postaci niemniej kolidującej z liberalno-demokratyczną przyzwoitością niż obecnie.

Wyraźne samookreślenie wobec klerykalno-narodowej „postsolidarnościowej” prawicy, coraz częściej łączone z krytycznym stosunkiem do postsolidarnościowych liberałów, skłonnych do mylenia wielkiej

tradycji uspołecznionego liberalizmu z neoliberalnym leseferyzmem, skłoniły mnie do ponownej lektury głosnej rozmowy Herberta z Jackiem Trznadlem (z 9 lipca 1985 roku), opublikowanej w książce Trznadla *Hańba domowa* (Instytut Literacki, Paryż 1986). Przy pierwszym czytaniu tego tekstu byłem zaszokowany jego antykomunistycznym radykalizmem, w którym skłonny byłem widzieć niedopuszczalny i krzywdzący wiele osób ekstremizm, ale pod wpływem przedstawionych wyżej wydarzeń 1995 roku postanowiłem to odczucie zweryfikować. Był to dobry pomysł, jego realizacja uświadomiła mi bowiem, że kontrowersyjne opinie mojego przyjaciela różniły się bardzo zasadniczo od prostackiej ideologizacji post-Solidarności. Zapewne było w nich coś z antykomunistycznego amoku, ale amok ten miał jednak źródło w emocjach zrozumiałych dla mnie, niemających nic wspólnego z bełkotem księży Jankowskich i Marianów Krzaklewskich, a także z socjaldarwinizmem pseudoliberalistów stawiających nieomylną ponoć mądrość wolnego rynku. Po wielu latach, a konkretnie w roku bieżącym pamięć o tym skłoniła mnie do jeszcze jednego przypomnienia sobie tej najbardziej gorliwej wypowiedzi poety, niemal jedno-myślnie uznawanego dziś w Polsce za wielkość i mającego licznych wielbicieli również za granicą. Wynik tego eksperymentu okazał się jednoznaczny, pozwolił mi bowiem stwierdzić, że postsolidarnościowa prawica zawłaszczyła Herberta bezprawnie i w gruncie rzeczy musi chyba wiedzieć, że straciła wszelkie podstawy do uważania go za swego ideowego patrona. Gdyby było inaczej, nie zaniedbałaby przecież przypomnienia *Wypluć z siebie wszystko*, ale woli najwyraźniej zapomnieć o tym tekście.

VI. Czy Herbert naprawdę brał w tym wszystkim udział?

Spróbuję wypunktować, dlaczego tak sądzę:

– Tekst Zbyszka zaczyna się od stwierdzenia, że należy do Polaków wschodnich, dla których rok 1945 był nie wyzwoleniem, lecz najazdem, początkiem nowej, znacznie trudniejszej do przeżycia moralnego okupacji (s. 181). Jak wiadomo, ówczesna lewica „Solidarności”, czyli Michnik, Kuroń i Modzelewski, stanowczo taki pogląd odrzuciła i to nie tylko ze względu na swoją „komunistyczną genealogię”. Poecie jednak to nie przeszkadzało „żyć ogromnej sympatii” do tych właśnie osób (s. 185), a znenawidzonego dziś przez prawicę Adama Michnika nazywać wręcz swym najukochańszym przyjacielem (tamże). Komentarz do tego wydaje mi się zbyteczny.

– Wyróżnikiem prawicy, zarówno kiedyś, jak i dziś, było i jest używanie języka obrzydliwie obelżywego, dzielenie rodaków na lepszych i gorszych, a nawet „Polaków prawdziwych” i „zdrajców” oraz apodyktyczne przyznawanie sobie wyłącznej racji. Herbert zaś w swym najmocniej antykomunistycznym tekście w pełni zgadzał się ze słowami swego rozmówcy, że „prostactwo nie jest dozwolone także w stosunku do wroga” i dodawał do tego słowa: „Tak, etos rycerski!”. Z moralnego punktu widzenia jest to, jak sądzę, różnica zasadnicza.

– W połowie lat 90., a tym bardziej dziś, prawica postsolidarnościowa wspierała swą ideologię na bezwstydną i rekordowo nieraz głupiej idealizacji ustroju

i stosunków społecznych przedwojennej Polski. Trzeba było oczywiście (o czym była już mowa) oddać sprawiedliwość temu ważnemu rozdziałowi naszej historii, ale nie musiało to przybierać formy bezkrytycznej apologii tego wszystkiego, co nie nadawało się do obrony. Zbyszek wszakże potrafił godzić sentyment do międzywojennej Polski z lewicową niemalże (a co najmniej lewocentrową) krytyką jej władz, z jednoznacznym odżegnaniami się zarówno od sanacji (wraz z jej obozem koncentracyjnym w Berezie Kartuskiej), nie mówiąc już o antysemickiej młodej prawicy. Widział bez żadnych prób usprawiedliwienia okropną nędzę na wsi i fatalną politykę mniejszościową, komunistów zaś obarczał winą nie za pogwałcenie świętego prawa prywatnej własności przez reformę rolną, ale za niedostateczny radykalizm tej reformy, dającej chłopom jedynie małe skrawki ziemi i w ten sposób przygotowującej ich do kolektywizacji (s. 191). Największe, niezaprzeczalne pozytywy II RP upatrywał (podobnie jak ja) w osiągnięciach intelektualnych i kulturalnych, w znakomitych uniwersytetach, zatrudniających wybitnych uczonych, przed którymi należałoby „paść packiem, uderzyć czołem”, a nie mówić o pułkowniku Becku czy Kocu lub BBWR-ze (s. 188). Nie mógł więc pogodzić się z decyzjami stalinowskiego Kongresu Nauki z 1951 roku, w wyniku których zniknęli z uczelni tak wybitni ludzie jak Ajdukiewicz, Ossowsky, Elzenberg, Ingarden i Tatar-kiewicz (s. 212). I nie potrafił też wybaczyć Tadeuszowi Krońskiemu, że we własnym interesie i z powodu własnych uprzedzeń popierał tę akcję. W tej kwestii zgadzałem się ze Zbyszkim całkowicie, nie dostrzegając w jego poglądach ani krzty nagannego ekstremizmu.

– Następnie podstawowa różnica osobowościowa. Postsolidarnościowa prawica (co widać dziś szczególnie wyraźnie) to instynkt stadny, karne mini-wojsko, wewnętrznie skłócone czasem, ale niepotrafiące obejść się bez autorytarnego przywódcy. Herbert natomiast był zawsze zupełnie niezależnym klerkiem, uważającym, że „intelektualista jest po to, żeby myślał sam, na własny rachunek, nawet przeciwko wszystkiemu, za to jest opłacany albo bity, wszystko jedno, to jest jego psi obowiązek [...] Nie wolno wyzbywać się swojej indywidualności. I oto są faceci urodzeni prawie do tego, słabi, infantylni, w krótkich majtkach” (s. 201). Słowa te od razu uznałem za adekwatny wyraz tego, czym chciałbym być i sądzę do dziś, że to właśnie łączyło mnie ze Zbyszkim szczególnie mocno.

– Kolejną sprawą odróżniającą omawiane *credo* poety od poglądów prawicowego skrzydła postsolidarnościowej opozycji (i traktowanych dziś najnieśluszniej jako ideologiczna nowość) było radykalne odrzucenie obu stron dziwacznych sprzeczności: chętnego podkreślania „zachodniości” Polski z prymitywną krytyką rzekomego kryzysu moralnego współczesnej Europy i przeciwstawianiem mu rekordowo naiwnej ideologizacji USA oraz wiary w obustronną niezbędność polsko-amerykańskiego sojuszu. Herbert przecież już w połowie lat 70. planował napisanie książki atakującej zarówno komunistów, jak ich amerykańskich wrogów, i nieoszczędzającej również „czarnych”, czyli konserwatywnego kleru (patrz jego list do Marka Walickiego z 18 V 1975, cytowany w wymienionym wyżej opracowaniu B. Urbankowskiego, s. 252). I pamiętać należy nie tylko o jego oślawionej scysji z Miłoszem w lecie

1968 roku, ale także wiersz *Do Czesława Miłosza* mówiący wprost (i zgodnie z diagnozą starszego poety), że świat podzielony jest na dwie części i „nie wiadomo, która lepsza, ważniejsza, a która jest gorsza / nawet szeptem pomyśleć nie wolno, że obie są jednakowe” (Z. Herbert, *Rovigo*, Wrocław 1992, s. 58). A jednocześnie tenże Herbert utożsamiał się kulturowo z Europą, odżegnując się od sarmackiego pozowania na moralną wyższość, którą dostrzegał m.in. w mesjanizmie Mickiewicza (*Hańba domowa*, s. 209). Wszystko to umiejscawiało go na antypodach katolicko-narodowej prawicy, dziś triumfującej, ale w pełni ukształtowanej już w pierwszej połowie lat 90.

– Inną jeszcze sprawą, tym razem łączącą oba skrzydła ideologiczne postsolidarności, ale najbardziej charakterystyczną jednak dla prawicy, był u Zbyszka zupełny brak usilnie lansowanego dziś mitu o PRL jako ponurym okresie nieustannego dławienia wolności, porównywalnym do radzieckiego totalitaryzmu, niezmiennym w istocie i niepozwalającym nikomu na normalną radość życia. Herbert dokonał w istocie dekonstrukcji tego mitu, co nie dawało się pogodzić z dominującym później, a następnie oficjalnie proklamowanym poglądem, że PRL była w istocie radziecką okupacją, „czarną dziurą” w narodowej historii. Sam wprawdzie zadeklarował na początku omawianego wywiadu taką właśnie tezę, ale następnie bardzo mocno podważył ją, ukazując zaskakująco szerokie poparcie elit dla nowego ustroju, hojnie odwzajemniane wyjątkową wręcz łagodnością władz wobec szeroko rozumianej inteligencji twórczej, a nawet nadawaniem jej uprzywilejowanego statusu. Taka polityka zaś egzemplifikowała typową relację państwa wasalnego wobec zewnętrznego hegemonu, ale w żadnym wypadku nie podpadała pod pojęcie okupacji, zakładające (jak w przypadku Generalnej Guberni) istnienie obcej, zmilitaryzowanej administracji zawłaszczonego terytorium. Odróżniamy przecież Francję Vichy od Francji okupowanej, a skoro tak, to określenie Polski Ludowej (nawet w okresie stalinizmu!) jako okupacji radzieckiej jest tylko i wyłącznie demagogiczną nowomową.

– I wreszcie główny wątek Herbertowskiego wywiadu, tym razem antycypujący późniejszy konflikt poety ze środowiskiem „Gazety Wyborczej”, ale szczególnie bliski postsolidarnościowej prawicy. Było nim gwałtowne, emocjonalne oskarżenie inteligencji, a w szczególności środowiska pisarskiego, o chętnie przyjęcie roli stalinowskich „inżynierów dusz”, a po „odwilży” równie chętnie przyjęcie roli rozkapryszonych beneficjentów ustroju, zainteresowanych wyłącznie samymi sobą, ale traktujących swe liczne przywileje jako zasłużone i aż nadto oczywiste. Autor *Pana Cogito* dysponował jednak własnymi doświadczeniami w tej sprawie, gruntownie podważającymi samochwalcze mity inteligencjonalnej elity, głównie, choć nie tylko, literackiej, usilnie nagłaśniane już w pierwszych latach po ogłoszeniu stanu wojennego. W rozmowie z Trznadlem zaatakował więc tę mitologię bardzo ostro, nie unikając niestety gwałtownych emocji. Powiedział bez ogródek, że nawet w najgorszych czasach stalinizmu życie inteligencji twórczej było nie gehenną, ale „idyllą podszytą strachem, że można zlecieć w ten okropny dół, gdzie żyło realne społeczeństwo. Kluby, domy wypoczynkowe, wysoki standard, salon literacki pani Nałkowskiej, wyjazdy za

granicę” (s. 194-195). A po przełomie październikowym nieuzasadnione pretendowanie do narodowego przywództwa w dziwnym połączeniu z narcystycznym brakiem zainteresowania losami robotników i chłopów jako ciemnej masy, niezdolnej do uczestniczenia w życiu oświeconych Europejczyków, skupionych na dotrzymywaniu kroku artystycznym nowinkom z Zachodu, a przy okazji niezaniebujących troski o swe własne interesy. A jeszcze później, w warunkach dezideologizacji ustroju, nerwowa reakcja na jednoczesne tracenie autorytetu społecznego i uprzywilejowanej pozycji w systemie, znajdujące wyraz w infantylnej pretensji wobec władzy: „Bo jak to? Kochali, pieścili i rzucili” (s. 290). Brak zaszczętów, zamówienia społecznego, pustka. A skoro tak, to przystępujemy do opozycji (tamże).

Zbyszek zgadzał się, że to słowa grubiańskie, w duchu socrealizmu. W zakończeniu wywiadu wyznawał rozbijającą: „To, co zostało powiedziane, mówiła gorsza część mojej istoty, którą wyrzucam za drzwi, kiedy próbuję pisać” (s. 222). Ja w tym czasie też tak to odbierałem, a nawet więcej: miałem poczucie całkowitej niezgody z tą „gorszą częścią” mojego przyjaciela. Po Październiku 1956 mogłem przecież zaliczyć się do ofiar systemu, zawsze wolnych od złudzeń, ale nie chciałem tego, rozumiałem bowiem, że w narzuconym ustroju można było widzieć szansę przezwyciężenia społecznych anachronizmów Polski, wołałem więc identyfikować się z ludźmi, którzy (jak bliski mi Leszek Kołakowski) przeszli przez okres zaczerpnięcia ideologicznego i potrafili przezwyciężyć je od wewnątrz. Nie negowałem istnienia postaw opisanych przez poetę, ale osobiście bolało mnie jego zaciętrzewienie w krytyce inteligencji, a zwłaszcza odmawianie czci i wiary wewnętrznie uczciwym marksistowskim „rewizjonistom”. Dlatego więc dość długo podzielałem stanowisko liberalnego skrzydła „postsolidarności” broniącego osoby ze stalinowską lub oportunistyczną przeszłością. Ale znałem Zbyszka zbyt długo, należałem do kilku zaledwie osób, z którymi mógł w najtrudniejszych czasach swobodnie rozmawiać, a więc również jego rozumiałem „od wewnątrz”, co nie pozwalało mi reagować z oburzeniem na jego poglądy.

Więcej nawet. Późniejsze wydarzenia potwierdzały w moim odczuciu, że dokonana przez Herberta bezlitosna krytyka inteligenckich elit nie była bezzasadna, i to nie tylko w sprawach, o których pisał. Intelktualiści starszego pokolenia, uprzywilejowani w czasach stalinizmu, zasługiwaliby na więcej szacunku, gdyby odważyli się bronić swego ówczesnego wyboru, a nie rywalizowali ze sobą w potakiwaniu nowej klasie politycznej. Niedysięjsi piewcy „niewzruszonej przyjaźni polsko-radzieckiej” mogliby wykazać się krytycyzmem wobec prymitywnej rusofobii, która stała się znakiem firmowym niepodległej Polski, szkodząc jej żywotnym interesom i wykazując przy tym zupełny brak empatii wobec ciężko doświadczonej i z trudem odradzającej się Rosji. Od surowych krytyków państwa zreformowanego kapitalizmu w okresie „trzech wspaniałych dekad” powojennego rozwoju należałoby oczekiwać ostrzeżeń przed likwidującym społeczne zdobycze tych lat neoliberalnym regresem. Było to moim zdaniem absolutnym obowiązkiem ludzi deklarujących przywiązanie do autentycznych wartości liberalnych. W rzeczywistości jednak liberalna inteligencja (ze znaczącymi, lecz nie-

licznymi wyjątkami) prześcigała się w entuzjzmie dla świętej wolności rynku (a nie wolności człowieka), posuwając się nawet do krytyki z tego punktu widzenia Jana Pawła II, a nawet wypowiedzi o posmaku socjaldarwinistycznym. A wszystko to z poczuciem, że to robotnicy „zdradzili inteligencję”, a nie na odwrót, ośmielili się bowiem bronić swych zakładów pracy, likwidowanych w imię modernizacji państwa (patrz T. Bogucka, *Druga Solidarność*, „Gazeta Wyborcza”, 2 II 1991).

W mojej ocenie oświadczenia takie były szczerym aż do bólu potwierdzeniem słynnej diagnozy Wacława Machajskiego, głoszącej, że zrewoltowani robotnicy zawzięci zdradzeni będą przez swych inteligentnych przywódców dążących świadomie lub nieświadomie do ukonstytuowania się w nową klasę panującą, reprezentującą monopol na „kapitał umysłowy”. Michnik opowiadał się za takim scenariuszem w imię prymatu niepodległości. Jarosław Kaczyński widział w nim dość cyniczny, ale skuteczny sposób dochodzenia do władzy, a nie brakowało też szeregowych karierowiczów pragnących po prostu zdobyć dla siebie uprzywilejowane stanowiska PRL-owskiej nomenklatury. W każdym wypadku było to jednak traktowanie postulatów robotniczych jako narzędzia, a nie rzeczywistego celu, a więc zupełne odstępstwo od początkowego idealizmu, proklamującego uroczyste nierozzerwalny sojusz opozycyjnej inteligencji z klasą robotniczą.

Jak dobrze wiedzą czytelnicy moich książek i artykułów, mój własny stosunek do „pierwszej Solidarności” był bardzo krytyczny – uważałem bowiem niektóre jej postulaty społeczne za absolutnie nierealne, niemożliwe do spełnienia przez władze państwowe, a więc siłą rzeczy przekształcające pokojowy ruch na rzecz reform w rewolucyjną kontestację całego ustroju, rozniecającą destrukcyjną nienawiść, wystrzegającą się wprawdzie użycia przemocy, ale ze względów ostrożnościowych tylko, a nie zasadniczych. Zagroziło to w sposób oczywisty bezpieczeństwu państwa. W czasie szesnastu miesięcy faktycznego podziału władzy między „Solidarność” a kierownictwem PZPR nic bowiem nie zapowiadało zmiany podziału Europy, gwarantowanego przez umowy międzynarodowe niezależnie od takiej czy innej woli ludności. Jako człowiek nieźle znający ZSRR przeświadczony byłem, że próby zachwiania tym układem spowodować mogą tylko drastyczną zmianę na gorsze i to zarówno z punktu widzenia wolności obywatelskich, jak i zakresu suwerenności. W całej pełni bowiem doceniałem fakt, że dzięki wyśmiewanemu dziś Władysławowi Gomułce Polska Ludowa zmieniła status wasalny na całkiem realną choć ograniczoną suwerenność, znacznie większą niż w sąsiednich krajach „realnego socjalizmu”.

W żadnym wypadku nie oznaczało to jednak aprobaty dla późniejszej transformacji ustrojowej, dokonywanej niby pod sztandarem „Solidarności”, ale naprawdę bezceremonialnie ignorującej reprezentowane przez nią społeczne interesy robotników. Nie potrafiłem pojąć, dlaczego cele uważane do niedawna za szczytny wyraz aspiracji narodu stały się nagle naganną „roszczeniowością”, czyli smutnym przejawem sowietyzacji ludzi pracy fizycznej – w przeciwieństwie, rzecz jasna, do rzutkości i patriotyzmu przedsiębiorców, czyli pionierów bezwzględnej modernizacji. Sam także krytykowałem robotniczą „Solidarność” za wulgarno-socjalistyczne „chciej-

stwo”, ale w żadnym razie nie życzyłem jej tak gorzkiej lekcji. Wyobrażałem sobie, że dochodząca do władzy inteligentna elita „Solidarności” przezwycięży to dziedzictwo niedojrzałości w duchu najbardziej postępowych wzorów gospodarki rynkowej, czyli z maksymalnym uwzględnieniem prawomocnych interesów świata pracy. Stało się jednak zupełnie inaczej, co skłoniło mnie do zwątpienia w szlachetny idealizm postsolidarnościowych elit. Podziwiałem naturalnie ludzi protestujących przeciwko temu, takich jak Kuroń, Modzelewski czy Aleksander Małachowski, ale nie mogłem nie widzieć, że nie mieli oni realnego wpływu. Ceniłem też uczciwe przyznanie, że w konfrontacji solidarnościowych radykałów z władzami PRL rację miała strona rządowa, bo nie było prawdą, że „braki w sklepach wynikały z eksportu mięsa do ZSRR”, a co ważniejsze, propaganda rządowa słusznie przypominała, że „dzielić można tylko to, co się wyprodukuje” (W. Gadomski, *Nierealne postulaty Sierpnia*, „Gazeta Wyborcza”, 31 VIII 2015). Sprawilo mi pewną satysfakcję, że słowa te wypowiedział neoliberalny mentor „Gazety Wyborczej”. Niestety, nie był to jednak sygnał dla klasy politycznej, że czas już rozstać się z nieszczerem, coraz bardziej zakłamanym legitymizowaniem własnej pozycji zmitologizowanym dziedzictwem robotniczego związku.

VII. Świadectwo poezji, która zawłaszczyć się nie da

W tym kontekście podkreślić muszę, że Herbert, zgodnie z najlepszymi tradycjami lewicowej inteligencji, nie tolerował wyższościowego lub instrumentalnego stosunku intelektualistów do prostych ludzi. Łatwo znajdował wspólny język z robotnikami, chłopami, rzemieślnikami i rybakami, widział w nich bowiem więcej rozsądku i uczciwości niż w kręgach narcystycznych elit. Daleki był też od absolutyzowania racji inteligentnych idealistów, pozwalających sobie w imię patriotyzmu na aroganckie ignorowanie żywotnych interesów i celów „niższych” warstw społeczeństwa. Postawę tę wyraził m.in. w przyjacielskiej rozmowie ze mną w czasie swego krótkiego przyjazdu do Polski we wrześniu 1981 roku. Mówiąc o ideach „Solidarności”, kładł nacisk, jak się spodziewałem, na ich aspekt narodowy, ale z uwagą wysłuchał mojej krytyki bezkompromisowego radykalizmu oraz prognoz, że inteligenci opozycjoniści w przypadku politycznego sukcesu bezceremonialnie zdradzą robotników, narzucając im priorytety własne, zupełnie obce socjalnym celom związku. Zbyszek nie próbował spierać się ze mną, a moje obawy skomentował w gorzkich słowach: Nie dziwiłbym się temu, bo było tak zawsze.

Ta właśnie postawa, niewolna od domieszki wyśzukanego dziś „populizmu”, stała się przyczyną zasadniczego rozdziewięku między Herbertem a tak bliskim mu przez wiele lat Michnikiem. Redaktor „Gazety Wyborczej” wybrał bowiem rolę apologety środowisk krytykowanych przez poetę, nie wahając się głosić, że nie jest prawdą, jakoby każdy naród miał taką inteligencję, na jaką zasłużył, naród polski bowiem ma inteligencję o wiele lepszą niż on sam. Poeta natomiast widział w takiej postawie premiowanie oportunistów, niedopuszczalne zapomnienie o starointeligenckim etosie, wymagającym od elit legitymizowania się wyższością nie intelektualną tylko, ale również moralną.

W późniejszym okresie nie widywałem się już ze Zbyszkiem, słusznie obawiając się tak obcych mu przed-

tem wybuchów nienawiści, łącznie z absurdalnie niesprawiedliwymi wypowiedziami o ludziach, których szanowałem (w tym oczywiście o gen. Jaruzelskim). Przekonany byłem jednak, że wypowiedzi takie wyrażały jedynie „gorszą część” osobowości poety, od której on sam odżegnywał się ze wstydem, deklarując, że nie dopuści jej do głosu w swojej twórczości. Przykry fakt, że ta „gorsza część” naprawdę istnieje i przejawia się coraz częściej w zaskakująco wybuchowy sposób, tłumaczyłem sobie nawrotami ciężkich stanów depresyjnych, które nawiedzały wrażliwego poetę już w latach 60. pod wpływem coraz trudniejszych relacji ze środowiskiem literackim, prób instrumentalnego wykorzystania tego konfliktu przez coraz bardziej „narodowych” reprezentantów obcego mu systemu, a nade wszystko dość długiego przecież okresu periodycznych rozmów ze Służbą Bezpieczeństwa, w które nieostrożnie się uwikłał. Dzięki dziełu Franaszka wiem dziś – jak już wspominałem – że było jeszcze gorzej: „gorsza część” Zbyszka zawdzięczała swe istnienie nie zwyczajnej depresji, lecz czemuś znacznie poważniejszemu – a mianowicie nieuleczalnej, klinicznie zdiagnozowanej chorobie psychicznej. A skoro tak, to gwałtowne napady agresji były nieszczęściem pisarza, jeszcze jednym dowodem jego przejmującego tragizmu, a nie ujawnieniem jakichś nienawistnie-oszołomskich złóż jego psychiki.

Ważne potwierdzenie mojej tezy, że autentyczny Herbert nigdy naprawdę nie zbliżył się do umiarkowanej nawet postsolidarnościowej prawicy, znalazłem niedawno we francuskiej biografii poety, napisanej przez tłumaczkę jego utworów (Brigitte Gautier, *La poesie contre le chaos. Une biographie de Zbigniew Herbert*, Les Éditions Noir Sur Blanc, 2018). Znajdujemy tam bardzo wymowną wypowiedź Herberta o ugrupowaniach prawicowych, brzmiącą po polsku tak oto: „Prawica polska wykopała sobie grób, stanęła na jego brzegu i wałęsała się w głowę szpadlem” Autorka przytoczyła tę wypowiedź za książką *Wierność. Wspomnienia o Z. Herbercie*, wybór i red. Anna Romaniuk, PWN, Warszawa 2014, s. 449. Do jej relacji wkradła się niestety błędna informacja, jakoby słowa te były wypowiedziane przez poetę w czasie lunchu ze Zdzisławem Najderem i Markiem Walickim. Przytoczona przez nią ocena polskiej prawicy pochodzi ze wspomnień o Herbercie Jerzego Siwca, ale w kontekście niniejszego artykułu nie ma to znaczenia. Warto natomiast dodać, że według autora cytowanych wspomnień rozczarowanie poety do Adama Michnika nie oznaczało przejścia do obozu jego wrogów: „Zbyszek bowiem nigdy nie chciał przyłączać się do jakiejkolwiek grupy”.

Surowa ocena przez Herberta polskiej prawicy mówi sama za siebie, a więc francuska autorka pozostawiła je bez komentarza. I słusznie: Herbert naprawdę nie był prawicowcem, zwłaszcza w stylu polskim, a już najmniej w duchu „Solidarności”. Ta ostatnia (z małymi wyjątkami) nie zrzeszała przecież osób zdolnych do autoironii, dystansu i empatii, co nie mogło być bliskie subtelnemu poecie. Nie mówiąc już o klerykalnym katolicyzmie, najzupełniej mu obcym, a także o nacjonalistycznym samochwalstwie, którego niestety nie doszukiwał się w jego utworach Czesław Miłosz.

Nie wolno także zapominać o przytoczonej wyżej deklaracji Herberta, że „gorszą część” swojej istoty wyrzuca za drzwi, kiedy próbuje pisać. Oświadczenie to

było zarazem obietnicą, której poeta solennie dotrzymał. W jego utworach poetyckich od początku do końca nie ma przecież niczego z dobrze znanego nam repertuaru nienawistnych obsesji dzisiejszej prawicy. Należy to podkreślić, ponieważ wielu autentycznych patriotów błędnie sądzi, że identyfikowanie się z postawą autora *Raportu z oblężonego miasta* zobowiązuje ich do sojuszu z zewsząd napierającą ofensywą bogoojczyźnianego kultuństwa. Jest to koszmarnym nieporozumieniem, obciążającym niestety całą „post-Solidarność”, a w szczególności tych jej przywódców, którzy uznali w pewnym momencie, że leży w ich interesie utożsamienie polskiego patriotyzmu z fundamentalistycznym antykomunizmem, a właściwie „antypeerelizmem”, że najmniejsze odstępstwo od tego dogmatu świadczy o przynależności do Polaków „drugiego sortu” i płynnie przechodzi w „narodową zdradę”. Herbert jednakże nie miał z tym nic wspólnego.

Jest to dla mnie oczywistością, ale mimo to spróbuję zilustrować tę myśl na przykładzie kilku reprezentatywnych utworów z poetyckiego dorobku Zbyszka. Takich oto:

– *Substancja*. Ani krzty pogardy dla niebohaterskiej większości, przeciwnie: filozoficzna refleksja, że dzięki jej vitalności i uporowi w bronieniu się przed biologiczną zagładą „naród trwa, a następnie: wznosi łuk triumfalny dla pięknych umarłych” – tych, którzy „kochają bardziej piękne słowa niż tłuste zapachy, ale jest ich na szczęście niewiele”. A więc patriotyzm gorzki, bardzo Miłoszowski w istocie, nie do pogodzenia z kłamiwym samochwalstwem narodowym.

– *Przypowieść o emigrantach rosyjskich*. Ani śladu obsesyjnej rusofobii, przeciwnie: refleksja smutna ale głęboko empatyczna, nie do pogodzenia z obowiązującą dziś obsesją nieustannego podkreślania, że każdy Rosjanin podszyty jest ponoć groźnym i niewykonalnym imperializmem.

– *Rozważania o problemie narodu*. Bez jakichkolwiek idealizacji więzi narodowej, przeciwnie: trzeźwa świadomość, że jest ona w istocie nieracjonalna, tkwi korzeniami w barbarzyńskiej plemienności, objawia się „w nagłym czerwienieniu, w ryku i wyrzucaniu rąk”, a co gorsza „może doprowadzić do pośpiesznie wykopanego dołu”. Poeta przyznaje się, że buntował się przeciwko temu. Sądzi jednak, że „ten okrwawiony węzeł powinien być ostatnim, jaki wyzwalać się potarga”. A więc ani krzty nacjonalistycznego zadęcia, a także bezmyślnej idealizacji powstania warszawskiego. Z konkluzją zaś, określoną przez autora jako jego testament, można się zgadzać lub nie, ale trzeba chyba ją uszanować. Zwłaszcza w Polsce.

– *Wawel*. Odważne wyzwanie rzucone narodowemu samouwieleniu i samochwalstwu. „Patriotyczną kataraktę na oczach miał ten, co się zrównał z gmachem marmurów”. Bo to przecież tylko „cegłany śmieszny zgiełk / królewskie jabłko renesansu na austriackich koszarach tle / Akropol dla wydziedziczonych i łaska dla cierpiących”. Komentarz chyba zbyteczny.

– *Prolog* do tomiku *Napis*. Wspaniały wiersz, godny zacytowania w całości, czego z oczywistych względów jednak nie robię. Zderzenie różnych racji współistniejących w światopoglądzie poety. Jedną z nich reprezentuje *On* niepotrafiący zapomnieć o straszliwościach wojny, w tym o tragicznym losie leśnych żołnierzy: „I zgrzebną napis na tych deskach / imiona krótkie niby

salwa / „Gryf”, „Wilk” i „Pocisk” kto pamięta / spłowiata w deszczu ruda barwa”. Odpowiada na to *Chór* reprezentujący stoickie pogodzenie się ze światem (choć nie z Historią jak u Hegla) w typowo Herbertowskim połączeniu z panteistycznym podziwem dla jego majestatu i piękna: „Wyrzuć pamiętki. Spal wspomnienia i w nowy życia strumień wstąp. / Jest tylko ziemia. Jedna ziemia i pory roku nad nią są. / Wojny owadów – wojny ludzi i krótka śmierć nad miodu kwiatem. / Dojrzewa zboże. Kwitną dęby. W ocean schodzą rzeki z gór”. I znowu *On*: „Płynę pod prąd, a oni ze mną / nieubłaganie patrzą w oczy / uparcie szepczą słowa stare / jemy nasz gorzki chleb rozpacz”. I wreszcie nieoczekiwane zakończenie autorskie: „Rów, w którym płynie mętna rzeka / nazywam Wisłą... Ciężko wyznać: na taką miłość nas skazali / taką przebudli nas ojczyzną”.

A więc nie gwałtowny konflikt, lecz właściwie dialog, w którym obie strony reprezentują racje godne zrozumienia i szacunku. Ani odrobiny nienawistnej agresji, dążącej do totalnego zniszczenia i moralnego zdyskredytowania rzekomego antypatriotyzmu. W zakończeniu zaś radykalne odżegnanie się od narodowej pychy, samochwalstwa.

– I wreszcie, w *Raporcie z obłąkanego miasta* wiersz zatytułowany symbolicznie: 17 IX, ale w istocie mówiący o spodziewanej radzieckiej interwencji w „solidarnościowej” Polsce. Czytamy w nim: „Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeźdźco /.../ A potem tak jak zawsze – łuny i wybuchy / malowani chłopcy, bezsenni dowódcy / plecaki pełne kłęski rude pola chwały / krzepiąca wiedza że jesteśmy – sami / Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeźdźco i da sążeń ziemi pod wierzba – i spokój by ci, co po nas przyjdą, uczyli się znowu / najtrudniejszego kunsztu – odpuszczania win”.

Prognoza zawarta w tych słowach okazała się podwójnie błędna. Po pierwsze, dlatego, że zniechędzonego przez poetę generałowi udało się zapobiec nieszczęściu, a po drugie – z powodu przewidywań, że w przypadku interwencji powtórzyłaby się stara historia kłęski „malowanych chłopców”. Osobiście nie przewidywałem takiej możliwości, mocno odczuwałem bowiem, że wielomilionowa „Solidarność” jest ruchem na rzecz rewindykacji społecznych, a nie kolejnym powstaniem narodowym. Ale mimo to przytoczone słowa są dla mnie imponującym świadectwem całkowitej odporności na delirium głupiego samochwalstwa (w rodzaju „pójdziemy w trampkach na Moskwę”), a przede wszystkim jednoznacznego dystansowania się od ślepej nienawiści do narodu, który naprawdę bardzo nie chciał być naszym wrogiem. Wśród kombatanów „Solidarności” myśli o przebaczeniu nigdy nie były popularne, co z biegiem czasu przekształcało ślepą nienawiść do komunizmu w nienawiść do Rosjan, mimo że dość długo odnosili się oni do Polski bardzo przyjaźnie. Niech więc nikt nie oskarża Herberta o nacjonalizm, bo tym akurat grzeszył nie on, ale post-Solidarność, łącznie, niestety, z większością jej „liberalnego” skrzydła.

VIII. Próba podsumowania

Jak z powyższego widać, Herbert nie sprzeniewierzył się deklaracji, że w swej twórczości nie dopuści do głosu „gorszej części” własnej istoty. Powinniśmy to docenić i nie budować jego wizerunku na podstawie niekontrolowanych, gwałtownych wypowiedzi, mówią-

cych właściwie nie o nim samym, ale o jego ciężkiej chorobie, dokładnie dziś udokumentowanej, choć nie tak dawno jeszcze uważanej za złośliwy wymysł jego ideowych przeciwników. Był niewątpliwie ofiarą trudnych czasów, aczkolwiek nietypową: nie zaznał przecież ani ideologicznych prześladowań (jak niżej podpisany), ani bolesnego załamania komunistycznej „nowej wiary”, bo nigdy jej nie podzielał. Jego tragizm polegał na tym, że system, którego nie akceptował i który stał się w gruncie rzeczy coraz mniej komunistyczny, pragnął go pozyskać, w jakimś przenośnym sensie „kupić”, posuwając się w końcu do prób instrumentalnego wykorzystania go przez SB. To właśnie odczuwał jako sytuację nieznośną, która wpędziła go w depresję, a w końcu w regularną cyklofrenię. Elementarna uczciwość nakazuje więc, aby oceniać wielkiego polskiego poetę na podstawie jego pisarskiego dorobku, a nie stanów psychicznych, których sam długo się wstydził, nie dopuszczając do wyrażenia ich w swej twórczości.

Ta prosta myśl nie jest bynajmniej wyrazem aprobaty wszystkich poglądów politycznych i sądów wartościujących mego wieloletniego przyjaciela. Niniejsza próba empatycznego wyjaśnienia jego tragizmu nie koliduje w moim przypadku z rozumieniem bardzo istotnych i osobistych tragedii ludzi o innej niż Zbyszka genealogii ideowej, jak np. Zygmunt Bauman lub Leszek Kołakowski. Przypadek Herberta jest jednak bardzo nietypowy, uważa się go bowiem za ideowego inspiratora triumfującej dziś prawicy, podczas gdy w rzeczywistości traktował ją jako formację, która wykopałszy sobie grób, uśmierciła się ciosem w głowę. Okazało się oczywiście, że była to śmierć moralna tylko, a nie społeczna, co potwierdziło nienową obserwację, że moralna miałość łatwiej rozpowszechnia się niż szlachetność.

Skupienie się na tej szczególnie ważnej dziś sprawie nie oznacza zapomnienia o karygodnych moim zdaniem błędach „liberalnego” odłamu „post-Solidarności” w polityce społecznej i zagranicznej. Tym bardziej że nie były one wynikiem presji naszych nowych sojuszników, ale wyłącznie nadgorliwej krótkowzroczności i grupowego egoizmu. Nie potrafię usprawiedliwić utożsamiania wartości liberalnych z apologią „wolnego rynku”, manipulowanego w istocie przez międzynarodową super-oligarchię, nie pojmuję też, jak można wspierać patologiczną nieraz rusofobię, łącznie z aprobatą totalnie ahistorycznej i nacjonalistycznej teorii o niezmiennie antyrosyjskiej misji Polski. Wielokrotnie pisałem już o tym i jeszcze do tego wrócę. W niniejszym tekście ograniczę się do odnotowania, że wśród postsolidarnościowych liberałów są jednak ludzie starający się zrozumieć popełniane błędy i gotowi naprawiać je w sojuszu z lewicą. Życzę im powodzenia, ale pod warunkiem rezygnacji z dawno już zużytej, zakłamej, głęboko szkodliwej kombatanckiej mitologii.

Poezja Herberta powinna natomiast stać się jednym z trwałych elementów kształtowania się polskiej tożsamości, nie monolitycznej już i odgórnie kreowanej, lecz pluralistycznej i wolnościowej. Herbert zasłużył na to nie tylko jako artysta, lecz także jako światły, krytyczny patriota, niezbędny czytelnikom, dla których słowo „naród” coś jeszcze pozytywnie znaczy.

Lipiec 2018

ANDRZEJ WALICKI

„KOWADŁO”

DLA ANDRZEJA SEWERYNA

Dwa wydarzenia z 11 i 12 września 2018 roku zapisały się w historii Krakowa. Pierwsze z nich, to nadanie imienia Andrzeja Wajdy skwerowi otwierającemu perspektywę na gmach Teatru im. Juliusza Słowackiego, a drugie, to wręczenie nagrody „Kowadła” nadanej przez „Kuźnicę” zasłużonemu dla sztuki polskiej i francuskiej, wybitnemu aktorowi, reżyserowi i dyrektorowi, czynnemu na polu teatru i kina, Andrzejowi Sewerynowi.

Wręczenie „Kowadła” odbyło się w wyjątkowej scenerii – w salach Teatru STU, a spotkanie prawem gospodarza miejsca rozpoczął dyrektor Krzysztof Jasiński, stwierdzając m.in.: – Jest prawdziwym zaszczytem dla nas, że wybraliście nasz teatr na tę uroczystość. Gratuluje wam wyboru. Oczywiście jest wiele miejsc w Krakowie, które przyjęłyby was dziś wszystkich z otwartymi ramionami, wzruszeniem i serdecznością, a przede wszystkim laureata waszej nagrody.

Kilka słów wprowadzenia wypowiedział prezes „Kuźnicy” dr. Paweł Sękowski, witając serdecznie zaproszonych gości, w tym prezydenta m. Krakowa, prof. Jacka Majchrowskiego i konsula generalnego Francji Frédéric de Touchet. Specjalne podziękowania za pomoc w organizacji wydarzenia skierował do Holgera Politta, dyrektora Fundacji im. Róży Luksemburg – Przedstawicielstwa w Polsce, Saturnina Kampioniego i Ryszarda Śmiałka.

Laudację, której tekst drukujemy, przygotował i wygłosił red. Krzysztof Mroziwicz, uzupełniając ją cytataми z rozmowy *Trzech na jednego* z bohaterem wieczoru, drukowanej w „Zdaniu”.

Na wymienienie zasłużyli też Valentin Dubrowskij (fortepian), który wprowadził obecnych w nastrój wiazanką piosenek francuskich i Kamila Najduk (sopran), która zaprezentowała pieśń do muzyki Chopina.

Kluczowy punkt uroczystości rozpoczął się, jak każe tradycja, trzykrotnym uderzeniem młota w kowadło, a prezes Paweł Sękowski wręczając laureatowi nagrodę odczytał uchwałę Stowarzyszenia o jej przyznaniu.

Wystąpienie Laureata skupiło na sobie uwagę zebranych, gdyż było to wystąpienie godne wielkiego mistrza sceny i ekranu oraz obywatela świadomego swej roli i patriotycznych obowiązków. Tekst drukujemy oddzielnie.

Swego rodzaju dopełnieniem wieczoru stało się *Przesłanie Pana Cogito*, które przypomniał zebrany, przyjaciel artysty i także wielki mistrz sceny Jerzy Treła, zaś pewnym kontrapunktem stał się – wygłoszony *a vista*, na prawach wypowiedzi kuźniczanina, poemacik o mrówkojadzie K.I. Gałczyńskiego, w wykonaniu niezrównanego w swych pomysłach Jana Güntnera.

Pogłębieniu artystycznych wrażeń i ozdobie wieczoru służył minirecital skrzypcowy Zbigniewa Palety, a dla podkreślenia polsko-francuskiego charakteru spotkania sam laureat Andrzej Seweryn i Jacek Cygan wykonali (a capella!) żywą w pamięci pokoleń piosenkę *Martwe liście* Josepha Kosmy do słów Préverta, w polsko-francuskiej wersji językowej z kongenialnym przekładem Jacka Cygana.

Rada Stowarzyszenia
„Kuźnica”

przyznaje

ANDRZEJOWI SEWERYNOWI

Honorową Nagrodę Kowadła

w uznaniu:

► Jego drogi życiowej naznaczonej
służbą wielkiej sztuce
i obywatelską
odpowiedzialnością

► Jego mistrzostwa w polskim
słowie i w słowie francuskim
– na scenach świata

Kraków, 11 września 2018 r.

BYŁO TAK...

Rodzice poznali się na robotach przymusowych w Niemczech. Ja urodziłem się w Heilbronn w Wittenbergii. Kiedyś tam pojechałem, podczas mojego pobytu we Francji w stanie wojennym. Miałem dwa lata, kiedy rodzice wrócili do Polski. Przez rok mieszkaliśmy w Skolimowie, potem już na stałe na Żoliborzu. Tam moja mama mieszka do dziś. Ojciec bardzo szybko nas opuścił i wszystko było na jej głowie.

Moja ówczesna sytuacja materialna, gdyby trzeba było płacić za studia, nie pozwoliłaby mi pójść do PWST. We Francji, żeby zostać aktorem, trzeba mieć pieniądze. Uczyłem w Konserwatorium w Paryżu i w Szkole Technik Teatralnych w Lyonie, i wiem, jak młodzi ludzie tam żyją. Ja byłem uprzywilejowany w stosunku do moich studentów, w czasach, kiedy byłem w ich wieku. W *Weselu*, w roli Gospodarza jest takie zdanie: „W twarz wam mówię litość moja”. Otóż tę prawdę, że to Polska Ludowa dała mi wykształcenie w twarz wam mówię.

Kiedy siedziałem w więzieniu [za rozprowadzanie ulotek po inwazji na Czechosłowację – przyp. red.], Jan Świdorski i dyrektor Janusz Warmiński, członkowie PZPR, interweniowali w mojej sprawie. W więzieniu miałem tak jak inni. Rzecz w tym, że po moim wyjściu na wolność Włodzimierz Sokorski, prezes Radiokomiteu, proponuje mi udział w spektaklu telewizyjnym *Milczenie*, razem ze Świdorskim i z Zapasiewiczem. Otóż taka była rzeczywistość peerelowska.

Swego czasu nie przyjąłem nagrody im. Zbigniewa Cybulskiego, bo przyznano mi ją za to, że nie dostałem nagród w PRL-u z powodów politycznych. Uznano, że byłem prześladowanym geniuszem. Wystosowałem w tej sprawie długi list, z którego PAP opublikowała dwa zdania, natomiast „Gazeta Wyborcza”, mimo obietnic, w ogóle o nim nie wspomniała. A ja w tym liście upomniałem się o Byrskich, o Teatr Ósmego Dnia i o Dejmka, którzy mieliby prawo mówić o prześladowaniu, ale nie ja! Wspominałem też innych artystów dyskryminowanych przez ówczesne władze, podkreślając jednocześnie, że w Polsce owe prześladowania miały się nijak do represji stosowanych w innych krajach komunistycznych. Zadałem w tym liście pytanie, gdzie w Polsce są ci artyści, którym przetrącono kark. Może o czymś nie wiem?

Jeśli chodzi o protest w sprawie zdjęcia *Dziadów* z afisza, to naprawdę była nasza inicjatywa. Miałem poczucie, że występuję w obronie teatru i kultury narodowej. Natomiast Jacek Kuroń był przeciw naszej akcji, a ja ciągle znajdowałem się w orbicie jego wpływów. Holoubek, kiedy przyszedłem złożyć na jego ręce list protestacyjny, powiedział: dalsze się spro-

wokować. Ale on też dał się sprowokować. Jego Konrad mógł tych kajdan nie zakładać. Mieliliśmy świadomość, że nasza demonstracja może mieć konsekwencje polityczne.

Pod koniec lat 70. poczułem potrzebę zmiany. To był dziwny okres. Choć powstało wtedy wiele znakomych przedstawień, to w środowisku aktorskim podjęcie do wykonywanego zawodu pozostawiało wiele do życzenia. Z jednej strony za dużo było tego luzu, a z drugiej „Solidarność”, zaangażowanie w wielki ruch społeczny, a w stanie wojennym bojkot. Po wyjeździe w 1980 roku do Francji i przez wszystkie następne lata, niezależnie od tego, w jakim teatrze i w jakim kraju występowałem, w każdym wyjściu na scenę dawałem z siebie sto procent. I to mi zostało do dziś.

W kwestii interwencyjności sztuki w tzw. rzeczywistość uważam, że teatr wobec niej jest autonomiczny. Teatr nie jest od tego, żeby interweniować w życie, które toczy się koło nas. Oczywiście taki teatr ma prawo istnieć, ale on mnie nie interesuje. Moim zdaniem teatr ma sens, jeśli opowiada historie, które odzwierciedlają najgłębsze doświadczenia ludzkości. Nie można szukać na siłę podobieństwa do współczesności w historii Edypa, bo się może okazać, że jest to sztuka o Mosze Dajanie. Nachalne aktualizowanie wszystkiego kojarzy mi się z PRL-em, gdzie sztuka często zamieniała się w propagandę. A gdzie jest piękno? Mnie chodzi o to, żeby sztuki nie redukować do polityki.

Kiedy wykładałem w Lyonie, to robiłem ze studentami etiudy z Racine’a, Marivaux lub Szekspira i sam ich namawiałem, żeby na przykład zapalili papierosa, położyli się do łóżka lub byli nadzy. I teraz okazało się, że to, co było ćwiczeniem warsztatowym, zostało uprawnione na scenie jako nowatorskie odczytanie tekstu, jako przełamywanie konwencji teatralnej itp. Otóż ja nie odbieram nowatorom prawa do eksperymentu i poszukiwań formalnych, natomiast upominam się o prawo obywatelstwa dla teatru, który odwołuje się do tradycji i inaczej pojmuje swoją misję społeczną. I dlatego zostałem uznany za ikonę teatru tradycyjnego.

Chciałbym rozdzielić robienie spektaklu od prowadzenia teatru. Ja się czuję odpowiedzialny za instytucję, którą kieruję, za ludzi, za repertuar. Poszczególne przedstawienia, lepsze czy gorsze, to tylko fragment większej całości. Tak patrzeć na teatr nauczyłem się jako jego dyrektor...

ANDRZEJ SEWERYN

Cytaty pochodzą z rozmowy „Trzech na jednego” („Zdanie” 2015, nr 1-2). Wybrał Edward Chudziński. Przytoczył w swojej laudacji Krzysztof Mroziwicz.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

IMPRESJONIZM

ANDRZEJA SEWERYNA

Andrzej Seweryn jest drugim polskim aktorem, który zrobił światową karierę. Było mu trudniej niż Helenie Modrzejewskiej, bo francuski na scenie jest trudniejszy od młodszego języka, angielskiego-amerykańskiego. W Ameryce nie było i nie ma teatrów w rodzaju Comedie Française.

Seweryn grał w Paryżu role wymagające perfekcyjnej znajomości mowy. Mówił jak rodowity Francuz. Ale to jeszcze nie wystarczało (przynajmniej Jemu samemu). Mówił po francusku tak, że zaistniał jako wielki aktor francuski. Dowodem jest decyzja dyrekcji CF o oddaniu mu jego garderoby na zawsze. Dokonał w teatrze francuskim czegoś, co w Anglii udało się Józefowi Korzeniowskiemu (Josephowi Conradowi) w literaturze, kiedy za życia stał się klasykiem powieści angielskiej.

Żeby znaleźć analogiczny przykład we Francji, powiemy, że Seweryn mówi po francusku tak jak pisał w tym języku Apollinaire (Apolinary Kostrowicki).

W dziedzinach aktorstwa i reżyserii stworzył nową jakość: impresjonizm teatralny. Kierunek ten istniał do tej pory w malarstwie, muzyce (przede wszystkim francuskiej) i literaturze. Seweryn gra jak Cezanne maluje. Każde zdanie wypowiedziane i zagrane jest centralnym punktem spektaklu. I odnosi się do każdego innego zdania-punktu. Artysta nie poszukuje nowoczesności, a relacji fizycznych i przestrzennych.

Geny nie przenoszą niezwykłości. Trzeba ją wypracować. Zwykły aktor powiedziałby: wyrobić sobie. Nikt nie chciałby mieć za sobą doświadczeń niepełnego dzieciństwa Seweryna. Może to dzieciństwo nauczyło go wrażliwości i niezgody na dosłowność. On zawsze mówi metaforami. Woli poezję od publicystyki. Potrafi operować światłem (myśli) jak Claude Monet światłem (optyki).

Co do polityki Seweryn, Pszoniak i Olbrychski – bohaterowie *Ziemi Obiecanej* Wajdy wg Reymonta – wzięli udział 12 maja w Marszu Wolności w obronie Trybunału Konstytucyjnego i niezależnej władzy sądowniczej. Przemówił przez niego aktor polski, ale i francuski. Przypomnieć tu bowiem trzeba, że pełne hasło Rewolucji Francuskiej brzmiało: „Wolność, Równość i Braterstwo albo śmierć”. Polacy powinni to pamiętać bardziej niż ktokolwiek inny.



Fot. A. Głuc

Seweryn był więźniem politycznym PRL. Został skazany za protest przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Nie procesował się po roku '89 i nie brał od biednej Polski odszkodowania za więzienie. W dniu Marszu Wolności przygotowywał *Króla* według powieści Twardocha, gdzie mowa o polskich faszystach, którzy w roku 1937 rozbili maszynę do szycia żydowskiemu krawcowi z Nalewek. Grając starego, mądrego Szapiro dowiódł, że bez Żyda i burdelu nie ma socjalizmu. Rzeczywiście, gdyby doceniono w porę wagę kongresu Teodora Herzla w Bazylei i znaczenie idei sy-

jonizmu, nie byłoby w Petersburgu przewrotu bolszewickiego, a zatem i komunizmu.

Seweryn gra Szweda-Rosjanina w *Nielegalnych* Sewerskiego. Żeby nagrać jedno zdanie po rosyjsku: *czy nie za bardzo swobodnie tu się czujesz?* – Seweryn powtarzał je kilkadziesiąt razy. Nie On jeden tak robi. Marilyn Monroe w filmie *Pół żartem pół serio* na pytanie: „gdzie jest burbon” potrzebowała pięćdziesięciu dziewięciu dubli. Kantor mówił: „Jak pan powtórzy sto razy, będzie dobrze”.

Seweryn mówi w *Nielegalnych*, ale i w rzeczywistości po polsku, francusku, niemiecku, szwedzku i rosyjsku. Multi culti to jego żywioł. Grał Judhiszthirę, co znaczy Zdecydowanego w Boju, postać Mahabharaty innego *expata* – Petera Brooka.

Mahabharata to opowieść o wielkiej wojnie dwu spokrewnionych rodów o panowanie nad światem. Temat uniwersalny i aktualny do bólu.

Wojna przeczy kulturze, niszczy ją. Nie dotykaj Innego, tego, którego najechałeś. Nie zabijaj go. Tak uczyła literatura sanskrytu.

W świecie dzisiejszych „mężów” stanu obowiązek teatru i mediów, w tym Teatru Polskiego, którego jest dyrektorem, to dbałość o kulturę i demokrację. O prawa

człowieka i – jak pisał Stefan Czarnowski – całokształt jego zobiektywizowanego dorobku. Dbałość o prawa mniejszości i poszanowanie granic, także granic swobód politycznych, po których przekroczeniu zaczyna się sobiepaństwo.

Andrzej Seweryn tę dbałość okazuje przez całe swoje pracowite¹ życie. I prowadzi za sobą innych.

Proszę mi wybaczyć, że brakuje w tej laudacji szczegółowej biografii artystycznej Laureata. Znajduje się ona w rozmowie „Trzech na jednego”, w której miałem honor uczestniczyć i którą opublikowało „Zdanie”. Jej wybrane fragmenty przytoczyłem.

¹ W przeciągu trzech miesięcy (czerwiec – sierpień 2018) poświęconych dokumentowaniu laudacji Andrzej Seweryn podzielił kalendarz na następujące wydarzenia: zdjęcia do filmu *Nielegalni* realizowane w Warszawie, Gdyni i Szwecji, próby *Deprawatora*, koncert poświęcony Leonardowi Bernsteinowi w Filharmonii Narodowej, próby i premiera: *Króla*, piosenki Jacka Cygana, Szekspir w Łodzi, mecz poetycki w Bibliotece Narodowej, warsztaty ze studentami w Radziejowicach, czytanie Normana Daviesa w Gdyni, zdjęcia do filmu Bromskiego i premiera *Rajstów* w Showmax.



Fot. A. Gluc

ANDRZEJ SEWERYN

DZIĘKUJĘ LUDZIOM, KTÓRZY MNIE TWORZYLI...

Szanowny Panie Prezydencie, Panie Konsulu, Panie Przewodniczący – Szanowni Państwo, Drodzy Przyjaciele...

Wiedziałem, że mam zabrać głos, myślałem, że przedstawię jakiś tekst mądry, wygłoszę wiersz, zaśpiewam piosenkę, ale doszedłem do wniosku, że powinienem przywołać wymianę zdań z taksówkarzem, który mnie tu przywiózł. W pewnej chwili, nawiązując oczywiście do przyznanej mi Nagrody „Kuźnicy” powiedział: – Gratuluję panu! Na to ja odpowiedziałem, że to przecież nie jest moja zasługa. Stwierdziłem tak nie tylko dlatego, że jestem skromny, o czym swego czasu zapewnił mnie Adam Michnik, więc biorę to za prawdę...

Tak, to nie jest kokieteria. Rzecz w tym, że mój zawód to nie zawód pisarza czy kompozytora, mój zawód to niejako zajęcie zespołowe i jeśli mogę stać dzisiaj przed Państwem, słuchać wspaniałych słów uznania, mieć zaszczyt odebrania nagrody środowiska lewicowego, którego głos publiczny jest tak ważny, a tak mało słyszalny, co jest powodem mojego zasmucenia, bo przecież tylko wtedy, gdy głos lewicy będzie słyszalny i słuchany, społeczeństwo może być zdrowe, a niestety tak się nie dzieje w mojej ojczyźnie, więc jeśli stanąć tu jednak mogę, to zawdzięczam to wielu ludziom, rozmaitym zbiegom okoliczności...

Żona prosiła mnie, żebym mówił krótko i żeby było na wesoło. Trudne zadanie, ale spróbuję... Oto ostatnio spotkały mnie liczne komplementy z powodu roli, jaką zagrałem w filmie *Ostatnia rodzina*. I proszę mi wierzyć, że gdyby nie było Beksińskiego i tragicznych okoliczności jego śmierci, bo to historia tej rodziny stworzyła mają rolę, gdyby nie wspaniały scenariusz, gdyby na czas nie została przygotowana moja sztuczna szczęka, nie byłoby tej roli, nie byłoby zachwytów. A więc moja sztuka to najdosłowniej wynik pracy całego zespołu.

I dalej – gdybym nie mieszkał na warszawskim Żoliborzu, trudno by mi było spotkać Jacka, ale i Andrzeja Kuronia, jego brata, i zetknąć się z tymi utopistami, tymi wspaniałymi ludźmi, którzy są moimi przyjaciółmi do dzisiaj i choć nie zawsze się z nimi zgadzam, to ich zdanie zawsze się dla mnie liczy. To wtedy, w dzieciństwie i młodości zostałem ukształtowany w duchu troski o społeczeństwo – o świat, w którym się znajduję. O takim społeczeństwie Francuzi mówią *la cité*, a o jego członku *citoyen*.

Chciałbym tu wspomnieć panią profesor Radziwiłł, która była prawdziwie nieszczęśliwa, że poszedłem do szkoły teatralnej. Teatru nie lubiła i jej to zupełnie nie interesowało. Dopiero niedługo przed śmiercią, kiedy pokazałem jej wyreżyserowaną przeze mnie *Antygonę*, przyznała, że warto było wybrać taką drogę!

Jakże nie wspomnieć nazwiska Suzina. Mieszkaliśmy przez kilkadziesiąt lat przy ulicy jego imienia na Żoliborzu, gdzie tworzył przed wojną Warszawską Spółdzielnię Mieszkaniową, z jej maleńkimi dwudziestometrowymi mieszkankami. Do dziś trwa we mnie jej duch, proszę mi wybaczyć – socjalistyczny.

Najpierw nie wolno było tego mówić, potem to nie było w modzie – myślę o Jacku Kuroni i kręgu „walterowskim”. Mam nawet żal do naszych wychowawców, że nie mówili nam tego, co dziś wiemy o generale Walterze-Świerczewskim, ale idea równości, braterstwa i wolności, przynajmniej jeśli o mnie chodzi, na tym nie ucierpiała.

Potem były studia. Jakże przy tej okazji nie wspomnieć obecnego tu pana profesora Kurza, z którym śpierałem się wielokrotnie. Pan profesor mówił potem, że byłem prymusem, a ja mam dziś wrażenie, że byłem dość nieznośnym, zarozumiałym gówniarzem, który próbował być mądrąłą, a nie był nim i może gdzieś pod koniec życia stanie się dojrzały...

I jakże nie mówić o naszej naiwności, niedojrzałości, kiedy na wykładzie profesora Beylina, a był to chyba 1967 czy już rok 1968, zaczęliśmy mówić o antysemityzmie... Pamiętam, jak Maciek Englert wypowiedział naszą wspólną myśl, że nie wiemy, co to antysemityzm, że w Polsce nie ma żadnego antysemityzmu... Taka była wówczas świadomość niektórych młodych ludzi. Nie wiedzieliśmy o tym, i nie tylko o tym, ale i o tysiącu innych spraw.

Z zupełnie innej bajki był Marian Wyrzykowski, który ze swoją grubą górną wargą uczył mnie, jak trzeba pracować nad głosem. Radził iść do lasu, by powtarzać głośno tekst Konrada z *Wielkiej Improwizacji*: „Ja chcę mieć władzę, jaką ty posiadasz, ja chcę nad ludźmi władać jak ty nimi władasz.” Jeżeli przesadzam, niech mnie pan Bóg skarże.

To były bardzo ważne lekcje... Tenże Wyrzykowski mówił: – Po to, żeby grać, wystarczy myśleć. A mnie się wydawało, że wystarczy grać! Wtedy wydawało mi się, że myśliciele mamy wielu, a widzę dziś, że była to bardzo cenna uwaga, bo „niemyśliciele” w naszym zawodzie mamy jeszcze więcej.

Albo jeszcze inna postać – profesor Władysław Krasnowiecki. Aktor od 1921 roku, potem I Armia Wojska Polskiego, wojskowy teatr, komunista, rektor PWST, który na zebraniu 11 marca 1968 roku, kiedy jako jedni z pierwszych przegłosowaliśmy rezolucję w sprawie wydarzeń marcowych, powiedział: „ale milicjanci też umierają na swoich stanowiskach, bo ciężką mają pracę”. A oni akurat wtedy lali studentów. Uchwalona przez nas rezolucja do dziś wisi u mnie w domu jako relikw, dowód górnych i chmurnych lat młodości, ale kombatantem nie jestem i nie chcę być. Wczoraj,

udzielając jakiegoś wywiadu, usłyszałem od dziennikarza coś o moim „bohaterstwie” tamtych lat. Doskonała to był moment, aby zaprzeczyć, co zrobiłem z najwyższą rozkoszą.

Ale wróćmy do spraw zawodowych. Profesor Świder-ski, który zauważył mnie w spektaklu dyplomowym, namówił dyrektora Janusza Warmińskiego, żeby też mnie zobaczył, bo chciał, bym zagrał Jakuba w *Głupim Jakubie*, komedii Tadeusza Rittnera. I tak poznałem fenomenalnego dyrektora, którego dziś tak niewielu ludzi pamięta, nawet ze środowiska, a który funkcję dyrektora Teatru Ateneum sprawował przez 44 lata! Tragedia polega na krótkiej pamięci, bo kto z młodych aktorów dziś wie, kim był Janusz Warmiński? To straszne, to barbarzyństwo współczesności, które pozwala nami manipulować, czego efekty widzimy dziś w Polsce...

Zatem – kim był Warmiński? Był członkiem AK, jednym z tych, którzy w wieku 16 czy 17 lat wykonywali wyroki, ale był też członkiem PZPR, choć rzucił legitymacją bodaj w stanie wojennym. I był to też człowiek, który kiedyś zobaczył mnie na próbie w roli Jana w *Fantazym*. Po próbie zawołał mnie do siebie i powiedział: „...Panie, co to jest? Jak pan to gra? Ani ojczyzna, ani dupa!...”. Powiedział to tak, że doznałem wstrząsu, a zarazem był to wyraz miłości. Do sztuki, do teatru. Ważę swoje słowa – to było wyrazem miłości i tak między nami już zostało do śmierci Pana Dyrektora, wobec którego zresztą czuję się trochę nie w porządku. Chciał, żebym objął po nim funkcję dyrektora w Teatrze Ateneum, a mnie się zachciało pracować we Francji...

Warmiński potrafił powiedzieć na próbie: „Ja wiem, że nie jestem Schillerem, ale jestem porządnym pracownikiem reżyserii teatralnej!” I nim był!

A co mówić o takich postaciach jak Zdzisław Tobiasz, też pracownik reżyserii teatralnej, który nas uczył sztuki dialogu. Myśmy wygłaszali teksty nie zwracając uwagi na partnera, a on nas uczył dialogowania, rozmowy. I cieszę się, że mam dziś okazję o nim słowo powiedzieć...

Ileż wart był też kontakt z wielkimi kobietami teatru, takimi jak Aleksandra Ślaska, Zofia Mrozowska, Antonina Gordon-Górecka, Halina Mikołajska... Mam głębokie przekonanie, że to wszystko jest we mnie, że przeniknęło do mnie drogą swego rodzaju osmozy.

A więc z jednej strony Kuroń, z drugiej teatr, no i wreszcie kino. Miałem dużo szczęścia, że byłem w pewnej chwili potrzebny Andrzejowi Wajdzie, że wymyślił sobie *Ziemię obiecaną*. Wcześniej pojawił się projekt filmu wedle prozy Iredyńskiego, gdzie miałem grać z Anną Prucnal, ale nie wyszło... Wyszła *Ziemia obiecana*. I podobnie było z Brookiem. Gdyby zrealizował *Mahabharatę* wcześniej, to mnie by tam nie było. Doszło do pewnego zbiegu okoliczności, co jest niesłychanie ważne dla aktora, który musi być zawsze gotów, by z takiego przypadku skorzystać.

Wczoraj właśnie była wyjątkowa okazja, by o Wajdzie pomówić z okazji otwarcia skweru jego imienia. Zabierali głos koledzy, mówili tak pięknie, że nie chciałem zajmować im czasu. Ale i ja chciałbym, abyśmy pamiętali jego dokonania we francuskim teatrze i filmie...

A czemu nie pamiętać o Andrzeju Żuławskim, wielkim prowokatorze? Mógłby zrobić karierę w Hollywood, ale chciał być wierny sobie. I był. Konsekwentny, nieznośny dla niektórych, nierozsądny... Obejrzałem na przykład niedawno jego *Na srebrnym globie*, tę poprawioną



Fot. A. Gluc

wersję – może się podobać lub nie, ale jest to na pewno poważna propozycja estetyczna...

A inni reżyserzy – Jerzy Domaradzki, Kuba Morgenstern czy Rybkowski? Czemu nie mówić o Rybkowskim, pierwszym sekretarzu POP Zespołu Realizatorów Filmowych, który znał i rozumiał ówczesną rzeczywistość, i pomagał nam wszystkim w niej się poruszać. Zapominam o wielu osobach, ale chcę podkreślić proces współtworzenia dzieła artystycznego i współtworzenia osobowości aktora i reżysera.

A spojrzymy na grunt francuski, na który wszedłem z Wajdą. Tam poznałem Claude'a Regy, reżysera-nowatora, z którym zrobiłem trzy przedstawienia. Na szczęście trafiłem do teatru, gdzie wymagano ode mnie doskonałego języka francuskiego, bo jakże można w teatrze mówić niepoprawnie? Patrice Chereau – miałem szczęście pracować z tym największym reżyserem francuskim, a także z Antoine Vitezem, sekretarzem Louisa Aragona, komunistą, który rzucił legitymację partyjną po inwazji na Czechosłowację. To on przyjeżdżał do Polski, żeby skontaktować się z podziemiem w stanie wojennym.

Bernard Sobel pochodzi ze Stanisławowa, polski Żyd, marksista – do dzisiaj, który uważa, że rezygnacja z dyktatury proletariatu była błędem ruchu komunistycznego. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy zapytałem:

Ja jestem Polak, katolik, papista, a ty komunista. Damy radę razem pracować?” Odpowiedź brzmiała: „Oczywiście, bo tylko ty rozumiesz, co to jest grzech”. A przygotowaliśmy wtedy *Tartuffe’a*. Wreszcie Jacques Rosner, który pierwszy wprowadził do Comédie-Française Gombrowicza. A Komitet Lektury nie zgodził się na wystawienie na tej scenie *Wieżniów* z *Altony* Sartre’a. Taka jest rzeczywistość! Gombrowicz – tak, Sartre – nie! U tego samego reżysera! W najważniejszym francuskim teatrze.

Nie mogę też zapomnieć o Jacques Lassalle’u. On i Peter Brook to dwaj ludzie, którym zawdzięczam dużo. To oni mnie w sposób znaczący współtworzyli. Z Lassallem zrobiłem pięć przedstawień, niektóre z nich są jeszcze do zobaczenia w Teatrze Polskim w Warszawie, zaś *Mahabharatę*, to wielkie dzieło, z Peterem Brookiem... We mnie jest to wszystko, kiedy rozmawiam z młodymi czy starszymi aktorami, kiedy podejmuję decyzje dobre i złe, których żałuję. To wszystko jest we mnie, a bazą tego jest doświadczenie, które zostało mi przekazane przede wszystkim przez tych dwóch ludzi.

I wreszcie powrót do Polski. Chciałbym przypomnieć Ewę Wiśniewską i Anię Minkiewicz, reżyserki telewizyjne, i Ewę Balińską, która знаła nas wszystkich i podpisywała z nami umowy. To ci ludzie nas tworzyli. Także Ireneusz Kanicki, dramatyczna postać, sprawny reżyser, który zginął śmiercią samobójczą zamieszany w jakąś „brylantową aferę”. To on zrealizował *Dziś do ciebie przyjść nie mogę...*

Na końcu chcę się podzielić swoją radością z pracy w Teatrze Polskim, która jest sumą tych moich wszystkich doświadczeń. To jest trudne wyzwanie, a może być jeszcze trudniejsze...

I wreszcie chciałbym raz jeszcze podziękować „Kuźnicy” za zaszczyt, jaki mnie dziś spotkał, dyrektorowi Krzysztofowi Jasińskiemu za to, że nas tu gości, chcę też ucałować żonę i córkę oraz pozdrowić teściową, Krzysia, Andrzeja, Jacka i Arona.

ANDRZEJ SEWERYN

Jacek Majchrowski - prezydent miasta Krakowa

... ZA „OBYWATELSKĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ”

Dostojny Laureacie, proszę Państwa! Mówiliśmy dziś wiele o postaci Andrzeja Seweryna jako wielkiego aktora, wielkiego twórcy. Przypomniano tu *Ziemię Obiecaną* i *Pana Tadeusza*, czy choćby filmowego Beksińskiego. Wszyscy pamiętamy rolę Laureata w Słowackim, w Szekspirze, ale pamiętamy też jego gościnny występ w *Pożarze w burdelu*. Ale chciałbym przypomnieć, że nagroda przyznana została Mistrzowi także za „obywatelską odpowiedzialność”.

Wspominał Pan swoich nauczycieli, współpracowników, przyjaciół, współtwórców dzieł scenicznych, ale wśród nich wszystkich niewielu jest takich, którzy mają twardo wytyczoną linię, poczucie misji, realizacji tej misji i umiejętność przekazywania tej cechy młodym pokoleniom. A to wszystko robi Pan – jako aktor, jako reżyser i jako dyrektor teatru! Bardzo Panu za to dziękuję i chciałbym, żeby inni brali z Pana przykład.

Wspominał Pan więc swoich mistrzów i zastanawiał się, czy ktoś o nich pamięta... Niestety, ta krótka pamięć nie dotyczy tylko ludzi teatru. Był u mnie kiedyś jeden z aktualnych dowódców krakowskich komandosów i okazało się, że nic mu nie mówią nazwiska byłych dowódców tej jednostki – ani nazwisko Zdrzałki ani Roztubirskiego, które dla Krakowa są doprawdy znaczące. Widać, jak pamięć jest ulotna, jak pewnych rzeczy nie pamiętamy, jak chcemy o nich zapomnieć.

Historię pisze się dwa razy: raz, kiedy ona rzeczywiście się tworzy i drugi raz, kiedy wybiera się z niej aktu-



Fot. A. Gluc

alnie wygodne fragmenty. Dlatego nie powinniśmy się godzić, by historia w doraźnie budowanej wersji trafiała bezkrytycznie do młodego pokolenia. Nie pozwólmy tworzyć historii na nowo.

(Prezydent wręczył Laureatowi „filiżankę niepodległościową”)

Prezes „Kuźnicy” - Paweł Sękowski

Kilka dni temu, przy okazji wręczenia „Kuźnicy” Nagrody im. Norberta Barlickiego, Pan Prezydent Jacek Majchrowski zechciał przypomnieć, jak to przed laty, w zgoła innych warunkach społeczno-politycznych, odmówiono mu przyjęcia do klubu „Kuźnica”. Dziś „Kuźnica” chciałby więc nadrobić to niedopatrzenie i uroczyście zaprosić Pana Prezydenta do Stowarzyszenia. Mam ze sobą nawet blankiet deklaracji, który chętnie przekażę, by Pan Prezydent zechciał się nad nim pochylić...

HENRYK DOMAŃSKI

SCENARIUSZE DLA SCENY POLITYCZNEJ

Procesy polityczne funkcjonują w rytmie kampanii wyborczych. Analiza, którą przedstawię, dotyczy sytuacji kształtującej się w kontekście wyborów samorządowych na przełomie października i listopada 2018 roku. Jednak można ją również (z marginesem błędu) traktować jako próbę ogólniejszej diagnozy niektórych mechanizmów życia politycznego. Punktami odniesienia są wybory do Parlamentu Europejskiego, do Sejmu i Senatu i na urząd Prezydenta RP. Można to ująć w kilku punktach, do których przechodzę.

Stan przejściowy czy konsolidacja systemu politycznego

Głównymi podmiotami sceny politycznej są PiS i PO. Zauważmy, że zbliżamy się do etapu, w którym Prawo i Sprawiedliwość oraz Platforma Obywatelska stają się najdłużej funkcjonującymi partiami spośród tych, które rządziły od początku III RP. Najpoważniejszym konkurentem ich obu pod względem długości rządzenia był Sojusz Lewicy Demokratycznej, który przeżywał swe apogeum w latach 1993-2005, ale teraz ma już swe sukcesy za sobą i do czołówki najważniejszych partii nie wróci. Inne partie były efemerydami, które zniknęły, zaliczam do nich ZChN, AWS i Unię Wolności. Od 2001 roku PiS i PO utrzymują się w gronie partii rozgrywających, a od 2005 roku wokół nich koncentrują się podziały światopoglądowe i walka o władzę.

Czy świadczy to o tym, że demokracja w Polsce weszła na tor stabilizacji, czego oznaką byłby w miarę skonsolidowany system partyjny? Czy PiS i PO stały się polskimi odpowiednikami Partii Konserwatywnej lub CDU? W jakim stopniu ich dominacja zaspakaja oczekiwania wyborców?

Będzie to zależało to od tego, na ile PiS i PO są w stanie na trwale odpowiedzieć na potrzeby wyborców. Przypominam, że społeczeństwo polskie jest zróżnicowane i np. interesy właścicieli i kadry zarządzającej bywają sprzeczne z interesami pracowników najemnych, a specjaliści z wyższym wykształceniem mają inne orientacje życiowe niż robotnicy niewykwalifikowani. Dochodzi do tego silne lobby rolników. Oznacza to, że jest mało prawdopodobne, aby wyłoniła się jakaś partia uzyskująca poparcie ze strony większości wyborców. Na kogo więc może liczyć PiS, a na kogo PO?

Prawdopodobnie jest, że zwolennicy Platformy Obywatelskiej od początku rekrutowali się z kategorii spe-

cialistów i z kadry zarządzającej, a ujmując to jeszcze inaczej – ze środowiska „nowej inteligencji” lub wyższej klasy średniej, kategorii lokujących się na pozycjach zawodowych, które wymagają kompetencji i talentu, a przy tym funkcjonalnych dla firm i systemu ekonomicznego. W krajach zachodnich są to osoby najbardziej efektywne, produktywnie, których kariera zawodowa ogniskuje się wokół mobilizacji do indywidualnego wysiłku (a nie opieki społecznej), które zaliczane są do napędowych sił modernizacji i rozwoju gospodarczego, i są najlepiej dostosowane do stosunków rynkowych. Ponieważ posiadanie wszystkich tych cech sprzyja poprawieniu sytuacji całego społeczeństwa – na zasadzie synergii – bez kategorii tej nie można się obejść, a jej liczebność się zwiększa i podobnie powinno być w Polsce.

Z programu deklarowanego przez Platformę Obywatelską wynika, że była ona partią najbardziej skłoną do realizacji interesów wyższej klasy średniej. Była to kontynuacja idei rozwijanych przez liderów Kongresu Liberalno-Demokratycznego, a następnie liberalnego skrzydła UW, po zjednoczeniu się KLD z UD w Unię Wolności. Wygrana Balcerowicza z Mazowieckim o fotel przewodniczącego UW była próbą przekształcenia jej w nowoczesną partię liberalną, skierowania społeczeństwa na tory systemu kapitalistycznego i przyciągnięcia „nowej” inteligencji. Odbiegało to od stylu działania „starej” inteligencji myślącej tradycyjnymi kategoriami. Z tego powodu PO musiała przyciągnąć specjalistów i kadry zarządzającą.

Płyną z tego dwa wnioski – pierwszy, że PO jest mocno osadzona w elektoracie, który się będzie rozwijał, tak więc spełnia ona kryterium partii o dobrze ugruntowanym zapleczu wyborczym. Wniosek drugi – nie wynika z tego, że jest to byt zapewniony i że pokonanie obozu rządzącego jest bliskie, a więc wystarczy odczekać. Prawda jest ogólniejsza – istnieje zapotrzebowanie na partię będącą odpowiednikiem PO, ale ta ostatnia poddawana jest ostrej krytyce – za niezrealizowanie obietnic modernizacji i liberalizmu obyczajowego, za posługiwanie się zużyтыми schematami walki z PiS-em o władzę, za koniunkturalizm i intelektualne lenistwo. Do obecnej rzeczywistości nie pasuje nawet retoryka i słownictwo, którymi operują liderzy PO. Na razie jednym z niewielu sukcesów w czasie, który upłynął od klęski wyborczej, było zastopowanie Nowoczesnej.pl. – miała ona zastąpić PO w roli modernizatora struktur społecznych. Ale nie

żyjemy w próżni i nie jest powiedziane, że na jej miejsce nie pojawi się Nowoczesna bis lub jakaś konkurencyjna formacja, która odpowiadałoby oczekiwaniom wyborców.

Podobnie oceniam perspektywę Prawa i Sprawiedliwości. Jeżeli PO blisko jest do ludzi szeroko rozumianego sukcesu, to elektorat PiS rekrutuje się głównie z klas niższych. Z badań prowadzonych przez CBOS wynika, że najbardziej konsekwentnymi zwolennikami obozu Zjednoczonej Prawicy są emeryci, renciści, robotnicy niewykwalifikowani i rolnicy. W świetle badania przeprowadzonego we wrześniu b.r., zamiar głosowania na PiS deklarowało 69 proc. emerytów, a odsetki tego poparcia dla pozostałych trzech kategorii wyniosły odpowiednio 61, 51 i 43. Biorąc pod uwagę, że w elektoracie PiS nadreprezentowani są również bezrobotni i robotnicy wykwalifikowani – może on liczyć na poparcie większości wyborców. Ponieważ kategorie te obejmują w sumie ok. 45 proc. elektoratu, jakkolwiek formacja polityczna odwołująca się do interesów klas niższych pozostanie skuteczną przeciwwagą dla PO i innych partii opozycyjnych. Przemawia za tym obiektywny czynnik w postaci struktury społecznej i wynikające stąd oczekiwania wyborców. Z jednej strony, kategoriom o niskim statusie społecznym zależy na bezpieczeństwie socjalnym, z drugiej – są one podłożem tradycjonalizmu, nietolerancji, ksenofobii i niechęci do obcych. W XX wieku postulaty socjalne realizowane były przez partie socjaldemokratyczne. Razem ze związkami zawodowymi koncentrowały się one na ochronie praw pracowniczych, wielkości wynagrodzeń i świadczeniach zdrowotnych. Wzrost stopy życiowej nie eliminuje kwestii statusu materialnego, ale w debacie politycznej coraz większe znaczenie uzyskuje spór o wartości moralne. W kategoriach lokujących się w dolnych partiach hierarchii społecznej konserwatyzm łączy się z żądaniami materialnymi w większym stopniu niż miało to miejsce w latach 1945-1990. Chcą one zachowania tradycyjnych wartości i wyrażają sprzeciw wobec wszystkiego, co je może osłabiać. W zaspokajaniu szerokiego spektrum tych żądań wyspecjalizowały się partie populistyczne.

Rysuje się zatem kilka scenariuszy. Prawo i Sprawiedliwość i Platforma Obywatelska mogą się przekształcić w ustabilizowane formacje, mogą się rozpaść, ale nie można również wykluczyć zawarcia umowy koalicyjnej, do której nie doszło w przeszłości. Jednak obecnie PiS i PO bardziej kwalifikują się do miana partii „przejściowych”. System polityczny w Polsce w dalszym ciągu przechodzi przez etap konsolidowania się, a nie wyłonienia się w miarę ustabilizowanych formacji. Nie ukształtowały się jeszcze w nim trwałe struktury partyjne i prawdopodobnie rysuje się sygnalizowany powyżej wariant zastąpienia Platformy Obywatelskiej i PiS-u przez polityków lepiej dostosowanych do zmian struktury społecznej.

Meandry lewicy

Jeżeli nawet konsolidacja systemu politycznego jest w toku, i będzie dokonywała się na bazie PiS i PO, to brakującym ogniwem tego procesu jest nieobecność silnej partii po stronie lewicy. W systemie demokratycznym nie wymyślono bardziej skutecznego narzędzia do neutralizowania sił zachowawczych w wielu aspektach. Partie o nachyleniu prawicowym mogą być motorami rozwoju ekonomicznego, jednak nie zmienia to faktu, że równocześnie wokół nich skupiają się obrońcy *status quo*, ci,

którzy dążą do utrwalenia istniejących instytucji i systemu rządzenia, podkreślają znaczenie tradycji, poczucia narodowego, roli religii, i są hamulcowymi modernizacji, czego odzwierciedleniem jest walka z aborcją. Najlepiej przeciwdziała temu lewica.

Chodzi jednak o to, że lewica pozostaje w ostrym kryzysie. Jednym z problemów partii lewicowych, który w systemie kapitalistycznym trwa mniej więcej od lat 1980., są wspomniane wyżej trudności w pogodzeniu dwóch sprzecznych tendencji: z jednej strony, dążenia do ochrony praw pracowniczych i walki z nierównościami materialnymi, z drugiej – wspierania tolerancji, otwartości, emancypacji kobiet i walki z uprzedzeniami. Jeżeli ta pierwsza była zawsze adresowana do kategorii o niższym statusie społecznym, to dla tej drugiej pryncypialną wartością jest liberalizm obyczajowy, który z kolei jest nie do zaakceptowania przez członków klas niższych. Warto nadmienić, że dużo tu zależy od kontekstu narodowego i np. łatwiej było te sprzeczności osłabić Partii Pracy w społeczeństwie brytyjskim, które jest bardziej tolerancyjne i otwarte na zmiany, niż w polskim. Z problemem tym borykało się u nas SLD – zgoda na ratyfikację konkordatu z Watykanem i kompromis w sprawie ustawy aborcyjnej były niczym innym jako ustępstwem partii utożsamianej z lewicą wobec tradycyjnego elektoratu i partii konserwatywnych. W sumie, SLD nie poradziło sobie z dylematem pogodzenia tych dwóch sprzecznych tendencji. Udało się to dopiero prawicowemu PiS-owi. Interesujące, że prawica w Polsce miała mniejsze problemy z dostosowaniem do siebie tych zasadniczo różnych ideologii w porównaniu z lewicą. PiS zawsze sytuował niektóre ze swych postulatów w pobliżu elektoratu lewicy, przypisując sobie rolę partii mającej na celu przywrócenie godności klas niższych.

Perspektywicznie ujmując, aktualnie rysują się trzy scenariusze funkcjonowania lewicy na scenie wyborczej. W przypadku Polski koncentrują się one wokół innego podejścia do relacji między stroną opozycyjną i obozem rządzącym. Ale najpierw uwaga ogólna – charakterystyczną cechą partii lewicowych jest rozproszenie, które nie ma swego odpowiednika na prawicy i w centrum. Nie jest to oznaka konstytuowania się lewicy, ale jako punkt wyjścia może do tego zachęcać.

Wracając do meritum, pierwszy scenariusz polega na zachowaniu niezależności. Jego głównymi reprezentantami są partia Razem i SLD. Jeżeli rozpatrywać to w kontekście kampanii wyborczej, to liderzy obu tych ugrupowań dystansują się od tworzenia szerokiej koalicji przeciwko PiS-owi w odróżnieniu od strategii forsowanej głównie przez Nowoczesną.pl. i PO, które chciałyby wszystkich jednoczyć. Założenie, które przemawia za zachowaniem autonomii, jest następujące: nie po to są tworzone partie polityczne, żeby się miały jednoczyć. Nie usprawiedliwia tego straszenie zagrożeniami, wynikającymi (jak próbuje to wykazać Koalicja Obywatelska) z polityki prowadzonej przez obóz Zjednoczonej Prawicy, czego odzwierciedleniem miałby być upadek demokracji, naruszanie konstytucji i obniżenie prestiżu państwa polskiego. Czynnikiem zniechęcającym do zawiązywania sojuszu może być przekonanie, że ewentualne zwycięstwo koalicji zdominowanej przez skompromitowaną w oczach wielu wyborców PO jest mało atrakcyjną ofertą – nie stanowi alternatywy dla modelu rządzenia realizowanego przez PiS. Poza tym łatwo przewidzieć, speku-

lują, jak sądzę, Panowie Czarzasty i Zandberg, co stanie się z po ewentualnym zwycięstwie Koalicji ze słabszymi koalicjantami. Albo się ich wchłonie, albo odrzuci. Zaletą orientacji na rzecz zachowania podmiotowości jest konsekwencja w dążeniu do odtworzenia zintegrowanej lewicy, z kolei mankamentami jej są skazywanie się na izolację (przypadek partii Razem tkwiącej w okowach pryncypiów) i nikłe szanse na zwiększenie poparcia – kierują to w stronę SLD, która jest partią schodzącą ze sceny wyborczej.

Na drugim biegunie sytuuje się wariant zastosowany przez Barbarę Nowacką przed wyborami samorządowymi. Polega on na rezygnacji z autonomii partyjnej na rzecz przynależności do szerokiego ugrupowania politycznego, który w tym konkretnym przypadku zasadniczo wykracza poza zakres działania lewicy. Kierowana przez Nowacką Inicjatywa Obywatelska przyłączyła się do Koalicji Obywatelskiej, co oznaczało praktycznie jej akces do PO. Biorąc pod uwagę programowy eklektyzm PO, posunięcie to nie musi być równoznaczne z całkowitym odejściem Nowackiej od światopoglądu lewicy, a poza tym może to być dla niej rozwiązanie przejściowe, ograniczone tylko do kampanii wyborczej, które nie wyklucza powrotu.

Wchodząc do Koalicji Obywatelskiej Inicjatywa powinna była coś zyskać. Najbardziej wymierną korzyścią byłby jej sukces wyborczy – wejście do sejmików wojewódzkich i innych organów samorządowych, a perspektywicznie – do Sejmu i Parlamentu Europejskiego (piszę to we wrześniu 2018 r., więc nie wiem). Z kolei mankamentem „wariantu Nowackiej” może być osłabienie wiarygodności i możliwości wpływu politycznego. Do sojuszków przystępują partnerzy silniejsi i słabsi. Dla tych drugich, sojusz może być równoznaczny w wchłonięciem, a w odbiorze społecznym – może być traktowany jak zdrada i świadectwo karierowiczostwa Nowackiej.

Uzasadniając swe przejście do PO Nowacka posługiwała się ograniczonymi argumentami stosowanymi przez wszystkich: koniecznością walki o zachowanie demokracji w Polsce i pokonania Prawa i Sprawiedliwości. Od lewicowego elektoratu zależy, czy potraktuje walkę z PiS-em jako wartość priorytetową, tzn. ważniejszą od walki o postulaty lewicy, czy też raczej jako obronę własnego wizerunku, potrzebę zachowania twarzy, poprawy samopoczucia i wymięcia z niezręcznej sytuacji.

Trzeci scenariusz reprezentowany jest przez inicjatywę Roberta Biedronia. Określiłbym go jako polską odmianę *Trzeciej Drogi* w nawiązaniu do programu Partii Pracy, zakończonych w 1997 roku sukcesem wyborczym po serii porażek z Partią Konserwatywną, gdy już niewiele wierzyło, że labourzystom uda się wrócić do władzy. *Trzecia Droga* miała być oryginalnym programem przyciągającym wyborców do Nowej Lewicy, co oznaczało praktycznie przeorientowanie lewicowego programu tej partii na pozycje lewicowo-centrowe i przesunięcie się w kierunku pozyskania klasy średniej. Polski wariant *Trzeciej Drogi* polega na dystansowaniu się Biedronia zarówno od ugrupowań lewicowych, jak i od zawierania sojuszy z partiami opozycyjnymi. *Trzecia Droga* ma być alternatywą dla wyborców zdegrustowanych rządami PO, jak i dla przeciwników obozu Zjednoczonej Prawicy. Opowiadając się w dalszym ciągu po stronie światopoglądu lewicy (rozszerzenie prawa do aborcji, popieranie związków partnerskich, dążenie do laicyzacji, walka z homofo-

bią i dyskryminacją mniejszości etnicznych), Biedron jest przekonany, że jego lewicowość nie powinna zniechęcić do popierania tej inicjatywy przez szeroki elektorat obejmujący ludzi wierzących i tych, którzy chcą się wzbogacić. Wybór „trzeciej drogi” nie jest jednak równoznaczny z opuszczeniem „tramwaju” lewicy na przystanku liberalizmu ekonomicznego i polityki „cieplej wody” w kranie. Biedroniowi można zarzucić koniunkturalizm, dążenie do poklasku i narcyzm, jednak trudno go sobie wyobrazić w roli polityka, który przechodzi na pozycje konserwatystry wyłącznie w celu budowania kariery.

Ewolucja systemu demokratycznego

Prześledzenie sceny wyborczej skłania do komentarza wykraczające poza specyfikę polskiego kontekstu. Oferta Zjednoczonej Prawicy konsekwentnie adresowana jest do kategorii o niskim statusie społecznym. Nie zmienia tego pojedyncze gesty kierowane przez premiera Morawieckiego do nowej inteligencji i wielkiego biznesu. W porównaniu ze stosowaną przez rząd opcją uwodzenia klas niższych gesty te są umiarkowane, a niektóre czasami i wrogie, czego ilustracją jest krytyka środowiska prawników.

Przypadek PiS-u ilustruje skuteczność „klasowego” podejścia do sceny wyborczej. Mniej opłacalne okazało się trwanie przy strategii odwoływania się do szerokiego elektoratu, której reprezentantem jest w Polsce PO. Strategia, którą można określić mianem szeroko zakrojonej „inkluzyjności”, miała sens w 2007 roku, gdy Platformie zależało na zwycięstwie nad PiS-em i utrwaleniu swej władzy. Ówczesny rząd Prawa i Sprawiedliwości naruszał poczucie bezpieczeństwa obywateli, wolności od ingerencji prokuratury, nadużywał lustracji, wykazywał skłonności do inwigilowania i wkraczania w sprawy światopoglądowe. Reakcją społeczeństwa był szybki wzrost zapotrzebowania na przestrzeganie wartości demokracji, stabilności i spokój – nawet kosztem rezygnacji z rozliczania nomenklatury komunistycznej, błędów Okrągłego Stołu i budowania IV RP.

Strategia poszerzania sceny wyborczej była nieświadomym do końca (jak sądzę) nawiązaniem do hipotezy o zanikaniu struktury klasowej, reprezentowanej m.in. przez Baumaną, Giddensa i Becka. Cytowani autorzy argumentowali, że zjawisko to dokonuje się w miarę rozwoju demokracji i wzrastającego poziomu stopy życiowej, a jego oznaką jest m.in. malejący wpływ klasy społecznej na preferencje wyborcze. W sytuacji, gdy wydawało się, że prawie wszyscy będą zawsze przeciwko PiS-owi, Platformie bardziej opłacało się występować w roli reprezentanta wszystkich obywateli niż wąskich grup zawodowych.

To co się stało później, jest ilustracją myśli, od której zacząłem, że demokracja jest systemem, w którym nic nie jest przesądzone. Strategia inkluzyjności wyborczej najlepiej sprawdza się w społeczeństwach, w których nie ma głębokich podziałów materialnych i światopoglądowych, a klasa rządząca nie dystansuje się od obywateli, tak jak stało się to za rządów PO. PiS-owi udało się przejąć elektorat klas niższych i głosy ludzi zdegrustowanych rządami koalicji PO-PSL. Z kolei Platforma nie utrzymała przy sobie nowej inteligencji. W 2015 roku dużą część tego elektoratu przejęła Nowoczesna. pl.

Przechodzę do meritum. Dysfunkcyjnym aspektem trwania przy strategii inkluzyjności jest kunktator-

stwo i ustępstwa wobec oczekiwań płynących z różnych stron sceny publicznej. Priorytetowym celem Platformy stało się zdobywanie poklasku, zamiast odważnego popierania polityki przyjmowania uchodźców, liberalizmu obyczajowego, walki z ustawą antyaborcyjną, dyskryminacją kobiet i wdrażania innych wartości demokracji, które miała reprezentować. Nie jest to racjonalne podejście. Z jednej strony, PO nie dorówna PiS-owi w pozyskiwaniu fundamentalistów światopoglądowych, z drugiej – nie przyciągnie zwolenników emancypacji kobiet, laicyzacji i „parady równości”.

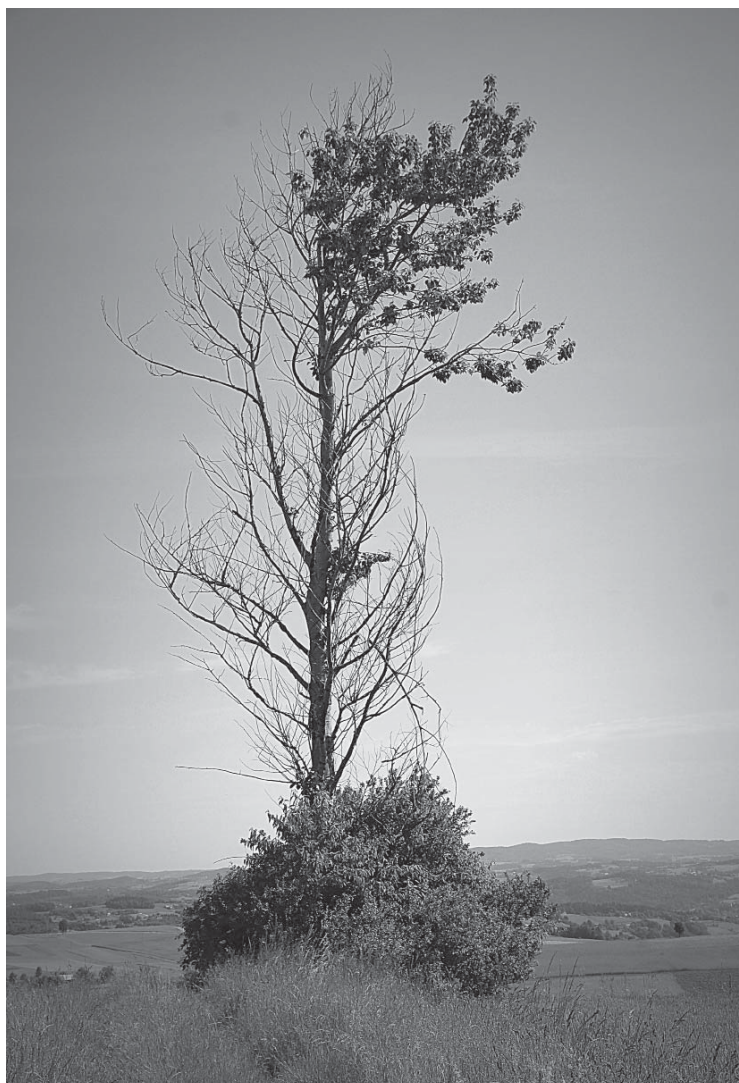
Płyną z tego dwa wnioski. Po pierwsze, struktura społeczna ma swoją dynamikę, wyłaniają się w niej coraz to nowe segmenty. Sukcesem Prawa i Sprawiedliwości jest to, że udało mu się dostosować swój program do nowych subkultur, które odrzucają wartości utożsamiane z partiami opozycyjnymi. W przypadku Polski, nieujawnione dotąd pole ukrytego sprzeciwu obsadzili blokersi i inne grupy społeczne niezadowolone z traktowania ich gorzej, żyjące w poczuciu marginalizacji, ludzie czujący zagrożenie przez mniejszości seksualne, środowiska feministyczne i zwolenników przyjmowania uchodźców. Demonstrowanie sprzeciwu dowartościowuje ich, a poli-

tyka prowadzona przez PiS pozwala uwierzyć, że zasługują na więcej niż mają.

Po drugie, w sytuacji, gdy zwolennicy liberalizmu obyczajowego nie mogą liczyć na obronę swych interesów ze strony PO, a Nowoczesna jest na to za słaba, rysuje się miejsce dla partii lewicowej, która byłaby je w stanie zastąpić. Wyłonienie się nowej lewicy może być odpowiedzią na zapotrzebowanie ze strony nowej klasy średniej, której reprezentanci szukają przeciwwagi dla PiS-u: są zwolennikami integrowania się Unii Europejskiej, nie mają problemu z przystąpieniem do euro czy złagodzeniem aborcji.

Wyłonienie się silnej lewicy zracjonalizowałoby również polską scenę wyborczą. Brak partii lewicowej doprowadził do wynaturzenia systemu politycznego – po 2005 roku został on sprowadzony do rywalizacji między dwiema podobnymi partiami. Platformie będzie dalej brakowało odwagi, żeby stawić czoła populizmowi Zjednoczonej Prawicy. Istnieje ryzyko, że brak skonsolidowanej lewicy będzie spychał Polskę do roli zaścianka.

HENRYK DOMAŃSKI



Wojciech Noworyta, fotogramy z wystawy *Krajobrazy Orkana*

EDWARD KAROLCZUK

PRAWICOWY I LEWICOWY POPULIZM

Termin „populizm” robi coraz większą karierę. Nie ma takiej partii politycznej, która nie oskarżałaby swoich przeciwników i sama nie była oskarżana o populizm. Zarzut populizmu wysuwany jest wobec prawicowych partii rządzących, centro-prawicowej opozycji, jak i deklarujących swoją „lewicowość”. W tych przypadkach termin „populizm”, według *Słownika PWN*, używany jest jako synonim demagogii, schlebienia poglądom mas, odwoływania się do psychologii tłumu Le Bona, żerowania na irracjonalnych nadziejach, budowania wpływów politycznych i jego masowej bazy poprzez rozbudzanie emocji, iluzji i nieuzasadnionych roszczeń, obietnice bez pokrycia itd. itp. Pomijając jednak te formalne i powierzchowne cechy populizmu należy stwierdzić, że jest on w istocie polityką doraźnych ustępstw wobec interesów najszerzszych rzesz społecznych i ich wyobrażeń o sposobach rozwiązywania problemów społecznych w imię trwałości kapitalistycznych stosunków społecznych, a więc w imię utrzymania politycznego, ekonomicznego i ideologicznego panowania kapitału nad tymi masami, którym rzekomo ma służyć. Populizm jest więc narzędziem w polityce manipulacji masami, służącej trwałości istniejącego kapitalistycznego ustroju.

Dlatego jeden z największych paradoksów demokracji polega na tym, że uboższa i pracująca większość społeczeństwa posiadająca prawa wyborcze nie jest w stanie na drodze demokratycznych procedur dobić się realizacji swoich interesów. Zaś burżuazja i oligarchia, które stanowią zdecydowaną mniejszość społeczeństwa, dzięki temu samemu demokratycznemu systemowi wyborczemu radzą sobie doskonale z forsowaniem i obroną swoich interesów. Trudno jest uzyskać prostą odpowiedź na pytanie: jak to się dzieje, że uboższa większość społeczeństwa nie jest w stanie za pomocą demokratycznych wyborów zapewnić

sobie pomyślności? Jednym ze sposobów eliminacji zagrożeń dla interesów i ideologii burżuazji i oligarchii jest zarzucanie swoim przeciwnikom ignorancji, braku poszanowania dla tradycji i świętego prawa własności prywatnej, fanatyzmu rewolucyjnego, sprowadzając wszystkie te zarzuty do jednego słowa – *populizm*.

Oskarżenia o populizm są nieuchronne w każdym demokratycznym systemie, w którym toczy się mniej lub bardziej zaostrzona walka polityczna. Burżuazja i oligarchia starają się w ten sposób wywołać w masach pracujących poczucie wstydu i zażenowania z powodu walki o swoje interesy. W dzisiejszych czasach nie mogą one bowiem w sposób jawny i bezpośredni ludzi niewykształconych, obojętnych czy nawet kierujących się kryteriami nieracjonalnymi lub emocjami, pozbawić prawa do decyzji i wyborów politycznych, gdyż oznaczałoby to podważenie podstaw systemu demokratycznego i jawną dyktaturę klas uprzywilejowanych ekonomicznie i politycznie. Nie mogą one zdobyć i utrzymać władzy w warunkach systemu demokratycznego, bez poparcie tej pogardzanej, nieświadomej i ośmieszanej większości opanowanej przez *populizm*. W tej sytuacji wykorzystanie istniejących emocji i ich podsycanie oraz pokładów niewiedzy, to dla wielu partii politycznych „być albo nie być” na scenie politycznej. A odpowiednio nagłościone populistyczne elementy programu pozwalają im ukryć wrogie masom pracującym cele i zamiary.

Jeśli panującej oligarchii nie udaje się narzucić „najlepszych rozwiązań”, to winna jest zawsze ignorancja obywateli lub populizm jakiejś „lewicowej” partii. Zdaniem Jacquesa Rancière „Populizm to wygodna nazwa, pod którą skrywa się zaogniona sprzeczność między legitymizacją powszechną i legitymizacją uczo-
ną, a także trudność, jaką rządowi nauki (*gouvernements de la science*) sprawia przystosowanie się do przejawów demokracji, nawet w mieszanych formach

systemu przedstawicielskiego. Nazwa ta jednocześnie maskuje i ujawnia wielkie pragnienie oligarchii: rządzić bez ludu, to znaczy bez podziału ludu – rządzić bez polityki. I pozwala rządcom uczonych/ekspertów uwolnić się od starej aporii: jak nauka może rządzić tymi, którzy jej nie rozumieją? To odwieczne pytanie napotyka pytanie bardziej współczesne: jak dokładnie określić ową wypadkową (jej sekret znają jakoby rządy) między dobrem, jakiego dostarcza bogactwo, a dobrem wynikającym z jego ograniczenia?¹.

Prawicowy populizm

Oskarżanie o populizm ze strony prawicy społeczno-politycznej stanowi reakcję na walkę mas pracujących o swoje interesy, na niebezpieczne dla panowania burżuazji i oligarchii powszechne wśród mas poglądy i wyobrażenia społeczno-ekonomiczne, polityczne i ideologiczne. Populistyczne propozycje ze strony prawicy zawierają propozycje wyjścia z sytuacji odpowiadające strategicznym i ideologicznym celom kapitału. Jeśli występują trudności z zatrudnieniem i utrzymuje się wysokie bezrobocie, to winni są napływający imigranci, jeśli widoczna jest zależność procesów krajowych od zagranicznych, to jest to deptanie suwerenności, i winna tego jest Unia Europejska lub inne państwo czy organizacja międzynarodowa. Prawica podsyca więc nacjonalizm, z nadzieją, że pozwoli on skierować aktywność mas pracujących przeciwko ich innym narodowym oddziałom. Jeśli kompromitują się jacyś politycy, to zdaniem partii prawicowych winna jest demokracja i przydałaby się jakaś mutacja autorytaryzmu. Populistycznymi hasłami utrwała się istniejące stereotypy, kanalizuje niezadowolenie społeczne i jednocześnie próbuje stanąć na czele społecznego sprzeciwu, który, jeśli wybuchnie, nie ma doprowadzić do eliminacji jego przyczyn.

Rozwojowi populizmu prawicowo-konserwatywnego w ostatnich dekadach sprzyjało uciekanie lewicy na scenie politycznej w kierunku „centrum” i rozpasanie neoliberalizmu. Polityka głosząca „*konsens w centrum*” doprowadziła do wzrostu dysproporcji i sprzeczności społecznych, a także pozwoliła partiom prawicowym przedstawiać się za jedyną siłę, sprzeciwiającą się neoliberalnemu establishmentowi i rzekomo reprezentującą wolę ludu, przy całej wrogości do jego ekonomicznych interesów.

Partie prawicowe, stojąc na gruncie akceptacji kapitalistycznych stosunków ekonomicznych, proponują środki zaradcze na sprzeczność pomiędzy formalnie demokratycznym charakterem stosunków politycznych a zjawiskiem degradacji, niepewnością egzystencji i wykluczenia znacznych grup społecznych, które doświadczają na co dzień bezsilności wobec liberalnych i neoliberalnych mechanizmów rządzących państwem i gospodarką.

Prawica swój reakcyjny, antypracowniczy i populistyczny program przedstawia jako alternatywę dla rządów „centro-lewicowych”, „komunistycznych”, liberalnych czy neoliberalnych, które przedstawia jako antynarodowe, antyrodzinne, skorumpowane, nieefektywne i naruszające zasady uczciwości i sprawiedliwości społecznej. Nic nie mówiąc o wyzysku społecznym, wzywa kapitał do przestrzegania „etyki biznesu”, przez co konflikty klasowe zastępuje dylematami moralnymi. Występuje z hasłami zniesienia wyobcowania obywa-

teli wobec biurokratyzowanego neoliberalnego państwa. Przy głoszeniu tych populistycznych postulatów prawica prowadzi taką krytykę kapitalizmu, która nie narusza wiarygodności jej przedstawicieli wobec poszczególnych grup kapitału. Taka krytyka okraszona silnym ładunkiem emocjonalnym i ostrymi ocenami moralnymi, pozwala dla prawicy występować jednocześnie jako partia opozycyjna wobec „układów” i przedstawicielka „szarego” obywatela i pracownika.

Nazwa prawicowej partii jak np. Prawo i Sprawiedliwość, najlepiej oddaje jej eliminacyjny w stosunku do wszystkich Innych charakter. A to oznacza, że już w samej nazwie tkwi zrzucenie odium za naruszenie sprawiedliwości na pasożytnicze „układy”, uniemożliwiające rozwój „sprawiedliwego” ustroju. Grupa pasożytnicza jest antynarodowa, antykościelna, antyrodzinna, niszczy wspólnotę narodową z jednej strony spekulacją, korupcją blokowaniem prawdy, a z drugiej tolerowaniem pozostałości wyimaginowanego „komunizmu” i układu esbecko-kapitałowego. W prawicowej narracji grupa „komunistów” najpierw uciskała naród metodami komunistycznymi (przemocą i z zagraniczną pomocą), a po kapitalistycznej transformacji wypaczyła kapitalizm i przekształciła się w nową klasę właścicieli majątku narodowego. Dla przywrócenia elementarnej sprawiedliwości trzeba było odebrać niesłuszne przywileje dla byłych SB-ków i kontynuować pogłębioną dekomunizację. Nacjonalistycznej wrzawie i powszechnemu wymachiwaniu flagami narodowymi towarzyszy uniżony stosunek do imperialistycznej polityki Stanów Zjednoczonych i zapraszanie ich do tworzenia baz wojskowych na terenie Polski.

Wykorzystując powszechne uprzedzenie i stereotypowe wyobrażenia mas na temat marksizmu i Marksa, PiS-owskie władze kilkakrotnie wysłały wiosną 2018 roku policję na konferencje naukowe, nie wywołując masowych protestów w obronie prześladowanego kręgu uczonych. Celem zastraszenia całego środowiska naukowego i zapowiedzi ograniczeń wolności badań naukowych uderzono w najsłabszego przeciwnika, którego, jak się inicjatorom tych akcji wydawało – najłatwiej będzie pokonać. Umberto Eco w artykule *Wymyślanie wrogów* wskazywał, że wyznaczanie wrogów nie jest przypadkowe – „od samego początku na nieprzyjaciół wybiera się nie tych, którzy bezpośrednio nas atakują (jak w wypadku barbarzyńców), ile raczej tych, których komuś oplota się ukazać nam jako zagrożenie, nawet gdyby byli dla nas całkowicie niegroźni”².

Dla przeciwstawienia się wolnorynkowemu „realizmowi” neoliberalistów, prawica proponuje sterowanie popytem poprzez wzrost wydatków publicznych i politykę monetarną państwa opartą na koncepcjach Johna M. Keynesa. Egoizmowi i nieodłącznemu od kapitalizmu antagonizmowi społecznemu, władzy pieniądza, kosmopolityzmowi, pasożytnictwu, upadkowi moralnemu i relatywizmowi etycznemu, prawica przeciwstawia wspólnotę narodową, tradycję, moralność, pokutę i wolę odnowy ducha wspólnoty. Jest to często zbieżne z uproszczonymi poglądami „szarego człowieka” i dlatego zapewnia jego poparcie wyborcze dla „swojej” prawicy.

Sztandarowy postulat programowy Prawa i Sprawiedliwości – „500 plus” – miał według deklaracji jego autorów przyczynić się do likwidacji wykluczenia spo-

tecznego. W rzeczywistości nie zmienił on ani kapitalizmu, ani reguł nim rządzących, ani tym bardziej nie zniósł wyzysku mas pracujących. Zakonserwował istniejącą strukturę płac i dochodów, pozwolił rodzinom posiadającym więcej dzieci poprawić swoje położenie na czas ich dorastania. Zlikwidował więc jedną z największych bolączek powstałych w wyniku neoliberalnej polityki, w imię trwałości systemu kapitalistycznego. Nie ma się czym zachwycać, zresztą nawet Grzegorz Schetyna z neoliberalną Platformą Obywatelską będąc w opozycji doszli do wniosku, że ten system zapomóg należy... rozszerzyć. I nie ma się czemu dziwić, nie ma tu żadnej sprzeczności – dla kapitału bowiem, który reprezentuje Platforma Obywatelska, oznacza to zmniejszenie nacisku najniżej zarabiających pracowników na płace, jest więc jednocześnie premią dla „pracodawców” wypłacaną z budżetu państwa...

Taką samą rolę społeczno-polityczną pełni zgłoszony przez PiS wiosną 2018 kolejny projekt wsparcia rodzin – „300 plus” dla wszystkich uczących się, bez względu na wysokość dochodów w rodzinie. Rząd liczy jednak, że nie wszyscy z tego zasiłku skorzystają, gdyż trzeba złożyć wniosek o jego wypłatę...

W 2006 roku prawica wprowadziła „becikowe”, jednorazową zapomogę z tytułu urodzenia dziecka. Na początku becikowe przysługiwało wszystkim rodzicom. Ale na mocy ustawy z dnia 12 października 2012 roku o zmianie ustawy o świadczeniach rodzinnych to się zmieniło i becikowe mogą otrzymać jedynie te rodziny, w których dochód na osobę nie przekracza 1922 zł netto.

Z pozoru rozwiązania te są wyrazem równego traktowania wszystkich obywateli. W praktyce jednak jest to kolejny przykład prawicowego populizmu, służącego ochronie dotychczasowej struktury społecznej i stosunków kapitalistycznych. Zasady podziału dochodów, które generują istniejące nierówności społeczne pozostają bez zmian...

Neoliberalizm a populizm

Prawica spod znaku neoliberalizmu określa populistami tych, którzy nie podporządkowują się „rynkowej sprawiedliwości”, a kiedy organizują pozaparlamentarne protesty, określani są burzycielami, chuliganami, antyrynkowymi populistami, nieodpowiedzialnymi i ulegającym emocjom tłumem. Natomiast gdy okazują zaufanie dla rynków finansowych, agencji ratingowych są ludźmi „myślącymi”, „odpowiedzialnymi”, „odpowiedzialnymi za państwo i naród”. Dlatego zdaniem Tadeusza Klementowicza rozróżniany jest populizm dobry i zły: „populizm może być społecznie groźny tylko wówczas, gdy to »ciemny lud« kupuje oferty kontestatorów aktualnego ładu, którzy w istocie nie zmiarzą do naruszenia jego podstaw. Jeśli natomiast lud jest oświecony i świadomy swoich interesów zawodowych, klasowych czy narodowych, to mamy do czynienia z demokracją partycypacyjną, jako wyższym ideałem samorządności niż demokracja parlamentarna”³.

Aby ukryć fakt posługiwania się populizmem, nadaje się mu naukowy blichtr poprzez ogłaszanie eksper-
tyz *think tanków* opłacanych przez wielki kapitał, oraz opracowań i analiz sondaży opinii publicznej. Powoływanie się na tzw. sondaże opinii publicznej nie ma nic wspólnego z demokracją, zwłaszcza jeśli ogół obywa-

teli nie ma wpływu na linię programową środków masowego przekazu lub jest ona jednostronna i stronnicza oraz daleka od głoszonego pluralizmu. Wówczas bowiem za pomocą środków masowego przekazu urabia się opinię publiczną, a badaniami sondażowymi jedynie sprawdza skuteczność tego oddziaływania...

Liberałowie i neoliberalni w okresie kapitalistycznej transformacji po 1989 roku zgodnie z wszelkimi zasadami populizmu przypuścili atak na uspołecznione formy własności środków produkcji. Szczególnie demagogiczny atak przypuścili na własność państwową, uznając ją słusznie za ekonomiczną podstawę poprzedniego ustroju, zaś powstałą po jej likwidacji własność prywatną i korporacyjną za podstawę budowanego neoliberalnego kapitalizmu. Ze względów taktycznych wówczas nie mówiono jednak o budowie kapitalizmu, lecz „gospodarki rynkowej”. Własność państwową przedstawiano jako „niczyżę”. Wmawiano społeczeństwu, że po likwidacji własności państwowej pracownicy staną się udziałowcami (właścicielami) zakładów, w których byli zatrudnieni. Pod hasłem prywatyzacji i „rzeczywistego uspołecznienia” poprzez system udziałów odwołano się do populistycznych wyobrażeń na temat funkcjonowania gospodarki i zręcznie je podsycono. Aby osłabić obawy przed bezrobociem zapewniano, że bezrobocie nie będzie lub będzie krótkotrwałe, i będą zasiłki dla tych, którzy zasiłk szereg bezrobotnych, nie wspomniano tylko jak długo...

Liberałowie i neoliberalni wykorzystali popularne w społeczeństwie przed rokiem 1989 narzekania na funkcjonowanie służby zdrowia. Zapewniono, że „pieniądze pójdą za pacjentem” i placówki służby zdrowia zostaną zmuszone do poprawy ilości jakości świadczonych usług. W rzeczywistości pod naciskiem ponadnarodowych korporacji, koncernów branży zdrowotnej i prywatnych towarzystw ubezpieczeniowych skomercjalizowano funkcjonowanie służby zdrowia i wprowadzono limity ilościowe przyjmowanych pacjentów, i w efekcie wydłużono kolejki do specjalistów medycznych. Skrócenie kolejek do specjalistów (nie likwidacji!!!) pozostaje stałym punktem programów wyborczych neoliberalistów, choć wobec strukturalnych ich przyczyn jest to tylko populistycznym hasłem. Poza krytyką pozostaje fakt, że niekiedy są trudności nawet w dostaniu się do lekarza rodzinnego, lekarza pierwszego kontaktu...

W związku ze stałym zmniejszaniem udziału płac w PKB i wzrostem dysproporcji i sprzeczności społecznych, w interesie kapitału finansowego wprowadzono politykę długu publicznego, a wyjście z niego widzi się w dalszych „cięciach wydatków” na publiczne systemy opieki zdrowotnej i społecznej oraz w ograniczaniu socjalnych zdobyczy ludzi pracy najemnej. Praktycznie sprywatyzowano usługi stomatologiczne. Zlikwidowano gabinety dentystyczne w szkołach, bo w myśl populistycznych zapewnień liberałów i neoliberalistów opiekę miały sprawować gabinety publicznej służby zdrowia. Aby umożliwić zaspokajanie potrzeb uprzywilejowanych ekonomicznie grup społecznych, utworzono alternatywny system lecznictwa prywatnego. Lecznictwu prywatnemu umożliwiono znaczne zyski, a zdarzające się negatywne skutki ich niedociągnięć przerzucano z reguły na publiczną służbę zdrowia. Stało się to powszechną praktyką ponieważ umożliwiono lekarzom

łączenie pracy w publicznej i prywatnej służbie zdrowia...

Skomercjalizowane publiczne szpitale zapewniają swoim prezesom i zarządom wysokie tantiemy, przy jednoczesnym minimalizowaniu liczby osób przyjętych na leczenie lub nawet zamykaniu całych oddziałów szpitalnych. Coraz większa grupa zatrudnionego w szpitalach i przychodniach personelu medycznego zmuszana jest do rezygnacji z socjalnych praw, do godzenia się na niepewne warunki pracy poprzez tzw. samozatrudnienie...

Ludowe referenda a populizm

Referenda ludowe, to nic innego, jak odwołanie się do populizmu, akceptowane często przez siły rządzące, jak i opozycyjne. Ponieważ w referendum sposób zadawania pytań ma wpływ na odpowiedzi i ich wyniki, o ich treść toczy się ostra walka ideowo-polityczna. Instytucja referendum zawiera wewnętrzną sprzeczność. Najlepszym bowiem pytaniem jest takie, które nie budzi żadnych wątpliwości. Ale pytanie, które nie budzi wątpliwości, nie jest pytaniem, lub jest pytaniem retorycznym, czyli czytelną odpowiedzią. Idealnym wyjściem z tych sprzeczności jest dla każdej partii przeforsowanie w referendum takich własnych pytań retorycznych, na które odpowiedzi „narzucają się same”, ale jednocześnie legitymizują jej politykę. Bywa jednak, że wyniki referendum odbiegają od założeń pytających. Zadający pytanie muszą bowiem pamiętać, że suwerenny lud może odpowiadać równie dobrze na „tak”, jak i na „nie”, kierując się swoją wiedzą jak i przekorą, bo takie jest jego prawo jako suwerena.

Dla kapitału postulaty mas pracujących, aby np. zwiększyć udział płac w produkcie globalnym, ograniczyć zyski korporacji, zlikwidować bezrobocie i zatrudnianie na tzw. umowach śmieciowych umożliwiających zwiększony wyzysk siły roboczej, skrócić czas pracy przy zachowaniu dotychczasowych dochodów, zwiększyć zabezpieczenia socjalne, uspołecznici służbę zdrowia, znacjonalizować wielką własność, nałożyć dodatkowe podatki na najbogatszych, ograniczyć wydatki na siły zbrojne i służby specjalne, uczynić religię prywatną sprawą obywatela i oddzielić Kościół od kasy państwowej, pozostawić decyzję o możliwości aborcji kobiecie – pozostają populistycznymi postulatami, nad którymi się „nie dyskutuje”.

Lobbing

Wbrew temu co powszechnie słyszymy i czytamy, nie żyjemy dziś w społeczeństwach demokratycznych lecz oligarchicznych. Wyrazem tego m.in. jest funkcjonowanie ustaw o zawodowej działalności lobbingowej w procesie stanowienia prawa, bez sprzeciwu trybunałów konstytucyjnych. Ale ustawa o lobbingu jest właściwie współczesną wersją koncepcji Milla. Wynika ona ze sprzeczności pomiędzy posłami i senatorami a wyborcami (ludem, *demosem*).

Niezależnie od wykorzystywania populizmu zarówno przez neoliberalistów spod znaku Platformy Obywatelskiej, jak populistów spod znaku Prawa i Sprawiedliwości, obie partie dopuszczają działalność lobbingową w procesie tworzenia prawa. Wpływ lobby amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego był szczególnie widoczny wówczas, kiedy ministrem obrony narodowej

był Antoni Macierewicz. Lobbing stał się integralnym składnikiem kapitalistycznych i pluralistycznych społeczeństw, neoliberalnych gospodarek i wolnej konkurencji oraz coraz powszechniejszego utowarowienia stosunków politycznych. Lobbyści przedstawiają się jako pośrednicy pomiędzy obywatelem i władzą. Tylko że w tym wypadku istnieje sprzeczność pomiędzy bezinteresowną (bezpłatną) działalnością polityczną mas (suwerena) a opłaconą przez środowiska oligarchiczne i organizacje gospodarcze działalnością lobbystów. Lobbing coraz bardziej przybiera charakter profesjonalny i międzynarodowy. Oznacza on przejście od ładu kolektywnego do ładu liberalno-indywidualistycznego. Nawet zwolennicy lobbingu przyznają, że jest on rodzajem dialogu rządzących i liderów środowisk, które nie mają bezpośredniego wpływu na sprawowanie władzy, że wzmacnia to te środowiska, choć nie mają one większych wpływów w społeczeństwie⁴.

Populizm a uczeni eksperci

Dla uniknięcia oskarżenia o populizm, rządzący posługują się opiniami osób z tytułami naukowymi. Niestety jest to w najlepszym razie tylko pobożne życzenie. Populizm i tytuły naukowe nie są rozdzielone chińskim murem. Osoba z tytułem profesorskim również może być populistą, gdyż sprzeczności pomiędzy „rozumnością” i „prawdą” związane są z istniejącą strukturą klasowo-warstwową i interesami jej poszczególnych elementów. Sprzeczności te mogą być ograniczane na gruncie zalecanej przez moralność bezstronności, ale nawet wtedy żaden najmądrzejszy filozof nie jest w stanie wyeliminować sprzeczności pomiędzy populizmem a prawdą. Jak mówi stare porzekadło, interesy to czynnik potężny, nawet pewniki matematyczne zostałyby zmienione, gdyby przeczyły interesom...

EDWARD KAROLCZUK

- 1 Jacques Rancière, *Nienawiść do demokracji*, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2008, s. 98-99.
- 2 Umberto Eco, *Wymyślanie wrogów i inne teksty okolicznościowe*, przełożyli Agnieszka Gołębiowska i Tomasz Kwiecień, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2012, s. 13.
- 3 Tadeusz Klementewicz, *Wspólnota demokratyczna jako synteza reprezentacji i partycypacji*, [w:] „Studia Politolologiczne” 2016, vol.41, *Wpływ i władza w systemie demokratycznym*, pod redakcją Jacka Ziółkowskiego, Warszawa 2016, s. 49.
- 4 Tadeusz Klementewicz pisał, że lobbing uczynił „z samej maszyny państwa jeden z głównych obszarów akumulacji bogactwa – poprzez kradzież i przekupstwo, na niższych i wyższych poziomach. W Stanach Zjednoczonych roczne obroty lobbingu sięgają 8 mld \$. Dlatego też w tym kraju występuje najwięcej patologii w relacjach polityków z biznesem, choć w świetle ustawodawstwa uchodzą one za legalne. [...] Powstaje za sprawą opisanych mechanizmów weberowskie »państwo patrymonialne«, zwane też politycznym kapitalizmem”. Tadeusz Klementewicz, *Więźniewie finansowych rynków. Kryzys demokracji parlamentarnej a mechanizmy uzależniania polityków od biznesu*, [w:] *Antynomie i paradoksy współczesnej demokracji*, redakcja naukowa Marcin Tobiasz, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2016, s. 51-52.

MAREK TABIN

INTELIGENCJA PO 1989 ROKU

Tekst ten koncentruje się na funkcjonowaniu inteligencji polskiej w okresie po przełomie 1989 roku. Moja definicja inteligencji jest nieco ekstrawagancka, myślę jednak, że jest dostosowana do problemu, który omawiam, co – mam nadzieję – czytelnik sam zobaczy. Inteligencją będą wszyscy mający wykształcenie wyższe i wykonujący tradycyjne zawody inteligenckie, ale oprócz nich – wszyscy ci, którym los kraju nie jest obojętny i którzy mają w tym zakresie jakieś przemyślenia inne niż pomysły możliwie wygodnego urzędzenia się.

Uważam, że stan naszego kraju jest niezadowolający. Zewsząd otacza nas kłamstwo, obłuda, cwaniactwo, wygłup, małość, zatęchłość – płynące coraz szerszym strumieniem z góry i coraz powszechniej akceptowane. I nie równoważą tego dobre wskaźniki ekonomiczne, gdyż przy takim stanie ducha obywateli nie są one podstawą do optymizmu. Uważam, że istotną część winy za ten stan ponosi właśnie inteligencja, która w III RP nie podjęła odpowiedzialności za kraj.

Przedstawiam pewną interpretację przyczyn aktualnego konfliktu społecznego oraz sposób jego przezwyciężania. Nie zajmuję się natomiast ważeniem racji obu stron tego konfliktu; byłoby to zajęcie jałowe.

Zmiana 1989

W 1989 ustrój Polski się zmienił. Władzę objęli politycy pochodzenia inteligenckiego. Ich motywacją w mniejszym stopniu były potrzeby kraju, w większym – zorganizowanie państwa według nakazów wyznawanej przez nich ideologii, czyli neoliberalizmu. Dlatego skopowali oni siatkę instytucji państwa demokratycznego, która jednak od początku nie funkcjonowała tak, jak w krajach rozwiniętych. Jak się ostatnio okazało, można ją łatwo zniszczyć, a w jej obronę angażuje się zbyt mało osób – jedynie ci, którzy rozumieją wagę demokracji i trójpodziału władz dla życia codziennego, a to jest mniejszość obywateli.

W ciągu ostatnich 30 lat w sprawach najbardziej podstawowych dla rozwoju państwa kontynuujemy czas PRL. Te najbardziej podstawowe sprawy, to postawy

ludzkie warunkujące działanie społeczne, a nie wyniki tego działania, czyli instytucje demokratyczne. Nie interesuje nas realny Zachód, tak jak kiedyś, z pożytkiem, interesował on Japończyków. Nie naśladujemy cech, które stworzyły kapitalizm i dobrobyt (i które się aktualnie w tym dobrobycie rozpylają, ale to już inna sprawa). Zachód jest dla nas źródłem uzasadnień, mitów, przykładów zawsze oddzielonych od innych spraw, źródłem kultury infantylizacji i sprowadzania ważnych spraw do *like-dislike*. Zachłystujemy się kulturą głupoty – w krajach zachodnich oprócz niej istnieją oazy kultury wysokiej, u nas – popkultura ma status kultury najwyższej.

W 1989 roku uważaliśmy, że zamiana socjalistycznego centralizmu na demokrację załatwi wszystkie nasze problemy. Ten pogląd określił bieg głównych spraw w III RP. Przekonanie, że jedyną ważną sprawą jest ustrój, Czesław Miłosz nazwał swego czasu ukąszeniem heglowskim. Już po raz drugi w naszej historii przekonanie to okazało się nieprawdą, mimo że Miłoszowi chodziło o zupełnie inny ustrój. Pisał on o ludziach dobrej wiary, odurzonych ideologią komunistyczną, świadomie tworzących tamten system, podporządkowanych świeckiej religii, ulegających Historii i urojonemu przekonaniu o istnieniu koniecznych praw dziejowych, co na gruncie politycznym spowodowało podporządkowanie się ideologii. Do naszych czasów ukąszenie heglowskie przetrwało w postaci przekonania, że właściwy ustrój jest najważniejszą, a może nawet jedyną ważną sprawą dla wszystkich chcących dobra swego kraju. Dziwne, ale rządzącym w PRL przekonanie to nie kłóciło się – choć powinno – z intensywnym propagowaniem indywidualnego poświęcenia na rzecz socjalizmu. W III RP przeciwnie, propagowane jest jedynie – i to w Sejmie – indywidualne wyjeżdżanie z Polski.

Wśród wielu różnic między tymi dwoma ustrojami jest jednak i taka, że komunizm dysponował zwartą i konsekwentną koncepcją ustrojową, natomiast neoliberalizm poza liberalizacją gospodarki, myśli i obyczajów takiej koncepcji nie ma. Ma jedynie przykłady, realne rozwiązania, które można kopiować mniej lub bardziej bezmyślnie.

nie. Miłosz słusznie miał do komunizmu pretensje o wiele szkód, które były rezultatem tej doktryny. Ale dlaczego mielibyśmy mieć jakieś pretensje do neoliberalizmu? O co? O to, że ludzie głupieją? A kto im zabrania myśleć?

Otóż represywność systemu komunistycznego polegała między innymi na tym, że silnie skłaniał – by nie rzec, że zmuszał – do refleksji. Neoliberalizm zniósł także i ten przymus. Prawdopodobnie wielu ludzi odczekało z ulgą. Natomiast, moim zdaniem, obowiązkiem inteligencji było zastąpienie Służby Bezpieczeństwa w funkcji zmuszania do myślenia. Inteligencja tego obowiązku nie wypełniła, nawet nie próbowała. Należało najpierw wykorzystać ten przymus myślenia – choćby i tworzony przez Służbę Bezpieczeństwa – do stworzenia elit umiających prowadzić kraj – a dopiero potem ewentualnie te bodźce likwidować. Taką taktykę przyjęły kraje rozwinięte i, jak się okazuje, wystarcza ona na jakieś 100 lat – choć już nie na dłużej.

W ciągu ostatnich 30 lat stopniowo wszyscy zauważali, że nie o to chodziło. Chodziło o to, żeby tu był Zachód, a nie o to, by na tej ziemi inni urządzili taki trochę Zachód, raczej dziki, z myślą o swoich, nie naszych korzyściach. O to, by wreszcie skończyć z kłamstwem i propagandą, a nie o to, by je powiększyć i zacząć w nie wierzyć. O to, by nasze państwo przestało być naszym wrogiem, a nasze prawo – pomysłem represyjnym, który należy ominąć, konstrukcją „onych”, z którą należy sobie poradzić. O to, by rządzenie było skuteczne, a nie żeby uchylać kilkaset ustaw na miesiąc. Inteligencja przycupnęła i wyraźnie głosi hasło „co złego, to nie my”. Moim zdaniem jest ono nieprawdziwe i to już od dość dawna.

I tak doszło do powstania takich określeń Polski, jak „państwo teoretyczne”, „państwo z dykty”, „nie-państwo”, czy „dzicz” nazywających, niestety trafnie, naszą teraźniejszość. To już drugi raz w naszej historii. W drugiej połowie XVIII wieku te akurat określenia nie istniały, ale dziś wiemy, że wówczas byłyby one również bardzo na miejscu.

Zwycięstwo PiS było protestem przeciwko niespełnieniu obietnic i przeciwko lekceważeniu kraju i ludzi przez polityków, utożsamianych – gdyż utożsamiających się – z inteligencją nawet wówczas, gdy chodziło o osoby pochodzące ze środowiska chłopskiego czy robotniczego. Zaprotestowano przeciwko nie zauważaniu takich zjawisk, jak masowe i niezasłużone spychanie ludzi na dno, upajanie się postępami panującej ideologii (tym razem demokracji i prywatności posiadania, które jednak przez rosnącą część społeczeństwa były coraz niżej cenione), nie spełnianie przez elity swych podstawowych obowiązków. To lekceważenie warstw wyższych w stosunku do niższych widać we wszystkich krajach. Wszędzie też jest ono źródłem jakichś konfliktów (a także ruchliwości społecznej, indywidualnego zadowolenia z sukcesu życiowego oraz przyczyną postępu technicznego). Ale specyfiką Polski jest to, że warstwy wyższe nie pełnią swoich funkcji, ograniczają się do zadowolenia z wysokiej pozycji i pozostawiają bieżące rządzenie krajem systemowi politycznemu. Podobnie, choć w mniejszym stopniu postępowała zresztą inteligencja pochodzenia ludowego w PRL. System jest uważany za nieomylny, bo zachodni (dawniej: bo radziecki). A przy okazji: chyba bardzo ważne jest także i to, że zdaniem naszych elit w każdym razie nie jest i nie może być nieomylna myśl, która pochodzi z Polski. Ale to już jest inna sprawa.

Tu konieczne jest pewne zastrzeżenie. Zarówno w 1945, jak w 1989 roku władzę objęli ludzie, którzy postępowali zgodnie z wyznawaną przez nich ideologią. To, że ich rządy stopniowo się degenerowały – to zupełnie inna sprawa, ale ich pierwsze decyzje były w pełni zgodne z zapowiedziami. Obecnie, od 2015 roku mamy do czynienia z rządami, które – moim zdaniem – są od początku sprawowane przez ludzi, którzy pewne obietnice traktowali i wciąż traktują jako sposób na zwycięstwo wyborcze, czy na popularność; w każdym razie nie jako zadanie. Od samego początku zamiast wstawiania Polski z kolan mamy jej wyrzucanie za drzwi, zamiast ukrócenia korupcji politycznej mamy jej rozrost, zamiast rządów prawa mamy prawo rządzących. Chciałbym bardzo wyraźnie zaznaczyć, że gdy piszę w tym tekście o przyczynach zwycięstwa PiS w 2015 roku, czy o przyczynach popularności tej partii, myślę o tej części społeczeństwa, która zawiodła się na rządzących wcześniej. W żadnym razie nie myślę o wąskiej grupie kierowniczej PiS. Zaletą tych ostatnich, niewątpliwie ważną, było trafne odczytanie nastrojów społecznych, na co nie zdobyły się jeszcze inne partie. Ale tę trafną diagnozę wykorzystali oni nie do zaprojektowania korzystnych zmian, lecz do zdobycia władzy przez cyniczne manipulowanie społeczeństwem.

Pomijam tu także kwestię istotną dla teoretycznego opisu ewolucji politycznej III RP: czy decydującą rolę gra tu sam ustrój społeczno-polityczny, czy raczej jego połączenie z kulturą polityczną realizatorów ideologii określającej ten ustrój. W tym drugim przypadku należałoby mówić o myślowym fundamentalizmie właściwym krajom Europy Środkowo-Wschodniej i o skłonności do dosłownego traktowania ideologii. Ten fundamentalizm w latach 40. i 50. oznaczał aresztowanie handlarek pietruszką, a po roku 1989 doprowadził do ideologicznego i urzędowego skasowania wielu mechanizmów społecznych powodujących, że jesteśmy społeczeństwem (gdy ktoś woli: narodem), a nie beładnym zbiorem jednostek – na przykład znacznego zakresu dóbr wspólnych czy różnych form planowania. Gdyby nie ten fundamentalizm, po wojnie weszlibyśmy zapewne na podobną ścieżkę rozwojową co Szwecja, nie bez powodu uważana często za kraj socjalistyczny. O skutkach fundamentalizmu neoliberalnego, bynajmniej nie likwidowanego przez Prawo i Sprawiedliwość, przekonamy się niebawem.

Nie było polskiej inteligencji...

1. ...gdy po zmianie ustrojowej w 1989 roku przyjęto zasadę, że wszyscy ludzie zajmujący wyższe stanowiska (dyrektorzy w przemyśle, administracja terenowa, itp., itd.) to „komuchy” i że z tego właśnie płynie całe zło. Natomiast zamiana ich na „swoich” natychmiast uzdrowi sytuację. Można powiedzieć, że była to i jest koncepcja, że jesteśmy narodem uciskanych aniołów, a kiedy tylko ucisk ten zniknie, nasza anielskość rozkwitnie. Niepotrzebne więc będą żadne sposoby kształtowania elit politycznych i administracyjnych, przyuczanie ludzi do działania społecznego, żadne młodzieżowe organizacje polityczne, żadne ścieżki mozolnej kariery, żadni ludzie z doświadczeniem, żadne próby odsiewania ludzi dążących do kariery politycznej jedynie dla pieniędzy czy władzy. Akceptacja neoliberalizmu wystarczy. Nie znam innych przykładów podobnego egocentryzmu nowej władzy, w każdym razie nowa władza lat 40. XX wieku była pod tym względem o wiele skromniejsza.

W ten sposób zrealizowaliśmy praktycznie, po raz pierwszy w świecie, Lenina koncepcję rządów kucharek. Twórca państwa radzieckiego uważał, że w komunizmie rządzić potrafi każda kucharka, gdyż będzie to bardzo proste zadanie. My uznaliśmy, że w neoliberalizmie rządzić potrafi każdy, kto tego chce, przez co zamieniliśmy elity władzy na elity żądzdy władzy – ze skutkiem wiadomym.

Niestety, autorzy tych dokonań politycznych nie uważyli jednego: że takie postępowanie bardzo obniża rangę moralną i polityczną wydarzeń lat 1980-89: „Solidarności”, Okrągłego Stołu, obalenia komunizmu w sposób pokojowy czy pierwszeństwa Polski w przemianach demokratycznych. Jest ono bowiem sugestią, że tak naprawdę nie o ideę chodziło opozycji demokratycznej lat 70. XX wieku, tylko o dobrze płatne posady. Wcześniej czy później jakiś historyk albo politolog dokładnie to opisz i może nawet uogólni tę motywację również na inne przesilenia polityczne (1968, 1970, 2015).

2. ...gdy pojawiła się oczywista potrzeba, a nawet obowiązek przedyskutowania czasów PRL: co w końcu było tam niewłaściwe i nadające się do odrzucenia lub naprawy, a co właściwe i warte kontynuacji. Stosunek do PRL został określony jednym sloganem „komuna” i tak już zostało do dziś. Wydaje mi się to dalekie od nawet mało subtelnych standardów umysłowych. Niektórzy socjologowie zainteresowali się głębiej stalinizmem, niektórzy ekonomiści – gospodarką centralnie sterowaną, ale całość tej koncepcji ustrojowej pozostaje dla nas ciemną plamą. Równie bezmyślne było potraktowanie PRL jako tworu w pełni obcego i Polakom narzuconego. Nikt poważny nie zainteresował się tym, skąd się kiedyś wzięli polscy komuniści i jakie warunki spowodowały ich pojawienie się. Również nikt nie zainteresował się tym, że bardzo wiele pomysłów z zakresu zarządzania czy polityki społecznej znanych z PRL pojawiło się także w III RP – a przecież jeśli tak, to może te pomysły wyrastają z naszej, polskiej kultury politycznej, a nie z ustroju?

3. ...gdy kultura dyskursu, myślenia, debaty, spierania się, mimo wszystkich ograniczeń obecna w PRL, została zastąpiona przez kulturę nachalnego obrazu, propagandowej kliszy, bezmyślności, operowanie we wszystkim czernią i bielą. Gdy powstawał coraz lepiej się mający język postpolski, zastępujący słowa istniejące od wieków jakimiś zlepkami trochę angielskimi, wolny od ortografii i prawideł gramatyki. W pewnej „dyskusji” internetowej między dwoma postami (żaden z Prawa i Sprawiedliwości!) składającej się w sumie z 4 wypowiedzi padły pod adresem partnera następujące określenia: bydlak, cham, barachło, świnia, donosiciel, prostak, nawilża PiS-owi. Od lat nie czytałem poważnego artykułu na temat aktualny i ważny – takiego, który zauważa argumenty przeciwników i ustosunkowuje się do nich inaczej niż przez „to są nasi wrogowie”. Czy naprawdę chodzi o to, że PRL-owskie kolejki były dobrym miejscem do myślenia, a gdy ich zabrakło – zgłupieliliśmy? A dlaczego schamieliśmy? Kolejki nie sprzyjały grzeczności!

4. ...gdy powstawało utożsamianie polityki albo ze zdradą i złą wolą, albo z wyciąganiem brudów, kompromitowaniem, szkodzeniem konkurentom, a w najlepszym razie – z walką o władzę. To pierwsze – to stały mo-

tyw rządzących przeciwko protestującym: „im nie chodzi o praworządność, to jest działanie polityczne”. Był obecny w PRL, szczególnie intensywnie w latach 80., a w III RP niebywale rozkwitł. To drugie – jest elementem praktyki, którego trudno nie zauważyć, gdyż działalność publiczna polityków III RP coraz bardziej polega wyłącznie na oskarżaniu – prawdziwym lub nie – konkurentów, a media skwapliwie ten nurt podchwytyją. W rezultacie najskuteczniejszym manewrem wszelkich kampanii wyborczych jest podkreślanie kompromitacji przeciwnika, co samo w sobie wydaje mi się ciężką patologią systemu politycznego. To trzecie – skutek bezmyślnego czytania opracowań politologicznych – ugruntowuje w społeczeństwie przekonanie, że polityka jest wyłącznie walką o władzę. Oczywiście, ten element występuje od zawsze i w ilościach czasem zdecydowanie nadmiernych. Ale samo słowo *polityka* pochodzi od greckiego *polis* i oznaczało rządy miasta. To właśnie – rządy miasta – dla dobra wspólnego jest istotą polityki, a najróżniejsze okoliczności towarzyszące, w rodzaju kłamstwa czy zdrady nie są jednak jej definicją.

5. ...gdy w 1989 roku zaczęła się wykuwać kolejna Polska „błędów i wypaczeń”, czyli III RP. To określenie powstało w 1956 roku i miało oznaczać stalinizm, ale pasuje do całej współczesnej historii Polski. Każdy kolejny okres historyczny, poczynając od przedwojnia, określany jest przez następców jako pełen poważnych błędów, jeśli nie przestępstw i zbrodni. Dla obywateli ma to sens taki, że z przykrością przyjmują do wiadomości, iż stale żyją w państwie, które w niedalekiej przyszłości na pewno będzie uznane za złe, może nawet zbrodnicze. Trudno się dziwić, że tego nie chcą i wyjeżdżają. Kolejne ekipy mają silne poczucie zbawiania Ojczyzny, a czynność tę rozpoczynają od likwidowania dokonań poprzedników i zohydzenia ich; bywa, że na tym kończą. Podbudową ideologii wiecznych błędów i wypaczeń jest ideologia nienawiści do „onych”, a skład tej ostatniej grupy zmienia się oczywiście, zależnie od etapu. Rozszerza się również zakres przedmiotowy obiektów uznanych za wroga ideowo, bo pochodzące z poprzedniego etapu. Komuniści nie likwidowali jednak przemysłu powstałego w II RP, natomiast IV RP likwiduje „Orliki” wprowadzając zamiast tego strzelnice.

Każdy okres po 1945 r. to pewien projekt ideologiczny. Do żadnego z tych projektów większość ludzi nie pasowała i nie pasuje. Znakomita większość nie ma ochoty na podporządkowywanie swego życia ani mądrości towarzysza Stalina, ani mądrości niewidzialnej ręki rynku. W każdym więc przypadku istniała – z punktu widzenia władzy – konieczność propagandowego kształtowania „nowego człowieka”. Oznaczało to jednak stworzenie aparatu (ideowego, administracyjnego, psychologicznego) oddzielania się od ludzi. Takiego aparatu, który z założenia będzie uważał, że jest mądrzejszy i to właśnie on ma rację. Nie jest jednak możliwe oddzielenie się od ludzi i ich opinii w jednych kwestiach, a wysłuchiwanie ich i podążanie za ich opinią w innych. Tym samym następuje „oddzielenie się od mas”, która to formuła jest aż nazbyt dobrze znana z historii politycznej Polski po 1945 roku. Okresy „błędów i wypaczeń” nie spadają z nieba i nie są okrutnym żartem historii. Są produkowane przez samych rządzących i wynikają z podstawowych założeń prowadzonej przez nich polityki.

6. ...gdy Prawo i Sprawiedliwość zwyciężyło w wyborach i już z grubsza było wiadomo, co nas czeka. Reakcją na wygraną PiS-u świadczyła o głębokim przekonaniu, że elity III RP są w porządku. Byłoby lepiej, gdyby zamiast tego inteligencja próbowała wyjaśnić co właściwie, dlaczego i z czyjej winy nastąpiło. Usłyszeliśmy jednak same banały: „ucieczka od wolności”, „wyuczona roszczeniowość”, „tęsknota za socjalizmem”, itd., itp. Była to reakcja ludzi, do których konkret nie ma dostępu, jedynie hasła ideologiczne i cytaty z nie przeczytanych książek. Nie twierdę, że ideologia jest niepotrzebna – pewnie już wkrótce wszyscy wyborcy PiS-u przekonają się, że idea demokracji ma swoje poważne zalety. Ale inteligencja nie wysiliła się, żeby im to wytłumaczyć.

7. ...gdy natychmiast po przełomie 1989 roku triumfowała ideologia „mieć natychmiast” zamiast „budować”. W jej imię przekształcono polski przemysł w niepotrzebujący polskich naukowców, zapewniający jedynie teren i siłę roboczą, ale już nie ekipy opracowujące i wdrażające nowości, te bowiem zapewniają aktualni właściciele zakładów, czyli koncerny zagraniczne. W dłuższej perspektywie doprowadzi to Polskę do takiego względnego poziomu cywilizacyjnego, jaki charakteryzuje współczesne kraje arabskie. Przez kilka wieków zadawały się one rolą pośrednika w handlu między Europą a Dalekim Wschodem. Potrzeby rozwijania własnych umiejętności produkcyjnych nie odczuwano. Tak doszło do stanu dzisiejszego, czyli do teokracji zapewniającej ciągłość władzy, prawa i obyczajów, uznaniowego systemu sprawiedliwości, pluralizmu autokratycznych partii i wyznani religijnych (i żadnego innego), traktowania świata jako pola bezustannego konfliktu, religijnie sankcjonowanego obowiązku nienawiści. Wszystkie te cechy świata arabskiego charakteryzują – choć wciąż w słabszym stopniu – współczesną Polskę. Masowe wyjazdy Polaków za granicę po 1989 roku są zjawiskiem w zasadzie tym samym, co znaczna część obecnych migracji z Afryki i Bliskiego Wschodu do Europy: ucieczką od beznadziejności (oczywiście, nie piszę tu o uciekających przed wojną!).

8. ...gdy kształtowała się nasza, polska koncepcja pluralizmu jako wielości jednorodnych, pozamykanych baniek, dostarczających każdemu wrażeń przyjemnych i zgodnych z jego światopoglądem, ale uniemożliwiających – przez swe zamknięcie – zobaczenie świata istniejącego poza własną wyobraźnią. Skutecznie uniemożliwia nam to dowiedzenie się, dlaczego już w 1993 ludzie głosowali na świeżo obaloną lewicę, dlaczego ostatnio wybrali Prawo i Sprawiedliwość i ogólnie: dlaczego...? Psychologowie uważają, że obecnie tego pytania jest koniecznym składnikiem umysłu inteligenta.

Konflikt społeczny we współczesnej Polsce jest czymś bardzo realnym, historycznie wytłumaczalnym. Jest to konflikt między inteligencją, wywodzącą się głównie ze szlachty, (a w każdym razie mającej etos szlachecki) i utożsamianą z warstwą rządzącą, a ludem, który na szlachtę musiał za darmo pracować, ale w końcu – dzięki zaborcom – uzyskał wolność. Podkreślam, że chodzi mi tu o to, jak struktura społeczna jest przez ludzi widziana, a nie o to, jaki jest jej najtrafniejszy teoretyczny opis. Wrogość między tymi dwiema grupami nie kształtuje się przez przekaz rodzinny – od połowy XIX wieku minęło już przecież wiele czasu. Jest to raczej trwałe istnienie

dwóch wrogich obozów: „lepszego” – identyfikujących się z etosem szlacheckim – i „gorszego” – uważających się za pochodzących z ludu. Kryteria przynależności do tych dwóch grup są oczywiste, ale nie pozbawione wyjątków. W pewnym stopniu jest ona bowiem określana przez indywidualne decyzje. „Lepszym” może być inteligent z pierwszego pokolenia, który lekceważeniem wobec „roboli” i „pejzanów” podkreśla, że „się wybił”. „Gorszym” może być rodowy inteligent, któremu się nie udało. Możliwe jest nawet, że ludzie, którzy w punkcie wyjścia należeli do „lepszego” zostali uznani (przez innych lub przez siebie samych) za odstających od wymaganego poziomu i w tym momencie sami zidentyfikowali się z „gorszymi”. Ewidentnym przykładem takiego rozwoju wydarzeń jest ewolucja po 1989 roku działaczy tworzących obecnie elitę PiS. Zresztą, w okresie sprawowania władzy dokonała ona już kolejnej zmiany identyfikacji i określiła się jako „pierwszy sort”.

Taki konflikt w słabszym lub silniejszym stopniu jest zjawiskiem częstym. Metodami autokratycznymi (cenzura, więzienia, łagry) można go zamrozić. Ale jeśli chcemy go odesłać do zamierzchłej historii, to rezygnacja z baniek (najeżonych kolcami!) jest konieczna. A to jest właśnie teraz w Polsce sprawa kluczowa

Podział PO – PiS to dziś odzwierciedlenie dawnego podziału na Polskę pańską i Polskę ludową, mimo że te partie w punkcie wyjścia właściwie nie różniły się od siebie, a lewica – tradycyjny bastion ludu – stała się idealnie antykonceptyjna. Fakt, że Polska ludowa (przez małe „l”) w latach PRL została mocno skompromitowana nie oznacza, że podziału nie ma, czy że jest bezzasadny. Także wybuchy bardzo żywych emocji towarzyszące (rzadkim) rozmowom, w których ujawniła się różnica poglądów, świadczy o tym, że chodzi o sprawy znacznie bardziej zastarzałe i podstawowe niż to, czy konkretny polityk kradnie lub kłamie. Może warto zastanowić się w końcu nad tym, dlaczego 40 proc. ankietowanych wciąż wybiera PiS, mimo wszystkich jego błędów? A jeśli – jak twierdzą niektórzy – jest tak, że znaczna część tych wyborców w prawdziwych wyborach odda głos nie na PiS, to to też coś oznacza: że mianowicie swymi obecnymi odpowiedziami starają się oni skłonić opozycję do zamiany pracy krytyczno-ironiczno-pogrózkowo-propagandowej na pracę myślową. Jak dotąd, ten zabieg nie przynosi efektów.

Funkcja inteligencji

Nie zamierzam tu analizować wszystkich funkcji inteligencji w nowoczesnym społeczeństwie. Chodzi mi o tę jedną funkcję, która jest obecnie, moim zdaniem, kluczowa. Jest to wyłanianie i kontrolowanie elit, w szczególności politycznych.

O zlikwidowaniu przez III RP wszelkich instytucjonalnych form wyłaniania elit politycznych pisałem już wyżej. Ale problem jest szerszy. Traktowanie oddzielnie elit politycznych, społecznych, naukowych, artystycznych itd. jest socjologicznie nieuzasadnione. Ważne jest, czy w społeczeństwie istnieją mechanizmy zapobiegające wdzieraniu się do elit (różnych elit!!!) osób nie posiadających żadnych ku temu kwalifikacji. A w naszym kraju jest z tym raczej słabo, co ma już całkiem sporą literaturę, poczynając od opowieści o Nikodemie Dyzmie.

Istnieje w Polsce wiele organizacji pozarządowych w różnych dziedzinach życia społecznego. Wiele jest

też grup działających poza oficjalnymi strukturami, a także autentycznie zaangażowanych działaczy samorządowych. Ich działalność jest nie do przecenienia. Nie chciałbym, aby ten tekst został odebrany jako lekceważenie ich olbrzymich zasług. Na pewno bez nich sytuacja w Polsce byłaby znacznie trudniejsza.

Ale nie o brak wyróżniających się działaczy mi chodzi, lecz o opinię publiczną i codzienne aktywności – w tym przede wszystkim rozmowy – sprzyjające jej formowaniu się, a w dalszej perspektywie właśnie formowaniu elit społecznych, nie jedynie politycznych.

W czasach zdecydowanie dawniejszych opinią publiczną były reakcje ludzi na rozbieżność między postępowaniem pewnego ich bliźniego a nakazami religii i obyczaju. Wygłaszanie opinii krytycznych o władzy – na ogół chodziłoby tu o króla – nie było zajęciem bezpiecznym i takie opinie nie były ujawniane. Dziś opinia publiczna to są słupki z badań sondażowych, w których pyta się o „popularność”, „zaufanie”, „nadawanie się do funkcji prezydenta” itp. U poszczególnych ludzi opinie te powstają przede wszystkim przez oddziaływanie mediów, ale to oni sami wybierają media, które na nich oddziałują. Właśnie na tym polega przebywanie w bańce, o czym pisałem wyżej.

Warto zwrócić uwagę na to, że termin „publiczna” zmienił swoje znaczenie na przeciwne. Dawniej opinia publiczna to była opinia ujawniana zarówno temu, kogo dotyczyła, jak i innym ludziom. Dziś opinia publiczna powstaje w przestrzeni między telewizorem a fotelem, zyskuje istnienie tylko wtedy, gdy zapyta o nią ankieter, nigdy nie jest poddawana w wątpliwość, czyli nie przechodzi przez konieczność obrony, nikt też za nią nie ponosi odpowiedzialności. W wielu krajach nieujawnianie swych przekonań politycznych jest wręcz ważnym składnikiem politycznej poprawności.

Między okresem jawności i tajności opinii publicznej na poziomie jednostki był jednak czas – z grubsza pierwsza połowa XX wieku – kiedy ludzie jeszcze trochę myśleli, a już się nie bali. Jeszcze nie krawat i suknia małżonki decydowały o wyborze, ale już do każdego dochodziło wiele sprzecznych treści na ten sam temat i można było spośród nich wybrać, a czasem także o nich pomyśleć. Wtedy powstały znane do dziś, głównie amerykańskie, teorie opinii publicznej: na przykład taka, że jest ona wynikiem przechodzenia treści od najwyższych elit intelektualnych przez wiele poziomów, aż do robotników i chłopów, przy czym na każdym etapie są one przetwarzane.

I do tego modelu należałoby chyba zmierzać, nie przejmując się tym, że zapewne niektórzy uznają to za próbę cofnięcia czasu, może nawet postępu. Chodzi tu i o treść poglądów i o nadawanie wagi tym a nie innym sprawom. Ale nie o zsumowanie opinii jednostek, które dowiadują się z telewizora, co mają myśleć o tym lub tamtym, lecz o opinie jednostek należących do pewnej wspólnoty. Pytanie, jak to zrobić, skoro media nie dadzą sobie wydrzeć funkcji inicjowania tematów i kierowania umysłami, a tak zwani przywódcy opinii (czyli lokalne autorytety) zanikli, a w każdym razie bardzo osłabła ich rola.

Można powiedzieć, że właśnie to jest zadaniem inteligencji. Ale to nie takie proste. W krajach zachodnich nie ma takiej grupy społecznej, której zadaniem jest utrwalanie podstawowych wartości społecznych. W Polsce taką rolę pełniła inteligencja, która miała dodatkowo za zada-

nie walkę z zaborcą. Dołączenie do Europy Zachodniej w 1989 roku było dla wielu osób równoznaczne z tym, że inteligencja przestaje być potrzebna. No bo przecież z państwem nie trzeba będzie walczyć, a działanie zgodne z wartościami stanie się automatyczne, gdy już pozbyliśmy się „komuny”! Publicystyka zaraz po przełomie 1989 roku sprawiała wrażenie, że właściwie Polacy już od dawna są dokładnie tacy, jacy powinni być w ustroju postępu i wolności, czyli w neoliberalizmie – czekali tylko na chwilę, gdy będą mogli to okazać i właśnie ta chwila nadeszła.

Myśl o odmienności spowodowanej choćby przez pół wieku innego ustroju nie była obecna. Przy tym – jak się to często zdarza – odwracano zależność przyczynową. Przewidywanie, że staniemy się państwem „normalnym”, w którym inteligencja nie ma racji bytu, zamieniało się w likwidowanie inteligencji. W pewnym momencie powstały setki prywatnych szkół wyższych kształcących dziesiątki tysięcy przyszłych prezydentów i prezesów największych koncernów światowych (w zamierzeniu), co jednak bardzo obniżyło poziom warstwy inteligencjonalnej.

Reaktywacja opinii publicznej byłaby więc wyjściem z baniek i zbliżenie się do tych, którzy wyszli z innych baniek. Nie jest to rozwiązanie łatwe, bo nie polega na założeniu jakiejś partii, stworzeniu instytucji czy wznoszeniu hasła – polega na zmianie codziennego postępowania stopniowo coraz większej grupy ludzi. Innymi słowy, chodzi o atmosferę społeczną, o codzienną aktywność obywateli, którym zależy na tym, czym jest Polska. Niekoniecznie muszą oni mieć wyższe wykształcenie, koniecznie jednak powinni cechować się wyższym zaangażowaniem w sprawy swego bliskiego i dalszego otoczenia. Ich aktywność wcale nie musi się przejawiać jako niepokorność i sprzeciw, choć aktualnie chyba właśnie to jest najbardziej potrzebne. Musi to być przekonanie o istnieniu wspólnych spraw (nie tylko wspólnych inteligentom) dotyczących losu nas wszystkich razem, nie każdego z osobna. Raczej beznadziejna polityka społeczna w latach PRL zamiast poważnej korekty doczekała się ideologii przekreślającej jakąkolwiek wspólnotę. Pozostała jedynie wspólnota „naszości”, czyli nienawiści. Dlaczego inteligencja pogodziła się z tym wyrokiem? Jej obowiązkiem jest przecież nie tylko pełnienie ról zawodowych, ale i rządzenie Polską!

Tworzenie opinii publicznej jest sposobem spełniania najważniejszej części rządzenia: wyłaniania i kontroli elit społecznych. Oddawanie głosu w wyborach, w których około połowa Polaków nie widzi partii reprezentującej ich interesy, a reszta głosuje na „najmniejsze zło”, jest sprawą znacznie mniej ważną, a pogroźka „rozliczymy was przy urnach” jest już tylko śmieszna. Wyłanianie elit zaczyna się tak naprawdę w bardzo wczesnym wieku, ale tego etapu, chyba najważniejszego, nie będę omawiał z braku kompetencji. W późniejszym wieku też warto zauważać i kształcić tych, którzy myślą nie tylko o własnych korzyściach.

Zdaję sobie sprawę, że jest to propozycja idąca dokładnie wbrew obecnemu silnemu trendowi do zamykania się w bańkach, czasem nawet jednoosobowych. Sprzyja temu rozbudowany świat wirtualny, który umożliwia każdemu skanalizowanie jego frustracji i uzyskanie poczucia oddzielenia się od nieprzyjemnego świata. Przyznaję, że nie mam konkretnych pomysłów na decyzje polityczne, które zmierzałyby do osłabiania wpływów tego

wirtualnego świata i skłaniania ludzi do współżycia ze sobą, nie z komputerem.

Polak jako wyborca jest mało pragmatyczny i bardzo łatwowierny. Kryteria obecnej selekcji elit to spryt, cwaniactwo i bardzo słabe poczucia wspólnoty państwowej. Grupy konkurujące klarują się poprzez symbole odwołujące się do ogranych, wiecznie tych samych chwytów: oskarżanie o związek ze służbami tajnymi, donoszenie, o związek z władzami PRL, rzadziej – o sprawy z Niemcami z okresu wojny, a najczęściej – o nieuczciwość, kradzieże, korupcję. Do elit wchodzić ludzie zainteresowani wyłącznie własną karierą, a ideologie czy pomysły programowe (które są tak czy inaczej pomysłami na rozdawnictwo) pełnią dla nich jedynie rolę nośnika kariery. Opinia publiczna nie jest obecnie zbiorową racjonalnością, jest co najwyżej zbiorową mitologią.

Nie można powiedzieć, że obecnie w Polsce działania opinii publicznej w ogóle nie widać. Większość PiS-owskich ekscesów konstytucyjnych spotykała się ze sprzeciwem, czasem kilkudziesięciotysięcznym. Były to jednak demonstracje ludzi, którzy nie potrzebowali już niczego między sobą uzgadniać, bo znali swoje opinie na temat łamania prawa przez rząd. W tle zaś stała milcząca chyba większość, której zdaniem nikt się nie interesował. Byli to ludzie, którzy wciąż ludzili się, że może PiS ich nie okłamał, może jednak w końcu nadejdzie ich czas. W każdym razie nie stanęli po stronie obrońców prawa. Oni również są Polakami, tyle że niezbyt przywiązanymi do procedur demokratycznych, które – w ich oczach – skompromitowały się. Ostre i pozaparlamentarne metody PiS nie wzbudzają u nich niechęci, czasem wręcz przeciwnie – jako metody w każdym razie skuteczne. (Wszyscy, którzy żyli w PRL wiedzą, że na dłuższą metę są one przeciwskuteczne.)

Wyjście z baniek, czyli rozmowy bez wyznaczania punktu docelowego i bez założenia, że partner jest uosobieniem zła, mogą spowodować, że pocujemy się sobie bliżsi. Wymaga to oczywiście szacunku dla rozmówcy i rezygnacji z niezmiennie rozpowszechnionej teraz postawy, że poglądy inne niż własne nadają się co najwyżej do nazwania i do interpretacji, nigdy do zastanowienia się. Dzięki temu będzie można dyskurs publiczny odgruzować i będzie to chyba zadanie trudniejsze (i na dłużej) niż odgruzowywanie Polski 1945 roku. Można też będzie:

— poprzez minimalną, np. kilkuprocentową frekwencję wyborczą przekazać rządzącym opinię, że wszyscy starający się o zwycięstwo wyborcze już się skompromitowali i niezależnie od formalnego wyniku wyborów żadna partia nie ma moralnego mandatu do rządzenia,

— zlikwidować „anty” jako program. Antykomunizm, antykapitalizm i wszystkie inne anty nie są programami. Jedynie w rzadkich przypadkach – jak na przykład faszyzmu – najpierw musi iść „anty”, a potem „dlaczego?”

— zlikwidować przekonanie wszystkich nowych ekip o swym zasadniczym znaczeniu dla zbawienia Polski. W rzeczywistości w bałaganie towarzyszącym nowym zbawcom bardzo dobrze czują się nowi ciemiężcy, a przekonanie że „teraz już będzie dobrze, bo ukaraliśmy tych złych ludzi” jest najpoważniejszym chyba negatywnym efektem każdej rewolucyjnej zmiany społecznej,

— stworzyć atmosferę, w której żadne podłości ani głupoty polityczne nie przejdą niezauważenie – tak jak teraz. Tak, by nie dało się przykrywać afery następną

afetą, politycznego aresztowania następnym aresztowaniem, kłamstwa następnym kłamstwem,

— uspokoić nastroje. Nienawiść i głupota wywołują nienawiść i głupotę, co ostatnio coraz mocniej widać w reakcjach na działania PiS. Wszyscy uczestnicy polskiej polityki mają swoje racje i są o ich słuszności szczerze przekonani (pogląd ten nie dotyczy sporej grupy najwyższej stojących decydentów, którzy – moim zdaniem – są wyłącznie cynicy). Głosy w rodzaju „niszczycie Polskę”, „my się z wami policzymy” tylko pogarszają sytuację, przybliżają nas do wojny domowej i upewniają przeciwników, że mają rację.

I jeszcze jedna sprawa: reaktywność czy proaktywność? Reaktywność, czyli wyłącznie reagowanie na decyzje, zmiany, zjawiska, które się uważa za szkodliwe, nie jest cechą wyłącznie Polski. Przeciwnie, we wszystkich krajach ludzie uważają, że wprowadzanie zasadniczych ważnych zmian i likwidowanie zjawisk szkodliwych jest przede wszystkim obowiązkiem władzy – nawet wtedy, gdy tej władzy nienawidzą. Dla siebie rezerwują właśnie prawo do protestu. Ale przecież w sytuacji awaryjnej – a taka jest obecnie w Polsce – można inaczej. Można uznać, że niekoniecznie władza musi być motorem zmian pozytywnych. Szczególnie jeśli przez 30 lat nie udawało się nam wybrać do rządzenia ludzi uczciwych, niekarczemnych, niekłótniowych, mających godność i w dodatku jakieś pomysły polityczne. Pionierem proaktywności w najnowszych czasach był Jacek Kuroń, który mówił: „nie palcie komitetów, zakładajcie własne”. Pewnie dlatego pamięć o nim nie cieszy się obecnie powodzeniem w środowiskach władzy politycznej.

Nikt nie bronił najszerzej rozumianemu środowisku prawniczemu stworzenia w okresie 1989-2015 projektu reformy sądownictwa likwidującego rzeczywiste i bardzo dolegliwe wady tego systemu. Nikt nie bronił środowisku nauczycielskiemu stworzenia analogicznego projektu reformy systemu oświaty, który nie byłby kolejnym pogorszeniem funkcjonowania, lecz polepszeniem. Nikt nie zabraniał pracownikom Służby Zdrowia stworzenia projektu reformy tego systemu takiej, by człowiek nie musiał mieć końskiego zdrowia, żeby się leczyć. Gdyby takie projekty powstały, to dziś PiS nie miałby tych argumentów, którymi się posługuje i w ogóle nie wygrałby wyborów. A że byłoby to zanegowanie zasad podziału pracy w społeczeństwie demokratycznym? To jasne, że w każdym cywilizowanym kraju projekty funkcjonowania poszczególnych branż są zadaniem władz, jest to ich racja bytu. Ale co robić, jeśli rządzący nie wywiązują się ze swoich obowiązków?

Nie należy się bać, że takie przejęcie obowiązków państwa przez na wpół formalne grupy działaczy i ekspertów spowoduje dalszy wzrost lekceważenia i niechęci wobec rządu, które i tak mają obecnie długą i uzasadnioną tradycję. Po pierwsze, nie da się przejąć naprawdę wszystkich obowiązków rządu. A, co ważniejsze, to przejmowanie będzie jednocześnie selekcją działaczy i doprowadzi do powstania ekip zdolnych w pełni zastąpić obecne elity polityczne. Czyli powstanie – dopiero wtedy – prawdziwe społeczeństwo obywatelskie.

CZYM BYŁA POLSKA LUDOWA I CO PO NIEJ ZOSTAŁO?

Konferencja Kuźnicy, 14-16 marca 2018 roku

ANDRZEJ KURZ

PRL – ZAPROSZENIE DO DYSKUSJI

Nadszedł chyba czas, aby zgodnie z zasadami rozumu opisać i zanalizować dzieje formacji państwowej, która w historii Polski została już zamknięta. Trafnie nazwała się ona sama Polską Ludową i tak warto ją nazywać w odróżnieniu od II i III Rzeczypospolitej. Symboliczne jej daty graniczne to lata 1944-1989.

Polska Ludowa odcisnęła swój znak na życiu kilku pokoleń Polaków, tych urodzonych między latami 90. XIX w. a 70. ubiegłego stulecia. Dla wciąż aktywnej najstarszej grupy ludzi „Kuźnicy” to była nasza Polska. I czujemy się wciąż za nią współodpowiedzialni.

Inicjatorzy i liderzy Polski Ludowej traktowali ją jako projekt rewolucyjny, zrodzony z olbrzymiego wstrząsu II wojny światowej i dyktatu zwyciężczych w niej mocarstw. Dla tych mocarstw sprawa Polski – kraju całym swym losem i potencjałem w wojnie zaangażowanego po stronie ofiar i zwycięzców – nie była najważniejsza. Ale należała do ważnych i uciążliwych. Na miarę geopolitycznego położenia i społecznego potencjału naszego kraju.

I nie po raz pierwszy od ponad dwóch stuleci okazało się, że samo istnienie Polski jako państwa i pokojuwa przyszłość jej społeczeństwa zależy od pomyślnego zbiegu interesów wielkich mocarstw z interesem polskiego państwa wyrażanym przez skuteczne współdziałanie jego ważnych sił politycznych.

Sytuacja wewnętrzna powojennej Polski była bliska wojnie domowej, a tolerowany przez zachodnich zwycięzców brutalny nacisk bezpośredniego wyzwoliciela Polski spod niemieckiej okupacji powodował, że siły polityczne, które w Polsce doszły do głosu, sięgały po metody rewolucyjnej, pozaprawnej przemocy. Formalnie deklarowały kontynuację przedwojennych instytucji i praw demokratycznych.

Ale kiedy Stalin doszedł do przekonania, że nadchodzi nowa wojna, co najmniej zimna, i należy stworzyć jeden obóz obłożony, skupiony wokół Związku Radzieckiego i jego partii komunistycznej, i kiedy wiosną 1948 roku na jego biurku znalazła się notatka o odchyleniu prawicowo-nacjonalistycznym w Polskiej Partii Robotniczej, właściwa ojcom założycielom Polski Ludowej (i komunistom, i socjalistom) koncepcja osobliwej, polskiej drogi do socjalizmu została zaniechana (pod terrorystyczną groźbą).

Zresztą rozstrzyganie konfliktów metodą fizycznej eliminacji przeciwnika było przyjmowane w świadomości społecznej okresu bezpośrednio powojennego jako rzecz naturalna. Zaś akceptowana powszechnie społeczna ini-

cyatywa należała do tych, którzy potrafili zapewnić masie ludzkiej bezpieczeństwo i szansę przeżycia.

Bez większego społecznego oporu, a nawet z szerokim poparciem spotykały się w Polsce powojennej, podobnie jak w wielu krajach Europy (także zachodniej) inicjatywy przejmowania przez państwo wielkiej własności. A szczególnie był akceptowany wprowadzany szybko i z rozmachem program odbudowy i rozwoju, w tym edukacji, nauki i kultury, oraz zapewnienia najszerzego, demokratycznego w nich uczestnictwa.

Jeżeli jednak chcemy wskazać na najważniejsze i historycznie najtrwalsze osiągnięcie Polski Ludowej – to jest nim ustalenie nowych granic terytorium państwowego. Był to rezultat przede wszystkim decyzji międzynarodowych zapoczątkowanych przez rozstrzygnięcia przyjęte w Teheranie, a następnie w Jaltie i Poczdamie. Oznaczało to znaczne przesunięcie terytorium Polski ku środkowi Europy i uwolnienie się państwa od konfliktów etnicznych, które w przeszłości były siłą rozkładu i zagrażały wręcz egzystencji Polski.

Stało się to, powtórzmy, dzięki obecności Polski w obozie wojennych zwycięzców, ale dokonało się kosztem potencjalnego konfliktu z odradzającym się państwem niemieckim i z uzależnieniem istnienia takiej Polski od Związku Radzieckiego.

Późniejsze trudne współdziałanie głównych sił politycznych Polski Ludowej poszukujących nowego porozumienia z Niemcami, reprezentowane przez polityków takich jak Gomułka i Stefan Wyszyński, Cyrankiewicz i Stomma, Rakowski i Władysław Markiewicz, doprowadziło do podpisania w roku 1970 przez premiera Józefa Cyrankiewicza traktatu z Willym Brandtem – premierem Niemieckiej Republiki Federalnej i zlikwidowania niebezpieczeństwa, które przez dekady wisiło nad Polską i pchało ją w objęcia Związku Radzieckiego.

To było najważniejsze dla przyszłości Polski rozstrzygnięcie, które może być dziś, jak się okazuje, zagrożone. Potencjalną groźbą dla polskiej racji stanu staje się bowiem antyeuropejska polityka polskiej prawicy.

Polityka międzynarodowa Polski Ludowej, jakkolwiek silnie uzależniona od radzieckiej dominacji i stanu konfliktu między dwoma światowymi obozami, poczynając od październikowego zwrotu 1956 r. skutecznie broniła polskiej racji stanu i integralności terytorialnej państwa przed jej rzeczywistymi zagrożeniami. Wykorzystywała też niemal wszystkie możliwości zwiększenia suwerenno-

ści państwowej, a także unikania i rozładowywania konfliktów międzynarodowych.

Polityka Polski Ludowej doprowadziła do stanu, w którym Polacy uznali granice kraju za sprawiedliwe i trwałe, i nie zgłaszali pod tym względem pretensji do sąsiadów, a sąsiedzi podobnie – nie przejawiają pretensji do Polski. Osiągnięto więc stan optymalny w historii Polski i Europy.

Jednakże zakłamywanie prawdy o historycznych i bieżących stosunkach ze Związkiem Radzieckim wzmagało w Polakach poczucie narodowego upokorzenia. Używanie przemocy do zwalczania prawicowych idei i nieumiejtność rozwiązywania sprawy politycznej reprezentacji nurtów narodowo-kościelnych powodowało trwałe frustracje społeczeństwa i oddawało władanie narodowymi mitami w ręce prawicy i Kościoła. Siła polskiej prawicy tkwiła i tkwi wciąż w nacjonalistycznym micie, który nie został skutecznie rozładowany w Polsce Ludowej. Co gorsze, w sytuacji kryzysu władzy, w latach 60. wpływowe grupy w partii rządzącej sięgnęły po hasła nacjonalistyczne i ksenofobiczne, w szczególności antysemickie, aby umocnić wątplącą więź z masami ludowymi. Przyniosło to chwilowy rezultat, ale pogłębiło moralne klęski socjalizmu.

Cechą charakterystyczną Polski Ludowej po antystalinowskim zwrocie Października '56 było jej otwarcie na Zachód, co doprowadziło pod koniec lat 80., za rządu Mieczysława Rakowskiego, do oddania indywidualnych paszportów do dyspozycji obywateli. Czynnikiem stałego otwierania umysłów i wyobraźni Polaków na świat była też działalność takich pism o masowych nakładach jak „Polityka”, „Przekrój” a także „Tygodnik Powszechny”, czy też polityka programowa wydawnictw literackich i naukowych. Przyczyniły się one do przygotowania społeczeństwa do wejścia Polski do Unii Europejskiej.

* * *

W programach sił politycznych, które doszły do głosu w Polsce Ludowej, tzn. Polskiej Partii Robotniczej, Polskiej Partii Socjalistycznej i dwóch Stronnictw Ludowych (niezależnie od tego, czy ich wpływ na władzę był mniejszy czy większy) na czołowym miejscu znajdowało się hasło ludowładztwa i awansu społecznego robotników i chłopów – urzeczywistniania zasady sprawiedliwości społecznej. Ten proces historyczny nazywano początkowo budowaniem demokracji, później demokracji socjalistycznej. Wstępnym krokiem do niego była likwidacja – w drodze radykalnej reformy rolnej – wielkiej własności ziemskiej, a w drodze nacjonalizacji – wielkiej i średniej własności w dziedzinie przemysłu, transportu, bankowości i handlu. Nie stosowano przy tym metod fizycznej likwidacji czy też prześladowań wielkich właścicieli i ich rodzin, akceptując ich przechodzenie do warstw inteligencji.

Prześladowania polityczno-policyjne skierowane były głównie ku likwidacji podziemnych oddziałów zbrojnych i struktur politycznych – antykomunistycznych i antyradykalnych, później zaś ku zastraszeniu nosicieli poglądów i wątpli z reguły działań antyustrojowych.

Programowe ludowładztwo w powojennej Polsce przejawiało się we wprowadzaniu dużej liczby robotników i chłopów do bardziej lub mniej formalnych organów władczych oraz w ogólnym narzucaniu zewnętrznych form egalitaryzmu w zachowaniach i obyczajach. Z warstw ludowych (ze względów naturalnych przede wszystkim z chłopstwa) rekrutowano pracowników aparatu przemo-

cy i wojska. Zmierzano też ku egalitaryzacji płac w całym, wciąż rosnącym sektorze państwowym i budowano prestiż pracy fizycznej.

Wielkie, radykalnie realizowane programy cywilizacyjne, industrializacyjne, urbanizacyjne i modernizacyjne związane były z przechodzeniem setek tysięcy ludzi rocznie ze wsi do miast (w sumie ponad 5 mln mieszkańców) i związane było z programem budownictwa mieszkaniowego. Przekazywano mieszkania za darmo, a potem z częściowym udziałem własnym, rodzinom nowych robotników, a także, choć w mniejszej mierze, pracowników umysłowych. To samo dotyczyło warunków wypoczynku.

Mimo ogromnego (zwłaszcza w epoce Gierka) postępu w zaspokojeniu tych potrzeb społecznych, oczekiwania wciąż przekraczały możliwości.

Zasada upaństwowienia ogromnej części sfery gospodarczej i socjalnej połączona z zasadą, że wszystko się ludziom pracy należy i wkraczanie państwa do wszystkich dziedzin życia społecznego prowadziło do upowszechniania przekonania o omnipotencji władzy państwowej, i choć rozwiązało wiele dolegliwych problemów społecznych, pociągało jednak za sobą osłabienie inicjatyw indywidualnych i szerzenie się postaw roszczeniowych. Czyli z jednej strony osłabiało bodźce rozwojowe, a z drugiej, choć promowało bierny lojalizm i oportunizm, prowadziło do narastających konfliktów między autorytarną władzą a jej ludową bazą.

Rzeczywistym jednak filarem demokracji systemu stawała się dokonywana od pierwszych dni nowej władzy prawdziwa rewolucja kulturalna. Rozpoczęła ją szybka likwidacja analfabetyzmu dotykającego do lat po wojennych znacznej części mas ludowych, i równoczesny szybki rozwój szkolnictwa wszystkich szczebli, z wyższym włącznie. A także uczynienie kultury, wszystkich jej przejawów i dzieł, jedną z najbardziej cenionych dziedzin życia społecznego, a więc i podniesienie znaczenia twórczości kulturalnej i naukowej, i pobudzanie uczestnictwa mas w życiu kulturalnym. Ranga kultury w dziejach Polski Ludowej – przy nieskuteczności prób podporządkowania twórczości ideom nowego ustroju, wzrosła niepomniernie. Eksplozja wolności twórczych, związana ze zwrotem Października '56 zaowocowała dziełami, które uczyniły polską muzykę, literaturę, sztuki plastyczne, film, a później także telewizję ważnymi uczestnikami światowej wymiany kulturalnej.

Czynnikiem głównym cywilizacyjnego i kulturalnego awansu mas był jednak szybki rozwój szkolnictwa. Jego widowym świadectwem stało się w epoce Gomułki zrealizowanie hasła *1000 szkół na 1000-lecie Polski*, co rozładowało podstawowe trudności w bazie materialnej systemu. (Oznaczało przy okazji ogromny program inwestycyjny i otwarcie na świat zachodni związany z obchodami 600-lecia Uniwersytetu Jagiellońskiego). Jednak już śmiała reformę szkolnictwa przygotowaną w epoce Gierka pod przewodnictwem prof. Jana Szczepańskiego zrealizowano tylko częściowo, tracąc szansę wprowadzenia polskiego systemu szkolnictwa do czołówki europejskiej.

Populistyczne skrępowanie przejawiało się cały czas w braku zaufania do środowisk starej i nowej inteligencji, i związanego z jej naturą i pozycją czynnika indywidualizmu. Było to szczególnie niekorzystne dla ogólnego rozwoju Polski w latach światowej rewolucji naukowo-technicznej i pozwoliło tylko na wydzwignięcie znaczenia technokracji w epoce Gierka.

Ludowładztwo nazywane było socjalistyczną demokracją, ale jej cechą dominującą stanowiło jednak eliminowanie politycznego pluralizmu i dążenie przede wszystkim do lojalizacji obywatela w jego stosunku do państwa. Służyły temu również wysiłki uczynienia wstępowania do partii zjawiskiem masowym. To samo w jeszcze większym stopniu dotyczyło wielomilionowych formalnie związków zawodowych traktowanych jako transmisja partii do mas i wielosettyśiętnych organizacji młodzieżowych związanych z PZPR ideowo i politycznie.

Formalnie zachował się system wielopartyjny. Ale formalnie partnerskie kilkusettyśięczne chłopskie Zjednoczone Stronnictwo Ludowe i kilkudziesięcioletnie drobnomieszczańsko-inteligenckie Stronnictwo Demokratyczne uznawały hegemonię PZPR.

Wprowadzenie zasady nomenklatury polegającej na zatwierdzaniu przez instancje partyjne awansów na wszelkie szczeble kierownicze we wszystkich dziedzinach życia, a także ingerencji podstawowych organizacji partyjnych w działania kierownictw wszystkich zakładów pracy i instytucji hamowało rozwój aktywności społecznej i innowacyjności. To samo dotyczyło stosunków między kierowniczymi instancjami partyjnymi i funkcjonowaniem terenowych i centralnych struktur władzy państwowej, prowadząc do powstania nieformalnej instytucji partii – państwa.

W tej sytuacji jedyną rzeczywistą konkurencję dla partii stanowiły wielkie inicjatywy Kościoła katolickiego, szczególnie gdy przybrały formę masowych manifestacji pielgrzymkowo-procesyjnych. Wraz z wyborem Karola Wojtyły na papieża jego pielgrzymie wizyty w kraju stały się nie tylko największymi ludowo-patriotycznymi manifestacjami zbiorowymi, lecz i wielkiego znaczenia inicjatywami ideologicznymi osłabiającymi partyjną hegemonię.

* * *

Obszarem, w którym dzieje Polski Ludowej nie przyniosły znaczącego postępu i nie przybliżyły społeczeństwu do nawyków i umiejętności właściwych rozwiniętym krajom Zachodu, były zasady i system praworządności. Jedynie okres kilku lat po Październiku '56 i drugiej połowy lat 80. zaznaczył się tu dobrymi zmianami. W systemie ustrojowym z jedną partią hegemoniczną i w sytuacji, w której wobec wszystkich krajów obozu radzieckiego istniała groźba interwencji zbrojnej sąsiadów wobec tych państw i ich ekip władzy, które odeszłyby od obowiązującego wzorca, konstytucja, prawa i instytucje demokracji miały walor głównie formalny. W dodatku w Polsce XIX w., pozbawionej niepodległości i poddanej uciskowi obcemu, wszelkie manifestacje antyustrojowe i insurekcyjne (a co najmniej obywatelskie nieposłuszeństwo) uważane były za czynny patriotyzm. Zaś Kościół broniący języka polskiego i ludowego obyczaju uważany był za główną narodową ostoję. Również po odzyskaniu niepodległości państwowej w XX w., w międzywojennym 20-leciu pełnym konfliktów społecznych i narodowościowych przybyło mniej doświadczeń demokratycznej praworządności, a więcej autorytaryzmu, przemocy, ksenofobii i działań pozaprawnych. Okres okupacji hitlerowskiej i sowieckiej czynił pozaprawnym wszelki opór przed obcym terrorem. Polskie Państwo Podziemne, wpływ jego struktur sądowniczych i stosowania prawa miały zakres ograniczony i często jedynie symboliczny.

Władza w Polsce Ludowej od początku więc tylko formalnie lub w ograniczonych zakresach stosowała zasady obowiązującej Konstytucji i prawa, opierając się w praktyce politycznej (a często także ideologicznej) na przemocy. Mimo tego prawo i państwowy aparat prawny w Polsce Ludowej dysponowały rozbudowanym systemem przepisów, ograniczeń i dobrą kadrą prawną-sądowniczą. Ale znowu poza okresem lat popaździernikowych i kilku lat po zniesieniu stanu wojennego były one omijane i wypaczane przez pozaprawną manipulację stosowaną przez siły bezpieczeństwa, a także aparat partyjny.

W tej sytuacji również działania opozycji antykomunistycznej miały charakter w znacznej mierze pozaprawny, a uświęcona przez KOR i „Solidarność” zasada obywatelskiego nieposłuszeństwa nie sprzyjała budowaniu obywatelskiej odpowiedzialności i rozwojowi kultury prawnej społeczeństwa.

Co jednak najdziwniejsze, również wybrana już w III Rzeczypospolitej w demokratycznej procedurze polityczna siła władcza zajęta jest burzeniem – przy ograniczonym oporze nowej opozycji – ustanowionego w referendum porządku konstytucyjnego oraz zasad prawa obowiązujących w Unii Europejskiej. To co wciąż pozostaje, to zagwarantowana już przy Okrągłym Stole wolność słowa i wolność nauki.

* * *

Dzięki wolności słowa i nauki rozwijają się coraz pomysłniej rzetelne badania również nad dziejami Polski Ludowej. W zakresie historii politycznej otrzymały bodziec i swojego rodzaju oś odniesienia w postaci książek zatytułowanych właśnie *Polska Ludowa*. Wydana przez oficynę „Iskry” stanowi zapis rozmowy dwóch wybitnych uczonych – historyków i zarazem czynnych uczestników najważniejszych wydarzeń dziejów Polski Ludowej: prof. Andrzeja Werblana i prof. Karola Modzelewskiego. Rozmowy moderowanej przez jednego z najdocieklawszych dziennikarzy – Roberta Walenciaka.

Dysponujemy też niezwyklej wartości opracowaniami poszczególnych zagadnień czy okresów tej Polski pióra np. Andrzeja Walickiego, Andrzeja Friszkego, Dariusza Stoli czy wcześniej Krystyny Kerstenowej i Andrzeja Paczkowskiego. Nie mówiąc o najwyższych lotów eseistyce historycznej uprawianej np. przez Bronisława Łagowskiego, Andrzeja Romanowskiego czy Ludwika Stemmę. A także próbami syntezy całych dziejów Polski Ludowej w opracowaniu np. Andrzeja Leona Sowy. I wreszcie coraz większym wachlarzem prac pisanych bez politycznego czy ideowego zaciętrzewienia przez badaczy już młodszego pokolenia jak np. biografie wybitnych współtwórców Polski Ludowej: Jakuba Bermana, Annę Sobór-Świderską czy Romana Zambrowskiego, pióra Mirosława Szumiły. A wreszcie coraz ciekawszymi i wybitnymi pracami badaczy najmłodszych, szczególnie ze szkoły Jerzego Eislera, jak np. Robert Spatek.

Co się tyczy coraz ciekawszych utrzymanych w konwencji uniwersyteckiego wykładu prób syntezy dziejów Polski Ludowej i szkiców jej czołowych postaci pióra samego prof. Jerzego Eislera to trzeba powiedzieć, że ciąży nad nimi (może w coraz mniejszym stopniu) postawa „moralnej wyższości nad komunistyczną przeszłością” czy wyższości zwycięzców w walce dobra ze złem. Jerzy Eisler w swojej ostatniej syntezie dochodzi przy tym do wniosku, że Polska Ludowa była mniejszym złem. Więk-

szym byłaby siedemnasta republika Związku Radzieckiego. Ale co mogło być tym dobrem, które się nie stało? Przecież nie było takiej możliwości.

Tkwące w wielu nawet bardzo wybitnych badaczach przekonanie o immanentnym patriotyzmie większości Polaków ujawnionym w latach wojny i ludobójczych okupacji oraz immanentnym złu komunizmu narzuconego Polakom ciąży na wielu pracach. Np. w znakomitym i pionierskim dla historii społecznej dziele Marcina Zaremby *Wielka trwoga* wszelkie pogorszenie stanu samopoczucia społeczeństwa w czasach Polski Ludowej okazuje się skutkiem działań władzy, a ich poprawa i np. szersze otwarcie na świat, które to zjawiska obiektywnie i twórczo autor analizuje, wynikają same z siebie. W dodatku autor zgodnie z obyczajami swego środowiska pomija w bibliografii zasadniczej wagi prace uczonych do tego środowiska nie przynależnych, np. Andrzeja Walickiego czy *Stalinizm w Polsce* Andrzeja Werblana.

A kiedy sięgniemy do badań z dziedziny kultury, np. po publikowane niedawno ogromne i wybitne monografie życia i twórczości pisarzy czynnych w czasach Polski Ludowej – Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta pióra Andrzeja Franaszka odczuwamy wpływ wręcz obsesyjnego przekonania badacza, że istotą polityki kulturalnej Polski Ludowej była cenzura. To zaś co dobre, było przede wszystkim zasługą środowisk opozycyjnych i instytucji katolickich. W ten sposób np. cała państwowa działalność wydawnicza, która po Październiku '56 nie miała sobie równych w Europie pod względem ideowej wszechstronności programu oraz dostępności książki dla czytelnika, była co najwyżej sposobem oszukiwania cenzury, a nie rezultatem wysiłku ludzi światłych, choć przecież nie należących do opozycji.

Zaskakuje przy tym, że nikt z potępiających w czambuł politykę kulturalną w Polsce Ludowej nie zastanawia się, dlaczego przy Okrągłym Stole nie dyskutowano zupełnie o sprawach kultury i jej instytucjach. Moja krótka (a więc uproszczona) odpowiedź brzmi: bo nie było o co się spierać. Polityka kulturalna Polski Ludowej była już od dawna szeroko otwarta na świat i ideowe zróżnicowanie.

Trafny obraz działania tej polityki na przykładzie życia i twórczości jednego pisarza, ale postaci wielkiej i niezwyklej – Jarosława Iwaszkiewicza daje np. Radosław Romaniuk w niedawno wydanej dwutomowej, niezwyklej wartości monografii tego twórcy.

W ostatnich miesiącach ukazały się dwie publikacje szczególnej wagi dla poznania społecznych dziejów Polski Ludowej. Pracą wręcz epokową, opartą na wieloletnich badaniach społeczności lokalnych, w tym tysięcy biografii indywidualnych oraz dokumentów (wśród nich wielu dotychczas nieznanym) jest licząca ponad półtora tysiąca stron książka Joanny Tokarskiej Bakir *Pod klątwą*. Podtytuł dzieła brzmi: *Społeczny portret pogromu kieleckiego*. W istocie jest to najpełniejszy z możliwych, przygotowany przez uczoną wielkiej miary, dysponującą wyjątkowym warsztatem i zapleczem badawczym antropologa kulturowego ukształtowanego w najlepszych ośrodkach amerykańskich, portret Polski prowincjonalnej. Tej bezpośrednio powojennej, wychodzącej z wojennego horroru i demoralizacji, doświadczeń walk wyzwoleniczych i bratobójczych. Biografie Polaków napiętnowanych nędzą, demoralizacją i antysemityzmem okazują się podobne we wszystkich środowiskach i strukturach społecznych, zarówno po stronie zwolenników jak i przeciwników ro-

dzającej się Polski Ludowej. Biografie Żydów ocalałych z Zagłady, a mordowanych i kaleczonych w pogromie są pełne ran psychicznych, ale i naiwnych nadziei, które czynią ich niezdolnymi do przystosowania się w nowej Polsce. Podziwu godna jest też piękna jasna polszczyzna dzieła Joanny Tokarskiej Bakir i jej wrażliwość na osobliwości językowe setek bohaterów tej książki.

Dariusz Jarosz po książce opublikowanej przed kilkunastu laty *Polityka władz komunistycznych w Polsce w latach 1948-1956 a chłopcy* wydał ostatnio ważne dzieło *Rzeczy, ludzie, zjawiska. Studia z historii społecznej stalinizmu w Polsce*. Autor opisuje w nim m.in. przenikliwe strategie przystosowawcze społeczeństwa w warunkach polskiego stalinizmu w jego osobliwej postaci. Obnaża przy tym wiele mitów szerzących się nawet w poważnych rozprawach, nie mówiąc o całej polityce historycznej i politycznej poprawności obowiązującej współcześnie w polskiej edukacji i mediach.

* * *

Przytoczyłem tylko przygarść przykładów z lektur ostatnich lat. Moim wydawniczym zadaniem będzie teraz tylko zebranie obiecanych nam przez dzisiejszych referentów i wielu badaczy dziś nieobecnych artykułów mieszczących się w temacie naszej sesji. I zebranie ich w książkę, która powinna ukazać się w „Bibliotece Kuźnicy” w lipcu 2019 r., w 75. rocznicę powstania Polski Ludowej.

Byłbym tylko rad, gdyby w tych rozważaniach nad Polską Ludową pojawił się słabo reprezentowany dotychczas, czy wręcz nieobecny wątek szczególnie moim zdaniem znaczący dla zrozumienia osobliwości tego czasu, a związany z Polską Partią Socjalistyczną. Zupełnie przy tym zapoznane albo banalnie zniekształcone bywają postaci kluczowe dla dziejów Polski Ludowej takie jak Wanda Wasilewska i Józef Cyrankiewicz. Tymczasem szczególnie w pierwszych latach powojennych na świadomość polskich robotników i inteligentów, ale także na funkcjonowanie systemu gospodarki wpływało istnienie i oddziaływanie Polskiej Partii Socjalistycznej, jej autorytetu zdobytego w walce o niepodległość (tę z roku 1918), jej dorobku ideowego i kulturalnego w okresie międzywojennym i wreszcie jej szczególnego znaczenia w Polskim Państwie Podziemnym. Odsuwana brutalnie przez PPR już od roku 1944 od wpływu na instytucje władzy, a zupełnie wyeliminowana od wpływu na aparat przemocy, dała PPS Polsce Ludowej spore grono działaczy i idei, które choć pognębione po roku 1948, odżyły w październiku 1956, a potem weszły na trwałe do reformistycznego nurtu w PZPR.

* * *

Kończąc, wracam do sprawy, którą uważam za najważniejszą, decydującą o istocie Polski Ludowej, jej znaczeniu dla polskiej współczesności i przyszłości. Jest nim umieszczenie Polski w międzynarodowej wspólnoty w sposób optymalny dla nadrzędnego interesu państwowego, dla polskiej racji stanu. Polska nie ma dziś i w przyszłości szansy pomyślnego istnienia państwowego i rozwoju społeczno-cywilizacyjnego poza europejską wspólnotą, poza integrującą się, a nie rozpadającą Unią Europejską,

BRONISŁAW ŁAGOWSKI

KIEDY POLSKA BYŁA CAŁKOWICIE NIEPODLEGŁA?

Na temat PRL pisałem bardzo dużo, raczej w kategoriach zdrowego rozsądku i z zamiarem przekonania do swojego stanowiska czytelnika, czy też przełamania zasadniczo negatywnej oceny epoki. Te głosy echa się nie doczekały, chyba nikogo nie przekonałem, tylko dośtawiałem od czytelników listy z pochwałami, przy czym wśród tych listów, które otrzymałem, najbardziej cenię opinię, którą wypowiedział nieżyjący już Michał Brystygier, znany muzykolog, nawiasem mówiąc syn osławionej Luny. Stwierdził, że moja publicystyka przynosi mu ulgę nie dlatego, iżbym go przekonał do jakichś prawd, bo on to wszystko wie, nie o to chodzi, że ja go namawiam do czegoś, bo nie namawiałem, ale odczuł to jako ulgę. Uznał, że mój głos w tej nawale fałszu, półprawd i mistyfikacji jest czymś przyjaznym. Poza tym większych ambicji nie mam niż ta, żeby ludziom, których jest spory procent, może nawet w Polsce 30 proc., podać rękę i powiedzieć, że nie są sami. To nie są „ludzie prości”; największy odzew miałem w kręgach, nazwijmy to, byłych „dyrektorskich” – w kręgach tych ludzi, którzy w swoim i nie tylko swoim przekonaniu najwięcej dla Polski zrobili i najwięcej jej poświęcili.

Spotkałem się ostatnio z dosyć śmiałą tezą, wygłoszoną przez wybitnego specjalistę w dziedzinie nauk społecznych, który studiował w USA, potem krótko wykladał w Polsce, że PRL – Polska Ludowa była najlepszym państwem, jakie Polacy mieli w swych tysiącletnich dziejach. Przyznam się, że mnie do głowy nie przyszło, by tak radykalnie sprawę stawiać, ale skoro ktoś tak stwierdził, to wypada się do tego ustosunkować. Co więcej, myślę, że ta teza nie zniknie w ogólnym szumie informacyjno-dezinformacyjnym i kocie muzyce, której co dnia musimy słuchać.

Trzeba więc się zastanowić, na jakie argumenty może PRL liczyć w kontekście długiego trwania narodu, to znaczy od początku państwa polskiego, skoro tak została sformułowana teza. O argumenty za takim postawieniem sprawy dość trudno, ale nie znaczy to, że nie istnieją. Ja chcę się powołać na przykłady, w jakich ustanowiono Polskę Ludową w procesie dziejowym.

Wyraźne stanowisko w tej kwestii zajął Jan Nowak Jeziorański. – „Trudno znaleźć w naszych dziejach – pisał – wydarzenie bardziej epokowe niż powrót do Macierzy Śląska z Wrocławiem, Pomorza Zachodniego, Ziemi Lubuskiej i Warmińskiej. Odwrócony został tysiącletni bieg historii, który wypchnął Polskę z jej piastowskiej kolebki i przesunął na wschód”, wypchnął nas z Europy środkowej i skierował na wschód ze wszystkimi konsekwencjami.

Ogólnie rzecz biorąc, te konsekwencje można nazwać orientalizacją Polski, orientalizacją poprzez związane się najpierw z Rusią Litewską, czyli Wielkim Księstwem Litewskim – jak w Polsce się mówi, co następnie pociągnęło za sobą przewagę oligarchii z Wielkiego Księstwa czyli spolonizowanych magnatów – bojarów ruskich, którzy nie byli wystarczająco brani w rachubę, kiedy tak zwana „demokracja szlachecka” była wprowadzana w życie m.in. przez Jana Zamoyskiego.

Polska zmieniła i ustrój, i nastrój, i kulturę, i stała się państwem do tego stopnia orientalnym, czy naznaczonym wschodnią kulturą, że dla Clausewitza, o czym pisze w swoim sławnym dziele, była w gruncie rzeczy krajem tatarskim i elita polska była do tego stopnia tatarska, że nie była zdolna do zreformowania tego państwa, kiedy już było rzeczą oczywistą, iż bez reform i zasadniczych zmian musi ono upaść.

Tak więc efekt przesunięcia Polski na wschód okazał się fatalny. Oczywiście Clausewitz nie mówi tego dosłownie, ale Fryderyk II opisywał Polskę jeszcze bardziej szyderczo: Polska była dziwactwem, Polska utraciła nawet ten niedoskonały ustrój i nie zatrzymała się w tym stanie rozkładu państwowego, jaki się zarysował już za Zygmuntów, czyli w wieku XVI, i skończyła jako zupełna anarchia do wzięcia przez każdego, kto miał wystarczający potencjał.

I tu apeluję o skupienie uwagi na stwierdzeniu Nowaka Jeziorańskiego, które nie jest niczym nowym, bo na tej zasadzie opierała się Polska Ludowa od samego początku, że przesunięcie na zachód i odzyskanie ziem piastowskich to wielkie osiągnięcie Polski i jedno z największych wydarzeń politycznych w całym tysiącleciu.

Nowak Jeziorański nie po to wygłosił w „Tygodniku Powszechnym” takie zdanie, by jakoś usprawiedliwić Polskę Ludową, czy złagodzić jej oceny. Píše dalej: „No cóż, to się stało, wiemy dzięki komu, ale przecież nie możemy powiedzieć publicznie, że dzięki Stalinowi. Musimy udawać, że to jest tajemnica poliszynela i musimy znaleźć inną datę rocznicową przyłączenia Ziemi Zachodnich do Polski”. A jaką on proponuje datę, warto to zauważyć, choć rzecz jest w tej chwili drugorzędna, aby rocznicę przyłączenia Ziemi Zachodnich, czyli największego w jego ocenie wydarzenia w dziejach narodu, obchodzić 15 sierpnia – czyli od dnia 15 sierpnia 1945 roku, kiedy to prymas Hlond ustanowił polską administrację kościelną na Ziemiach Odzyskanych i w ten sposób nastąpiło objęcie we władanie tych ziem przez naród polski.

To wypowiedź charakterystyczna dla Nowaka Jeziorańskiego, który nigdy nie głosił czystego kłamstwa, tylko

zawsze z jakąś oczywistą prawdą, ale też nigdy nie głosił czystej prawdy bez domieszki silnie propagandowej. Wprawdzie przez dziesięciolecia władze PRL, paskudne, „komunistyczne” władze musiały zabiegać, by także formalnie Ziemię Zachodnią wróciły pod polską jurysdykcję kościelną, ale któż może dziś wątpić, że to kardynał Hlond zdobył dla Polski te piastowskie tereny! Zresztą w Krakowie są też autorzy głoszący pogląd, że Kraków został obroniony przed konsekwencjami nadchodzącego frontu przez papieża Piusa XII. Można to było przeczytać w krakowskiej prasie, a dziś może ten pogląd wszedł już nawet do oficjalnej państwowej historiografii?

Nowak Jeziorański jest tym niemniej pierwszym autorem, którego nazwisko nasuwa mi się na pamięć, który Polskę Ludową widzi w perspektywie tysiąclecia. Nie jest to jednak jedyny taki autor. Drugim przykładem niech będzie Czesław Miłosz. Często jest cytowana jego formuła z *Traktatu poetyckiego*, która brzmi: „Niech tutaj będzie wreszcie powiedziane, jest ONR-u spadkobiercą Partia” (czyli PZPR). Tym zdaniem chętnie posługują się przedstawiciele czy propagandyści obozu rządzącego, zaangażowani w nieustający proces szyderstwa z Polski Ludowej, najczęściej tym zdaniem posługiwał się nieżyjący już arcybiskup tarnowski, a potem lubelski, po to, by rzucić cień na PZPR porównując ją z ONR-em i żeby dodatkowo jeszcze kompromitować ONR porównując go z „Partią”. A w jakim kontekście zostało to napisane? W następnej linijce pisze Miłosz, uzasadniając swoją tezę: „któż miecz Chrobrego wydobywa z pleśni, któż wbija myślą słupy aż w dno Odry?”. To „spadkobranie” PZPR po ONR polega na tym, że właśnie rządy „komunistyczne”, Polska Ludowa, wbiła słupy graniczne w dno Odry, tak jak sobie marzyli ci nostalgicy odwołujący się do „praczasów Chrobrego”.

Te zdania Miłosza można interpretować na wiele sposobów, ale jest to ustawienie PRL w perspektywie tysiąclecia. Brak mi w tej chwili argumentów, by takie widzenie historii lansować, ale jak widać nie brakuje autorytetów, które tak postępowały. Ci panowie, skądinąd „nauczyciele narodu polskiego w ostatnich dziesięcioleciach”, na to się ośmielili i my też powinniśmy się na to ośmielić, jak mój przyjaciel, którego wspominałem, twierdzący, że Polska Ludowa była najlepszym państwem (pod pewnymi względami naturalnie), jakie Polska miała od tysiąclecia. Jeśli ktoś jest innego zdania, niech to udowadnia, ale nie może być tak, że to zwolennicy Polski Ludowej muszą być bezustannie przypierani do ściany czy wyrzucani z sali i mają się tłumaczyć. Niech się tłumaczy druga strona wobec oczywistego faktu zaświadczanego przez autorów, których cytowałem wyżej.

Może jeszcze warto dodać, że Miłosz w specjalnym wydaniu *Traktatu poetyckiego* z komentarzami, w tej akurat sprawie, która być może wymagałaby szerszego naświetlenia i opatrzenia komentarzem rozbudowanym, ogranicza się tylko do stwierdzenia, że podobieństwo między nacjonalizmem a komunizmem PZPR polega na tym, iż partia chcąc skonsolidowania narodu w celu jego unowocześnienia i uprzemysłowienia kraju, wsparcia wielkich budów, odwołała się do nacjonalizmu i rzekomo nacjonalizm miał od początku być spoiwem, które miało naród złączyć z PZPR.

I jeszcze krótka uwaga. Jakie dziś są argumenty sił obecnie, ale i wcześniej, dążących do delegitymizacji PRL? – Nie było Polski – mówi dzisiejszy premier – do-

póki „Solidarność” nie objęła władzy. Nie było jej, bo nie była niepodległa ani suwerenna, choć niepodległość to stan empiryczny, a suwerenność to stan prawny. Tymczasem, gdy odniesiemy się, znów w perspektywie historycznej, do czasów Mieszka I i generalnie czasów piastowskich, to okaże się, że Polska nawet jako królestwo nie była całkowicie suwerenna, bo musiała odnosić się, często jako lennik do Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego i była częścią Rzeszy Niemieckiej, z czego taki np. Chrobry nie omieszkiał skorzystać, wtrącając się w elekcję cesarzy.

W tej propagandzie mówi się wiele o przemocy, cenzurze i narzucaniu doktryny, ale nie mówi się o tym, że komunizm był pewną herezją w europejskiej doktrynie suwerenności ludu, przekształconej w „dyktaturę proletariatu”. Idea ta była w tym rozumieniu herezją, ale miała też w sobie elementy herezji chrześcijańskiej – z jej ideą równości. Jeden z wybitnych znawców komunizmu i chrześcijaństwa mówił, że komunizm to właściwie *perwersa imitatio* chrześcijaństwa...

Jeżeli jednak z samego faktu ucisku umysłowego i narzucenia jakiejś ideologii narodowi, w tym wypadku narodowi polskiemu, czynimy zarzut aż do delegitymizacji państwa, to proszę wziąć pod uwagę, że chrześcijaństwo też nie weszło do Polski w sposób infantylnie sielankowy przez małżeństwo Mieszka z Dąbrówką. Chrześcijaństwo zostało Polsce brutalnie narzucone, a alternatywą był najazd, krucjata „Europy” na Polskę. Alternatywą było zniszczenie kraju i przejęcie go przez obcych. Chrześcijaństwo także przez swoich narzucane było w sposób okrutny i wystarczająco przykłady, które przytacza kronikarz niemiecki Thietmar. Te przykłady nie odbierają legalności panowaniu książąt czy królów piastowskich i nie ulega wątpliwości, że opór ludu trwał długo, nawet kilka wieków.

Tak więc ani argument zależności państwa, ani argument przymusu nie może być wystarczający, aby PRL mogła być zdelegitymizowana czy uznawana za „czarną dziurę” w dziejach, choć owszem, w przeciwieństwie od chrześcijaństwa, komunizm, jak na herezję przystało, nie miał cech trwałości. Faktem jest też, że SLD nie sprzeciwiał się rozbudowywaniu takiej argumentacji, gdy był na czas, ale skoro nie robiono tego ćwierć wieku temu, musimy robić to teraz. I choć moje uwagi to zaledwie hasło mające pobudzić do myślenia, czy sugerujące głębsze i naukowe opracowanie tematu, to warto o tym myśleć i o tym pamiętać.

* * *

Rządzący obóz narzucił Polakom paranoiczny obraz historii, tej najnowszej, ale też starej. Dlaczego więc lewica tłumaczy się przed fałszerzami historii, zamiast występować z pozycji tych, których zasługą jest, że Polska zamiast na Wschodzie znalazła się ostatecznie w Europie Środkowej, nie mówiąc już o innych jej zasługach...

Dzisiejsza Polska, czy się to komuś podoba czy nie, jest kontynuacją tej powstałej w 1944 i 1945 roku i ta po 1989 roku zapowiadała się znakomicie, wydawało się, że otwierają się przed nami świetlane perspektywy. Niektóre nadzieje się spełniły, mamy awans materialny, nie do przecenienia jest poczucie wolności, ale to co obserwujemy obecnie, może prowadzić do czegoś bardzo złego.

Tak czy inaczej, Polski Ludowej nie możemy porównać do tej, którą teraz mamy, bo ta jeszcze się nie skończyła i nie wiemy, jak się skończy.

BRONISŁAW ŁAGOWSKI

JAN WOLEŃSKI

MIĘDZY PLURALIZMEM A MARKSIZMEM.

O FILOZOFII W PRL-u.

Żeby zrozumieć sytuację polskiej filozofii w latach 1944–1989 (daty są umowne w dużej mierze), trzeba w skrócie przypomnieć, jak wyglądała ona przed wojną. Polska była potęgą w świecie filozoficznym, największą w pasie od Skandynawii po Bałkany, a pod koniec lat 30. w środkowej i wschodniej Europie – z uwagi na wydarzenia polityczne, w Niemczech i Austrii, gdzie filozofia, jeżeli nie znikła, to na pewno została bardzo poważnie ograniczona.

Osiągnęliśmy olbrzymi prestiż międzynarodowy, głównie dzięki szkole logicznej, ale nie tylko dzięki niej. Warto też zwrócić uwagę na fakt, że około 20 proc. osób czynnych w obrębie filozofii w Polsce międzywojennej, to były kobiety, szczególnie w Warszawie. Kraków był znacznie bardziej konserwatywny. Co prawda ani jedna z pań nie została przed wojną profesorem filozofii, ale niżej było ich wiele i były to osoby bardzo wybitne. Struktura narodowościowa polskiego środowiska filozoficznego była również zróżnicowana. Było dużo osób pochodzenia żydowskiego, a ostatnie badania udokumentowały obecność Ukraińców (Lwów).

Przedwojenna polska filozofia była, co warto szczególnie podkreślić, bardzo pluralistyczna pod względem poglądów. Dominowała szkoła lwowsko-warszawska o nastawieniu wyraźnie logicznym i – ogólnie mówiąc – pozytywistycznym, była silna także fenomenologia dzięki Romanowi Ingardenowi, mocna filozofia katolicka dzięki KUL i rozmaite inne orientacje, w tym np. tradycyjna polska filozofia mesjanistyczna. Ktoś może spytać: a co z lewicą? Owszem, marksizm w różnych odmianach był obecny, ale poza Wolną Wszechnicą Polską nie była to formacja akademicka. Mieliliśmy zresztą chyba więcej sympatyków marksizmu niż marksistów. Taką wybitną postacią był np. Leon Chwistek.

W czasie wojny straty były olbrzymie. Około 20, a nawet 25 proc. czynnych filozofów albo wyemigrowało z Polski, albo zginęło – tu mam na myśli głównie osoby pochodzenia żydowskiego. Do tego doszły jeszcze zmiany granic, które, poza wszelkimi innymi problemami, oznaczały utratę dwóch ważnych uniwersytetów,

zwłaszcza uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, zrekomensowanych wkrótce powołaniem kilku nowych placówek uniwersyteckich – we Wrocławiu, gdzie osiadła część uczonych ze Lwowa, w Lublinie, gdzie powstał Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej (nazwa niepoprawna, ponieważ powinno być Uniwersytet Marii Skłodowskiej-Curie), w Toruniu (Uniwersytet Mikołaja Kopernika), który przejął część kadry z Uniwersytetu Stefana Batorego z Wilna, i w Łodzi. To były przedsięwzięcia na ogromną skalę i trzeba stwierdzić, że się powiodły.

Choć wielu wybitnych filozofów zginęło, wśród nich wspomniany Leon Chwistek i wielu emigrowało, w tym największy polski logik Alfred Tarski czy Jan Łukasiewicz, to jednak zostali Tadeusz Kotarbiński, Kazimierz Ajdukiewicz, Roman Ingarden czy Władysław Tatarkiewicz – żeby wymienić tych kilku powszechnie znanych uczonych.

Trzeba zauważyć, że rozwój filozofii i generalnie nauki, był tak jak rozwój kultury określany tym, co się działo w polityce. Mamy więc podobne etapy: 1945–1949, 1950–1955, potem kolejna cezura to rok 1968, wreszcie lata 80. i dalsze. Stan filozofii i innych nauk społecznych był związany z wydarzeniami politycznymi, jakie miały miejsce w Polsce. To ważna i dość oczywista cecha rozwoju społecznego w Polsce Ludowej, jak również w innych krajach tzw. bloku radzieckiego.

W zasadzie przez pierwsze trzy powojenne lata mieliśmy do czynienia z kontynuacją w polskiej filozofii tego, co osiągnięto przed wojną i stanu, by tak rzec, organizacyjnego. Wychodziły te same znaczące pisma, a więc „Przegląd Filozoficzny”, „Kwartalnik Filozoficzny” i „Ruch Filozoficzny”, uczono mniej więcej tak samo jak w międzywojniu, była w szkołach średnich propedeutyka filozofii na zasadach jeszcze przedwojennych.

Zaczęto instalować marksizm i byłoby dziwne, gdyby było inaczej. Adam Schaff pojawił się właśnie wtedy jako czołowy ideolog marksistowski, pierwszy profesor–marksista. Wkrótce wokół niego skupiła się spora grupa marksistów i wbrew temu co dziś się mówi, nie byli to ludzie, którzy opowiedzieli się za marksizmem z egoizmu czy innych przyczyn koniunkturalnych, ale osoby autentycznie zainteresowani marksizmem

z powodów teoretycznych i praktycznych, ponieważ wierzyli, że trzeba wprowadzać zasady marksizmu w praktyce. Niektórzy studiowali w ZSRR i tam się uczyli filozofii, inni w Polsce. Czołowe postacie to np. Leszek Kołakowski, Zygmunt Bauman, Bronisław Baczko czy Stefan Morawski.

Dość mało znanym epizodem, który wskazywał już w 1948 roku na nową politykę władz wobec filozofii i filozofów oraz generalnie przedstawicieli nauk społecznych, była afera związana z wyjazdem na pierwszy powojenny Kongres Filozoficzny w Amsterdamie w 1948 roku. Większość gości zaproszonych z Polski nie otrzymała paszportów i była to bardzo przykra sprawa. Ten kongres był poświęcony m.in. pamięci filozofów, którzy stracili życie w czasie II wojny światowej, w tym szeroko wówczas znanemu filozofowi holenderskiemu o nazwisku *nomen omen* (Leonard) Polak. Na pierwszej stronie tomu podsumowującego konferencję jest lista strat, jakie poniosła filozofia. Poza Polakiem są na niej sami filozofowie polscy. Można sobie wyobrazić, jak boleśnie odczuli to ich koledzy, którym zakazano wyjazdu do Amsterdamu, a także koledzy z Zachodu, którzy ten kompromitujący fakt musieli zauważyć.

Lata 1949-1955 to ofensywa marksizmu zarówno personalna, jak i edukacyjna. Studia filozoficzne były prowadzone tylko w Warszawie i na KUL-u; w stolicy były to tylko studia drugiego stopnia. Działo wprawdzie Polskie Towarzystwo Filozoficzne, ale wspomniane wcześniej pisma zostały zamknięte – zastąpiła je „Myśl Filozoficzna”, jedyne polskie pismo z zakresu filozofii. Zadaniem filozofów-marksistów było podejmowanie polemiki z tzw. filozofią burżuazyjną i tu pierwszoplanowa była polemika z filozofią katolicką, a w mniejszym stopniu z przedwojenną szkołą lwowsko-warszawską, ponieważ tacy filozofowie jak Kotarbiński czy Ajdukiewicz deklarowali co najmniej neutralność światopoglądową, a Kotarbiński - materializm, więc uważano, że zarówno ich oraz ich uczniów da się z czasem przekonać do marksizmu. Bardzo ostrym atakom Baczko na Kotarbińskiego i Schaffa na Ajdukiewicza nie towarzyszyły jakieś specjalnie drastyczne, administracyjne posunięcia czy szykany. Warto tu dodać, że różnorakie naciski dotyczyły także innych, praktycznych dziedzin nauki, w tym np. nauk biologicznych, które przeżywały etap walki z „mendelizmem i morganimizmem”, czyli genetyką jako taką – socjologię taktowano jako tzw. burżuazyjną pseudonaukę.

Niektórzy spośród filozofów, np. Tatarkiewicz czy Ingarden, zostali pozbawieni prawa nauczania, choć zachowali skromne etaty, inni zostali skierowani do nauczania logiki i w zasadzie, czasem pod płaszczykiem logiki, nauczali czegoś innego. Niemniej jednak wszyscy studenci musieli przejść przez kurs marksizmu. Zlikwidowano propedeutykę filozofii. Momentem centralnym marksistowskiej ofensywy miał być Kongres Nauki Polskiej w dziesięciolecie PRL, ale to nie przyniosło specjalnych rezultatów.

Autoritet Ajdukiewicza i polskiej szkoły logicznej sprawił, że na wszystkich kierunkach studiów uniwersyteckich w Polsce nauczano logiki (także w liceach), powstało także pismo „Studia Logica”, częściowo filozoficzne, a częściowo formalno-logiczne, i pod tym względem Polska wyróżniała się wyraźnie wśród in-

nych krajów obozu. Ten fenomen został po części osiągnięty dzięki Adamowi Schaffowi, który prywatnie (wiadomo to z przekazów ustnych) bardzo wysoko sobie cenił krytyki Ajdukiewicza i Kotarbińskiego jako swych starszych kolegów.

Stosunek przedwojennych profesorów do marksizmu był zresztą dość zróżnicowany, ale na ogół uważano, że marksizm jest bardzo zideologizowaną filozofią, co sprawia, że racjonalna dyskusja filozoficzna nie jest możliwa lub przynajmniej bardzo trudna (takie stanowisko zajmowali np. Izydora Dąbska czy Roman Ingarden). Z drugiej strony, Kotarbiński czy Maria i Stanisław Ossowsky aprobowali pewne tezy marksizmu i byli skłonni do dyskusji. Wszelako w ogólności tzw. okres stalinowski był czasem trudnym dla akademickiej filozofii w Polsce.

I oto przychodzi rok 1956 i tak jak w innych dziedzinach zaczyna się likwidacja najsłabszych absurdów. Odwilż zaczęła się już nieco wcześniej. Angielski filozof Alfred A. Ayer opowiada w swoich wspomnieniach o sensacji, jaką było pojawienie się Kotarbińskiego i Schaffa na posiedzeniu Międzynarodowego Instytutu Filozofii w Atenach w 1955 r. – dwa lata później Kotarbiński został wybrany przewodniczącym tego gremium. Katedry odzyskali Tatarkiewicz i Ingarden, w 1958 r. wyszła słynna *Historia filozofii* Tatarkiewicza – kolejka po tę książkę sięgała od księgarni im. Prusa – naprzeciw Uniwersytetu Warszawskiego po dzisiejszy plac Piłsudskiego i to była bodaj największa kolejka w dziejach Polski Ludowej.

Być może marksści i władze państwowe były tak przekonane do siły swej doktryny, że sądziły, iż przedstawiciele innych kierunków z czasem odejdą, a młode pokolenie będzie już przesiąknięte „oświeconym marksizmem”. Warto też dodać, że w łonie marksistów toczyły się w latach 50. i 60. bardzo żywe i ostre dyskusje – spierano się o marksizmy zmodernizowany i dogmatyczny. Reprezentantem tego drugiego był Jarosław Ładosz, pierwszego zaś Baczko i Kołakowski. Inny spór polegał na tym, że była orientacja antropologiczna związana z filozofią człowieka i orientacja przyrodnicza. Wielu naszych starszych kolegów, pamiętanych w Krakowie, np. Zdzisław Augustynek czy Zdzisław Kochański, reprezentowali radykalny scjentyzm widziany z pozycji materialistycznej. I spory te były niejednokrotnie obserwowane z dużym podziwem ze strony filozofów z innych krajów obozu socjalistycznego. Schaff odgrywał rolę rozjemcy, czy raczej zwolennika kompromisu i uważał, że ani jedna, ani druga skrajność nie ma racji i można znaleźć drogę pośrednią.

Niewątpliwie było tak, że marksizm został utrwalony administracyjnie (preferencje polityczne często ogrywały rolę w zdobywaniu stopni kariery akademickiej, ale droga dla innych nie była zamknięta), a także edukacyjnie. Studia prawnicze rozpocząłem w 1958 r., filozoficzne – w 1960 r. i nie byłem podawany nadmiernemu reżimowi ideologicznemu. Może to wyda się nieprawdopodobne, ale na filozofii nie mieliśmy żadnego przedmiotu marksistowskiego poza rutynową ekonomią polityczną i teorią rozwoju społecznego (oba te przedmioty miałem zaliczone ze studiów na Wydziale Prawa). Przytoczę ciekawą historię z czasów późniejszych, która oddaje ducha także tej wcześniejszej epoki. Michał Hempoliński, który był redaktorem naczelnym uruchomionych

w 1958 roku „Studiów Filozoficznych” – w miejsce „Myśli Filozoficznej” zbyt utożsamianej z okresem stalinowskim – opowiadał, jak został zaproszony do Wydziału Nauki KC PZPR, gdzie usłyszał, że „towarzysz publikuje za mało artykułów marksistowskich”. – „Wiesz – opowiadał mi – nie mogłem się z nimi dogadać. Oni chcieli, żebym drukował artykuły marksistowskie, a ja odpowiadałem, że przecież muszę drukować artykuły dobre, a nie marksistowskie czy jakiegokolwiek inne”. Były w tych sporach momenty dramatyczne, jak słynna dyskusja nad książką Adama Schaffa *Marksizm a jednostka ludzka*, wydana w wersji kieszonkowej serii „Omega”, jak i normalnej, i wtedy ujawniła się wyjątkowo ostra opozycja między dogmatykami i nazwijmy to rewizjonistami, a czynny do dziś Andrzej Werblan, pełniąc funkcje oficjalne reprezentował wówczas stanowisko bardzo dogmatyczne. W tym sporze ujawniła się zapowiedź polityki restrikcyjnej wobec filozofii.

Byłem na spotkaniu z Adamem Schaffem w krakowskich „Jaszczurach”, gdzieś w połowie lat 60. Krytykujemy mnie – mówił – że marksizm jest jedyną uznaną oficjalną filozofią, ale pokażcie mi drugi kraj na świecie, gdzie istnieje taka seria wydawnicza jak „Biblioteka klasyków filozofii”. Naprawdę imponująca, na skalę światową, seria najważniejszych dzieł filozofów, z wyjątkiem filozofów katolickich – Tomasza z Akwinu czy św. Augustyna – ich mogły wydawać oficyny katolickiej jak PAX czy Palotinum. Dodał, że wydaliśmy dzieła zebrane Ingardena, Ajdukiewicza, wybór Kotarbińskiego. Schaff nie miał racji, bo w świecie podobnych serii było kilka, ale w krajach demokracji ludowej to na pewno był absolutny wyjątek, a ponadto minimalizował ograniczenia wydawnicze. Popularna seria wydawnicza „z szachownicą” (wydano w niej m. in. dzieła Bergsona, Jamesa, Freuda, Malinowskiego czy Russella) została zamknięta z powodu projektu opublikowania polskiego przekładu książki *Spółeczeństwo otwarte i jego wrogowie* Karla Poppera. Mówiąc obrazowo, życiem filozoficznym w tym latach rządziła swoista dialektyka ograniczeń i ich przekraczania.

Wkrótce przyszedł rok 1968 – naprawdę dramatyczny. Bardzo wiele osób wyemigrowało, na ogół pod przymusem, m.in. Zygmunt Bauman i także wielu młodych, obiecujących filozofów. Niektórzy z nich zdobyli potem na świecie bardzo poważną pozycję. Największe represje dotknęły środowisko warszawskie, kilku profesorów zwolniono z Uniwersytetu, m.in. Schaffa i Kołakowskiego. Oskarżano ich o rewizjonizm, ale też bardzo istotna była problematyka narodowościowa, czyli pochodzenie żydowskie. Kołakowski żartował zresztą, że ponieważ jego żona jest Żydówką, a on nie – mogli mu zostawić pół etatu. Szkody, jakie poniosła wówczas polska nauka (nie tylko filozofia), już nigdy nie zostały nadrobione. Do dzisiaj!

I wreszcie wypada zauważyć rzecz ciekawą, a mianowicie, że rok 1981 nie miał dla środowiska filozoficznego większego znaczenia. Mało kto wie, że jedną z pierwszych decyzji ministra było zlikwidowanie obowiązkowego dla wszystkich kierunków studiów, także technicznych, kursu filozofii marksistowskiej. Od tamtej pory student mógł sobie wybrać dowolny kurs ze sfery humanistyki i uczelnia winna mu była to zagwarantować.

Koniec lat 80., co niezwykle, zaznaczył się próbą niektórych filozofów marksistowskich i katolickich podziału całej polskiej sceny filozoficznej na marksistow-

ską i katolicką. Pamiętam telewizyjną dyskusję, w której uczestniczyła Maria Szyszkowska. I w pewnym momencie dziennikarz pyta: – A pani jest marksistką, czy filozofką katolicką? – Ja jestem neokantystką – odpowiedziała i biedny dziennikarz zupełnie nie wiedział, co z tym zrobić.

Takie zawłaszczenie całej filozofii przez dwie opcje oczywiście się nie udało. Jedno jest pewne, spoglądając wstecz, przynajmniej jak daleko sięga moja pamięć, że polska nauka filozoficzna obroniła swój charakter akademicki. W latach 80., a nawet już w końcu lat 70. było już jasne, że bycie logikiem, metafizykiem, etykiem itd. jest ważniejsze niż bycie marksistą. Z filozofią katolicką jest trochę inaczej, bo katolicy są związani swym wyznaniem, co sprawia, że czują się zobligowani do reprezentowania pewnego stanowiska, choć są oczywiście w Polsce tzw. katolicy otwarci, a dla nich elementy rzeczowe są podstawowe.

Jest dla wszystkich oczywiste, że istniały w PRL zjawiska nieakceptowalne, przede wszystkim dla człowieka myślącego. Była cenzura, nie wolno o tym zapominać, bo znacznie lepiej, jeśli książka, która ma się ukazać, nie podlega osądowi cenzora, a gdy podlega, bywa, że nie ukazuje się wcale, albo nawet nie zostaje napisana. Fatalną sprawą dla nauki było też stosowanie z różnym nasileniem w różnych czasach ograniczenie kontaktów międzynarodowych, co odczuwaliśmy bardzo boleśnie. Dostęp do książek i czasopism był niezły, ale wyjazd na konferencję czy stypendia był mocno ograniczany i reglamentowany.

Można i należy dyskutować, z czego powinniśmy być zadowoleni, a z czego niezadowoleni z tego, co było w PRL. Jednak wypada przyznać, że tradycja pluralistyczna polskiej filozofii, charakterystyczna od jej powstania, czyli od XIV czy XV wieku, została przez marksizm zachowana, być może pod naciskiem środowiska. Ogromna w tym rola naszych wielkich mistrzów, ale pozostaje faktem, że marksizm polski był najbardziej pluralistyczny w obozie socjalistycznym i za tym także cała filozofia.

Ja rozstałem się z PZPR w 1981 roku i taki, dość dumny z tej decyzji, poszedłem do Izydory Dąbskiej, która wcześniej uczyła mnie filozofii i pochwaliłem się tym faktem, a ona spojrzała na mnie z ironią i stwierdziła: Czy to ważne, jaką ma pan legitymację, albo jakiej pan nie ma? Ważne jest to, co pan myśli i co pan robi! To była ciekawa lekcja. Nasi mistrzowie z przedwojennej szkoły tak właśnie patrzyli na marksistów – proszę bardzo, jeśli jesteś dobrym filozofem, nie ma żadnych powodów, żebyś swoje poglądy chował, czy ich się wypierał. Ingarden, jak już wspominałem, uważał, że filozofia marksistowska jako taka jest zbyt ideologiczna, aby warto było z nią dyskutować. Pamiętam, jak zżymał się wspominając recenzję Tadeusza Krońskiego ze *Sporu o istnienie świata*. Recenzent dziwił się, że autor żyjący nieopodal Nowej Huty docieka, czy świat istnieje. Ingarden odpowiadał, że istnienie świata jest problemem ontologicznym, który trzeba rozważać niezależnie od otoczenia produkcyjnego. Wszelako ten sam Ingarden był gotów dyskutować np. o związku przyczynowym z Augustynkiem, zupełnie niezależnie od kwestii ideologicznych.

Taka jest spuścizna, jak starałem się wyżej pokazać, a co z tym dziś robimy to odrębna sprawa. Do

obecnej sytuacji trzeba mieć tyle samo zastrzeżeń jak do tamtej dawnej, szczególnie że wówczas różne cienie miały swe uzasadnienie geopolityczne, a dziś fundujemy je sobie na własny rachunek. A już szczytowym osiągnięciem obecnej władzy jest interwencja policyjna w Pobierowie na organizowanej pod auspicjami Uniwersytetu Szczecińskiego konferencji o Karolu Marksie. To prawdziwy skandal i należy oczekiwać, że tego typu rzeczy nie będą się już powtarzały.

Ileć raz dyskutuje się o PRL i generalnie o najnowszej historii, zawsze pojawiają się pytania, co by było, gdyby historia potoczyła się inaczej, a to są pytania, na które nie ma i nie może być sensownej odpowiedzi. Nie wiadomo, jak Polska by wyglądała, gdyby nie było wojny, a potem żelaznej kurtyny, bo widzimy jak rozwijały się kraje startujące z podobnego pułapu jak Polska – Grecja czy Hiszpania.

Wprawdzie wielka rewolucja oświatowa w Polsce Ludowej jest faktem niepodważalnym, ale, z drugiej strony, PRL dobiegał swego końca z siedmioprocenową grupą osób z wyższym wykształceniem, co było jednym z najniższych wskaźników w Europie, nawet gdy porównamy to z innymi tzw. demoludami. Czechosłowacja miała 11 proc. i bardzo się tym martwiła.

Padają tu (na konferencji) głosy, że jednak w Polsce „coś tam produkowaliśmy bardzo dobrze”. Czy to rzeczywiście osiągnięcie czy spełnienie obowiązku? PRL można i trzeba krytykować, bo jest za co, a to samo dotyczy osiągnięć tego okresu.

I jeszcze jedno, *pro domo sua*, ale trudno mi powstrzymać się przed tymi uwagami. Jako jedyny w gronie prelegentów przyznałem się, że oddałem legitymację partyjną. Uważam, że nie mam prawa ukrywać tego faktu, skoro zabieram głos na bieżące tematy polityczne. Nie wystąpiłem z PZPR tylko dlatego, że gen. Jaruzelski wprowadził stan wojenny (to sprawa nierozstrzygalna, czy musiał, czy chciał), ale gdy przez kilka dni posłuchałem propagandy, jaka lała się z głośników radiowych i ekranów telewizyjnych, szczególnie w pierwszych dniach stanu wojennego, uznałem, że nie należy godzić się z tym. Poziom czy sposób obrażania innych ludzi, inaczej myślących, był podobny do tego, jaki jest teraz! Szereg elementów, jakie dziś pojawiają się w propagandzie, to dokładna replika najgorszych standardów PRL – metod niekiedy sięgających okresu stalinowskiego.

JAN WOLEŃSKI



Wojciech Noworyta, fotogramy z wystawy *Krajobrazy Orkana*

HIERONIM KUBIAK

CZY WÓWCZAS MOŻLIWA BYŁA „INNA RZECZPOSPOLITA”?

Proszę się nie lękać tych wszystkich książek, które przyniosłem. Nie będę ich tu odczytywał, ale przyniosłem je ze sobą, bo traktuję je jako specjalny rodzaj przyjaciół, którzy odzywają się tylko wtedy, kiedy są pytani. Jednak chciałbym, abyście Państwo o tych książkach wiedzieli, że są na rynku i znajdziemy w nich znaczną część odpowiedzi na tytułowe pytanie tej konferencji „Czym była Polska Ludowa i co z niej zostało”.

Gdy padają pytania o ewolucję PZPR, to trzeba sięgnąć np. po książkę pod redakcją Mieczysława F. Rakowskiego (*Polska pod rządami PZPR*, wyd. w 2000 r.). Znajduje się w niej 26 obszernych wypowiedzi znanych działaczy politycznych i uczonych z tamtych lat. Przyniosłem też książki napisane przez wybitnych polskich uczonych, którzy złożyli partyjne legitymacje w 1981 r., po krwawej pacyfikacji górników w kopalni „Wujek”. Dwie z nich, moim zdaniem, zasługują na szczególną uwagę. Napisał je profesor Piotr Sztompka, przez lata Kuźniczanin, a od 2002 r. prezydent Międzynarodowego Stowarzyszenia Socjologicznego (ISA). Pierwsza z nich traktuje o socjologii zmian społecznych. Druga o zaufaniu jako fundamencie społeczeństwa.

Przyznam się Państwu, że wówczas ja także złożyłem na ręce gen. Wojciecha Jaruzelskiego rezygnację z członkostwa w partii, obowiązków sekretarzowania w KC i członka Biura Politycznego. W trakcie nocnej rozmowy, która się wówczas odbyła, gen. Jaruzelski powiedział mi m.in.: – Mamy na najbliższym posiedzeniu Sejmu decydować o zmianie ustawy o szkolnictwie wyższym i przywrócić temu szkolnictwu samorząd-

ność, mamy też zdecydować, skąd wziąć pieniądze, by w okresie kryzysowym nie musiały zapłacić za ten kryzys także polska kultura. Jesteście rzecznikiem tych zmian. Kto Was zastąpi? W tej sytuacji zgodziłem się jeszcze do sejmowych wakacji, tj. do końca czerwca, nie składać rezygnacji. Stwierdziłem jednak, że jeśli wejdą „ci ze wschodu”, to nie będziemy po tej samej stronie! Na to gen. Jaruzelski, kładąc rękę na kaburze pistoletu odparł: „A co zrobią wtedy polscy oficerowie?”

Po tych uwagach wstępnych wypada przejść do właściwej problematyki mego wystąpienia – czym PRL była w dziejach Polski? Chciałbym zacząć od wątku emancypacji kobiet, bo to, moim zdaniem, była jedna z najważniejszych zmian, które się wówczas dokonały. Bo z jakim problemem przyszło się zmierzyć nowej, powojennej władzy? Niech świadczy o tym fragment dokumentu z 1924 roku, przechowywany w archiwum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Oto Rada Wydziału Lekarskiego UJ stwierdza, że „graniczna liczba kobiet to 5 proc. wszystkich przyjmowanych na studia, a to z tej przyczyny, że nie odznaczają się one ani pilnością, ani postęпами, tylko niepotrzebnie zabierają miejsce tym lepiej rozwiniętym”. Groza! Nie było to jednak tylko polskie zjawisko. Eileen Markley, druga żona Floriana Znanieckiego, w swoim pamiętniku pisze m.in., że kobiety na prestiżowym uniwersytecie w Chicago musiały siedzieć za drzwiami sal wykładowych i stamtąd słuchać wykładów „by nie odwracać uwagi lepiej rozwiniętych kolegów”. To był rok 1914.

Niestety, nie są to poglądy, które w ciągu minionego wieku odeszły w niepamięć. Także dziś, sto lat po

tym, gdy kobietom w Polsce za sprawą lewicy przyzna- no prawa wyborcze, są gloryfikatorzy „staropolskiego” modelu, w którym kobiety powinny przede wszystkim *rodzić dzieci, prac, gotować i sprzątać*. To także prze- cież model kobiety w hitleryzmie, której ideały ograni- czał się do „trzech k”: *kinder, kuche, kirche!* Na równe męskim role społeczne kobiet kładła nacisk właśnie Polska Ludowa!

Chcę też przypomnieć jak zmieniła się w tamtych la- tach społeczność polskich wsi (bo skończyła się ostat- nia faza feudalizmu), polskie miasta, polska kultura, liczebność i struktura polskiej inteligencji. Jeśli porów- nać liczbę studentów w początkach II Rzeczypospolitej i u schyłku PRL, to będzie to wzrost prawie pięćdziesię- ciokrotny. Sam reprezentuję tych nowych, którzy przy- szli na studia dopiero wtedy. Pochodzę z robotniczej rodziny, a skończyłem studia tylko dlatego, że umożli- wiła mi to Polska Ludowa,

Zastanówmy się przez moment, jakie drogi i jakie szanse rysowały się przed Polską po II wojnie świa- towej. W trakcie studiów podyplomowych otrzymałem szanse prowadzenia badań w USA. Miałem wtedy okazję odbycia kilku rozmów z polskimi emigrantami politycznymi. Pamiętam zwłaszcza rozmowy z Wacławem Jędrzejewiczem, bratem premiera RP. w latach trzydziestych, wielokrotnie powtarzał: – Hieronim, za- wsze musimy pamiętać, że polskiej krwi przelało się już dostatecznie dużo. To najważniejsze. Trzymanie się tej linii nie będzie łatwą sprawą i dla wielu Polaków będzie oznaczać traumatyczne przeżycie, ale trzeba zrobić wszystko, by nigdy więcej polska krew nie była już przelewana.

W tej sytuacji warunkiem numer jeden jest przyjęcie zasady dobra wspólnego. Może wydać się dziwne, że ja, agnostyk odwołuję się tu do papieskich encyklik, ale zasada dobra wspólnego to wartość nadrzędna dla nas wszystkich. Jak długo będziemy patrzeć na świat tylko z własnej, indywidualnej perspektywy, tak długo kon- flikty, także krwawe, będą nieuniknione.

Chciałbym też zwrócić uwagę, jak zmieniły się na skutek reform rolnych stosunki na wsi najpierw w II RP, a potem, już radykalnie, w Polsce Ludowej. Jak zmie- niały się miasta, jak zmieniła się kultura, jak zmieniła się struktura inteligencji polskiej. Nieco wyżej już po- równałem liczbę studentów w początkach II Rzeczypo- spolitej i studentów u schyłku PRL...

Ja, agnostyk, wspominam dokumenty Kościoła katolickiego – papieskie encykliki, ale zasada dobra wspólnego to coś, co dotyczy nas wszystkich. Jak dłu- go będziemy patrzeć na świat tylko z własnej, indywi- dualnej perspektywy, a nie oczami drugiego człowieka, tak długo konflikt będzie nieuchronny. Zasada dobra wspólnego ma swoje tradycje wynikające także z do- kumentów świeckich. Gdy weźmiemy do ręki dokument z 1776 roku – Deklarację Niepodległości Stanów Zjed- noczonych – to znajdziemy tam zdanie, że „wszyscy ludzie stworzeni są równymi..., że Stwórca obdarzył ich pewnymi nienaruszalnymi prawami..., że w skład tych praw wchodzi życie, wolność i swoboda ubiegania się o szczęście”. To było trudne wyzwanie w końcu XVIII wieku i trudne było także dla wielu nawet w połowie wieku XX. Pamiętajmy, że Martin Luther King został zastrzelony przez białego amerykańskiego izolacjoni- stę w 1968 roku! Luter wygłaszał wtedy przemówienie

wzywające do ostatecznego zniesienia kulturowych i społecznych pozostałości niewolnictwa, w tym uprzed- zeń rasowych.

Zasada dobra wspólnego to suma tych warun- ków życia społecznego, w jakich ludzie mogą pełniej i szybciej osiągnąć swoją osobistą doskonałość. Nie tylko my, Polacy – wszyscy jesteśmy bardzo różni. Powinniśmy pokazywać różnice pamiętając przy tym, że wszyscy mamy do tych różnic prawo i możliwość korzystania z niego. Co jest najważniejsze dla każ- dego z nas? W jakich warunkach możemy zabiegać o równość praw? Sprawą elementarną jest swoboda przedstawienia własnych poglądów, uwolnienie się od lęku przed własną ignorancją. To prawo do zadawania własnych pytań bez lęku, że inni będą się dziwili, że takie pytania zadajemy. To elementarne prawo demo- kracji...

Tak więc, skoro rozmawiamy o PRL, to wolno nam zadać pytanie, czy możliwa była „inna Rzeczpospolita” niż ta, którą budowaliśmy w warunkach nie do końca wolnych i w sytuacji, gdy wielu na taką Rzeczpospolitą nie chciało się godzić?

Okazuje się, że na postawienie takich pytań bez karabinu w ręce trzeba było wielu lat i wielu wysiłków wszystkich stron, od 1944 do 1989 roku. Warto tu zatem przytoczyć fragmenty dokumentu końcowego obrad Okrągłego Stołu (5 kwiecień 1989) „W obliczu wciąż grożących Ojczyźnie załamań i konfliktów, patriotyzm i rozum nakazując szukać tego co Polaków łączy”. I da- lej: „W poczuciu odmienności, niekiedy konfliktowej, swoich stanowisk ideowych, aspiracji i interesów, a jed- nocześnie we wzajemnym poszanowaniu własnej toż- samości poszukiwano najbardziej skutecznych środ- ków naprawy Rzeczypospolitej. W duchu porozumień społecznych 1980 roku nawiązano dialog wokół tego, co Polaków łączy – wokół poczucia odpowiedzialności za przyszłość kraju ojczystego, za jego gospodarkę i kulturę, za społeczeństwo i za państwo, za los pol- skich rodzin i za los Polski”.

Najbardziej skuteczne mogą być tylko wzajemne konsultacje jako droga do naprawy Rzeczypospolitej. Jeśli mamy odejść od praktyk lat minionych i wejść na drogę daleko idących przeobrażeń, trzeba to zrobić rozważnie, nie wolno przez rozwiązania fałszywe lub pozornie mądre zatrzaskiwać drzwi przed historycz- ną szansą, jaką dzisiaj dała nam historia. Dziś trzeba myśleć. Dzięki poświęceniu i woli milionów trzeba wy- korzystać tę korzystną dla Polski i jej rozwoju sytuację międzynarodową.

Gdy dziś wracamy myślą do początków PRL, mu- simy mieć świadomość, że decydowali za nas inni – poczynając od Teheranu przez Jałtę do Poczdamu. O powstaniu PRL nie zdecydował sam Stalin z garstką Polaków-zdrajców, „komunistów”. To była wypraco- wywana przez kilka lat decyzja wielkich mocarstw, nie bez współudziału pewnych środowisk polskich, także w Londynie.

Przyjrzyjmy się zatem, co w istocie było treścią układu Sikorski-Majski zawartego w 1941 roku. Brytyj- czykom chodziło przede wszystkim o zwiększenie ich potencjału militarnego na Bliskim Wschodzie poprzez mobilizację setek tysięcy Polaków uwolnionych z ła- grów lub miejsc zesłania, zamieszkałych na kresach wschodnich, skąd drogą zwaną „Władymirką” wywożo-

no kolejne pokolenia Polaków. Nie wszyscy w rządzie emigracyjnym tego chcieli, ale Churchill obstawał przy swoich wizjach i tu mamy początek ingerencji wielkich mocarstw w to, „jaka ma być powojenna Polska”.

Wyjście wojsk polskich z ZSRR nie było więc jednostronną decyzją Stalina, ani tym bardziej niezależną decyzją gen. Andersa. Rzecz nie polegała jednak tylko na tym, że Anders wychodzi z polską armią z ZSRR przez Morze Kaspijskie, Persję i Bliski Wschód, by potem walczyć o Monte Cassino i Bolonię. Chodziło też o to, by w po podpisaniu umowy Sikorki-Majski można było ogłosić amnestię w całym ZSRR i zwolnić Polaków z łagrów. Nie wszyscy wtedy wstąpili do armii Andersa. Nie wszyscy zdążyli, bo byli niepełnoletni. Bo i władzom radzieckim nie spieszyło się z uwalnianiem siły roboczej, a ponadto odległości na Syberii były dla wielu zesłańców zbyt ogromne. Były i inne przypadki, np. niechętnie przyjmowano do armii Żydów. Wojciech Jaruzelski nie znalazł się u Andersa tylko dlatego, że był po prostu za młody. „Zaciągnął” się do armii Berlinga, która powstała później. Nie wolno nam zapominać o jego losach i drodze do Polski tysięcy jemu podobnych.

W 1943 roku mamy konferencję w Teheranie. To wtedy zgodnie ustalono, że granica powojennej Polski ma znajdować się na linii Curzona, choć z pewnymi wątpliwościami co do Lwowa, ale też z naciskiem, także ze strony mocarstw zachodnich, by Lwów oddać Ukraincom. To stanowisko miało swoje konsekwencje również w Jałcie w 1945 roku. Ówczesny prezydent USA powiada tam: – „Od pięciu wieków »sprawa polska« przyprawia świat o ból głowy”. Jego poprzednik (Woodrow Wilson), pod koniec I wojny światowej stwierdził w jednym ze swych sławnych „13 punktów”, że „ma powstać niepodległe państwo polskie, ale na ziemiach niewątpliwie etnicznie polskich”.

Takie stanowisko utrzymuje się więc także w Jałcie z zastrzeżeniem, że „wolne wybory w Polsce winny być przeprowadzone najszybciej jak to będzie możliwe, z udziałem wszystkich partii politycznych”. Ustanowiono też consensus, że na zapleczu Armii Czerwonej nie mogą działać żadne siły polityczne ani ugrupowania zbrojne, które mogłyby powstrzymać marsz Armii Czerwonej na Berlin. Nawiasem mówiąc, te same zasady obowiązywały na terenach europejskich wyzwolanych przez Amerykanów i Brytyjczyków, gdzie rozwiązywano wszelkie formacje partyzanckie, szczególnie te związane z partiami lewicy, jak francuscy „Maquis”.

Rooseveltovi i Churchillowi chodziło o to, aby Armia Czerwona jak najszybciej dotarła do terytoriów niemieckich i by Niemcy skierowali na wschodni front ogromną większość swego potencjału militarnego, a w konsekwencji by zachodni alianci mogli bez większych strat wyładować w Europie. Jako Polacy nie bierzemy tego pod uwagę i sądzimy, że nasi przyjaciele stawiali wówczas na prawdziwą niepodległość i suwerenność Polski przy zachowaniu przedwojennych struktur społeczno-politycznych i że gotowi byli wiele dla tej sprawy zrobić. Trudno o bardziej błędny pogląd.

Na konferencji w Jałcie powiada się też m.in., że „przekonanie, iż mogą nami rządzić małe kraje, jest iluzją”. To trzy wielkie mocarstwa będą decydować, jaka będzie powojenna Europa. Chcą oczywiście brać

pod uwagę interesy tych „mniejszych”, ale nie tylko ich. Przede wszystkim interesy własne. Gdy weźmiemy pod uwagę, jakie były tego konsekwencje w Polsce, jak wyglądały te pierwsze wybory i kolejne oraz jak kształtował się po stalinizmie cały cykl rozwojowy od czerwca i października 1956, poprzez „małą stabilizację”, haniebną 1968 rok i potem rok 1970, gdy nie tylko mieliśmy do czynienia z buntem robotników na Wybrzeżu, lecz także podpisaniem porozumienia z Niemcami w sprawie granicy na Odrze i Nysie, a wreszcie, gdy weźmiemy pod uwagę cały ciąg zdarzeń związanych z „Solidarnością” i stanem wojennym, to okaże się, że zasada dobra wspólnego wzięła górę dopiero w 1989 r. Przy Okrągłym Stole. Mimo wszystko!

To, z czego jestem w życiu dumny, to właśnie z udziału w obradach Okrągłego Stołu. Poznałem wówczas osobiście Bronisława Geremka i Adama Michnika. Pracowaliśmy zgodnie w zespole reform politycznych. I jeśli patrzeć z tej perspektywy na ciąg zdarzeń, który się nazywa Polską Rzeczpospolitą Ludową, to jasne się staje, że gdyby nie jej akt założycielski w roku 1944, byłibyśmy zapewne „17 republiką”. Przynajmniej do chwili rozpadu ZSRR.

Powtórzę jeszcze raz fragment dokumentu końcowego obrad Okrągłego Stołu: „W Polsce dokonuje się historyczny zwrot. W obliczu wciąż grożących ojczyźnie załamania i konfliktów patriotyzm i rozum nakazują szukać tego, co Polaków łączy. Na naszych oczach Europa i świat rozwija się w szybkim tempie. Sprawą Polaków jest, aby nie stać w miejscu, aby dorównać innym”.

Przyznaję, że jest to także moje osobiste wyznanie wiary.

* * *

Gdy Romuald Traugutt decydował się na udział w powstaniu, żona go spytała, czy to ma sens? Odpowiedział: – Sensu żadnego, ale jest mus! Otóż jeśli nasze życie zawiera się rzeczywiście pomiędzy tymi dwoma alternatywnymi biegunami, to trzeba znaleźć inne wyjście.

Nasza sytuacja w latach II wojny światowej (a także dzisiaj) była i w dużym stopniu jest nadal wyznaczona układami międzynarodowymi, a dokładniej relacjami między wielkimi mocarstwami. Obowiązkiem władz polskich, jakiegokolwiek by one były, staje się więc takie działanie, które pozwoli wymusić na mocarstwach widzenie świata nie tylko z perspektywy ich bezpośrednich interesów. Aby się o tym przekonać, wystarczy przyrzeć się sytuacji Polski w trakcie i po transformacji ustrojowej. Przyszła wolność, cenzura została zastąpiona przez pieniądź, a część generacji wchodzącej w życie powiada teraz tak: interesuje nas tylko seks, kasa i ewentualnie władza. To ogromnie trudny problem, którego nie da się łatwo rozwiązać. Stawiam zatem pytanie, co nastąpi po tej fazie kapitalizmu?

Często powołujemy się w różnych polityczno-społecznych kwestiach na Karola Marksa. Jeden z jego listów do wydawcy w Nowym Jorku zawiera zdanie: „Gdybym wiedział, jacy ludzie nazywać się będą marksistami, natychmiast zmieniałbym nazwisko”.

HIERONIM KUBIAK

MARIAN STĘPIEŃ

NIEODWRACALNE REFORMY

Po odzyskaniu niepodległości Polski w 1918, od lat dwudziestych, nie schodziła z porządku dziennego sprawa reformy rolnej; oddanie ziemi tym, którzy przez stulecia, w niewolniczych warunkach ją uprawiali przynosząc zyski właścicielom ziemskim. Przez stulecia też biegły głosy szlachetniejszych przedstawicieli naszego narodu upominających się o chłopską krzywdę i domagającą się zadośćuczynienia. niesprawiedliwość społeczna w tej dziedzinie była uderzająca, a wszelkie próby jej zniesienia podejmowane przed 1939 rokiem nie przynosiły rezultatu.

Wielkim dziełem bloku demokratycznego obejmującego władzę w 1945 roku było podjęcie tego problemu i jego rozwiązanie przez wprowadzenie w życie szeroko zakrojonej reformy rolnej. Mimo obłędnej polityki „dekommunistycznej” nikt dotychczas nie ośmielił się i nadal się nie ośmiela kwestionować jej zasadności i doniosłości.

Podobnie z upaństwowieniem przemysłu, a następnie z jego rozwojem, z industrializacją kraju. To były te reformy, które spotykały się ze społeczną akceptacją, przyspieszały rozwój Polski, pomnażały zamożność polskich rodzin, wyrównywały krzywdy dawnych stuleci, dawały satysfakcję dokonywania się sprawiedliwości społecznej. Umożliwiały przebudowę kraju.

Przytaczam tu świadectwo autora, który nie może być poczytywany za zwolennika warszawskiego rządu, ale trzeba mu przyznać trzeźwość umysłu wśród różnych emigracyjnych zacierzawień. Jego więc świadectwo może być dla niektórych bardziej przekonujące, a przynajmniej skłaniające do zastanowienia się. Chodzi o Jerzego Stempowskiego. W czasie, gdy zaczęto mówić o budowie Nowej Huty, on tak to widział, w przeciwieństwie do dzisiejszych komentatorów tego dzieła:

„Uprzemysłowienie kraju – słowo to powracało u nas w rozmowach od czasu Szczepanowskiego, przybierało charakter wizjonerski w powieściach Żeromskiego, stało się natarczywe i pilne w okresie wielkiego kryzysu 1930-1936 [...]”

Okres wielkiego kryzysu, który jak żaden inny przyczynił się do rozpowszechnienia podstawowych pojęć ekonomicznych, odsłonił dramatyczną sytuację Polski rolnej. Konkurując na wolnym rynku z krajami Nowego Świata o gospodarcę ekstensywną, Pol-

ska za swe produkty rolne nie mogła otrzymać żadnej godziwej ceny. Kraje przemysłowe, przywykłe aprowidować się na pół darmo, nie zrobili żadnego wysiłku dla zagospodarowania rolniczej części Europy, odrąconej wówczas przez Zachód w planie gospodarczym, jak później w planie politycznym. Z drugiej strony przyrost ludności wiejskiej nie znajdujące zatrudnienia w rolnictwie powiększał każdego roku zastępy ludzi nie widzących dla siebie w kraju żadnej przyszłości. Przrastającą ludność można było zatrudnić przez rozbudowę przemysłu, wysiłki podejmowane w tym celu były jednak niedostateczne. Rozbudowy przemysłu nie umiano sobie wyobrazić bez pomocy kapitałów zagranicznych lub głębokich zmian strukturalnych wielkich eksperymentów społecznych i gospodarczych, na jakie nie decyduje się zazwyczaj nikt, kto może decyzję odłożyć do jutra. Wojna i lata następne zmiotły z powierzchni kraju wiele rzeczy, które dawniej trzeba było postawić na kartę, podejmując takie eksperymenty. Wzrosła jednocześnie ludność bezdomna i wysiedlona, którą należało natychmiast zatrudnić. W ten sposób powstały warunki do podjęcia próby rozbudowy przemysłu środkami, jakie był wówczas do rozporządzenia”¹.

Wielkim dobrodziejstwem było przejęcie przez państwo ubezpieczeń społecznych. Jak, mimo trudnych warunków powojennych, olbrzymich zniszczeń i braków wyglądała opieka zdrowotna, niech tym razem zaświadczy Maria Dąbrowska. W liście do Jerzego Stempowskiego z 25 lipca 1954 roku pisała: „Z prawdziwym zmartwieniem przeczytałam w liście Pana opis okoliczności, w jakich Pan chorował i leczył się na duodenitis. Mój Boże, świadczą one o bardzo złych warunkach finansowych, w jakich się Pan znajduje, a które u nas nie grają żadnej roli w leczeniu. Ciężką operację (wycięcie płuca) mego brata robili najlepsi chirurdzy, w najlepszych warunkach, a i całą dwumiesięczną rekonwalescencję odbył w doskonałych warunkach, i nie kosztowało to ani grosza, choć jest tylko planistą w małej spółdzielni krawieckiej; tak samo Jurek leczył się przez sześć tygodni w najlepszej klini-

¹ Jerzy Stempowski, *Notatnik niespiesznego przechodnia*. Tom I. Zebrał i notą wstępną opatrzył Jerzy Timoszewicz, opracowała Dorota Szczerba, Warszawa 2012, s. 40.

ce wewn. Szpitala Dzieciątka Jezus (obecnie Miejski nr któryś tam) całkiem za darmo².

Wreszcie wielka reforma, która również przesądziła o charakterze Polski Ludowej na całe dziesięciolecie, to reforma oświaty i szkolnictwa. By zdać sobie sprawę z doniosłości reformy systemu oświaty, trzeba przypomnieć, w jakich warunkach uczyły się polskie dzieci na wsi (a ich była większość) przed rokiem 1939. W warunkach stworzonych przez osławioną reformę jędrzejewiczowską.

„Nauka” w takiej szkole trwała siedem lat. A dlaczego słowo nauka ująłem w cudzysłów, to zaraz się okaże. Do pierwszej chodziło się jeden rok; do drugiej podobnie. Od klasy trzeciej zaczynały się owe szczególne rozwiązania przedwojennej szkoły na polskiej wsi. Klasa trzecia dzieliła się na dwa oddziały. Do klasy trzeciej chodziło się dwa lata. Równocześnie, w tej samej sali zasiadały dzieci rozpoczynające naukę w trzeciej klasie razem z tymi, którzy do trzeciej klasy uczęszczali drugi rok. To były dwa oddziały trzeciej klasy. W pierwszych rzędach ławek zasiadał pierwszy oddział trzeciej klasy, za nimi drugi oddział, którego uczniowie musieli drugi raz słuchać tego samego. Jakie były tego skutki pod względem spokoju w klasie i skupienia uwagi uczniów i – co najważniejsze – rezultaty takiej edukacji, można sobie łatwo wyobrazić.

Po dwóch latach siedzenia w trzeciej klasie przechodziło się do klasy czwartej. Ta dzieliła się już na trzy oddziały. Podczas lekcji w jednej sali w pierwszym rzędzie zasiadali „nowi”, którzy po raz pierwszy w czwartej klasie się znaleźli, za nimi siedzieli ci, którzy przychodzili na te same zajęcia po raz drugi, a w tylnych ławkach siedzieli już wiejskie dryblasy – po raz trzeci przychodzili wysłuchiwać tego samego programu. W ich ławkach zawsze było najbardziej niespokojnie, najgłośniejsze i tam rodziły się konflikty między klasą a nauczycielem.

Tak więc formalnie młodzież wiejska uczęszczała siedem lat do szkoły. W rzeczywistości przechodziła tylko czteroletnią naukę szkolną. Przez siedem lat, do ukończenia 14 roku życia znajdowała się pod kontrolą szkoły. A potem już państwo się nią nie martwiło. Rekrutowali się z niej półanalfabeci, pastuchy była pomagający rodzicom w gospodarstwie rolnym, adepci rzemiosła. Tak wyglądała dola większej części polskich dzieci i młodzieży. Większej części, gdyż Polska była krajem rolniczym, przeważała w niej ludność wiejska.

Nic dziwnego, że przy takim stanie wiejskich szkół, których nawet taką opieką wiele dzieci wiejskich nie było objętych, powstało zjawisko analfabetyzmu, przed którym stanęły polskie władze oświatowe w 1945 roku. W ciężkim spadku po Drugiej Rzeczypospolitej zostało 23 proc. analfabetów. Jednym z ważnych przedsięwzięć było więc podjęcie akcji zwalczania analfabetyzmu. Mam prawo coś na ten temat powiedzieć, bo miałem w tym dziele czynny udział jako student i członek ZAMP-u, czyli Związku Akademickiej Młodzieży Polskiej.

Przed wojną nawet dla średnio zamożnych rodzin odczuwalny był wysiłek finansowy związany z posłaniem dziecka na naukę gimnazjalną. Nierzadko zdarza-

ło się, że w rodzinie, gdzie było więcej niż jedno dziecko, tylko najzdolniejsze wysyłano do szkoły średniej. Nie mówiąc już o studiach wyższych, dostępnych tylko dla dobrze sytuowanych rodzin. I oto w 1945 roku przed polską młodzieżą otworzyły się możliwości bezpłatnego pobierania nauki na poziomie średnim i wyższym. Dla młodego pokolenia Polaków był to dar niezwykły. Z entuzjazmem toczyły się dyskusje wśród maturzystów zastanawiających się nad wyborem kierunku dalszej nauki – a wszystkie były nieodpłatnie dostępne. Jako maturzysta z pierwszych lat powojennych mogłbym o tym bardzo długo mówić.

A wielkie dzieło odbudowy Warszawy. Oto fragment z listów Marii Dąbrowskiej:

„Ponieważ Warszawa była zniszczona w 90 procentach, my przebywający tutaj dalecy już jesteśmy od jej dawnej postaci. Polska jest jedynym z krajów zniszczonych, który mimo całej swej biedy pozwolił sobie na luksus odbudowania wszystkich niemal zabytków. Wielka w tym zasługa Stanisława Lorenza, a więc Stare Miasto warszawskie i Nowe Miasto, Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat są takie jak były, a nawet piękniejsze, bo znikły wtręty budowanych tu i ówdzie secesyjnych czynszówek. Odbudowano wszystko wedle dawnych rysunków jak było, zakończono też odbudowę starych murów i barbakanu rozpoczętą przez Stefana Starzyńskiego. Jednocześnie wnętrza starych kamienic zostały unowocześnione. Słowem, nigdy nie można dość się nazachwycić tą całą dzielnicą³.”

I jeszcze jedno pochodzące z tamtych czasów świadectwo, jak Polacy przeżywali kolejne kroki w odbudowie kraju i Warszawy. Maria Dąbrowska w liście z 31 lipca 1952 roku:

„Warszawa co roku w dniu 22 lipca dostaje wielki prezent urbanistyczny. W tym roku architekci i robotnicy budowlani ofiarowali nam piękny plac MDM (Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej [...]) Znajduje się on na miejscu dawnych ruin między Wilczą i Śniadeckich, gdzie Marszałkowską poszerzono do wymiarów obszernego prostokąta. Jakże żałuję, że Pan nie może zobaczyć tego placu. Jest godny każdej z wielkich europejskich stolic. Mimo że grymasi się nad tymi lub owymi szczegółami, a wymagania nasze i ambicje ciągle rosną. Warszawa będzie naprawdę wspaniałym miastem. Nie umiem też Panu wypowiedzieć, jak precudnie wypadła odbudowa zabytków [...]. Nowy Świat i Krakowskie, na które patrząc w 45 roku, niby na wawóz gruzów i śmieci myślałam z przerażeniem, że to na zawsze utracone, nigdy nie były tak piękne i czyste w swym stylu 17-to i 18-to wiecznym, jak teraz⁴.”

Wreszcie kwestia książki. Po wojnie mieliśmy w tej dziedzinie przerażające straty. Biblioteki, a nawet księgozbiory prywatne były z znacznej mierze zniszczone i kluczową sprawą było odbudowanie tych zasobów. W 1946 roku powstał Państwowy Instytut Książki, który miał na celu badanie czytelnictwa i troskę o wydawanie klasyków, by te dzieła mogły być dostępne szerokim rzeszom czytelników. W tym celu zawieszono specjalnym dekretem prawa autorskie kilku pisarzy, od których śmierci nie upłynął jeszcze czas, który by powodował

2 Maria Dąbrowska Jerzy Stempowski *Listy*, tom II 1954-1958. Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk, Warszawa 2010, s. 50-51.

3 Tamże, t. III, s. 347.

4 Tamże, t. I, s. 318.

ich wygaśnięcie. Bez tego nie można by wydawać wielu kluczowych arcydzieł, jakie powstały w początkach XX wieku czy w okresie międzywojennym. Nie można by wydawać autorów Młodej Polski, Żeromskiego, Reymonta i innych.

Także w 1946 roku ukazuje się dekret o bibliotekach. O stworzenie podobnego prawa upominali się działacze oświatowi jeszcze w latach dwudziestych. Wszystkie państwa sąsiednie wokół nas takie ustawy miały. W Polsce mimo starań nie zdołano tego dokonać do 1939 roku. Dopiero w 1946 roku stworzono rzeczywistą sieć bibliotek w całym kraju.

Przed polskimi pisarzami stało zadanie opisanie niemieckich zbrodni w całym ich wymiarze. Już w czasie okupacji zastanawiano się, jakim głosem odezwie się po wojnie literatura polska, by dać ich skuteczne świadectwo. Jedni uważali, że po tych oświadczeniach będzie możliwy jedynie nieartykułowany krzyk, inni, że literatura polska zaniemówi wobec grozy, jaką naród miał za sobą. Z przerażonego zdumienia, jaki los zgłodził ludziom powstały *Medaliony* Nałkowskiej, z osobistych doświadczeń obozowych – pozbawiona wszelkich złudzeń proza Tadeusza Borowskiego. Opowiadania Adolfa Rudnickiego poddane rytmowi biblijnej narracji są jakby modlitewnym lamentem nad tragedią narodu żydowskiego. Tadeusz Różewicz dokonał prostego, a zarazem niezwykle odkrycia. Proste, czyste słowa wypowiedziane ze ściśniętym gardłem okazały się najlepszym sposobem wyrażenia doświadczeń ludzkich z lat wojny i okupacji niemieckiej. Dzieła tych twórców weszły do światowego kanonu literatury poświęconej drugiej wojnie światowej.

W latach czterdziestych Polska wraz z Europą Zachodnią odkrywała Amerykanów. Plejadę pisarzy: Ernesta Hemingwaya, Johna Steinbecka, Johna Dos Passosa, Williama Faulknera, Erskine'a Caldwell. Korespondencje prasowe z Paryża donosiły nie o tym, co się dzieje w kulturze francuskiej, lecz o tym, jak Francja przyjmuje literaturę amerykańską.

Pomyślny rozwój został przerwany i zamrożony politycznymi konsekwencjami decyzji podjętych na konferencji Biura Informacyjnego Partii Komunistycznych i Robotniczych w Szklarskiej Porębie we wrześniu 1947 roku. Ale i w tym kilkuletnim, ponurym czasie, jaki wówczas nastąpił, w dziedzinie kultury sporo się zrobiło. Powstała sieć domów kultury, wydawano w masowym nakładach klasyków literatury polskiej i obcej. Oto świadectwo Marii Dąbrowskiej z 17 września 1953 roku: „Nigdy dotąd nie było takiej szansy dla klasyków [...] wszystko, co leżało w pyle bibliotek, jest dziś czytane i rozchodzi się w setkach tysięcy egzemplarzy”.⁵

Październik'56 był wielkim i skutecznym buntem przeciw ograniczeniom narzucanym Polsce w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych. Przyczynił się do rozszerzenia polskiej suwerenności, nawiązał przerwane w końcu lat czterdziestych kontakty z kulturą i literaturą światową, odrzucił pętający rozwój sztuki realizm socjalistyczny uwalniając ją od prymitywnych obowiązków propagandowych, co było wyjątkiem w całym obozie socjalistycznym, gdzie jeszcze przez długie lata obowiązywały kanony socrealizmu, co mogłem obserwować uczestnicząc w konferencjach

literaturoznawczych w Moskwie, Berlinie, Pradze, Budapeszcie i Warszawie. Znacznie rozszerzył wolność słowa. Jerzy Stempowski pisał: „Oto główne wrażenia z lektury czasopism: od października prasa krajowa jest równie wolna jak prasa na zachodzie z tą różnicą, że ta ostatnia jest pozbawiona wszelkiego napięcia i przez to bezbarwna, mdła. Wolność słowa wydaje się skrajnym osiągnięciem październikowego przewrotu, realizacją niemal w 100% aspiracji piszących i czytelników”⁶.

Wprawdzie nie udało się utrzymać wszystkich zdobyczy Października, ale też nigdy nie był już możliwy powrót do klimatu przedpaździernikowego. Wszystkie środowiska twórcze – naukowe, literackie, teatralne, kabaretowe, muzyczne, dziennikarskie nie bez trudności powodowanych przez zakusy autorytarnej władzy politycznej, utrwały zakres uzyskanych swobód swojej działalności. Nierzadko, dzięki wybitnym osiągnięciom i utrwaleniu swego autorytetu zdołały nawet te granice okresowo poszerzać. Ten pełen napięć proces wyznaczony jest między innymi takimi trwałymi zjawiskami polskiej kultury jak polska szkoła filmowa – obrazy Andrzeja Wajdy, Andrzeja Munka, Jerzego Skolimowskiego; kino moralnego niepokoju – filmy Agnieszki Holland, Krzysztofa Kieślowskiego, Feliksa Falka; rozwijające się liczne kabarety i teatry studenckie, kultura młodej inteligencji w kręgu „Studenta”, Teatru STU, twórczość Nowej Fali. Sukcesy polskiego teatru. Sprzyjał temu rozwijający się w łonie partii sprawującej władzę, Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nurt demokratyczny i reformatorski doprowadzający do Okrągłego Stołu i do przejścia od ustroju autorytarnego do demokracji parlamentarnej.

Niedawno ukazała się książka zatytułowana *Polska Ludowa*⁷. Książka ważna, interesująca, aczkolwiek wiarygodność obydwóch rozmówców nie jest jednakowa. Andrzej Werblan wieloletni, wpływowy członek centralnych władz partyjnych wydaje się zbyt z siebie zadowolony. Dowiadujemy się, że pisał referaty Edwardowi Gierkowi. Można więc przypuścić, że brał udział w redagowaniu wytycznych na VIII Zjazd PZPR. Taki ich ślad zachował się w moich zapiskach dziennikowych:

Kraków 18 grudnia 1979

Wczoraj wieczorem zebranie partyjne Wydziału poświęcone wytycznym na VIII Zjazd PZPR. Dyskusja żywa i bardzo krytyczna wobec tego myślenia, które za nimi się kryje. Zupełne rozejście się wytycznych z realiami rzeczywistości, w której żyć nam przyszło.

Po takim zebraniu jest ciężko. Wychodzi się przynębionym beznadziejnością, bezcelowością spotykania się i dyskusowania.

Życie szybko potwierdziło zasadność tej opinii. Niebawem ze sceny politycznej musiał zejść Edward Gierk, z Biura Politycznego odszedł Andrzej Werblan.

Tytuł książki nie jest uzasadniony. Wprowadza w błąd. Polska Ludowa to coś znacznie większego, ważniejszego, donioślejszego niż przedstawione w niej polityczne i personalne gry na szczytach władzy.

MARIAN STĘPIEŃ

⁶ Jw., t. II, s. 186.

⁷ Modzelewski – Werblan, *Polska Ludowa*. Rozmawia Robert Walenciak, Warszawa 2017.

TADEUSZ IWŃSKI

DZIEJE PRL BYŁY POKAWAŁKOWANE...

Znajdujemy się w takim dziwnym momencie historycznym, w którym obecnie urzędujący prezydent RP, doktor praw Uniwersytetu Jagiellońskiego, powiada, że Zamek Królewski w Warszawie „odbudowali patrioci wbrew oporowi stawianemu przez komunistów”. Wicepremier, też z Krakowa, występuje z „genialnym” pomysłem, by rodzice mogli głosować w imieniu swoich możliwie licznych, nieletnich dzieci, a premier rządu oświadczył, że w ogóle Polski przez 45 lat nie było! Gdyby doliczyć do tego okres niemieckiej okupacji, to do trwających obecnie obchodów 100-lecia niepodległości brakuje nam połowy!

Jest to więc szczególny moment, aby odnośnie do okresu Polski Ludowej o kilku kwestiach przypomnieć. Również dlatego, iż – jak celnie ujął to Robert Walenciak we wstępie do swej ważnej książki *Modzelewski – Werblan Polska Ludowa: rozmawiamy o Polsce, której już nie ma, ale która głęboko tkwi w każdym z nas*.

Zacznę zatem od odwołania się do obowiązującej ciągle, wbrew różnym wysiłkom, ustawy zasadniczej, a mam do tego szczególne prawo, bo w pracach Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, która przygotowywała jej projekt uczestniczyłem przez cztery lata (1993–1997). I oto już w artykule pierwszym stwierdza ona, że „Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli” – jest to z jej 243 artykułów (pomijając preambułę) według mnie zdanie kluczowe. Pytanie, czy ten artykuł jest realizowany, pozostaje jednak otwarte i otwiera się coraz szerzej.

Gdy spojrzeć na te ukazane wyżej przykłady, to być może okaże się, że głównym wyzwaniem, z którym się dziś borykamy, jest arogancja połączona z ignorancją. Kiedyś ignorancji się ludzie wstydzili, dziś tego rodzaju zachowania na ogół służą celowym, politycznie ukierunkowanym łgarstwom. I nikt się ich nie wstydzi. Przy najmniej tego po sobie nie pokazuje.

Przedmiotem naszych rozważań jest więc historia. Tu przytoczę wyjątkowo celne stwierdzenie stosunkowo mało znanego słoweńskiego pisarza i reżysera filmowego Žarko Petana, że „historyk to kosmetyk przeszłości”, choć w tym przypadku „kosmetyk” jest określeniem zdecydowanie zbyt łagodnym. Trzeba by

mówić co najmniej o karykaturyzowaniu bądź wprost o wypaczaniu dziejów. Inne zdanie sformułowane przez wybitnego orientalistę, historyka religii i literata Ernesta Renana głosi, że „Talent historyka polega na stworzeniu prawdziwego obrazu z faktów w połowie fałszywych”. I tu zawsze pojawia się spór, które z minionych „faktów” są prawdziwe, a które fałszywe? Ja jestem absolwentem wydziału Chemii Politechniki Warszawskiej, ale choć potem zbłądziłem na bezdroża nauk społecznych, zwykłem trzymać się ścisłych danych.

Na początek przyjrzyjmy się temu, co jest dziś przedmiotem sporów – kategorii suwerenności, niepodległości i demokracji w okresie PRL. Polska Ludowa była bez wątpienia niepodległa – miała swoje barwy, wojsko, sejm, sądownictwo, szkolnictwo postawione na wysokim poziomie, znane w świecie dokonania naukowe, choć dziś są tacy, co i to kwestionują.

PRL nie była na pewno suwerenna – na skutek układów jałtańsko-poczdamskich. Zresztą poza „wielką trójką” i może jeszcze Francją, Szwajcarią, czy dwoma-trzema państwami skandynawskimi nie było w Europie państw *par excellence* suwerennych. Wszystkie były w mniejszym lub większym stopniu uzależnione od wielkich mocarstw. Obecnie też „suwerenność” ma nieco inny sens i kategorię tę w polityce państw powinno w wielu przypadkach raczej zastąpić pojęcie „współzależności”. Dziś suwerennych w klasycznym sensie jest tylko dziewięć państw posiadających broń nuklearną, może z wyjątkiem KRLD, która i tak w praktyce musi się konsultować z Chinami. W Polsce wojska radzieckie stacjonowały do 1992 roku, w Austrii tylko do 1955, a w Niemczech Amerykanie są obecni do dziś.

Pewnym wyrazem ograniczonej, ale przecież autentycznej suwerenności był np. plan Rapackiego z 1957 roku, a potem plan Gomułki dotyczący strefy bezatomowej w Europie, w pierwotnej wersji nie konsultowany z ZSRR. W warunkach dyskrecji wobec „wielkiego brata” toczyły się rozmowy, które doprowadziły do uznania granicy na Odrze i Nysie przez rząd Brandta w 1970 r.

Czy PRL była demokratyczna? Nie, na pewno nie była demokratyczna, choć na różnych etapach do demokracji się zbliżała. W większości krajów „obozu socjalistycz-

nego” istniał system jednopartyjny, w Polsce funkcjonował system wielopartyjny z partią hegemonistyczną, co oznacza, że pozostałe partie uznawały „rolę przewodnią PZPR”, choć niekoniecznie z własnej, nieprzymuszonej woli obywateli. W Szwecji niegdyś przez 44 lata nieprzerwanie rządziła partia socjaldemokratyczna, ale to był system wielopartyjny z partią dominującą, zaś inne partie zachowywały swą tożsamość polityczną i odrębne cele.

Pozostaje jeszcze określenie „komunizm” używane w ostatnich latach w walce politycznej w jednoznacznie negatywnym sensie, jakże odległym od marksistowskiego ujęcia. Podobnie jak „lewactwo” – obecnie używane przez siły prawicy w istocie jako obelga. W artykule 13 Konstytucji, dość mętnie zresztą napisanym, mówi się o „totalitarnych metodach i praktykach nazizmu, faszystów i komunizmu”. Tymczasem, jak wiadomo, KPP została rozwiązana przez Stalina, choć formalnie przez Komintern, 16 sierpnia 1938 r. i spośród jej działaczy przeżyli tylko ci, którzy akurat siedzieli w więzieniach sanacyjnych. Po wojnie w Polsce nigdy otwarcie nie używano w nazwie znaczącego ugrupowania określenia „komunistyczne”. Komunistyczne były partie w ZSRR, Bułgarii, Rumunii czy Czechosłowacji (w Czechach taka partia do dziś odgrywa liczącą się rolę).

Czy w Polsce był socjalizm? Też nie, bo zasada socjalizmu to „każdemu wedle pracy”, co w istocie w praktyce nie było realizowane, nie mówiąc już o komunistycznej zasadzie „każdemu wedle potrzeb”.

Czym była zatem przez 45 czy 44 lata Polska Ludowa? Bez wątpienia jej dzieje były pokawałkowane, nie czarno-białe, jak dziś się często twierdzi, powikłane. Od innych krajów „obozu socjalistycznego” różniła nas przede wszystkim prywatna własność ziemi, potem szczególna pozycja Kościoła rzymskokatolickiego, która miała różny charakter w różnych okresach, ale po roku 1956 obowiązywała zasada pokojowej koabitacji. Biskupi mieli, w przeciwieństwie do szerokich rzesz obywateli, stałe paszporty, gwarantujące ważne przywileje paszporty dyplomatyczne, a takiego boomu budowy kościołów, jak w Polsce po 1970 roku nie było chyba nigdzie na świecie.

I trzecia polska cecha specyficzna, to relatywnie duże otwarcia na świat. Oczywiście, pewna grupa opozycjonistów nie otrzymywała paszportów i nie mogła wyjechać, ale do tzw. KDL-ów (kraje demokracji ludowej) jeździło się masowo. Ciągłe wraca historia o tym, jak to Polacy zmuszani byli do prowadzenia „plecakowego eksportu”, bo wyjeżdżając za granicę mogli sobie kupić tylko 5 dolarów. Ale za Gierka to było już 100 dolarów, a potem nawet 130. Brak wymienialności polskiej waluty to nie tylko wina „komunistów”, ale też funkcjonowania przez blisko ćwierćwiecze „żelaznej kurtyny” także w kwestiach ekonomicznych. Warto wreszcie pamiętać o dużej aktywności gospodarczej polskich przedsiębiorstw i polskich obywateli w krajach tzw. Trzeciego Świata, w tym szczególnie w krajach arabskich. W wielu zakątkach świata Polacy budowali fabryki chemiczne czy cukrownie, w Libii drogi i infrastrukturę, polskim dziełem był też generalny plan Bagdadu!

Gdy spoglądamy na periodyzację dziejów PRL, to rzuca się w oczy, że najslabiej opracowany, mimo starań IPN, jest okres do 1953 i potem do 1956 roku. Czymś zupełnie innym był dość dobrze znany okres „małej stabilizacji” po 1956 roku. Potem okres „realnego

socjalizmu” czy lata 80. – też różne w okresie stanu wojennego i po jego zawieszeniu, a potem po odwołaniu.

Ważny był rok 1968, pisałem o tym w „Przeglądzie”, w maju 2018 w tekście *Annus mirabilis*, choć nadal musi zdumiewać cały ciąg wydarzeń: od Praskiej Wiosny, przez Niemcy, paryski Maj’68 czy wreszcie całą serię zaburzeń w USA, głównie na uniwersytetach, ale nie tylko tam. Nawet w Meksyku. Polski Marzec’68 miał inny charakter, ale tamtym wydarzeniom bliższe były raczej polityczne zmagania w Polsce lat 1980-81.

Gdy odnosimy się do stanu wojennego, to często używa się po raz pierwszy zastosowanego do polityki 500 lat temu przez Niccolò Machiavellego włoskiego pojęcia *lo malo minore*, czyli mniejsze zło. Warto przypomnieć, że w Konstytucji PRL z 1952 roku nie było zapisu „stanu wyjątkowego”; teraz mamy takiego „stanu wyjątkowego” aż trzy rodzaje.

Jest chyba oczywiste, że wkroczenie do Polski wojsk radzieckich wspomaganych przez oddziały niemieckie (z NRD) i czechosłowackie, byłoby złem „większym” i nie ulega wątpliwości, że polska armia by walczyła. Taki *Annus mirabilis* to w warunkach polskich rok 1989, oczywiście „podprowadzony” wcześniej w latach ‘87 i ‘88. Ale co się musiało stać, by doszło do rozmów „okrągłego stołu” i łagodnej transformacji, która później w jakiejś mierze otworzyła drogę do przemian w Europie Środkowo-Wschodniej, procesu zjednoczenia Niemiec, a pośrednio rozpadu ZSRR oraz zakończenia zimnej wojny?

Zdecydowały trzy zjawiska – po pierwsze, ukształtowanie się demokratycznej opozycji, która oczywiście istniała już wcześniej, ale była słaba i pozbawiona oparcia w tym, co za lewicową tradycją nazywamy „masami”. Drugie, co najmniej równie ważne, to nurt reformistyczny w PZPR, obecny już w 1956 roku, który jednak umocnił się dopiero na przełomie lat 70 i 80. Ale to wszystko było za mało.

Lech Wałęsa, któremu zasług nie można odmawiać, mówi: „ja obaliłem komunizm”. Bez względu na to czy przeskoczył płot, czy został dowieziony do stoczni motorówką, ważną rolę odegrał. Jednak bez fundamentalnych zmian w Związku Radzieckim nie tylko on, ale i Jan Paweł II oraz opozycja nie zdołaliby uruchomić procesu przemian na taką skalę. To było trzecie, przesądzające zjawisko we wspomnianej triadzie.

Uważni obserwatorzy radzieckiej sceny polityczno-społecznej mogli zauważyć wiele symptomów dziejącego się także i tam ważnego procesu destrukcji systemu. Mogły to być popularne także w Polsce piosenki Wysockiego czy Okudźawy i śpiewane przez nich teksty innych radzieckich dysydentów, a przede wszystkim przegrywana i ostatecznie przegrana wojna w Afganistanie, trwająca niemal całą dekadę, która miała podobne skutki jak wojna rosyjsko-japońska w 1904 r., bo podważyła powszechne dobre samopoczucie i przekonanie o niezwyciężonej sile ZSRR.

Przez wiele lat byłem związany z Radą Europy w Strasburgu i tam poznałem urzędnika w jej Zgromadzeniu Parlamentarnym, który dopiero po wielu latach mi się zwierzył, że pracując w aparacie KPZR pełnił niezwykle funkcję – sekretarza komitetu pogrzebowego trzech kolejnych sekretarzy generalnych KPZR – Leonida Breżniewa, który zmarł w 1982 r., później Jurija Andropowa i wreszcie Konstantina Czernienki. W ciągu dwóch lat zmarło trzech najważniejszych lu-

dzi w ZSRR, nim pojawił się na scenie Michaił Gorbaczow.

Przebywałem krótko kilka razy w Kraju Stawropolskim na Kaukazie, gdzie Gorbaczow był sekretarzem partii w jednym z obecnie 85, jak to się dziś nazywa, „podmiotów federacji”. To tam do ośrodków wypoczynkowych i na leczenie przyjeżdżała cała gerontokracja z Moskwy. Tam Gorbaczow został zauważony i Andropow zaproponował, żeby został on najpierw sekretarzem KC do spraw rolnictwa, potem gospodarki i wreszcie, jako młodą „gwiazdę”, wybrano go w 1985r. na sekretarza generalnego KC KPZR.

W istocie to nie Gorbaczow był pomysłodawcą czy autorem polityki *glasnosti* (jawności) i *perestrojki* (przebudowy), lecz ekonomista prof. Aleksander Jakowlew, którego przywódca radziecki poznał w trakcie wizyty w Kanadzie, jako ambasadora ZSRR (potem pełnił ważne funkcje partyjne). Jednak gdyby nie Gorbaczow, który był kluczowym realizatorem *perestrojki*, cały proces przemian mógłby się nie udać, a pamiętać też musimy m.in. o puczu wiceprezydenta Giennadija Janajewa w sierpniu 1991r., który mógł się udać, co by doprowadziło zapewne do cofnięcia tego procesu, tak w ZSRR, jak i w innych krajach.

Co nam dziś zostało z PRL? Zostają ludzie w mniejszym lub większym stopniu postopionowani przez obecny *mainstream* i rządzących od 3 lat. Pozostaje też pamięć o industrializacji, o reformie rolnej, o walce z analfabetyzmem, o odbudowie kraju po wojnie i zagospodarowaniu Ziemi Zachodnich; o tym, że Polska, której terytorium i tak zmniejszyło się o 80 tys. km kwadratowych, była potwornie zrujnowana. Z innych rzeczy – pozostaje stalinizm i destalinizacja, odbudowa Warszawy, Światowy Festiwal Młodzieży, na wzór którego Jan Paweł II zorganizował swoje spotkania młodzieży, Październik 1956, otwarcie na Zachód, mały Fiat czy karnawał „Solidarności”. W pamięci mamy rzeczy przykre i tragiczne – okres stalinizmu, stalinowskie procesy, wyroki i morderstwa sądowe, wydarzenia na Wybrzeżu, stan wojenny itd.

I wreszcie my zostaliśmy jako ludzie, bo my wszyscy w różnym stopniu spełniamy przesłanie zawarte w takim francuskim powiedzeniu, które bardzo lubię – *On reviens toujours a ses premiers amours* („zawsze się wraca do pierwszych miłości”), bowiem PRL to była dla nas Ojczyzna i *volens-nolens* pierwsza miłość.

Co ja sam zapamiętałem ze stalinowskiej epoki? Jako dziecko mieszkalem w Piastowie pod Warszawą (dziś to jest już *de facto* część stolicy) i przechodząc w przyspieszonym trybie jako sześciolatek z klasy pierwszej do drugiej, bo już umiałem czytać i pisać oraz znałem się na zegarze, musiałem zdać egzamin „polityczny”. Pokazano mi na szkolnym korytarzu trzy portrety – rozpoznałem Stalina, Bieruta, ale potknąłem się na Cyrankiewiczu. Skoro jednak rozpoznałem dwóch, to egzamin uznano za zaliczony. Spotkałem się nawet po latach z Józefem Cyrankiewiczem, kiedy był już „tylko” prezesem Ogólnopolskiego Komitetu Obronców Pokoju i opowiedziałem Mu tę historijkę. Wtedy też zauważyłem, że na jego łysinie, która przez ponad 20 lat premierowania w PRL była znana niemal całemu światu, odrastają włosy! Czy to był jakiś symbol?

Jak widać, różne rzeczy i rozmaite wspomnienia z czasów Polski Ludowej – tak przecież wewnętrznie zróżnicowanych – niemal każdy z nas może w jakimś stopniu odnosić do dnia dzisiejszego.

* * *

Na koniec garść uwag z różnych „koszyków”. Być może SLD zaniedbał walkę o historię, ale niech będzie dla lewicy pewnym usprawiedliwieniem fakt, że koncentrowaliśmy się najpierw na wprowadzeniu Polski do NATO, a potem do Unii Europejskiej na możliwie najlepszych warunkach. Trzeba jasno powiedzieć, iż problemem numer jeden dla Polski wciąż pozostaje likwidacja luki cywilizacyjnej, jaka nas dzieli od państw wysoko rozwiniętych, choć znacząco ona w ciągu prawie trzech minionych dekad zmalała. Pomijam w tym miejscu nadal wyraźne zróżnicowania regionalne poziomu wewnętrznego rozwoju.

Ale z porównaniami trzeba zawsze uważać, bo analogie nierzadko zawodzą, a kwestia prezentyzmu obecna w wielu naszych dyskusjach jest bardzo niebezpieczna. Dwadzieścia pięć, może nawet 30 lat temu napisałem, że losy świata rozstrzygną się poza Europą i Stanami Zjednoczonymi. Wtedy to było jeszcze dość oryginalne i świeże. Dziś widać to wyraźnie – niemal wszyscy patrzymy na Azję.

Mawialiśmy przed laty żartobliwie, że Polska Ludowa to „najweselszy barak w obozie socjalizmu”. I rzeczywiście tak było, gdyż tylko nasz kraj i Jugosławia za Tito w pewnych okresach zachowywały pewną, dość daleko idącą niezależność, ale też odrębność mentalną, w porównaniu do takich państw jak Rumunia, Węgry, Bułgaria, Czechosłowacja czy NRD.

I tu pojawia się pytanie, nieco *ex post* także na tle doświadczeń chińskich ostatnich lat – czy przypadkiem już w epoce Gierka nie rodziła się nad Wisłą koncepcja mająca swoje podłoże w teorii konwergencji ustrojów. A bardzo upraszczając – w relacjach dwóch ustrojów mogą wystąpić trzy główne warianty: 1) albo socjalizm zastąpi kapitalizm (jak działo się to np. przez kilka dekad w

Europie Środkowo-Wschodniej), 2) albo kapitalizm – socjalizm, co właśnie od końca „zimnej wojny” oglądamy w naszym regionie 3) albo wreszcie dojdzie do jakiejś syntezy. Pytanie tylko, czy będzie ona polegała na wzięciu najlepszych elementów z obu systemów, czy stanie się sumą cech najgorszych? Jak się wydaje, np. Chiny XXI stulecia zdają się być przykładem konwergencji pozytywnej, gdyż z jednej strony zachowano kontrolę polityczną dziewięćdziesięciomilionowej KP Chin nad społeczeństwem, a zarazem przeprowadzane są głębokie reformy gospodarcze w duchu bardzo kapitalistycznym i wolnorynkowym. Podobnie dzieje się np. w Wietnamie.

Wielu z nas pamięta anegdoty o Radiu Erewań. Z reguły pytania słuchaczy i odpowiedzi radia były purnonsensowe, ale jedna daje do myślenia. Słuchacz pyta: „Jak wyjść z sytuacji bez wyjścia?” A odpowiedź brzmi (w rosyjskim oryginale jest to jeszcze barwniejsza gra słów): „Przepraszamy, drogi słuchacz, ale nie zajmujemy się tematyką polską. Otóż w sumie okazało się, że z tamtej, niezwykle skomplikowanej sytuacji – także w aspekcie międzynarodowym, w jakiej znalazła się w swojej finalnej fazie Polska Ludowa – udało się wyjść pokojowo i racjonalnie, zwłaszcza dzięki porozumieniu w obradach Okrągłego Stołu. Czy w obecnej – wewnętrznie nader powikłanej, ale na szczęście nie aż tak dramatycznej naszej sytuacji da się znaleźć również pozytywne rozwiązanie, to już zupełnie inna kwestia.

TADEUSZ IWŃSKI

ZBIGNIEW SIEMIĄTKOWSKI

ZA CO MOŻNA DZIŚ ROZLICZAĆ LEWICĘ?

Formalnie rzecz biorąc, Polska Rzeczpospolita Ludowa rozpoczęła się wraz z przyjęciem w 1952 roku nowej konstytucji, w rzeczywistości nowy system instalowany był od 1944 roku. Nieraz zadaję sobie pytanie, czy Polska miała jakąkolwiek szansę stać się w 1944 roku inną Polską niż ta, która trwała przez następnych 45 lat? Nie będzie myślał odkrywczą stwierdzenie, że nie mieliśmy na to żadnych szans. Mogło być tylko gorzej.

W sytuacji, gdy na dziesięciu żołnierzach Wehrmachtu poległych w II wojnie światowej ośmiu zginęło na froncie wschodnim i Armia Czerwona przyjęła na siebie cały główny ciężar walki z III Rzeszą, nikt w ówczesnym świecie nie mógł sobie pozwolić na jakikolwiek konflikt ze Związkiem Radzieckim. W dodatku, po amerykańskich doświadczeniach wojny na Dalekim Wschodzie, a dokładniej po doświadczeniu walk o wyspę Iwo Jima, gdzie zginęło 3 tys. żołnierzy amerykańskich, sztabowcy amerykańscy planowali desanty na Wyspy Japońskie na lata 1950-51 roku.

Szok, jaki przeżyła amerykańska opinia publiczna w wyniku strat w walkach o Iwo Jimę, nakazywał poważnie administracji waszyngtońskiej zastanawiać się, czy Amerykanie wytrzymają ogrom strat, jakich należy się spodziewać w walkach o Wyspy Japońskie. Notabene trzy tysiące poległych, które takie wrażenie zrobiły na amerykańskim społeczeństwie, to była dzienna norma zabitych na froncie wschodnim po 1943 roku. Myślenie, że w tych okolicznościach może

dojść do konfliktu pomiędzy sojusznikami pozbawione było wszelkich podstaw. Jakakolwiek próba doprowadzenia do konfliktu między aliantami zachodnimi a ZSRR nie miała żadnych szans powodzenia.

Niestety, polskie elity polityczne, zarówno krajowe jak i zagraniczne tego kompletnie nie rozumiały. To co nastąpiło w Jałcie, czy potem w Poczdamie, wynikało z faktu, że to Związek Radziecki, czyli Stalin, dyktować miał warunki, a alianci byli stroną słabszą i w praktyce – petentami w relacjach ze swoim wschodnim sojusznikiem. To im zależało na tym, by po zakończeniu działań wojennych w Europie ZSRR przerzucił wojska na Daleki Wschód. Zrobił to Żukow i wkrótce wojska radzieckie rozprawiły się błyskawicznie z Armią Kwantuńską w Mandżurii.

Polskie elity niczego nie rozumiały, ich myślenie rozmiękało się z politycznymi realiami. O tym, jak dalece w obłokach bujała polska myśl polityczna, i – co gorsza – polityczna praktyka rządu londyńskiego, Delegatury Rządu na Kraj i dowództwa Armii Krajowej, świadczy ogromny opór, jaki zapanował w tych kręgach po podpisaniu umowy Sikorski – Majski. Niedawno ukazała się książka Małgorzaty Szejnert o *Wyspie węzów*, czyli miejscu odosobnienia oficerów, którzy przeciwstawiali się linii politycznej aliantów i polityce rządu gen. Władysława Sikorskiego. Były tam osoby wybitne – byli premierzy, kilku generałów, łącznie około 400 czy 500 oficerów, ale widać, że oni używając słów Talleyranda niczego się nie nauczyli.

Realia tymczasem były niestety takie, że w Polsce mógł zaistnieć i zostać zainstalowany tylko rząd przyjazny dla ZSRR i realizujący interesy definiowane przez jego rację stanu. Sytuacja była podobna do tej, jaka zaistniała w Europie po Kongresie Wiedeńskim.

Nasze elity nie zauważały, że już za chwilę na ziemi polskiej wkroczy zwycięska Armia Czerwona. Dokładnie już w 1943 roku przewidywali taki rozwój wypadków niemieccy generałowie. Prawda ta docierała również do świadomości niektórych wyższych oficerów Komendy Głównej AK. We wrześniu 1943 roku szef oddziału II (wywiadowczego) KG AK płk Marian Drabik napisał wraz z gronem współpracowników memoriał pod tytułem *Bieżąca polityka polska a rzeczywistość*. Dokument ten jest mało znany, ale opublikował go w całości prof. Bułhak. Płk. Drabik rekomendował swoim przełożonym następujące rozwiązania: Po pierwsze, uznał, że Armia Czerwona po Stalingradzie i Kursku uzyskała trwałą inicjatywę strategiczną i nikt jej nie odbierze. Wkroczenie Armii Czerwonej na ziemi polskiej to kwestia czasu i Polska znajdzie się w sowieckiej strefie wpływów, czy nam się to podoba, czy nie. Alianci zachodni przyjęli zaś do realizacji podstawowe postulaty partnera rosyjskiego, że Polska znajduje się w radzieckiej strefie wpływów. To wszystko świadczy o dobrej analizie wywiadowczej pułkownika Drabika. Co to znaczy, że „przyjęli” według Drabika? To oznacza, że nasze „ziemie wschodnie” zostaną wcielone do ZSRR, a polskie czynniki polityczne na zachodzie tego faktu nie widzą i nie biorą pod uwagę. W związku z tym trzeba, postulował, podjąć odpowiednie decyzje w kraju.

Drabik namawiał Komendę Główną AK i Delegaturę Rządu na Kraj oraz reprezentację polityczną stronnictw i partii, aby „machnęła ręką” na polityków emigracji i podjęła samodzielną inicjatywę polityczną. Dalej zauważał, że błędem było zerwanie stosunków dyplomatycznych z Moskwą po sprawie katyńskiej. Zadziały emocje, pisał, oczywiście uzasadnione, ale emocje to w polityce najgorszy doradca. Gdyby istniały stosunki dyplomatyczne, to natychmiast po wkroczeniu Armii Czerwonej na ziemi polskiej rząd mógłby się przenieść do kraju jako reprezentant legalnej władzy i trudno byłoby ZSRR nie respektować faktu, że jest to sojusznik naszych sojuszników, z którym ma się stosunki dyplomatyczne. Drabik i jego podkomendni postulowali natychmiastowe ponowne nawiązanie stosunków dyplomatycznych z ZSRR i pogodzenie się z faktem, że „ziemie wschodnie” są stracone i pozostają nam zabiegi o jak największą rekompensatę kosztem Niemiec. W dodatku Drabik zauważał, że prędzej czy później do tego dojdzie i jeśli „my” nie podejmiemy inicjatywy, przewidywał, to Stalin stworzy załóżki przyszłej władzy w Polsce w oparciu o Związek Patriotów Polskich, a w kraju – o komunistów z PPR.

Mówię o tym, by uprzytomnić wszystkim, że także w części obozu londyńskiego były przejawy realistycznego myślenia. W efekcie jednak Drabik został zdymisjonowany, wysłany na przymusowy urlop, a myślący podobnie szef Oddziału I (operacyjnego) KG AK, płk Tatar wysłany do Londynu. Na jego miejsce przychodzi generał Leopold Okulicki, wokół którego jest zresztą sporo niejasności. W miesiąc póź-

niej w tajemniczych okolicznościach płk Drabik został zadenuncjowany gestapo i stracony przez Niemców. W tym samym czasie dokonano zabójstw współpracowników płk. Rzepeckiego z Biura Informacji i Propagandy KG AK. Ginie zamordowany przez bojówkę Sudeczki docent Handelsmann, inżynier Makowiecki, a profesor Manteuffel ukrywać się musiał do końca wojny przed zabójcami. Do dnia dzisiejszego nie wiadomo, kto zlecił te zabójstwa.

Oczywiście nierealne były oczekiwania polskich kręgów politycznych, by zachodni alianci dostosowali się do polskiej racji stanu, w dodatku definiowanej według przedwojennych kryteriów – łączenie z oczekiwaniami przywrócenia granicy wschodniej II RP. Naiwne było myślenie, że po hekatombie II wojny światowej, ktoś na Zachodzie zaryzykowałby konflikt zbrojny w obronie suwerenności Polski. Zapomniano, że stara imperialna zasada głosiła, iż Wielka Brytania nie ma „wiecznych przyjaciół” tylko „wieczne interesy”, a romantyzm czy emocje to ostatnia rzecz, której powinno używać się w polityce. Chwilowa przewaga, jaką USA zyskały po Hiroszimie, nie miała nigdy decydującego znaczenia dla sprawy polskiej.

Tymczasem zaistniała bardzo podobna, wręcz bliźniacza sytuacja do tej, z jaką mieliśmy do czynienia po Kongresie Wiedeńskim 1815 roku. Tam wtedy dyktowała warunki Rosja, czyli Aleksander I. Gdyby kierować się tym, co na kongresie mówili Austriacy czy Prusacy, Królestwo Polskie nigdy by nie powstało. Utworzenie Polski było suwerenną decyzją Aleksandra I, który chciał na polskich terenach drogą eksperymentalną sprawdzać swoje liberalne koncepcje z myślą o ewentualnym wprowadzeniu ich w Rosji. Podobieństwo jest tym większe, że terytorialnie Królestwo Polskie obejmowało w większości tereny byłego zaboru pruskiego, a Polska Ludowa została przesunięta na zachód także na tereny wcześniej należące do Niemiec. I w tym kontekście trzeba patrzeć na rolę polskiej lewicy.

Chętnie mówimy, że przeszłość należy oceniać w sposób racjonalny. Ale gdy spojrzeć na powódź tego, co wychodzi spod piór autorów z kręgów IPN na temat Polski Ludowej i na to, co się pisze w prawicowej publicystyce, i mówi w mediach publicznych, to racjonalnego myślenia jest tam niewiele.

Jestem w tej sprawie bardzo pesymistyczny, bo to zwycięzcy piszą historię, a kompletnie ahisteryczny kult „żołnierzy wyklętych” zapoczątkował przecież nie PiS, a PO i pan prezydent Bronisław Komorowski. Ta narracja wykrzywiająca historię PRL prezentowana jest też w szkole i pozostanie w świadomości pokoleń. Od kilkunastu lat mam do czynienia z młodzieżą przygotowywaną przez szkołę średnią i staram się, na ile to możliwe, prostować ten kompletnie absurdalny obraz historii Polski. Widzę, jakie spustoszenia czyni oficjalna wykładnia dziejów najnowszych, która traktuje PRL jako „czarną dziurę” w historii Polski. Ci, co opowiadali się za Polską Ludową, to oczywiście „zdraycy”, a poza garstką sprzedawczyków całe polskie społeczeństwo przeciwstawiało się heroicznie „komunie”. Taką wizję PRL przedstawia przeciętny kandydat na studia, bo tak jest uczony, a do tego dochodzi swoisty oportunizm uczniów i studentów, bo lepiej prezentować poglądy rządzącej większości.

To zresztą nic nowego. Istnieje pogląd, że w miarę upływu czasu obraz PRL będzie się zmieniał, tak jak zmieniał się obraz II RP, która wbrew oficjalnej propagandzie obrastała mitem. Jednak ten „mit” nie był zjawiskiem przypadkowym czy wynikiem „rodzinnej pamięci”. Po 1926 roku piłsudczycy konsekwentnie budowali kult Marszałka, objęli go oficjalną, prawną ochroną! Przekonał się o tym profesor Cywiński w Wilnie pobity przez oficerów i skazany przez sąd za nazwanie Marszałka megalomanem.

Polityka historyczna sanacji wymazała całą plejadę ludzi, zdarzeń, formacji, które miały wielki, wiekopomny udział w odrodzeniu Polski w 1918 roku. Wygumkowano socjalistów, ludowców, wymazano z historii Daszyńskiego, Moraczewskiego, Witosa, Korfatego, Hallera, nie ma w niej miejsca dla Rozwadowskiego czy Zagórskiego. Dzisiejszy obraz II Rzeczypospolitej funkcjonujący w powszechnej świadomości, to zwyczajstwo sanacji z za grobu.

Lewicę i komunistów można dziś w Polsce rozliczać za jedno – na ile potrafili w tamtym okresie zrozumieć, że są gwarantem utrzymania tego maksimum, jakie można było osiągnąć. Na jednym biegunie będzie więc Władysław Dworakowski. Andrzej Werblan przytacza taką rozmowę podczas kryzysu sierpniowego 1948 r. Dworakowski pyta Gomułkę: „Dlaczego Władek tak się stawiasz, dlaczego nie chcesz tego Biura Informacyjnego? Przecież radzieccy towarzysze znów nam ufają, znów chcą nas przygarnąć do siebie!” Innym razem, gdy oglądali razem makietę odbudowywanego budynku sejmu, Dworakowski pytał: „A po co te orły? Przecież mamy być siedemnastą republiką, więc może lepiej od razu gwiazdy?”

Być może krzywdzę Dworakowskiego, prostego robotnika, który, gdy przez kilka miesięcy był szefem Komitetu do Spraw Bezpieczeństwa i miał okazję poznać metody UB – rzucił to wszystko i poszedł do fabryki, by do końca życia pracować jako tokarz. Na tym samym biegunie ideowym była znana w Krakowie postać – dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej Władysław Wolski-Piwowarczyk. Odsiedział swoje na Kofymie, ale w czasach PRL chodził do ambasady radzieckiej z ordynarnymi donosami na Bieruta, Bermana i Minca zarzucając im polski nacjonalizm, czy wręcz szowinizm. Dawało to zresztą tej grupie rządzącej alibi – zobaczcie, jacy ludzie doszliby do władzy, gdyby nas nie było!

Myślenie grupy, którą symbolizują te dwa nazwiska, ma zresztą swoją kontynuację. Nie wiem czy I sekretarz KC PZPR Wojciech Jaruzelski wiedział, że nad jego gabinetem, na trzecim piętrze gmachu urzęduje kierownik Wydziału Administracyjnego KC PZPR, tow. Michał Atlas, gotowy przyjąć bratnią pomoc. Posiadamy dziś dokładny zapis jego rozmów z radcą politycznym ambasady NRD – oficerem Stasi. Oczywiście zapis ten przekazywany był niezwłocznie Erichowi Honeckerowi, są na nim odręczne notatki szefa SED. W ten sposób reprezentowane przez Atlasa poglądy pewnej grupy w PZPR kształtowały też opinię szefa NRD. To jest absolutna targowica – donoszenie na Jaruzelskiego, Kubiaka, na „zdrajców”, wskazywanie na „zdrowe siły” z tow. Grabskim, Olszowskim, Żabińskim i powtarzające się pytanie: „dlaczego nam nie pomagacie”? Jest oczywiste, że

gdyby ostatecznie doszło do interwencji, to znalazłby się „komitet powitalny”.

W moim przekonaniu, gdy się ocenia PRL i lewicę w PRL, to konieczne jest przyjęcie takiego punktu widzenia – w jakim zakresie, w miarę realnych możliwości, rządzące elity PZPR działały na rzecz poszerzenia marginesu swobody, suwerenności, ile wpuszczano powietrza, w jakim stopniu godziły się z serwilizmem wobec „wielkiego brata”. Profesor Andrzej Skrzypek w trzech swoich świetnych książkach o stosunkach polsko-radzieckich postawił interesującą tezę, że do 1956 roku byliśmy protektorem ZSRR, a po 1956 r. – uzyskaliśmy autonomię i w ramach tej autonomii staraliśmy się posuwać tak daleko, jak to było możliwe, przygotowując grunt do wybicia się na niepodległość, oczekując na zmianę koniunktury międzynarodowej.

Ostatecznie Polska Rzeczpospolita Ludowa była, jaka była, ale w tejże PRL ukazywały się takie tygodniki jak „Nowa Kultura” (drukowała głośny poemat Ważyka), „Po prostu”, „Przegląd Kulturalny”, „Kultura”, „Polityka”, „Życie Literackie”, „Forum”, kilka pism katolickich o zróżnicowanym profilu od „Tygodnika Powszechnego” po PAX-owskie „Kierunki”. Znany był, także poza Polską, „Przekrój”, który w ZSRR czytano z wypiekami na twarzy. Były to pisma czytane, rozchodzące się w setkach tysięcy egzemplarzy, co jest bez wątpienia dowodem na autentyczność ówczesnego obiegu informacji. Do tego warto pamiętać o polskiej szkole filmowej, o filmach Wajdy, Munka, Kawalerowicza. Z drugiej jednak strony, gdy się czyta protokoły z różnych politycznych posiedzeń i zdarzających się tam wystąpień, to ręce opadają.

W sumie, była to więc trwająca dziesięciolecia szarpanina między marzycielami szukającymi socjalizmu, który „da się lubić” i byłby, jak to mówił Seweryn Blumsztajn, takim „fajnym socjalizmem”, realistami jak Rakowski i takimi, którzy twierdzili, że powtórzę za przedwojennym premierem Sławojem-Składkowskim: „Byczo jest!” Ten sposób myślenia i dziś jest obecny na lewicy, gdyż wielu uważa, że w PRL było „byczo”. Nie było „byczo” i musimy sobie z tego zdawać sprawę.

Nikt z moich studentów nie był w stanie odgadnąć, kto powiedział w latach 60.: „Komuniści polscy są dziś nie czym innym, jak reprezentantami polskiej mentalności wschodniej. Całe to szczęście dla Polski, że Stalin nie zdążył wygubić ich wszystkich w 1935 roku i że znaleźli się w Polsce ludzie, którzy mogli dzielić wspólność politycznego języka i zacząć jakąś konstruktywną politykę z Rosją. Oni stali się realizatorami w dziedzinie kierunków sojuszków i przekształceń terytorialnych w Polsce w idei Dmowskiego. Historia przyznała tu rację geopolityczną nie Piłsudskiemu, lecz właśnie Dmowskiemu, a następnie komunistom”. Ta wypowiedź to list Stefana Kisielewskiego do paryskiej „Kultury” opublikowany 24 stycznia 1962 roku. Dalej ten sam autor pisze: „Oburza mnie zawsze, gdy we wspomnieniach emigracyjnych oficerów czy polityków poniżany jest czy spotwarzany generał Berling. Wszakże fakt, że ten, z legionowych przecież wywodzący się formacji oficer, pozostał w Rosji i potrafił znaleźć wspólny język z komunistami, dla Polski ma większe znaczenie polityczne, a więc także praktyczne, bo polityka decyduje o praktyce, niż działalność

najbardziej bohaterów polskich z Zachodu”. To z kolei list do „Kultury” z 1963 roku. To jest dowód, że jeśli ktoś spokojnie, bez emocji popatrzy na dzieje PRL, dojdzie do wniosku, że w tamtych realiach nic innego nie mogliśmy zrobić poza tym, co zrobić się udało i jeśli mamy oceniać lewicę, w tym także PZPR, to pytanie powinno brzmieć: zdała egzamin, czy nie zdała? Poszerzała margines swobody, czy nie? Doprowadziła Polskę do momentu, gdy mogła wybić się na niepodległość?

Wypada też pamiętać, że to nasze „wybicie się na niepodległość” nie dokonało się tylko „wysiłkiem narodu” ani nawet Wałęsy, lecz było, tak jak w roku 1918, efektem przemian geopolitycznych. I jeszcze raz ten sam Kisielewski: „Polska musi okrzepnąć w nowych granicach. Obecna, przejściowa sytuacja jest dla kraju najkorzystniejsza z możliwych. Życzę Polsce, by w sytuacji międzynarodowej jak najdłużej nic się nie zmieniło. Czas pracuje dla nas i dla naszego nowego terytorium. Okrzepnijmy w nowym kształcie terytorialnym, doprowadźmy do tego, że Ziemia Zachodnie zostaną scalone z ziemiami pozostałymi, podnieśmy poziom ogólny kulturalny społeczeństwa, przeprowadźmy industrializację i doczekamy się tego, o czym marzył Mickiewicz – wojny powszechnej” – w tym wypadku zmian geopolitycznych i upadku ZSRR. Już nie „Jałty” tylko „Małty”, bo to tam, na Malcie zapadały decyzje, które doprowadziły do takich, a nie innych zmian i – przy całym szacunku dla „Solidarności” – gdyby nie to, co się stało w Związku Radzieckim, bardzo trudno byłoby nam się na niepodległość „wybijać”.

To Bismarck swego czasu powiedział, że „Politykę robi się z mapą w rękę” i z tej mapy lewica powojenna potrafiła wyciągnąć wnioski.

* * *

Do tego, co już powiedziano, chciałbym dodać jeszcze trzy punkty. Pierwszy, to ciągłość w polityce i takim przykładem może być Rosja, Związek Radziecki i Federacja Rosyjska. Mówiliśmy tu o „pierestrojce” i „głasności”. Pierwszy raz hasło „pierestrojki” padło w oficjalnej propagandzie rosyjskiej za cara Aleksandra II, który po wojnie krymskiej przejął stery państwa. „Głasność” to hasło ukute przez Ławrentija Berię w okresie między marcem a lipcem 1953 r., kiedy był praktycznie najważniejszym z trójki sprawującej władzę. Chodziło o otwarcie więzień, ukłony w stronę Zachodu, próbę handlu Niemiecką Republiką Demokratyczną. „Głasność” to była zapowiedź otwartego przyznania się do popełnionych przez Stalina błędów, zrzucenia na siebie odpowiedzialności.

Mało kto pamięta, że w czasie wojny domowej po stronie władzy radzieckiej walczyło więcej carskich generałów i oficerów, niż było ich u białych. Oczywiście, zadziałał tu dekret Trockiego, który powodował, że ich rodziny stały się zakładnikami, ale w dużej mierze dla znacznej części rosyjskich oficerów i generałów myśl bolszewicka była tą, która miała uporządkować imperium, przywrócić dawne przedrewolucyjne granice. To właśnie bolszewicy podjęli wysiłek zapanowania nad chaosem, jaki powstał po rewolucji lutowej, by pod innymi hasłami utrzymać w zasięgu Moskwy także inne narodowości.

W organach NKWD do 1937 roku znaczna część kadr to ci, którzy pracowali w carskiej Ochronie. To jest właśnie ciągłość państwa. Na tym opiera się „regime” Putina – to odwołanie się do ciągłości tradycji, w tym łączenie, np. w wojsku, carskich orłów z czerwoną gwiazdą, wszystko w tym celu, aby „wyjść z drugiej smuty”, jaka wytworzyła się po upadku Związku Radzieckiego.

PRL ma swoje białe, szare i czarne okresy. Traktowanie PRL jako 40 lat sukcesu jest błędem, bo nie jest prawdą, ale w dodatku jest też politycznie szkodliwe dla jakiegokolwiek formacji, która chciałaby się do tego odwoływać. Pewien młody historyk, Robert Spałek w książce *Komuniści przeciwko komunistom*, na tysiącu stronach opisał represje aparatu bezpieczeństwa w latach 1949–1953, czyli to co się zdarzyło po III plenum KC, po odsunięciu Gomułki. Odpowiedzialność za to spada na PRL i PZPR. Na PRL spada odpowiedzialność za to, że przywódca socjalistów Kazimierz Pużak zmarł w więzieniu PRL-owskim, w tym samym więzieniu zmarł generał Fieldorf, a z gmachu MBP wyrzucono z okna Anodę, uczestnika zamachu na Kutscherę. Tę listę można, niestety, wydłużać.

Gdy mówimy o PRL, musimy jednoznacznie powiedzieć, co było złe – to było złe, a co zbrodnie – to zbrodnie. Co jest warte kontynuacji i co jest warte obrony. Nie jest też prawdą bezdyskusyjną, że to tylko za sprawą PRL „masy ludowe” zyskały awans społeczny. Można sobie też przypomnieć, że w czasach świetności Uniwersytetu Jagiellońskiego więcej tu uczyło się synów „kmiaci”, synów chłopskich, niż w czasach PRL.

Nie mówiliśmy nic o gospodarce. Rzeczywiście, udał nam się plan trzyletni. Przy wielkich kosztach społecznych zrealizowano w ogólnych zarysach plan sześćioletni, ale lata 1960–1970 to okres stagnacji, wręcz czarnej dziury. Lata siedemdziesiąte to z kolei próba przeprowadzenia rewolucji menedżerskiej. Nieudana, bo nie mogła udać się odgórnie sterowana rewolucja przy zablokowanym systemie społecznym tłumiącym aktywność ludzką. Pełna katastrofa, to z kolei lata osiemdziesiąte.

Wielokrotnie zastanawiam się nad sukcesami PiS-u. Dlaczego jest to partia teflonowa, dlaczego do niej nic się nie przyczepia? Skąd się bierze to trwałe poparcie społeczne? I przypomina mi się przeczytana gdzieś fraza dotycząca „partyzantów” i Moczara, że być może oni wiedzieli coś o polskim społeczeństwie, czego my nie wiemy, albo wiedzieć nie chcemy? Że nasze społeczeństwo jest uczulone na pewien typ hasel czy argumentacji. Gdy się odwołujemy do „wolności”, do hasel „demokratycznych” i zapominamy o czymś, co to społeczeństwo chciało – by usłyszeć. To coś mówili im „moczarowcy”, a dziś głosi PiS. Choć teza ta jest dość dyskusyjna, warto o tym pomyśleć.

Także porażka ruchów reformatorskich w PZPR wynikała z faktu, że one zapomniały o narodzie, takim jaki on jest, ze wszystkimi swymi słabościami i kompleksami. Sądzi, że „wolność i demokracja” zastąpi rzeczywiste oczekiwania...

ZBIGNIEW SIEMIĄTKOWSKI

JERZY J. WIATR

POLSKA RACJA STANU W WARUNKACH ZIMNEJ WOJNY

Podstawowym obowiązkiem każdej władzy państwowej jest zapewnienie bezpieczeństwa państwu i jego obywatelom. Zrodzone w XVI i XVII wieku pojęcie „racji stanu” (obecnie coraz częściej zastępowane pojęciem interesu narodowego) odnoszone było i jest do tej właśnie roli władzy państwowej. Jak trafnie zauważa Friedrich Meinecke (1957), pionierem myślenia o państwie w kategoriach racji stanu był Niccolò Machiavelli, ale pełny wyraz koncepcja ta znalazła w pismach Thomasa Hobbesa (zwłaszcza w opublikowanym w 1651 roku „Lewiatanie”) oraz w polityce kardynała Armanda de Richelieu i w jego *Testamencie*. W wieku dwudziestym nastąpił renesans koncepcji racji stanu, stanowiącej trzon teorii „realizmu” w nauce o stosunkach międzynarodowych. Klasycy tego kierunku – Hans Morgentau (1951, 1954), George Frost Kennan (1957, 1960), Raymond Aron (1962), Henry Kissinger (1996) – podkreślali, że podstawowym zadaniem, a zarazem najważniejszym kryterium oceny działalności władz państwowych jest skuteczna obrona interesu narodowego rozumianego jako przede wszystkim zapewnienie państwu bezpieczeństwa.

W polskiej myśli politycznej pionierem podejścia realistycznego był Roman Dmowski, którego opublikowana w 1901 roku książka *Myśli nowoczesnego Polaka* zdecydowanie przeciwstawiała się tradycyjnemu „licze-

niu sił na zamiary” i postulowała oparcie polskiej polityki niepodległościowej na surowej ocenie sił własnych oraz możliwości, jakie stwarza sytuacja międzynarodowa (Dmowski 1907). Było to równoznaczne z odrzuceniem romantycznej wiary w to, że „chcieć to móc” i że o kierunku prowadzonej polityki powinny decydować racje moralne.

Na znaczenie dwóch nurtów – idealistycznego i realistycznego – w polskiej myśli politycznej i w polityce polskiej (od XVIII wieku) zwracał uwagę Adam Bromke w (napisanej w okresie jego działalności emigracyjnej) rozprawie, w której wyraźnie opowiadał się za stanowiskiem politycznego realizmu, choć zarazem akcentował potrzebę syntezy obu stanowisk. Co więcej, autor ten do nurtu realistycznego zaliczył politykę PZPR po przełomie październikowym (Bromke 1967: 107-112). Idąc podobną drogą w analizie wyzwań, przed którymi stała lub obecnie stoi polityka polska, za kluczowy przyjmuję punkt widzenia interesu narodowego (Wiatr 2012, 2013).

Realistyczna ocena działalności polityków wymaga uwzględniania kontekstu międzynarodowego, w jakim realizowana jest ta polityka. Kontekst ten to przede wszystkim relacja sił między własnym państwem a innymi państwami, zwłaszcza tymi, z którymi państwo ma stosunki szczególnie istotne, a także

ogólny kształt ładu międzynarodowego, w ramach którego państwo funkcjonuje. Na kontekst ten politycy mają niewielki wpływ, chyba że stoją na czele któregoś z najsilniejszych mocarstw. Nawet wtedy muszą jednak liczyć się z tym, jaki jest zastany układ sił. Tym bardziej politycy działający w państwach mniejszych i słabszych.

Taki punkt widzenia wydaje mi się szczególnie ważny obecnie, gdy w dominującej politycznej narracji historycznej dotyczącej okresu Polski Ludowej dominuje ahistoryczna ocena owego okresu i politycznie motywowana próba totalnego zdyskredytowania ówczesnej polityki. Aczkolwiek nie ulega wątpliwości, że na ocenę tego okresu muszą wpływać niejednokrotnie podnoszone – także przez autorów lewicowych – błędy i przewiny, to jednak kluczowe dla tej oceny pozostaje pytanie, jak w tym okresie realizowany był polski interes narodowy i jakie były rezultaty tej polityki.

Dylemat ograniczonej suwerenności

Odradzające się z pożogi drugiej wojny światowej państwo polskie skazane było na to, że nie będzie państwem w pełni suwerennym. Decydował o tym układ sił w obozie zwycięzców, a nie polityka któregośkolwiek ugrupowania polskiego. O powojennym układzie sił międzynarodowych decydowały dwie podstawowe okoliczności: wynik działań militarnych w Europie oraz intencje trzech głównych mocarstw zwycięskiej koalicji odnośnie do powojennego systemu międzynarodowego.

W pierwszej z tych kwestii kluczowe znaczenie miała polityka Stanów Zjednoczonych (i w mniejszym stopniu Wielkiej Brytanii, która była militarnie uzależniona od silniejszego sojusznika) w sprawie drugiego frontu w Europie. Oba te mocarstwa zwlekały z otwarciem drugiego frontu, licząc się z tym, że jego wcześniejsze otwarcie – gdy niemieckie siły zbrojne nie były jeszcze osłabione klęskami na froncie wschodnim – pociągnąć za sobą musiałyby znacznie większe straty ludzkie. Gdy ostatecznie wojska alianckie lądowały na południu Włoch, było już po klęsce niemieckiej w bitwach o Stalingrad i pod Kurskiem. Gdy nastąpiło lądowanie w Normandii, wojska radzieckie znajdowały się na przedwojennej zachodniej granicy ZSRR. Taka strategia wojskowa aliantów przesądziła o tym, że wojska sojuszników spotkały się w sercu Niemiec, a cała wschodnia część Europy znalazła się pod militarną kontrolą ZSRR.

Czy istniała możliwość zmienienia tego stanu rzeczy? Ujawnione niedawno brytyjskie tajne plany wojskowe z połowy 1945 roku zakładały zbrojne „odrzućenie” wojsk radzieckich i uwolnienie Polski spod radzieckiej kontroli. Plany te, opracowane na polecenie Winstona Churchilla, zostały zaniechane, gdyż okazało się, że sojusznicy zachodni nie mieli wystarczających sił, by pokonać Armię Radziecką, a Stany Zjednoczone zdecydowanie sprzeciwiały się takim zamysłom (Walker 2014). Zmiana wojskowego układu sił wymagałaby trzeciej wojny światowej, to zaś nie leżało w interesie głównych mocarstw zwycięskich.

O powojennym układzie sił w Europie decydowały bowiem nie tylko względy militarne, lecz także kalkulacje polityczne – zwłaszcza amerykańskie. Po-

litycy amerykańscy stali na stanowisku, że powojenny system międzynarodowy opierać się powinien na wzajemnym uznaniu mocarstwowych interesów zwycięzców, którzy wspólnie gwarantować mieliby światu trwały pokój. Henry Kissinger uważa, że „Organizacja Narodów Zjednoczonych mogła realizować wyznaczony cel tylko pod warunkiem, że stali członkowie mieli wspólną koncepcję porządku międzynarodowego” (Kissinger 2016: 264). Politycy kierujący Stanami Zjednoczonymi pod koniec wojny i w pierwszych miesiącach powojennych gotowi byli poświęcić interesy narodów środkowej Europy na ołtarzu porozumienia z ZSRR opartego na podziale stref wpływów. W odniesieniu do Polski zostało to przypieczętowane na konferencji jałtańskiej w lutym 1945, kiedy to Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zgodziły się uznać za legalny rząd polski nieznacznie tylko rozszerzony Rząd Tymczasowy, którego trzonem była Polska Partia Robotnicza i który powstał z przekształcenia Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Listkiem figowym tej decyzji było zobowiązanie nowego rządu do przeprowadzenia wolnych wyborów. Gdy odbyły się one w warunkach masowych fałszerstw i otwarcie stosowanego przymusu, mocarstwa zachodnie ograniczyły się do pozbawionej konsekwencji, bardzo łagodnej, krytyki. Zdarzały się protesty przeciw tej polityce – jak na przykład pierwszego ambasadora USA w Polsce po drugiej wojnie światowej Artura Bliss Lane (Bliss Lane 1948), ale na kierunek polityki amerykańskiej nie miały one żadnego wpływu.

Uzależnienie Polski od ZSRR było więc faktem niezależnym od tego, jak do tej sytuacji odniosą się politycy polscy. Rząd polski na uchodźstwie zdecydowanie odrzucał układ pojałtański, chociaż nieliczni jego członkowie, głównie z Stronnictwa Ludowego (zwłaszcza były premier Stanisław Mikołajczyk), podjęli skazaną na niepowodzenie próbę uczestniczenia w nowym rządzie i w zapowiadanych wyborach. W końcowej fazie wojny wyrazem desperacji władz polskich było podejmowanie działań skazanych na niepowodzenie, ale wpisujących się w dzieje polskiego bohaterstwa i martyrologii; najbardziej tragicznym wyrazem tej polityki było powstanie warszawskie. Ani poświęcenie stolicy i śmierć dwustu tysięcy jej mieszkańców, ani zbrojny opór partyzantki antykomunistycznej w pierwszych latach powojennych nie mogły zmienić położenia Polski. W ówczesnych warunkach międzynarodowych otwarty opór przeciw uzależnieniu Polski od ZSRR skazany był na klęskę. Dzisiejszy kult „żołnierzy wyklętych” ignoruje oczywisty fakt, że w istniejących wówczas warunkach ich walka – niezależnie od intencji – mogła jedynie pogorszyć położenie Polski i pogłębić jej zależność od wschodniego sąsiada. Trudno bowiem wątpić, że gdyby podziemie niepodległościowe zdołało sparaliżować działania nowych władz, efektem byłaby bezpośrednia interwencja radziecka, może nawet zrealizowanie się czarnego scenariusza wcielenia Polski do ZSRR. Mocarstwa zachodnie nic by w tej sprawie nie zrobiły, podobnie jak przeknęły aneksję Litwy, Łotwy i Estonii. W powojennych realiach Polska mogła zachować swą państwowość tylko jako państwo zależne od ZSRR.

W obozie rządzącym powojenną Polską główną siłą była Polska Partia Robotnicza, kierowana przez

przedwojennych komunistów, którzy w większości traktowali ZSRR jako „ojczyznę światowego proletariatu”, a w Stalinie widzieli najwyższy autorytet (Werblan 2009: 85). Byłoby jednak uproszczeniem traktowanie całej tej partii jako monolitu. W jej szeregach istniał nurt patriotyczny, wywodzący się głównie z szeregow ludzi zaangażowanych w działalność podziemną w okupowanej Polsce. Jego najważniejszym wyrazicielem był Władysław Gomułka, którego idea „polskiej drogi do socjalizmu” wyrażała nadzieję na to, że możliwe będzie realizowanie innego niż radziecki wariantu polityki socjalistycznej przebudowy i że w warunkach ograniczonej suwerenności możliwe będzie realizowanie polskiego interesu narodowego (Werblan 1988: 454-475). Podobne idee znacznie silniej i wyraźniej występowały w Polskiej Partii Socjalistycznej, między innymi w publicystyce jej czołowego teoretyka Juliana Hochfelda (Hochfeld 1946). Za polityką realizmu opowiadały się niektóre środowiska katolickie, zwłaszcza skupione wokół „Tygodnika Powszechnego”.

Realizm polityczny oznaczał dążenie do tego, by w granicach istniejących możliwości zmniejszać zależność Polski od ZSRR, rozszerzać ramy „ograniczonej suwerenności”, odbudować kraj. Zyskiwało to poparcie wielu ludzi, którzy po tragicznych doświadczeniach wojennych uznali, że patriotyzm nakazuje pracować dla Polski w takich warunkach, jakie zaistniały. Było to jednym z najważniejszych źródeł poparcia, jakie nowa władza uzyskała w części społeczeństwa polskiego. W miarę jak postępowała stabilizacja ładu powojennego i oddalała się perspektywa nowej wojny, rosło takie właśnie – wynikające z realizmu politycznego – poparcie dla nowej władzy. W pierwszych latach powojennych – zwłaszcza we wczesnym, bardzo ostrym okresie zimnej wojny – polityka realistyczna, skierowana na obronę i rozszerzanie ograniczonej suwerenności była skazana na niepowodzenie, czego dobitnym dowodem była klęska Gomułka w 1948 roku i kilkuletni okres pogłębionej zależności Polski od ZSRR, nazywany po latach okresem „stalinizacji”. Wielu realizatorów tej polityki kierowało się ideologicznym fanatyzmem, ale byli też tacy, którzy dostosowali się do istniejącej sytuacji licząc na jej zmianę w przyszłości.

Możliwość takiej zmiany pojawiła się w połowie lat pięćdziesiątych, gdy po śmierci Stalina w samym ZSRR górę wzięła koncepcja złagodzenia konfliktu z Zachodem i częściowego odejścia od najbardziej brutalnych cech systemu stalinowskiego. Nowa polityka radziecka stworzyła szansę dla uzależnionych od ZSRR państw „demokracji ludowej”, ale to, czy szansa ta zostanie wykorzystana, zależało od kierujących tymi państwami polityków i od zachowania społeczeństw.

Rok 1956 był pod tym względem przełomowy. Tylko w dwóch państwach radzieckiej strefy wpływu rok ten zaznaczył się głębokimi, a nie kosmetycznymi zmianami. Były to Węgry i Polska. Jeżeli jednak rewolucja węgierska skończyła się zbrojną interwencją radziecką, dotkliwymi stratami ludzkimi i pogłębioną zależnością, to w Polsce rok 1956 przyniósł wyraźną zmianę: znaczne zwiększenie zakresu wewnętrznej suwerenności, odrzucenie radzieckiego dyktatu w zakresie obsady kierowniczych stanowisk politycznych, a w konsekwencji wiele korzystnych zmian w polityce

wewnętrznej (odejście od terroru politycznego, poprawa stosunków z Kościołem, odrzucenie kolektywizacji rolnictwa, znacznie bardziej liberalna polityka naukowa i kulturalna). Było to możliwe dlatego, że w grę wchodziły dwa równoległe i wzajemnie się wspierające czynniki. Jednym było ukształtowanie się patriotycznej, gotowej bronić polskiej racji stanu większości w Komitecie Centralnym PZPR i w szeroko pojętym aktywie tej partii, a drugim – realistyczne, wolne od krańcowości stanowisko aktywnej politycznie części społeczeństwa wyrażającej poparcie dla dokonywanej zmiany, ale powstrzymującej się od działań skrajnych, które zapewne doprowadziłyby do konsekwencji podobnych do tragedii węgierskiej.

Warto przypomnieć, że bardzo wyraźnego poparcia polityce Gomułka udzielił prymas Polski, kardynał Stefan Wyszyński. Spotkała się ona także ze zrozumieniem w znacznej części polskiej emigracji politycznej – zwłaszcza w kręgu paryskiej „Kultury”, ale także u części polityków skupionych wokół rządu polskiego na uchodźstwie w Londynie, o czym mogłem osobiście przekonać się w czasie mojego pobytu w Wielkiej Brytanii wiosną 1957 roku.

Z perspektywy ponad sześćdziesięciu lat zmiany październikowe wielu wydają się mało istotne, gdyż nie naruszały one ani monopolu PZPR na sprawowanie władzy, ani nie usuwały zależności Polski od ZSRR. Dla pokolenia wtedy żyjącego były to jednak zmiany bardzo istotne, a ich konsekwencją był niespotykany – ani wcześniej ani później – stopień poparcia, jakim cieszył się Władysław Gomułka w pierwszych latach po powrocie do władzy. Ówczesna publicystyka zachodnia odnotowywała te zmiany z bardzo wyraźnym uznaniem dla nowej polityki polskiej, nazywanej „historią nadziei” (Lewis 1959). Brytyjski politolog i powstaniec warszawski Zbigniew A. Pełczyński pisał w tym kontekście, że „nie byłoby przesadą twierdzić, że w rezultacie wydarzeń październikowych system komunistyczny w Polsce po raz pierwszy uzyskał pewien stopień autentycznej legitymizacji” (Leslie, Polonsky, Ciechanowski, Pełczyński 1980:366).

Po 1956 roku zależność Polski od ZSRR nadal trwała, ale zmienił się jej charakter. Nie była to już zależność typu protektoratowego, w której hegemon decyduje o składzie władz państwa zależnego, lecz zależność dostosowawcza, w której państwo zależne zmuszone jest w swej polityce uwzględniać interesy i wolę mocarstwa hegemonicznego (Werblan 2009: 104). Warunkiem brzegowym tego typu zależności była realna groźba interwencji zbrojnej w wypadku, gdyby przywódcy radzieccy uznali, że polityka władz polskich jest wyraźnie sprzeczna z żywotnymi interesami tego mocarstwa. Ten stan rzeczy trwał aż do zakończenia „zimnej wojny”. Dopiero umocnienie się u władzy Michaiła Gorbaczowa i wyraźne odrzucenie przez niego tak zwanej „doktryny Breżniewa” (co nastąpiło w 1988 roku) spowodowało, że widmo zewnętrznej interwencji przestało ciążyć nad Polską.

Wcześniejsze doświadczenie interwencji na Węgrzech i w Czechosłowacji pokazało, że w razie zaistnienia takiej sytuacji mocarstwa zachodnie pozostaną bierne. Nie istniała jakakolwiek szansa, by w razie radzieckiej interwencji Polska uzyskała pomoc USA i ich sojuszników. W warunkach zimnej wojny

oba wielkie mocarstwa korzystały z możliwości bezkarnego dokonania zbrojnej interwencji, gdy uznały, że ich interesy zostały zagrożone w którymś z państw należących do ich strefy wpływów. ZSRR interweniował na Węgrzech (1956) i w Czechosłowacji (1968), a Stany Zjednoczone na Kubie (1961) i w Dominikanie (1965).

W tych warunkach uchronienie Polski przed interwencją i znaczące rozszerzenie suwerenności państwa stanowiło wielkie osiągnięcie polityczne. Inną sprawą jest to, jak w następnych latach prowadzona była polityka polska. Wielkim cieniem na końcowych latach rządów Władysława Gomułki były w 1968 roku antysemicka kampania i bardzo aktywne zaangażowanie się w interwencję zbrojną przeciw Czechosłowacji, a w grudniu 1970 bezpodstawne użycie milicji i wojska przeciw strajkującym robotnikom Wybrzeża. W pamięci zbiorowej te fatalne posunięcia powodują, że często zapomina się o historycznej zasłudze Władysława Gomułki z 1956 roku.

Zagrożenie interwencją wojskową ZSRR (oraz jego sojuszników – Czechosłowacji i NRD) wystąpiło w pełni w trudnym okresie 1980/1981. Już jesienią 1980 roku wyraźnie stało się, że kierownictwo radzieckie postrzega dokonujące się zmiany w Polsce jako zagrożenie dla jego żywotnych interesów i przygotowuje zbrojną interwencję. Pisał o tym w swych pamiętnikach Zbigniew Brzeziński, który jako doradca prezydenta Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego podejmował ważne działania na rzecz zażegnania tej groźby (Brzeziński 1983: 464-468).

Zaniechanie planów interwencji w grudniu 1980 nie oznaczało jednak, że kierownictwo radzieckie pogodziło się z kierunkiem, w jakim sprawy szły w Polsce. Przez cały rok 1981 trwały naciski na kierownictwo polskie. Postępująca w tym czasie radykalizacja „Solidarności” uniemożliwiała realizację wielkiego porozumienia narodowego, w którym wielu z nas widziało szansę na obronienie demokratycznych reform, a zarazem uniknięcia radzieckiej interwencji. Ja także – niemal do ostatniej chwili – wyrażałem (między innymi na spotkaniu w „Kuźnicy” 4 grudnia 1981 roku) nadzieję, że uda się obronić polskie reformy przez wielkie porozumienie narodowe.

Nadzieje te okazały się złudne. Naciski radzieckie, podnoszenie głowy przez autorytarne skrzydło w PZPR i aparacie państwowym, a zarazem radykalizacja aktywu „Solidarności” powodowały, że Polska ponownie stanęła na krawędzi narodowej katastrofy. W tych warunkach wprowadzenie stanu wojennego uchroniło Polskę przed tragedią interwencji, ale za cenę zahamowania zmian demokratycznych i pogłębienia wewnętrznych podziałów w społeczeństwie polskim. Nawet jednak ze strony ówczesnej opozycji demokratycznej wyrażana jest opinia, że stan wojenny uchronił Polskę przed katastrofą. Adam Michnik zadawał sobie i innym pytanie, „czy politykowi wolno skazywać własny kraj na taką wojnę bez nadziei, na takie ryzyko, na taką ruletkę?” (Michnik 2005), a kilka lat później dodawał: „Spór o stan wojenny dzieli Polskę od 30 lat. Należę do pokolenia, które nigdy nie pogodziło się z fatalną logiką stanu wojennego, z długimi latami zmarnowanych szans. Dziś jednak staram się zrozumieć ówczesne motywy generała Jaruzelskie-

go, co oczywiście nie oznacza, że podzielałem jego punkt widzenia. Uważam jednak – i tak sądziłem już z w 1982 r. – że stan wojenny był zdecydowanie mniejszym złem niż ewentualna sowiecka interwencja. Mając w pamięci Węgry w 1956 r. czy Czechosłowację w 1968 r. nie potrafię wykluczyć, że interwencja była nieuchronna” (Michnik 2012).

Wybitny politolog austriacki Anton Pelinka w książce inspirowanej doświadczeniem stanu wojennego w Polsce wprowadził ważne rozróżnienie pozwalające na przeprowadzenie *ex post* oceny decyzji podejmowanej w logice „mniejszego zła”. O tej ocenie decyduje, zdaniem austriackiego uczonego, pożytek, jaki polityk uczyni z atutów uzyskanych w wyniku podjętej wcześniej decyzji. Tak rozumując Pelinka bardzo wysoko ocenił politykę Wojciecha Jaruzelskiego w Polsce, gdyż przywódca ten wykorzystał powstałe w wyniku stanu wojennego możliwości dla stopniowej liberalizacji, której ostatecznym zwieńczeniem było doprowadzenie do porozumień „okrągłego stołu” i do pokojowego odzyskania przez Polskę pełnej suwerenności (Pelinka 1999).

Podzielał to zdanie, czemu dawałem wyraz wielokrotnie. Uważam, że dwukrotne (w 1956 roku i w latach 1980/81) uchronienie Polski przed zbrojną interwencją radziecką oznaczało nie tylko oszczędzenie narodowi polskiemu ogromnych strat ludzkich i materialnych, ale także zachowanie, a nawet umocnienie tej dozy suwerenności, jaką Polska była w stanie uzyskać w warunkach zimnej wojny i podziału Europy na strefy wpływów wielkich mocarstw.

Wyjście z tej sytuacji stało się możliwe dopiero wtedy, gdy w ZSRR pojawił się i zaczął prowadzić nową politykę Michaił Gorbaczow, ale zasługą głównych sił politycznych w Polsce – zarówno w obozie władzy jak w ówczesnej opozycji demokratycznej – jest to, że Polska jako pierwsza wykorzystała historyczną szansę wynikającą z polityki Gorbaczowa i z końca zimnej wojny, a tym samym stała się ważnym przykładem dla innych krajów w ich drodze do wolności. Negowanie tej zasługi, przedstawianie pokojowej zmiany jako „zdrady elit”, w czym prześcigają się politycy obecnego obozu rządzącego, jest nie tylko fałszowaniem historii, lecz także szkodliwym dla polskiego interesu narodowego deformowaniem świadomości politycznej Polaków, zwłaszcza najmłodszych, dla których omawiany tu okres jest odległą historią.

O nowe granice Polski

Drugim – obok obrony i rozszerzania ograniczonej suwerenności – wymiarem polskiego interesu narodowego w okresie Polski Ludowej była walka o międzynarodowe uznanie nowej granicy polsko-niemieckiej i doprowadzenie do pełnego zrośnięcia obszarów poniemieckich z resztą kraju. Sukces w tym zakresie należy do najważniejszych osiągnięć tego okresu i wyznacza kształt terytorialny państwa polskiego na pokolenia.

Sprawa granicy na Odrze i Nysie nie była od początku przesądzona. W 1943 roku (na konferencji w Teheranie) Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zaakceptowały radzieckie żądanie, by powojenna granica polsko-radziecka wyznaczona została według tak zwa-

nej linii Curzona, to jest na podstawie składu etnicznego ludności, co sugerował brytyjski minister spraw zagranicznych w 1920 roku. Oznaczało to pewne korzystne dla Polski odejście od linii demarkacyjnej ustalonej w 1939 roku w okresie współpracy niemiecko-radzieckiej, gdyż tym razem po stronie polskiej znalazło się Podlasie. Z perspektywy minionych dziesięcioleci trzeba uznać utracenie przez Polskę ziem wschodnich za korzystne dla przyszłości państwa polskiego. Ziemie te zamieszkałe były w większości przez ludność ukraińską i białoruską, a mniejszość polska skupiona była głównie w wielkich miastach – zwłaszcza we Lwowie i w Wilnie. Doświadczenie narodów byłej Jugosławii pokazuje, do jakich tragedii dojść by zapewne musiało, gdyby w granicach państwa polskiego znalazły się po wojnie licznie silne, a z państwem polskim niezintegrowane mniejszości narodowe. Nie zmienia to faktu, że narzucona Polsce zmiana granic traktowana była wówczas jako bolesny cios i kolejny akt nielojalności ze strony sojuszników zachodnich.

Przyjmując radzieckie stanowisko w sprawie granicy mocarstwa te zgodziły się w Teheranie na przyznanie Polsce bliżej niesprecyzowanej rekompensaty kosztem Niemiec. Żądanie ustanowienia nowej granicy na Odrze i Nysie znalazło się w manifestie Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego – z pewnością w wyniku zaakceptowania takiego rozwiązania przez Stalina. W 1945 roku tytułem faktów dokonanych Związek Radziecki przekazał władzom polskim południową część Prus Wschodnich i tereny do Odry i Nysy Łużyckiej (wraz ze Szczecinem, znajdującym się na zachód od Odry). Na konferencji poczdamskiej USA i Wielka Brytania – nie bez oporów – zgodziły się na pozostawienie tych ziem „pod polską administracją” do czasu zawarcia traktatu pokojowego z Niemcami. Odmowa uznania nowej granicy za ostateczną była wynikiem gry dyplomatycznej wielkich mocarstw i stawiała Polskę w bardzo trudnej sytuacji.

Utrzymanie ziem zachodnich i północnych zależało bowiem od stanowiska ZSRR – jedyne mocarstwo uznającego ostateczny charakter nowej granicy. We wrześniu 1946 amerykański sekretarz stanu James Byrnes przemawiając w Stuttgardzie otwarcie zakwestionował ostateczny charakter granicy na Odrze i Nysie sugerując możliwość jej zmiany (na korzyść Niemiec) w przyszłym traktacie pokojowym. W pewnym sensie repliką na to był wywiad udzielony przez Stalina korespondentowi „United Press” (w październiku 1946), w którym oświadczył on, że granica ta jest ostateczna (Skrzypek 2002: 154-155). Niekorzystne dla Polski stanowisko USA w sprawie granicy polsko-niemieckiej pogłębiało zależność Polski od ZSRR i groziło niekorzystnymi dla Polski rozstrzygnięciami w wypadku, gdyby polityka radziecka uległa w tej kwestii zmianie. Stany Zjednoczone i Wielka Brytania utrzymując stan niepewności w sprawie granicy kierowały się kalkulacją polityczną, gdyż łudziły Niemców, iż ewentualny sukces mocarstw zachodnich w rywalizacji z ZSRR może doprowadzić do korzystnej dla nich korektury granicy.

Przez ćwierć wieku dyplomacja polska prowadziła usilną pracę dla uzyskania poparcia międzynarodowego w sprawie granicy polsko-niemieckiej, co przynosiło znaczne sukcesy w wyzwających się spod panowa-

nia kolonialnego nowych państwach, ale nie zmieniało prawno-międzynarodowego statusu tej granicy. Sytuację państwa polskiego utrudniało stanowisko papieża Piusa XII uporczywie odmawiającego uznania polskiego stanu posiadania na ziemiach zachodnich i północnych.

W Niemczech Zachodnich obie główne partie – nie tylko Chrześcijańska Demokracja, ale także SPD – odrzucały uznanie ostatecznego charakteru granicy na Odrze i Nysie. Szczególnie stanowcze było w tej sprawie stanowisko kanclerza Konrada Adenauera – zastępczego dla sprawy pojednania niemiecko-francuskiego, ale wobec Polski trzymającego się twardego kursu. W SPD dopiero objęcie kierownictwa tej partii przez Willy Brandta przyniosło zmianę poprzednio nieprzejednanego stanowiska w sprawie ułożenia stosunków z Polską na gruncie uznania granicznego *status quo*. W 1970 roku, po wygranych przez SPD rokwcześnie wyborach parlamentarnych, rząd Willy Brandta uznał ostateczny charakter nowej granicy (najpierw w porozumieniu niemiecko-radzieckim podpisanym w Moskwie, a 7 grudnia w Warszawie). Był to przełom, po którym przyszło uznanie ostatecznego charakteru granicy polsko-niemieckiej przez USA, Wielką Brytanię i inne państwa demokratycznego Zachodu. Oznaczało to historyczny sukces polskiej racji stanu. Potwierdzenie go w układzie o zjednoczeniu Niemiec w 1990 roku było następstwem tego, co udało się uzyskać dzięki konsekwentnej polityce prowadzonej przez Polskę w poprzednich dziesięcioleciach.

Trzeba też pamiętać, że o sukcesie tej polityki – obok dyplomacji – zdecydowało to, że powiodło się wielkie przedsięwzięcie, jakim było zasiedlenie i zagospodarowanie ziem poniemieckich. „W latach 1945-1946 – pisze Andrzej Friszke – na nowych ziemiach zachodnich i północnych osiedliło się około 2 milionów osób. W 1950 roku mieszkało tam już blisko 6 milionów ludzi, w tym z górą milion autochtonów, ponad półtora miliona repatriantów z ZSRR i 3 miliony pochodzących z pozostałych ziem Polski” (Friszke 2003: 141).

Socjologowie polscy (m.in. Stanisław Ossowski, Władysław Markiewicz, Stefan Nowakowski, Kazimierz Żygulski) poświęcili procesowi integracji na tak zwanych „ziemiach odzyskanych” liczne studia. Wskazywano w nich na stopniową integrację ludności napływowej, pochodzącej z różnych dzielnic przedwojennej Polski. Podkreślano szybką odbudowę potencjału gospodarczego, a zwłaszcza imponujące sukcesy w dziedzinie oświaty, nauki i kultury. Badania socjologiczne wskazywały na to, że w pierwszych latach powojennych stabilizacji polskiego stanu posiadania szkodziło utrzymujące się poczucie zagrożenia nową wojną. Stopniowo jednak osiedlająca się na tych ziemiach ludność zaczynała traktować je jako swoją nową ojczyznę, czemu sprzyjała stabilizacja stosunków międzynarodowych i osłabienie napięcia międzynarodowego. Procesy repolonizacji ziem zachodnich i północnych wiązały się, jak w swoim czasie zauważył badający te problemy Władysław Markiewicz, ze stworzeniem „wielu milionom ludzi możliwości przejścia na wyższy poziom kulturalnego i cywilizacyjnego bytowania” (Markiewicz 1972:84).

Procesy te miały jednak także swoje ciemne strony. Należy do nich przede wszystkim błędna polityka prowadzona przed 1956 roku w stosunku do ludności autochtonicznej traktowanej nader często z nieuzasadnioną nieufnością i poddanej rozmaitym formom dyskryminacji. W konsekwencji znaczna część ludności polskiej zamieszkującej przed wojną te ziemie zdecydowała się (głównie w latach siedemdziesiątych) na wyjazd do Niemiec.

W sumie jednak ziemie zachodnie i północne zostały w ten sposób zespolone z państwem polskim. Z peryferii dawnego państwa niemieckiego stały się one wysoko rozwiniętą częścią Polski, wyróżniającą się wysokim poziomem rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Sukces w tej dziedzinie był dziełem całego narodu, ale nie zostałby osiągnięty bez konsekwentnej i skutecznej polityki państwa. Pod tym względem Polska Ludowa w pełni zdała historyczny egzamin.

Konkluzje

Sprawiedliwa ocena okresu Polski Ludowej wymaga uwzględnienia zarówno pozytywnych, jak i negatywnych cech tego okresu. Odbudowie gospodarczej kraju, wysokiemu przyrostowi ludności (powiększonej z 24 milionów w 1946 roku do 38 milionów w roku 1989), awansowi społecznemu mas ludowych, znacznym osiągnięciom nauki i kultury towarzyszyły zjawiska negatywne, w tym zły stan praw człowieka i swobód obywatelskich (mimo istotnej poprawy po 1956 roku), dogmatyczna polityka gospodarcza prowadząca do zbyt powolnego wzrostu stopy życiowej, a w konsekwencji do powtarzających się protestów społecznych.

Tylko część negatywnych cech tego okresu wynikała wprost z uzależnienia od ZSRR. Znaczna część była konsekwencją ideologicznego dogmatyzmu utrzymującego się w PZPR niemal do końca jej istnienia. Nie ulega na przykład wątpliwości, że eksplozja antysemityzmu w 1968 roku nie była inspirowana z Moskwy, lecz stanowiła wytwór rodzimego, mającego wyraźnie nacjonalistyczny odcień autorytaryzmu. Nagromadzenie wielu negatywnych zjawisk powoduje niejednoznaczny charakter oceny okresu Polski Ludowej, co zresztą nie jest czymś wyjątkowym, gdyż najczęściej w historii spletają się zjawiska negatywne i pozytywne.

Natomiast w realizacji polskiej racji stanu okres Polski Ludowej zapisał się dobrze w polskiej historii. W niezwykle niekorzystnej sytuacji międzynarodowej powstałej w naszej części Europy po drugiej wojnie światowej udało się obronić i stopniowo rozszerzać ograniczoną suwerenność państwa polskiego i zapewnić mu trwałe, dla narodu polskiego niezwykle korzystne granice. Powinno to stanowić podstawowy argument w polemice z tymi, którzy w Polsce Ludowej widzą jedynie „czarną dziurę” w historii narodu i państwa polskiego. Jestem przekonany, że z czasem sprawiedliwa ocena tego trudnego okresu przebiegać będzie do świadomości historycznej naszego narodu.

Literatura cytowana:

- Aron Raymond (1962), *Paix et guerre entre les nations*, Paris., Calmar Levy
 Bliss Lane Artur (1948), *I Saw Poland Betrayed*, Indianapolis, University of Indiana Press.
 Bromke Adam (1967), *Poland's Politics: Idealism vs. Realism*, Cambridge Mass., Harvard University Press.
 Brzezinski Zbigniew (1983), *Power and Principle: memoirs of the National Security Advisor 1977-1981*, New York: Farrar, Starus, Giroux.
 Dmowski Roman (1907), *Myśli nowoczesnego Polaka*, Lwów, Towarzystwo Wydawnicze.
 Friszke Andrzej (2003), *Polska: losy państwa i narodu 1939-1989*, Warszawa, Wydawnictwo Iskry .
 Hochfeld Julian (1946), *My socjaliści. (Ze stanowiska socjalistycznego realizmu)*, Warszawa, Wiedza.
 Kennan George F. (1957), *American Diplomacy 1900-1950*, New York, Mentor Books.
 Kennan George F. (1966), *Realities of American Foreign Policy*, New York, Norton.
 Kissinger Henry (1996), *Dyplomacja*, Warszawa, Philip Wilson.
 Kissinger Henry (2016), *Porządek światowy*, Wołowiec, Wydawnictwo Czarne.
 Leslie R.F., Polonsky Antony, Ciechanowski Jan M., Pelczynski Z.A. (1980), *The History of Poland since 1863*, Cambridge, Cambridge University Press.
 Lewis Flora (1959), *A Case History of Hope: The Story of Poland's Peaceful Revolution*, New York, Secker & Warburg...
 Markiewicz Władysław (1972), *Socjologia a służba społeczna*, Poznań, Wydawnictwo Poznańskie.
 Meinecke Friedrich (1957), *Machiavellism: The Doctrine of Raison d'Etat and Its Place in Modern History*, London, Routledge.
 Michnik Adam (2005), *Wściekłość i wstyd, smutek I duma*, „Gazeta Wyborcza”, 17-18 grudnia.
 Michnik Adam (2012), *Taniec po cienkiej linie*, „Gazeta Wyborcza” 1-2 grudnia.
 Morgenthau Hans (1951), *In Defense of National Interest: A Critical Examination of American Foreign Policy*, New York, Knopf
 Morgenthau Hans (1954), *Politics Among Nations: The Struggle for Power and Peace*, New York, Knopf.
 Pelinka Anton (1999), *Politics of the Lesser Evil: Leadersbhip, Democracy & Jaruzelski's Poland*, New Brunswick-London, Transaction Publishers.
 Skrzypek Andrzej (2002), *Mechanizmy uzależnienia. Stosunki polsko-radzieckie 1944-1957*, Pułtusk, Wyższa Szkoła Humanistyczna im. A.Gieysztor.
 Walker Jonathan (2014), *Trzecia wojna światowa: tajny plan wyrwania Polski z rąk Stalina*, Kraków, Znak Horyzont.
 Werblan Andrzej (1988), *Władysław Gomułka: sekretarz generalny PPR*, Warszawa. Książka i Wiedza.
 Werblan Andrzej (2009), *Stalinizm w Polsce*, Warszawa, Wydawnictwo Literackie.
 Wiatr Jerzy J. (2012), *Polski interes narodowy: refleksje o historii i współczesności*, Warszawa, Wydawnictwo Instytutu Filozofii i Socjologii PAN.
 Wiatr Jerzy J. (2013), *Polski interes narodowy na przełomie epok w: Wojciechowi Jaruzelskiemu – żołnierzo- wi i mężowi stanu* (praca zbiorowa), Warszawa, Wydawnictwo Studio EMKA, s.43-61.

ANDRZEJ MENCWEL

DŁUGA, NIEPOJĘTA REWOLUCJA

Małgosi Szpakowskiej

1. Jak w kinie...

Nie muszę sobie rozmyślnie przypominać tej sceny, bo widzę ją pod powiekami, gdy tylko zamknę oczy. Zula, w letniej rozpostartej niczym welon sukience, z wyciągniętymi na wznak ramionami unosi się po wodnej toni, śpiewając *Sierdce tabie nie chaczetsia pakoja...* Dlaczego z tej porywającej rytmem i dźwiękiem suity filmowych obrazów, jaką jest *Zimna wojna* Pawła Pawlikowskiego, akurat ten epizod zapadł mi w pamięć? To prawda, że znam tę piosenkę od lat chłopięcych, gdyż moje lata nauki i wędrówki pokrywają się z czasem dojrzewania bohaterki tego filmu, ale kiedy, podczas eliminacji do zespołu, śpiewa ją ona pierwszy raz, nie bierze mnie to specjalnie. Wspomnianą przez nią sławną radziecką komedię *Świat się śmieje*, z której ta pieśń pochodzi, oglądałem, rzecz można, razem z nią, choć nie w przypominającym teatr cieni wiejskim kinie objazdowym, lecz w błyskającym neonami jeleńogórskim kinie „Lot”. Zastanawiałem się niekiedy, bo *Świat się śmieje* widziałem przynajmniej tyle razy, ile później *Pół żartem, pół serio* oraz *Kabaret*, jak można było nakręcić tak odlotową komedię w roku rozpoczynającym grozę Wielkiej Czystki, więc poniekąd na jej inaugurację, ale nie mam dobrej, to znaczy tak zwanej prawidłowej, odpowiedzi na tę kwestię. Przypuszczam, że piękno w sztuce znajduje sobie takie ujęcie, jakie czyni je możliwym.

Wracam do nawiedzającej mnie sceny z *Zimnej wojny*, bo może upewni ona to przypuszczenie. Chwilę przedtem Zula przeżywa dramatyczne rozstanie z ukochanym i gdy biegnie zrozpaczona ku brzegowi jeziora, lękam się, że zaraz się utopi, choć bez niej nie byłoby dalszego ciągu, czyli całego filmu. Plusk nurzającego się skokiem ciała jest oznaką tego strachu, zwraca ukochanego, następuje konieczne pogodzenie i akcja potoczy się dalej bujnymi sekwencjami muzycznych epizodów, aż do końcowej, zatracającej kiczem, lecz artystycznie spełnionej sceny, samobójczego przejścia obojga kochanków na drugą stronę świata, czyli w zaświaty. Dlaczego jednak ta scena śpiewu na wodzie uwodzi mnie bardziej niż cokolwiek leśmianowskie zakończenie filmu? Jest zaskakująca, a uniknięcie nasuwającego się samoczynnie banału chętnie aprobuję. Jednak to więcej niż reżyserski efekt obcości, bo niebywała radość istnienia, emanująca z pozbawionego siły ciężenia dziewczęcego ciała. Radość taką osiągają tylko ludzie prawdziwie wolni.

Wygląda jednak na to, że w życiu Zuli wszystko ma się odwrotnie i pętają ją postronki wielorakiej niewoli. Właśnie została opuszczona przez kochanka, z którym wiąże ją namiętność nieodparta i - co się będzie okazywać w toku filmu - dozgonna; umiłowany odszedł, gdyż nie przyjął wyznania, poczynionego przez dziewczynę po miłosnej potyczce na rozkwitłej łące; przyznała ona, że donosi na niego komisarzowi zespołu, w którym oboje grają; nie jest to groźne podług niej, gdyż mówi rzeczy dobre, a zostało podwójnie wymuszone, bo komisarz *przystawia się do mnie*, więc ona się rozmową wykupuje; jej przyszłość ponadto zależy od komisarza, gdyż ciąży nad nią zawieszony wyrok więzienia; osądzona zaś została za próbę zabójstwa ojca, będącą odpowiedzią na podjęty przez niego akt gwałtu. *Pomylił mnie w nocy z matką, więc nożem dałam mu odczuć różnicę* - wyjaśnia Zula kochankowi. Jest to jedna z lepszych kwestii dialogowych, jakie pojawiły się w polskim filmie, a przemawia przez nią duch Janusza Głowackiego, który był współautorem scenariusza. Nie wypowiada jej strwożony wsiowy podlotek, lecz wyzwolony z patriarchyatu człowiek świadomy swoich praw.

Gdzie i kiedy wszystko to się dzieje, a splata tak gęsto, że interpretacja sensów jednej sceny, mogłaby zająć cały esej? W pierwszych latach Polski powojennej, jeszcze przed stalinizacją, która przyjdzie później i odcisnie się również na losach bohaterów. Zapewne gdzieś na Mazowszu, skoro zespół artystyczny, w którym kochanek jest dyrygentem, a kochanka wyrasta na solistkę, nazywa się „Mazurek”. Przyjmuje się do niego młodych ludzi z różnych regionów, a w repertuarze korzysta z krajowych zasobów pieśni i tańca, więc można uznać go za reprezentanta całej ówczesnej rzeczywistości. Młodzi pochodzą, rzecz jasna, z ludu, drętwa mowa komisarza ich nie przejmuje, ale były ziemiański pałac dudni życiem ich ćwiczeń i popisów.

Czy to jest sztuka ludowa? - trzeba zapytać, skoro film zaczyna się akcją odszukiwania i nagrywania samorodnych twórców ludowych, nienoszących jeszcze oficjalnych stempli, a całe dzieło zespołu „Mazurek”, cieszącego się coraz większym powodzeniem krajowym i zagranicznym, wyzyskuje i przetwarza tamte źródła artystyczne. Podnoszą *ludowe do Ludzkości*, przypominam znaną norwidowską sentencję, którą nobilitowano rzeczywiste „Mazowsze”, ekscytujące widzów na całym świecie, co miałem okazję sprawdzić pod koniec

zeszłego wieku w amerykańskim uniwersytecie, gdzie dawało oszałamiające występy.

2. „Lud polski”

Ale jeśli przywołanie tej wysokiej formuły nie ma być tylko słownym wybiegiem, trzeba określić, kto tu jest ludem i jak się do niego ma Polska nazywana Ludową, w której właściwie dzieje się cała akcja filmu, bo nawet epizod paryski pozostaje w jej cieniu. Co do ludu, odpowiedź wydaje się dość prosta, chociaż dziejowo znamienne obciążona. Ludem w tym filmie, w tamtej rzeczywistości i w całych prawie naszych poprzednich dziejach jest lud wiejski, czyli chłop. *The people* po angielsku czy *le peuple* po francusku wskazują również lud, ale przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, miejski, i to lud będący zespołem obywateli, a nie tak zwanych u nas ludzi *prosty*ch. Osobliwością semantyczną tego dwuznacznego, określenia - jednoznacznie pejoratywnego *prostaka* pomijam - jest równoczesne poniżenie i nobilitacja. Ten człowiek jest *prosty*, bo nie należy do nas, którzy z natury własnej jesteśmy wielowymiarowi, ale zostaje przez nas wywyższony, bo jego prostota nie jest prostactwem i ma w sobie coś szlachetnego. *Który skrzywdził człowieka prostego* - napisał Czesław Miłosz, co uwieczniono na Pomniku Poległych Stoczniovców.

W określenia językowo powszednie i szeroko rozpowszechnione wpisane zostały, a właściwie wtłoczone wielowiekowe stosunki społeczne, w których władza określania, więc umiejscawiania w świecie ludzkim, była bezwarunkowo przywłaszczona. Lud był chłopstwem, ponieważ był z nim tożsamy, ludu miejskiego prawie nie było, chłopstwo zaś było *ludźmi stamtąd*, jak to wysłuchiwała i zapiswała Maria Dąbrowska, wskazując dworską, a właściwie folwarczną perspektywę, z jakiej był widziany i uznawany¹. Dla historycznego porządku przypomnę, że będąca podstawą ziemiańskiego dobrobytu gospodarka folwarczna oparta była na przymusowej, bezpłatnej pracy pańszczyźnianych chłopów. W amerykańskich posiadłościach kolonialnych średnio dziesięciu niewolników pracowało na jednego posiadacza, czyli kilkudziesięciu na rodzinę, nie obliczono niestety takiej średniej dla polskich kolonizatorów koronnych i kresowych. Wiadomo, że poszczególne latyfundia magnackie liczyły dziesiątki miast, setki wsi i tysiące tysięcy hektarów. Dopiero dwa pokolenia po uwłaszczeniu, w czasach dziecięcych autorki *Ludzi stamtąd* dawni poddani stali się zwykłymi pracownikami najemnymi. Działo się to w majątku zarządzanym przez jej ojca, a bynajmniej przez niego nie posiadany.

W dwudziestym wieku lud wiejski, czyli chłopci nadal w Polsce przeważali - przed wojną, w czasie wojny i zaraz po wojnie. Zdanie to wydaje się bezsporne wtedy, gdy ma się na względzie liczbę mieszkańców wsi lub osób trudniących się rolnictwem, w tym ponad dwa miliony „ludzi zbędnych”, którzy będą napływać do miast, gdy tylko okaże się to możliwe. Gdy jednak o przewadze tej zacznie się myśleć jakościowo, wtedy nie okaże się ona wcale prosta. Na pewno chłopci nie przeważali gospodarczo, lata kryzysu (1929-1933) były dla nich bezlitosne, choć akurat podczas okupacji niemieckiej mieli się lepiej niż mieszkańcy miast, a po wojnie przyszła nie tylko reforma rolna, lecz także

nacisk kolektywizacji, któremu się oparli. Czy w Polsce międzywojennej przeważali społecznie? - pozostaje pytaniem otwartym. Ich masowe wystąpienia były imponujące, organizacje polityczne mocne, a przywódcy historyczni. Pozycję tę wzmacniało również radykalizujące się społecznie i świadome ideowo *młode pokolenie chłopów*². Znaczenie robotników powoli, lecz nieustannie również wzrastało i to wszyscy oni razem zmieniali dziedziczne stosunki stanowe na klasowe. To znaczy na te, w których własne miejsce społeczne może podlegać zmianie.

W odzyskanym państwie dominował jednak aparat rządzący powiązany z elitami pieniądza i pochodzenia; kulturalnie panowała w Polsce inteligencja o rodowodach ziemiańsko-mieszczańskich i to z jej kręgów wywodziły się nowoczesne zamysły zmiany panującego wzoru polskości, obciążonego, jeśli nie wypełnionego szlachetczyzną, czytelną nawet w potocznych różnicowaniach językowych, co już zaznaczyłem. Cyprian Kamil Norwid i Stanisław Witkiewicz, Stanisław Brzozowski i Stefan Żeromski, Maria Dąbrowska i Bolesław Leśmian, Witkacy i Korczak, Tuwim i Gombrowicz oraz doborowe rotę *kulturników* zaangażowani byli w zmianę dziedzicznego wzoru kulturowego, równolegle także wybijały się na samodzielność różne inicjatywy chłopskie, w latach trzydziestych przekraczające etnograficzne opłotki i wkraczające na scenę narodową. Mimo wszystkich tych prób dominacja *zakonu polskości*, jak nazwał dziedziczny wzór szlachecko-militarny Juliusz Mieroszewski, została przed wojną i w czasie wojny utrwalona.

Polska nazywana Ludową, do której zagadnienia się zbliżamy, złamanie tej dominacji przyjęła za państwową politykę kulturalną nobilitującą lud i jego sztukę podnoszoną do narodowej, nawet jeśli nie istniała ona samorodnie. W dziedzinie pieśni i tańca, w której rozgrywa się *Zimna wojna*, wyjątkowo to się udawało, przynajmniej przez pewien czas. Literatura, plastyka, muzyka, a nawet film, radio i telewizja były polami narastających starć twórców i polityków, a to co inercyjnie dziedzictwo zmieniano, wyrastało mimo polityki kulturalnej i wbrew niej. Jak dzieła Tadeusza Różewicza i Mirona Białoszewskiego, Tadeusza Kantora i Kazimierza Dejmka, Kazimierza Kutza i Wiesława Myślińskiego, żeby poprzestać na wyraźnie odrębnych przykładach. Można dodać wiele innych zjawisk we wszelkich dziedzinach sztuki (muzyka!), zastany kanon one wzbogacały, ale niestety go nie przeobraziły, bo zabrakło tych, którzy nowe sensy chcieli i umieli scalać. Tak więc anachroniczny *zakon polskości* zajmuje teraz prawie całą scenę publiczną.

Wracając do ludu i jego różnych konotacji w różnych językach, zastanawiają mnie dwa konteksty sąsiedzkie i - by tak rzec - mocarstwowe. Niemiecki *das Volk* pierwotnie również wiejski i odsyłający do chłopstwa, został podniesiony do narodu, podobnie jak rosyjski *narod* oznaczający lud i naród jednocześnie. Romantycznie tradycjonalistyczna ideologia *völkizmu* jest przedmiotem wielu analiz historycznych, ponieważ upatruje się w niej podłoże radykalnego nacjonalizmu, także w jego nazistowskiej wersji. Idealizujące lud rodzimy narodnictwo rosyjskie utożsamiało go z narodem, chociaż dola chłopca rosyjskiego nie była lepsza od doli chłopca polskiego, co zresztą zostało utrwalone w po-

niżającej nazwie *rab* będącej synonimem niewolnika. W języku polskim, mimo całego romantycznego naporu, lud się od narodu oddalił, a w rosyjskim, ukraińskim i białoruskim do niego przybliżył. Aby takie pełne znaczeń przepływy wyjaśniać (a w czeskim, słowackim, litewskim?), należałoby przeprowadzić tak wnikliwe i subtelne analizy historyczne, jak w dziełach Norberta Eliasa. Ponieważ nie mam za sobą właściwych badań i przywołuję same skojarzenia, więc poprzestanę tylko na ostatnim, może najbardziej wymownym. W sławnej mowie Lecha Wałęsy w amerykańskim Kongresie, inwokacja *My naród*, zgodnie z amerykańską konstytucją, została przełożona tak: *We the people*. Można powiedzieć, że w tych dwóch słowach zapisano różnicę cywilizacji, choć trudno jest orzec, czy była to różnica stopnia czy też rodzaju.

3. Polska Ludowa czy „Polska Ludowa”

Polska Ludowa nie była nigdy oficjalnym mianem powojennego państwa, gdyż najpierw nazywało się ono Rzeczpospolita Polska, a później, od roku 1952 – Polska Rzeczpospolita Ludowa, co było swego rodzaju pleonazmem. Skłonność do takich wzmocnień znaczeniowych wiąże się zapewne z poczuciem słabości racji dziejowych, podobne podejrzenie budzi dzisiejsza inflacja „narodowego” w nazwach różnych instytucji oraz inicjatyw grupowych. Poprzestaję na uwadze ubocznej, bo nazwy urzędowe mnie nie zajmują, wracam natomiast do Polski Ludowej, gdyż przyjęła się ona jako swego rodzaju określenie gatunkowe. W mowie potocznej nie spotykałem dawniej nazw oficjalnych, nawet złośliwie czy drwiąco używanych, jak to się utarło w ostatnich dekadach z „peerelem”. Zresztą ci, którzy zaciekle go wyklinają, najbardziej też łapczywi są na jego zasobne dziedzictwo, czyli „spółki skarbu państwa”, będące jak KGHM, Orlen czy PGNiG, potęgami finansowymi. Polska Ludowa natomiast, która występowała przecież w dokumentach partyjnych i w rządowej propagandzie, a miała wskazywać odrębność nowej formacji ustrojowej od wszystkich dawnych, zwłaszcza Polski sanacyjnej, w języku codziennym jakoś się utarła, chociaż wymawiano ją zwykle ze pewną ironią lub mocnym przekąsem.

Ten osobliwy wydźwięk intonacyjny wskazywał na dwoisty do niej stosunek w potocznej świadomości. Polski Ludowej nie odrzucano przecież apodyktycznie ani też powszechnie nie zwalczano, przyjmowano jednak jej istnienie z rezerwą lub poczuciem obcości. Miary tej obcości były różne w różnych środowiskach, a dotyczyły zwłaszcza form władzy politycznej uznawanej za narzuconą – „łagodna rewolucja” szybko okazała się frazesem, „demokracja ludowa” nie zyskała wiarygodności, nie mówiąc już o „dyktaturze proletariatu”. Przyjęcie natomiast obejmowało przemiany społeczne, jakich po wojnie dokonano, choć ich akceptacja była zróżnicowana i stopniowana. Nacjonalizacja przemysłu była pożądana, jeszcze bardziej parcelacja wielkiej własności rolnej i choć „walkę z analfabetyzmem” wyśmiewano, to okazała się ona skuteczna. Z upowszechnieniem bezpłatnej edukacji i studiów wyższych (pięciokrotny wzrost liczby studentów kilka lat po niszczącej wojnie), mieliśmy problem wartościujący, ale nie z „kierowniczą rolą partii”, której strzegł przecież aparat rządzący, nie zaś członkowie zwyczajni. W *Zim-*

nej wojnie komisarz pełni swoją służbę, ale dziewczęta i chłopcy nie jemu grają.

Chcieliśmy bowiem Polski takiej, jaka, w odróżnieniu od przedwojennej, byłaby Ludową; została ona przez nas w pełni przyjęta, gdybyśmy tej przemiany dokonali własnowolnie i samodzielnie. Nie jest to opinia wyjątkowa, historycy rzetelnie krytyczni wielokrotnie podkreślali, że świadomość koniecznych reform społecznych narastała podczas wojny i okupacji, i nie opowiadano się wcale za antykwaryczną restauracją Polski sanacyjnej. „Polska dojrzała do gruntownych reform gospodarczych i społecznych” – oznajmiał w czerwcu 1943 roku Biuletyn Informacyjny Komendy Głównej Armii Krajowej, powiadamiając o tym nie tylko czytelników krajowych, ale również koalicyjny rząd w Londynie, którego premierem był Władysław Sikorski (zginął 4 lipca), daleki od swoich lewicowych skłonności z lat studenckich.

„Program Polski Ludowej” natomiast przygotowywali wspólnie działacze PPS-WRN i Stronnictwa Ludowego już od roku 1940, a opublikowali go w sierpniu 1941, więc znacznie przed powstaniem Polskiej Partii Robotniczej w kraju oraz moskiewską inicjatywą Związku Patriotów Polskich. Jego główne tezy przypominam tym chętniej, że rozwijał on wskazaną już tradycję demokratyczno-społeczną, a samą, cieszącą się szeroką aprobatą nazwę, przejęli potem komuniści. Polska Ludowa zatem powinna mieć *ustrój demokratyczno-republikański, pod decydującym i trwałym wpływem ludu pracującego oraz szeroko rozbudowany samorząd terytorialny i społeczny. Powinna przeprowadzić reformę rolną przez wywłaszczenie wielkiej własności ziemskiej, uspołecznienie przedsiębiorstwa przemysłowe, zapewnić wszystkim obywatelom, bez różnicy wyznania i narodowości, równe prawa obywatelskie, powszechne i bezpłatne nauczanie, wolność słowa i organizacji, sprawiedliwy podział dochodu społecznego*³. Autorzy tego tekstu przemysleli negatywne skutki „eksperymentu sowieckiego” i starali się tak pluralizować różne elementy swego programu, aby być ubezpieczonymi przed totalitaryzmem. Jak dobrze wiemy, to nie program tych socjalistów, lecz stalinowskiej Polskiej Partii Robotniczej, której nie śmiano nazwać komunistyczną, realizowano po wojnie i zdobyciu władzy. Pytanie, czy to był tylko zbrojny przewrót, czy też społeczna rewolucja, trafia w samo sedno ambiwalencji dziejowej, oznaczanej również specyficzną wymową nazwy: „Polska Ludowa”.

4. Rewolucja prześlona (?)

Andrzej Leder, autor *Prześlonej rewolucji*, pomyślanej i przemyślanej książki o naszej nowoczesności zdaje się samym jej tytułem rozstrzygać tę kwestię⁴. Jego zdaniem, wspieranym wielostronną, choć dość doktrynalną, argumentacją, w Polsce lat 1939-1945 wydarzyła się rewolucja w mocnym sensie tego słowa, to znaczy tak gruntowna przemiana stosunków społecznych, że jej następstwa obejmują całe dalsze dzieje współczesne, aż po rok 1989, a nawet po dzień dzisiejszy.

Była to jednak rewolucja przeprowadzona jako zbrojny przewrót, co więcej, dokonany obcymi siłami przez armie najeźdźców i towarzyszące im aparaty terroru. Pierwszym jej trwałym skutkiem, który autor tego

studium eksponuje, są narodziny polskiego mieszczaństwa o chłopskiej zasadniczo genealogii, zajmującego, z przymocą nierzadko okrutną, miejsce Żydów wyniszczonych przez Zagładę. Drugim następstwem tego przewrotu, przeprowadzonym przez Sowietów najpierw na ziemiach wschodnich, a po 1944 r. przez komunistów na całym obszarze Polski powojennej, jest społeczna eliminacja ziemiaństwa, sprawiona radykalną reformą rolną. Wyzwoliła ona w pewnym stopniu chłopów, pobudzając ich do aktywności i edukacji, ale nie osiągnęli oni politycznej i kulturalnej samodzielności, pozostając zamknięci w folwarcznym *imaginarium* i mentalnie *gnuśni*. Wielbiąc *Ferdydurke* Gombrowicza, nie wychodzi Leder poza jej świat przedstawiony. *Ludzie stamtąd* Dąbrowskiej ani *Kordian i cham* Kruczkowskiego do niego nie dotarli. Nie mówiąc już o *Pałacu* Myśliwskiego.

Strukturę społeczną przedwojennej Rzeczypospolitej przedstawia autor jako anachroniczną, jeśli nie archaiczną. Składają ją feudalne właściwie złogi warstwowo-stanowe: pan, cham, żyd (który będąc kategorią socjologiczną, może być zapisany małą literą). Po złamaniu tego zastarzałego porządku przez fizyczną eliminację Żydów i gospodarcze wykluczenie ziemiaństwa, w tym obrazie Polski pozostali właściwie chłopci jako nowi mieszczaństwo bądź przestarzali rolnicy. Robotników, inteligencję i mieszczaństwo nie-żydowskie Leder właściwie przemilcza, choć przezornie zastrzega, że jego rozpoznania nie odnoszą się do Śląska, Wielkopolski i Pomorza, czyli dawnego zaboru pruskiego.

Jako *ćwiczenie z logiki* cała ta analiza wydaje się poprawna, jako interpretacja rzeczywistości *historycznej* pobudza krytykę, którą zaraz podejmę. Najpierw jednak wyrażam uznanie zarówno dla intelektualnej werwy filozofa, jak i dla odwagi historyka, bo w tej podwójnej roli występuje autor tej książki. Prawie nikt już przecież nie śmie nazywać przemian wojennych i powojennych rewolucją, a tym bardziej rozważać filozoficznie i psychologicznie jej historycznie trwałych następstw. Po swojemu powiem, że Andrzej Leder dowodzi, iż Polska Ludowa miała mroczną i pokrętną genealogię, ale jej zaistnienie było dziejową rzeczywistością społeczną. Czyli w najbardziej elementarnym i dotykającym sensie – międzyludzką. Podobnie jak we wzlotach i upadkach bohaterów *Zimnej wojny*.

Rewolucja ta natomiast, zdaniem autora książki, została *prześniona*, co podkreśla on przez umieszczenie tego przymiotnika w tytule. Jest to przymiotnik elegancki, cokolwiek tajemniczy, trochę poetycki w wysłowieniu. Andrzej Leder dla jego uzasadnienia wprowadza do swoich interpretacji, rozwiniętą aparaturę pojęciową adaptowaną z filozofii psychoanalitycznej Jacques'a-Marie Lacana, której ze względu na nieodpartą skłonność do uproszczeń nie będę przejmował. Skłonność tę wspiera nieco i sam autor *Prześnionej rewolucji* pisząc niekiedy, że została ona *jakby prześniona*, co brzmi mniej tajemniczo, albo że po prostu została *zapomniana*. Odwołując się do psychoanalizy starszej i lepiej przeze mnie przyswojonej powiedziałbym, że została ona *wyparta*, więc zarazem stłumiona i zepchnięta w niepamięć, aby jednak słownie się uproszczyć, powiem zyczajnie, że nie została pojęta.

Wszystkie te określenia razem wzięte, niezależnie od subtelnych między nimi różnic znaczeniowych, nie

odnoszą się bezpośrednio do samej zmiany stosunków społecznych, lecz do towarzyszącej jej umysłowości, wyobraźni, mentalności. Andrzej Leder sferę tę nazywa *uniwersum symbolicznym*, określałbym ją raczej jako typ lub wzór kultury, dlatego że nie chodzi tutaj o samo *imaginarium*, lecz także o konkretne obyczaje i zachowania. A więc nie tylko o wyobrażenie „Matki-Polki”, także o „całowanie rączek”, czyli „cmok-nonsens”, które to popularne niegdyś wyrażenie zostało wyparte z języka, podobnie jak Polska Ludowa. A całowanie rączek kwitnie, osobiście w sferach przyrządowych i przykościelnych, co ostatnio na jedno wychodzi.

Przypominam założenie klasyczne, aby zagadnienie zyskało na jasności. W założeniu tym przyjmowano, że współbieżnie z rewolucyjnymi przemianami społecznymi dokonuje się również przeistoczenie świadomości zbiorowej, a na miejsce odrzuconej „ideologii” klasy dotąd panującej wprowadza się „ideologię” klasy pracującej. „Ideologia” jest moim ustępstwem słownym na rzecz paleomarksistów, którzy w tym terminie się lubowali i nadużywali go nieustannie. Naprawdę jednak w założeniu tym chodziło o całościową przemianę kultury, więc poniekąd o wszystko: segmentację czasu, kategoryzację przestrzeni, organizację władzy, stosunki międzyludzkie w skali makro i mikrosocjalnej oraz odniesienia do tego, co naturalne i nadnaturalne.

Wprowadzenie nowego kalendarza, miar i wag, praw przyrody, trójpodziału władzy, równości praw i związków cywilnych – są to przykłady rewolucyjnego przekształcenia całego „światopoglądu”, jak to się dawniej nazywało. Szkopuł w tym, że historycy różnych orientacji, na czele z marksistami, wiele znaczącymi przed laty w nauce angielskiej czy francuskiej, operowali właściwie typami idealnymi, które dość bezkrytycznie utożsamiali z realnymi rewolucjami uchodzącymi za nowocześnie „klasyczne”: angielską, francuską oraz bolszewicką uznaną za rosyjską. Przy bliższych rozpoznaniach wychodziło na jaw, że wszystkie te przemiany nigdy nie były realnie współbieżne, rozsiewały się natomiast dość różnie w rzeczywistości dziejowej, którą trzeba badać zgodnie z jej lokalną specyfiką. Rewolucja angielska okazała się „długą rewolucją”, będącą właściwie wojną domową, zakończoną ustanowieniem monarchii parlamentarnej, a nie republiki; nowocześnie republika francuska po restauracji królestwa i dwukrotnych konwulsjach cesarskich powstała dopiero na początku dwudziestego stulecia. Co do rewolucji bolszewickiej, przestała być ona w ogóle przykładem „klasycznym”, a stała się olbrzymim przewrotem zbrojnym, którego następstwa, rzecz można, poszły w rozsypkę. Nawet Eric Hobsbawm, który uważa rewolucję październikową za równie ważną dla wieku XX, jak Rewolucja Francuska dla wieku XIX, uznaje, że „model sowiecki” upadł ostatecznie⁵.

Rzecz jasna nie mówię tu niczego własnego o realnym przebiegu którejkolwiek z wielkich „podręcznikowych” rewolucji, ponieważ nie prowadziłem nad nimi badań, a gigantyczną literaturę przedmiotu znam ułamkowo, choć czytywałem pasjami. Idzie mi tylko o wyobrażenia porządkujące różne narracje historyczne, gdyż są one wyraźne i wyraźnie też zmienione – od aktu rewolty i zdobycia władzy, do serii działań politycznych i militarnych, od selektywnej wiązki czynów do wielostronnego przedstawienia procesualnego, od

wydarzeniowości politycznej do złożoności gospodarczej, kulturowej i społecznej. *Prześlona rewolucja* Andrzeja Ledera jest dobrym przykładem zmiany tego sposobu widzenia rewolucji, a odnosząc się do Polski dwudziestowiecznej, o której zakres czasowy będziemy się spierać, zajmuje się procesem realnym, nie zaś typem idealnym. Można nawet powiedzieć, że autor tej książki odwraca założenie klasyczne dotyczące rewolucji nowoczesnej, pokazuje bowiem, że w polskim przypadku nie tylko nie zaszła współbieżność przemian społecznych oraz „ideologii”, czyli podług niego *uniwersum symboliczne*, lecz także znalazły się one w wyraźnej kontradycji.

Rewolucję tę, jego zdaniem, *prześlono* w tym sensie, że jej społecznych następstw nie przyjęto do wiedzy zbiorowej, a właściwie do świadomości i nieświadomości łącznie, jeśli składają się one na fenomen nazywany psychiką lub mentalnością społeczną. Polskie *uniwersum symboliczne* albo *imaginarium* pozostało anachroniczne przez półwiecze, orzeka Leder, a po roku 1989 może jeszcze bardziej niż przed nim. Otóż ja się zasadniczo zgadzam z tym orzeczeniem, na potwierdzenie nie wyliczę wszystkich opracowań, które od mojej pierwszej książki o Brzozowskim skupione są na zmianie tego *imaginarium*, a po mojemu wzoru kultury. Poprzestaję na jednym tylko zdaniu, opublikowanym dość niedawno: *społeczeństwo zasadniczo demokratyczne, o rodowodzie przede wszystkim plebejskim, nie znajduje właściwego wyrazu w panującej sferze symbolicznej, w której dominują przeżytki szlacheckiego*⁶.

5. Spór o początki

Co potwierdzając, przechodzę do polemiki z historycznym wykładem autora *Prześlonej rewolucji*. Zgadzam się z procesualnym widzeniem polskiej rewolucji nowoczesnej, które rozwija Andrzej Leder, nie zgadzam się z proponowaną i przestrzeganą w toku całego wywodu segmentacją czasową, czyli periodyzacją. Sądzimy podobnie, iż rewolucja nowoczesna polega na przejściu od społeczeństwa agrarnego do industrialnego, wiejskiego do miejskiego, ziemiańskiego do mieszczańskiego, feudalnego do demokratycznego. Takich typologicznych biegunów można wymienić więcej, gdyż klasycy socjologii namnożyli ich niemało, ale wystarczy tutaj wskazanie samego kierunku przemian. Podkreślałam, że ich realny przebieg jest zawsze szczególny i nie pokrywa się z żadnym typem idealnym. W Polsce zatem przemiany te przebiegały nie tylko odmiennie niż w Anglii, gdzie nieomal „klasycznie”, ale również inaczej niż w Czechach, Danii czy Litwie, a w tych trzech krajach wobec siebie też dość różnie. Respektowanie swoistości jest potrzebne historykom społecznym w podobnej mierze, co historykom sztuk pięknych.

Leder w swojej książce operuje głównie dwiema segmentacjami czasowymi: 1939-1945 i 1939-1989. W obu tych periodyzacjach data początkowa jest, jak widzimy, identyczna i oznacza początek polskiej rewolucji, czyli przechodzenia od społeczeństwa wiejskiego do miejskiego, chłopskiego do mieszczańskiego, a wyznaczana jest przez wrześnieowy najazd dwóch obcych mocarstw i jego przewrotowe skutki. Daty końcowe są różne, ale ich uzasadnienie nie budzi wątpliwości, rok 1945 oznacza kulminację przemian rewolucyjnych, przeto zamyka ich pierwszy okres, data 1989 orientuje

nas, z kolei, że mamy do rozważenia dość długi, gdyż półwieczny proces przemian społecznych. Periodyzacja ta nie jest formalnym tylko porządkiem czasowym, lecz ma silne oparcie w autorskim sposobie rozumienia całego procesu. Proces ten bowiem, zdaniem Ledera, poruszany był wyłącznie czynnikami zewnętrznymi i to dlatego podwójny najazd wrześnieowy rewolucję tę inicjuje. Następstwem wojny stała się zagłada Żydów podczas okupacji niemieckiej oraz eliminacja ziemianstwa, najpierw na ziemiach wschodnich po wkroczeniu Armii Czerwonej, a po zwycięstwie Stalina na całym powojennym terytorium państwowym. Co skutkowało narodzinami mieszczaństwa polskiego, a właściwie wywodzącego się głównie z chłopów drobnomieszczaństwa, stanowiącego podwalinę współczesnej klasy średniej.

Logika tego wywodu, jeśli nie jego arytmetyka (trzy minus dwa równa się jeden, następnie dzielony na dwa), wydaje się bezbłędna, czego nie da się powiedzieć o jego zgodności z rzeczywistym procesem historycznym. Całkowicie przecież został w nim pominięty pierwszy wielki ruch modernizacyjny, jaki dokonywał się w Polsce na przełomie XIX i XX wieku, a którego kulminacją była rewolucja 1904-1906 roku, notorycznie eliminowana przez publicystów i historyków prawicowych⁷. Andrzej Leder wspomina ją marginalnie i nie wzbogaca ona jego „logiki historycznej”, co mnie dziwi. Najważniejszymi i trwałymi przejawami tamtego modernizacyjnego przełomu było powstanie wielkich miast i koncentracja w nich przemysłu, unaoczniona najpierw przez Władysława Reymonta, a potem przez Andrzeja Wajdę w *Ziemi obiecanej*. Pociągało to za sobą dominację gospodarki rynkowej nad folwarczną i naturalną, a demaskacja „władzy pieniądza” stała się jednym z kluczowych tematów literatury modernistycznej, inaugurowanym przez szkolną przecież lekturę *Doktora Piotra*. Ludwik Krzywicki odślawiał ją w *dziennikarstwie, sztuce i nauce*, był bowiem pewien, że rodzi się właśnie nowy typ kultury, nazwanej później masową.

Idzie za tym, oczywiście, rozrost mieszczaństwa i klasy robotniczej, której czynna obecność w wydarzeniach rewolucyjnych zdumiewa i fascynuje twórców tak wybitnych, jak Stefan Żeromski, Stanisław Brzozowski, Andrzej Strug, Witold Wojtkiewicz. W społeczeństwie polskim nowoczesne stosunki klasowe zaczynają przeważać nad anachronicznymi zależnościami stanowymi, przewagę tę wzmacniają także ruch emancypacji kobiet i otwierające się „stulecie dziecka”. Potężne fale emigracji zarobkowej do Chicago, Westfalii i francuskiego Nordu również stosunki te wzmacniają. To prawda, że kapitalizm ten pozostaje ciągle, jak oceniają to historycy gospodarki, „wyspowy”, ale oddziaływanie jego wysp na całe otaczające terytorium euroazjatyckie ma nie fantazyjne, choć literackie świadectwa. Już w *Lalce* sięga ono Moskwy i Bałkanów, w *Przedwiośniu* – Morza Kaspijskiego, a we *Wzgórzu Błękitnego Snu* – całą Syberii.

Historycznym następstwem tych rewolucyjnych w swej istocie przemian jest to, że dominację ideową traci bezpowrotnie ziemianstwo, a przejmuje ją inteligencja miejska, specyficzny odpowiednik mieszczaństwa w tej peryferyjnej stronie Europy. Inteligencja ta pochodzi głównie ze zubożałej i zrujnowanej szlachty, ale jest grupą pracującą nierzadko sproletaryzowaną.

To ona współtworzy najważniejsze zespoły idei nowoczesnych, wokół których skupiają się ruchy społeczne przybierające formy partii i stowarzyszeń: socjalizm, nacjonalizm, agraryzm, liberalizm, które w różnych swoich przeobrażeniach działają przez całe stulecie, jeśli nie do naszych dni. Nacjonalizm będzie się radykalizował, socjalizm różnicował, agraryzm osiągnie szczyty w dwudziestoleciu międzywojennym, liberalizm przez dekady pozostanie literackim, aby upolitycznić się *po komunizmie*⁸.

Rewolucyjna seria wydarzeń 1904–1906 jest przełomowa w wielu zakresach, z których podkreślam najważniejsze: naród nowoczesny okazuje się zespołem konfliktowych klas społecznych, a nie romantyczną wspólnotą lub naturalistycznym organizmem; odrodzona idea niepodległości uzyskuje oparcie plebejskie, czyli robotnicze i chłopskie; ruchy polityczne z grup „kółkowych” stają się organizacjami masowymi; wokół tych organizacji powstają również całe formacje kulturalne i rozgrywają się wtedy wielkie polemiki o wzór tożsamości historycznej, czyli o *zakon polskości*. Kończy się wreszcie nasz wiek XIX, może piękny, lecz zapóźniony, gdyż podstawowym odniesieniem kulturalnym była w nim ciągle „sprawa chłopska”, jej miejsce zajmuje teraz „sprawa robotnicza”, której nie może już pominąć żaden poważny ruch polityczny ani kulturalny. Pod koniec wieku XX zostanie ona swoiście dopełniona w „Solidarności”, jako wydarzeniu powszechnodziejowym, a nie tylko krajowym.

Wszystkie te wcześniejsze przemiany musiały przestać być postulatami ideowymi i nabrać ciała społecznych, skoro możliwy okazał się Manifest Tymczasowego Rządu Republiki Polskiej utworzonego w Lublinie (7 listopada 1918) przez socjalistów i ludowców, którego premierem był Ignacy Daszyński. Skierowany do *robotników, włościan i żołnierzy polskich*, oznajmiał powstanie niepodległej *Polskiej Republiki Ludowej*; przeprowadzenie demokratycznych, powszechnych, *bez różnicy płci*, wyborów parlamentarnych; równouprawnienie wszystkich obywateli *bez różnicy pochodzenia, wiary i narodowości*; wprowadzenie *ośmiogodzinnego dnia roboczego; reorganizację na zasadach szczerze demokratycznych samorządów* wszystkich szczebli, *wolność sumienia, druku, słowa, zgromadzeń, pochodów, zrzeszeń, związków zawodowych i strajków; przymusowe wywłaszczenie i zniesienie wielkiej i średniej własności ziemskiej, prawo o ochronie pracy, ubezpieczeniu od bezrobocia, chorób i na starość; wprowadzenie powszechnego, obowiązkowego i bezpłatnego świeckiego nauczania szkolnego*⁹. Był to tak wymowny i postępowy akt historyczny, że współczesna prawica przemilcza go doszczętnie w swoich rocznicowych obchodach. Polska Ludowa, jak widać, była już wtedy społecznym dezyderatem, a nie psychicznym fantazmatem.

Rzecz jasna stopień realizacji tych wszystkich założeń programowych w toku Dwudziestolecia był różny i zmienny, choć zostały one przyjęte zasadniczo przez pierwszy Sejm Rzeczypospolitej. Prawa wyborcze kobiet zapewniono, równouprawnienie wszystkich obywateli pozostawało formalne, o konsekwentne przeprowadzenie reformy rolnej zmagano się latami, co najlepiej poświadcza biografia Juliusza Poniatowskiego, pierwszego i ostatniego ministra reform rolnych. Mimo

budowy Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego, w którym zatrudniono około 100 tysięcy nowych robotników pochodzących z biednych wsi, umiastowienie przebiegało zbyt wolno. W roku 1921 odsetek ludności miejskiej wynosił 21, w 1938 osiągnął 29, z czego jedna czwarta (dokładnie 24, 9 proc.) żyła w miastach poniżej 10 tysięcy mieszkańców. Wprowadzenie powszechnego, obowiązkowego i świeckiego nauczania szkolnego również natrafiało na przeszkody, choć licea były na wysokim poziomie, to ze świeckością mamy problem do dzisiaj. Ja tu jednak nie toczę sporu z Andrzejem Lederem o ocenę Polski międzywojennej w jej kolejnych, często dramatycznych, epizodach. Nie sporządzam też żadnego bilansu historycznego, tym bardziej że nie wierzę ani w logikę historii, ani w jej arytmetykę.

Podkreślam tylko, że w wiarygodnej interpretacji procesu długiej polskiej rewolucji nowoczesnej nie można pominąć odzyskania i urzeczywistnienia niepodległego państwa, jak czyni to autor *Prześlionej rewolucji*, za główny impuls modernizacyjny uznając wrześnieowy najazd obcych potęg. II Rzeczpospolita dygotała od wewnętrznych napięć, gospodarczych trudności, społecznych sprzeczności, etnicznych konfliktów i kulturalnych ekspresji, z których czerpiemy do dzisiaj. Pozbawienie naszych dziejów nowoczesnych twórczego działania ludzkich czynników własnych jest dalekie od prawdy historycznej i odpowiada szablonowi niepodległości wyzbytej *imaginarium* lewicowego, który właśnie się upowszechnia wszystkimi możliwymi środkami – od pałaców władzy poprzez fortece mediów po siedziby szkół i przedszkoli. Powinniśmy umieć temu zaradzić, ale nie da się tego zrobić przez samą negację.

6. Zakłamywanie rewolucji

„W Polsce międzywojennej strajki chłopskie lat 20. »osunęły się« się w pogromy, takie jak w Przytyku”, pisze Leder podpierając tę opinię cytataми ze świetnego reportażu Ksawerego Pruszyńskiego (s. 113/114). Zdanie to, wybrane dla zwięzłości, wskazuje punkt krzyżowy mojej niezgody z koncepcją *Prześlionej rewolucji*. Jest oczywiście prawdą, że w tymże Przytyku 9 marca 1936 roku doszło do pogromu żydowskich sklepów i straganów, których sprawcami byli głównie przybyli na jarmark chłopi, zaś ofiarami krwawego starcia stało się trzech Żydów i jeden z napastników. Do podobnych wydarzeń doszło w tym samym czasie również w Grodnie, Mińsku Mazowieckim, Brześciu i Częstochowie, co nie wzmacnia opinii autora o tym, że strajki chłopskie „osunęły się” w pogromy, gdyż Grodno, Brześć i Częstochowa były to spore ośrodki miejskie, a nie miasteczka targowe. Ponadto pogromy te nie były żywiołowe, lecz sterowane przez endecję, będąc ważnym, jeśli nie flagowym składnikiem jej ówczesnej praktyki politycznej. Dawała ona o sobie znać również na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie „żyłtarczami” nie byli chłopi, lecz pochodzący z „dobrych rodzin” korporanci, oenerowcy i falangiści: *Zbieszczeszczoną ulicą „kwiat narodu” idzie: śmietanka, paniczki, pieszczoszki - bandyci*¹⁰.

Historycy potwierdzają, że po śmierci Piłsudskiego „rządy pułkowników” ulegały coraz bardziej nacjonalistycznej presji, ale same tych praktyk nie uprawiały i usiłowały nieudolnie im zapobiegać. Ani endecja, ani

też sanacja jednak mnie tu nie przejmują i nie będę o nie kruszył kopii, lecz chłop i ich uogólniona ocena, która nie jest sprawiedliwą. Oto mój przykład koronny – masowy strajk chłopski, kierowany przez Naczelny Komitet Wykonawczy Stronnictwa Ludowego, nastąpił rok po tamtych pogromach, dokładnie w dniach 16-25 sierpnia 1937 r. Przeprowadzono go w ponad stu powiatach, a objął tereny zamieszkane przez 8 milionów ludzi (głównie Małopolska, Kieleckie, Lubelskie, Mazowsze). Interwencja władz sanacyjnych była bezwzględna, wojsko i policja zabiły 44 osoby, kilkaset zostało rannych, aresztowano około pięciuset strajkujących, spacyfikowano dziesiątki wsi. W znanych mi opracowaniach nie natrafiłem nigdzie na żadną wzmiankę o tym, aby ten Wielki Strajk Chłopski, jak bywa czasem nazywany, „osunął się” gdziekolwiek w pogrom, chociaż sąsiednie miasteczka w tych regionach zamieszkiwali głównie Żydzi. Niewątpliwie natomiast sam z siebie się nie rozwiązał, lecz został siłą państwa rozgromiony.

Otóż między tezami głównymi *Prześlionej rewolucji* a rzeczywistością społeczną, do której się odnosi, zachodzi relacja analogiczna do tej, jaką uzyskaliśmy zestawiając te dwa wydarzenia: pogrom w Przytyku i masowy strajk chłopski. Pierwszą tezę główną Ledera już powtarzałem: zagłada Żydów, głównie zamieszkałych w miastach i miasteczkach, dokonana przez Niemców przy współudziale Polaków, umożliwiła biednym chłopom umiastowienie, bo zajęli oni mieszkania, sklepy, warsztaty Żydom odebrane. Ci właśnie, mrocznie, jeśli nie zbrodniczo, postępujący rabusie stali się nowym polskim mieszczaństwem, a mieszczaństwo to potem, przez kolejne awanse społeczne (w Polsce Ludowej, czego autor nie podkreśla) oraz następstwo rozrastających się pokoleń, okazuje się współczesną klasą średnią. Jeśli dzisiaj klasa ta ilościowo jest społecznie dominującą, to jakościowo pozostawia wiele do życzenia, ponieważ nie jest w stanie zmienić dominującego, anachronicznego *imaginarium symbolicznego*, czyli jak to określam – wzoru kultury. Zdaniem Ledera nie jest w stanie tego zrobić dlatego, że rewolucję, która ją społecznie wyniosła, ona *prześlinała*, a raczej *wyparła* z siebie, ze względu na jej mroczny początek i wstydlivą przeto genealogię własną.

Mimo spójnej konstrukcji logicznej oraz sprawnego dyskursu filozoficzno-psychologicznego, całe rozumowanie Ledera zdaje się opierać na nie wystawionej wprost, lecz odczuwalnej przesłance moralistycznej. Trzeba ujawnić i przyjąć winy własne wiążące się z udziałem w eliminacji Żydów, zaborem ich własności, wzbogaceniem i awansem, aby dokonać symbolicznego choćby zadośćuczynienia. Uwolnienie się od zmór przeszłości pozwoli stanąć prosto, z jasną twarzą, otwartym okiem i sprawną głową wobec wyzwań przyszłości. Nie mam nic przeciwko takiej moralistyce, szczególnie dlatego, że wywodzi się ona z kultury chrześcijańskiej, z której i ja pochodzę. Podejrzewam jednak, że może ona być skuteczna i taką bywa wobec osób poszczególnych, zawodzi jednak, a nawet staje się niebezpieczna, gdy przenosi się ją na zbiorowość, a w książce Ledera jest mowa wyłącznie o podmiotach zbiorowych: chłop, pan, Żyd (lub żyd).

Czy możemy chcieć, żeby pewnego dnia potomkowie polskich szmalcowników, granatowych policjantów i kolaboranckich zabójców, również szewczy-

ków zajmujących pozbawione właścicieli warsztaty, bezdomnych chłopów osiadających w ograbionych mieszkaniach oraz przymusowych przesiedleńców z Warthegau do Generalnej Guberni, którym przydzielono pożydowskie siedliska, poszli wszyscy na plac, jak wzywała Rodiona Raskolnikowa Sonia Marmieladowa i wyznali zbiorowo, dokonane lub domyślne winy swoich przodków? Czy nie byłby to raczej seans nienawiści podobny tym, które urządzali maoiści, niż jakiegokolwiek chrześcijańskie czy judaistyczne zadośćuczynienie? I zapewne zaraz pojawiliby się na nim czarni hunwejbini nadzorujący właściwymi sobie środkami szczerość każdego wyznania. Ciąg dalszy łatwo sobie dopowiedzieć.

Moim zdaniem to, co być powinno osobowym uprzytomnieniem moralnym, nie może być egzorcyzmem zbiorowym. Andrzej Leder, będąc psychologiem jest tego zapewne świadomy, ale jego wywód w tej kwestii pozbawiony jest konkluzji. Ma on jeszcze inną słabość, łatwiej dającą się wykazać. Autor *Prześlionej rewolucji* bierze bowiem część za całość i wszystkie ruchy migracyjne, jakie nastąpiły podczas obu okupacji lat 1939–1945, a także po nich, utożsamia z jednym, tym, w którym polscy chłopci zajęli pożydowskie miejsce i mienie. W tym samym przedziale czasu jednak najpierw około 900 tysięcy Polaków wysiedlili Niemcy z ziem wcielonych do Rzeszy, podobną liczbę mieszkańców RP ekspediowali na wschód Sowietów w latach 1939–1941; prawie półtora miliona osób, przeważnie młodych mężczyzn i kobiet wywieziono na roboty do Niemiec; półtora miliona przedwojennych obywateli polskich ze wschodu zasiedliło Ziemie Odzyskane w pierwszych latach powojennych, a drugie tyle przybyło na nie z Polski centralnej i z emigracji; ponad dwa miliony przedwojennych „ludzi zbędnych” zaraz po wojnie udało się ze wsi do miast. Zimnowojenna, ciężka i nieefektywna, jak się okazało, industrializacja lat 1949–1954, upamiętniona *Następnym do rajy* Marka Hłaski, *Poematem dla dorosłych* Adama Ważyka i *Człowiekiem z marmuru* Andrzeja Wajdy spowodowała przeniesienie do miast ponad trzech milionów pracowników i daleko idące zmiany w strukturze zatrudnienia. Proporcje wiejsko-miejskie zostały w Polsce na zawsze już odwrócone, rosły bowiem stale na korzyść miast.

Nie sumuję tych wszystkich, orientacyjnych zresztą, danych, ponieważ nie chodzi mi o statystykę, ale o pobudzenie wyobraźni. Oto mamy bowiem w latach 1939–1956 największy w naszych dziejach i jeden z największych w Europie czas prawdziwej „wędrowności ludu”. Z wielkim trudem znaleźlibyśmy taką polską rodzinę, w której nikt wtedy nie ruszył się z miejsca, albo czas jego nie został poruszony. Zatem rewolucja trwała, zmiany struktur społecznych były szerokie i głębokie, a jej sploty wielokrotne i wielostrunowe: jak w rodowodach uczestników zespołu „Mazurek”. Nie sprowadzają się one do tej jednej czarnej linii, na której skupił się autor *Prześlionej rewolucji*, choć ma on rację, że trzeba ją uznać i uświadomić¹¹. Problem współczesnej klasy średniej polega istotnie na tym, że pochodzi ona z tych wszystkich przekształceń, które historycznie wiążą się z Polską Ludową, ale nie jest w stanie tego przyznać i przyjąć. Ona nie śpi, ani nie śni – ona się zakłamuje.

7. Dwa obrazy herbowe

Andrzej Leder z pewnym przejęciem przytacza scenę skuwania herbu Potockich znad bramy ich pałacu w Łańcucie przez nasłanego aktywistę reformy rolnej (s. 135). Napatrzyłem się dość na niszczenie różnymi środkami wielu symboli i nie cierpię takich aktów. Przypominam sobie jednak, że dziedzicem Łańcuta był wtedy Alfred Antoni Potocki (1886-1958), którego fortuny rolnej, przemysłowej i finansowej nikt chyba w Polsce przedwojennej nie przebijał, ale nie wpływała ona dobroczynnie na okolicznych chłopów, bo strajkowali często, a w roku 1933 zorganizowali dwunastotysięczny „marsz na Łańcut”, rozpędzony, rzecz jasna, przez policję i wojsko. Nie wiem, kto z nich brał udział w powojennej parcelacji dóbr łańcuckich, ale na pewno nie było ich mało. Ordynat Potocki należał do szczytów ówczesnych kosmopolitycznych elit towarzyskich, obiadował z królami, polował z premierami, grał w tenisa z Glorią Swanson. Dzięki gościnie udzielonej Ribbentropowi oraz zażyłości z Goeringiem przeżył spokojnie okupację niemiecką, odmawiając współpracy z Armią Krajową. Gdy wojna miała się ku końcowi, zdążył kilkoma specjalnymi wagonami wywieźć do Wiednia najcenniejsze obiekty z łańcuckich zbiorów (w tym dzieła Goyi, Fragonarda, Canovy), co zapewniło mu potem wystawne dożywocie. Sprawa była w kraju bardzo głośna, chłopcem będąc czytywałem ostre potępienia rodzimego grabienia rozgrabionej ojczyzny. Pisano wtedy oczywiście, że skarby te były własnością narodu, gdyż pochodziły z pracy podległego ludu, co przecież jest prawdą. Nie rozwodzę się nad nią jednak, bo wolę pamiętać, co w tym samym czasie robił Stanisław Lorentz. W lipcu 1945 roku na przykład odnalazł on w Przesiece, zrabowane przez Niemców dzieła Jana Matejki: *Unia Lubelska*, *Rejtan*, *Batory pod Pskowem*. Wieś nazwano bezpośrednio po tym Matejkowicami, a działo się to akurat w moim rodzinnym wtedy, czyli jeleniogórskim, powiecie. Niemcy już w grudniu 1939 wygnali moich rodziców z Rawicza do Tarnobrzegu (czyli z Warthegau do Generalgouvernement), gdzie się urodziłem, a pod Karkonosze przybyliśmy zaraz po wojnie jako własnowolni uczestnicy „wędrowki ludu”.

Drugi obrazek jest również herbowy i poniekąd rodzinny, choć nie mam żadnych arystokratycznych paranteli. Dezydery Chłapowski (1788-1879), dziedzic Turwi i Rąbinia oraz wsi okolicznych w powiecie kościańskim, zapisywany jest historycznie z rangą generała, choć jego dzieła były głównie pokojowe. To prawda, że początkowo kształcił się na oficera pruskiego, lecz w pamiętnym roku 1806 wstąpił do armii napoleońskiej, został adiutantem Dąbrowskiego, gwardzistą i ordynansem Cesarza, osobiście zaufanym. Brał udział w wojnach pruskiej, hiszpańskiej, austriackiej i rosyjskiej, a za dzielne stawanie w polu nadano mu tytuł barona, którego nie używał. Pod Somosierrą nie szarżował, lecz opatrywał rannych, po moskiewskim odwrocie podobno gościł Napoleona w Turwi, ale rozstał się z nim z powodu „sprawy polskiej”. Na tym nie skończyły się jego wyczyny wojenne, gdyż dwadzieścia prawie lat później na wieść o wybuchu powstania w Królestwie Polskim, przystąpił do walki, wziął udział w bitwie pod Grochowem, pod koniec został dowódcą na Litwie, a po przekroczeniu granicy ze swoim korpusem Prusacy internowali go w Szczecinie, gdzie napisał podręcz-

nik *O rolnictwie*. Można to uznać za godło całego jego życia, bo choć jeszcze w roku Wiosny Ludów i powstania poznańskiego wdał się w jakieś poczynania zbrojne, to naprawdę od lat pierwszej dojrzałości zajmował się gospodarzeniem i uspołecznieniem.

Najpierw wykupił z rąk ojca, rujnowane przez niego rodzinne dobra, potem pojechał do Anglii, gdzie służył również za fernala, aby wiedzieć, jak pracować na roli, a po powrocie wprowadził płodozmian, nowe rasy bydła, ziarno kwalifikowane i pierwsze młocarnie mechaniczne. Wspólnie z mieszczańskim i lekarzem Karolem Marcinkowskim prowadził rozległą działalność społeczną, stając się pionierem pracy organicznej. Nie można go pominąć w żadnym opracowaniu nowoczesnej historii Polski i każda też encyklopedia zawiera jego biogram. Dlatego pomijam wiedzę ogólną i poprzestaję na tym co szczególne, a w pewnym zakresie rodzinne. Otóż Dezydery Chłapowski był jednym z pierwszych ziemian polskich dokonujących samorządnej parcelacji swoich gruntów na rzecz włościan. Rodzina mojej mamy zamieszkuje w sąsiedztwie Turwi małą wieś Rogaczewo, która swój przydomek Wielkie, zawdzięcza temu, że w odróżnieniu od większego, lecz folwarcznego, Rogaczewa Małego, z dawien dawna jest wsią wolnych gospodarzy. Zapewne więc moi przodkowie zostali uwłaszczeni przez Dezyderego Chłapowskiego wtedy, kiedy po powrocie z Anglii (1819-1820), dokonał on również pamiętnego aktu symbolicznego. Ze szczytowej ściany swego pałacu w Turwi zdjął mianowicie herb i powiesił na niej zegar. Jeśli rewolucja oznacza zmianę doświadczenia czasu, to na wsi polskiej on ją rozpoczął.

8. Wszystko dłużej i trudniej

Czy chcę powiedzieć, że ta długa, nie pojęta rewolucja, którą umieściłem w tytule, zaczęła się o wiele wcześniej niż dotąd pisałem, bo nie pod koniec XIX wieku, lecz na jego początku? Nie, tego nie twierdzę, choć Tadeusz Łepkowski, w podstawowym dziele naszej historiografii *Polska - narodziny nowoczesnego narodu, 1764-1870*, zapowiedzi modernizacji wykrywał już w połowie wieku XVIII. Jak widać z dat granicznych, pracował nad procesem ponadstuletnim, zobowiązujące wnioski jego wywodów wskazywały jednak, że konstytuowanie nowoczesnego narodu, to znaczy klasowo zróżnicowanego, dokonywało się w ostatnich dekadach XIX wieku, a nie przed 1870. Na przykład inteligencja, która według niego pojawia się już w drugiej połowie osiemnastego stulecia, samodzielną siłą społeczną staje się właśnie pod koniec stulecia dziewiętnastego i to wtedy, kiedy lud wiejski i miejski przechodzą ewolucję od poglądów stanowego typu do świadomości klasowej.¹² Zwracam uwagę, że nie chodzi o samo uformowanie się takich grup, lecz także o ich uświadomienie. Współbieżność obu takich procesów, jak już wiemy, jest nieodzowna do spełnienia rewolucyjnych przemian, choć osiągalna tylko w długiej perspektywie czasowej.

Zawiązki i pomysły, idee i wyobrażenia, nawet pierwsze realizacje bywają nieraz bardzo wczesne, prekursorskie, jak w dziele Dezyderego Chłapowskiego, który sadził również istniejące do dzisiaj ochronne pasy leśne. Ale pospolity paradoks kraju peryferyjnego, czyli zapóźnionego, polega na tym, że idee pozostają w nim odosobnione, wyobrażenia się nie ucieleśniają,

a pierwsze realizacje, nieraz zdumiewające, pozostają bezpotomne. Uniwersał połaniecki Tadeusza Kościuszki, manifesty Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, Gromady Ludu Polskiego, demokratyczne powstanie krakowskie 1846 i poznańskie 1948 roku, radykalna reforma uwłaszczeniowa „czerwonych”, stordedowana przez carat – wszystko to są poszczególne akty tego samego dramatu – odświętnych, podniosłych idei i powszedniego, poziomego niespełnienia, długo ciążącego nad naszymi dziejami. Nie umiem powiedzieć, jakim ukrwieniem i unerwieniem doświadczenia takich pragnień i niepowodzeń, projektów i porażek, planów i klęsk składają się na zbiorową wolę gruntownego przekształcenia, która wreszcie nabiera kośćca i ciała, aby dojść do społecznego skutku. Ale wiem, że w XX wieku, od jego zarania to właśnie się dokonywało, a teraz musi zostać powszechnie pojęte i przyjęte.

Prawdą jest otóż, że w toku tamtego stulecia przeprowadziliśmy się ze wsi do miast i proporcje ludności miejskiej i wiejskiej zostały odwrócone.¹³ W tej przeprowadzce epizod okupacyjny związany z zagładą Żydów jest niezaprzeczalny, ale nie jest jedyny. Co ważniejsze – w ostatnich dekadach umiastowienie staje się urbanizacją, obejmującą również mieszkańców wsi, to znaczy zmianą kulturową, wyrażającą się w przewadze związków wybranych i postaw jednostkowych.

Dopełniona została również rozpoczęta na przełomie XIX i XX wieku przemiana anachronicznego społeczeństwa stanowego w nowoczesny naród klasowy. Podziały współczesne nie są dobrze rozpoznane i ciągle dyskutowane, ale nie ulega wątpliwości, że wzrasta klasa średnia, o plebejskim przeważnie rodowodzie, współczesny odpowiednik dziewiętnastowiecznego mieszczaństwa. Choć zdobywa społeczną dominację, nie wyrabia sobie i państwu zdobywczej samowiedzy i symboliki. Wyzwolenia z satelickiej zależności wobec Związku Radzieckiego i odzyskania pełnej niepodległości Polacy dokonali nie powstańczą partyzantką, lecz w drodze pokojowej, systematycznie powiększając sfery wolności religijnej, naukowej, artystycznej i literackiej, a stanowi wojennemu stawiając opór cywilny. Narzucona wojenną decyzją wielkich mocarstw radykalna dyslokacja kraju okazała się nadzwyczaj korzystna, ponieważ przeniosła nas z peryferii Europy do jej centrum oraz ułatwiła akces do Unii Europejskiej. Została też własnowolnie przyjęta, co wyraża się w coraz lepszym zagospodarowaniu tzw. Ziemi Odzyskanych.

Istotna, a nie retoryczna okcydentalizacja polskiej świadomości zbiorowej pozostaje jednak ciągle zadaniem. Mimo wszystkich tych przemian w naszej religijności panuje ciągle wzór „Polaka-katolika”, politycznie eksploatowany i propagandowo manipulowany. Sprzeczność tego zrostu identyfikacji narodowej i wyznaniowej z narastającą indywidualizacją oraz autonomizacją postaw osobistych jest coraz mocniejsza i będzie musiała zostać należycie rozwiązana.

Teraz już wiem, dlaczego tak mnie pociąga tamta scena z *Zimnej wojny*. Jej bohaterka, mimo dramatycznego rozstania z ukochanym, bo o jego powrocie jeszcze nie wie, czuje się tak lekko, bo złożyła to wyznanie, które ciążyło jej na sumieniu. Może sobie teraz śpiewać wniebogłosy, unosząc się na wodzie, jak wyzwolona z siły ciążenia. Tak bywa w osobowym życiu poszczególnym i każdy pewnie pragnie takich chwil. Ale

w żadnym ze wskazanych powyżej splotów historyczno-społecznych nie wystarczy samo wyznanie, bo nawet przejrzyste rozpoznania w każdym z nich, zwłaszcza wszystkich razem, są nadzwyczaj trudne.

Czas, w którym powinny się dokonać, jest najtrudniejszy do określenia i tylko jedno jest pewne, to mianowicie, że nie pokrywa się z żadnym sezonem wyborczym i nie może być do niego sprowadzony. Ale rozstęp pomiędzy ciałem polskiej rewolucji a jej duchem, pomiędzy klasami dominującymi a upowszechnianym imaginariem symbolicznym, między strukturą społeczną a propagowanym wzorem kultury jest jednak coraz większy i grozi historyczną zapaścią. Dlatego nie ma chwili do stracenia i trzeba wypełniać odpowiednimi, czyli postępowymi sensami narastającą, powiększaną stale przez reakcję, pustkę. A nie da się tego zrobić przez pomijanie dramatycznych doświadczeń Polski Ludowej, chociaż można zapisywać ją w cudzysłowie.

Przypisy

- 1 Szerzej o tym w eseju *Arcydzieło zapoznane*, w tym tomie.
- 2 Por. *Młode pokolenie chłopów. Procesy i zagadnienia kształtowania się warstwy chłopskiej w Polsce*, t. 1-4, Warszawa 1938.
- 3 Zob. *Program Polski Ludowej (sierpień 1941)* w: *Polska myśl demokratyczna w ciągu wieków. Antologia*. W opracowaniu Manfreda Kriedla, Władysława Malinowskiego, Józefa Wittlina. Przedmowa do wydania polskiego Stefan Kieniewicz, Warszawa 1987, s. 372-379.
- 4 Andrzej Leder, *Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Warszawa 2014. (numery stron podane w nawiasach bezpośrednio po odwołaniach).
- 5 Zob. Krzysztof Pomian, *Jaki wiek XX*, w: tegoż autora *Oblicza dwudziestego wieku. Szkice historyczno-polityczne*, Lublin 2002, s. 9-52.
- 6 Andrzej Mencwel, *Tożsamość narodowa - napięcia i sprzeczności*, w: *Eseje o stuleciu*, Olszanica 2018, s. 165.
- 7 Zob. np. odpowiednie rozdziały w *Historii Polski, 1795-1918*, Andrzeja Chwalby, Kraków 2000, s. 371-384, 416-421. Oraz Wiktor Marzec, *Rebelia i reakcja. Rewolucja 1905 roku i plebejskie doświadczenie polityczne*, Łódź-Kraków 2016.
- 8 Jerzy Szacki, *Liberalizm po komunizmie*, Kraków 1994.
- 9 Zob. *Manifest Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej (7 listopada 1918)*, w: *Polska myśl demokratyczna w ciągu wieków...* wyd. cyt. s. 245-248.
- 10 Janusz Grot, *Korporanci idą!*, w: *Przeciw antysemityzmowi 1936-2009*. Wybór, wstęp i opracowanie Adam Michnik, t. I, s. 363. NB. Cały ten podrozdział antologii nosi tytuł *Korporanci idą (poezja i satyra)*, a w nim wiersze Antoniego Stojanowskiego, Kazimierza Iłakowiczówny, Świętopełka Karpińskiego, Edwarda Szymańskiego, Lecha Piwowara, Tadeusza Hollendra, Benedykta Hertza, Juliana Tuwima, Janusza Minkiewicza, Fryderyka Beritscha, Mieczysława Brauna, Maurycego Szymała.
- 11 Kazimierz Wyka pisał o tym nieomal bezpośrednio, bo podczas okupacji. Zob. rozdział *Żydzi i handel polski, w Gospodarce wyłączanej*. Kazimierz Wyka, *Życie na niby. Pamiętnik po klęsce*. Kraków-Wrocław 1984, s. 155-160.
- 12 Tadeusz Łepkowski, *Polska - narodziny nowoczesnego narodu 1764-1870*. Posłowiem opatrzył Jerzy Jedlicki. Poznań 2003., s. 128.
- 13 Szerzej o tych przemianach w studium: *„Wielki blok” i dyktando tożsamości*.

WŁODZIMIERZ LUTY

O AKTUALNOŚCI TEORII EKONOMICZNEJ MARKSA

O Marksie: „pamięć polska” versus „pamięć świata”

Karola Marksa oraz jego dorobek teoretyczny przypomina się, z reguły, w czasach kolejnych kryzysów gospodarczych o charakterze lokalnym i globalnym. W ostatnich latach znowu można zaobserwować ponadprzeciętny wzrost zainteresowania twórczością autora *Kapitału*. Wiąże się to z kryzysem światowych finansów lat 2007-2009 i jego skutkami: recesją wielu gospodarek lokalnych, załamaniem się globalnego wzrostu gospodarczego, wzrostem bezrobocia, pogłębianiem się nierówności społeczno-ekonomicznych i cywilizacyjnych na świecie.

Kryzysowi temu tygodnik „Time” poświęcił cały numer europejskiego wydania z 2 lutego 2009 roku. W środku numeru można było między innymi przeczytać: „Rynki zawiodły i tym samym zniszczyły potoczne przekonanie o tym, jak zapewnić wydajność gospodarczą. To trochę tak jakbyśmy znaleźli się w intelektualnej mgłę, globalny system pozycjonowania załamał się, a świat po omacku szukał najlepszego wyjścia”. Natomiast na okładce tegoż numeru znalazł się najbardziej znany na świecie portret Marksa z wiele mówiącym anonsem głównego tematu: *What would Marx think?*

George Soros, miliarder i spekulant finansowy, oskarżany między innymi o przyczynienie się do załamania gospodarki Rosji oraz wywołania tzw. kryzysu azjatyckiego w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, w książce poświęconej kryzysom współczesnej gospodarki światowej również przywołuje Marksa: „Kapitalizm (...) nie wykazuje najmniejszej skłonności do osiągnięcia stanu równowagi. Posiadacze kapitału dążą do maksymalizacji zysków. Polegając na własnej przemysłowości, będą kontynuować tę akumulację aż do naruszenia równowagi. Przed stu pięćdziesięciu laty Marks i Engels przedstawili bardzo dobrą analizę systemu kapitalistycznego – muszę przyznać, że pod pewnymi względami lepszą od teorii równowagi głoszonej przez ekonomię klasyczną”. (George Soros, *Kryzys światowego kapitalizmu. Zagrożenie dla społeczeństwa obywatelskiego*, Warszawa 1999, s. 25.).

Inny, tym razem anonimowy bankier z Wall Street, ocenił płodność i aktualność Marksowskiej ekonomicz-

nej analizy kapitalizmu w sposób, który może przekonać nie tylko specjalistę: „Im dłużej inwestuję na Wall Street – wyznaje ten zawodowy inwestor korespondentowi ekonomicznemu «New Yorkera» – tym bardziej jestem przekonany, że Marks miał rację. Ekonomista, który wskrzesi Marksa i włączy go w spójną teorię, ma w garści Nagrodę Nobla. Jestem absolutnie przekonany, że podejście Marksowskie daje najlepsze spojrzenie na kapitalizm” (cyt. za: Francis Wheen, *Marks. Kapitał. Biografia*, Warszawa 2007, s. 112.).

Oprócz ekonomistów praktyków, jakimi niewątpliwie są Soros i wspomniany bankier z Wall Street, ekonomię Marksa wysoko też cenią ekonomiści teoretycy. Dla autorów najbardziej popularnego na świecie wprowadzenia do ekonomii zatytułowanego *Economics* (czternaście wydań do 1993 roku) Paula A. Samuelsona i Williama D. Nordhousa, Marks był nie tylko znanym rewolucjonistą-praktykiem, ale również rewolucjonistą w nauce ekonomii: „Tak jak Galileusz, Newton, Einstein i Planck zrewolucjonizowali wyobrażenia w sferze fizyki, podobnie giganci ekonomii Smith, Marks, Marshall, Keynes przekształcili sposób pojmowania ekonomii, nawracając ludzi młodych i o otwartych umysłach”. (Paul A. Samuelson, William D. Nordhaus, *Ekonomia*, t. 1, Warszawa 2000, s. 36.).

W podobnym duchu o wielkości i „aktualności Marksa” pisze inny ekonomista, metodolog i historyk myśli ekonomicznej, Mark Blaug: „Żyjemy w czasach specjalizacji, co dotyczy nauk społecznych w nie mniejszym stopniu niż technologii. Ale właśnie dlatego powinniśmy studiować Marksa. Cokolwiek można by pomyśleć o ostatecznej słuszności marksizmu, tylko tępy umysł nie jest zdolny do czerpania inspiracji z heroicznego wysiłku Marksa, zmierzającego do konsekwentnego i spójnego ogólnego wyjaśnienia «praw ruchu kapitalizmu»”. (Mark Blaug, *Teoria Ekonomii. Ujęcie retrospektywne*, Warszawa 1994, s. 240.).

Główny rezultat owego heroicznego, intelektualnego wysiłku – *Kapitał* – został wpisany przez UNESCO na listę „pamięci świata” (*Memory of the World International Register*) i to w dwojakim znaczeniu: jako dzieło naukowe i jako dokument epoki niezwykle ważny dla

zrozumienia genezy i rozwoju naszej kapitalistycznej cywilizacji.

O szczególnym zainteresowaniu świata nauki *Kapitałem* świadczy między innymi to, że przetłumaczono go na ponad 50 języków świata i wydano w ponad 50 mln egzemplarzy. To *opus magnum* Marksa znajduje się na I miejscu w rankingu najczęściej czytanych i cytowanych dzieł naukowych w XX wieku. Nieprzypadkowo też, w plebiscycie zorganizowanym przez BBC na koniec XX wieku, Marks został uznany za największego myśliciela mijających 2 tysiące lat. Drugie miejsce w tym rankingu zajął Newton a trzecie – Einstein.

Dość osobliwie na tle owego zainteresowania cywilizowanego świata dorobkiem i osobą Karola Marksa, które ujawniło się też w związku z dwóchsetną rocznicą jego urodzin, wygląda polityka państwa polskiego, które za pomocą środków tak zwanej polityki historycznej i edukacyjno-naukowej próbuje wymazać z „pamięci polskiej” obecność dorobku Marksa oraz jego polskich i światowych kontynuatorów. Skrajnym wyrazem tej polityki jest realizacja w praktyce tak zwanej „ustawy dekomunizacyjnej”, mającej na celu „oczyszczenie” przestrzeni publicznych z nazw, symboli i nazwisk świadczących o obecności tradycji marksistowskiej w kulturze i polityce polskiej. Działaniem tej ustawy próbuje się też objąć działalność naukową, czego dowodem była prokuratorsko-policyjna „wizytacja” konferencji naukowej zorganizowanej w maju 2018 roku przez Uniwersytet Szczeciński w Pobierowie z okazji dwustuletniej rocznicy urodzin Karola Marksa.

Realizowana przez państwo polskie polityka wykreślenia obecności Marksa i marksizmu w kulturze polskiej jest nieudolną i skazaną na porażkę próbą zerwania związku „pamięci polskiej” z „pamięcią świata”. Towarzyszy temu wykreślenie z „pamięci polskiej” informacji o dorobku cywilizacyjnym PRL, w którym niemały udział miały ruchy polityczne i kulturalne odwołujące się do tradycji polskiego i międzynarodowego marksizmu, co prowadzi do negacji ciągłości państwowości polskiej przez warstwy panujące w państwie, mediach i w kościele katolickim. Warto zatem z okazji 200. urodzin Marksa oraz obchodzonej w roku ubiegłym 150. rocznicy ukazania się I tomu *Kapitału* zastanowić się nad aktualnością wyłożonej w tym dziele teorii ekonomicznej nie tylko z powodu potrzeby zrozumienia tego, co dzieje się w zglobalizowanym świecie kapitalistycznym, ale również dla podtrzymania związku naszej pamięci z „pamięcią świata”.

Wedle przytoczonych wyżej poglądów ekonomistów, aktualność „analizy systemu kapitalistycznego” Marksa można rozważać na dwa sposoby:

1) ekonomia Marksa daje lepsze, w porównaniu z konkurencyjnymi teoriami, wyjaśnienie problemów globalnej gospodarki kapitalistycznej;

2) teoria ekonomiczna Marksa może być pomocna choć niewystarczająca w wyjaśnianiu problemów gospodarki kapitalistycznej (podobnie jak fizyka Newtona w wyjaśnianiu mechaniki świata).

Intelektualna porażka ekonomii głównego nurtu

Według Sorosa, teoria ekonomiczna Marksa (TEM) pod pewnymi względami daje lepsze wyjaśnienie mechanizmów funkcjonowania gospodarki kapitalistycznej w porównaniu z „teorią równowagi głoszoną przez ekonomię klasyczną”. Porównanie tych dwóch teorii przez

autora *Kryzysu światowego kapitalizmu* nie jest przypadkowe. Otóż równowagowa teoria kapitalizmu (RTK) stanowi dominujący we współczesnym świecie paradygmat myślenia ekonomicznego poczynając od edukacji, a na badaniach i analizach ekonomicznych kończąc (naukowych, eksperckich i publicystycznych). RTK dostarcza narzędzi intelektualnych dla tego, co „Time” nazwał „globalnym pozycjonowaniem” w świecie biznesu, które zawiodło („jakbyśmy znaleźli się w intelektualnej mgłę”) w obliczu kryzysu finansowego lat 2007-2009.

Tę spektakularną „porażkę intelektualną” RTK poniosła na obu polach: mocy wyjaśniającej (minimalna) oraz siły prognostycznej (zerowa). Pierwsze dotyczy treści empirycznej teorii (brak wiedzy/informacji o wewnętrznych mechanizmach destabilizacji działalności gospodarki kapitalistycznej), drugie, zdolności prognostycznej (a właściwie jej braku gdy chodzi o kryzysy gospodarki kapitalistycznej).

Jedno i drugie znajdujemy w *Kapitale* Marksa. Dowodząc tego, spróbujmy najpierw odpowiedzieć na pytanie, dlaczego dominujący we współczesnym świecie nurt myślenia ekonomicznego zawiodł? Czym jest zatem równowagowa teoria kapitalizmu? Co ma do powiedzenia o mechanizmach funkcjonowania gospodarki kapitalistycznej i dlaczego poniosła „intelektualną porażkę” w obliczu nawiedzających gospodarkę kapitalistyczną kryzysów? Nawiasem, mimo tej „porażki” RTK nadal dominuje w edukacji, badaniach naukowych i publicystyce ekonomicznej we współczesnym świecie.

W skrócie, RTK jest strukturą logicznie powiązanych hipotez i matematycznych modeli ekonomicznych, opisujących racjonalne wybory podmiotów gospodarczych działających w systemie rynków i cen konkurencyjnych i decydujących w grze popytu i podaży o tym co, jak, ile i dla kogo ma być produkowane w warunkach ograniczonych zasobów, mających alternatywne zastosowanie.

Podstawą logicznych związków wynikania i uzasadnienia w RTK jest tzw. hipoteza *homo oeconomicus* (HE) – idea uniwersalnego, suwerennego podmiotu gospodarczego, będącego całokształtem potrzeb, zdolności, skłonności i pragnień, który jest niezależny od społeczeństwa i którego położenie w czasie i przestrzeni jest nieokreślone. Tak rozumiany *homo oeconomicus* występuje w roli konsumenta lub producenta, który liczy (jest racjonalny) zgodnie ze swoimi egoistycznymi interesami w celu maksymalizacji korzyści (maksymalizacji użyteczności w przypadku konsumenta i maksymalizacji zysku w przypadku producenta). Uogólnieniem owej praktyki *homo oeconomicus* na gruncie RTK jest twierdzenie o racjonalności jego działań w ogóle – problem wyborów w ogóle w warunkach ograniczonych środków. Rozwiązanie tego problemu przyjmuje matematyczną formę zadań na ekstremum. W rezultacie powstaje struktura teoretyczna łącząca w jedną całość:

(1) MRK – *model równowagi konsumenta* – rachunek wyboru najkorzystniejszej/optymalnej struktury konsumpcji, możliwości pracy i wypoczynku oraz podziału dochodu na konsumpcję i oszczędności w warunkach ograniczonych zasobów pieniężnych, majątkowych i możliwości zarabkowania konsumenta maksymalizującego użyteczność;

(1) MRP – *model równowagi producenta* – rachunek wyboru najkorzystniejszych/optimalnych technik wytwarzania, ilości produkcji oraz wielkości nakładów

w warunkach ograniczonych środków pieniężnych producenta maksymalizującego zysk;

(2) HDK – *hipoteza doskonałej konkurencji* – założenie analityczne o funkcjonowaniu rynku doskonale konkurencyjnego, na którym ceny na homogeniczne (identyczne) produkty są jednakowe dla wszystkich doskonale poinformowanych uczestników rynku, którzy biorąc udział w grze popytu i podaży i mając pełną swobodę wejścia na rynek i wyjścia z rynku, wytwarzają równowagi (oczyszczenia);

(3) MRO – *model równowagi ogólnej* – układ równań o $2n+2m-1$ zmiennych (n -dobra finalne, m -czynniki produkcji), którego rozwiązanie ma dowodzić istnienia zestawu cen i ilości, który równoważy wszystkie rynki w warunkach doskonałej konkurencji i zapewnia optymalną alokację zasobów oraz optymalny podział dostępnych dóbr;

(4) HRE – *hipoteza rynku efektywnego* – zgodnie z którą ceny giełdowe odzwierciedlają wszystkie niezbędne dla racjonalnych decyzji inwestycyjnych informacje o dostępnych aktywach;

(5) HRO – *hipoteza racjonalnych oczekiwań* – zgodnie z którą przyszłość jest przewidywalna i stanowi podstawę efektywnego zarządzania ryzykiem.

Szczegółową prezentację wymienionych w punktach 1-4 modeli racjonalnych działań podmiotów gospodarczych, które stanowią jądro RTK, można znaleźć w dowolnym podręczniku dla studentów I roku ekonomii w Polsce, który najczęściej jest zatytułowany, jak przypadku Bogusława Czarnego: *Podstawy ekonomii* (Warszawa 2017) oraz pod redakcją Romana Milewskiego i Eugeniusza Kwiatkowskiego także *Podstawy ekonomii* (wyd. 3, Warszawa 2015) czy Janusza Beksiaka *Ekonomia. Kurs podstawowy* (wyd.2, Warszawa 2014), bądź jak wspomniany wyżej *Economics* – przetłumaczony na język polski podręcznik dwóch autorów amerykańskich. Pozostałe modele są przedmiotem bardziej zaawansowanych studiów ekonomicznych z zakresu teorii finansów, inżynierii finansowej oraz zarządzania ryzykiem, czego dobrym przykładem jest opracowanie Krzysztofa Jajugi i Teresy Jajugi *Inwestycje. Instrumenty finansowe, aktywa niefinansowe, ryzyko finansowe, inżynieria finansowa* (Warszawa 2015).

W podręcznikach *podstaw ekonomii* z reguły nie podnosi się kwestii wartości poznawczych prezentowanych modeli. Nie porusza się w nich również problemu alternatywnych propozycji teoretycznych. Oczywiście, do *podstaw ekonomii* nie zalicza się tego, co na temat funkcjonowania gospodarki kapitalistycznej ma do powiedzenia Marks. Zresztą w owych *podstawach ekonomii* nie ma ani słowa o kapitalizmie, jest tylko bezosobowy rynek („system rynkowy”). Tę zmianę nazwy z „kapitalizmu” na „system rynkowy” John Kenneth Galbraith nazwał *ekonomią niewinnego oszustwa*: „Rzeczywiście trudno znaleźć określenie bardziej pozbawione znaczenia. (...) Tak więc to o systemie rynkowym nauczamy młodych. (...) W ten sposób nie dominuje żadna jednostka ani żadna firma. Nie wspomina się o żadnej ekonomicznej sile. Nie ma tu nic z Marksa ani Engelsa. Jest tylko bezosobowy rynek- nie całkiem niewinny oszustwo”. (John Kenneth Galbraith, *Gospodarka niewinnego oszustwa*, Warszawa 2005, s. 22). Jaka jest zatem treść ekonomiczna (zasób informacji empirycznych o mechanizmach gospodarowania) kryje

się za tymi, tworzącymi jądro RTR hipotezami i modelami matematycznymi?

Jedną z najbardziej interesujących ekonomicznych interpretacji tych modeli (MRK, MRP, MDK, MRO) przedstawił w swojej monografii *Anti-Equilibrium* węgierski ekonomista János Kornai. Wniosek ogólny wypływający z jego analizy jest następujący: zarówno założenia teoretyczne jak i zastosowany aparat matematyczny pozwalają w ramach teorii równowagi ogólnej na sformułowanie dwóch w sumie prawdziwych i zarazem banalnych twierdzeń. Po pierwsze, rzadkie zasoby winne być wykorzystywane oszczędnie. Po drugie, produkcja powinna być dostosowana do potrzeb. „Te wnioski – pisze Kornai – wypływają jednak z analizy opierającej się na nierealistycznej wizji świata”. (János Kornai, *Anti-Equilibrium. Teoria systemów gospodarczych. Kierunki badań*, wyd. II, Warszawa 1977, s. 57 i nast.).

Tę „nierealistyczną wizję świata” tworzą przede wszystkim *hipoteza homo oeconomicus* oraz idea *doskonałej konkurencji*, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością rynków kapitalistycznych. Sami zwolennicy RTK podkreślają, że MDK konstruowany jest wyłącznie do celów analitycznych. Powstaje oczywiście pytanie skąd wynika prawdziwość wniosków o „oszczędnym wykorzystaniu rzadkich zasobów” oraz „dostosowaniu produkcji do potrzeb”? W zasadzie, jak pokazuje Kornai, z poprawności analizy marginalnej. A ich banalność polega na tym, że odnoszą się one do „gospodarowania w ogóle”. Nie ma w nich wiedzy (informacji empirycznych) o mechanizmach kapitalistycznego gospodarowania.

Z kolei australijski ekonomista Steve Keen podważa poprawność samej analizy marginalnej, dowodząc, że „ekonomiczna koncepcja konkurencji doskonałej opiera się na matematycznym błędzie, prowadzącym się do pomylenia bardzo małej liczby z zerem”. (Steve Keen, *Ekonomia neoklasyczna. Fałszywy paradygmat*, Poznań 2017, s.147-148). Błąd matematyczny prowadzi do błędnego rozumowania (błędu logicznego) opartego na rozwiązywaniu układu równań: układ równań może być sprzeczny (brak rozwiązania), może być wiele rozwiązań problemu, rozwiązania mogą być wątpliwe ekonomicznie.

Powstaje oczywiście pytanie, jeśli wartość poznawcza RTK, jej zawartość informacyjna jest tak uboga i banalna, to czemu służą owe rozważania o „maksymalizacji korzyści”, „optimum konsumenta i producenta”, „równowagach cząstkowych i ogólnych” (mimo wątpliwej formalnej poprawności tych analiz), „efektywnych rynkach” i „racjonalnych oczekiwaniach”? Otóż mamy tu do czynienia z klasycznym przykładem „rozumu teoretycznego” w służbie ideologii kapitalistycznej – rozum, który jest używany do konstrukcji obrazu kapitalizmu jako najlepszego z możliwych ustrojów gospodarczych, w którym, działając racjonalnie każda jednostka ludzka efektywnie wykorzystuje ograniczone zasoby, pomnażając własne bogactwa i dobrobyt i przyczyniając się w ten sposób do maksymalizacji bogactwa i dobrobytu całej zbiorowości do której należy i w której wszystkich jej członków wynagradza się w zależności od wydajności ich pracy. Funkcja ideologiczna i apologetyczna jaką pełni RTK tłumaczy też jej żywotność w aparatach ideologicznych państwa kapitalistycznego: od elementarnej edukacji ekonomicznej poczynając na „ekonomicznych nagrodach Nobla” kończąc.

Istotnym elementem tego idyllicznego obrazu gospodarki kapitalistycznej jest przekonanie, że system wolnorynkowy naturalnie dąży do równowagi. W tej ideologicznej perspektywie efektywne funkcjonowanie gospodarki kapitalistycznej wyklucza istnienie wewnętrznych (endogenicznych) czynników powodujących jej destabilizację i kryzys. Jeśli na którymś z rynków – towarowym, pracy, pieniężnym, papierów wartościowych, instrumentów pieniężnych i temu podobnie – pojawiają się jakieś turbulencje i zakłócenia w ich „normalnym” (zrównoważonym, stabilnym) funkcjonowaniu, to na gruncie RTK jest to tłumaczone jako rezultat wpływów zewnętrznych (egzogenicznych) wobec „systemu”: zdarzenia absolutnie przypadkowe typu „czarny łabędź”, „szoki technologiczne”, „błędy w polityce pieniężnej i fiskalnej państwa”, podejmowane przez państwo próby regulacji tych rynków (ustawodawstwo pracy, kontrola cen, regulacje rynku finansowego, ustawodawstwo antymonopolowe, organizacja przez państwo usług społecznych i temu podobne). Całą tę argumentację na temat przyczyn kryzysu finansowego lat 2007-2009 oraz jego następstw można znaleźć w wypowiedziach (mówionych i pisanych) Leszka Balcerowicza – czołowego w Polsce wolnorynkowego ideologa (por. „Rzeczpospolita”, 21. 09. 2010).

Spektakularnym przykładem porażki intelektualnej i biznesowej laureatów nagrody Nobla, pracujących naukowo w ramach RTK, są Robert Merton i Myron Scholes. Dostali oni nagrodę za matematyczny model wyceny instrumentów pochodnych. Następnie wykorzystali ten model wraz z założeniami o „efektywnym rynku” i „racjonalnych oczekiwaniach” do opracowania strategii inwestycyjnej funduszu LTCM (*Long Term Capital Management*). Strategia ta legła w gruzach, a fundusz zbankrutował, gdyż wybitni stratedzy-laureaci Nobla nie przewidzieli rosyjskiego kryzysu w 1998 roku. Straty poniósł nie tylko fundusz (4,6 mld dolarów) ale także zaangażowane w fundusz takie tuzy finansowe jak: *Golden Sachs, J.P. Morgan, Merrill Lynch, CREDIT Suisse, Deutsche Bank, Société Générale*. Dziesięć lat później sytuacja się powtórzyła. Tym razem straty wszystkich funduszy hedgingowych, realizujących podobne strategie inwestowania, wyniosły ok. 340 mld \$. A w podręcznikach poświęconych teorii finansów studenci nadal ćwiczą model *Mertona-Scholes’a*. Nic też nie zmienia się w edukacji „podstaw ekonomii”.

Ponieważ rzeczywiste rynki kapitalistyczne podlegają wszystkim wymienionym wpływom „zewnętrznym” i gospodarka kapitalistyczna permanentnie wytrącana jest z równowagi, to zwolennicy RTK mają na to lekarstwo – „pakiet reform rynkowych” obejmujący liczne postulaty: prywatyzacji państwowych firm finansowych i przemysłowych (mimo że w przedstawionych modelach nie ma żadnych dowodów na związek pomiędzy racjonalnym gospodarowaniem a preferowaną formą prawną-organizacyjną tego gospodarowania), deregulacji systemu przemysłowego i finansowego (wymogi wolnego rynku: nieograniczonego przepływu towarów, kapitałów i ludzi), liberalizacji międzynarodowego handlu i inwestycji (swobodny przepływ towarów i kapitałów w skali globalnej), obniżenia podatków dochodowych i świadczeń socjalnych („racjonalny” wymóg wynikający z maksymalizacji indywidualnego dobrobytu jako sposobu na dobrobyt zbiorowy).

Wbrew formalnym ustaleniom RTK i opartym na tych ustaleniach oraz wdrażanym w praktyce „reformom rynkowym”, gospodarka kapitalistyczna nie wykazuje najmniejszej skłonności do osiągnięcia stanu równowagi. Wystarczy przywołać Wielki Kryzys z lat 30. XX wieku oraz w ostatnich trzydziestu latach: kryzys zadłużeniowy Trzeciego Świata z początku lat 80., meksykański kryzys peso z 1995 roku, azjatycki kryzys 1997 roku, rosyjski kryzys 1998 roku, bańka internetowa 2000 roku, kryzys kredytów *subprime* w USA w 2007 roku i następujące po nim bankructwo Islandii, Łotwy i Estonii, kryzys zadłużeniowy Grecji, pęknięcie bańki mieszkaniowej w Hiszpanii i Portugalii oraz towarzyszące tym kryzysom kurczenie się gospodarek poszczególnych krajów, spowolnienie i recesja gospodarki globalnej.

Wobec tych kryzysów RTK, jak z powyższej prezentacji tworzących ją modeli wynika, jest bezsilna: w wyjaśnianiu funkcjonowania gospodarki kapitalistycznej koncentruje się wyłącznie na analizie mechanizmów osiągania przez nią równowagi (stabilności). „Nierównowaga”, „destabilizacja”, „stagnacja”, „kryzys gospodarczy”, „kryzys finansowy” – wszystko to wykracza poza przedmiot analizy ekonomicznej w ramach RTK. Analiza ta wyklucza też, co jest oczywiste, prognozowanie kryzysów w kapitalizmie. O przyszłości zwolennicy RTK mówią również wyłącznie w kategoriach stabilizacji gospodarki („pakiet reform rynkowych”). Na pytanie, jak doszło do destabilizacji, dlaczego rynki zawiodą, szukają odpowiedzi poza gospodarką.

Inni, których nie zadowala to wyjaśnienie, gdyż nie rozwiewa „intelektualnej mgły”, w której się znaleźli w czasie kryzysu lat 2007-2009, proponują sięgnąć po *Kapitał*. Wśród „innych”, oprócz wymienionych wyżej teoretyków, praktyków biznesu i publicystów dalekich od tradycji marksistowskiej, wymienić należy autora, przetłumaczonego i wydanych w wydawnictwie Heterodox wykładów angielskiego marksisty Davida Harveya *Przewodnik po „Kapitale” Karola Marksa* (cz. 1 Poznań 2017, cz. 2. Poznań 2018).

What would Marx think?

Wyłożona w *Kapitale* teoria ekonomiczna Marksa (TEM) jest strukturą logicznie powiązanych modeli teoretycznych, opisujących działanie właścicieli kapitału maksymalizujących zysk. Podstawą związków wynikania i uzasadniania w ramach tej struktury teoretycznej jest metoda wznoszenia się od abstrakcji do konkretnego – metoda myślowego odtworzenia obiektywnej organicznej całości, jaką jest kapitalistyczny sposób produkcji, podziału, wymiany i konsumpcji. Podstawowymi elementami tej struktury myślowej (konkretno duchowego) są:

(1) MW – model przemiany pieniądza w kapitał w procesie ekwiwalentnej wymiany (T)warowo(P)ieniężnej, który Marks nazywa *ogólną formułą kapitału*: $\{P-T-(P+\Delta P)\}$. Jest to model opisujący działanie właścicieli pieniędzy (kupców), którzy wchodząc w stosunki wymiany z właścicielami towarów (sprzedawcami) dążą do uzyskania nadwyżki ekonomicznej w formie pieniężnej (uzyskania więcej pieniędzy niż wyłożyli na zakup towarów: $P+\Delta P$). Ogólna formuła kapitału opisuje proces przemiany pieniędzy w kapitał jako proces kupna i sprzedaży w celach zarobkowania, który różni się od procesu sprzedaży i kupna w celu zaspokojenia potrzeb – $\{T-P-T\}$. Ta druga (prosta wymiana towarowo-pięniężna) podporządkowana jest tej

pierwszej (kapitalistycznej wymianie). Podporządkowanie to ma charakter wewnętrznie sprzeczny: wymiana w celach zarabkowania z jednej strony zakłada wymianę w celach konsumpcyjnych, gdy z drugiej ma tendencję do eliminowania wymiany dla konsumpcji dążąc do bezpośredniej wymiany pieniądza na pieniądź $\{P-P-(P+\Delta P)\}$. Mamy tu do czynienia z pierwszym sformułowaniem fundamentalnej dla gospodarki kapitalistycznej wewnętrznej sprzeczności pomiędzy gospodarowaniem dla zysku i dla zaspakajania indywidualnych i zbiorowych potrzeb konsumpcyjnych. (Tu tkwi też pierwsza, fundamentalna dla zrozumienia mechanizmów funkcjonowania gospodarki kapitalistycznej, różnica między TEM i RTK, która zna wyłącznie wymianę w celu zaspokojenia potrzeb.) Ponadto sam proces przekształcania pieniędzy (P) w kapitał ($P+\Delta P$) w warunkach ekwiwalentnej wymiany jest wewnętrznie sprzeczny: ΔP musi powstać w sferze cyrkulacji towarowo-pieniężnej i nie może powstać, gdyż wymiana jest ekwiwalentna: $P=T$ i $T=P$. Sposób rozwiązania tej sprzeczności opisuje model przekształcania kapitału pieniężnego w kapitał towarowy w sferze produkcji – model produkcji kapitalistycznej (MP).

(2) MP – model opisujący działanie właścicieli kapitału (kapitalistów), którzy dokonując wydatków na zakup towarów $\{T: \text{środków produkcji } (\text{śp}), \text{ siły roboczej } (\text{sr})\}$, dążą do pomnożenia wartości wyłożonego kapitału w procesie produkcji (Pr) towarowej (T): $\{P-T-(\text{śp}, \text{sr})-Pr-(T+\Delta T)-(P+\Delta P)\}$ – model wytwarzania nadwyżki ekonomicznej w formie wartości dodatkowej.

Wytwarzanie wartości dodatkowej, czyli zbijanie zysku jest absolutnym prawem kapitalistycznego sposobu produkcji (Karol Marks, *Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej*. Tom I, *Proces wytwarzania kapitału*, w: K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t.23, Warszawa 1968. s. 688. Moją interpretację teorii ekonomicznej Marksa opieram na wszystkich trzech tomach *Kapitału*, stanowiących kolejno 23, 24, 25 cz.1 i 25 cz. 2 woluminy *Dzieł* Marksa i Engelsa wydanych przez Książkę i Wiedzę kolejno w latach 1968, 1977, 1983 i 1984). Prawo to można opisać za pomocą związków pomiędzy wielkością wartości dodatkowej a pieniężnymi wydatkami kapitalistów na zakup siły roboczej–towaru, czasu, intensywności oraz siły produkcyjnej pracy właścicieli tej siły roboczej–towaru (robotników najemnych). W rezultacie otrzymamy dwa modele wytwarzania wartości dodatkowej:

MP1 – model opisujący proces wytwarzania wartości dodatkowej bezwzględnej, w którym podstawowymi czynnikami określającymi jej wielkość są wydatki kapitalistów na fundusz płac pracowników najemnych oraz długość ich roboczego dnia.

MP2 – model opisujący proces wytwarzania wartości dodatkowej względnej, w którym podstawowymi czynnikami określającymi jej wielkość są wydatki kapitalistów na fundusz płac oraz intensywność oraz produktywność pracy.

W jednym i drugim modelu prawa produkcji wartości dodatkowej są prawami walki klasy robotniczej z klasą kapitalistów o skrócenie dnia roboczego, wysokość wynagrodzeń, poprawę warunków pracy, ustawodawstwo pracy i ustawodawstwo fabryczne w ogóle. (I tu jest kolejna fundamentalna dla zrozumienia istoty produkcji kapitalistycznej różnica między TEM i RTK; ta ostatnia zna tylko kalkulujące indywidua – producentów i konsumentów).

Ponadto sam proces przekształcania kapitału pieniężnego w kapitał towarowy – proces produkcji wartości dodatkowej jest wewnętrznie sprzeczny:

(1) Kapitał rozumiany jako pomnażanie wartości ($P+\Delta P$) musi powstać w produkcji towarowej, gdzie dokonane przez kapitalistę wydatki na siłę roboczą i środki produkcji zamieniają się w produkcję towarów o większej niż poczynione wydatki wartości (powstaje wartość dodatkowa).

(2) Jednocześnie kapitał nie może powstać w produkcji, gdyż wytworzona w formie towarowej wartość dodatkowa nie może służyć pomnażaniu kapitału, dopóki nie zamieni się w pieniężne wydatki kapitalistów w celach zarobkowych (w celu zbijania zysku), jak mówi ogólna formuła kapitału (MW). Analiza wydatków kapitalistów umożliwiających przemianę wartości dodatkowej w kapitał stanowi przedmiot kolejnego i zarazem kluczowego dla zrozumienia istoty kapitalistycznego sposobu gospodarowania modelu teoretycznego – modelu akumulacji kapitału.

(3) MA – model przekształcania wartości dodatkowej w kapitał opisuje napędzane mechanizmem maksymalizacji zysku działanie właścicieli kapitału, dokonujących wydatków pieniężnych w celu zachowania i pomnożenia kapitału w warunkach wymiany ekwiwalentów. Wydatki na zatrudnienie pracowników najemnych tworzą niezbędny dla pomnożenia kapitału fundusz płac, to jest umożliwiają przekształcenie części wartości dodatkowej w kapitał zmienny (V). Z kolei wydatki na zakup niezbędnych do pomnożenia kapitału środków produkcji wiążą się z przekształceniem części wartości dodatkowej w kapitał stały (C). O akumulacji kapitału oraz jego dynamice decydują zarówno wielkość, jak i proporcje wydatków kapitalistów na fundusz płac i techniczne uzbrojenie pracy. Wielkość i struktura tych wydatków decydują o tym, czy mają one charakter pracochłonny czy pracooszczędny. W rezultacie mamy dwa modele akumulacji:

MA1 – przekształcanie wartości dodatkowej w kapitał w warunkach niezmiennego technicznego uzbrojenia pracy (stałej wydajności pracy), w którym o wzroście kapitału (zysku) tempie jego przyrostu (stosunku zysku do wydatków ogółem) decydują wydatki na zatrudnienie robotników. Jest to model akumulacji przy braku zmian technologicznych. W modelu tym akumulacja reguluje popyt i podaż na siłę roboczą, w zależności od wydatków na płace i towarzyszących im zmian w masie zysku.

MA2 – model przekształcania wartości dodatkowej w kapitał poprzez pracooszczędne wydatki kapitałowe (pracooszczędne inwestycje) – wydatki uwzględniające szybszy wzrost kapitału stałego w porównaniu z kapitałem zmiennym. Jest to model akumulacji w warunkach wymuszonych konkurencją zmian technologicznych. W modelu tym akumulacja reguluje popyt i podaż na siłę roboczą w zależności od wydatków na nowe bardziej wydajne technologie wytwarzania i towarzyszące im zmiany stopy zysku (stosunek zysku do wydatków ogółem).

W obu tych modelach proces przekształcania wartości dodatkowej w kapitał ma charakter *antynomiczny*: granicą akumulacji kapitału jest sam kapitał. Oznacza to, że dążenie kapitalistów do rosnących zarobków (zachowania i pomnażania kapitału) prowadzi do ograniczenia, a w skrajnym przypadku przekreślenia możliwości wydatkowania w celu zarabkowania (maksymalizacji zysku). Kapitalista musi, by zachować swą

pozycję kapitalisty, akumulować i jednocześnie działając jako kapitalista ogranicza możliwości tej akumulacji, a więc możliwości jego działania jako kapitalisty.

W obu modelach zmienną niezależną jest wielkość akumulacji, zaś poziom zatrudnienia, wielkość płac, wielkość inwestycji są zmiennymi zależnymi: zwiększenie kapitału (zysku) powoduje wzrost popytu na pracę, wzrost płac i stopy zatrudnienia, co prowadzi do zmniejszenia się stopy zysku, a następnie stopy inwestycji, co z kolei powoduje wzrost lub spadek (zużycie) zasobów kapitałów, spadek stopy wzrostu produkcji i wzrost stopy bezrobocia połączonej ze spadkiem siły przetargowej robotników, i prowadzi do stagnacji lub spadku płac oraz wzrostu zysków kapitalistów, którzy zaczynają znowu wydawać więcej na inwestycje w celu maksymalizacji zysku. *(I tu mamy kolejną, trzecią, najistotniejszą różnicę między TEM i RTK: teoria ekonomiczna Marksa jest teorią dynamiki kapitalistycznej napędzanej wewnątrznie sprzeczną naturą akumulacji kapitału w przeciwieństwie do RTK, którą interesuje wyłącznie równowaga gospodarcza.)*

Antynomiczny charakter akumulacji kapitalistycznej znajduje wyraz nie tylko w cyklicznych zmianach zatrudnienia i podziału dochodu na płace i zyski oraz w towarzyszących im na przemian ekspansji (*boom*) i kurczeniu się (stagnacja, załamanie się) inwestycji i produkcji, ale także w:

- ciągłym tworzeniu rezerwowej armii przemysłowej (nadmiaru ludności robotniczej), wchłanianiu jej i ponownym odtwarzaniu (w większej lub mniejszej liczbie), czyli w ciągłym przekształcaniu części ludności pracującej w ludność bezrobotną lub na wpół bezrobotną (*modele równowagi wykluczają bezrobocie: w warunkach równowagi podaż pracy równa się popytowi na nią*);

- w wymuszonym przez konkurencję dążeniu do stosowania innowacji technologicznych i jednocześnie ich ograniczanie w warunkach dostatecznie niskich stóp płac roboczych, które powodują, że kupowanie nowych technologii staje się nieopłacalne (*w modelach równowagi innowacje technologiczne są czynnikami egzogenicznymi i nie są przedmiotem analizy ekonomicznej*);

- w stałym wzroście wielkości kapitału, któremu towarzyszy z jednej strony rozdrobnienie globalnego kapitału społecznego na liczne kapitały indywidualne, a z drugiej – centralizacja kapitału, to jest przekształcanie się wielkiej liczby kapitałów mniejszych w mniejszą liczbę kapitałów większych (*RTK zna tylko rozdrobniony indywidualny kapitał o równej sile oddziaływania na rynku*);

- wykorzystaniu systemu kredytowego i konkurencji do centralizacji kapitału, która prowadzi do powstawania władzy monopolu i ograniczenia konkurencji (*w RTK jest mowa tylko o doskonałej konkurencji (MDK) i pieniądzu jako środku wymiany*);

- koncentracji bogactwa w rękach nielicznych kapitalistów i względnego ubóstwa większości żyjących z pracy rąk własnych (*RTK mówi o sprawiedliwym wynagrodzeniu, które otrzymują właściciele kapitału (zysk, procent, renta i czynsz właścicieli ziemi i nieruchomości) oraz pracownicy (płaca); są to odpowiednio ceny równowagi kapitału, ziemi i pracy*);

- procesie osiągnięcia przez kapitalistów coraz większej masy kapitału w formie władzy pieniężnej, która podporządkowuje sobie cały proces wytwarzania i przekształcania wartości dodatkowej w kapitał (*pie-*

niędzy w RTK jest tylko środkiem wymiany i podobnie jak inne towary ma swoją cenę – procent).

Logicznym rozwinięciem (konkretyzacją) modeli (MW, MP, MA) opisujących działalność dwóch podstawowych klas (kapitalistów i pracowników najemnych) w procesie produkcji wartości i wartości dodatkowej (główna treść I tomu *Kapitału*) jest model opisujący motywowaną maksymalizacją zysku działalność kapitalistów przemysłowych, handlowych, bankierów, finansistów, właścicieli ziemskich i właścicieli siły roboczej w procesie realizacji wartości dodatkowej (przedmiot analizy II i III tomu *Kapitału*). Jest to model dynamiki kapitalistycznej ujęty w jedność produkcji i cyrkulacji kapitału (MC).

(4) MC – *model cyrkulacji kapitału* (realizacji wartości dodatkowej) stanowi też dalszą konkretyzację opisaną w MA antynomicznej natury akumulacji kapitalistycznej, która tym razem znajduje wyraz w sprzeczności pomiędzy warunkami produkcji i realizacji wartości dodatkowej. W skrócie – istota tej sprzeczności polega na tym, że im lepsze są warunki produkcji wartości i wartości dodatkowej, o których była mowa w MP, tym gorsze są warunki jej realizacji: im więcej kapitalista chce zarobić (maksymalizując zysk) tym trudniejsze są warunki tego zarobkowania (realizacji wartości dodatkowej). Innymi słowy, kapitalista, by zachować swą pozycję społeczną, musi zarabiać coraz więcej, co może prowadzić do utraty możliwości zarabiania w ogóle, a tym samym możliwości bycia kapitalistą.

Ta fundamentalna sprzeczność cyrkulacji kapitału znajduje wyraz w sprzecznych działaniach i walce:

- 1) kapitalistów rozporządzających kapitałem pieniężnym, produkcyjnym i towarowym, którzy powodują zakłócenia (dysproporcje) w niezbędnej dla realizacji wartości dodatkowej ciągłości przepływu kapitału;

- 2) kapitalistów przemysłowych, handlowych, finansowych oraz właścicieli ziemskich o maksymalny udział w wartości dodatkowej w postaci zysku, procentu i renty gruntowej, pogarszając warunki produkcji wartości i wartości dodatkowej (przechwytywanie większych zysków przez kapitały nieprzemysłowe);

- 3) kupców, bankierów, finansistów i spekulantów o panowanie nad realną gospodarką (produkcją i realizacją wartości dodatkowej).

Całokształt owych, motywowanych maksymalizacją zysku, sprzecznych działań i walk różnych kategorii właścicieli kapitału prowadzi ostatecznie do osłabienia i załamania popytu efektywnego, kryzysów nadprodukcji handlowych i finansowych, a więc do znaczącego ograniczenia możliwości zarobkowania, a tym samym bycia kapitalistą.

Z punktu widzenia zrozumienia mechanizmów akumulacji i cyrkulacji kapitału we współczesnej zglobalizowanej gospodarce kapitalistycznej, interesujący jest przedstawiony w III tomie *Kapitału* opis (zarys modelu) funkcjonowania kapitału finansowego w ścisłym związku z wewnątrznie sprzeczną naturą dynamiki kapitalistycznej (MF).

(1) MF – *model akumulacji przez zadłużenie* opisuje w zarysie ewolucję akumulacji przez zadłużanie w kierunku akumulacji długu, która prowadzi do kryzysu zadłużenia oraz kryzysu finansowego w ogóle, z wykorzystaniem takich mechanizmów jak:

- rozwój „kapitału przynoszącego procent”, co wiąże się z zaspokojeniem dwojakiego rodzaju potrzeb ka-

pitalistycznej produkcji i akumulacji kapitału: bieżącej płynności finansowej oraz środka koncentracji i centralizacji kapitału;

- koncentracja i centralizacja kapitału prowadzące do powstania wielkich korporacji w formie spółek handlowych, które emitując papiery wartościowe przyczyniły się do powstania i rozwoju rynku handlu papierami wartościowymi (giełdy), zabezpieczającego długoterminowe potrzeby finansowe produkcji i akumulacji kapitału;

- rozwój rynku papierów wartościowych, który sprzyja z jednej strony wzrostowi możliwości refinansowych wielkiego kapitału przemysłowego i przyspiesza proces jego centralizacji, a z drugiej – stwarza możliwości generowania zysku z operacji giełdowych;

- przyspieszanie procesu centralizacji kapitału, co rodzi nierówny dostęp do kredytu, ponieważ mali i średni przedsiębiorcy korzystając głównie z kredytów bankowych są wrażliwi na problemy z bieżącą płynnością finansową, gdy z kolei wielkie firmy mające dostęp do długoterminowego długu w formie papierów wartościowych są wrażliwe na spekulacje giełdowe związane z możliwością generowania zysku z operacji finansowych;

- przyspieszanie procesu centralizacji kapitału, które prowadzi do monopolizacji gospodarki oraz jej finansjeryzacji, to jest do coraz większej zależności akumulacji kapitału od akumulacji długu powodującej kryzysy finansowe.

Podsumujmy: teoria ekonomiczna Marksa dowodzi, w przeciwieństwie do równowagowej teorii kapitalizmu, że kryzysy w kapitalizmie są wyrazem fundamentalnych sprzeczności (sprzecznych tendencji) generowanych przez motywowaną maksymalizacją zysku działalność właścicieli kapitału (kapitalistów). Dlatego, jak słusznie zauważył Soros, TEM daje lepsze niż RTK wyjaśnienie mechanizmów funkcjonowania i rozwoju gospodarki kapitalistycznej. Na tym też polega jej aktualność. Oczywiście nie chodzi tu o bezpośrednie zastosowanie teorii akumulacji Marksa do wyjaśnienia kryzysów, które gospodarka kapitalistyczna przeżywała w XX i XXI wieku od Wielkiego Kryzysu z przełomu lat 20 /30 ubiegłego stulecia poczynając, a na kryzysie z przełomu lat 2007/2008 kończąc. Chodzi o to, że ustalenia Marksa dotyczące wewnętrznych mechanizmów produkcji i cyrkulacji kapitału należy brać pod uwagę, jeśli chcemy wyjaśnić zachowania właścicieli kapitału, które doprowadziły do tych kryzysów.

Dorobek Marksa nie wystarczy

W grę też wchodzi alternatywne teorie „permanentnej niestabilności gospodarki kapitalistycznej”, do poszukiwania których zachęca tenże Soros, tworząc Instytut Nowej Myśli, którego celem jest finansowanie badań alternatywnych wobec RTK. (Institute for New Economic Thinking, INET, ineteconomics.org).

Badacze, którzy odpowiedzą na zachęty Sorosa, muszą wziąć pod uwagę nie tylko ceniony przez tego donatora dorobek naukowy Marksa, ale także dorobek tych myślicieli, którzy w wyjaśnieniu dynamiki kapitalistycznej bezpośrednio lub pośrednio odwołują się do TEM. W związku z toczącymi się w „świecie Zachodnim” dyskusjami na temat wyjścia z kryzysu po zapaści sektora finansowego w 2008 roku, często przywoływany jest dorobek teoretyczny światowej sławy ekonomisty polskiego Michała Kaleckiego, autora między

innymi opracowania *Teoria dynamiki. Rozprawa o cyklicznych i długofalowych zmianach gospodarki kapitalistycznej* (Michał Kalecki, *Dzieła*, tom 2, Warszawa 1980), którego we współczesnej Polsce traktuje się podobnie jak Marksa – czyli jak zdechłego psa. Mam na myśli dominujące w edukacji, publikacjach naukowych, publicystyce ekonomicznej i w wydawnictwach w Polsce myślenie ekonomiczne. Istnienie takich niszowych przedsięwzięć edukacyjno-analityczno-badawczych jak Fundacja im. M. Kaleckiego, „Krytyka Polityczna” czy „Biblioteka alternatyw ekonomicznych” *Le Monde diplomatique* nie podważa mojej opinii. Podobnie jak przetłumaczona i wydana w 2011 roku przez Polskie Towarzystwo Ekonomiczne książka Michała Kaleckiego, której autorzy Julio G. López G i Michaël Assous specjalnie ją napisali dla wydawanej na Zachodzie serii *Wielcy myśliciele w dziedzinie ekonomii*. O wkładzie Kaleckiego do „teorii niestabilności finansowej”, stanowiącej istotny element jego teorii cyklicznego rozwoju gospodarki kapitalistycznej, przypomniał ostatnio polskiemu czytelnikowi profesor uniwersytetów Londyńskiego i Amsterdamskiego Jan Toporowski w wydanej w 2017 roku przez Instytut Wydawniczy Książka i Prasa książce *Kredyt i kryzys. Od Marksa do Minsky'ego*. Żadna z tych publikacji nie została zauważona w głównym nurcie myślenia ekonomicznego.

Powód takiego traktowania wydaje się być oczywisty: teoretyczne inspiracje marksistowskie, poglądy socjalistyczne no i łączenie działalności naukowo-dydaktycznej z aktywnością w instytucjach kształtujących politykę gospodarczą PRL, „wyklętego” dziś państwa polskiego.

Dorobek teoretyczny Kaleckiego przywoływany jest jako alternatywne wobec równowagowej, egzogenicznej teorii niestabilności gospodarczej (wraz z proponowanym „pakietem antykryzysowym”) wyjaśnienie endogenicznych przyczyn kryzysów gospodarki kapitalistycznej oraz sposobów ograniczenia ich skutków. W pierwszym przypadku chodzi o inspirowany Markowską koncepcją dynamiki kapitalistycznej Kaleckiego model „dynamiki... gospodarki kapitalistycznej”, w drugim – o posługującą się tym modelem propozycję walki z kryzysem i stagnacją gospodarczą.

Dla Kaleckiego, podobnie jak dla Marksa, istotą produkcji kapitalistycznej jest produkcja towarowa dla zysku. Podążając za ustaleniami Marksa w teorii realizacji wartości dodatkowej, Kalecki określa zysk (zarobki) kapitalistów poprzez ich wydatki na konsumpcję i inwestycje. „Kapitaliści więc, traktowani jako całość, sami wyznaczają swój zysk przez zakres inwestycji i konsumpcji osobistej – są niejako «panami swojego losu»; ale wola tego «panowania» określona jest przecież przez czynniki obiektywne...” (Michał Kalecki, *Próba teorii koniunktury, Dzieła*, t. 1, Warszawa 1979, s. 116). Jeżeli kapitaliści zarabiają tyle, ile wydają, to robotnicy wydają tyle, ile zarabiają. Myśl ta stanowi podstawę Kaleckiego teorii popytu efektywnego. Nietrudno zauważyć, że te zgrabne sformułowania oddają też sens wywodu Marksa na temat istoty kapitału: od wydatków pieniężnych związanych z zakupami w celach zarobkowych (ogólna formuła kapitału: $P-T-(P+\Delta P)$ poczynając, a na wydatkach kapitalistów związanych z realizacją zawartej w masie wyprodukowanych towarów wartości dodatkowej – $\{P-(T+\Delta T)-(P+\Delta P)\}$ – kończąc.

O realizacji wartości dodatkowej u Marksa oraz zysku u Kaleckiego decydują też wydatki robotników zależne od ich zarobków. O wysokości tych ostatnich decydują wydatki inwestycyjne kapitalistów oraz walka klasy robotniczej o wysokość wynagrodzeń.

W swej analizie Kalecki wykracza poza ustalenia Marksa, co stanowi jego oryginalny wkład zarówno do teorii popytu efektywnego, jak i teorii dynamiki kapitalistycznej. Chodzi między innymi o:

(1) analizę wpływu (dodatniego) nadwyżki eksportowej oraz deficytu budżetowego na wielkość zysków kapitalistów jako klasy (analizę planowaną i nie zrealizowaną przez Marksa), która stanowi między innymi uzasadnienie dla infrastrukturalnych wydatków państwa mających pozytywny wpływ na efektywny popyt (*wbrew zwolennikom RTK, traktującym te wydatki jako konkurencję wobec siły nabywczej sektora prywatnego, prowadzącą jakoby do ograniczenia jego aktywności gospodarczej i kryzysów*);

(2) analizę wpływu stopnia monopolizacji gospodarki kapitalistycznej na udział płac i zysków w dochodzie narodowym oraz poziomu ogólnej aktywności gospodarczej i zatrudnienia, która stanowi uzasadnienie dla walki klasy robotniczej o podwyżkę wynagrodzeń, co wcale nie musi oznaczać spadku udziału zysków kapitalistów jako klasy w dochodzie narodowym, wzroście bezrobocia i spadku aktywności gospodarczej (*w ramach RTK dowodzi się czegoś przeciwnego: niskie płace to wyższe zyski i zachęta do rozwoju przedsiębiorczości, której przeszkadzają związki zawodowe ze swoimi żądaniami podwyżek płac*);

(3) rozwinięcie teorii realizacji zysku do teorii realizacji całej produkcji krajowej i ustalenia, że o realizacji produkcji krajowej obok popytu efektywnego decyduje zdolność wytwórcza, a w rozwiniętej gospodarce kapitalistycznej popyt jest zazwyczaj mniejszy od potencjalnej produkcji (*wbrew RTK, który dowodzi, że w warunkach równowagi podaż potencjału produkcyjnego jest równa popytowi, a marnotrawstwo w kapitalizmie jest niemożliwe*);

(4) rozwinięcie teorii efektywnego popytu do teorii dynamiki kapitalistycznej oraz teorii cyklu koniunkturalnego, w której cykliczne zmiany w wydatkach kapitalistów na inwestycje prowadzą do zmian zysków, łącznej produkcji i zatrudnienia, zaś o wolumenie inwestycji decydują stopa zysku, określająca efektywność inwestycji poczynionych w przeszłości oraz poziom bieżących zysków, decydujący o bieżących możliwościach inwestycyjnych i oszczędnościach kapitalistów (*wbrew RTK, która dowodzi, że to oszczędności pracowników żyjących z płacy, przedsiębiorców żyjących z zysków a zwłaszcza cięcia w wydatkach socjalnych i infrastrukturalnych państwa, to droga do pobudzenia inwestycji, aktywności gospodarczej i wzrostu zatrudnienia*).

Teoria dynamiki kapitalistycznej Kaleckiego przywoływana jest dzisiaj jako teoretyczne uzasadnienie przeciwskuteczności i zarazem klasowej interesowności proponowanego i wdrażanego w wielu krajach, po kryzysie finansowym lat 2007-2009, tak zwanego „pakietu antykryzysowego”, którego główną składową jest „polityka austerii” (polityka zaciskania pasa). W swym modelu Kalecki dowodzi, że gdy wydatki jednych są dochodami innych oszczędności są formalnie niemożliwe, a w czasach recesji czy stagnacji oszczędzanie wszystkich, a zwłaszcza cięcia wydatków socjalnych

i infrastrukturalnych państwa przedłuża jedno i drugie. O dynamice kapitalistycznej, kryzysach gospodarki kapitalistycznej i możliwościach ich przezwyciężenia decydują inwestycje i oszczędności kapitalistów (nie robotników, nie państwa).

Szczegółowy wykład poglądów Kaleckiego na kapitalistyczną gospodarkę zawierają takie opracowania jak *Kapitalizm. Koniunktura i zatrudnienie* (Dzieła, t. 1, Warszawa 1979) i *Kapitalizm. Dynamika gospodarcza* (Dzieła, t. 2, Warszawa 1980), które dopełnia wydany przez ITON Society wybór tekstów, którego dokonali dwaj uczniowie M. Kaleckiego: Kazimierz Łaski i Jerzy Osiatyński *Kapitalizm: dynamika gospodarcza i pełne zatrudnienie*.

A jednak warto czytać

„W XXI wieku, gdy winę za nasze gospodarcze bolączki nawet czołowi teoretycy ekonomii składają na karb skąpstwa Chińczyków, ekstrawagancji Greków, Hiszpanów, Portugalczyków i Włochów, rozrzutności rządów, chciwości pracowników, nadmiernej regulacji państwa czy braku zapobiegliwości – powinniśmy czytać Langego i Kaleckiego, aby przypomnieć sobie, że ekonomia musi się zaczynać od analizy rzeczywistości funkcjonującego kapitalizmu w jego najbardziej rozwiniętych krajach i od dopiero rodzącego się kapitalizmu w krajach rozwijających się. Jedyne na tym fundamencie możemy budować teorie wyjaśniające relacje gospodarcze i monetarne” (Z fragmentu wykładu inauguracyjnego profesora Jana Toporowskiego, dziekana Wydziału Ekonomii londyńskiej Szkoły Studiów Orientalnych i Afrykańskich Uniwersytetu Londyńskiego wygłoszonego 18 kwietnia 2012 roku *Michał Kalecki and Oskar Lange in the 21st century*, opublikowanego na portalu „Krytyki Politycznej”). Do tych teoretycznych fundamentów należy też teoria ekonomiczna Marksa, którą stosowali i rozwijali ci dwaj najwybitniejsi, światowej sławy ekonomiści polscy rugowani, podobnie jak Marks, z „pamięci polskiej”.

Warto zatem czytać Kaleckiego, Oskara Langego, ale także *Kapitał* Marksa, *Kapitał finansowy. Studium o najnowszym rozwoju kapitalizmu* Rudolfa Hilferdinga, *Akumulację kapitału. Przyczynek do ekonomicznego wyjaśnienia imperializmu* Róży Luksemburg, o których wspomina w swym znakomitym studium zatytułowanym *Kredyt i kryzys* Jan Toporowski, by zrozumieć kryzysową naturę współczesnej zmonopolizowanej, sfinansjeryzowanej i zglobalizowanej gospodarki kapitalistycznej. Toporowski omawia też alternatywne wobec inspirowanych Marksem teorie „niestabilności finansowej” gospodarki kapitalizmu (Johna Maynarda Keynesa oraz Hymana Minsky’ego), które też dowodzą płodności i aktualności teoretycznych ustaleń Marksa w kwestii mechanizmów i skutków akumulacji za pomocą długu. Teoria ekonomiczna Marksa nie należy wyłącznie do historii myśli ekonomicznej. Jej moc wyjaśniająca, inspirująca i prognostyczna jest wciąż warta głębokich studiów, zwłaszcza w konfrontacji z dominującym we współczesnym świecie myśleniem ekonomicznym w kategoriach równowagowej teorii kapitalizmu (<http://www.krytykapolityczna.pl/artykuly/gospodarka/20130714/Toporowski-powrot-kaleckiego>).

ANDRZEJ WILK

WIELCY PRZYJACIELE SPRAWY POLSKIEJ

W wypowiedziach wielu polskich polityków reprezentujących różne orientacje występują rażące braki w zakresie wiedzy o marksizmie i jego twórcach. Onegdaj można było usłyszeć porównywanie Marksa do Hitlera. Powszechne jest utożsamianie marksizmu ze stalinizmem.

Bardzo mało znany jest fakt, że Karol Marks i Fryderyk Engels byli wielkimi przyjaciółmi Polski i Polaków, znawcami historii Polski i aktywnymi sympatykami sprawy polskiej. Poparcie dla tej sprawy znajdowało wyraz w ich działalności politycznej, w pracy dziennikarskiej oraz w przygotowywaniu książek uwzględniających polskie źródła oraz poglądy polskich autorów.

Działalność polityczna to opracowywanie analiz i udział w dyskusjach na forum I Międzynarodówki na temat wydarzeń roku 1863 i ich znaczenia dla Europy. Marks aktywnie uczestniczył w zwoływaniu i przeprowadzaniu wieców dotyczących spraw polskich. Brał też udział w obchodach rocznic powstań – listopadowego i styczniowego organizowanych przez polskich demokratów. Przemawiając 22 lutego 1848 roku na wiecu w Brukseli Marks i Engels podkreślali międzynarodowe znaczenie powstania krakowskiego z 1846 roku. Podobne poglądy na tym samym wiecu przedstawił Joachim Lelewel, który w latach 1846-1848 utrzymywał kontakty z oboma uczonymi na forum Międzynarodowego Towarzystwa Demokratycznego (którego był wiceprezesem) oraz niemieckiego Związku Robotników w Brukseli. Lelewel i Marks podpisali apel Towarzystwa z dnia 28 lutego 1848 roku skierowany do rządu republiki francuskiej.

Marks i Engels po wybuchu powstania wielkopolskiego w końcu marca 1848 roku mieli nadzieję, że zapoczątkuje ono w Prusach, Rosji i Austrii rewolucję agrarną. Zdaniem Engelsa „wielkie kraje rolnicze pomiędzy Morzem Bałtyckim a Czarnym mogą się wyzwolić od barbarii patriarchalno-feudalnej jedynie

w drodze rewolucji agrarnej, która chłopów poddanych czy pańszczyźnianych przekształci w wolnych posiadaczy ziemi, rewolucji zupełnie takiej samej, jaka w roku 1789 dokonała się na wsi francuskiej”.

Praca dziennikarska to m.in. artykuły Marksa o sprawach polskich w „New York Daily Tribune” i „The People’s Paper”. Engels był autorem cyklu artykułów *Klasa robotnicza a kwestia polska* opublikowanych w „Nowej Gazecie Reńskiej”. Ta gazeta redagowana przez Marksa w latach 1848-1849 potępiała pruską politykę likwidacji Księstwa Poznańskiego. Jak pisał Engels, Polacy powinni odzyskać ziemie zagarnięte przez Prusy, czyli powinno nastąpić „przywrócenie status quo sprzed 1772 roku, a już co najmniej tego, co Niemcy zrabowali Polakom od 1772 roku”. Po latach Engels stwierdził, że „polityczny program „Neue Rheinische Zeitung” składał się z dwóch głównych punktów: jednolita, niepodzielna, demokratyczna republika niemiecka i wojna przeciw Rosji [połączona] z odbudową Polski”.

Marks pisał swoje prace w języku ojczystym, a także po francusku (*Nędza filozofii*) i po angielsku (m.in. artykuły do prasy amerykańskiej). Czytał we wszystkich językach romańskich i germańskich, a także po łacinie i po grecku. Jako poliglota przewyższał go Engels, który znał dwadzieścia języków łącznie ze starogermańskim gockim. W wieku dojrzałym obydwaj uczyli się języka rosyjskiego.

Prace polskich autorów, m.in. J. Lelewela, H. Kołłątaja, I. Potockiego, K. F. Dmochowskiego, J. B. Ostrowskiego i L. Mierosławskiego czytali w przekładach niemieckich, francuskich i angielskich. Szczególnie starannie przestudiował Marks *Dzieje Polski* Lelewela w tłumaczeniu francuskim dokonany przez autora.

Mało znany jest fakt, że w latach 1863-1864 Marks pisał prace dotyczące historii Polski i jej miejsca w polityce Prus, Rosji, Francji i Anglii. Prace te to *Polska, Prusy i Rosja, Prusacy (kanalie)* oraz *Francja, Prusy a sprawa polska w latach 1805-1863*. Ten

ostatni tekst stanowił szkic referatu Marksa wygłoszonego na posiedzeniu Rady Generalnej I Międzynarodówki.

Prace te pozostawały przez wiele lat w formie rękopisów, które zostały opublikowane dopiero w 1961 roku w Amsterdamie przez Międzynarodowy Instytut Historii Społecznej. Pierwsze polskie wydanie ukazało się w 1971 roku. Autor niniejszych rozważań korzystał z drugiego, poprawionego wydania z roku 1986 opatrzonego wstępem prof. Celiny Bobińskiej. Warto dodać, że w roku 1945 w Moskwie opublikowana została po polsku niewielka broszura Kandela i Prajsa *Marks i Engels o reakcyjnym prusactwie*. Zawierała ona omówienie treści rękopisów *Polska, Prusy i Rosja, Prusacy (kanalie)* oraz różnych notatek dotyczących Niemiec. Druga wojna światowa nadała szczególną aktualność gniewnym i demaskatorskim wywodom Marksa i Engelsa o Prusach i ich podłej polityce wobec Polski. Przykładem wnikliwej prezentacji dramatycznych dziejów polskich przez Marksa zawartych w rękopisie *Prusacy (kanalie)* może być opis wkroczenia polskich powstańców na teren Prus po upadku powstania listopadowego.

W chwili wkroczenia wojsk polskich pod dowództwem generała Rybińskiego do Prus, „Sprawiedliwy” [Fryderyk Wilhelm II] zapewnił im „opiekę i bezpieczny pobyt na swoim terytorium, jeśli złożą broń i wydadzą cały sprzęt wojenny. Generał polski zażądał potwierdzenia tych warunków w deklaracji na piśmie. Dano taką deklarację w imieniu »Sprawiedliwego«. Uzyskawszy to zapewnienie Polacy wkroczyli do Prus. I przez cztery miesiące traktowano ich jak jeńców wojennych. Otrzymywali zaledwie najniezbędniejsze środki utrzymania. W rezultacie oficerowie musieli wyzybywać się za grosze wszystkiego, co posiadali. Do tego Prusacy zabrali broń, konie i artylerię.

Prusacy postępowali jak psy gończe Rosji... Prymitywne (stosunkowo) mongolskie barbarzyństwo Rosjan wydawało się czymś wielkodusznym i szczerym w porównaniu z krwawymi pruskimi machinacjami, które Prusacy jako szakale w służbie Rosji, jako fanatyczni, żarliwi i gorliwi żandarmi, siepacze i sługusy Rosjan stosowali pod obłudnymi pretekstami i bez żadnego ryzyka wobec bezbronnych, omamionych ufnością w »znaną prawość« Hohenzollernów”.

Ponieważ car ogłosił amnestię, zachęcano Polaków do powrotu do zaboru rosyjskiego:

„Wychwalana amnestia Mikołaja długo pozostawała czymś niezrozumiałym, aż wreszcie feldmarszałek Paskiewicz dostarczył jej prawdziwego wyjaśnienia w swej odpowiedzi pewnemu oficerowi polskiemu, który powoływał się na nią po powrocie do Polski. »Amnestia jest dla Europy, a dla was jest Sybir« powiedział Paskiewicz”.

Smutny jest fakt, że w encyklopediach i podręcznikach zarówno działalność Marksa i Engelsa na rzecz sprawy polskiej jak i ich publicystyka oraz treść rękopisów są przemilczane.

Obserwujemy niepokojące zjawisko nowych „białych plam”.

Cytowane fragmenty pochodzą z publikacji Karol Marks, *Przyczynki do historii kwestii polskiej. Rękopisy z lat 1863-1864*, Książka i Wiedza, Warszawa 1986

Roman Wysogład

Na przekór nie tylko sobie

Pamięci profesora Tadeusza Kowalika

(1926-2012)

padał deszcz więc

Partię opuściłem w 1968 roku

a Krzywe Koło absorbowало mnie
bardziej niż

absolut

– zresztą różnie pojmowany

później współpracowałem z KOR-em

Towarzystwem Kursów Naukowych

a po roku 1989

Polska to nie był kraj

moich marzeń

ale nie mam prawa narzekać

– mogło być o wiele gorzej

na przykład mogłem nie widzieć

Tatr

Krakowa

albo piękna ukrytego nie tylko

w kobietach

MARZEC'68

– PIĘĆDZIESIĄT LAT

PÓŹNIEJ

W dniach 14-16 marca 2018 w salach Centrum Kultury Żydowskiej w Krakowie odbyła się, zorganizowana przez „Kuźnicę”, CKŻ i Fundację im. Róży Luksemburg konferencja poświęcona rocznicy wydarzeń marcowych 1968 roku.

Paweł Sękowski – prezes „Kuźnicy”

Witam Państwa bardzo serdecznie. Tytuł naszej dyskusji panelowej brzmi: „Marzec 68 – pięćdziesiąt lat później”. Dyskusję, a także wydarzenia jutrzejsze, współorganizują „Kuźnica” i Fundacja „Judaica” Centrum Kultury Żydowskiej, które jest tu gospodarzem. Fundacja to instytucja obywatelska zajmująca się dziedzictwem polsko-żydowskim, jak również, szerzej rzecz ujmując, kształtowaniem postaw obywatelskich kierowana od ćwierćwiecza przez dyrektora Joachima Russka, współprowadzącego dzisiejszą dyskusję. Ja od dwóch miesięcy jestem prezesem Stowarzyszenia „Kuźnica” grupującego lewicową inteligencję Krakowa, ale i innych miast, w tym Warszawy, Nowego Sącza czy Tarnowa. Organizacja ta powstała w 1975 roku jako emanacja środowisk naukowych, artystycznych i kulturalnych, skupionych głównie w reformatorskim skrzydle PZPR, ale od 1989 roku jest to stowarzyszenie ponadpartyjne, zainteresowane sferą myśli i refleksji w duchu szeroko pojętej lewicowości.

Chciałbym szczególnie podziękować Fundacji im. Róży Luksemburg, bez której wsparcia dzisiejsza konferencja nie mogłaby dojść do skutku. Tu muszę nawiązać do pewnego haniebnego wydarzenia. Oto dwa dni temu władze Zamościa pozwoliły sobie na zdemontowanie tablicy pamiątkowej poświęconej tej wybitnej myślicielce i działaczce ruchu socjalistycznego, która urodzi-

ła się w tym mieście. Tablica została zdemontowana wbrew literze prawa, pod pozorem realizacji „ustawy o dekomunizacji nazw miejscowych” z 2016 roku, a przecież nie można uznać Róży Luksemburg ani za propagatorkę ustroju komunistycznego w jego stalinowskiej wersji, tym bardziej że została zamordowana przez niemieckich nacjonalistów, zanim Stalin został dyktatorem w Związku Radzieckim. W dodatku liczne spośród jej poglądów były traktowane w ZSRR nie tylko jako „błędy”, ale służyły oskarżaniu i represjonowaniu dysydentów czy przeciwników partii bolszewickiej. Nie można też uznać Róży Luksemburg za winną powstania Polski Ludowej po 1944 roku, skoro wówczas nie było jej już na tym świecie. Fundacja im. Róży Luksemburg, swym wsparciem dla takich przedsięwzięć jak nasza konferencja, wmurowuje nową tablicę ku czci swej patronki!

Chciałbym zatem powitać naszych gości, którzy zechcieli wziąć udział w dzisiejszej dyskusji. To osoby powszechnie znane, więc szerzej ich przedstawiać nie trzeba. Witam zatem panią **Barbarę Toruńczyk** – socjolożkę, członkinię nieformalnej grupy „komandosów”, która znalazła się w centrum wydarzeń 1968 roku, działaczkę opozycji demokratycznej w latach Polski Ludowej, a od wielu lat redaktorkę naczelną „Zeszytów Literackich”.

Witam serdecznie pana **Seweryna Blumsztajna**, również „komandosa” i także uczestnika wydarzeń

tamtego roku w Warszawie, absolwenta filologii, działacza opozycji demokratycznej, emigranta we Francji, obecnie redaktora i członka kierownictwa „Gazety Wyborczej” oraz prezesa Towarzystwa Dziennikarskiego.

Witam pana **Jana Lityńskiego**, „komandosa” i uczestnika wydarzeń marcowych w Warszawie, działacza opozycji demokratycznej w PRL a także publicystę i uczestnika życia politycznego w III RP.

Wreszcie serdecznie witam pana profesora **Andrzeja Friszke**, pracownika naukowego Instytutu Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, wybitnego specjalistę w dziedzinie historii najnowszej Polski, związanego również z opozycją demokratyczną, od wielu lat kierownika działu historycznego czasopisma „Więź”.

Chciałbym w moim krótkim wprowadzeniu wskazać wątki, które, mam nadzieję, pojawią się w dzisiejszej dyskusji. Stają bowiem przed nami pytania: Dlaczego Marzec? Czym był Marzec’68? Czy jest to okres od 1967 roku, od wojny izraelsko-arabskiej i zerwania stosunków Polski z Izraelem, po koniec 1971 roku i koniec fali „pomarcowej emigracji”? Czy lepiej optować za inną definicją „Marca”, w której nacisk zostanie położony na polski konflikt wewnętrzny, na jego antyinteligencję i antysemitkę oblicze, wreszcie na walki frakcyjne wewnątrz PZPR. Odrębnym problemem, w tym ujęciu, staje się konflikt na Bliskim Wschodzie i stosunek do tego konfliktu całego „bloku wschodniego”.

Zapewne nie obejdzie się bez odniesień do aktualnych dyskusji i kryzysu w Polsce, wywołanego forsowaniem ustawy o Instytucji Pamięci Narodowej, bo rodzi się pytanie, czy ta sytuacja przypomina, bądź nie przypomina tej sprzed 50 lat.

Proszę o głos gospodarza tego miejsca.

Joachim Russek – dyrektor Centrum Kultury Żydowskiej

Dziękuję serdecznie tym uczestnikom wydarzeń marcowych, którzy zechcieli przyjąć nasze i „Kuźnicy” zaproszenie oraz Fundacji im. Róży Luksemburg.

Dla osób, które mają dziś lat 70 plus marzec 1968 jest doświadczeniem pokoleniowym, a ponieważ wiadomo, że jubileusze najlepiej udają się w Krakowie, musieliśmy zrobić taką dyskusję w tym mieście wedle najlepszych, tradycyjnych wzorów. Jednak, jak to zawsze bywa, życie dopisało niespodziewany jakby ciąg dalszy, co powoduje, że dzisiejsza rozmowa nie może mieć charakteru wyłącznie jubileuszowego.

Sądzę, że dzięki osobom zgromadzonym za stołem prezydialnym dowiemy się czegoś o kontekstach i wydarzeniach, które poprzedzały Marzec’68, a mam na myśli przede wszystkim tzw. wojnę sześciodniową... Był to zresztą rok, kiedy niespokojnie było wszędzie, że wspomnę tylko Berkeley, Pragę, Berlin czy Paryż, jednak tylko w naszym marcu pojawiło się zjawisko, które znamy pod nazwą antysemityzmu. Ostatecznie, skoro chcemy poważnie zająć się kwestią zbiorowej pamięci, powinniśmy sobie dziś powiedzieć, co i jak należy szczególnie zapamiętać z doświadczeń owego Marca. Samemu sobie uprzytomnić, spoglądając pół wieku wstecz, że tamte wydarzenia mniej więcej tyle samo czasu dzieliło od wydarzeń II wojny światowej.

Dla mnie i mojego pokolenia tamten Marzec to doświadczenia świeże, pamiętamy go jakby to było wczoraj,

ale pokolenia młodsze traktują go jak wydarzenie historyczne, niemal z czasów piastowskich, a przecież ta wiedza może się jeszcze nie raz przydać także w życiu współczesnym. Zatem, życzę Państwu i sobie, abyśmy z tej sali wyszli z wiedzą znacznie większą niż a ta, z jaką tu przybyliśmy.

Andrzej Friszke

Punktem wyjścia do rozważań o Marcu’68 musi być rok 1956, rozbudzone wtedy nadzieje na demokratyzację socjalizmu, szersze otwarcie na Zachód, dodajmy – nadzieje zawiedzione, poczynawszy od likwidacji „Po prostu”, po lata 60., gdy władza wycofała się z obiecanych reform, a ich zwolenników zwalczała jako rewizjonistów. Wywoływało to sprzeciw, zwłaszcza w kręgach inteligencji i intelektualistów. Tu warto przypomnieć *List 34* pisarzy i naukowców z 1964 roku, słynne spotkanie z prof. Kołakowskim na Uniwersytecie Warszawskim w 10 rocznicę Października’56, w którym uczestniczyli m.in. tu obecni paneliści. Był też opór rozproszony – sprzeciw wobec polityki kulturalnej ujawniające się na zebraniach Związku Literatów Polskich, ferment w działających po 1956 r. organizacjach, takich jak Klub Krzywego Koła czy klub dyskusyjny Karola Modzelewskiego na UW. To powodowało irytację władzy, która dążyła do wyciszenia wyrazów niezadowolenia, demonstrowanych przez różne środowiska.

Komandosi stanowili jedno z takich środowisk, związane z Uniwersytetem Warszawskim. Aresztowanie Kuronia i Modzelewskiego po ich sławnym *Liście otwartym do członków PZPR* z roku 1965 spowodowało nasilenie protestów w obronie represjonowanych, a później także Michnika, który z grupą „poszukiwaczy sprzeczności” działał w oficjalnym Związku Młodzieży Socjalistycznej, co dodatkowo było niewygodne dla władzy. Ta zaś była świadoma, że wydarzenia Października’56 naruszyły spójność systemu rozumianego jako pełna kontrola nad obiegiem słowa i myśli, a także jako koncentracja władzy w rękach centrum. Z tego punktu widzenia wszelkie działania Gomułki i władz PZPR były „przywracaniem porządku” w ramach monocentrycznego systemu. Chodziło o to, by Polska mówiła jednym głosem w sprawach kultury, nauki, stosunków Wschód - Zachód, konfliktów wewnątrz bloku sowieckiego, konfliktu z Chinami itp. Najważniejszy był głos I Sekretarza. Blokowanie popaździernikowych tendencji oznaczało jednak konflikty wewnętrzne w partii. Przekonują nas o tym ciekawe dokumenty, jakie udało się odnaleźć w IPN, dotyczące grupy puławskiej, która na VIII plenum Komitetu Centralnego PZPR w 1956 r. wyniosła Gomułkę do władzy.

W tej właśnie grupie już od 1957 roku bezpieka obserwowała ludzi, którzy szukali kontaktu z Zachodem, nie krępowali się zachowywać bliskich relacji z korespondentami zagranicznymi, niektórych zapraszali na kolacje i jak można przypuszczać, opowiadali co słycać na szczytach władzy. Byli to m.in. Stefan Staszewski, do lutego 1957 r. I sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR, czy Roman Werfel, redaktor naczelnego „Nowych Drog” - organu teoretycznego partii. Dla nich ówczesny korespondent „Le Monde” Philippe Ben, świetnie mówiący po polsku, przedwojenny polski obywatel, a podczas wojny żołnierz armii Andersa, mógł

być rzeczywiście znakomitym partnerem do rozmów o polityce.

Tak więc pod koniec lat 50. bezpieka, w której coraz większą rolę odgrywał Mieczysław Moczar, zaczęła szerzej inwigilować to środowisko, powrócono też do zarzuconego po październiku 1956 r. inwigilowania niektórych członków władz PZPR. Symbolicznym był rok 1962, kiedy Służba Bezpieczeństwa rozpoczęła stałą inwigilację Adama Schaffa, znanego filozofa, członka Komitetu Centralnego. Schaff miał liczne kontakty wśród uczonych i lewicowych intelektualistów – angielskich, francuskich czy amerykańskich, co traktowano jako zagrożenie kontrwywiadowcze.

Pokazało to pewien wewnętrzny problem, bo od Października 56 bezpieka nie miała prawa podsłuchiwać członków kierownictwa partyjnego, narzucała się więc analogia ze stalinizmem i dogłębnie skompromitowaną działalnością X Departamentu Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Mimo to służby takie starania podejmują, a wkrótce nawet rozszerzają. Od roku 1965 mamy więc do czynienia z inwigilacją co najmniej kilku członków kierownictwa partyjnego – w tym redaktora naczelnego „Trybuny Ludu” Leona Kasmana, dyrektora generalnej Ministerstwa Spraw Zagranicznych Marii Wiernej i innych osób, których lista w miarę postępu badań w IPN będzie się zapewne rozszerzać.

Do tego dochodzi akcja „sprawdzania” kierownictwa Państwowego Wydawnictwa Naukowego, gdzie znaleźli przystań rozbitekowie z grupy puławskiej, zwłaszcza Staszewski. Pretekstem politycznym do rozprawy z nimi stało się hasło „obozy koncentracyjne” w Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, które rzekomo niewystarczająco eksponowało polskie ofiary prześladowań. Podjęto zatem wyraźnie ukierunkowaną przez NIK kontrolę PWN, której celem było wskazanie potencjalnych ofiar przyszłej czystki. W materiałach pokontrolnych pojawiły się nazwiska Staszewskiego, Baumrittera, Zabłudowskiego – osób, które w 1968 roku zostały otwarcie zaatakowane.

Warto też poruszyć, dość charakterystyczny, wątek sowiecki. Przypomnę, że w 1956 r. ZSRR otwarcie popierał frakcję natolińską w partii: Konstantego Rokossowskiego i grupę działaczy takich jak Zenon Nowak, Kazimierz Witaszewski, znany jako generał gazurka, który od 1960 do 1968 roku będzie kierownikiem Wydziału Administracyjnego KC PZPR zajmującego się m.in. bezpieczeństwem i wojskiem. To ta grupa już w 1956 roku wprowadziła do polityki hasła antysemickie. Na VII plenum KC, czyli tuż przed przełomem październikowym, to właśnie Zenon Nowak mówił o potrzebie „regulacji narodowościowej” kadr aparatu PZPR. Ten wątek, jednoznacznie „marcowy”, wówczas nie przydał się na wiele, bo już na następnym plenum Nowak stracił swoją funkcję.

Ostoją wpływów ZSRR w Polsce Konstanty Rokossowski musiał wyjechać do Moskwy, ale jak wynika z pliku dokumentów 1960-1963, wielu natolińczyków przetrwało, głównie na stanowiskach sekretarzy komitetów wojewódzkich i to oni stali się przedmiotem załatów służb ZSRR – poczynając od ambasadora, a był nim wtedy Awierkij Aristow, po konsulów w różnych miastach. W Moskwie znalezione zostały przez Mirosława Szumiłłę notatki konsulów z rozmów

z I sekretarzami komitetów wojewódzkich PZPR i jest to szokująca lektura. Mówią oni dość jednoznacznie, że „w kierownictwie partii towarzyszy Gomułka otoczony jest bardzo dziwnymi ludźmi”. Po pierwsze – Żydami, po drugie – ludźmi mającymi niechętny stosunek do ZSRR, po trzecie – takimi, którzy chcieliby w Polsce zmian liberalizacyjnych, a więc prozachodnich... Słowem, są to ludzie niebezpieczni, bo w razie napięć międzynarodowych nie poprą oni ZSRR! I tu padają nazwiska: Zambrowskiego, Matwina, Granasowej i kilku innych osób z kręgu „puławian”. Niektórzy z sekretarzy mówią nawet, że „ten Cyrankiewicz” to też farbowany lis, niby proradziecki, a przecież człowiek o „nie naszych” poglądach. To samo Rapacki. Sączą te „mądrości” Rosjanom i w zasadzie, jak się czyta owe notatki, to choć ostatnie które znamy pochodzą z 1963 r., to rysuje się cały „plan marcowy”.

Widzimy w tych rozmowach osoby, które w 1968 roku będą bardzo czynne w swoich województwach, jak Władysław Kruczek, Jan Szydłak, Władysław Kozdra, a nawet Edward Gierek, który przyjeżdżał na spotkania z konsulem specjalnie do Krakowa... Ci właśnie ludzie formułują takie „marcowe z ducha” opinie, choć trudno powiedzieć, by miało to być potem kierownictwo grupy Mocзара. Natomiast gdy chodzi o samo MSW, to brak nam ciągle poznania jakiegoś ogniwa wiążącego samego Mocзара z Moskwą, ale nie ma dwóch zdań, że ono musiało istnieć, skoro chodzi o MSW pozostające w naturalnych związkach z wywiadem sowieckim i sowiecką polityką.

Ciągle dziś mówi się, a podkreślał to ostatnio premier Morawiecki, że wydarzenia marcowe inspirowane były przez ZSRR, tymczasem Jerzy Eisler, autor wielu prac o epoce PRL przypomina, że ambasador Aristow w Marcu 68 był raczej neutralny. O tym, co na temat historii opowiada Morawiecki najlepiej zamilczeć, a lansowane dziś wyobrażenia, że polska partia kar nie realizowała wszystkiego co przyszło z Moskwy, są po prostu nieprawdziwe. To była jednak polityka odbywająca się w Polsce, i niekiedy dość skomplikowana. Ekipa gomułkowska miała ogromny zakres swobody w podejmowaniu decyzji, zwłaszcza dotyczących polityki wewnętrznej i nie wolno jej łatwo rozgrzeszać.

I ostatnia rzecz – wypada zastanowić się, jak kształtował się horyzont wiedzy takiej postaci jak Gomułka, szczególnie gdy chodzi o kwestie oporu społecznego wobec poczynañ PZPR.

Trzeba więc stwierdzić, że I sekretarz był pozbawiony dopływu niezależnych informacji, a o tym co mówi Jasienica, Kołakowski, czy o czym mówią *komandosi* między sobą, Gomułka dowiadywał się od MSW. I sekretarz i jego najbliższe otoczenie dostawali na biurko codzienny biuletyn specjalny z gabinetu ministra spraw wewnętrznych, w którym oceniano stan zagrożeń w różnych dziedzinach, także omawiano, a niekiedy cytowano fragmenty rozmów znaczących osób uzyskane z podsłuchów. Drugim źródłem wiedzy były wprawdzie meldunki komitetów wojewódzkich PZPR, ale dotyczyły one raczej spraw gospodarczych, ogólnych ocen nastrojów społecznych, ostatecznie ulotek czy napisów, ale nie konkretnych wypowiedzi określonych osób.

Trzeba pamiętać, że to wszystko odbywało się w atmosferze zimnej wojny, gdy każdy kontakt z zachodnim

korespondentem, nie mówiąc już o przyjaznej kolacji, mógł dla Gomułki oznaczać wpływ informacji. W sytuacji walki bloków, wojny informacyjnej, dywersji ideologicznej i stałego dopływu informacji z Polski do „Wolnej Europy”, stwarzało to wręcz nastrój hysterii. Dość tu przypomnieć sprawę Henryka Hollanda, działacza PZPR i dziennikarza, który przekazał na Zachód opowieść Chruszczowa o okolicznościach śmierci Stalina i Berii. Objęty śledztwem Holland popełnił samobójstwo. Łatwo było zatem rozegrać budowany nastrój podejrzliwości czy wręcz wrogości, a „wojna siedmiodniowa” z 1967 r. między Izraelem a krajami arabskimi, stała się do tego znakomitym podłożem. „Biuletyn” obszernie informował, co Bartoszewski albo Jasienica powiedzieli o Arabach, o Izraelu, albo donosił iż według Stommy Polska tak ostro wypowiada się o Izraelu, „bo ją Związek Radziecki przymusza”. Gdy coś takiego docierało na biurko Gomułki, to ten się wściekał.

Tak więc to MSW w dużym stopniu kształtowało poglądy Gomułki, jego wyobrażenia i wytwarzało odpowiednią atmosferę. Ten system manipulowania informacjami docierającymi do najważniejszych osób w państwie obowiązywał zresztą do końca PRL.

Jan Lityński (zapis nieautoryzowany)

Profesor Friszke mówił o Marcu w kontekście tego, co działo się w PZPR, ale warto też przypomnieć, co się wówczas działo w Polsce, a także na samym Uniwersytecie Warszawskim. Nie ulega wątpliwości, że Marzec był rezultatem kampanii antyinteligencjonalnej i antysemitowskiej, ale który wątek jest tu ważniejszy, trudno powiedzieć.

Warto może sięgnąć do Szpotańskiego i wykreowanej przez niego postaci „towarzysza Szmaciaka” który przed wojną był lumpem, w czasie wojny szmalcownikiem, a po wojnie wstąpił do UB i dziś (czyli wówczas) jest sekretarzem szczebla powiatowego. Dlatego dla niego wrogiem są inteligenci i Żydzi, a jego celem jest „białą rączkę przypawić o śmiertelną drzącą”. Po 1957 roku ten „szmakiizm” jest nieustannie obecny. Zaczynało się więc od likwidacji „Po prostu” a potem przemówienia Gomułki, w którym ten atakował Leszka Kołakowskiego, czołowego przywódcę Października. Następnie zaczyna się gra, atak na „szarganie świętości”, a więc przede wszystkim na filmową „szkołę polską”. Atakowany jest Wajda, atakowany jest Sławomir Mrożek, którego *Śmierć porucznika* wystawiana była w teatrze w Warszawie. W jego przypadku skończyło się emigracją i długimi latami spędzonymi w Meksyku i Paryżu, bo w Polsce traktowano go jako twórcę nieistniejącego.

Charakterystyczne, że demonstracje przeciw „szarganiu” były organizowane przez dwie grupy – jedna to działacze partyjni, które scharakteryzował prof. Friszke, a druga to środowiska organizowane przez wypuszczonego z więzienia Przemysława Górnego, który od zawsze był endekiem. To osoba mało znana. Przypomnę, że od 1954 studiował, a w latach 1955-1959 był przewodniczącym Zrzeszenia Studentów Polskich na UW. W grudniu 1957 r. współtworzył nielegalną Ligę Narodowo-Demokratyczną, za co został skazany na dwa lata. W 1965 został ponownie aresztowany na 6 miesięcy pod fałszywymi zarzutami udziału w napadzie na bank, potem w 1966 pod zarzutem nielegal-

nego przekroczenia granicy skazano go na 2,5 roku. W listopadzie 1967 został jednak zwolniony i wrócił na studia, ale rok później został ponownie skreślony. Na ten okres datuje się jego działalność.

W 1963 roku, w ramach swego rodzaju appeasementu, zlikwidowane zostały dwa tygodniki literackie – „Przegląd Kulturalny” i „Nowa Kultura”, powołano jeden – nowy: „Kulturę” pod kierownictwem Janusza Wilhelmi, postaci dwuznacznej. W czasie okupacji Wilhelmi był członkiem faszystowskiej organizacji „Miecz i pług”, w czasie studiów na UW był przyjacielem opozycjonistów Jana Józefa Lipskiego i Janusza Szpotańskiego, a potem radykalnie zmienił front i z czasem został szefem Komitetu Kinematografii, a nawet wiceministrem kultury i sztuki. (...)

Oczywiście wyrazem napięć „wewnątrzsystemowych” jest sławny list Kuronia i Modzelewskiego z 1964 roku. List bardzo ważny, bo choć stoi na gruncie postawy marksistowskiej, stwierdza, że system jest nie- naprawialny i musi zostać obalony choćby dlatego, że takie są prawa historii! Jest to więc generalne zerwanie nie tylko z linią oficjalnego marksizmu, ale też z rewizjonizmem który chciał coś „naprawiać”.

Rozbrat intelektualistów z PZPR, pożegnanie się umiarkowanych środowisk ze złudzeniami, co zresztą doskonale ilustruje swoją twórczością Janusz Szpotański, to wszystko istotne elementy tworzące atmosferę Marca.

I tak np. w 1966 roku, w jednym z warszawskich akademików działał bardzo aktywny klub dyskusyjny. Odbyła się w tam interesująca debata, w której wzięli udział płk. Zbigniew Załuski, Kazimierz Koźniewski, Jerzy Szacki, socjolog, wówczas doktorant prof. Bronisława Baczkii i Stefan Kisielewski.

Załuski jest autorem głośnej wówczas książki *Siedem polskich grzechów głównych*, dowodzącej, że historia Polski była wspaniałą i pełną wielkości, że choć Polska była ofiarą przemocy sąsiadów, to przecież wspaniale się broniła, i krytyka mitów narodowych jest czymś za gruntu wrogim Polsce, a w szczególności Polsce Ludowej – ucieleśnieniu wielowiekowych marzeń narodu.

Szacki, podobnie jak Kisielewski, określał strukturę sporów w Polsce jako spór postaw, między postawą otwartą i zamkniętą, zaś Załuski stawał w obronie postawy „patriotycznej”, popierał go Kazimierz Koźniewski, który napisał blisko 50 książek, ale miał także określone zadania w środowisku pisarzy zlecone przez bezpiekę. (...)

Tu warto przypomnieć badania socjologiczne Han-ny Świdry-Zięby z roku bodajże 1966, które wskazywały, że młodzież studencka jest kompletnie bezideowa, zupełnie nie zainteresowana sprawami publicznymi, ma małe marzenia – żeby skończyć studia, dostać dobrą pracę, może na jakiś czas wyjechać za granicę dla zarobku. Tymczasem wydarzenia narastają dynamicznie, być może dlatego, że wszystko co się dzieje w Polsce, w tym więc na Uniwersytecie Warszawskim z 8 marca, miało w znacznie mierze charakter solidarnościowy – wsparcie kolegów usuwanych ze studiów. Młodzież się buntuje i możemy zapytać z pewnym zdumieniem – dlaczego się buntuje? Dlaczego się buntuje nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie, i to pytanie jest oczywiście otwarte.

A jednak wydaje się, że jest coś, co łączy młodzież amerykańską, polską, węgierską czy czeską tego okresu. Natomiast dość istotna różnica jest taka, że młodzież polska wystąpiła w obronie elementarnych wartości. Młodzi z Paryża czy Berkeley chcieli zbudować „nowy świat”, a my w tym „nowym świecie” już żyliśmy i nie mieliśmy ochoty na kontynuację...

Seweryn Blumsztajn

Historycy mówią, że najgorszym świadkiem wydarzeń jest ich uczestnik. Widać, że dziś każdy z uczestników naszego panelu widzi te sprawy inaczej, a na dodatek mamy salę pełną osób, które Marzec doskonale pamiętają. Ja jestem zdania, że nie byliśmy żadnym „zrewoltowanym pokoleniem”. Mówią o tym badania Hanny Świdry-Ziemby. Także pewien francuski socjolog prowadził podobne badania na kilka miesięcy przez „paryskim majem” i również nic nie wskazywało na to, by młodzież miała się zrewoltować.

Jednak my byliśmy pokoleniem wyrosłym w tradycjach Października '56 i akceptującym w zasadzie ograniczenia tego systemu z przyczyn dość oczywistych i rewolta pokoleniowa była przede wszystkim skutkiem tego, co się stało na Uniwersytecie Warszawskim, skutkiem pobicia młodzieży po wiecu wyrażającym sprzeciw wobec zdjęcia przedstawienia *Dziadów* w reżyserii Kazimierza Dejmka, z mocną rolą Gustawa Holoubka. Był to także protest wobec kłamliwej kampanii prasowej. W wydarzeniach wcześniejszych dziejących się na UW, w mniej lub bardziej oficjalnych dyskusjach uczestniczyła niewielka, bardzo izolowana w istocie grupa, a nawet my, choć nazwano nas *komandosami* nie byliśmy radykałami. Owszem, chcieliśmy więcej demokracji, chcieliśmy, żeby były cztery kąty proste, żeby więcej kolorów było wokół nas, ale tak naprawdę uważaliśmy ten świat za zastany i sądziliśmy, że możliwości zmiany są niewielkie. Nie przypuszczaliśmy, że może wyniknąć z tego coś aż takiego jak „wydarzenia marcowe”. Na wiec szliśmy bez żadnego planu – co dalej.

Niektórzy z nas zastanawiali się czy centralna biurokracja partyjna to nie jest „nowa klasa”, ale były to tylko pewne dywagacje. Jedyne dwu spośród nas wierzyło w nową rewolucję proletariacką – Karol Modzelewski i Jacek Kuroń. To wydaje mi się ważne, by nie tworzyć kitów, że „komandosi coś zaplanowali”. Na pewno mieliśmy mniej pojęcia, czego chcemy, od podchorążych, którzy szli na Belweder, którzy chcieli podpalić całą Polskę. Myśmy wcale o tym nie marzyli. Pamiętam jak w marcu 1969 roku rozwozili nas do więzień karnych z Rakowieckiej i jechałem razem z Jackiem Kuromiem. Nasze pierwsze słowa po spotkaniu w więźniarce, jego i moje, brzmiały „jaka piękna katastrofa”. Ale podkreślałem – „katastrofa”!

Barbara Toruńczyk

Nie sposób potwierdzić bardzo rozpowszechnionej, czy zgoła głównej funkcjonującej w obiegu tezy, że my – *komandosi* i generalnie młodzież studencka, zostaliśmy sprowokowani przez jakieś „kręgi” i że jesteśmy ofiarą wewnątrzpartyjnych rozgrywek. To wszystko, co zostało dziś powiedziane wskazuje, że nie można wykluczyć, by ktokolwiek z kręgów tracących wpływy w kierownictwie PZPR, miał personalny kontakt z osobami,

które rzekomo chciałyby nas wyprowadzić na ulice, czy posłużyć się nami, by odzyskać władzę. Owszem, propaganda PZPR usiłowała takie tezy lansować. Wypada jednak zastanowić się, jak blisko było nam do ówczesnych „rewizjonistów”?

Trzeba pamiętać, że marksizm był rozpowszechnionym sposobem myślenia i dla nas najważniejszym, kiedy opisywaliśmy tak zwaną rzeczywistość społeczną, ponieważ nie dysponowaliśmy żadnymi innymi narzędziami. Marksizm rzeczywiście potrafił nam bardzo wiele z tej rzeczywistości wyjaśnić – również dlatego, że nasza wrażliwość, zwłaszcza moralna, była nakierowana na reagowanie na konflikty społeczne, niesprawiedliwość i wyzysk. To są kategorie marksistowskie i marksizm jest biegły w tłumaczeniu takich zjawisk. W liście otwartym Jacka i Karola wyraźnie wskazywano, że to klasa robotnicza jest uciskana i wyzyskiwana, więc winna się zbuntować. To jest więcej niż hasło buntu, to było hasło rewolucji.

Pamiętajmy, że w tamtych latach, 67–68, rewolucja była dominującym hasłem dla lewicy zachodniej – francuskiej czy włoskiej, i to lewica dominowała wówczas intelektualnie w życiu politycznym. Wszyscy lubili wtedy rewolucję, na przykład chińską, kubańską... Byliśmy nastawieni rewolucyjnie i rewolucja była rozwiązaniem politycznym, które się niejako samo narzucało dlatego, że byliśmy marksistami, dlatego, że byliśmy pod wpływem tej ideologii.

To prawda, że hasło rewolucji stawiało nas od razu w konflikcie z władzą i byliśmy tego świadomi. Nawet zachodni trockiści nie byli za rewolucją w takim dosłownym sensie jak Modzelewski i Kuroń, wyzywający klasę robotniczą do buntu, by zbudować ustrój sprawiedliwości społecznej, którego w Polsce nie ma. Tego nie mówił nikt na Zachodzie, szczególnie gdy jakiś teoretyk lewicy od analiz przechodził do programu politycznego. W tym sensie oni dwaj byli najodważniejsi na tle europejskiego życia politycznego. I oczywiście ten radykalizm różnił nas też od ówczesnych rewizjonistów.

Byliśmy więc wówczas nastawieni bardzo radykalnie, choć trudno się zorientować, dlaczego młodzież w '67 czy '68 roku taka była. Ale tacy byliśmy. Ja akurat, przebywając w 1966-67 roku na Zachodzie, wyczuwałam tę gorączkę, która wówczas narastała, i wbrew badaniom socjologów, o których mówił Seweryn Blumsztajn, spodziewałam się, że tam coś się wydarzy. Dostrzegałam też podobieństwo nastrojów panujących wśród młodzieży uczelnianej w Paryżu i w Warszawie, na co zwracałam uwagę moim emigracyjnym rozmówcom. U nas w Polsce, wbrew przekonaniu o „małej stabilizacji” i stagnacji, budziliśmy się wszyscy i chcieliśmy zmiany. Skoro ustrój „socjalistyczny” zamrażał rzeczywistość społeczną, wszelkie ruchy dążące do jakiegokolwiek zmiany były z jednej strony atrakcyjne dla młodzieży, a z drugiej, oczywiście traktowano je jako „wywrotowe”...

Seweryn Blumsztajn

Faktem jest, że przy wszystkich podobieństwach studenckich rewolt, w każdym kraju chodziło o coś innego. W USA o wojnę w Wietnamie, zapalnikami rewolt francuskiej było żądanie prawa wstępu do akademików żeńskich, w Niemczech młodzież postawiła swym rodzicom pytanie „co robili w czasie wojny?” i z tej per-

spektywy, wydaje mi się, że na naszych zachodnich kolegów patrzyliśmy z rodzajem politowania. Oni przecież wszystko mieli – wolność prasy, wolność wypowiedzi i zgromadzeń, wszystko mogli sobie załatwić. Choć czuliśmy pewną więź pokoleniową, która do dziś istnieje, nie rozumieliśmy o co im chodzi.

Przy dość wyjątkowej sytuacji Polski w obozie socjalistycznym, antysemicki aspekt wydarzeń marcowych wydawał nam się swoistym „wypadkiem przy pracy”, wynikającym jednak z walk frakcyjnych w PZPR, a nie strukturalnych problemów, które różniły Polskę od innych krajów socjalistycznych.

Barbara Toruńczyk

Z antysemityzmem zetknęliśmy się dopiero w 1968 roku, na uniwersytecie. Teraz jest to dla mnie problem centralny dla oceny wydarzeń Marca. Wystąpił wówczas, ale ma swoją kontynuację i obecnie powinniśmy go wszyscy razem gruntownie przemyśleć. W tamtym czasie nie był dla nas najważniejszy. Dziś, kiedy się mówi o *komandosach*, wielu akcentuje fakt, że większość z nas była pochodzenia żydowskiego. A przecież w większości byliśmy wychowani w kulturze polskiej, z żydowską nic nas nie łączyło i nic o niej nie wiedzieliśmy, bo też w domu o niej się nie mówiło. Wśród nas były tylko dwie osoby, o których mogę powiedzieć, że byli Żydami w sensie kulturowym. To byli Józef Dajczgewand i Bogusia Blajfer. Oni kończyli liceum żydowskie w Łodzi, znali tę kulturę prawdopodobnie również z domu. My nie. Nasi rodzice od młodości byli na ogół ideowymi komunistami, zbuntowanymi przeciw religii, często pochodzili z rodzin zasymilowanych. A już o sprawach związanych z Holocaustem ani nasi rodzice, ani całe to pokolenie, które przeszło przez ów koszmar, nie wspominało. Milczenie, które zapadło, to był niejako warunek przetrwania, racja życia naszych rodziców i całego pokolenia świadków Zagłady, którzy, żeby móc kontynuować życie, cali byli wychyleni w przyszłość a o przeszłości chcieli zapomnieć i przemilczeć przed dziećmi, urodzonymi po wojnie, tę hekatombę niemożliwą do oddania w słowach — pragnęli niejako zacząć życie od nowa.

Jeśli zetknęliśmy się z antysemityzmem, to dopiero w 1968 roku, na uniwersytecie, w postaci ulotek, które wtedy były produkowane przez Służbę Bezpieczeństwa. Potem cały ten okres spędziliśmy w więzieniu, więc to też nas nie dotknęło ze strony zwykłych ludzi, co byłoby najboleśniej. Podłą wypowiedź śledczego: „czy mam mówić do ciebie po żydowsku, żebyś zrozumiała?”, puszczałam mimo uszu, bo uważałam to za część taktyki śledczej, która mnie nie może ugodzić. Uważałam, że jestem sobą i nie pozwolę, żeby ktoś określał moją tożsamość. Kiedy Michnikowi jego śledczy powiedział, żeby wyjechał „do swoich” do Izraela, odpowiedział: „może wyjadę, ale dopiero wtedy, jak pan pojedzie do swoich”. Śledczy nie bardzo rozumiał o co chodzi, więc Michnik dopowiedział: „<<do swoich>>, czyli do Moskwy”. Antysemityzm rozumieliśmy w kategoriach politycznych i uważaliśmy, że nas osobiście nie dotyka.

Nie skłaniało nas to też do tego, byśmy rozpoczęli jakieś poszukiwania genealogiczne czy w sferze kulturowej, co zdarzyło się wielu naszym przyjaciółom, którzy przeżyli Marzec '68 „na wolności”, poza więzieniem,

bo zetknęli się z antysemityzmem, który się wówczas objawił w życiu codziennym. Sztuka Ani Smolar pt. *Kilka obcych słów po polsku...*, przygotowana na tegoroczną rocznicę tamtych wydarzeń, pokazuje wyraziście, do jakiego stopnia ludzi to dotykało. Wielu z nich zdecydowało się z tego powodu na emigrację. Mieli ku temu dodatkowe przyczyny, bo tracili pracę, tracili mieszkania, a ich dzieci usuwano z uczelni. Uderzano z reguły w osoby najsłabsze, bezbronne. Najbardziej poszkodowani byli nasi rodzice. Moją matkę pozbawiono pracy, skład jej książki, pracy doktorskiej, tuż przed drukiem rozsypano, a ją samą wraz z dziećmi wyrzucano z mieszkania. Jej syna, uznanego za wybitnego matematyka skierowano do pracy poza uczelnią i poza Warszawą. Była osamotniona; owdowiała zaledwie dwa lata wcześniej. Usłyszała też postulat, żeby eks-humować zwłoki jej męża, mojego ojca, z alei zasłużonych za złe wychowanie córki. Bo ja wtedy siedziałam w więzieniu.

W zawiązku z tym, co się dzieje teraz za rządów PiS, warto rzecz głębiej przemyśleć dlatego, że antysemityzm – jak się okazuje się – cechuje nasze życie i jest bardzo głęboko zakorzeniony w kulturze, także tej codziennej, oraz w życiu politycznym. Być może rzecz polega na tym, że na polską kulturę polityczną przełożył wpływ, od pierwszej dekady XX wieku, wywieńczonej endecja. Uprawiała ona z powodzeniem politykę czynną, działała w terenie, była zakorzeniona w mniejszych i większych miejscowościach, miała oparcie w proboszczach i w nauce Kościoła Katolickiego i nigdy nie wyzbyła się wątków antysemickich i nienawiści do obcych, co do dziś stanowi jej główne spoiwo ideologiczne.

O tym, że Żydzi winni być piętnowani, uczono każde dziecko. Temu mało kto się przeciwstawia do dziś. My też nie potrafiliśmy temu przeciwdziałać w praktyce, choć przecież antysemityzm to jest coś, czego nie wolno zbywać, obracać w żart i na co odpowiadać można — i trzeba — z największą powagą. Słowo „hańba” nie wystarcza — potrzebne jest całkowite, stanowcze i jednoznaczne potępienie, odmowa akceptacji jakichkolwiek przejawów antysemityzmu czy ksenofobii. Na to potrafili się zdobyć Jacek Kuroń czy Jan Józef Lipski. Myśmy tak nie reagowali, bo do nas to nie docierało z całą mocą. Również dlatego, że bardzo trudno podejmować dyskusję polityczną na tej płaszczyźnie, kiedy samemu jest się atakowanym za niewłaściwe pochodzenie narodowościowe.

Miało to swoje konsekwencje przy budowaniu opozycji demokratycznej. Nie przyjęto nas np. do KOR-u, chociaż w jego tworzenie byli zaangażowani wszyscy komandosi. Dlaczego? Po prostu unikano ludzi napiętnowanych Marcem, to znaczy okrzyczanych jako Żydzi, czyli takich jak my. Gdy budowano szeroką koalicję opozycji demokratycznej w okresie „Solidarności” czy stanu wojennego, odczuwaliśmy w stosunku do nas dystans i niepokój, który zresztą dzielaliśmy, uznając, że nasza zbyt wyraźna obecność „szkodzi sprawie”.

Cóż, wydaje się, że błędem naszym było to, że nie rozpoznaliśmy właściwej siły trendów historycznych. Uważaliśmy, że największym zagrożeniem jest totalitaryzm. Nie braliśmy należyście pod uwagę innego trendu historycznego — pisze o tym Timothy Snyder, który interesuje się nim szczególnie w Europie Wschodniej

— to znaczy nacjonalizmu. Teraz okazuje się, że totalitaryzm typu nazistowskiego czy sowieckiego był fenomenem XX wieku i nie odtwarza się w swojej pełni w wieku XXI, natomiast postawy nacjonalistyczne i trend do tworzenia państw narodowych przetrwały mimo wszystkich, często przerażających doświadczeń. Tak więc sądzę, że przeciwstawiając się totalitaryzmowi zrobiliśmy wszystko, co tylko było można i jasno sobie te rzeczy ułożyliśmy w głowie. Mieliśmy swój udział w tworzeniu KOR-u, niezależnego ruchu wydawniczego, podziemnych kursów naukowych i „Solidarności”, opracowaliśmy strategię „nowego ewolucjonizmu” opisaną przez Michnika już w 1976 roku. Bezkrwawa transformacja ustrojowa, która się u nas rozpoczęła w 1989 roku, czerpała z tych właśnie źródeł. Natomiast nie mamy podobnych osiągnięć w walce z nacjonalizmem.

Jan Lityński

Ja mam nieco inne spojrzenie na sprawę, być może dlatego, że działaliśmy w odmiennych środowiskach. Kampania marcowa stworzona była zapewne na wzór wszelkich innych kampanii Polski powojennej. W 1945 roku była kampania *AK zapłuty karzeł reakcji*, potem była kampania przeciw PSL-owi, *Bitwa o handel* czyli kampania przeciw spekulantom, kampania przeciw kłakom mająca wspierać spółdzielnie produkcyjne...

Kampanie takie trwały dłużej lub krócej – marcowa w zasadzie kilka miesięcy, ale jej skutki odczuwany do dzisiaj. W zasadzie była to kampania antyinteligencka i rodzi się pytanie, dlaczego kluczowe znaczenie miał w niej antysemityzm? Po prostu można było w ten sposób izolować znaczną część partyjnych działaczy. Jak zresztą można jednoczyć kraj, który jest całkowicie zależny od sąsiedniego hegemonu? U nas robiono to za pomocą hasel antyniemieckich i ten nurt bardzo silnie eksponował Gomułka, który zresztą sam zagrożenia niemieckiego bardzo się obawiał.

Ten nurt „naciecentryczny” jest stale obecny w polskiej kulturze i może stanowić dogodne narzędzie do pewnej społecznej integracji. W Marcu kampania trwała kilka miesięcy, obecnie takie tendencje dają się zauważyć od kilku lat. Mamy wolność słowa, więc przeciwnika politycznego cały czas trzeba opisywać jako „obcego”.

Gdy pada pytanie, czy Gomułka, mimo żony-Żydówki był antysemitą, to odpowiedź może być tylko jedna – jeśli ktoś wygłasza teksty antysemickie, to antysemitą jest! Kaczyński tekstów antysemickich nie wygłasza, ale liczni przedstawiciele jego ugrupowania – i owszem, i cała filozofia jego ugrupowania nastawiona jest na atakowanie obcego. Trzeba też zwrócić uwagę na skuteczność działania propagandy mediów publicznych. Jeśli jeszcze kilkanaście miesięcy temu 70 proc. Polaków popierało przyjmowanie uchodźców, a dziś popiera to tylko 15 proc., to najlepszy dowód, że kampania przeciw obcym, kimkolwiek by byli, przynosi znakomite rezultaty. Antysemityzm i ksenofobia obecne są w każdym kraju, ale w Polsce są bardziej widoczne właśnie ze względu na agresywność tej propagandy i niewybredny język, choć z podobnymi zjawiskami mamy do czynienia na całym świecie i świat zadaje sobie pytanie, co robić?

Dziś na postawione w Polsce pytanie, „co można zrobić w sprawie uchodźców?” na dobrą sprawę nie ma

odpowiedzi. To nie tylko sprawa polityki wewnętrznej, ale to prawdziwa klęska polskiej kultury.

I ciekawe, że właśnie po Marcu następuje znaczący rozkwit polskiej kultury, poezji, która penetruje wartość słowa. Staszek Barańczak po Marcu wstąpił do partii, bo uważał, że trzeba ją od środka naprawiać. Powstają nowe teatry: Teatr Ósmego Dnia w Poznaniu, Teatr STU w Krakowie, Teatr 77 w Łodzi. Marzec powoduje, że pojawia się nowe pokolenie, które buduje potem opozycję demokratyczną i najbardziej twórczo wypowiada się w wielkim ruchu „Solidarności”. I oto najbardziej otwarte było w „Solidarności” właśnie pokolenie młodych robotników i techników, którzy, choć młodszy o lat dziesięć, jakoś otarli się o wydarzenia Marca '68. Mimo dwuznacznej roli Kościoła katolickiego w 1968 r., dziesięć lat później, właśnie sojusz Kościoła z ludźmi Marca stał się eksperckim zapleczem „Solidarności”.

Andrzej Friszke

Niestety, temat reakcji Kościoła na Marzec nie jest zbadany i jeszcze długo nie będzie, jako że jest niewygodny z różnych względów. Księża parafialni w zasadzie kampanię antysemicką przyjęli bez sprzeciwów, co poświadczają różne relacje i świadectwa komitetów partyjnych oraz MSW. Zgadzało się to z linią „Kościoła ludowego” prymasa Wyszyńskiego, tej narodowej, ludowej legitymizacji. Wielu mówiło, że przyjdą do władzy Polacy, odsuną Żydów, może więc będzie lepiej, bo ci sekretarze to w końcu dzieci katolików, łatwiej się będzie dogadywać...

Oczywiście część kleru nie przyjmowała takiej postawy. Bicia studentów nikt nie popierał, ale uważano, że to szybko się skończy. Natomiast nie wiadomo o żadnych interwencjach podobnych jak później, w czasach KOR, choć oczywiście biskupi różnie na to patrzyli – inaczej Wojtyła, który przecież nigdy nie poddawał się tej nacjonalistycznej ideologii, natomiast jeśli chodzi o kardynała Wyszyńskiego, to pewnie wkrótce dowiemy się na ten temat więcej, bo właśnie zaczęto wydawać jego *Pro memoria* i różne rzeczy na pewno tam odnotowywał.

Znam fragmenty tych zapisków, m.in. z jego rozmów z posłami „Znaku”, co prawda nieco późniejsze niż z samego Marca, bo to jest już lato 1968 i dotyczy inwazji na Czechosłowację. Generalnie prymas rozgrzeszał Gomułkę z tej interwencji: „Pewnie musiał, takie są układy międzynarodowe, nie należy za ostro reagować, trzeba dać kredyt zaufania”, i to jest niewątpliwie powiązane z całą sytuacją 68 roku.

A przecież w samym Marcu był taki moment, kiedy prymas Wyszyński dał znak niezgody na to, co się działo, co wiemy od Zawieyskiego. Chodziło o posiedzenie Rady Państwa, na którym przeprowadzono odwołanie Zambrowskiego z funkcji wiceprezesa Naczelnej Izby Kontroli. Wszyscy głosowali „za”, jeden Zawieyski się sprzeciwił. Oczywiście opinia publiczna o tym sprzeciwie nie wiedziała, ale Zawieyski poinformował Wyszyńskiego, a ten odpowiedział: „dobrze zrobicie”. Niestety, to tylko ślad sprzeciwu i nie jest jasne jego wy tłumaczenie. Może chodziło o jakąś formę protestu, a może tylko o zaznaczenie, że Zawieyski nie powinien popierać rozgrywek wewnątrz obozu władzy i należy się zdystansować.

Generalnie Wyszyński milczał, poza jednym wystąpieniem, w kościele św. Anny w obronie studentów. Nie podejmował sfery ideologicznej, ani nie występował w obronie Żydów. Ogólnie trzeba stwierdzić, że część Kościoła przyjęła postawę wyczekującą jak prymas, a inni przyjęli zmiany z nadzieją, która dotyczyła też środowisk świeckich. Bardzo ciekawe jest też to, co się działo w PAX, ZSL i Stronnictwie Demokratycznym – to temat na książkę. Także wśród tak zwanych katolików świeckich pojawił się nurt nacjonalistyczny. Istniały na przykład próby przejęcia „Znaku” przez środowisko Zabłockiego i Micewskiego, przy wsparciu bezpieki przeciw tym, którym trzeba „badać genealogię”.

Seweryn Blumsztajn

To, że Kościół nie zajął wyraźnego stanowiska w 68 roku, wydaje się dość zrozumiałe, ale to, że w roku 2018 Kościół polski, biskupi w sprawie tego, co dziś się dzieje nie odezwali się, jest zwykłym skandalem, szczególnie, że Kościół powszechny problem antysemityzmu przewalczył już na Soborze II Watykańskim. Żydzi już nie są traktowani jak „bogobójcy” i złamana została teologia „następstw” głosząca, że Kościół katolicki jest „nową synagogą” i poprzednie „przymierze” jest już nieważne. Przynajmniej hierarchii kościelnej powinno to być wiadome, choć oczywiście przesiąkanie tego do powszechnej świadomości trwa do dziś i nie zawsze jest skuteczne.

Andrzej Friszke

Jeśli przychodzi nam odpowiedzieć na pytanie, dlaczego przeciwko studentom uruchomiono narzędzia antysemityzmu zwanego wówczas antysyjonizmem, to trzeba sobie uprzytomnić, że Polska była wówczas, po 1956 r. krajem stosunkowo najbardziej liberalnym w tzw. obozie socjalistycznym. Mieliśmy najszerzy zakres swobody wypowiedzi i pewien margines swobody obywatelskiej wśród krajów w podobnej sytuacji, co miało określone konsekwencje dla tego systemu. I nie da się zaprzeczyć, że powodowało to erozję ideologiczną doktryny marksizmu-leninizmu. W innych krajach, NRD to przypadek kliniczny, ale nawet w Czechosłowacji czy w Rumunii z nacjonalistycznym elementem, władza mogła się ciągle legitymizować marksizmem-leninizmem w neostalinowskiej postaci.

W Polsce było to coraz trudniejsze i choć używano takiego sztafazu w przemówieniach i innych wystąpieniach oficjalnych jako lepiszcza utrzymującego zwartość i podporządkowanie społeczeństwa, było to już za słabe. Nawet aparat partyjny, szczególnie młodsza jego część o plebejskim pochodzeniu traktowała te deklaracje tylko jako pewien niezbędny rytuał.

Demokratyzacja, wizja zbudowania socjalizmu październikowego, jak mówiono hasłowo „drugiego etapu Października”, była nie do zastosowania, bo oznaczała erozję dyktatury, a to mogło prowadzić do nieprzewidywalnych skutków dla całego „obozu socjalistycznego”.

Problem szukania języka, którym można by się komunikować ze społeczeństwem, wyraźnie narastał od początku lat 60. Tu mieści się cały element kulturowy, którego egzemplifikacją jest Zbigniew Żaluski i jego książki. To działo się na poziomie eleganckim, w dys-

kusji inteligentów, ale gdy się na to popatrzy od strony ludzi prostych, to język ten przestaje być zniuansowany, a staje się agresywny. Odwołanie się do wątków narodowych, czy zgoła nacjonalistycznych opartych na realnie istniejących tradycjach antyrosyjskich, było trudne z przyczyn oczywistych, w związku z czym wyraza w tym aparacie coraz bardziej poczucie „my” plebejskie, etniczne, my chłopskie dzieci, robotnicze dzieci, my Polacy, żołnierze Armii Ludowej czy Gwardii Ludowej, a wreszcie także Armii Krajowej. W aparacie komitetów powiatowych czy wojewódzkich oraz w aparacie bezpieczeństwa narasta poczucie solidarności grupowej tak ukierunkowane, by łączyło z „ludem”. Jest to więc tradycja „plebejsko-narodowa” a nie „inteligencko-narodowa”.

Te procesy najpierw są widoczne w MSW i tam kształtuje się opcja moczarska. Nastroje antyinteligentkie, podział na my i oni objawia się w czystkach wewnętrznych, co na zewnątrz jest niewidoczne. Kto bowiem z obywateli wie, jak zmieniają się jacyś dyrektory czy wicedyrektorzy departamentów w ministerstwach? To jest niewidoczne, bo tajne, ale przecież następuje już od końca lat 50., a w początkach lat 60. mamy już ogromną zmianę i w gruncie rzeczy pogłębia się nastrój nacjonalistyczny, a więc antysemicki.

W tym okresie pojawia się takie oto uzasadnienie, że Izrael jest wrogiem bloku sowieckiego, bo funkcjonuje w ścisłym porozumieniu z Amerykanami. Jest, mówiąc ówczesnym językiem, „przyczółkiem imperializmu amerykańskiego na Bliskim Wschodzie”. A zatem osoby utrzymujące jakiegokolwiek kontakty z Izraelem są z definicji podejrzane, podobnie jak kontakty z izraelską ambasadą. Posiadanie krewnych czy przyjaciół na Zachodzie było od końca wojny podejrzane, a wraz ze zmianą orientacji Izraela na wyraźnie proamerykańską, objęto restrykcjami także kontakty z tym krajem. Teraz w notatkach personalnych dotyczących nawet wysokich dygnitarzy partyjnych pojawiają się odpowiednie opinie, czego przykładem może być notatka dotycząca Wilhelma Billiga, pełnomocnika rządu do spraw energii atomowej. Podlegały mu rzeczy niezwykle ważne, także z punktu widzenia militarnego. W jego osobie zogniskowały się jak w soczewce dwa problemy – po pierwsze, był Żydem, choć wieloletnim działaczem KPP, potem PPR i PZPR, ale miał krewnych w Izraelu i się nie tylko z nimi komunikował, ale nawet złożył tam wizytę. To – w optyce MSW - mogło stwarzać realne zagrożenie infiltracją obcego wywiadu. Druga rzecz to pytanie, z „kim” polska fizyka jądrowa ma współpracować – czy z fizykami francuskimi, angielskimi więc generalnie zachodnimi, czy radzieckimi? To nie jest teoria, bo za tym kryje się masa zagadnień związanych z bronią jądrową.

Rodzi się więc obsesja, która jest pochodną podziału świata na „nasz” i „tamten” oraz traktowanie świata zachodniego jako całości prowadzącej działalność dywersyjną i szpiegowską wobec naszego bloku.

W oparciu o tradycję plebejsko-narodową i narzędzia prostej komunikacji wyrasta ideologia moczarska, która ma sporo wspólnego z dzisiejszą ideologią PiS-owską. Jakże bowiem mamy hasła, które będą pobudzały dumę, poczucie jedności, będą budowały emocjonalne związki z obozem władzy, silną militaryzację opartą na tradycji patriotycznej? To przecież

mocarowcy ją wymyślili i od tamtego czasu kult walki zbrojnej znalazł się na pierwszym miejscu, spychając na dalsze te elementy, które w czasie II wojny światowej mocno się w Polsce zaznaczały – budowanie podziemnego państwa i rządu, przetrwanie kultury, tajne nauczanie, budowanie struktur samopomocy – to były ważne tradycje. Teraz to wszystko nie ma znaczenia, bo to są jakieś inteligentne działania, a poczucie więzi na odpowiednim poziomie emocji budują proste działania prostych ludzi z bronią w ręku.

W dodatku mieliśmy wówczas do czynienia z akcją milenijną prymasa Wyszyńskiego w 1966 roku. Ona wprawdzie nie odnosiła się w ogóle do problemu Żydów, ale otworzyła drogę dla ujawniania się uczuć „masowych” poza oficjalnym, inicjowanym przez PZPR nurtem „masowej legitymizacji”. Na to władza musiała odpowiedzieć. Kościół chciał zawojować dusze zwykłych Polaków w wioskach i małych miasteczkach, i to musiało władzę bardzo niepokoić. Wiemy, jaka była odpowiedź PZPR, bo list episkopatu do biskupów niemieckich spotkał się ostrą reakcją i na tej bazie przeprowadzono całą „patriotyczną kampanię” – „Nie zapomnimy – nie przebaczymy”.

Uderzenie całą propagandą musiało być tak skonstruowane, by trafić do prostego człowieka. Gdyby nie było wojny sześciodniowej na Bliskim Wschodzie, to być może sprawa potoczyłaby się inaczej, ale ta wojna przyszła i otworzyła drogę do przeniesienia walki wewnętrznej, jaka toczyła się w aparacie władzy, ale nie dotyczyła zwykłych Polaków, w wymiar powszechny i oparcia o nią legitymizacji reżimu.

Marzec skończył się dosyć szybko, partyjna akcja po kilku miesiącach wygasła, ale jak się popatrzy na dane z połowy lat 70. i nawet z początku 80. to widać, jak silnie zaznaczyły się jej efekty. Wszystkie osoby, które mają jakiekolwiek ślady żydowskich rodzinnych powiązań, były w odpowiednich rubrykach bezpieczeństwa charakterystyk stygmatyzowane określeniem „narodowość żydowska”. I trwało to do stanu wojennego włącznie.

Co ciekawe, nie musiało to mieć realnego uzasadnienia. Ponieważ ja mam takie nazwisko, jakie mam, to oczywiście w niektórych dokumentach SB wpisano mi „narodowość żydowską”. Dlaczego? Widać w głowach tych oficerów utrwaliło się wyobrażenie, że Żydzi to obcy, a więc jeśli ktoś w Polsce działa wbrew systemowi, to jest obcy. Tak to naświetlano – obcy narodowi. Tak więc KOR-owcy są obcy, wszyscy opozycjoniści za granicą jak Giedroyc czy Nowak-Jeziorański, czy w kraju jak Moczulski, są obcy, powiązani z zagranicznymi siłami, a najbardziej obcy to Żydzi.

Stosuje się sformułowanie „powiązania syjonistyczne”. Co znaczy np. w roku 1980 określenie „powiązania syjonistyczne” przy nazwisku działacza „Solidarności”? To te same klisze, które się powiela, wykazując sobie i innym obcość KOR-u, „Solidarności” itd.

Kompletnym szaleństwem wydaje się (a było coś takiego) badanie życiorysów czołowych postaci ruchu „Znak”, można powiedzieć zawodowych katolików i szukanie im żydowskich genealogii. W przypadku Stefana Kisielewskiego zrobiono nawet badania genealogiczne w Wiedniu i sięgano do jego prababek, próbując wykazać, że to przecież „obcy”. Takie badania prowadzono też wobec Mazowieckiego. Opraco-

wanie MSW na jego temat pochodzi z 1981 roku i cały pierwszy akapit jest wyłącznie temu poświęcony – jest on pochodzenia żydowskiego, czy nie? Kto tata, kto mama, kiedy umarł ojciec, kim był dziadek, to była dla nich istotna sprawa.

Przy Geremku to było proste, ale przy Kisielu czy Turowiczu sięganie do babek to model stosowany przez Hitlera, ale wygląda na to, że oni w to uwierzyli i wydawali na to państwowe pieniądze.

Seweryn Blumsztajn

W 1990 roku powszechnie atakowano antysemitami wątkami właśnie Mazowieckiego. Przy jakiejś okazji zapytałem o to Wojtkę – syna Tadeusza: jak to jest z tym waszym żydostwem? A on odpowiedział – Nie wiadomo właściwie. Do XIV wieku sprawdzone, że to byli Polacy, ale wcześniej, to diabli wiedzą...

Ja zresztą do tych spraw mam stosunek fatalistyczny, czyli żydowski. Oto endecja wpisała antysemityzm do polskiej tożsamości narodowej i boję się, że jeszcze długo się z tym pomęczymy.

Po Marcu, w 1968 roku uważałem, że to się już tak skompromitowało, że żadna władza nigdy do antysemityzmu nie zdoła się odwołać, ale oto okazuje się, że do dziś to w Polsce działa.

A teraz chciałbym jeszcze powiedzieć kilka słów o obchodach marcowych. Bardzo mi zabrakło w tych obchodach pamięci o ofiarach tego buntu, które Żydami nie były. Tak się składa, że w więźniarce, którą transportowano nas z Jankiem Lityńskim do Strzelca Opolskich jechało też dwóch chłopaków z Legionowa. Kiedy sprawa wybuchła, w Warszawie zrobili kilka ulotek, prokurator oskarżył ich z paragrafu o „rozpowszechnianiu nieprawdziwych informacji”, a to było zagrożone karą minimum trzech lat więzienia. Sędzia widać nie miał odwagi zmienić kwalifikacji, dostali właśnie po trzy lata. My byliśmy napiętowani, oskarżani w prasie jako „główni wrogowie Polski”, a mieliśmy z Jankiem niższe wyroki niż oni. Licealista Bogdan Borusewicz w maju 1968 roku też roznosił ulotki. Dali mu trzy lata. Dokładnie tyle samo. Albo sześć dziewczyn z Małochwinaki – liceum w Płocku. Napisały plakaty w obronie studentów warszawskich, każda przepisała jeden i rozkleiły w mieście. Esbecja zorganizowała całą akcję, żeby znaleźć autorów i w końcu jedna w liście pochwaliła się znajomemu studentowi. W ten sposób je złapano. Te same wyroki. Kilka lat temu dotarł do nich reporter „Gazety Wyborczej” – one się tych wyroków i chyba całej akcji naprawdę wstydziły!

W wyniku całej „marcowej” akcji kilka tysięcy młodych ludzi zostało wyrzuconych z uczelni, inni wyjechali, wielu skierowano do wojska, wielu z nich nie skończyło już nigdy studiów. To są też ofiary Marca, którym należy się pamięć!

Andrzej Friszke

Dzisiaj znów władza odwołuje się do populistyczno-etnicznych definicji narodu. A przecież w polskiej tradycji jest tradycja obywatelska, tradycja rozumienia narodu w sposób pluralistyczny, włączająca do pojęcia narodu Żydów, oczywiście asymilowanych. Z pochodzenia Żydzi, którzy weszli do polskiej kultury, funkcjonują w niej jak każdy inny.

Polska tradycja państwowa to tradycja obywatelska. Obóz szeroko rozumianej „lewicy niepodległościowej” w okresie międzywojennym i większości sanacji, środowisk PPS czy środowisk liberalno-demokratycznych to ogromna część społeczeństwa – jego elit politycznych, intelektualnych czy kulturalnych, które nigdy nie akceptowały wizji populistyczno-endeckiej wykluczającej „innych”. Na tym można było i należy budować współczesną tożsamość narodową. Musimy pamiętać, jak złożony jest i był zawsze naród, podkreślać wagę historii, obywatelską definicję polskości, polskiej kultury. Niestety, tradycja nacjonalistyczna jest dziś w ofensywie i widzę zagubienie po drugiej stronie. Tymczasem konieczna jest w tych sprawach jednoznaczność. Ile tracimy przy założeniu etnicznej definicji narodu, nazwiska takie jak Askenazy, Handelsmann, Leśmian, Słonimski, Tuwim, dziennikarze i pisarze z kręgu „Wiadomości Literackich” – to jest formuła polskości – ważna i oczywista.

GŁOSY Z SALI (wybór):

Jan Güntner: Powiada się, że stosunek Kościoła katolickiego do sprawy Marca nie jest dostatecznie przebadany. Warto sięgnąć do lat wcześniejszych do książki Joanny Tokarskiej-Bakir o antysemityzmie w latach czterdziestych w Polsce.

Jeśli się przyjrzymy aktualnym dokonaniom naukowym to okaże się, że w społeczeństwie polskim 30 proc. ludzi wierzy w toczenie krwi przez Żydów z chrześcijańskich niemowląt – na macę. I dzieje się to dzisiaj, w XXI wieku. Wydaje się, że Kościół przerabiał element antysemityzmu przez setki lat, jeżeli nie przez dwa tysiąclecia. W ludowej świadomości kwestia: Żydzi są winni czy nie, jest rozstrzygnięta, bo „oni zabili naszego Pana Jezusa”.

Głos niezidentyfikowany: Jasne jest, że korzeni antysemityzmu, jaki objawił się w Marcu, należy szukać w fakcie, że nie przepracowaliśmy tych kwestii w latach 1945/46, to jest „sąsiadów”, którzy z obojętnością czy z satysfakcją patrzyli na zagładę Żydów, albo w niej czynnie uczestniczyli. Uczyłem w liceum w Częstochowie i dopiero w 1990 roku dowiedziałem się, że miałem w tym mieście 30 tys. Żydów-sąsiadów którzy zostali wymordowani. Wcześniej nikt nas tego nie nauczył, choć nie było ku temu żadnej rzeczywistej przeszkody, poza naszym wewnętrznym narodowym brakiem empatii. Jeśli tego dziś nie przepracujemy to będziemy mieli podglebie pod kolejne Marce, bo do dziś w Częstochowie, tam gdzie było getto nie ma ani jednej tablicy, przypominającej, że te ulice spłynęły żydowską krwią. Była jedna, na filharmonii, która została zbudowana na miejscu dawnej synagogi, to po trzech dniach, w 1990 roku, oblano ją farbą.

Joachim S. Russek: Przypomniałem sobie to, co wielokrotnie mówił Felek Scharf, ojciec i założyciel Fundacji Judaica-Centrum Kultury Żydowskiej na Kazimierzu. Oto jego zdaniem „Polacy wyłączyli Żydów ze współczucia”, co mogło być jakoś zrozumiałe w czasie wojny, gdy pomoc Żydom była zagrożona karą śmierci i ta obojętność wielu wydała się metodą przetrwania. Często mówił - „antysemityzm w Polsce, to nie jest moja sprawa, to sprawa Polaków”. I druga refleksja – to pytanie, czy zmaganie się z ciągle nie-

rozwiązaną sprawą żydowską ma jakiś związek z deficytem kultury obywatelskiej. Gdybyśmy byli bardziej społeczeństwem obywatelskim a mniej „trybalno-szczepowym”, to może ten przysłowiowy „Grinbaum” byłby uznawany, przez Polaków jak każdy Kowalski takim samym obywatelem państwa polskiego. Obawiam się, że do tego modelowego rozwiązania jeszcze droga daleka.

Prof. Jan Woleński: Byłbym bardzo ostrożny w posługiwaniu się przymiotnikiem „plebejski”. To nie jest do końca sprawdzone. Może jest to orientacja, która być może całkowicie niewłaściwie kieruje się na tak zwanego „plebejusza”, traktując go pogardliwie. Mieszkam dziś w małym miasteczku i nie odczuwam żadnych szaleństw, a wokół są ludzie prości, którzy wiedzą, kim jestem i w najmniejszej mierze im to nie przeszkadza. Są natomiast inni, inteligenci, do których to trafia.

A więc ograniczmy się może do pojęcia „orientacja nacjonalistyczna”. I jeszcze jedna uwaga – gdzie endecja powstała? W zaborze pruskim i co tam obowiązywało? Inna niż francuska definicja narodu. I ta definicja została przeniesiona do Polski. A Piłsudski? Wychowany był w środowisku wielonarodowym i o tym też trzeba pamiętać.

Antysemityzm pojawił się w Niemczech dopiero w 1879 roku.

Joachim S. Russek: Może jeszcze watro dodać słowo o „geografii” Marca. Miał inny przebieg w dużych ośrodkach miejskich, a inny w małych miastach. Znamy, który musiał wyjechać z Polski, wybrał się do WKU, aby oddać książeczkę wojskową – obecny tam oficer baz żenady zaczął go przepytwać od Adama i Ewy, wyraźnie po to, aby go poniżyć, zapytał nawet: kobieta czy mężczyzna? Zapytany z reflekssem odpowiedział – „mężczyzna, ale nie notoryczny”. ..

Trzeba jednak zauważyć, że polski, w tym oczywiście i chłopski antysemityzm miał swoje podłoże w sytuacji gospodarczej. Poczynając od Statutów Nieszawskich, które określają wyraźnie zakres zajęć, jakimi mieli prawo zajmować się przybyli do Polski Żydzi, ta ich rola gospodarcza była wyraźnie określona, ustawiała ich w kontrze do innych obywateli. Już Stanisław Staszic tworzył spółdzielczość rolniczą w kontrze do Żydów, a wkrótce nawet Ignacy Krasicki w komedii *Pan Podstoli* ujawnił wyraźnie antysemickie rysy. Antysemityzm pojawia się w Polsce w okresie oświecenia i później u Orzeszkowej – przypomnę nowelę *Mendel Gdański*, ale gdy patrzymy na środowiska plebejskie, to u Marii Dąbrowskiej znajdziemy brodatego Żyda, który robi podejrzaną „geszefty”. Ja sam pochodzę ze środowiska wiejskiego i wiem, jak łatwo powtarzało się pewne bzdury za kościołem, pamiętam też, że przy kolędnicach zawsze był obecny Żyd z kozą, ale miało to charakter humorystyczny, w gruncie rzeczy akceptujący – nie antysemicki. Także w kościele, ponieważ byłem uczniem niższego seminarium duchownego przez cztery lata, mogę powiedzieć, że ten antysemityzm był umowny. Kto coś zbroił, to ks. Prefekt określał go jako „żyda” albo „bolszewika”. Wieszono nas stamtąd do Oświęcimia, pokazywano nam filmy o Holokauście.

Jerzy Rościszewski: A jednak uważam, że atawistyczny czynnik klasowy ma w tej całej sprawie wielkie

znaczenie. Społeczeństwo chłopskie stało się podstawą nowej władzy i na nim ta władza się oparła, oraz na inteligencji pochodzenia żydowskiego, przed wojną odrzucanej poprzez *numerus clausus* czy zgoła *numerus nullus*. Po wojnie pochodzenie chłopskie czy robotnicze było promowane, a inteligentne czy ziemiańskie odrzucane. Role inteligentne przejęli więc w części inteligenci pochodzenia żydowskiego, skoro przetrwali dzięki koneksjom z inteligentnymi środowiskami polskimi, albo dzięki temu, że zdołali w odpowiedniej chwili uciec do ZSRR. I teraz, nowa generacja inteligentów chłopskiego pochodzenia zauważyła, że ci Żydzi zajmują więcej stanowisk, na które mają apetyt właśnie nowi inteligenci.

Nie da się ukryć, że zdanie *Cogito ergo sum* czyli Kartezjuszowe „myślę, więc jestem”, to podstawa myślenia inteligentnego, ale to staje się podejrzane dla każdej władzy. Bo krytycyzm jest na natury rzeczy związany z inteligentnym statusem bez względu na pochodzenie. I ten nowy etap populizmu ma swe źródło w starej nieufności, gdy pan był wrogiem niebezpieczniejszym od wroga zagranicznego i to zostało przeniesione na inteligenta.

Andrzej Kurz: Coś wspianiałego jest w tym, co robi profesor Andrzej Friszke. Wreszcie jest to „robienie” prawdziwej historii Polski. Wreszcie mówimy o faktach i zjawiskach rzeczywistych. To stwarza nadzieję.

Dodałbym do naszych rozważań coś o wpływach sowieckich na Polskę. Mało konkretów w tej mierze znamy, choć wiemy np. coś o stosunkach naszych dygnitarzy z konsułami radzieckimi i tkaniu tam różnych opowieści, np. jeden z ważnych sekretarzy przyjeżdżał z Katowic do Konsulatu Generalnego ZSRR w Krakowie.

Wydaje mi się – a wiem to od Mai Koniewej, pani z sowieckiego establishmentu, która dużo o nim wiedziała, a była w Polsce zakochana i zaprzyjaźniona z Szyborską i Filipowiczem – że w ZSRR stosunek do polskiego Marxa był niejednorodny. Bezpieka rosyjska była antysemitka, a już szczególnie jej polski sektor w ministerstwie. Natomiast Breżniew miał niechętny stosunek do wydarzeń marcowych. Bał się mianowicie polskiego nacjonalizmu, a czuł, że wszystko co w Polsce jest nacjonalistyczne, w ostatecznym rachunku staje się antysowieckie. Także Gomułka w pewnej chwili przestraszył się tego, co najpierw odczuwał jako pewną formę ratunku w kryzysie. Bowiem hasło: „My i wy to jedna krew” ratuje władzę przed zemstą ludową – mamy wtedy wspólnego wroga. Ale przestraszył się, że może to być niedobre dla stosunków polsko-radzieckich, na których mu zależało z przyczyn czysto patriotycznych a nie komunistycznych.

Inna rzecz to to, o czym najciekawiej, bo szczerze mówiła Barbara Toruńczyk. Jest to warstwa wydarzeń marcowych – którą często mitologizujemy uciekając do symetrii. A ta jest czymś obrzydliwym. Bo gdy się mówi „antysemityzm” to zaraz ktoś podrzuca nam „antypolonizm”. Antypolonizm oczywiście istnieje. Ale jeśli chcemy, aby został przezwyciężony, to my musimy przezwyciężyć antysemityzm. Tym antypolonizmem zajmują się dzisiaj nasi premierzy i dyplomaci, oczywiście z największą szkodą dla polskiego interesu, dla polskiej racji stanu.

Jest jeszcze warstwa druga – sprawa narodu i państwa. Dziś w uchwałach sejmowych pisze się to dużą literą, nie całkiem zgodnie z regułami polskiej ortografii. Tymczasem jak słyszę „naród” to wiem, że chodzi o coś takiego jak Giewont z tymi śpiącymi rycerzami pod spodem, którzy wstaną i zrobią prządek. Bo przecież naród to wspólnota wyobrażona i nikt nie wie, co to tak naprawdę znaczy. A inna sprawa to sprawa państwa. Nawet tacy, co krytykują bardzo to, co się w Polsce dzieje, mówią: ale Państwo Podziemne było bezgrzeszne. Rzeczywiście było to dzieło wielkie i niezwykłe. Ale i na nie należy patrzeć trzeźwo. Rząd w Londynie nigdy nie powiedział o Żydach (zwracając się do kraju, mimo że mówił to, zwracając się do Zachodu): „to są nasi współobywatele, traktujmy ich jak naszych współobywateli”, czyli chrońmy ich, pomagajmy im. Jeden minister Stańczyk, PPS-owiec, coś w tej sprawie usiłował zrobić i nie spotkało się to z dobrym przyjęciem w rządzie. Grot Rowecki depeszował do Londynu: „Rozumiemy wasze międzynarodowe starania w sprawie żydowskiej, ale do kraju o tym za dużo nie gadajcie, bo nam się naród buntuje”. To też jest Państwo Podziemne. Nie wystarczy tego tylko potępić, trzeba się zastanowić, skąd się to brało. I tu przechodzimy do kategorii kulturowych. To, co się dzisiaj dzieje, jest przerażające, bowiem pod hasłem nadrzędnego polskiego interesu niszczyliśmy polską rację stanu, czyli szansę bezpiecznego bytu Polski, która od trzech wieków zależy od sprzyjającej nam sytuacji międzynarodowej i od naszej umiejętności poruszania się w tej sytuacji. Umiejętności zawierania porozumień, które pomagają nam się w tej sytuacji międzynarodowej znaleźć. Dobrze nam to szło do 1989 roku włącznie i później, w czasach Mazowieckiego i współrządzenia przez SLD.

Teraz z przerażeniem stwierdzamy, że jak jest kryzys, jak jest ciężko, to stosujemy ten sam chwyt: oddzielamy się, wskazujemy obcych jako czynnych wrogów. Wydaje się, że jesteśmy razem, kiedy jesteśmy przeciw. Joanna Tokarska-Bakir mówi nam o tym w swej ostatniej książce, tak jak kiedyś mówiła o tym Maria Janion. To jest sprawa kultury. Ale mam wrażenie, że jednak jest z tym coraz lepiej. Przychodzą tylko pewne paroksyzmy w sytuacjach kryzysowych. Jest dziś znacznie lepiej – tak jak było po odkryciu sprawy Jedwabnego w zachowaniu prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego. Nurt nacjonalistyczny jest dziś mimo wszystko słabszy i mniej niebezpieczny niż parę pokoleń temu. Tak mi się przynajmniej wydaje i taka jest podstawa mojego optymizmu.

Mówi się dziś częściej o historii tak, jak to robi profesor Andrzej Friszke. Choć nie zawsze pamięta się, że w PZPR były zawsze dwie (co najmniej) partie, czego nawet dzieci twórców tej partii nie pamiętają. Były nie tylko PPR i PPS. To był podział, nie tylko organizacyjny i towarzyski, ale sposobu myślenia. Istniała partia, nazwijmy ją komunistyczną („plebeizm” jest tu kategorią bardziej użyteczną) i była partia socjaldemokratyczna. Kiedy ktoś mi omówi „ten komunista Cyrankiewicz” to myślę, że rozmówca jest nieodpowiedzialnym ignorantem. Jestem przekonany, że wrócimy z czasem i do innych postaci związanych z nurtem polskiej drogi do socjalizmu i powiemy, ile im dzisiejsza Polska zawdzięcza.

KRZYSZTOF KWAŚNIEWSKI

ZDRADA? NARODOWA?

Dobrze, że nie tylko w prasowych i internetowych połajankach niezwykle zainteresowanie dotyczy (znów?) pojęcia zdrady i – chyba raczej epitetu niż pojęcia – zdrajcy, bo wydaje się, że związanych jest z tym sporo nieporozumień tak, że czasem ważne staje się nie to, na czym polega zdrada oraz czy i kto zasługuje na epitet zdrajcy, lecz to, jak świadczy o społeczeństwie tak częste i wieloznaczne posługiwanie się epitetem zdrajcy. (Od razu trzeba zaznaczyć, że nie chodzi tu o zdradę w stosunkach osobistych – małżonka, partnera, przyjaciela – ani o zdradzenie własnej lub cudzej, osobistej tajemnicy, lecz o zdradę państwa i/lub narodu zwaną „zdradą stanu”).

W poważniejszych opracowaniach naukowych też jednak autorzy zajmują się głównie wymienianiem osób, które uznano za zdrajców, rozważając przede wszystkim to, czy takie opinie były słuszne oraz kto, jak, dlaczego i o kim je formułował.¹ Ale wszystkie te rozważania skupiają na tym kto i w jakim zakresie słusznie – nazwany został zdrajcą, a rzadko i zwykle tylko pobieżnie nad samym znaczeniem określeń „zdrada” i „zdrajca” – a jeszcze dokładniej „zdrada stanu” (równa się „zdrada narodu”?).

Zacznijmy staromodnie: już w rzymskim prawie 12 tablic mamy przestępstwo *perduellio* (zdradę) i specjalny sąd *duumviri perduellionis* (dwuosobowy sąd zdrady, do jej osądzania²). Za cesarstwa *crimen laesae maiestatis* (zbrodnia obrazy majestatu) była w prawie rzymskim, karana jako zdrada państwa i obejmowała też uszkodzenie wizerunku władcy, a nawet wypytywanie wróżbitów o ich losy, zaś ścigana była nawet bez sądu, za świadectwem niewolnika (wtedy też pojawili się specjaliści „delatorzy”). Wincenty Kadłubek w swej *Kronice* uznawał za zbrodnię obrazy majestatu nawet zabicie niedźwiedzia w lasach królewskich, a więc wszelką szkodę wyrządzoną władcy. Angielski *Treason Act* (Prawo o zdradzie) z 1351 roku określa zdradę już tylko jako „spiskowanie lub planowanie śmierci króla, królowej, lub ich najstarszego syna i dziedzica”. Pozostałością tego jest przekonanie, że kto jest urzędnikiem danego państwa albo nawet tylko jego obywatelem, ten automatycznie obowiązany jest do wierności temu państwu, a nawet patriotyzmu wobec narodu panującego, bądź stanowiącego w tym kraju większość.

Ale w republikańskiej, jakże wzorcowej dziś demokracji USA pisze się po prostu (w artykule III, ust. 3 Konstytucji USA): „Zdrada przeciwko Stanom Zjednoczonym będzie polegać jedynie na wszczęciu wojny przeciwko nim lub przynależności do ich wrogów, zapewniając im pomoc i korzyści (»comfort«)”; „jedynie” – a jak wiele. „Zdrada wymaga jawnych czynów i obejmuje przeką-

zywanie tajemnic bezpieczeństwa państwowego innym krajom, nawet jeśli są przyjazne, gdy informacja może zaszkodzić amerykańskiemu bezpieczeństwu. Zdrada może obejmować ujawnianie antagonistycznych sekretów kraju, takich jak konstrukcja bombowca budowanego przez prywatną firmę dla Departamentu Obrony. Zdrada może obejmować »szpiegostwo« (szpiegostwo dla obcego mocarstwa lub wyrządzenie szkody w funkcjonowaniu rządu i jego agencji, szczególnie tych zaangażowanych w bezpieczeństwo), ale jest odrębne i gorsze od »buntu«, co wiąże się ze spiskiem, który zakłóca działanie rządu.³ Konstytucja Federacji Rosyjskiej z 1993 r. używa terminu „zdrada stanu” (bez definiowania), tylko jako kryterium pozbawienia stanowiska prezydenta Federacji orzeczeniem Sądu Najwyższego, po oskarżeniu przez Dumę Państwową.

Polska konstytucja z 1997 r. stwierdza tylko w art. 82: „Obowiązkiem obywatela polskiego jest wierność Rzeczypospolitej Polskiej oraz troska o dobro wspólne”, a w art. 85: „Obowiązkiem obywatela polskiego jest obrona Ojczyzny”, zaś ściślejsze określenie przestępstwa zdrady stanu znajduje się – podobnie jak w wypadku konstytucji Rosji i RFN – w kodeksie karnym. Są to jednak regulacje dyskusyjne, jeżeli przyjąć stanowisko, że we wszelkich przestępstwach politycznych „ani elementy obiektywne, ani elementy związane ze stanami psychicznymi ... uczestników nie dadzą się zredukować do tych aspektów zachowania, które dadzą się zredukować do tych aspektów zachowania, które mogą tworzyć zestaw ustawowych znamion przestępstwa”, a „w nauce prawa karnego można raczej mówić o problemie przestępców politycznych lub statusie więźniów politycznych, a nie o przestępstwie politycznym”.⁴ A zresztą „bunt” może oznaczać nie dywersję, lecz po prostu inny pogląd na środki i sojusze przyjęte dla dobra owego państwa/narodu.

Najostrzej, w 17 punktach miażdży sensowność posługiwania się pojęciem zdrady cytowany niemiecki poeta Hans Magnus Enzensberger wskazując m. in. że każdy właściwie był zdrajcą, a zawsze znajdzie się ktoś, kto go za takiego uzna, bo chociażby zmiana prawa czyni zdrajcami wszystkich zwolenników starych porządków, nie ma niewinnych, są tylko zdrajcy jawni i ukryci, „jest to język hitlerowskiego »Völkischer Beobachter«, dzisiejszej prasy chińskiej i język fanatycznego antykomunizmu”, a szafowanie pojęciem zdrady sprzyja głównie rozbudowaniu *mana* suwerena, mitologii tajemnicy państwowej przed własnymi obywatelami i szpiegostwa.

Zdrada jest też pojęciem o wiele trudniejszym do zdefiniowania, niż np. bohaterstwo – może dlatego, że

pozytywna ocena musi być jakoś (czasem nawet zbyt usilnie...) uzasadniana, zaś inwektywy można miotać na oślep.

W rozważaniach nad istotą kultu bohaterów na czoło wysuwają się oceny ich działań tak pozytywne, że uznawane nawet przez antagonistów. Dlatego, kreując kogoś bohaterem, toczy się tak zacięte spory o historię: czy ją zasługą były osiągnięte korzyści i w ogóle czy były naprawdę społecznie korzystne. Antybohaterem jest ten, którego braki lub nieudolność podjętych działań budzi dezaprobatę nawet u sojuszników, czasem jest po prostu śmieszny. Pograniczne sytuacje zarówno demonstracyjnego usuwania się w cień („Sulejówek”) – jak i intensywnej autoreklamy nabierają wręcz decydującego znaczenia dopiero we współczesnym nam cyberświecie. Natomiast epitet „zdrajca” i samo pojęcie zdrady zawsze zależało i zależy od tego, wobec kogo (czego) dana osoba była zobowiązana do lojalności i czyje interesy realizowała, i też wymaga uzasadnienia. Bohater zdobywa szacunek u przeciwników, czasem nawet gdy służy złej, wrogiej sprawie, zwłaszcza bezinteresownie (niektórzy „frontowi” hitlerowcy...). Zdrajca jest pogardzany nawet przez tych, którzy dzięki jego zdradzie odnoszą korzyści, zwykle i dlatego, że działa dla własnych korzyści. Osobna kategoria, pośrednia, to ci, którzy stają po stronie wroga tylko po to, by służyć swojej stronie, nie dla własnych korzyści („Kloss”), ale i oni nie są szanowani. Zdrajca popełnia zdradę – bohater stosuje tylko podstęp... Każdy zdrajca jest wrogiem, ale nie każdy wróg jest zdrajcą.

„Jurgielty” targowiczani byli wóczas tym, czym dziś orderzy (do których też przywiązane bywają apanaże), dlatego nie zawsze mogły być właściwym kryterium uznania kogoś za zdrajcę, a przyjmowali je także zgoła o zdradę niepodejrzani, choć jak mówi stare niemieckie przysłowie „Wer Jargeldt nimt, der muss auch jararbeit thun” (kto pobiera roczną płacę, musi też wykonywać roczną pracę). Zresztą tak jak wątpliwe jest, czy można uważać za zdrajcę kogoś, kto zwalcza nie kraj, tylko jego rząd, tak zdrajcą nie jest ten, kto ma np. inną koncepcję sojuszków międzypaństwowych. Dlatego wątpliwe jest stosowanie w Polsce epitetu „targowiczanie” jako synonimu zdrajcy. Trudno się zgodzić z Józefem Ignacym Kraszewskim, który gromił brata Kajetana za próbę obrony targowiczana Ksawerego Branickiego w powieści *Hetmańskie swaty*: „Według mnie jest to charakterystyka niepełna, ale nie fałszywa. Ogół go zna inaczej i inaczej sądzi. Zaś gdy naród cały w swych tradycjach uświęca postać lub potępia, ja skłaniam głowę. Nigdy nie dopuszczę, aby św. Stanisława nazywano zdrajcą, gdy *vox populi* wyniosło do dostojności reprezentanta wielkiej idei – i nigdy nie będę rehabilitował, co potępił ogół. Ogół na grobach stawia posągi nie pytając, co leży w grobie. Co on stworzył na pożytek duchowy, to trzeba poszanować. Choćby historia przeczyła i miała rację, od historii prawdziwsza jest bajka, którą wieki z ducha swojego stworzyły. Zostawmy świętych na podnóżkach, a łotrów na szubienicach”.⁵ To skłania do powtórzenia tezy, że „przecież Branicki, tak jak i pozostali targowiczanie ... zdawali sobie tylko sprawę z oczywistego faktu, że i ziemię, i ludzi którzy im podlegali i stanowili zasoby ich włości, a w sporym stopniu i oni sami bardziej przynależeli do wspólnoty ruskiej niż polskiej i bardziej ku ruskiej niż ku polskiej ciążyli hegemonii!”⁶

„Zdrada stanu” to też dążenie do zmiany dotychczasowego ustroju bez zmiany lojalności wobec państwa, w którym ten ustrój ma panować – stąd cyniczna na pozór maksyma, że nieudana rewolucja jest przestępstwem, a udana – początkiem nowego porządku prawnego.

Najbliższe wzorowi hiponimy określenia zdrajca to renegat, judasz, kolaborant, sprzedawczyk, wiarołomca, przeniwierca, odszczepieniec, odstępcza, zaprzaniec, parrycyda. Uderza też częste utożsamianie po polsku zdrady z donosicielstwem. Polacy pogardzają donosicielstwem tak jak melanezyjscy ludożercy z noweli Jacka Londona *Ząb wieloryba*: „Czyjś głos zapytał: »Gdzie jest mężny?« A sto głosów odpowiedziało: »Został pożarty! Został pożarty!« – i głos znów zapytał: »Gdzie jest tchórz?« A setka głosów znów odpowiedziała: »Zbiegł aby donieść! Zbiegł aby donieść!«. Ale to nie przeszkadza dość powszechnemu u nas donoszeniu do wszelkich własnych i obcych władz („Szانونny Panie Gestap”...) zawsze dobrze wybierając to, co się danej władzy w danym czasie u denuncjowanego może nie podobać. Dlatego Polaka zainteresować mogło francuskie opracowanie socjologiczne o denuncjacji,⁷ ale ze zdziwieniem stwierdza się, że w pracy w ogóle nie ma mowy o tym, co się u nas nazywa „donosicielstwem”, czy nawet „kablowaniem”, lecz praca mówi wyłącznie o tym, co się u nas nazywa obywatelskim doniesieniem do władz. Taka mała różnica mentalności.

W nadspodziewanie bogatej literaturze zagadnienia mamy próby definicji dość patetycznej, np. „Zło niezgłębione, niezrozumiałe, szokujące, ma wiele twarzy, jedną z nich jest zdrada Judasza Iskarioty, której archetypem jest on w zachodniej wyobraźni. Ale poza tym, który »wydaje« lub »sprzedaje« przyjaciela, zdrada obejmuje proces nieufności, co wpływa na prywatność osoby fizycznej czyniąc ją niezdolną do związku. Jest coś niewytłumaczalnego, co nawiedza literaturę, sztukę, filozofię, historiografię całej zachodniej kulturze, Judasz, Jago, Józef i jego bracia, bracia Karamazow, jak i małe codzienne tchórzostwo, które wprowadza powieści Simenona do zdrady tragicznych światów Racine’a i Corneille’a. Zdradą jest kiedy czegoś brakuje, czy to w naszych zmysłach, naszym intelekcie, czy naszej woli... i za każdym razem ponownie wprowadzamy w świat, »inaugurujemy« słowami Paula Ricoeura, nową formę perwersji i kwestionujemy zdolność wymiany, przywłaszczając sobie powrót na siebie, wycofanie się w najciemniejsze obszary duszy i jej rozterek. Los Judasza, który powiesił się po wyrzuceniu trzydziestu denarów na schodach świątyni, jest symbolem głębokiego i tajemniczego zjawiska, które skłoniło [Charlesa] Péguy, by powiedzieć, że: »prawdziwym zdrajcą jest ten, który sprzedaje swoją wiarę, który sprzedaje duszę«”.⁸ Ale takie ujęcie definicji zdrady jako zjawiska uwarunkowanego głównie indywidualnie chyba niczego nie wyjaśnia...

Jedna z polskich definicji twierdzi: „W sensie społecznym zdrada jest jawną lub skrytą odmową uczestnictwa we wspólnotie, której człowiek jest członkiem i jednocześnie działaniem przeciwko normom i wartościom tej wspólnoty”.⁹ Cały problem tkwi tu w małym słówku „jest”. Co to znaczy? Że w jakiejś wspólnotie się urodził? A może tylko w tej wspólnotie urodzili się jego rodzice, a on tę przynależność „odziedziczył”?

Może zobowiązanie wynika tylko z urodzenia się na jakimś terytorium (tak jak obywatelstwo)? Może wreszcie jest wynikiem wychowania i dopiero pod jego niewątpliwym wpływem jakiegoś własnego, mniej lub bardziej świadomego wyboru? A może uczestnictwo w tej wspólnocie zostało mu narzucone?

Wydaje się, że zdrajcą jest najogólniej ten, kto czynnie działa przeciw osobie lub społeczności, czy instytucji społecznej wobec której ma obowiązek lojalności (zwłaszcza we własnym przekonaniu, ale i tylko podejmując, czy wypełniając publiczne zobowiązanie prawne) szczególnie jeżeli czyni to wyłącznie lub głównie ze względu na osiągnięcie osobistych, i to przede wszystkim materialnych korzyści.

Ale pamiętać trzeba, że posługiwanie się epitetem zdrajcy zawiera także ukryte stwierdzenie, iż to posługujący się nim wobec innego jest wyrazicielem zbiorowości i idei, której należy się lojalność i wierność, i że sam jest wobec niej bez winy – co bywa jakże często nadużywane... Dlatego zarzuty (często wzajemne) zdrady są bardzo istotną przeszkodą w dochodzeniu do pożądaných przecież kompromisów (kompromis bywa uważany za zdradę przez obie strony – czyżby tworzyło to zbiorowość, w której są tylko dwie strony „zdrajców”?), a zwłaszcza w konstruktywnych działaniach dla dobra społeczności, której wierność się deklaruje, mimo, a czasem nawet z konstruktywnym wykorzystaniem zwalczanych poglądów i działań przeciwników, czy tych ich działań, które można zaaprobować (Xawery Drucki-Lubecki, Aleksander Wielopolski).

Dość odrębna była sytuacja w czasie II wojny światowej. W krajach okupowanych przez Niemców powstał silniejszy i lepiej niż kiedykolwiek zorganizowany ruch oporu, ale ponieważ okupanci stosowali niezwykle okrutne sankcje odwetowe, przeto niejako „opłacało się” bardziej eliminować zdrajców-kolaborantów niż samych okupantów. Według szacunków Leszka Gondka¹⁰ polskie sądy podziemne rozpatrzyły około pięciu tysięcy spraw, wydały 3-3,5 tysiąca wyroków śmierci, z których wykonano ok. 2,5 tysiąca. Dokonywano także pozasądowych likwidacji niebezpiecznych agentów. Te akcje, które nazywano akcjami „C” (czyszczącymi), kilkakrotnie nasilano.

A na czym polegać ma „zdrada narodowa”? Przypomnijmy, że naród jest grupą niedobrowolną, jego członkiem zostaje się prawie zawsze przez urodzenie, najczęściej także w miejscu, gdzie dany naród ma swoją historyczną siedzibę i gdzie dominuje jego język i specyficzna odmiana kultury, początkowo bezwiednie przyjmowane jako uniwersalne (przecież wiele etnonimów oznacza po prostu „ludzie”). Ale, jak każda ludzka idea i instytucja, to potrzebuje dla utrzymania się, utrwalenia i rozwoju dwóch wysoce konfliktogennych elementów: własności i władzy, w tym wypadku szczególnie jeżeli chodzi o najbardziej wrażliwy atrybut narodu: terytorium na którym może panować ów komfort wspólnoty nawyków i kodów. Może dlatego na odebranych Litwie przez Koronę (polską) w Unii Lubelskiej terytorium ruskim (ukraińskim) powstało przysłowie: „perekińczyk wystrzegaj się sługi, kto raz potrafił zdradzić – potrafi i drugi” (ukr. *перекинець*).¹¹

Można zatem sądzić, że zdrada ściśle narodowa jest właściwie niemożliwa, co najwyżej może być (nigdy całkowicie dobrowolnym, choć też nigdy całkowicie

nierealnym) przyjęciem, a nawet wybraniem innej kultury, języka, zwyczajów i stylu życia. Dlatego specyfika więzi narodowej z samego założenia jest związana nie z dumą czy pogardą, ale z *innością* – tak jak język, potrawy, formy współżycia itp. A przywiązanie do nich tylko u bardzo ciemnych ludzi wzbudzać może przekonanie, że są one „lepsze” dla wszystkich, choć faktycznie są „lepsze”, ale tylko dla mnie i mojego otoczenia. Dopóki dana społeczność nie napotka tych *Innych*, nawet nie zdaje sobie sprawy ze swej odmienności ani z tego, że można ją zmienić, albo że trzeba jej bronić. Zdrada pojawia się wtedy, gdy promowanie lub gnębienie narodowości jest pretekstem w ekspansji – i to zarówno własnej, jak i cudzej władzy lub/i posiadania – i zwykle tymi samymi środkami przemocy, czasem tylko przekupstwa. Wtedy, gdy dana społeczność narodowa atakuje – lub zmuszona jest do obrony. Wtedy możliwa jest też zdrada władzy narodowej i posiadania narodowego, co ma w skrajnych przypadkach może mieć dla narodu podobne skutki, ale jednak nie jest zdradą samego narodu, a np. działania na rzecz powstrzymanie się od aneksji cudzego terytorium narodowego nie tylko nie są zdradą, ale mogą być nawet korzystne dla utrzymania jego kulturowej specyfiki, co dziś widać na przykładzie kłopotów krajów postkolonialnych.

KRZYSZTOF KWAŚNIEWSKI

- 1 Por np. A. Grześkowiak-Krwawicz (red.), *Bo insza jest rzecz zdradzić, insza dać się złudzić. Problem zdrady w Polsce przełomu XVII i XIX w.*, Warszawa 1995, Wyd. IBL; M. Micińska, *Zdrada córka nocy. Pojęcie zdrady narodowej w świadomości Polaków w latach 1861-1914*, Warszawa 1998, Wyd. Sic!; A. Zasieczny, *Zdraycy, donosiciele i konfidenci w okupowanej Polsce 1939-1945*, Warszawa 2016, Bellona S.A.; A. Haska, *Hańba! Opowieści o polskiej zdradzie*, Warszawa 2018, Grupa Wydawnicza Foksal.
- 2 H. M. Enzensberger, *Toward A Theory Of Treason*, w: *Critical Essays*, New York 1982, Continuum.
- 3 AN ALM EXCLUSIVE NETWORK <https://dictionary.law.com/Default.aspx?selected=2153> [dostęp 20.08.2018]
- 4 J. Utrata-Milecki, *Relacje między karą kryminalną a walką polityczną: studium doktrynalnych przeszkód opracowania pojęcia „przestępstwo polityczne” w prawie karnym materialnym*, w: J. Utrata-Milecki (red.), *Kara w nauce i kulturze*, Warszawa 2009, Wyd. UW, s. 86.
- 5 Cyt. wg S. Burkot, *Józefa Ignacego Kraszewskiego literatura dla „powszechności”*, „Pamiętnik Literacki” t. 78, 1987, z. 4, s. 16.
- 6 K. Kwaśniewski, *Smutek anegdot. Etniczne dygresje do wspomnień i pomysły refleksji*, Poznań 2010, Sens, s. 333.
- 7 L. Boltanski, *La dénonciation*, „*Actes de la recherche en sciences sociales*” r. 51 (1984), s. 3-40.
- 8 J.-J. Pollet, J. Sys, *Figures du traître: Les représentations de la trahison dans l'imaginaire des lettres européennes et des cultures occidentales*, Arras 2007 Artois Presses Université, s. 243.
- 9 M. Pokrywka: *Zdrada*, w: *Encyklopedia katolicka*, t. 20, Lublin 2014, Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, s. 1325.
- 10 L. Gondek, *Polska karząca 1939-1945. Polski podziemny wymiar sprawiedliwości w okresie okupacji niemieckiej*, Warszawa 1988, PAX.
- 11 Por. takie utwory, jak [Ignacy Łopaciński (1722-1776)?], *Perekińczyk, Rozmowa księcia prymasa [Gabriela] Podolskiego z księdzem [Antonim Kornel] Przedwojewskim biskupem ekshapucynem 1769 Anno*, czy A. Powłata, *Perekińczyk*, Lwów 1911, „Biblioteka Macierzy Polskiej” nr 59.

RADOSŁAW GAWLIK

POLITYKA A OCHRONA ŚRODOWISKA

Zacznę od pojęcia „polityka ochrony środowiska”. Truizm, jednak nie przez wszystkich dostrzegany, że polityka najczęściej podąża za głosem tzw. opinii publicznej oraz mediów. Lub odwrotnie – za doniesieniami mediów, którym towarzyszą głosy obywateli. Taka jest praktyka w Polsce i innych krajach euroatlantyckich.

W praktyce chronienia środowiska i przyrody nie mają większego znaczenia opcje polityczne danego rządu: prawicowe, lewicowe czy centrowe. Liberalne czy konserwatywne. Decyduje „akcja” i szybka, doraźna reakcja.

Wyjaśnię to na aktualnym przykładzie. Gdy płonie kolejne składowisko odpadów, przedstawiciele społeczeństwa wyrażają ostre opinie w mediach. Media drążą i komentują. Kto przez lata nie reagował, kiedy tworzone fikcyjne przejściowe składowiska odpadów przemysłowych, w tym niebezpiecznych? Jak robiono biznes na pobieraniu opłat za odbiór i sprowadzaniu odpadów z zagranicy i lokowaniu ich w dziwnych, przejściowych miejscach w Polsce? Większość z tych „biznesów” nie zakładała, że osoby, które to organizowały, uczciwie zajmą się i zagospodarują góry odpadów z zachowaniem wymogów środowiska. Pożary nie tylko u nas rozwiązywały problem. Nie języki. W razie prób egzekucji obowiązków przez państwo podmioty, które usypały te góry odpadów zniknęły, a ich właściciele okazali się niewypłacalni. Proceder częsty w krajach III świata i u nas nierzadki – jak widać.

Zatem gdy obywatele i media zaczynają pytać, gdzie byli urzędnicy, którzy wydawali zgody na takie „interesy”? Kto za to dziś zapłaci? Dlaczego płonie kolejne śmietniko i nas i nasze dzieci zatrują? – władza jakakolwiek by była, musi zareagować. Ta dzisiejsza zmienia ustawy i rozporządzenia, przeznacza więcej środków na inspekcję ochrony środowiska. Uszczelnia i wygraża. Pożary na składowiskach się wygaszają. Wracamy do normy. Życie pokaże, czy problem został zażegnany, czy tylko odroczony i znów za jakiś czas wybuchnie ogniem i toksycznym dymem.

Polityka ochrony środowiska u nas i w większości krajów jest dziedziną reaktywną.

Kto się bardziej troszczy: lewica, prawica, zieloni?

Jaka opcja polityczna jest bardziej zorientowana na środowisko i przyrodę w sferze ideowej i programowej? Jest jedna – Zieloni. Poczynając od niemieckich Die Grünen, którzy jako partia polityczna powstałi z ruchów antyatomowych, feministycznych, kontestujących stare partie w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Zielone ugrupowania polityczne powstały i rozlały się po różnych krajach świata, lecz jako ruchy i organizacje społeczne zaistniały dużo dawniej – gdy pierwsi ludzie dostrzegli negatywne skutki rewolucji przemysłowej i zachłannego kapitalizmu. Realnego socjalizmu też, ale dużo później.

Zatem Zieloni jako ruch społeczny i polityczny formułujący ok. 50 lat temu ostre i radykalne wówczas po-

stulaty, zmienili politykę światową. Może nie tak radykalnie jak chcieli i jak to byłoby niezbędne – mam na myśli choćby przyspieszające zmiany klimatyczne, zagrażające całej obecnej cywilizacji ludzkiej.

Można to zilustrować obecną sytuacją w Niemczech, gdy rządząca partia konserwatywna i kanclerz Merkel, widząc silne zaplecze społeczne dla tych postulatów, przejęła najważniejsze punkty programu partii Zieloni/Związek 90: transformację energetyczną (Energiewende), odejście od energetyki atomowej i węglowej, budowę energetyki zdecentralizowanej, odnawialnej, efektywnej. Sukcesywnie do tego projektu motywowanego obroną przed globalnym ociepleniem Niemcy przekonali inne kraje UE. Zaś polityka energetyczno-klimatyczna została nie bez oporów przyjęta i rozwinięta w supermocarstwach jak Chiny i USA oraz we wszystkich krajach świata na ostatniej konferencji klimatycznej w Paryżu. W Stanach Zjednoczonych ostatnia szarża antyklimatyczna i broniąca roli węgla i stali prezydenta Trumpa jest – moim zdaniem – skazana na nieuchronną porażkę.

Ten przykład pokazuje, że Zieloni, a także często partie lewicowe (choćby Gruen Left w Holandii), które dużo wcześniej i częściej od partii prawicowo-konserwatywnych wpisują do programów ochronę środowiska i przyrody, wyprzedzają czas w sferze idei i wielkich przedsięwzięć w tej materii. Szybciej wychwytyją potrzeby ludzi domagających się przywrócenia więzi *homo sapiens* z jego naturą i innym gatunkami. Oczywiście ambitna polityka klimatyczna, by się nie wydarzyła, gdyby nie ponad 30 lat pracy naukowców, którzy cierpliwie, poszerzając swe szeregi i mnożąc fundusze na badania zmian klimatu, właściwie są dziś pewni: to cywilizacja przemysłowa człowieka zużywająca paliwa kopalne i emitująca do atmosfery gazy cieplarniane prowadzi do zagotowania się planety, jaką znamy.

Ratowanie sieci biologicznej – ochrona w UE

Naukowcy podają zastraszające dane dotyczące obecnego wymierania (szóstego w historii Ziemi) gatunków. Winnym jesteśmy my – zwierzęta gatunku *homo sapiens*, który odniósł wielki sukces ewolucyjny i z kilku tysięcy osobników sprzed 70. tysięcy lat rozrósł się dziś do ok 7,5 miliarda osobników opanowując wszystkie kontynenty.

Panuje uzasadnione podejrzenie, że dalsze prucie biologicznego otoczenia człowieka – sieci innych gatunków roślin i zwierząt – doprowadzi też do załamania populacji człowieka i degradacji naszego gatunku. Przywołuje się tu na dowód znane z historii przykłady gwałtownego wzrostu populacji innych gatunków zwierząt. Może z tego powodu ludzie od połowy XX wieku zaczęli zdecydowanie troszczyć się o zachowanie siedlisk i innych gatunków fauny i flory. Polityka ochrony przyrody UE, która dla wielu jest wzorem, ewoluje w kierunku europejskiej sieci obszarów Natura 2000. Polska i inne kraje Europy

Środkowo-Wschodniej przystępując do UE musiały wytypować w siebie taką sieć, która ma chronić określone w Dyrektywach – Habitadowej i Ptasiej – siedliska i gatunki. Zrobiliśmy to. Dziś ochronie prawa polskiego i unijnego podlega ok. 1000 obszarów zajmujących blisko 20 proc. powierzchni kraju.

To bardzo pozytywna sytuacja „wymuszona” przez UE, iż na 1/5 powierzchni Polski tworzymy specjalne preferencje – ochronę dla innych gatunków i ich siedlisk. Można mieć sporo uwag w sprawie przestrzegania u nas tych dyrektywy. Głośna polityka wycinki drzew ministra Szyszki w Puszczy Białowieskiej naruszała właśnie jeden z najcenniejszych obszarów Natura 2000. Tu Europejski Trybunał Sprawiedliwości ostatecznie powstrzymał nieuzasadnioną eksploatację puszczy i obronił ją przed drwalami-leśnikami.

Są jaśniejsze punkty w ochronie Natury 2000. Ekstensywna uprawa unijnych łąk i pastwisk dzięki systemowi dopłat i płatności rolno-środowiskowych połączonych z polityką ochrony bioróżnorodności daje dość dobre efekty. Jednak równolegle wspierane jest przemysłowe i bardzo schematyzowane rolnictwo i hodowla zwierząt. Polityka na wsi wobec rzek i potoków budzi w Polsce duże niezadowolenie ekologów i naukowców. Jest ona archaiczna – zmierza do ich regulacji i wyprostowania. Zupełnie inaczej niż na zachodzie Europy, gdzie obecnie naprawia się błędy dokonując renaturyzacji rzek.

Warto tu przywołać „kosmiczny” wodny program PiS. Może on zniszczyć liczne obszary Natura 2000, które utworzone są w cennych dolinach polskich rzek. Program związany jest z jednym lobby żeglugi wielkiej: barkowo-towarowym, które wydawałoby się, że w Polsce zanikło. PiS chce je wskrzesić. Mocno lansuje program budowy dróg wodnych na Wiśle i Odrze, kanałów, które mają zostać zbudowane na Śląsku i na Kujawach, aby połączyć dwie największe rzeki. Nawet dąży do stworzenia międzynarodowych żeglugowych połączeń Bałtyku z Morzem Czarnym, Odry z Dunajem. Oczywiście to konkurencja dla państwowej kolei za pieniądze publiczne. Plany nieekonomiczne, antyekologiczne. Kompletna iluzja.

Nie powstydziliby się tych programów ani Gierk (kaskada Dolnej Wisły) ani Stalin, który zawrócił pracą i kaźnią więźniów rzeki syberyjskie i doprowadził do wielu klęsk, w tym zniknięcia Morza Aralskiego z powierzchni Ziemi.

Polityka reaktywna wobec zagrożenia przegrzaniem

Ten rok, szczególnie mijające lato na naszej półkuli są kolejnymi najcieplejszymi na Ziemi w nowożytnej historii pomiarów temperatury. Doświadczaliśmy tego w Polsce, w Skandynawii i pod kołem podbiegunowym, w USA, Kanadzie i w wielu innych miejscach globu.

Naukowcy badający Arktykę, którzy ostrzegali nas na początku wieku przed skutkami stopnienia lodu, dziś po 15 latach twierdzą, że ich najczarniejsze – wyśmiewane nawet przez niektórych polityków i naukowców – scenariusze spełniły się dwa razy szybciej! Jest wielce prawdopodobne, że zmiany klimatu nie przebiegają już liniowo, a skokowo. Pojawiają się takie sprzężenia zwrotne, jak np. topnienie lodu, które odsłania ocean. Czarne morze dużo więcej i szybciej przyjmuje ciepło Słońca niż biały śnieg. Lód w efekcie topnieje szybciej, temperatura się podnosi, tak, że chłodny prąd atmosferyczny ciągnący od bieguna północnego na południe na wysokości kil-

kunastu kilometrów, który latem kształtował europejski klimat, prawie zamarł. Opanowały nas latem fronty z gorącym powietrzem z południa, z Afryki. Sytuacja przypomina „Titanika”: orkiestra gra, a większość pasażerów czuje się bezpieczna.

Jak na TAKIE zagrożenie zareagują polityka i politycy? Andrzej Duda, który kilka lat wstecz wyśmiewał ostrzeżenia dotycząca zmian klimatu, zmienia front latem tego roku o 180 stopni. Polska jest w tym ważnym momencie gospodarzem Szczytu Klimatycznego w Katowicach, w grudniu br. Nie mamy wątpliwości, że za zaproszeniem na konferencję ONZ blisko 200 delegacji, stała „narodowa” chęć obrony polskiego węgla i polskiej węglowej polityki energetycznej (oznaczającej dziś blokowanie odnawialnych źródeł energii i pompowanie kolejnych miliardów w górnictwo). Ale król węglowy jest nagi. Widzi to już część decydentów w rządzie PiS, m. in. w kontekście zderzenia z realizacją programu rządowego walki ze smogiem pod nazwą „Czyste powietrze”. Wyrazem tego jest ostatni spór wokół norm jakości węgla, który może być używany do ogrzewania domów. Górnictwo nadal chce nam fundować muły, miały i flotokoncentraty – odpady węglowe, którymi nie chce palić nawet energetyka zawodowa. Inne lobby chce nam do domów nadal sprzedawać węgiel brunatny, który powinien stosowany tylko w elektrowniach wyposażonych w urządzenia do odpylania i redukcji gazów.

Pytanie jak długo jeszcze mamy palić węglem? Nie umiemy wychwytywać dwutlenku węgla. Podgrzewamy atmosferę i Ziemię. Racją stanu Polski jest szybkie odchodzenie od węgla kamiennego i brunatnego w kierunku oszczędzania energii i odnawialnych źródeł. Warto wiedzieć, że po ropie i gazie właśnie uzależniamy się energetycznie od węgla rosyjskiego. Jego import na wschodnich granicach Polski radykalnie rośnie wobec wyczerpywania się złóż i coraz trudniejszych warunków wydobycia i coraz większych kosztów „polskiego czarnego złota”.

Polityka blokowania przemiany energetycznej przez poprzednie rządy i PiS będzie kosztowna. Będzie wymagała od naszych polityków dużej elastyczności poglądów. PiS – może na szczęście – raczej nie ma z tym problemu.

Świat może technologicznie i finansowo zahamować pompowanie gazów cieplarnianych do atmosfery. Nasza cywilizacja jest w stanie dziś załatać tę dziurę, która powstała w Titaniku-Ziemi, jak kiedyś załatano dziurę ozonową, wywołaną substancjami chemicznymi emitowanymi przez człowieka. To zależy od woli politycznej polityków na całym świecie. Czy wszyscy jednakowo widzą zagrożenie? Konferencja w Katowicach pokaże stan umysłów. Warto pamiętać, że zatrzymanie do roku 2050 emisji CO₂ do atmosfery – cel światowej polityki klimatycznej – nie naprawi radykalnie klimatu. On się „siłą bezwładności” nadal będzie ocieślał. Naukowcy twierdzą, iż jednak daje nam szansę, że nie przekroczymy 1,5-2 stopnie Celsjusza – średniego wzrostu temperatury ziemi. A tylko to daje nadzieję... na skuteczną adaptację, a nie zagotowanie naszej cywilizacji.

Najbliższe lata będą pokazem ochrony środowiska i klimatu w praktyce. Czy finał będzie pozytywny, czy czeka nas katastroficzny scenariusz Mad Maxa, nikt nie potrafi odpowiedzieć. Wiele poważnych uczonych twierdzi, że już jest za późno na ratowanie planety, jaką znamy... Pozostaje nadzieja, że się mylą.

RADOSŁAW GAWLIK

URSZULA GLENSK

SOCREALIZM W SEROLOGII

Łysenkizm – nowa nauka

Trofim Denisowicz Łysenko był dyrektorem Instytutu Genetyki Akademii Nauk Związku Radzieckiego. Jego koncepcja naukowa polegała na odrzuceniu praw genetycznych Gregora Mendla, a także Thomasa Morgana (noblisty). Łysenko chciał zastąpić ich odkrycia własną teorią modyfikacji gatunków pod wpływem środowiska. Zgodnie z tą doktryną procesy biologiczne zależały od panującego otoczenia, a nie od genów. Sowiecki uczyony przedstawił fałszywe wyniki badań, które stały się wyznacznikiem „postępowej nauki”. Koncepcja była całkowicie błędna, ale obowiązywała w Rosji od 1948 roku. Już kilka miesięcy później próbowano ją wprowadzać w państwach bloku wschodniego, dotarła nawet do izraelskich kibuców, gdzie pobudzała wyobraźnię pionierów¹.

Kreatywność ówczesnej nauki radzieckiej wspomaganą terrorem państwa była zawrotna. W ślad za Łysenką, szedł Iwan Miczurin ze swoim manifestem, odrzucającym genetykę, czy Olga Lepieszyńska, która twierdziła, że znalazła antidotum na wszystkie dolegliwości i nawet z pewnym skutkiem go testowała, wstrzykując pacjentom nowokainę.

W ZSRR teoria Łysenki została wprowadzana w praktyce, a idąca za nią przymusowa zmiana technik hodowli roślin przełożyła się na dramatyczną sytuację w rolnictwie, które stało się jeszcze mniej wydolne niż w czasach carskich (choć nie był to jedyny powód zapaści agrarnej w państwie).

W wymiarze politycznym „łysenkizm” był sposobem ideologizacji nauk biologicznych i narzędziem nacisku na naukowców. Był nową wiarą. Sprawdzianem gotowości kadrowej.

W Polsce propagowanie „nowej genetyki” Łysenki i Miczurina włączył się nawet przedwojenny profesor Jan Dembowski, słynny biolog i autor popularnonaukowej pracy *Historia naturalna jednego pierwotniaka*, która w międzywojniu była kultową książką młodych przyrodników. W okresie stalinowskim Dembowski załamywał swoich wcześniejszych admiratorów stwierdzeniami, że w Związku Radzieckim doświadczeń nie robi się w laboratoriach, ale na polach uprawnych (ten slogan zapamiętała Joanna Belin). Wygłaszał programowe referaty, określające nową doktrynę w biologii i mówił: „do dziś dnia genetycy usiłują wykazać realność genów, nie licząc się z naturalnym faktem, że geny są pewnym skrótem myślowym”². I brał udział w zmienianiu programu

studiów w taki sposób, aby dopasować je do teorii radzieckich uczonych.

Dembowski stracił przedwojenny autorytet, zyskał stanowisko prezesa Polskiej Akademii Nauk.

Tymczasem Ludwik Hirszfelfeld zabiegał o polskie wydanie prac Mendla, chociaż nie mogło się to udać, bo nie mieściło się w stalinowskiej koncepcji nauki.

„Dyktaturę Łysenki”³ wprowadzano równolegle na różnych zjazdach i konferencjach. Zapanowały „czasy ponurego strachu” i gnębienia naukowców, jeśli tylko „ich wiara różniła się od nakazanych formuł”, komentowała profesor Hanna Hirszfelfeldowa.

Gniewni

Ignacego Walda (1923-1991), działacza Zrzeszenia Przyrodników Marksistów, bali się wszyscy – wspomina czasy studenckie profesor Rudkowski. Tego typu aktywiści byli wtedy omnipotentni. Atmosferę zagrożenia wzmacniał fakt, że co rusz ktoś zniknął z listy studentów z powodu nieodpowiedniej postawy politycznej.

Wald był niski i przystojny, i nadzwyczaj inteligentny. Miał stalowe i przenikliwe spojrzenie. Jego małomówność szła w parze z kategorięcznym sposobem wysławiania się.

Po latach został szanowanym profesorem psychoneurologii, mężem subtelnej intelektualistki profesor Aliny Brodzkiej, budził sympatię. Pełnił funkcję głównego konsultanta do spraw narkomani, a popijając whisky mówił z dystansem, że alkohol też jest narkotykiem. Jeździł po świecie. Znał języki: jidysz z dzieciństwa; rosyjski z czasów okupacji; płynnym angielskim posługiwał się w Indiach, co zapamiętał Krzysztof Mroziewicz.

W czasie studiów Wald sprawiał wrażenie, że narkotyzuje go przede wszystkim władza. Był działaczem studenckim, akademickim politrukiem. To jemu przypadała rola przeprowadzenia ataku na Hirszfelfeld podczas zjazdu studentów medycyny w Sopocie w czerwcu 1951 roku. Studenci zakwaterowani zostali w słynnym Hotelu Grand na koszt komitetu organizacyjnego. Przed wojną nie mogliby sobie tego nawet wyobrazić. Awans społeczny miał jednak swoją cenę – zobowiązywał do pokory i poparcia. Mieli w odpowiednim momencie podnosić ręce.

Wald stawiał tezę: nieprawdą jest, że genetyka rządzi ludźmi. Tacy profesorowie jak Ludwik Hirszfelfeld są

1 Por. Jael Neeman, *Byliśmy przyszłością*. Przełożyła Agnieszka Jawor-Polak, Wołowiec 2012, s. 76.

2 Jan Dembowski, *O nowej genetyce*, 30 marca 1949, cyt. za Leszek

Kuźnicki, *Ewolucjonizm w Polsce 1883-1959*, „Kosmos. Problemy Nauk Biologicznych” 2009, nr 3-4, s. 304.

3 Zbigniew Turek, *Burza w zootechnice*, „Dziennik Polski” 1956, nr 101. Tezy Łysenki zostały odwołane wraz z odwołką. Pierwszym do tego sygnałem była konferencja w Domu Partii w Lublinie 12 lutego 1956 roku.

w błędzie. Nie zaakceptujemy uprawiania nauk biologicznych bez uznania determinizmu społecznego. Dialektyka marksistowska pokazuje nam kierunek! To był sygnał wymiany kadr. Mobilizacja akademików skorych do robienia szybkiej kariery.

Po wystąpieniu Walda audytorium było poruszone. Nawet studenci pierwszego roku wiedzieli, kim jest Hirszfelf – cieszył się autorytetem, budził szacunek, choćby z powodu doświadczeń okupacyjnych. Co prawda tylko nieliczni znali *Historię jednego życia* – książka choć trudno dostępna była owiana legendą. Część młodzieży rozumiała, co to znaczyło przeżyć getto.

Atak „młodych” na Hirszfelfa w Grand Hotelu, to była dopiero przymiarka.

Nagonka

Rok później w tym samym Grand Hotelu odbył się Zjazd Hematologów. Pojawili się na nim dwaj uczeni ze Związku Radzieckiego – Aleksiejew i Kisielow. Podczas śniadania przysiedli się do stolika Hanny i Ludwika Hirszfelfów. Rozmawiali o serologii. Zupełnie miło.

Kilka godzin później miał swoje wystąpienie Hirszfelf. Pokazywał tablice z oznaczeniami grup krwi A i B, i częstotliwością ich występowania w różnych grupach narodowych, przygotowane na podstawie badań prowadzonych na Bałkanach jeszcze w czasie pierwszej wojny. Ich wyniki zostały opisane a artykule *Serological Differences Between The Blood of Different Races*, opublikowanym w „The Lancet” w roku 1919, który można uznać za pierwszy tekst wydrukowany w prestiżowym piśmie przez polskich naukowców (choć przy nazwisku Hirszfelfa pojawiła się afiliacja Uniwersytetu w Zurychu (gdzie był docentem), a przy Hannie Hirszfelfowej – Centralne Laboratorium Bakteriologiczne Królewskiej Armii Serbskiej.

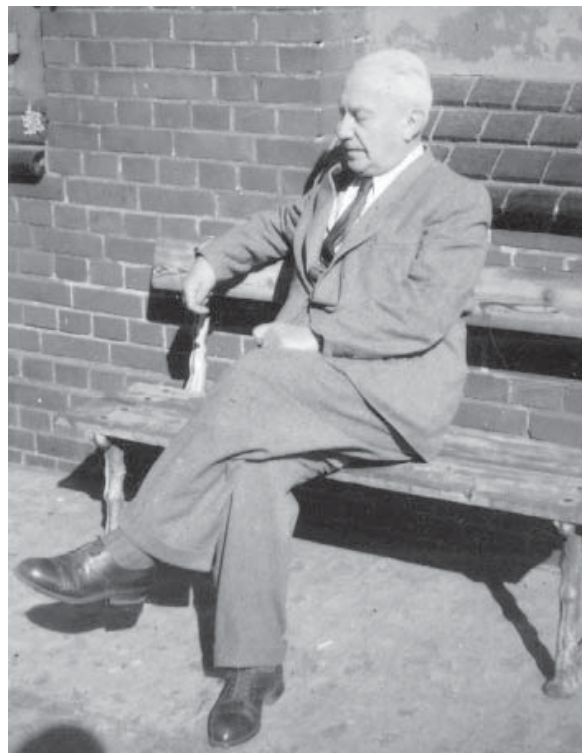
Tabele pokazywane na konferencji w Sopocie pochodziły sprzed trzech dekad, ale naukowiec szczycił się nimi jako impulsem powstania „seroantropologii”.

„Siedziałam w pierwszym rzędzie – wspominała Hirszfelfowa – a pode mną dwaj badacze radzieccy z pediatrią Bielicką, która została przydzielona im jako tłumacz. W pewnej chwili dochodzą do mnie jej słowa: »Widzicie jak ten reakcjonista i antysemita umieścił Rosjan obok Żydów«⁴.

Tłumaczka i lekarka Izabela Bielicka (niedługo potem zostanie doktor habilitowaną pediatrii) komentowała, że z jednej strony tabeli są umieszczone narody wyższe, a z drugiej niższe – „i do tych zaliczam Rosjan i Żydów, co widocznie wydawało się pani Bielickiej szczególnie obrażające” – komentował sarkastycznie Hirszfelf.

Delegaci sowieccy afektowali oburzenie. Głośno sformułowali zarzut, że badacz nie powołuje się na „uczonych słowiańskich”, na co zaatakowany odpowiedział, że podczas wykładu cytował tylko i jedynie Landsteinera.

Konsternacja. Na wieczorny bankiet Hirszfelfowie nie poszli. Profesor zareagował natychmiast. Napisał skargę do Ministra Zdrowia Jerzego Sztachelskiego, z którym współpracował i pozostawał w przyjaznych relacjach. W liście protestował: „tylko skrajni ignoranci lub rasiści mogą wdawać się w dyskusję nad zaletami jednej grupy nad drugą”⁵. Wyjaśniał: „Nasi goście radziec-



Ludwik Hirszfelf, na ławce przed Zakładem Mikrobiologii we Wrocławiu

cy byli w posiadaniu spreparowanych wyjątków moich książek. Jest to dowodem, że akcja przeciwko mnie była z góry przygotowana. Na mocy wiadomości udzielonych im przez informatorów (...) twierdzili, że jestem nie tylko rasistą, ale że ukrywam moje pochodzenie”⁶.

Sztachelski zaproponował zorganizowanie sesji naukowej, która miałaby rozbroić napięcie. Ale do sesji nie doszło, ponieważ została zablokowana przez Kazimierza Petrusewicza (1906-1982), prominentnego działacza partyjnego i sekretarza PAN-u. Hirszfelf skarżył się, że Petrusewicz powiedział mu wprost, że uważa go „za ukrytego rasistę, ponieważ jest »Mendlistą«⁷.

W oficjalnym liście serolog odpowiadał: „spotykają mnie zarzuty, które muszę uważać nie tylko za całkowicie niesłuszne, ale za oszczerce, gdyż właśnie ja zwalczałem rasizm w moich pracach i książkach naukowych. Nie chciałbym, by podobne zarzuty były powtarzane, kompromitują one nie mnie, a tych, którzy lekkomyślnie skalują dorobek polskiej nauki”⁸. Sam Petrusewicz w swojej ówczesnej książce propagował „tysenkizm” i wyjaśniał związek biologii z materializmem dialektycznym. Był członkiem Komitetu Centralnego PZPR, kierownikiem Wydziału do Spraw Nauki. Miał wiele do powiedzenia.

„Rywalizował z profesorem” – ocenia dziś Halina Milgrom.

Cała ta historia była dla Hirszfelfa wyczerpująca. Pisał listy, żądał wyjaśnień, próbował doprowadzić do debaty naukowej, pisemnie zerwał relacje z Instytutem Hematologii w Warszawie, żądał wyjaśnień od osób, które wypowiadały „oszczerce opinie”.

ca 1952, Archiwum PAN III 157, jednostka 65, s. 18.

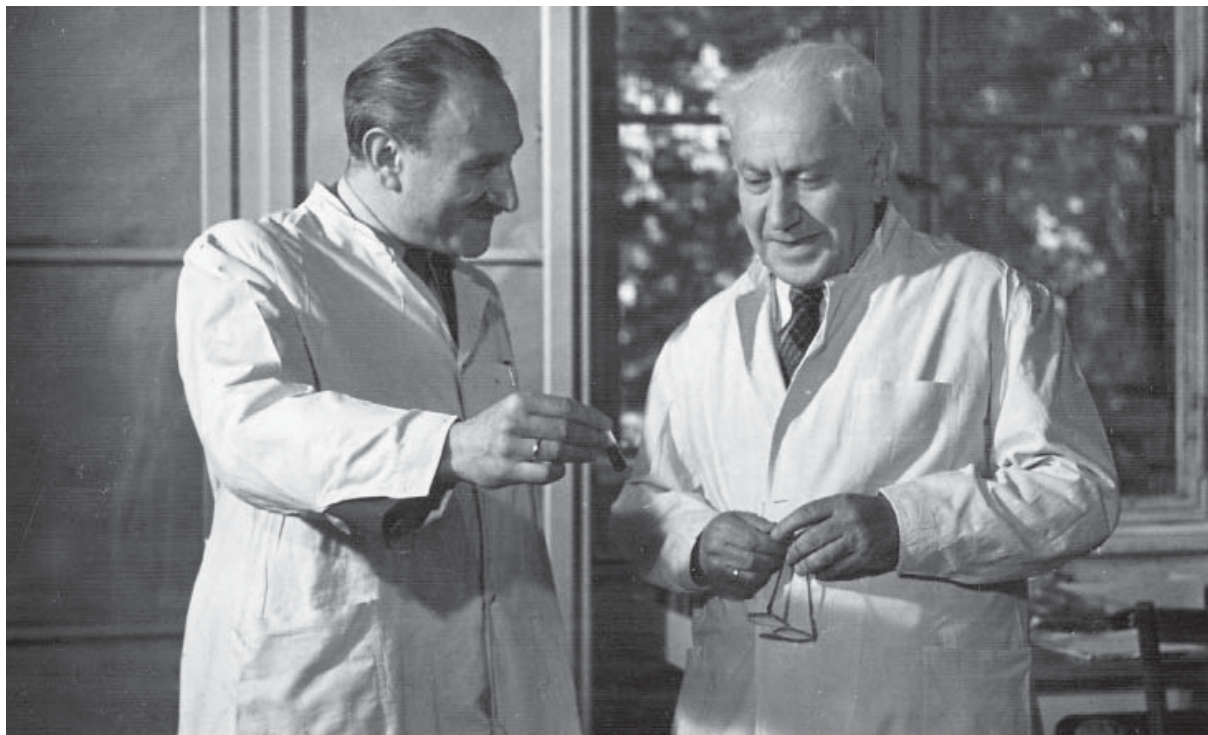
6 Ludwik Hirszfelf, *Do Ob. Ministra Jerzego Sztachelskiego*, s. 20.

7 Hanna Hirszfelfowa, *Historia jednej śmierci*, materiały z archiwum prywatnego, s. 12.

8 Ludwik Hirszfelf, *Do Ob. Prof. Dra Petrusewicza Kazimierza*, 3 września 1952, Archiwum PAN III 157, jednostka 65, s. 53.

4 Hanna Hirszfelf, *Ostatnia wola wydania książek*, s. 1. Materiały archiwalne.

5 Ludwik Hirszfelf, *Do Ob. Ministra Jerzego Sztachelskiego*, 9 czerw-



Ludwik Hirszfeld i Henryk Makower

Ponad 50 stron korespondencji, pokazujących emocje, poczucie zagrożenia i bezsilność. Zważywszy, że wszystko to dzieje się w środku lat stalinowskich, a zarzuty dotyczą rasizmu, cała ta historia mogła się różnie potoczyć. Nikt nie mógł czuć się bezpiecznie. Hirszfeld zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Aleksiejew, jeden z radzieckich profesorów, który brał udział w ataku, po latach osobiście przeprosił Hannę Hirszfeldową za zdarzenia w Sopocie. Nie wiadomo, jaką w istocie rolę odegrali radzieccy towarzysze na tej konferencji. Czy ich obecność została jedynie wykorzystana przez lokalnych wrogów Hirszfelda, którzy w ten sposób nadali rangę sprawie, czy też impuls do ataku wyszedł z Moskwy i miał służyć dezawuowaniu osiągnięć serologa? Ten drugi wariant też wydaje się realny w kontekście nominacji Hirszfelda do nagrody Nobla, która została nieco wcześniej wysłana do Komitetu Noblowskiego przez prof. Ernesta Witebsky'ego z Uniwersytetu w Buffalo. Obie wersje wydają się prawdopodobne.

Prominentni

Kilka miesięcy później Hirszfeld raz jeszcze skonfrontował się z Petrusiewiczem. Było to w końcowym okresie starań o utworzenie Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej we Wrocławiu. Wywiązał się wówczas spór wokół składu Komitetu Nauk Medycznych, którego powołanie było niezbędnym warunkiem stworzenia instytutu. Petrusiewicz chciał włączyć do komitetu swoją żonę docent Irenę Hausmanową. Ale na to nie zgodził się Hirszfeld. Interweniował w tej sprawie aż u Jakuba Bermana i u Zygmunta Modzelewskiego.⁹ Być może w rozmowie z nimi również użył argumentu, który wyra-

ził wtedy pisemnie, że stawia wniosek „o jak najszybsze uniezależnienie losów medycyny od nefachowców”.¹⁰ Powołanie instytutu leżało w gestii rządowej.

W marcu 1953 roku odrzucono plan utworzenia jednostki. Hirszfeld był wzburzony. W dodatku usłyszał od Petrusewicza wyjaśnienie: „Nie chciał pan Hausmanowej, to pan zaczeka”.¹¹ Czekał rok. W lutym 1954 roku Prezydium Rządu zatwierdziło decyzję o powstaniu Instytutu Immunologii i Terapii Doświadczalnej we Wrocławiu.

W ostatniej chwili.

Kto się kłania?

Hirszfeld skomentował zamieszanie związane z uznaniem teorii Łysenki i Miczurina za doktrynę, adekwatną przypowieścią: „Ongiś przedstawiciel cesarza austriackiego kazał Szwajcarom kłaniać się przed kapeluszem. Nie było to bynajmniej potrzebne dla utrwalenia władzy cesarskiej, a miało być jedynie dowodem, że Szwajcarzy znają mores [z lwowska, porządek¹²]. Skutkiem było powstanie Wilhelma Tella. Rolę kapelusza odgrywają obecnie niektóre tezy więcej lub mniej uzasadnione naukowo. Żąda się, by im się kłaniać. Ci co tego wymagają, odpychają od najpiękniejszych idei społecznych prawdziwych uczonych, bo ci nie lubią się kłaniać... kapelusiom”.¹³

URSZULA GLENSK

Fragment książki Urszuli Glensk *Hirszfeldowie – zrozumieć krew*, która ukaże się w Wydawnictwie Universitas.

⁹ Hanna Hirszfeldowa, *Historia jednej śmierci*, materiały z archiwum prywatnego, s. 9.

¹⁰ tamże, s. 12.

¹¹ tamże, s. 10.

¹² „Znaj mores batiaru” – mówiło się we Lwowie do niesfornych chłopców.

¹³ *Z wędrówek po bezdrożach* (pisane w Krakowie przed operacją), Archiwum PAN III 157.

BOLESŁAW FARON

CZŁOWIEK I ARTYSTA

„Najsilniej zapada w pamięć twarz Jerzego Treli. Charakterystyczna, bardzo wyrazista. Nie do pomylenia z żadną inną. Twarz o ciemnym kolorzycie, mroczna, z wiekiem coraz bardziej poorana bruzdami. Dwie poziome na czole, dwie pionowe wzdłuż nosa, bruzdy pod oczami i wokół ust. Wydatny, sporych rozmiarów nos, nieco zakrzywiony u nasady, usta z lekko wysuniętą dolną wargą, nadającą – wraz z opuszczonymi kącikami ust – tej twarzy wyraz goryczy, sceptycyzmu, zaciętości. Ale najważniejsze są oczy, pod bardzo ciemnymi, mocno wysklepionymi ku górze łukami brwi. Duże, jasnoszare, czasem przybierające odcień błękitu, czasem zieleni – w zależności od światła, od rejestrującej taśmy, a najbardziej od rodzaju roli. Czasem te oczy wydają się zupełnie ciemne, wbrew stanowi faktycznemu” (s. 7).

Tak rozpoczyna się książka Beaty Guczalskiej *Trela* (Warszawa 2015, Wydawnictwo Marginesy), która jest przedmiotem tego omówienia. Ta obszernych rozmiarów pozycja, bo licząca 430 stron, została solidnie wydana – dobry papier, ilustracje czarno-białe i kolorowe, twarda oprawa. Składa się ona z dwunastu rozdziałów o następujących tytułach: *Paradoksy Jerzego Treli*; *Ta nasza młodość...*; *Trzy razy Konrad*; *Stary Teatr*; *Aktor*; *Partnerzy*; *Film*; *Teatr Telewizji*; *Lata osiemdziesiąte*; *Szekspir i Wyspiański*; *Pedagog*; *rektor*, *mistrz*; *Leńcze – to, co najważniejsze* oraz aneksu, w którym na temat Treli wypowiadają się jego przyjaciele, a więc: Anna Dymna, Józef Opalski, Dorota Segda, Stanisław Radwan i Anna Polony. Całość zamyka bogaty aparat edycyjny: kalendarium, przypisy, źródła ilustracji... Przypominam te fakty, gdyż dają one obraz solidnej kompozycji książki, wyróżniającej ją wśród publikacji o aktorach, często opierających się głównie na przeprowadzonych z nimi wywiadami. Wysoki poziom tej książki gwarantuje osoba autorki, która zajmuje się twórczością aktorską i reżyserską we współczesnym teatrze i od ponad dwudziestu lat pracuje w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej (dzisiaj – Akademia Sztuk Teatralnych im. Stanisława Wyspiańskiego) w Krakowie. Jest też ona autorką książki *Aktorstwo polskie. Generacje*, za którą otrzymała nagrodę Polskiego Towarzystwa Badań Teatralnych.

Beata Guczalska buduje obraz Jerzego Treli wykorzystując liczne wywiady prasowe, wypowiedzi kolegów, recenzje przedstawień, a także – jak sądzę – osobiste

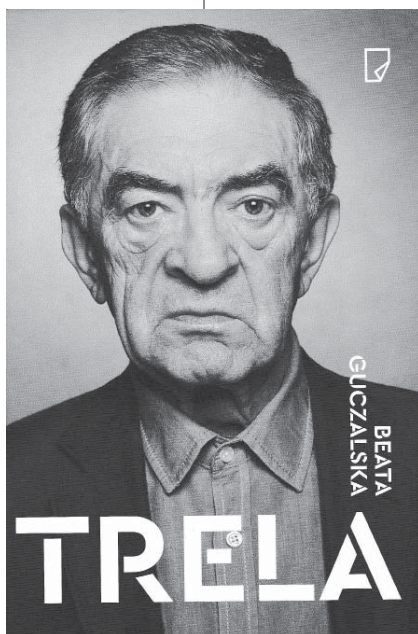
obserwacje jego pracy i bezpośrednią z nim znajomość. Powstał w wyniku tego solidny obraz niezwykłego aktora i zarazem skromnego człowieka, unikającego celebryckich magazynów i błahej popularności.

Przypomnijmy – choć w maksymalnym skrócie – jak przebiegała droga artystyczna Treli, jego działania organizacyjne (m.in. na stanowisku rektora Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie). Urodził się 14 marca 1942 r. we wsi Leńcze, niedaleko Wadowic. Jego ojciec był maszynistą kolejowym, w 1951 r. zginął w wypadku na stacji Płaszów. Ambicją matki było, by syn kontynuował zawód ojca, toteż usiłowała go zapisać do technikum kolejowego. Jerzy z premedytacją nie zdał egzaminu wstępnego. Dostał się natomiast do krakowskiego Liceum Sztuk Plastycznych, przy wsparciu Bronisława Chromego, sąsiada z Leńcz, absolwenta Akademii Sztuk Pięknych. Po maturze rozpoczął pracę w Teatrze Lalkowym „Miś” w Nowej Hucie przy Zakładowym Domu Kultury.

Na festiwalu teatrów lalkowych w Puławach, gdzie występował w *Płaszczu* Gogola jako krawiec, zauważyli go Zofia i Władysław Jarembowie i zaproponowali pracę w Teatrze Groteska w Krakowie. Choć praca w Grotesce sprawiała mu satysfakcję, w tajemnicy przed dyrektorem zdał egzamin do PWST w Krakowie. Zostaje przyjęty, m.in. za sprawą Zofii Jaroszewskiej.

„W szkole teatralnej – pisze Beata Guczalska – zawiązują się przyjaźnie i alianse nie tylko osobiste, ale przede wszystkim twórcze, ważne później przez całe zawodowe życie. Dla Treli bardziej decydująca niż skład uczących go pedagogów okazała się grupa studiujących z nim, a także na starszym roku, adeptów sztuki aktorskiej. Jesienią 1965 roku studia aktorskie wraz z Jerzym Trelą rozpoczęli: Mikołaj Grabowski, Marian Dziędziel, Urszula Popiel, Henryk Talar, Halina Wyrodek, Andrzej Kierc, Leszek Teleszyński, Jerzy Fedorowicz” (s. 28). Na roku starszym zaś był Wojciech Pszoniak, Krzysztof Jasiński i Olgierd Łukaszewicz, z którymi przyszły aktor utrzymywał bliskie stosunki.

Guczalska charakteryzuje szczegółowo profil PWST, jej rektorów, profesorów (Eugeniusz Fulde, Tadeusz Burnatowicz, Jerzy Kaliszewski), metody nauczania aktorstwa, artystyczny ruch studencki lat 60., z którego za sprawą Krzysztofa Jasińskiego powstał



w lutym 1966 r. Teatr STU. Trela od początku związał się z tą placówką. Studia ukończył w 1969 r. i na pewien czas opuścił STU, zakładając z kolegami przy Teatrze Rozmaitości studio Proscenium.

„Wiosną 1970 roku na spektakl grupy Proscenium *Nos* przyszedł do teatru Rozmaitości Konrad Swinarski. Po przedstawieniu odwiedził młodych aktorów, w paru ciepłych słowach skomentował ich pracę. Był to niemały zaszczyt [...]. Dla Jerzego Treli to spotkanie miało rangę szczególną: już parę miesięcy później okazało się, że w zespole Starego Teatru, dokąd przeszedł z początkiem sezonu 1970/1971, będzie z tym słynnym reżyserem pracował” (s. 45). Z teatrem przy ul. Jagiellońskiej związał się na stałe, do przejścia na emeryturę. Chociaż poważną naukę teatralnego zawodu rozpoczął Trela u Jerzego Jarockiego w *Szewcach* i *Matce* Witkacego, to jednak bardzo ważną w życiu młodego artysty okaże się „era Konrada” w *Dziadach* i *Wyzwoleniu* Swinarskiego. Trzecim wielkim reżyserem za dyrektury Jana Pawła Gawlika był w Starym Teatrze Andrzej Wajda, który obsadził Trele w *Hamlecie* (Klaudiusz). W Starym współpracował Trela też z takimi reżyserami, jak: Jerzy Grzegorzewski, Jerzy Markuszewski, Krzysztof Kieślowski, Agnieszka Holland, Krystian Lupa, Tadeusz Brodacki, Kazimierz Kutz, Krzysztof Jasiński i inni.

Szeroka jest gama ról, w jakich Trela występował. Gućalska podkreśla, że długo kojarzony z postaciami romantycznych bohaterów zaczynał od komedii i groteski. Nie wzbraniał się od ról epizodycznych, nie stronił od spektakli telewizyjnych dla dzieci. Jest po prostu aktorem wszechstronnym, ma w swoim dorobku role „krańcowo zróżnicowane”, mimo że posiada jednolity wizerunek, że jest właściwie całe życie taki sam.

Jest aktorem żarliwym, pełnym empatii w identyfikacji z postacią, wyraźnie jednak odróżniającym życie od sceny. „Teatr to jest pasja. A życie jest życie i co się będziemy oszukiwać. Życie ma swoje prawa, a scena swoje...” (s. 14). Trela jest przede wszystkim aktorem teatralnym, zagrał ponad sto ról. Pamiętać przy tym należy, że przedstawienia teatralne grane są co najmniej kilkadziesiąt razy. *Dziady* w reżyserii Swinarskiego – trzysta sześćdziesiąt razy, a każde przedstawienie to trzy i pół godziny pełnej gotowości na scenie. Mimo że grał również w teatrach warszawskich (w Ateneum, Polonii, Dramatycznym, Na Woli, Studio), Stary Teatr pozostał dla niego zawsze najważniejszy. „Teatr Stary – wspominał w 2000 roku – jest moim drugim domem. Jest moją drugą rodziną. [...] Stary był i jest wciąż moim ukochanym teatrem. Tu zostawiłem wszystko to, co jest dla mnie najważniejsze. I nawet dla niego wchodziłem w politykę, czego, moim zdaniem, artysta nie powinien robić. Ale dla dobra teatru zostałem posłem. Mam świadomość, że to było ze szkodą dla mnie – aktora, ale mimo to nie żałuję” (s. 129). Pożegnanie ze Starym Teatrem przyniosło zmiany na stanowisku dyrektora. Kiedy w grudniu 2012 r. zakończył dziesięcioletnią dyrekturę Michał Grabowski, nowym dyrektorem został Jerzy Kłata, który zaprowadził nowe porządki. Jego kontrowersyjne decyzje spowodowały, że część aktorów zrezygnowała z pracy. Decyzję Treli o odejściu w listopadzie 2013 r. spowodowało wystawienie przez Kłatę dwóch performansów, w których niewybrednie żartowano ze śmierci Konrada Swinarskiego. „Moją reakcją – powie – było złożenie wypowiedzenia” (s. 130).

Chociaż Trela nie był już etatowym pracownikiem, gdyż parę lat wcześniej przeszedł na emeryturę, to z teatrem był związany umową o pracę do grania w dwóch przedstawieniach. Piątego stycznia 2014 r. zagrał wraz z Anną Polony w ostatnim spektaklu w Starym – w *Chłopcach* Grochowiaka. W Starym Teatrze pracował czterdzieści trzy lata, był obsadzony w sześćdziesięciu sześciu rolach. Szerokie jest spectrum tych ról: tragiczne, komiczne, groteskowe, absurdałne, charakterystyczne i romantyczne. Jest bowiem w pełnym tego słowa znaczeniu aktorem uniwersalnym.

Rozdział piąty pracy Gućalskiej w całości poświęcony jest sztuce aktorskiej Treli; przyjrzymy się choć na chwilę stawianym tutaj tezom, gdyż odbiegają one często od konstatacji stosowanych w książkach o aktorach. Monograficzne i biograficzne książki o ludziach teatru najczęściej dotyczą ich twórczości i życia, kreowanych postaci, rzadko zajmują się techniką aktorską. Dzieje się tak dlatego, że jej opis należy do najtrudniejszych ze wszystkich sztuk, gdyż aktorstwo jest sztuką ulotną. Stąd cennym materiałem dla badacza są wypowiedzi własne ludzi sceny, a więc wspomnienia, dzienniki, felietony, teksty programowe. „Jerzy Trela nie należy do aktorów wypowiadających się na piśmie, nie jest także bohaterem wywiadu rzeki. Udziela wywiadów prasowych, ale raczej nie formułuje w nich zawodowych reguł, nigdy też nie zdradza, w jaki sposób przygotowuje się do roli. [...] Trela ma spory dystans do werbalizowania spraw, które lepiej przekazać bezpośrednim działaniem” (s. 139).

Podkreśla dalej, że nie jest on intelektualistą, czyli typem człowieka skłonnego do uogólnień, uniwersalnych mądrości, refleksji. Wręcz przeciwnie „nie lubi gadania o myśleniu”. „Jego głęboka mądrość znajduje wyraz w działaniu, w pracy, w stosunku do ludzi i do życiowych zadań” (s. 139). Stąd rekonstrukcja jego warsztatu jest możliwa głównie z okruczeń wypowiedzi, głównie anegdot oraz sądów kolegów. Trela najczęściej mówi o zespołowości kreacji teatralnej, której nauczył się w Teatrze STU i kontynuował w Starym Teatrze. Pojawiają się w jego wypowiedziach dwie kategorie – służebności i wymiar etyczny sztuki teatru.

Dla każdego, kto zetknął się z nim na scenie, jest pewne, że jest on aktorem słowa. Wykorzystuje do tego swój niski, pełen ekspresji głos. „Mówi szorstko, na jednym tonie, startując przeważnie z wysokiego poziomu i stopniowo zniżając linię słów. Mowa jest przede wszystkim ładunkiem energii i emocji” (s. 142). Koresponduje z tym jego gra ciałem, która jest wyrazista, nieco sztywna. Gesty aktora są mocne, zdecydowane, nie dysponuje charakterystyczną dla tego zawodu giętkością i plastycznością. Solidne podstawy formalne swej sztuki teatralnej zdobył – jak się zdaje – w toku edukacji plastycznej i wczesnych doświadczeń aktorskich. Pytany o mistrzów Treli deklaruje: „Dla mnie punktem wyjścia są Stanisławski czy Czechow. To taki fundament, podstawa, z której startuję do pracy nad rolą” (s. 146) – wyznał w wywiadzie w 2000 r.

Nie można go przypisać do określonego typu aktorstwa. Podkreślałem już, że jest artystą uniwersalnym, znakomicie realizującym wielkie role dramatyczne, jak i komediowe, role pierwszoplanowe i epizodyczne, które często z całego przedstawienia jako jedyne zapadają w pamięć.

„W teatrze jestem, w filmie bywam” (s. 237) – często powtarza Jerzy Trela, podkreślając swój główny obszar – podkreślmy – z wyboru artystycznej działalności. „Co nie przeszkadza mu tworzyć w filmie – stwierdza autorka monografii – postaciach charyzmatyczne, przykuwające wewnętrzną siłą, i przede wszystkim wiarygodne” (s. 237). Zagrał w filmie ponad sto ról. Początki były dosyć skromne. Jeszcze jako student wystąpił w 10. odcinku *Stawki większej niż życie* Janusza Morgensterna, później w *Soli ziemi czarnej* Kazimierza Kutza i *Dniu oczyszczenia* Jerzego Passendorfera. W *Kolombach* Janusza Morgensterna zagrał braci Jagiełło, a w filmie Kazimierza Kutza głównego bohatera, porucznika AK „Groźnego”. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych miał sporo ról drugoplanowych, z najczęściej powtarzającą się postacią porucznika MO. Zagrał też w filmie Krzysztofa Kieślowskiego *Spokój* jako kierownik budowy czy w filmie Stanisława Różewicza *Anioł w szafie*.

Dopiero w roku 2000 Jerzy Trela otrzymał w filmie rolę w pełni go satysfakcjonującą, dzięki której mógł ukazać cały kunszt sztuki aktorskiej. Jerzy Kawalerowicz obsadził go w roli Chilona Chilonidesa w *Quo vadis*. W wykonaniu Treli ta w powieści postać drugoplanowa stała się jednym z głównych bohaterów. „Całą tę rolę – pisze Gućalska – budował Jerzy Trela środkami innymi niż dotąd stosowane przez niego w filmie. Nie grał tym razem ani heroicznego żołnierza, ani ponurego przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, ani wycofanego, zgorzkniałego ojca. Miał możliwość pokazania zupełnie odmiennej postaci – cynicznego błazna i kabotyna, który przechodzi radykalną przemianę wewnętrzną. Postaci obecnej w pełni swego człowieczeństwa, upodlonej i zyskującej godność” (s. 233–234).

Tę formę przekazu rozwinął Trela w filmie *Anioł w Krakowie*, wyreżyserowanym przez Artura „Barona” Więcką. Trela otrzymał Polską Nagrodę Filmową za drugoplanową rolę męską, kłoszarda Szajbuska. Zaprezentował on postać w ujęciu błazeńsko-komicznym, a jednocześnie dramatycznym. W 2013 r. zagrał w nagrodzonym Oscarem filmie *Ida* w reżyserii Pawła Pawlikowskiego. Szymon Skiba, który w czasie wojny ukrywał żydowską rodzinę, to rola epizodyczna, ale ważna. W jednej z końcowych scen w filmie *Ziarno prawdy* Borysa Lankosza wystąpił jako inspektor Leon Wilczur. To, że Jerzy Trela nie osiągnął takiego sukcesu w filmie jak w teatrze, było jego świadomym wyborem, chociaż trzeba jasno powiedzieć, że grane przez niego drugoczy pierwszoplanowe role zawsze były swoistymi perełkami realizacji filmowych.

„Niepełną obecność w kinie – zauważyła autorka książki – rekompensowała mu jednak z nawiązką praca w Teatrze Telewizji. «Dzięki Teatrowi Telewizji czuję się aktorem spełnionym na tak zwanym ekranie. Teatr Telewizji stworzył mi te możliwości, których brakowało mi w filmie, a mianowicie wiele ciekawych ról, które dawały mi materiał do tworzenia postaci na miarę moich możliwości»” (s. 241).

W telewizji znalazł się Trela wkrótce po rozpoczęciu pracy w Starym Teatrze. Pierwszym przedstawieniem, w którym wystąpił przed kamerami, był *Nos* Gogola, zarejestrowany przez krakowską telewizję w Teatrze Rozmaitości. Współpracował z takimi reżyserami, jak: Irena Wollen, Bogdan Hussakowski, Jan Błeszyński. Pierwszą rolę, którą po latach wysoko cenił był poeta

François Villon w widowisku *Wielki testament*, którego premiera w reżyserii Ireny Wollen odbyła się w 1972 r. W następnych latach kreował znakomite role w sztukach klasycznej literatury rosyjskiej (Gogol, Czechow, Aleksander Ostrowski). W studiu na Krzemionkach spotykali się wszyscy wybitni aktorzy Starego. Było to zatem jakby przedłużenie pracy w teatrze, tamtej atmosfery. W Teatrze Telewizji Trela rozwijał swój warsztat aktorski. „Spektakle telewizyjne – zauważyła Gućalska – dały okazję rozwinięcia środków psychologicznych, budowania postaci kompletnych, bliskich życiowej prawdzie. Pozwalały przeciwżyć tak ważną również na planie filmowym ekonomię środków wyrazu, które – w porównaniu ze sceną – musiały być daleko bardziej ściągnięte i dyskretne” (s. 247).

Nie sposób w tym sprawozdaniu nawet wymienić, a tym bardziej omówić wszystkich ról, jakie Jerzy Trela kreował w Teatrze Telewizji. Trzeba się zatem zadowolić kilku charakterystycznymi przykładami. W latach osiemdziesiątych Trela we współpracy ze Stanisławem Zajączkowskim i Janem Błeszyńskim zrealizował kilka przedstawień z klasyki dramatu., m.in. *Widok z mostu* Artura Millera, *Wróg ludu* Ibsena, *Żaloba przystoi* Elektrze O’Neilla. Wyróżniają się tutaj role doktora Stockmanna, tytułowego „wroga ludu” oraz Adama Branta z dramatu O’Neilla.

Nowy okres współpracy Treli z telewizją wiąże się z przyjściem w latach osiemdziesiątych do Krakowa Kazimierza Kutza, który został również zatrudniony przez niego – jako rektora – w PWST. Wydarzeniem stał się już pierwszy spektakl z serii osiemnastu realizacji – *Opowieści Hollywoodu* Christophera Hamptona. Trela zagrał epizodyczną rolę Jakuba Mironowicza Łomachina, radzieckiego konsula w Stanach Zjednoczonych. Wziął udział w jedenastu przygotowanych przez Kutza dla telewizji przedstawieniach. Były to role epizodyczne, drugoplanowe i kilka głównych, które stały się najwyższymi jego osiągnięciami aktorskimi. Po roku 1989 Kutz wystawił *Do piachu* Tadeusza Różewicza z Trelą – komendantem, którego grał w sposób prosty, mocny, a równocześnie – jak pisze Gućalska – bardzo dyskretny. W *Antygonie* w *Nowym Jorku* Janusza Głowackiego wystąpił jako Sasza, Żyd z Leningradu. To chyba najwybitniejsza jego rola. Dwukrotnie Kutz powierzył Treli rolę Stalina, w *Dzieciach Arbatu* Anatolija Rybakowa i w *Stalinie* Gastona Salvatore. Miał też szansę grać postaci komiczne. U Olgi Lipińskiej w *Zemście* Aleksandra Fredry i u Kazimierza Kutza w *Rodzinie* Antoniego Słonimskiego.

„Poetyka spektaklu telewizyjnego – konkluduje Gućalska – okazała się nader właściwym i skutecznym medium dla aktorstwa Jerzego Treli. [...] ...należy do aktorów grających przede wszystkim spojrzeniem i głosem, w mniejszym stopniu gestem i brytą ciała. Te właśnie walory kamera telewizyjna potrafiła bezbłędnie wydobyć” (s. 271).

Sylwetka Treli byłaby niepełna bez przypomnienia jego działalności społecznej, organizacyjnej, funkcji posła na Sejm PRL i rektora PWST. Toteż tym sprawom poświęciła autorka monografii osobny rozdział. Sporo w nim miejsca zajmuje przynależność aktora do partii. Temat ten powraca również w wypowiedziach kolegów w dziale *Przyjaciele o Treli*.

„Do partii wstąpiłem w czasie studiów – mówi Jerzy Trela [w 2014 r.] – Przełom 1967/1968 roku, kiedy chcieliśmy – my młodzi – mieć wpływ na świat. W tej chwili wie-

lu tak powie, ale nam przyświecała taka myśl. Po 1970 zapał osłabł, jednak przyszła nowa władza i nadzieja. I tak się zmieniło, później się znowu nie zmieniło – a ja tak tkwiłem w martwym punkcie” (s. 274).

Po powstaniu „Solidarności” został jej członkiem, chociaż nie angażował się w działalność, by jako członek partii nie zostać posądzonym o koniunkturalność. Uważał, że partia i „Solidarność” powinny dążyć do poprawienia społecznego bytu. W ankiecie przeprowadzonej w 1980 r. przez tygodnik „Kultura” stwierdził: „Jestem człowiekiem, który całe życie wierzył, że będziemy mieli kiedyś szkoły, w których znajdują się prawdziwi nauczyciele, dobrze przygotowani do zawodu i mający za co żyć, że dzieci w szkołach będą uczone prawdziwej historii, że w szpitalach nie będzie brakowało lekarstw, a chorych nie będzie się odsyłało na przepustkę do domu, kiedy pojawia się wizytacja władz” (s. 280).

Jerzy Trela nie wystąpił z partii po ogłoszeniu stanu wojennego, podczas gdy wielu aktorów taką decyzję podejmowało. Złożyło się na to zapewne wiele przesłanek: niechęć do środowiskowego koniunkturalizmu, konsekwencja wobec raz przyjętych wyborów i zobowiązań, a także świadomość możliwości wykorzystywania wizerunkowego takiej decyzji. Gućalska podkreśla też „poczucie przydatności wobec teatru”, „lojalność wobec partii w niesprzyjających okolicznościach”.

W 2014 r. artysta tak oceniał te kwestie: „Miałem dylemat, jak mogę być bardziej użyteczny dla ludzi: w partii czy poza nią? Bo dla siebie to jaka korzyść? Przynależność często była przeszkodą, już od końca lat siedemdziesiątych, szczególnie w środowisku filmowym. Nie pomagała w niczym. Pomagała, żeby zostać brygadierem, ale w moim zawodzie była obciążeniem. I – jak przystało na człowieka, który lubi mieć kamień na plecach – postanowiłem nieść to dalej. Słyszałem nieraz przykre rzeczy ze strony ludzi, którzy mnie nie znali, ze strony kolegów – nigdy” (s. 282).

Przypomnijmy zatem, jak fakt przynależności do partii oceniał po latach w tej książce jego koledzy:

– Anna Dymna: „Jurek jest prawy i uczciwy. Dobrze wiem, ile kiedyś ludziom pomagał dzięki temu, że był w partii. Walczył o tyle rzeczy!” (s. 356).

– Józef Opalski: „Na początku, kiedy przyszedł do teatru, nie miał łatwo. Stopniowo zdobywał jednak autorytet, mimo przynależności do partii. Z czasem stał się kimś, kto był wzywany, żeby różne konflikty rozładować, godzić zwaśnione strony, cieszył się bowiem ogólnym szacunkiem” (s. 358).

– Dorota Segda: „Ile rzeczy on ludziom załatwiał, bo go o to prosili! Wykorzystywał swoje znajomości – a łatwo mu to nie przychodziło, bo nie był w partii po to, żeby coś załatwiać sobie” (s. 367).

– Anna Polony: „Jurek był związany z partią, ja – przeciwnie. A ponieważ oboje nie przebieramy w słowach, ja mu wymyślałam od komuchów, a on mi od dewotek. Mówiąc poważnie, to Jurek w latach siedemdziesiątych chyba się wahał (może chciał odejść z partii?). Ale nawet Konrad mu mówił, żeby w ten sposób, czyli będąc w partii, walczył o dobro i sprawy teatru. I Jurek to rzeczywiście robił, wykorzystywał swoją pozycję dla dobra zespołu, instytucji, nie dla siebie” (s. 382).

W roku 1984 Jerzy Trela został wybrany na stanowisko rektora Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Funkcję tę objął po Danucie Michałowskiej.

Przez sześć lat wypełniał te obowiązki, ograniczając po części swoją działalność artystyczną. Nie były to czasy łatwe, toteż ta rola wymagała wielu poświęceń, wywoływała wiele stresów. Autorka monografii podkreśla, że za rektora Treli nikt nie został zwolniony z uczelni – przeciwnie zatrudniono osoby niemogące z przyczyn politycznych znaleźć stałego miejsca gdzie indziej. W tym czasie dokonała się radykalna poprawa warunków lokalowych, po dokonaniu radykalnej przebudowy gmachu przy Straszewskiego 22, w której aktywną rolę odegrał Franciszek Gałuszka, dyrektor administracyjny (dzisiaj kanclerz). Ambicją Treli jako rektora było otwarcie uczelni na zewnątrz, nawiązanie kontaktów międzynarodowych. Trzeba przyznać, że te zamierzenia zrealizował w stu procentach.

W 1985 r. Jerzy Trela został posłem na sejm IX kadencji, na lata 1985–1989. Kandydując na to stanowisko miał dylemat: „Obawiam się tego, że jako aktor mogę być traktowany trochę jak maskotka, jak ktoś, kogo się pokazuje, ale nie traktuje poważnie. Wierzę jednak, że tak nie będzie i dlatego podejmuję tę decyzję, podejmuję się – nie, nie grać roli – być posłem, jeśli ten mandat zostanie mi powierzony. [...] Ja nie mam programu, ja mam poglądy” (s. 290–291).

Po roku 1990 Jerzy Trela uznał, że czas jego służby społecznej się skończył. Nie podjął żadnej funkcji, zajął się wyłącznie twórczością aktorską. Toteż lata dziewięćdziesiąte były dla niego niezwykle płodne we wszystkich dziedzinach – teatrze, telewizji i filmie. Gućalska podkreśla: „Jerzy Trela jest wielkim mistrzem słowa, aktorem mowy i literatury – podobnym nieco do Gustawa Holoubka. [...] Trela mówi poezję, śledząc zawartą w niej myśl – dlatego nie stosuje żadnych aktorskich sposobów na uatrakcyjnienie wypowiedzi” (s. 313). Nie recytuje, lecz wypowiada.

Nie sposób w krótkim sprawozdaniu nawet zasygnalizować wszystkich wątków tej wielowarstwowej monografii. Toteż na zakończenie wspomnę jedynie o tym, jakie cechy osobowości Treli zostały tutaj wyeksponowane, jak przedstawia się po prostu jako człowiek. „Uczciwy człowiek, wspaniały aktor, zwłaszcza Konrad w *Dziadach* i w *Wyzwoleniu*” – taką sentencję Zofii Niwińskiej zamieszcza autorka w tej książce. Padają tutaj różne epitety, jakich użyła Gućalska w toku charakterystyki swojego bohatera: cierpliwość, wytrwałość, upór, dokładność, rzetelność pracy, uczynność, umiejętność odróżniania prawdy, pracowitość, pokora, umiejętność kompromisu, solidarność. Jerzy Goliński uważał, że Trela jest przeciwieństwem kabotynizmu, zjawiska niezadkiego w jego zawodzie.

„Bo Trela – pisze Gućalska – jest szorstki, jakby nieufny i pełen dystansu do otoczenia. Wzbudza respekt – trzeba go dość dobrze znać, żeby nie bać się jego surowego oblicza, trzeba go znać jeszcze lepiej, by dostrzec jego wrażliwość i niespotykaną empatię w stosunku do otaczających go ludzi. Oraz ogromne poczucie humoru – Jerzy Trela chętnie komunikuje się ze światem poprzez anegdoty” (s. 15).

Jerzy Trela 14 marca br. Skończył siedemdziesiąt sześć lat. Nadal aktywnie występuje na scenach teatrów, m.in. w Teatrze STU, w telewizji, w filmie. Nie poszedł na artystyczną emeryturę.

BOLESŁAW FARON

Beata Gućalska, *Trela*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2015, s. 430.

STANISŁAW GĘBALA

POCHŁONIĘCI PRZEZ TERAŹNIEJSZOŚĆ

Zwykle na lato wybieramy sobie lektury lekkie i rozrywkowe – ja wybrałem ostatniego lata ciężką i przygnębiającą. Wybrałem? No niezupełnie, raczej sięgnąłem po książkę, która już została wybrana przez innych i położona na samym wierzchu stosu nowości wydawniczych. Nie bez wpływu na ten mój niby-wybór był jeden z programów „Drugie śniadanie mistrzów” (TVN 24), w którym uczestniczył jej autor Eustachy Ryłski – pisarz tworzący nieśpiesznie, z kilkuletnimi przerwami (zdarzyła się nawet kilkunastoletnia) między jedną książką a drugą.

Wydawałoby się, że od pisarza o takim temperamencie nie ma co oczekiwać podejmowania problemów paląco aktualnych; tym większe jest zapewne zaskoczenie czytelnika najnowszej powieści Ryłskiego *Blask*, gdy natrafia w niej na takie słowa-klucze do naszej społeczno-politycznej teraźniejszości jak: „suweren”, „dobra zmiana” czy „sort” (to ostatnie w odniesieniu do ludzi, a nie towaru w sklepie, czyli w znaczeniu, jakie nadał mu sam Prezes).

Warto dodać od razu, że autor tymi słowami-kluczami posługuje się nader oszczędnie; pierwsze z nich pojawia się w liczącej 375 stron powieści chyba dwukrotnie, pozostałe zaledwie raz. Biorąc pod uwagę fakt, że kupując zwykły zamek do drzwi otrzymujemy co najmniej trzy komplety kluczy, trudno nie dojść do wniosku, że Ryłski podrzucił ten jeden jedyny komplet pewnemu specjalnemu typowi czytelnika, który nie uznaje zwykłej oczywistości, ale wyłącznie „oczywistą oczywistość”. Takiego czytelnika trzeba przyszpilić jak motyla w gablocie, żeby już nie mógł zamachać skrzydłami i odlecieć.

Blask jest literackim majstersztykiem skonstruowanym tak kunsztownie, że czasem zastanawiałem się, czy nasza toporna rzeczywistość „dobrej zmiany” – z jej prostacką propagandą, dla której analogii nie trzeba szukać w całej szerokiej panoramie PRL-u, ale przede wszystkim w jego najwcześniejszym okresie z pierwszej połowy lat 50. ubiegłego wieku – nie została tu jakoś dowartościowana. Natychmiast otrząsałem się jednak z tych wątpliwości powtarzając sobie, że istnieje zasadnicza różnica między literaturą a publicystyką.

„Dobra zmiana” zaczynała się zresztą od swoistej niwelacji terenu – hasło z PiS-owskiej kampanii wyborczej 2015 roku „Polska w ruinie” wywoływało dosłowne skojarzenia z obrazami ruin pozostawionych przez wojnę (oglądaliśmy je w niezliczonych filmach dokumentalnych przez dziesięciolecia). Propagandowy zegar został cofnięty o 70 lat.

*

Z zawodowego nawyku pytam, do jakiej odmiany gatunkowej można zaliczyć powieść Ryłskiego i odpowiadam bez dłuższego namysłu: to *political fiction* z aspiracjami filozoficznymi i historiozoficznymi, w dodatku głęboko sondująca psychologię władzy. Autor nie korzysta z możliwości umieszczenia akcji w jakimś fikcyjnym kraju, jakie daje ta odmiana gatunkowa – jesteśmy w Polsce, ale jakoś dziwnie wydłużonej w kierunku południowym. Jej kontury zresztą zdaje się sugerować rysunek na okładce, przedstawiający białą kartkę papieru z brzegami nadpalonymi tak wymyślnie, żeby kojarzyły się z zarysem (nowych?) granic – z dwoma głębokimi wyrwami od wschodu.

Zanim padnie w powieści nazwa („Polska”), mówi się o tym obszarze po prostu „kraj”, określając jego ustrój i ogólnie atmosferę w nim panującą: „To był już od kilku lat kraj wzajemnych pogroźek, z których część należało brać serio. Lansowanej przez zagraniczne media opinii o infantylnej dyktaturze zaprzeczają pękające w szwach kryminały i nagminne skrytobójstwa.” (s. 38) Cały akapit, poświęcony tej charakterystyce, kończy zastanawiające zdanie: „Przemoc nie szła z góry w dół; jeżeli już, to z dołu do góry, gdyż tę atrakcję pozostawiono obywatelom.”

Muszę przyznać, że takie suche stwierdzenia zdystansowanego obserwatora cenię sobie najbardziej w powieści Ryłskiego – więc zacytuję jeszcze dwa: „Zresztą to nie był kraj, który zaprzętałaby przyszłość, bo dosyć w nim było teraźniejszości. Miało się nawet wrażenie, że przyszłość jest zakazana w związku z metodycznym przygotowywaniem przeszłości, mającej zastąpić wszystkie inne czasy.” (s. 39/40)

W tych dwóch zdaniach mamy esencjonalne ujęcie fundamentalnej dla każdego społeczeństwa (narodu?) kwestii stosunku do teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. „Wybermy przyszłość” – tak brzmiał niegdyś slogan wyborczy Aleksandra Kwaśniewskiego. Minęły dwie dekady z kawałkiem i nie tylko wybieramy przeszłość, ale zamierzamy ją wiernie odtworzyć w przyszłości – możliwie najwierniej, z maszerującą falangą, sakralizacją pojęcia Narodu i karą śmierci (przynajmniej za zbrodnię zdrady stanu). Świadomie mieszam tu rzeczywistość z fikcją kreowaną przez pisarza, bo ta została wykreowana jako logiczny ciąg dalszy tamtej.

Kiedy narody przestają snuć marzenia o lepszej przyszłości, zwracając się wyłącznie ku przeszłości – gloryfikowanej i całkowicie zmitologizowanej? Wtedy, gdy teraźniejszość staje się zbyt absorbującym chaosem, gdy całkowicie ludzi pochłania przezwyciężanie uciążliwości i absurdów dnia dzisiejszego. To w takiej sytuacji zaczynamy powtarzać stare dowcipy, które już nie śmieszą, tylko budzą nostalgię: „Kiedy będzie lepiej?” – „Już było”.

Warto się chwilę zadumać nad tym najkrótszym dialogiem historiozoficznym, który pokazuje mechanizm rugowania z naszego myślenia przyszłości i kierowania go ku przeszłości.

*

Naród... Oto krótka historia jego drogi „ku rozpadowi, a być może zagładzie” w ujęciu narratora – drogi, którą już prawie przeszliśmy w całości, z wyjątkiem ostatniego (krwawego) etapu:

„Ordynarna przemoc, a nie dyktatura ze śladami jakiegoś stylu, panowała przez blisko dekadę, a Don był tylko sternikiem tej przemocy, jaką naród katował sam siebie. Zatruwając wszystkie źródła, wyzwalając najpodlejsze emocje, spuszczać ze smyczy niegodziwość za niegodziwością, Don pozostawił sprawy samym sobie, a te już pilnowały, żeby pójść jak najgorzej. Wszechobecna opresja miała się czym żywić. Naród zasmakował w złej wolności. Jego tęsknota za elementarną przyzwoitością, o prawdzie nie wspominając, była szlachetnym złudzeniem, piękną iluzją tych nielicznych inteligentów, jacy uchowali się jeszcze na zasadzie przypadku, administracyjnego zaniedbania,

policyjnej niesumienności. Nauka nienawiści szła obywatelom jak po sznurku, a kilka nie było jakich egzaminów, na których polały się nie tylko słowa, lecz i krew, zdanych zostało celująco.” (s. 120/121)

Cytat jest dość obszerny ale konieczny jako rozwinięcie wcześniej przytoczonego twierdzenia o przemocy, która postępuje z dołu do góry, a potrzebuje tylko – do pełnego sukcesu – przyzwolenia owej „góry”, co również dzieje się na naszych oczach. Mamy nawet swojego Dona, metodycznie realizującego opisaną strategię i stopniowo znikającego – jak ten z powieści.

Po narratorze chyba pora (według hierarchii ważności postaci w świecie przedstawionym) na prezydenta, który najpierw był emigrantem i postacią ogólnie znienawidzoną – właśnie za wypowiedź o narodzie. Ową wypowiedź przytacza głównemu bohaterowi powieści przez telefon generał; dość operetkowa figura ze szczytów władzy, który nie wytrzymał i wypadł na chwilę ze swojej posagowej roli. Znów dłuższy (ale smakowity!) fragment:

„Tego wieczoru zadzwonił generał, poruszony jak nigdy.

– Jeżeli stoisz, Gaponia, to usiądź! Jeżeli siedzisz, nie wstawaj! – krzyczał w słuchawkę. – Premio Mondiale, masz pojęcie, Gaponia, dostał Premio Mondiale. Taki, kurwa, grafoman. Wybacz mi, Gaponia, tę kurwę, ale czym innym się tu wesprzeć. Wiesz, co o nim mówił nieodżałowany majster, że to taki Asnyk w swoich złych dniach. Nawet Don, który miał do niego świętą cierpliwość, mawiał: Na miłość boską, Kaziu, weź się za prozę. Na wierszach się nie znam i mało mnie obchodzi, komu ta nieszczęsna spedałona Europa przyznaje swoje honory. Pies ich jebał, niech mi pan wybaczy te słowa, z ich honorami, ale wywiad w »El País« przedrukowany przez inne europejskie dzienniki, to już za dużo. Jakaś młoda ciota nieznająca realiów, gratulując naszemu grafomanowi nagrody, pyta, za co Polacy kochają Polskę, skoro inne narody Europy nienawidzą swoich ojczyzn, a laureat odpowiada, że za wolność od przyzwoitości, za prawo do przemocy. W mojej ojczyźnie każdy znajdzie swoją ofiarę, powiada nasz laureat, jak brakuje ludzi, to ofiarami stają się zwierzęta, jak tych nie ma pod ręką, to drzewa, rośliny, wszelki bezbronny byt, bo moi rodacy to kaci każdej delikatności, subtelności, odmienności, nawet umiarkowania. Rozumiesz, Gaponia, kaci! To niespotykana niegodziwość, której trzeba dać odpór.” (s. 177/178)

Nie roztrząsając straszliwej zniewagi narodu polskiego, warto zwrócić uwagę, że generał w stanie moralnego wzburzenia, najwyraźniej tracąc samokontrolę, zaczął mówić językiem propagandy partyjnej PRL-u: „trzeba dać odpór”, a dalej zażąda jeszcze: „określ się” i przyjacielsko poradzi: „Niech twój protest zabrzmie mocno i przed innymi”.

Niestety, Gaponia zamiast skorzystać z tych rad, przyznaje sam przed sobą, „że stary poeta nie pierwszy raz ma rację, a ciężkie słowa o narodzie wyjął mu z ust.” (s. 181) Te „ciężkie słowa” zostaną przytoczone kilkanaście stron dalej:

„Gaponię skuwał lęk przed plemienną hordą, w jaką zmienił się naród, z którym nigdy nie miał związków, podobnie jak z resztą ludzkiego gatunku, gdziekolwiek by się on wyroił.” (s. 196)

*

„Gaponia” to oczywiście przezwisko, które przyłgnęło do niego jeszcze w dzieciństwie – na całe życie. Inaczej było z Baniakiem, „najdrugorzędniejszym” z nierozłącznej w młodości czwórki, który został Donem. Pozostali dwaj to późniejszy poeta-emigrant oraz kleryk o imieniu Jonasz, który porzucił studia teologiczne. Otóż cała ta czwórka, określona mianem „drugorzędnej” (a już wiemy, że to określenie jest w powieści stopniowalne), wpadła na pomysł, który przedstawić musi w tym miejscu znów narrator:

„Pomysł, by stanąć po stronie przegranych, po stronie tych, którzy po niespodziewanej zmianie systemu znaleźli się po niewłaściwej stronie rzeczywistości, by wyostrzyć roszczenia roszczeniowych, frustracje sfrustrowanych, nienawiść nienawidzących, nobilitować nie-dołęstwo, gnuśność, uzasadnioną lub nieuzasadnioną bezradność, taki pomysł miało wielu przed nimi, obok nich, a nawet po nich. Ale gdy dobrze odżywieni goście, ubrani jak spod igły, wraz ze swymi lśnącymi od dostatku kobietami zajeżdżali wystawnymi limuzynami przed front niespełnienia, rzeczywistej lub częściej wmurowanej sobie niedoli, tracili wiarygodność w przeciwieństwie do Baniaka, Gaponi, poety i alumna, którym żadna inscenizacja nie była potrzebna. Przekonywali do siebie bez słów: Gaponia – rusycysta z beznadziejnie rozwleczonym przewodem doktorskim, poeta bez matury, półksiążdź wyszydzany przez wiernych, okradziony z wiary, i absolwent prawa bez aplikacji. Beżenni, nieładni, byle jacy, kompatybilni z wszelką miernością. Obywatele zaczęli wsłuchiwać się w ich słowa.” (s. 50/51)

Kapitałna analiza przyczyn zwycięstwa wyborczego „dobrej zmiany”!

*

„Na co, tego nikt na razie nie wiedział” (s. 228) – ale żądanie zmiany rozbrzmiewa powszechnie i coraz głośniej. Zresztą to nieprawda, że nikt nie wiedział, bo zwykle wszyscy wiedzą, że zmienić trzeba wszystko! Najlepiej zacząć od elit. Na szczęście pojawia się dziwna i straszna CHOROBA – ludzie puchną do niebywanych rozmiarów, po czym eksplodują. Złośliwie można by powiedzieć, że rozsądza ich poczucie godności i takie głosy też dają się słyszeć (s. 204), ale oficjalne wyjaśnienie już jest znane: „Lekarze to dupki” (s. 203). W stolicy pojawiło się w wersji ostrzejszej połączonej z oskarżeniem: „Że doktorzy to kutasy i że ta franca to ich robota.” (s. 206)

Warto przypomnieć, że nasza rzeczywista „dobra zmiana” jest dopiero na etapie rozprawy z „nadzwyczajną kastą” sędziowską, która w kraju z powieści Ryłskiego już dawno została spacyfikowana w myśl doktryny: „Władza ograniczona cokolwiek poza ideą, która ją powołała, staje się własnym zaprzeczeniem, nawet jeżeli jest czystą przemocą.” (s. 15) Klarowność tej doktryny wprost obezwładnia i dowodzi najwyższego kunsztu prawniczego, którego wyraźnie zabrakło prawodawcom „dobrej zmiany”.

Eustachy Ryłski konsekwentnie buduje świat w swojej powieści według zasady, iż przyszłość, która wyłoni się z naszej męczącej i absorbującej bez reszty teraźniejszości, będzie po prostu amatorsko ożywioną repliką jakiejś syntetycznej przeszłości. Odtworzone zostaną przede wszystkim instytucje i stanowiska, których nazwy pochodzą z najróżniejszych okresów historycz-

nych. Tak więc przez Dom Centralny (ta nazwa akurat kojarzy się z czasem nieodległym) przewijają się tuziny nomenów, dykasterów, tetrarchów, namiestników prowincji itp. W tym tłumie przebiegaczy pojawi się czasem postać, na której widok cierpię skóra, np. „sędzia ludowy, zwany powszechnie skurwysynkiem” (s. 43). Chyba nie trzeba przypominać, z jakich czasów przywędrował – ale naprawdę interesująca jest jego droga awansu:

„Droga od złodzieja rowerów do stanowiska jednego z kilkunastu sędziów ludowych była stroma, lecz krótka. Bo od czego szczęśliwy traf. Uderzające podobieństwo do aktora afirmującego swoją postawą rzeczywistość przesądziło o karierze skurwysynka, gdy aktor naćpany i pijany jak bela wsiadł do swojego lamborghini i zginał na pierwszym skrzyżowaniu akurat wtedy, gdy jego obecność w pobliżu władzy była niezbędna.” (s. 45)

W groteskowo przejęskrawionym obrazie mechanizmu błyskotliwej kariery pojawił się warunek zgoła ponadczasowy, który wymaga potraktowania z całą powagą: afirmująca rzeczywistość postawa kandydata do awansu. Warto jeszcze dodać, że afirmacja musi być bezwarunkowa.

*

Pora jednak rozstać się z bohaterami powieści, żeby nie wpaść w pułapkę streszczenia i zająć się innym jej aspektem – nazwijmy go meteorologicznym. Ponieważ autor *Blasku* jest zaledwie cztery lata młodszy ode mnie, podejrzewałem go czasem w trakcie lektury, że bierze odwet na literaturze, która stanowiła nasz kanon szkolny – a była to głównie proza pozytywistyczna (i wzorowana na niej socrealistyczna), pełna śmiertelnie nudnych dla nastoletniego czytelnika opisów przyrody – tym nudniejszych, im bardziej owa przyroda zachwycała autora swoim pięknem. Otóż Ryłski opisuje w swojej powieści głównie przyrodę umierającą albo już umarłą, której główną cechą jest brzydota.

Ale moje chwilowe infantylne rozbawienie ustąpiło miejsca poczuciu grozy, gdy przeczytałem np. takie zdanie:

„Lato wybuchło na przełomie kwietnia i maja suszą i upałami.” (s. 308)

Przecież tak właśnie zaczęło się tegoroczne lato!

*

Czytam w jeden z tych upalnych dni tegorocznego sierpnia, pretendujących do rekordów temperatury i – mimo że jestem zły od stóp do głowy (czy odwrotnie) – czuję mróz przechodzący po kościach: „Sieci przesyłowe, pamiętające połowę ubiegłego stulecia, nie dotrzymały zobowiązań wobec chłodzi, dystrybutorów paliw, taśmociągów, wind, klimatyzatorów, rozpanoszonych do absurdu supermarketów, milionów domowych lodówek, komputerów, telewizorów i zawiesiły się radykalnie niż w latach ubiegłych. Polska, na którą kontynent machnęła już ręką, uważając ją za przypadek beznadziejny, była teraz we wszystkich serwisach informacyjnych przedstawiana jako przykład kruchości cywilizacji technicznej i przewagi natury, gdy tylko ta zrezygnuje ze swego miłosierdzia. W Polsce najwyraźniej zrezygnowała” (s. 197/198).

STANISŁAW GĘBALA

Eustachy Ryłski, *Blask*, Wielka Litera 2018

JACEK WOJCIECHOWSKI

BIAŁORUŚ JAK ZA MGŁĄ

Nasze spojrzenie na wschodnich sąsiadów nie jest jednolite. Na Rosjan zerkamy z lękliwą nieufnością, za Ukraińcami nie przepadamy, natomiast Białorusinów przeważnie traktujemy z góry. Przecież jest ich znacznie mniej, oraz nie za dużo o nich wiemy, bo zresztą świat też ich nie zawsze dostrzega. W dodatku nie żyjemy sentymentu do tamtejszego przywódcy, a i system rządzenia nie wydaje się nam demokratyczny.

Tymczasem o przywódcach w wielu krajach można myśleć różnie i nie ma pewności, czy to rzeczywiście my najbardziej nadajemy się na instruktorów demokracji. Poza tym akurat ci sąsiedzi z najwyższym trudem i nie od wczoraj próbują znaleźć i utrwalić swoje miejsce na mapie Europy. Zatem przydałaby się wobec nich szczypta tolerancji.

W Polsce zawsze narzekaliśmy na fatalne geopolityczne położenie pomiędzy Rosją i Niemcami. Białorusini trafili jeszcze gorzej, bo między Polską i Rosję, z realną groźbą rusyfikacji bądź polonizacji, choćby ze względu na taką podatność własnego języka. Nic więc dziwnego, że byli i są tam sentymenty ku Litwie, skąd takiego zagrożenia nie widać.

Nie da się powiedzieć, żeby, dokonując różnych wyborów, Białoruś zawsze czyniła to optymalnie. Ale od dawna szukając dla siebie miejsca i drogi, przynajmniej dopracowała się w końcu własnej państwowości. Jak do tego doszło oraz co dalej, najlepiej zapytać samych zainteresowanych. Wykraczając poza standardowe i mało przyjazne doniesienia medialne.

POD RĘKĘ Z KRYZYSEM

Biełoruskij żeżegodnik. Vilnius, Logrinau, 2017, s. 300, ISSN 1822-4091.

Istnieje Stowarzyszenie Białoruskich Ekspertów *Nasze mnienije*, o poglądach niezależnych – co nie znaczy, żeby wobec władzy zawsze napastliwych – i wydaje opiniotwórczy rocznik (jak wyżej), acz na wszelki wypadek w Wilnie, bo władza nie zawsze jest tolerancyjna mimo umiarkowanej, rzeczowej i przez to konstruktywnej tonacji rocznikowych wypowiedzi. Tak bywa. Ale tym bardziej warto zwrócić na nie uwagę.

Moją wątpliwość budzi tylko fakt, że w tym roczniku ostatnim, ledwie 15 proc. zawartości jest po białorusku,

reszta zaś po rosyjsku. Być może w rosyjskim łatwiej pokazać się zewnątrz, a białoruska inteligencja (to adresat główny) nie ma z tym językiem żadnych kłopotów.

W nawiązaniu do ostatnich tam wyborów parlamentarnych odnotowano wejście w skład izby poselskiej przedstawicieli opozycji. Jednak partia rządząca zachowała 60 proc. mandatów, toteż obyło się bez istotnych wewnętrznych zmian. Oznaki recesji oraz kryzysu ekonomicznego są nadal wyraźne. A rzeczywistych reform nie ma, zaś w scentralizowanym zarządzaniu krajem widać postępującą deprofesjonalizację. Pensje w administracji są żałosne, zatem pomimo redukcji liczby urzędników i nastawienia na odmłodzenie urzędniczych kadr żadnej poprawy w tym obszarze nie widać.

Brakuje woli zmiany istoty państwowej polityki. Urzędujący prezydent wcale tego nie chce, toteż pozytywnych efektów nie ma. Orędownik ostrożnego urynkowania gospodarki, premier Kirił Rudy, został odwołany z funkcji i mianowany ambasadorem w Korei Północnej, zatem to orędownie musiał odstawić na bok.

Recesja trwa tam od kilku lat. Pojawiały się wprawdzie oznaki niejakiej stabilizacji – spadły wydatki wewnętrzne – ale spadła też produkcja przemysłowa. O 3 proc. wzrósł eksport, lecz z kolei rozmnożyły się państwowe długi. Bankrutują instytucje państwowe oraz prywatne.

Bo – poza wszystkim – to jest kraj bez naturalnych bogactw. Były plany, żeby nastawić się na *know how* oraz na wysokie technologie, ale z samego gadania nie wynika nic. Tymczasem technologiczne innowacje są tam marnie subsydiowane. Powstał wprawdzie Centralny Bank Rozwoju, ale to raczej hamulec, aniżeli stymulator. Wyraźnie brakuje też inwestorów zagranicznych. W światowym indeksie innowacji, na 128 krajów Białoruś jest na 79 miejscu – między Iranem i Kenią. Tymczasem dramatycznie zmniejszył się przyrost naturalny, a bezrobocie obejmuje 25 proc. osób zdolnych do pracy. Zatem wizerunek jest kiepski, a długofalowych planów ratunkowych nie widać.

Istnieje bowiem rozdziewiek pomiędzy ekonomią a nastawieniem socjalnym, z którego władza utrzymuje się... przy władzy. Kurczowo! Dla poprawy nastrojów (?) wprowadzono nowe prawo emerytalne: wiek graniczny dla kobiet – 58 lat, a dla mężczyzn – 63 lata. Równolegle pojawił się dekret o darmozjadach i w następstwie ściaga

się podatki, niepłacone z różnych przyczyn. Ale to nie jest rozwiązanie poważne.

Istotny kłopot polega na tym, że uległy pogorszeniu relacje z Rosją. Dostawy rosyjskiej ropy spadły o 20 procent. Natomiast globalne sankcje gospodarcze przeciwko Rosji, a także jej akces do światowych organizacji handlowych, dodatkowo dotknęły Białoruś, mimo że pośrednio. Z drugiej strony A. Łukaszenka nie poparł aneksji Krymu, a także nie zgodził się na instalację na terytorium Ukrainy rosyjskich lotniczych baz wojskowych, co na Kremlu przyjęto bardzo źle. I wprawdzie poprawiły się białoruskie relacje z UE, w tym również z Polską, ale to nie jest żadna rekompensata. Zależność od Rosji ma tam bowiem charakter głęboki oraz wielostronny.

Nie jest też Rosjanom po myśli nowa białoruska doktryna wojenna. Przyjęto w niej wszak założenie, że armia białoruska może walczyć jedynie na terytorium swojego państwa w razie napaści, oraz ma też zapobiegać wewnętrznym rozruchom w kraju, które niewątpliwie byłyby powiązane z agresją zewnętrzną. Została więc przerebiona *lekcja ukraińska*: wzmocniono mianowicie ochronę granicy... z Rosją (!). No to z czego Rosjanie mieliby się cieszyć? Są też zawarte wojskowe porozumienia z Litwą oraz z Polską, lecz trudno przeceniać ich znaczenie rzeczywiste. Symboliczne – to co innego.

Niejaka liberalizacja polityki wewnętrznej, mimo że wyraźna, ma swoje granice: po prostu władze mniej przeszkadzają. Jednak nadal organizacje obywatelskie muszą mieć urzędową zgodę, żeby się zarejestrować. Dlatego chętniej tworzą obywatelskie instytucje, bo łatwiej, ale wtedy bez demokratycznych wyborów.

Niedawno przytrafiło się poparcie władz dla obywatelskiej organizacji ekologów, ale w konflikcie z... Kościołem rzymskokatolickim. Ekolodzy oprotestowali plan wycięcia drzew w mińskim parku Kotowka, gdzie miała stać rzymskokatolicka świątynia, no i magistrat nie pozwolił. Ale przesłanki tej decyzji nie są jednoznaczne.

Jakkolwiek konflikty z tym akurat kościołem bywają tam nierzadko. Nie ma też konkordatu z Watykanem. Ale i z cerkwią prawosławną oraz z innymi wyznaniem zdzierają się scysje. W szczególności powtarzalnym powodem jest ograniczanie prawa do religijnych demonstracji.

W sygnalizowanym tu roczniku, białoruską edukację uznano za marną, ponieważ nie zaakceptowano tam procesu bolońskiego (nad tym to akurat nie płakałbym), oraz przywrócono do niektórych szkół rosyjski język nauczania jako równoprawny. Jest też opinia, że najambitniejsi studenci wyjeżdżają po nauki za granicę, jeżeli ich (no tak: rodziców) na to stać. A czy nasi też tak nie postępują? Z tego, co słyhać w polskich szpitalach wynika, że zatrudniani tutaj lekarze z białoruskimi dyplomami nie są do pracy przygotowani gorzej niż nasi.

W obszarach kultury oficjalnej dominuje tam banalna standaryzacja, ale społeczeństwo nie protestuje. Natomiast inicjatywy pozapaństwowe, w tym i własne propozycje twórców, napotykać ostatnio na mniejsze opory władz niż dawniej. Być może noblowskie trofeum dla S. Aleksijewicz przyczyniło się nieco do złagodzenia obstrukcji. Na razie trudno przesądzać, jaka jest prawda.

Natomiast dekret o *darmozjadach* spowodował konieczność uregulowania statusu zawodowego twórców, wprowadzono więc odpowiednie certyfikaty. Otrzymało je 50 proc. wnioskodawców. Oczywiście, do szturm po

nie prawie na pewno ruszyli również chałturzyści, nie wiadomo jednak, czy wszystkie odmowy wynikały rzeczywiście z przyczyn merytorycznych.

Skutecznym obszarem promocyjnym dla Białorusi był sport, ale od pewnego czasu zanotowano regres. Niewiele było sportowych sukcesów, dużo za to afer łapówkarskich oraz dopingowych. Upřednia stabilność niektórych wyników sportowych odeszła w siną dal. Ostatnio przeważają osiągnięcia jednorazowe.

Według sondaży (ale nieweryfikowalnych), 80 proc. mieszkańców Białorusi nie wierzy w poprawę sytuacji. Niewiele niższy odsetek nie ufa też zapewnieniom, że naprawdę przeciwdziała się skutkom czarnobylskiej katastrofy. Podobno też 65,5 proc. społeczeństwa oczekuje zmian. Jednak rzeczywiste naciski w tym kierunku są nikłe.

Ludzie godzą się na to, co jest. I przede wszystkim nie chcą, żeby było gorzej. Oraz boją się jak ognia konfliktu rosyjsko-europejskiego.

To łączy nas z nimi z całą pewnością. Mamy wszak zbieżne obawy. Bowiem niestabilność Białorusi również dla nas byłaby niezwykle groźna.

DZISIAJ I NIECO WCZEŚNIEJ

Walantsin Holubeu, *Historia Biełarusi ad zakančennia Drugoj Suswietnej Wojny do periodu budau-nictwa niezaleźnej dźerżawy (1945-2017 gg.)*. Minsk 2017, Wydawiec Zmicer Kołas, s. 236, ISBN 978-985-7164-79-0.

A oto inna publikacja, traktująca o współczesnej Białorusi – z dodatkowym odniesieniem jeszcze do dziejów najnowszych (od II wojny światowej). O ile wiem, autor nie jest zwolennikiem politycznym A. Łukaszenki, ale w wypowiedziach zachowuje umiarkowanie: stara się bezstronnie przedstawiać zdarzenia i fakty. W rezultacie jego relacja jest nie tylko rzeczowa oraz interesująca, ale wydana się również wysoce wiarygodna.

Wojna zniszczyła ten kraj niebywale. Z wielu miast i wsi nie pozostało nic – w samym Mińsku ocalało raptem 70 budynków. Zginęło 2,5 miliona Białorusinów, nie tylko na froncie. W skali takiego narodu to jest liczba gigantyczna.

Żołnierze oraz mieszkańcy, zwerbowani na roboty do Niemiec, zobaczyli na Zachodzie inne życie. Nie wszyscy wrócili. Ale wystarczyło, żeby – wraz z niedobitkami dawnej opozycji – zaczęli tworzyć organizacje podziemne. Jednakże na krótko, bo zresztą tam zawsze dominowała inercja, połączona z rozbieżnościami opinii. A zamordyzm sowieckiej władzy gruntował dodatkowo rusefikację wszystkiego. Było nawet tak, że przez 20 powojennych lat szefem partii na Białorusi nigdy nie był Białorusin.

Rolnictwo znalazło się w opłakanym stanie. Tym bardziej że poodbierano właścicielom resztki gospodarstw prywatnych, a kolektywne funkcjonowały na żalosnym poziomie. Do 1947 roku wszystko było na kartki, panował głód, a przedwojenny standard życia osiągnięto nie wcześniej, niż w 1950 roku.

Dziwnym trafem Białoruś znalazła się w ONZ jako samodzielny podmiot polityczny, ale w kraju nie miało to większego znaczenia. Obowiązywał ideologiczny dogmatyzm, dominowało wszystko co rosyjskie i tylko

w niektórych dokonaniach kulturalnych pojawiał się fragmentarycznie język białoruski.

Niewielka liberalizacja nastąpiła dopiero po 1953 roku. Wobec – nadal – katastrofalnego stanu tamtejszego rolnictwa, pojawiły się pierwsze poważne inwestycje industrialne. Od 1958 roku wprowadzono ośmioletni obowiązek szkolny, ale nauczanie odbywało się nadal po rosyjsku. A z niby odwilży w kulturze skorzystali nieliczni. Wśród nich prozaik światowej klasy, były oficer frontowy, a później dysydent, autor wspaniałych mikropowieściowych moralitetów Wasil Bykau – u nas znany z rosyjska jako Wasyl Bykow. Jego dodatkowa niezwykłość twórcza polegała na tym, że te swoje opowieści pisał (a nie przekładał: w obu wariantach są rozbieżności) dwuwersyjnie: po rosyjsku i po białorusku, z pełną świadomością, że głównym narodowym lepszem jest właśnie język. Nie tylko z tego powodu był nieustannie sekowany i szerzej nie przebił się ze swoją twórczością na Zachód. W Polsce tłumaczyliśmy wszystko, co spod jego ręki wyszło.

Cały okres rządów L. Breżniewa to był dla Białorusi czas marazmu i застою. A w ogóle to znacznie silniej niż zmiany polityczne dała znać o sobie katastrofa w ukraińskim Czarnobylu.

W okresie rozpadu ZSRR, wśród zabiegających o niepodległość Białoruś należała do ostatnich. W końcu jednak determinacja Z. Paźniaka i jego zwolenników doprowadziła do deklaracji niepodległości w 1991 roku. Władzę objął S. Szuszkiewicz, a nowe państwo jako pierwsza uznała Polska.

W 1994 roku na prezydenta został wybrany A. Łukaszenka, który potem poprzez referendum wzmocnił władzę prezydencką i zniósł kadencyjne ograniczenia w kandydowaniu na ten urząd. Mówi się, że jest prorosyjski – bo faktycznie jest. Ale czy Białoruś ze swoim geopolitycznym położeniem i mizerną infrastrukturą ekonomiczną mogłaby obrać inny polityczny kurs? Być może mniej uległy, ale nikt nie wie, co to znaczy.

Na razie największe zastrzeżenia opozycja zgłasza wobec oficjalnego równouprawnienia dla języka rosyjskiego. Z tym, że Rosjan jest tam niemało i zapewne rosyjskie władze też o to zabiegały, więc przesłanki były wielorakie. Jednak dla białoruskiej świadomości narodowej z całą pewnością nie jest to korzystne. Litwa, Łotwa i Estonia wybrały inny wariant, co zresztą wywołało rozmaite niesnaski, także w wymiarze międzynarodowym.

W gospodarce przyjęto model rynku regulowanego, z ograniczonym dopuszczeniem sektora prywatnego. Oczywiście tak jak w Rosji. Ale czy w kraju ościennym, biednym i pozbawionym bogactw naturalnych, a nawet dostępu do morza, mogło być inaczej? Zwłaszcza że nikt inny szerszej współpracy ani tym bardziej pomocy nigdy nie zaoferował.

Aż 92 proc. białoruskiego eksportu kieruje się do Rosji oraz do krajów postsowieckich i to ma zasadnicze znaczenie. Kooperacja gospodarcza z innymi państwami też wprawdzie istnieje – relatywnie najwyższa z Polską – w sumie jednak obszar tej współpracy jest skromny.

W polityce zagranicznej dominuje kierunek prorosyjski, pomimo niejakić ostatnio zgrzytów, ale w sumie drobnych. Stosunki dyplomatyczne utrzymuje Białoruś z 177 państwami, zarazem jednak to jest jedyny kraj europejski, który nie należy do Rady Europy. Ogólne stosunki z Unią Europejską są chłodne, natomiast zostały

podpisane deklaracje dobrosąsiedztwa z Polską oraz z Litwą. Wszędzie z dużą aprobatą werbalną przyjęto pozbycie się przez Białoruś broni jądrowej, ale poza duserami oraz gestami nie pojawiły się żadne konkrety. Czyli nie zostało to rozegrane tak sprytnie jak przez Koreę Północną.

Doktryna ogólna stanowi, że Białoruś jest państwem białoruskiego narodu. Z tego założenia wykielkowało kilka wartościowych dokonań historiograficznych. Mianowicie w wielu formułach nowatorsko i ciekawie została opracowana historia Białorusi. Natomiast na przekór tej przesłance stanęło równouprawnienie języka rosyjskiego – także w szkolnym nauczaniu.

Również silną barierę antyintegracyjną stanowi krajowa hegemonia cerkwi prawosławnej, podporządkowanej wszak cerkwi rosyjskiej. To w żadnym wypadku nie jest kościół narodowy, a szerokie wpływy ma. Poza tym funkcjonuje tam katolicyzm (źle widziany przez władze), protestantyzm, uństwo, a także judaizm oraz islam. Deklaracjom wyznaniowej swobody, towarzyszą niekiedy obstrukcje.

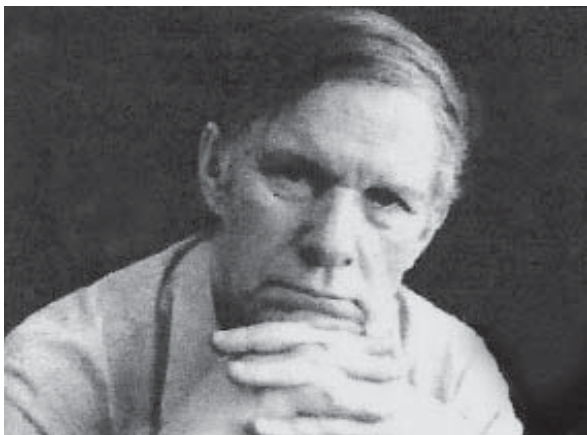
Prawie 3 miliony Białorusinów mieszka za granicą. W Rosji 1,2 miliona, w USA 650 tys., a w Polsce 300 tys. Związki z ojczyzną są różne i mało stabilne. Od 1993 roku funkcjonuje organizacja *Batkiwszczina*, próbująca powiązać emigrantów z ojczyzną, ale władze są wobec niej ostrożne. Sądzą bowiem, że ma charakter przynajmniej częściowo opozycyjny, Trudno to wykluczyć. Wszak jej pierwszym przewodniczącym był dysydent Wasil Bykau.

Dla kształcenia wyższego oraz dla nauki, wyznaczono kierunkowe priorytety. To fizyka molekularna, biotechnologia, nanotechnologia, informatyka oraz transplantologia. Brak mi kompetencji, żeby ocenić poziom dokonań. Bazę stanowią 52 uczelnie, w tym 34 uniwersytety. Ale liczba ośrodków nie wyznacza jeszcze jakości wykonawstwa.

Sytuację wewnętrzną kraju ocenia się także przez pryzmat dokonań kulturalnych oraz swobód twórczych. No więc miała miejsce na Białorusi niejaka liberalizacja nadzoru i restrykcji w tym zakresie, jakkolwiek całkowitego luzu nie ma.

Symptomatyczne: istnieją tam dwa zrzeszenia pisarzy. Mianowicie wspierane przez rząd *Stowarzyszenie Pisarzy Białoruskich* oraz niezależne *Stowarzyszenie Białoruskich Pisarzy*, zrzeszające czołowych twórców. To do niego należał nieżyjący już Wasil Bykau. A warto pamiętać, że według jego mikropowieści nakręcono w państwowej wytwórni *Bieltarusfilm* film *We mgle* (reż. Siergiej Łożnica), który w 2012 roku otrzymał nagrodę FIPRESCI w Cannes. Ciekawe, że sam (głośny!) tekst podstawowy pojawił się (w tłumaczeniu Andrzeja Olejarczuka) u nas tylko w czasopiśmie – *Literatura Radziecka*, 1988, nr 6, oraz *Kraj Rad*, 1981, nr 31-40.

Jeszcze donioślejszą formą promocji kulturalnych dokonań białoruskich była nagroda Nobla dla Świętłany Aleksijewicz w 2016 roku, szczególnie na forum międzynarodowym gdyż w kraju nie wszyscy klaskali. Rzecz w tym, że laureatka, mimo deklaracji ideowego pokrewieństwa z Bykauem i prowadzenia w Mińsku niezależnego salonu dyskusyjnego, pisze jednak w języku rosyjskim (jest córką Rosjanina), toteż w niektórych tamtejszych kręgach patriotycznych, postrzega się ją z dystansem.



Wasil Bykau

Język białoruski dominuje natomiast w teatrach. Ale sztuki wystawia się bardzo różne. Bywają państwowo-twórcze chały, jednak propozycje niezależne też się zdarzają. Rocznie wystawia się tam ok. 120 premier, z tego czwarta część to sztuki autorów białoruskich.

Co dalej – wypada powtórzyć pytanie, błakające się już przy omówieniu poprzedniej książki. Otóż mało pomyslnym prognozom gospodarczym odpowiadają mgliste przewidywania polityczne. Od czasu referendum w 1996 roku, Białoruś jest republiką prezydencką, tak więc głos decydujący ma prezydent. Tymczasem A. Łukaszenka, wybierany na to stanowisko w latach 1994, 2001, 2006, 2010 i 2015, na radykalne zmiany systemowe najwyraźniej się nie pisze. I uważa, że ma na to glejt, bowiem w referendum – wzięło wtedy udział 84 proc. obywateli – 70 proc. głosujących poparło jego projekty.

Lecz było to już dość dawno. Aktualnie zwolenników zmian jest podobno więcej, niż 22 lata temu. Ale jakie to miałyby być zmiany oraz jaki byłby ich ewentualny koszt społeczny – czyli poziom zgody obywateli na (czasowe?) pogorszenie warunków życia – tego nie wiadomo. Zwłaszcza że Białorusini nigdy nie grzeszyli wewnętrznym zwarciem ani jednolitością poglądów oraz nie zaliczali się do awangardy jakichkolwiek przemian.

W takim kontekście, przyszłość rysuje się bardzo niejasno. Chociaż chciałoby się uwierzyć, że może jednak pomyslnie. Skoro udało się innym...

ONI I MY STO LAT TEMU

Andrej Czarniakiewicz, *Czuży siarod czużych. Paweł Alaksiuk i białoruskija „palanofity”*. Mińsk 2017, Wydawiec: A. M. Januskiewicz, s. 317, ISBN 978-985-7165-32-2.

A oto bardzo ciekawa opowieść Andreja Czarniakiewicza – jak to między nami było sto lat temu, w gorącym okresie tworzenia się nowego ładu europejskiego po I wojnie światowej. Prezentuje wprawdzie białoruski punkt widzenia, ale w opisie ówczesnych naszych wzajemnych stosunków wydaje się obiektywna. I chyba racjonalnie wyjaśnia, dlaczego wypadki potoczyły się tak właśnie, a nie inaczej.

Mnóstwo tu detali oraz relacji szczegółowych (być może nie wszystkim znanych), ale są też ujęcia bardziej ogólne, powiedzmy, że panoramiczne. To prawdziwa kopalnia faktów przywoływanych z rozmaitych źródeł,

także polskich. Jednak mimo nagromadzenia mnóstwa odniesień, relacja całościowa konkretyzuje się wyjątkowo klarownie. Powiem więcej – w czytaniu tekst wydał mi się niezwykle frapujący.

Jest to opowieść dwuwątkowa. Pomiędzy bulwersujące wydarzenia polsko-białoruskie zostały wpisane jeszcze bardziej dramatyczne losy polonofilskiego działacza białoruskiego Pawła Aleksiuka, który z powodu konsekwentnego dążenia do powiązania Białorusi z Polską został przez swoich okrzyknięty renegatem. Ale i Polacy nie odnieśli się do niego elegancko, stąd tak smutny tytuł tej monografii: *Obcy wśród obcych*.

Po rozpadzie dawnego europejskiego układu sytuacyjnego, z końcem I wojny światowej Polska jednak wybiła się na niepodległość, natomiast Białorusi nie było to dane. Mielśmy więcej szczęścia, lepsze możliwości oraz wyższa była determinacja? Nasi pradiadkowie okazali się sprytniejsi i zaradniejsi? Zapewne. Historyczna przeszłość (u nas państwowa) także musiała mieć znaczenie. No i w porę przytrafił się nam ktoś taki jak Józef Piłsudski: z całą pewnością samorodny polityczny diament.

Białorusini mieli po stokroć gorzej. Zabrakło wśród nich polityków aż tak wybitnych, ale przede wszystkim nie było tam jednolitości poglądów. Przeciwnie: były sprzeczne, niestałe i ewoluowały. W książkowym opisie wygląda to na gigantyczne złomowisko idei.

Zdołali utworzyć w Wilnie tymczasowy quasirząd: Białoruską Radę Narodową. Ale to było ciało zdolne (też nie do końca) tylko do reprezentowania i deklarowania, natomiast bez szans na jakiegokolwiek przedsięwzięcia wykonawcze. Nawet ciągnące się miesiącami próby utworzenia białoruskiego pułku wojskowego – to wszak byłby ważny argument przetargowy – nie przyniosły zakładanych rezultatów.

Niepowodzenia białoruskie miały wiele przyczyn, a w tym także brak zewnętrznego wsparcia i oparcia. Białorusinom było równie daleko do rosyjskiej nadrzędności, jak i do polskiego nacjonalizmu. Na pytanie, co gorsze: bolszewicy czy Polacy – prawie nikt nie odpowiadał. Może to rozczarowujące, ale przyjaznych spojrzeń ku nam było mniej niż mało.

Obawy i niechęć potęgowały liczne wtedy konflikty pomiędzy Kościołem katolickim a Cerkwią prawosławną, stymulujące antypolskie postawy, zwłaszcza wśród ludności wiejskiej. Białoruskie szukanie własnej drogi skupiało się więc naokoło Litwy, niby to w zamyśle odrodzenia Wielkiego Księstwa Litewskiego, ale idea nie miała na realizację praktycznych szans, natomiast irytowała stronę polską.

Przez dłuższy czas ważnym ośrodkiem białoruskiego ruchu narodowego było Grodno. Kiedy do tego miasta wkroczyły polskie oddziały, mogło się wydawać, że kurs na współpracę z Polską zyskał dodatkowy impuls. Ale tak się nie stało: nieufność, niechęć, a nawet wrogość, przetrwały. O legionach wielu Białorusinów wyrażało się źle. Określenia okupanci, a nawet bandyci, były na porządku dziennym. W tych warunkach dążenia ku niezależności Białorusi (przynajmniej Zachodniej), albo chociaż autonomii, w oparciu o Polskę, były wprawdzie podejmowane, lecz miały kruche podstawy.

J. Piłsudski uznał prawo Rady do reprezentowania Białorusinów, chociaż miał świadomość ich prolitewskich, a pośrednio proniemieckich preferencji, więc nie ufał im nadmiernie. Przyjechał do Grodna z zachęcającym wy-



Swietłana Aleksiejewicz

stąpieniem, w podobnym tonie odpowiedział mu P. Aleksyuk. Jednak później, w Wilnie delegacja białoruska zażądała integracji ziem białoruskich (częściowo spornych!), tyle że w ścisłym związku z Polską. Otóż po naszej stronie nie było takiej woli, ani sprzyjającej atmosfery.

Przywołując liczne źródła polskie, Czerniakiewicz sugeruje, że J. Piłsudski miał pomysł na federację państw bałtyckich (Finlandii, Estonii, Łotwy i Litwy) oraz Białorusi i Ukrainy razem z Polską. Ale nikt się do tego nie kwapił. Tak jak my baliśmy się hegemonii rosyjskiej, tak też oni nie mieli ochoty na przywództwo Polski.

Tymczasem sytuacja nabrała zmienionych konktretów. Bolszewicy zlikwidowali autonomię białoruską w części wschodniej, zaś Kołczak oraz Denikin – jeszcze wtedy z nadzieją na zwycięstwo – niczego Białorusinom nie proponowali. Namiary na Litwę i na Ukrainę okazały się abstrakcyjne. Dlatego niejakiemu odmrożeniu uległ kierunek polski.

Szef Rady Białoruskiej A. Łuckiewicz przeprowadził kilka rozmów w Warszawie. Prosił I. Paderewskiego o możliwość tworzenia władz białoruskich na poziomie lokalnym, ale zgody nie uzyskał. Natomiast J. Piłsudski akceptował pomysł utworzenia białoruskiego wojska (wałkowany zresztą od dawna).

Jednak wzajemne zaufanie było już wtedy mocno zredukowane. Białorusini mieli bardzo rozbieżne opinie na temat relacji oraz współdziałania z Polską i mało kto wśród nich (poza P. Aleksyukiem) widział korzyści z ewentualnego sojuszu. Z kolei J. Piłsudski nie mógł doszukać się międzynarodowego poparcia dla sprawy białoruskiej, toteż był w deklaracjach i w postępowaniu bardzo ostrożny. Operował wtedy pojęciem *piemontyzacji*, bardzo niekonkretnym i mglistym.

W pewnym momencie, ale na krótko pojawiła się dla Białorusi efemerydalna alternatywa. Oto generał major rosyjskiej Białej Armii, Stanisław Bułak-Bałachowicz na czele swoich oddziałów zdobył Pińsk i zajął Mozyrz. Ogłosił tam niepodległość Białorusi i nawet powołał rząd, tworząc 20-tysięczną armię. Jednak nawet Białorusini nie uważali jej za białoruską, bo była wieloetniczna. Po kilku dniach zresztą musiał się wycofać i w Polsce całe to wojsko zostało internowane, ponieważ tymczasem podpisano rozejm polsko-bolszewicki. Generał próbował jeszcze współpracować z B. Sawinkowem, tworząc oddziały partyzanckie na terenie Rosji, ale i ta koncepcja okazała się chybiona.

Kiedy generał L. Żeligowski wzniecił rebelię i utworzył Litwę Środkową, Białorusini poparli to przedsięwzięcie, widząc w tym dla siebie szansę. Ale rychła inkorporacja do Rzeczypospolitej tę sytuację zamknęła.

Potem Białorusini startowali w wyborach do polskiego Sejmu we wspólnej grupie mniejszości narodowych – razem z Ukraińcami, Niemcami, Rosjanami oraz Żydami. Łącznie uzyskali wtedy 16 miejsc, stąd nazwa Blok nr 16. Podnosili razem kwestię nadmiernej polonizacji Kresów, ale echa tych wystąpień były nikłe. Po majowym przewrocie w 1926 r. powołano (reaktywowano?) *Białoruską Radę Narodową*, jednak całkowicie bierną.

Przez całą książkę – zgodnie z tytułem – przewija się przemiennie wątek przedsięwzięć i losów Pawła Aleksyuka. To był jeden z liderów białoruskiego ruchu niepodległościowego, twórca kilku organizacji i ciał narodowościowych, numer 1 pośród działaczy nastawionych na kooperację z Polską. Był w tym konsekwentny przez cały czas, na rzecz tej współpracy czyniąc co możliwe. Spotykał się z J. Piłsudskim oraz z I. Paderewskim, miał też inne kontakty z Polakami, stąd określenie *polonofila* – dla większości Białorusinów negatywne. Uważano, że to polski agent i wtyczka.

Pochodził z Grodna, był prawnikiem. Energję i zaangażowanie łączył z postawą dość arogancką, co także zniechęcało otoczenie. Rodacy nieraz oskarżali go o finansowe przekręty. Bywał również aresztowany w Polsce na podstawie fabrykowanych donosów. Jednak swojego nastawienia nie zmieniał.

W 1922 roku zjazd Białorusinów w Grodnie uznał jego działalność za szkodliwą. Wtedy wycofał się z polityki i przeniósł do Nowogródka, gdzie pracował jako adwokat i został wybrany do miejskiej rady. Są świadectwa, że nieraz stawał w obronie tamtejszej biblioteki miejskiej. Ale i wtedy bracia-rodacy nie dali mu spokoju. Oskarżono go o podpalenie swojej posiadłości, którą wcześniej ubezpieczył. Jednak został uniewinniony przez sąd.

Jego wieloletnie wysiłki na rzecz białoruskiej niepodległości oraz działania ku zbliżeniu z Polską, spotkały się z obustronnym ostracyzmem. Zasługiwał na jakieś upamiętnienie, jako wypróbowany przyjaciel Polski oraz białoruski patriota, ale odepchnięto go na boczny tor, jak starą zużytą dreżynę.

Przeżył też osobiste nieszczęście, kiedy jego 14-letni syn zastrzelił się przez nieuwagę. W domu zaś zawsze było nerwowo, bo jego litewska żona Adela była zajadłą przeciwniczką Polski.

W 1936 roku przeniósł się do Ostrowa Mazowieckiego, gdzie pracował w kancelarii notarialnej, a potem był notariuszem w Tuszynie. Wyniósł się tam jeszcze przed sowiecką napaścią na Polskę, jakby przeczuwając zagrożenie. No bo były premier białoruskiego Rządu Tymczasowego A. Łuckiewicz tułał się później po rosyjskich więzieniach, aż zmarł w łagrze. P. Aleksyuk umarł w zapomnieniu i ze świadomością, że żaden z jego celów politycznych nie został zrealizowany. Oraz że wolna Białoruś nie powstała.

Stało się to dopiero 45 lat później. Więc może wysiłki takich osób jak on oraz A. Łuckiewicz, przyniosły wyniki, tyle że z czasowym poślizgiem. Chociaż P. Aleksyuk to postać niewątpliwie tragiczna, lecz jednak nie w każdym calu. Coś z tego co zrobił, zapoczątkowało.

JACEK WOJCIECHOWSKI

PARALELNA RP

częściowo wertykalnie, ale także i horyzontalnie

Jednym z dowodów na to, że od zawsze mieliśmy tu przewrócone w głowie było podnoszenie innym poprzeczki. Wcześniej, bo już w lipcu '89 na spędzie w Audytorium Maximum UW uznałem wraz z kolegami, że by dostać się do nowej lewicy, trzeba się opowiedzieć wobec hańby Marca '68, napaści na Czechosłowację parę miesięcy później, no i stanu wojennego. W Sejmie kontraktowym wraz z Niesiołowskim przymierzałem się do zgłoszenia uchwały nakazującej występy bez kartki. „By durnota wsjem widna była!” – jak oświadczył car, wprowadzając tę zasadę w Dumie. Marszałkowi Kozakiewiczowi z jego niezastąpionym poczuciem humoru nie starczyło odwagi na dopuszczenie nas do trybuny.

Ostatnio ta tematyka doczekała się twórczego rozwinięcia. I tak rośnie w siłę społeczny ruch domagający się od kandydatów do Parlamentu Europejskiego, by dowiedli, że tam narodowi i idei paneuropejskiej przydadzą się. Już wiadomo, że takie elegantki jak Pawłowicz z Chlew am Trotta czy naukowcy jak no-name Legutko z argumentem proeuropejskim lekkim jaklegutko czy wreszcie damski siatkarz Czarnecki di Szmaltetti – wszyscy głęboko miłujący Unię żadnego certyfikatu nie powinni dostać. Najwyżej bukiet górskich fiołków o posmaku trotylu. I Pan Duda, miast wetować ordynację do PE, bo prawie nikt poza PIS-owskim PZPR-em tam by nie wszedł, powinien poprosić uczniów Schumann, Monneta, Delorsa, a od Churchilla wziąć formułę „zjednoczone stany Europy” – o przygotowanie odpowiedniej ankiety. Co ja mówię?! Jakich uczniów?! Jakiego Schumann?! Wystarczy, by przygotowali ją Lidka i Róża, Janusz z Czesiem. No i parafa Tuska. Pani Szydło za swe kłamstwa na tamtejszym forum powinna zwyczajnie wrócić tam, skąd się wzięła. A jeśli premier MM w swych wystęпах na Zachodzie sadzi takie tenisowe asy jak ostatnio w Bystrzycy Kłodzkiej, że „opozycja wrywa sukno spod głowy konającej Rzeczypospolitej”, ignorując głos z sali: „a 500 mln dla Radziwiłła?!” – to też nie powinien mieć do Strasburga wstępu. A po polskim salonie biegnie wieść – jak pożar buszu – że podobno kandydować ma Rafał Parchu-Ziemkiewicz.

Jeśli ich występy pozostaną bez kary, jeśli Kaczyński nawet uda, że inaczej myśli i nie zamachnie się na nich swą kulą, to może chociaż przysłuży się nam inaczej i np. wywabi z ostępów ostatnią nadzieję „na lepsze i normalne jutro”, czyli Cimoszewicza? Zapomniałoby się mu wtedy i „bez trybu”, i „mordy zdradzieckiej” i obrażę Amnesty International, czy tolerowanie tego „babskiego rechotu” płynącego z PIS-owskich ławek z ust wysokiej blondyny, wysokiej brunety, i jeszcze jednej średniowysokiej, nadzorowanych przez dyrygentkę Pawłowicz.

Przed kilku dniami nowe ziarno zasiała I Prezes SN, mówiąc w Karlsruhe o swym prezesowaniu „na uchodź-

stwie”. Wpisała się do planowanych instytucji państwa prawa na wygnaniu. Myślmy bowiem o powrocie Wolnej Europy – niezależnej TV i Radia obsługiwanych przez satelitę. Potężnych mediów społecznościowych, które spełnią w przyszłości rolę porównywalną do Arabskiej Wiosny. Bo że taka u nas nadejdzie, to pewne. Wsparte zostaną Rzecznikiem Praw Obywatelskich na uchodźstwie z siedzibą, którą sobie wybierze – tam gdzie produkcja/konsumpcja avocado na głowę przekracza 1 sztukę dziennie.

Trybunał Konstytucyjny jest nam – jak się okazało – zupełnie niepotrzebny, a jeśli by już ktoś chciał, to może przenieść mgr Przyłębską na portiernię Ambasady RP w Berlinie. Z ochroniarzem Muszyńskim.

Biuro Pełnomocnika ds. Uchodźców realizować będzie wymarzoną przez Kaczyńskiego zasadę: „obcy, won na Madagaskar!” I nabierzemy ich znacznie więcej niż quota nam przypadająca.

IPN oraz inne placówki ds. polityki i propagandy historycznej już niby są na miejscu, bogate w kadry dyplomatyczne, choćby w Berlinie, Londynie czy Waszyngtonie, wspierające hałasy czynione przez Młodzież Wszechpolską między jednym piwkiem a drugim, w starych i młodych fundamentalistów narodowych, potomków od pogromów Jedwabnopodobnych, mścicieli Rzezi Wołyńskiej, tych, którzy napadli na Czechosłowację (data do wyboru), dzieci – zamiast resortowych – Gmyza i Pawłowicz. Z Ministerstwa Chamstwa i Głupoty.

No i wreszcie – kontynuując nasze wspaniałe tradycje głów państwa na uchodźstwie – osadzimy w jakiejś willi w okolicach West Hemstead (czy nie za dobrze?) naszego „niezłomnego” człowieka – może bez doktoratu, ale za to z własnym długopisem. Gdzie nikt by mu nie dał kredytu na australijskie fregaty.

Trzeba by też przenieść wydawanie bliskich sercu tytułów: „Zdania”, „Polityki”, „Gazety Wyborczej”, „Przeglądu” i „Newsweeka”. I tak, w zgodnej opinii indagowanych „Zdanie” powinno pozostać w kraju. W podziemiu. I raz na miesiąc zmieniać swą lokalizację ruchami wypracowanymi w wojennym systemie Bujaka, co w przełożeniu na Kraków równałoby się – od Żyda na Kazimierzu do chłopca w Bronowicach na Weselu. Tamże, w stodole przeprowadzano by „Trzech na jednego”, zaś najłatwiejszy w wyznaczaniu przez PIS-owską bezpiekę *List z Wójtowic* nadal by się tak nazywał, lecz Rybs, Bidera i Porwisiak (prawdziwe nazwiska znane redakcji) musieliby swe pseudonimy zmienić. „Gazeta Wyborcza” na przedmieścia Tel Awiwu z kolegami *U Schmula*, „Przegląd” w knieje Litwy, zaś „Newsweek” poczekalby na decyzję Ringera. Na TVN czekałoby dawne miasteczko RMF ze swymi rozsianymi po podkrakowskiej łące bulwami.

KRZYSZTOF KOMORNICKI

TOMASZ GOBAN-KLAS

POLSKI MARCO POLO

Stanisław Brzozowski w *Legendzie Młodej Polski* oraz w artykule z roku 1905 *Sienkiewicz – pocieszyciel burżuazji* pisał: „W umyśle Sienkiewicza cała sfera bytu, cała forma życia, cała szlachecka polska wyzłobiła swoje formy tak, że może on widzieć świat tylko przez ich pryzmat i wszystkiego, co się z tymi formami nie godzi, nie widzi” [...] Z nędzy ojczyzny swojej, jej ciemnoty, barbarzyństwa, upodlenia, wysnuwa dla was wszystkich fascynującą baśń [...] Pogoda, płynąca z nierozumu, niepamięci, niedostrzegania, jest hańbą dla istoty myślącej. Popularność Sienkiewicza pośród warstw ludowych to zaraza szlacheckiego lenistwa duchowego zaszczerpiona im”. Konkluzja Brzozowskiego: Sienkiewicz patrzył przez „rurę od barszczu”.¹¹

Tę metaforę można odnieść do dzisiejszego dominującego stylu myślenia w polskich popularnych mediach i – co ważniejsze – politycznych enuncjacjach. Po okresie 30-letniego otwarcia na Zachód, na Unię, na świat, znowu w dyskursie publicznym dominują sprawy własne, parafialne i prowincjonalne. A przecie przestrzegał Bronisław Geremek:

„Perspektywy przyszłości rysują się groźnie, znów jawią się mroczne kontury apokaliptycznych plag. Nie namawiam do wiary w katastroficzne przepowiednie. Sądzę jednak, że w myśleniu o miejscu Polski w świecie trzeba mieć świadomość globalnych wyzwań i porzucić błogie poczucie, że „nasza chata z kraja”.²²

Podążając za myślami tych wielkich, choć jakże różnych intelektualistów z jakże różnych epok sięgałem po rozliczne dzieła o naszym wspaniałym, ale przecież nadal groźnym świecie, w różnych jego fazach – starożytnej, nowożytnej i całkiem współczesnej. A także, w miarę skromnych możliwości, podróżowałem po wielu kontynentach i ważnych historycznie krajach, aby *ad oculos* doświadczyć teże historii.

W latach 90. ubiegłego wieku odwiedziłem wiele krajów. Wszędzie widać było intensywną transformację, rozwój ekonomiczny, przeobrażenia stylu życia. Ale najbardziej zaskakujący był rozwój Chin – imponujący jak ich Wielki Mur (a raczej Długie Mury, bo jest ich więcej). I oto te dalekowschodnie wyprawy w tym roku powróciły w mojej pamięci dzięki zaskakującej książce sinologa i politologa, profesora i dyplomaty, przed laty częstego autora „Zdania”, Bogdana Góralczyka.

Oto po roku powróciłem do Sankt Petersburga. Stała się – jak się drzewiej mawiało – w hotelu Marco Polo. I tam, wieczorem, serfując w internecie natknąłem się właśnie na najnowszą książkę Góralczyka *Wielki renesans. Chińska transformacja i jej konsekwencje*.³³ Dla

mnie jest on polskim Marco Polo (wenecjanin, autor pierwszego opisu Chin). Choć uprzedził go Henry Kissinger swym tomem *On China*, nasz autor opisuje Chiny bardziej wnikliwie i dokładnie w fazie dzisiaj najważniejszej – wielkiego renesansu pozycji Chin, z perspektywą ratingową co najmniej A++.

Wyniki wielkiej transformacji są już oczywiste, Bogdan Góralczyk ujmuje je w kontekście zamierzeń strategicznych Chin. Przypomina, że „stanowią kontynent większy od Europy i trzykrotnie ludniejszy od UE. A przede wszystkim są starożytną cywilizacją, która zdołała zachować ciągłość. Dzieci w szkołach ślęczą tam do dziś nad czytankami sięgającymi treścią do V w. naszej ery, bo dla Chińczyków to jakby wczoraj. Mają paralelny świat, odrębny i samodzielny wobec naszego. W Chinach nie ma czterech stron świata. Poza północą, południem, wschodem i zachodem jest i piąty kierunek – środek. A w środku są Chiny, nad nimi natomiast tylko cesarz i niebo”.

Mam na biurku otrzymany w prezencie globus Polski, taki jaki stoi w *Uchu Prezesa*. Polska zajmuje na nim obie półkule, jako mapa fizyczna i mapa administracyjna. Myślę, że dla Chińczyków analogiczny globus nie byłby rekwizytem kabaretowym, ale i obrazem trójwymiarowym nowego wspaniałego chińskiego świata. Zapewne się nie ziści, inne azjatyckie tygrysy będą podszczypywać chińskiego smoka, a Indie przeważają już swym demograficznym ciężarem. Niemniej – jak wskazuje Henry Kissinger w swym ostatnim dziele *World Order*, nowy porządek światowy to już będzie wielośrodkowy. Adieu wizji Trumpa – America First, Adieu – mocarna Unia Europejska. Konfucjańska filozofia społeczno-polityczna, azjatycka wytrwałość, relatywna spójność tamtejszych społeczeństw przesuwają globus ze strony zachodniej na wschodnią. Zapatrzeni we własny pępek, tej naprawdę wielkiej transformacji regionu nie dostrzegamy.

Obowiązkowa to lektura dla wszystkich, którzy patrzą na świat szerzej i w perspektywie transformacji historycznych. Oto na naszych oczach nie tylko rodzi się nowa epoka geologiczna zwana już antropocenem (zdominowana przez działania człowieka), ale i nowy układ geo-ekono-polityczny, coraz bardziej kształtowany przez rosnącą pozycję Chin, budowę nowego jedwabnego szlaku, itd..

Potwierdza się fraza z *Wesela* Wyspiańskiego: „Chińczycy trzymają się mocno?”. A jakże! Już Napoleon mawiał, że kiedy Chiny się obudzą, świat zadrży. „Żółte niebezpieczeństwo”? We wrześniu 2018 wiceprezydent Pence wskazał na Chiny jako podstawowe zagrożenie ekonomiczne i militarne dla Stanów Zjednoczonych.

A dla nas? Profesor Góralczyk zapytany „Czy jest w naszym interesie, by Chińczycy weszli do Polski? oparł: „I tak wejdą, już wchodzą”.

1 A co to jest staropolski „barszczyk z rurą”? – polecam sprawdzenie w internecie.

2 Bronisław Geremek, Polska i świat - koniec tysiąclecia, „Gazeta Wyborcza”, 1994-05-07/08.

3 Wydawnictwo Dialog, Warszawa 2018, str. 588.



TO SIĘ DZIAŁO W PRL-u

Dla byłych i obecnych studentów ważna informacja: ukazała się całkiem pokąźnych rozmiarów praca o ZSP, czyli o Zrzeszeniu Studentów Polskich. Organizacja ta powstała w 1950 roku, kiedy stalinizm wkraczał u nas w swoje apogeum, ruch robotniczy już się zjednoczył pod szyldem PZPR, a młode pokolenie dziarsko kroczyło ku świetlanej przyszłości w zetempowskich koszulach z czerwonym krawatem. Toteż powołanie w tamtym czasie ZSP, skupiającego wyłącznie studentów, wygląda – z dzisiejszej perspektywy patrząc – na wybryk natury, nad którym ktoś, mając pełnię władzy, stracił kontrolę, a wcześniej rozum. Bo stworzenie studentom możliwości zrzeszenia się we własnej organizacji, we własnym tylko gronie, musiało z czasem przysporzyć władzy kłopotów. Oczywiście nie od razu organizacja ta stała się przystanią dla osobników niepokornych, duchów niespokojnych i artystów bez przydziału, lecz wystarczyły pierwsze oznaki „odwilży” po śmierci Stalina, by już w połowie lat 50. zaczęły powstawać znane teatry studenckie, jak warszawski STS, gdański Bim-Bom czy krakowski Teatr 38. A po Październiku ’56 jak grzyby po deszczu pojawiły w ośrodkach akademickich w całej Polsce nie tylko nowe teatry i kabarety studenckie, ale także zespoły jazzowe i rockowe, czasopisma kulturalne, grupy literackie, festiwale poetyckie i kluby studenckie, w których toczyło się życie intelektualne, artystyczne i towarzyskie młodej inteligencji. Wyższe wykształcenie cieszyło się wtedy dużym prestiżem społecznym, zaś epitet „studencki” miał w tamtych latach, we wszystkich niemal kontekstach i odniesieniach (teatr, film, festiwal, rajd, konkurs, czasopismo, wydawnictwo itp.) walor nobilitujący.

Pora teraz przedstawić autora książki, o której mowa, mającej tytuł *Zrzeszenie Studentów Polskich w socjalizmie państwowym 1950 – 1973*. Jest nim Ryszard Stemplowski, emerytowany profesor tytularny, który karierę naukową zrobił w Polskiej Akademii Nauk, zajmując się głównie Ameryką Łacińską i sprawami międzynarodowymi, a swoją wiedzę dzielił się ze studentami m.in. uniwersytetów Warszawskiego i Jagiellońskiego. W przywołanej publikacji występuje w podwójnej roli badacza i uczestnika-świadka, gdyż Stemplowski zrobił także karierę w ZSP, pełniąc w latach 1966-1968 funkcję wiceprzewodniczącego Rady Naczelnej, odpowiedzialnego za kontakty międzynarodowe. Jako zawodowy historyk i politolog posługuje się dość hermetycznym językiem i metodologią, ale równolegle prowadzi narrację personalną w pierwszej osobie, nie tylko nie ukrywając, ale niekiedy eksponując subiektywny punkt widzenia, wynikający z jego osobistego zaangażowania w sprawy, o których pisze. W jego podejściu do tematu wyczuwa się chłodny dystans, podszyty

sporą dozą krytycyzmu, na co niewątpliwie wpływ miały tzw. wydarzenia marcowe, których padł ofiarą. Jednak nie za pochodzenie, co było wówczas regułą, tylko za solidaryzowanie się z protestującymi wówczas studentami. A to nie uszło mu płazem i w maju 68 roku musiał pożegnać się z członkostwem w partii i w najwyższych władzach ZSP. Dalsza droga życiowa, co było do przewidzenia, zaprowadziła go do opozycji demokratycznej i Solidarności, a po 89 roku do wysokich stanowisk w III RP: szefa Kancelarii Sejmu, dyrektora Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych i ambasadora w Wielkiej Brytanii. Na kanwie jego życiorysu można by pokusić się o biografię alternatywną, czyli co by było, gdyby... zachował się w Marcu ’68 roku inaczej.

Zamiarem Stemplowskiego nie było napisanie historii ZSP. Z tej choćby przyczyny, że zajmuje się tylko pierwszym okresem w dziejach tej organizacji, niewątpliwie najciekawszym. Tu warto bowiem dodać, że za jej kontynuatora, pod nową nazwą, uważał się Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, działający w latach 70., zaś w latach 80 reaktywowane ZSP, które istnieje do dziś, walcząc o przetrwanie na uczelniach. O czym zatem jest ta książka? Jak twierdzi sam autor, o pewnym fenomenie, który przydarzył się w PRL-u. Drugiej takiej organizacji studenckiej nie było nie tylko w tzw. obozie socjalistycznym, ale w ogóle w świecie. Ten wątek autor rozwinię i udokumentuje w jej drugim wydaniu, o czym poinformował na spotkaniu w „Kuźnicy”. W polskich realiach tamtego czasu odmiennosć ZSP polegała na nie żądaniu deklaracji politycznej i światopoglądowej, poza formalną akceptacją ustroju, od swoich członków, co sprawiło, że w latach 60. należało do niego 90 procent studentów na zasadach pełnej dobrowolności. Zrzeszenie pełniło bowiem rolę samorządu studenckiego i związku zawodowego jednocześnie. Dbało o sprawy socjalne i potrzeby kulturalne, organizowało czas wolny i rekreację, oferowało wczasy krajowe i zagraniczne, a także wycieczki na Zachód, posiadało własną bazę lokalową i infrastrukturę, z czego czerpało dochody. I funkcjonowało na zasadach w PRL-u niespotykanych: tylko bowiem w Polskiej Akademii Nauk i w ZSP władze wybierano w tajnych wyborach, ale w ZSP na jedną kadencję. Na drugą albo się awansowało, albo żegnało z pełnioną dotąd funkcją. Tego zaraźliwego przykładu władze obawiały się najbardziej. Toteż po Marcu ’68 ograniczono kompetencje samorządowe ZSP, a w 1973 roku powołano nową, nie tylko z nazwy, organizację.

W latach opisanych przez Stemplowskiego pod szyldem ZSP wiele się działo, m.in. zaistniała kontrkultura w Polsce. I tego żaden IPN nie zdoła wymazać z historii.

SCEPTYK

„KUŹNICA” LAUREATEM NAGRODY IM. NORBERTA BARLICKIEGO

W dniu 7 września 2018 r. (piątek), w samo południe w Krakowie (Grand Hotel, ul. Sławkowska 5/7) odbyła się Gala Nagrody Samorządowej im. Norberta Barlickiego, przyznawanej przez Stowarzyszenie Rzeczpospolita Obywatelska.

W imieniu Stowarzyszenia RO laureatów nagrody za rok 2018 wyłoniła Kapituła Nagrody pod przewodnictwem prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego.

Miło nam poinformować, że laureatem Nagrody Samorządowej im. Norberta Barlickiego za 2018 rok w kategorii organizacja pozarządowa jest Stowarzyszenie „Kuźnica”. Na gali rozdania nagród „Kuźnicę” reprezentowali: prezes Paweł Sękowski, prezes senior Andrzej Kurz oraz członkowie prezydium Ewa Wasil i Filip Ratkowski.

Na ręce prezesa „Kuźnicy” dr. Pawła Sękowskiego nagrodę wręczył prof. Jacek Majchrowski, prezydent miasta Krakowa oraz prezes Stowarzyszenia Rzeczpospolita Obywatelska.

Dziękując za przyznane wyróżnienie, prezes Sękowski nawiązał do postaci patrona nagrody – wybitnego socjalisty i współtwórcy samorządu terytorialnego w okresie II RP Norberta Barlickiego oraz podkreślił związki „Kuźnicy” i jej członków z problematyką samorządową w III RP. Prezes Sękowski nadmienił, iż jest świadom, że wyróżnienie dla „Kuźnicy” nie jest jego

osobistą zasługą, ale także – i przede wszystkim – jego poprzedników i w związku z tym zaprosił na podium prezesa–seniora Andrzeja Kurza. Prezes senior Kurz w krótkiej wypowiedzi dodał, iż „Kuźnica” zawsze opowiadała się za odpowiedzialnością obywatelską, a nie za obywatelskim nieposłuszeństwem.



Przekazując 1% od podatku na „Zdanie” i „Kuźnicę”

KRS 0000300613

wspomagasz polską lewicę

ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski,

Paweł Kozłowski, Krzysztof Mroziejewicz, Lech M. Nijakowski, Filip Ratkowski,

Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji), Paweł Sękowski.

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 31-052 Kraków, ul. Miodowa 41

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Neurokwiat, 30-057 Kraków, ul. Chocimska 7/4

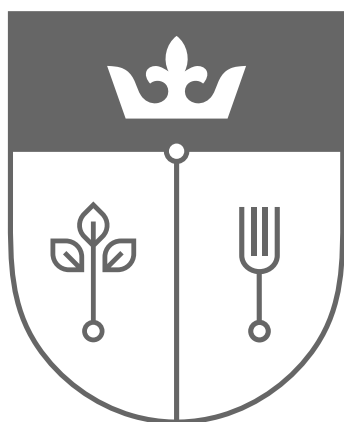
Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.



Kraków



Europejska Stolica Kultury Gastronomicznej Kraków 2019



ODWIEDŹ
www.kulinaryny.krakow.pl

2019

